

Werber Bernard

Oddech bogów

Muriel poświęcam

Przedmowa

„A gdybyś ty znalazł się na miejscu Pana Boga, to co byś zrobił?”

Z tego właśnie pytania zrodziła się idea „cyklu o bogach”.

Od czasu pojawienia się religii człowiek opowiada się za jedną z dwóch opcji: „Wierzę” lub „Nie wierzę”.

Ciekawsze wydało mi się sformułowanie tego pytania nieco inaczej, tak aby można było uzyskać inne odpowiedzi. Załóżmy, że On lub Oni istnieją, i spróbujmy zrozumieć, w jaki sposób postrzegają nas, zwykłych śmiertelników. Jakie mają pole manewru? Czy nas osądzają? Czy nam pomagają? Czy nas kochają? Jakie mają wobec nas zamiary?

W celu zbadania tych hipotez wymyśliłem szkołę bogów, w której naucza się, jak zostać bogiem odpowiedzialnym i skutecznym w działaniu.

Dzięki pokazaniu spojrzenia bogów na ludzi, a nie ludzi na bogów, powstała nowa wizja naszej historii, tego, co czeka nas w przyszłości, dążeń naszego gatunku oraz dążeń boskich.

W Szkole bogów śledziliśmy losy boskiego rocznika uczniów. Początkowo było ich 144. Zadaniem każdego z nich była opieka nad ludem, którego ewolucja przebiegała na planecie podobnej do naszej. Po każdej części gry nagradzano najlepszych uczniów i eliminowano najgorszych.

W chwili, gdy zaczyna się akcja powieści Oddech bogów, odpadła już prawie połowa najsłabszych bogów-uczników. Ci, którzy pozostali, zaczynają rozumieć, w jaki sposób doskonalić się w swojej sztuce.

Chciałbym, aby to oryginalne miejsce obserwacji naszych losów pozwoliło czytelnikowi znaleźć się tam, w Aedenie, i spróbować poszukać własnych odpowiedzi.

Gdybyście mieli możliwość zarządzania członkami społeczności podobnej do naszej, w świecie podobnym do naszego, to jakie byłyby wasze wybory, jaki byłby styl waszej boskości? Czynilibyście cuda? Korzystalibyście z proroków? Zachęcalibyście do wojen? Czy pozostawilibyście waszym ludom wolną wolę? Jakich modłów oczekivalibyście od waszych śmiertelników?

Bernard Werber 7

„Bo przecież - mówi Alicja - jeśli istnienie świata nie ma żadnego sensu, to kto nam broni jakiś wymyślić?”

Lewis Carroll

„...Tak więc wszechświat kołysałby się w rytmie trzech przenikających go wielkich sił: D - siły Dominacji, Dzielenia, Destrukcji. N - siły Neutralności, Niczego, siły Niezamierzonej. A - siły Asocjacji, Akceptacji, Afektu. D, N, A.

Z chwilą wielkiego wybuchu rozpoczęła się wielka gra tych trzech sił w trzech pierwotnych drobkach: dodatnim Protonie, ujemnym Elektronie i obojętnym Neutronie.

Gra prowadzona dalej w cząsteczkach.

Gra prowadzona dalej w ludzkich społecznościach.

Gra, która będzie trwała...”

Edmond Wells

„Jaka jest różnica pomiędzy Bogiem a chirurgiem? Odpowiedź: Bóg przynajmniej nie uważa się za chirur-

__TJ

ga .

Freddy Meyer

9

1. OKO NA NIEBIE

Patrzy na nas.

Jesteśmy zaskoczeni, spoglądamy z osłupieniem, dysząc ciężko.

OKO jest ogromne, tak wielkie, że rozrywa chmury i zasłania słońce.

Moi towarzysze zastygli w bezruchu.

Serce mi wali.

Czyżby to było...

Gigantyczne oko widnieje na niebie jeszcze przez kilka chwil, jakby na nas patrzyło, potem nagle znika. Pozbawione tej przytłaczającej obecności, rozciągające się wokół nas pole czerwonych maków sprawia nagle wrażenie osieroconego.

Nie śmiemy powiedzieć słowa, ani wymienić spojrzenia.

A jeśli to był ON?

Od wieków miliardy ludzi pragnęły zobaczyć choćby JEGO cień, cień JEGO cienia, odbicie cienia JEGO cienia. A nam byłoby dane ujrzeć JEGO oko?

O ile dobrze pamiętam, wydaje mi się, że źrenica, ten niezmierny czarny tunel, zwężała się lekko, tak jakby spoglądała dokładnie na nasze małe osoby.

Przypominało to ludzkie oko przyglądające się mrówkom.

Marilyn Monroe uklękła. Mata Hari dostała ataku kaszlu. Freddy Meyer leżał na trawie, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Raoul zagryzał wargi do krwi. Gustave Eiffel stał nieruchomo ze wzrokiem wbitym w dal. Georges Méliès mrugał nerwowo. Niektórym z nas płynęły łzy Wszystko to w zupełnej ciszy.

- Ta tęcza... Musiała mieć z kilometr średnicy - powiedział cicho Gustave Eiffel.
- Sama źrenica miała co najmniej sto metrów - dodała zaaferowana Marilyn Monroe.
- To oko musiało należeć do jakiegoś olbrzyma - twierdzi Mata Hari.
- Zeusa?... - sugeruje Gustave Eiffel.
- Zeusa lub Wielkiego Architekta albo Boga Bogów - mówi Freddy Meyer.
- Stwórcy... - rzuca Georges Méliès.

Szczypię się z całej siły. Pozostali robią to samo.

11

- To nam się tylko śniło. Ponieważ wyobrażaliśmy sobie Wielkiego Pana Boga mieszkającego na szczycie góry, padliśmy ofiarą zbiorowej halucynacji - rozstrzyga mój przyjaciel Raoul Razorback.
- On ma rację. Nic innego się nie wydarzyło - ciągnie dalej Gustave Eiffel, masując sobie skronie.

Zamykam oczy, by przerwać na chwilę ten spektakl. Antrakt.

Trzeba przyznać, że od chwili przybycia do Aedenu, planety na skraju wszechświata, jedna niespodzianka goni drugą. Wszystko zaczęło się, gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi. Na początku gry spotkałem znajdującego się w agonii człowieka, w którym rozpoznałem pisarza Juliusza Verne'a. Przerażonym głosem rzucił mi tę przestrożę: „Cokolwiek by się działo, proszę nie iść tam, wysoko”. I drżącym palcem wskazał położoną w środku wyspy wysoką górę, której wierzchołek tonął w gęstej mgle. Następnie, przerażony, rzucił się ze skraju urwiska.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Zostałem porwany przez centaura, zawieszony do miasta przypominającego antyczną Grecję, Olimpię. Tam dowiedziałem się, że właśnie

przeszedłem ze stadium anioła - które symbolizuje liczba 6 - na wyższy poziom świadomości - symbolem którego jest liczba 7 - stając się bogiem-ucznieniem. Oraz że będę uczęszczał na specjalne zajęcia w szkole bogów.

Zajęcia prowadzone są przez dwunastu bogów z greckiego panteonu, z których każdy uczy nas doskonalić się w swojej własnej specjalności.

Miejscem przeznaczonym do ćwiczeń jest planeta podobna do naszej Ziemi. Została ochrzczona Ziemią 18.

Hefajstos nauczył nas wytwarzać minerały, Posejdon tworzyć rośliny, Ares zwierzęta. Wtedy Hermes powierzył każdemu z nas losy ludu. Naszym zadaniem jest kierować nim tak, aby się rozwijał i rozmnażał. „Jesteście jak prowadzący swoje stada pasterze” - powiedział Hermes. „Jak pasterze...”, z tą jednak różnicą, że jeśli stado ginie, pasterz zostaje wyeliminowany.

Takie bowiem prawo rządzi w Aedenie: my, bogowie, jesteśmy nieodwracalnie związani z losem naszych ludów. Atena, bogini sprawiedliwości, powiedziała wyraźnie: „Na początku jest was 144. Na końcu gry pozostanie tylko jeden”.

W celu identyfikacji naszych ludów każdy z nas przypisał swoim śmiertelnikom jakieś zwierzę-totem. Mój przyjaciel Edmond Wells wybrał lud mrówek, Marilyn Monroe - lud os, Raoul - lud orłów, a ja - lud delfinów.

Do stresu związanego z tymi zaskakującymi studiami oraz dziwną rywalizacją dodać należy dwa inne „problemy”. Jeden z uczniów, najprawdopodobniej bardzo pragnący zwycięstwa, postanowił wymordować po kolei wszystkich swoich rywali. Nazwano go bogobójcą i jak na razie nikomu nie udało się go odnaleźć.

Do tego Raoul wpadł na najgłupszy pomysł, żeby zrobić to, co jest surowo zabronione, czyli opuścić Olimpę po 22.00 i wejść na górę po to, by sprawdzić, co to za światło widać czasami na jej szczycie. I tak oto zostaliśmy alpinistami. Aż do chwili, gdy na niebie pojawiło się ogromne oko...

12

- Jesteśmy zgubieni - wymamrotałem.

- Nie, nic się nie stało. Nie było na niebie żadnego ogromnego oka. To wszystko nam się śniło - powtórzyła Marilyn Monroe.

W tej samej chwili tętent kopyt przywrócił nam poczucie rzeczywistości i jej zagrożeń. Nie mamy czasu do stracenia. Przykucnęliśmy w gąszczu czerwonych maków.

2. ENCYKLOPEDIA: OTRZYMAĆ

Według filozofa Emanuela Levinasa: twórcza praca każdego artysty składa się z trzech etapów:

Otrzymać.

Wielbić.

Przekazać.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

I. DZIEŁO W KOLORZE CZERWONYM

3. DZIEWIĘĆ ŚWIĄTYŃ

Centaurzy. Oto służby porządkowe. Grupa około dwudziestu chimer o końskich zadach i ludzkich tułowiaach pojawia się z prawej strony. Najprawdopodobniej jest to grupa zwiadowców. Zbiegają kłusem ze skał, uderzając kopytami, z rękoma skrzyżowanymi na klatce piersiowej lub opuszczonymi jak długie gałęzie, którymi przeczesują rośliny w poszukiwaniu bogów-uczniów.

Zagłębiają się w pole kwiatów; ich purpurowe płatki sięgają im aż do tułowia. Ukryci wśród maków, z pochylonymi głowami, z daleka śledzimy ich ruchy. Oglądane pod tym kątem centaury przypominają kaczki pływające po krwistoczerwonym jeziorze.

Kłusują coraz szybciej, zbliżając się w naszą stronę, jakby wyczuły naszą obecność. Mamy tylko tyle czasu, aby położyć się plackiem na ziemi. Na szczęście maki rosną gęsto, a ich czerwone korony tworzą rodzaj ochronnej kotary.

Kopyta centaurów niemal ocierają się o nas, kiedy nagle niebo wydaje się rozdzierać i zaczyna padać rzęsiasty deszcz. Centaury robią się nerwowe. Niektóre stają dęba, jakby ich końska część nie mogła znieść ulewy. Ustalają coś, a woda ścieka im po brodach, potem nagle postanawiają przerwać poszukiwania.

Przez długi czas pozostajemy w bezruchu. Czarne chmury rozpraszają się powoli, ustępując miejsca słońcu, które sprawia, że krople wody błyszczą na liściach jak maleńkie gwiazdki. Upewniwszy się, że centaury zniknęły, wstajemy.

- Mało brakowało - mówi cicho Mata Hari.

Marilyn Monroe mruczy cicho nasze bitewne zawołanie, jakby chciała dodać sobie otuchy.

- „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”.

W tej samej chwili pośród płonącego czerwienia pola maków pojawia się smukła roześmiana maleńka dziewczyna o blond włosach. Dołącza do niej osiem podobnych dziewcząt. Stają przed nami, przyglądają się

14

nam z rozbawieniem, wybuchają śmiechem, następnie odbiegają i znikają w oddali.

Spoglądamy po sobie i w jednej chwili decydujemy się pobiec za nimi, jakbyśmy chcieli zapomnieć o tym, co wydarzyło się wcześniej.

Pędzimy wśród maków tak wysokich i twardych, że chłuszczą nasze biodra. Obraz wielkiego oka stopniowo zaciera się w naszej pamięci, tak jakby ten rodzaj informacji nie nadawał się do strawienia, a tym bardziej zapamiętania. Nie było żadnego oka na niebie. Tylko zbiorowe halucynacje.

Daleko przed nami głowy dziewcząt ledwie widać spoza kwiatów, a ich blond włosy zdają się sunąć po makowym morzu.

Dobiegamy do dużej polany. Naszym oczom ukazuje się dziewięć niewielkich świątyń w kolorze ostrej czerwieni. Dziewczęta zniknęły.

- Aeden odkrywa przed nami swoją kolejną tajemnicę - niepokoi się Freddy Meyer.

Czerwone świątynie okazują się miniaturowymi pałacami o kopulastych dachach. Dekorowane rzeźbami i freskami fasady wzniesiono z czerwonego marmuru. Drzwi są szeroko otwarte.

Wahamy się przez chwilę, potem, podążając za Matą Hari, wchodzę do najbliższego pałacu. W komnacie, pełnej niewyobrażalnej ilości porzucanych przedmiotów, z których każdy w jakiś sposób związany jest ze sztuką malarską, nie ma nikogo. Wszędzie walają się sztalugi, nieukończone płótna i znakomite obrazy przedstawiające pole maków, nad którym świecą dwa słońca, a w oddali widać górę.

Zastanawiamy się, czy warto kontynuować tę wizytę, kiedy z innego pałacu dobiega naszych uszu spokojna, czarodziejska muzyka. Kierujemy się w stronę miejsca, skąd dochodzą dźwięki, wszyscy razem wchodzimy do drugiego pałacu i widzimy mnóstwo instrumentów pochodzących z różnych epok i krajów: cytra, tam-tam, organy, skrzypce. Plus kilka partytur ćwiczeń wokalnych.

- Podczas podróży tanatonautów - zauważa Freddy Meyer - po strefie strachu następowała czerwona strefa przyjemności...

Decydujemy się obejrzeć kolejną z miniaturowych świątyń z czerwonego marmuru. Zaraz po wejściu do środka spostrzegamy teleskop, kompas, mapy, urządzenia służące do pomiarów nieba lub Ziemi. Z zewnątrz dobiegają nas znowu śmiechy dziewcząt.

- Chyba wiem, gdzie jesteśmy... - mówi Georges Melies.

4. ENCYKLOPEDIA: MUZY

W języku greckim wyraz „muza” oznacza „wir”. Dziewięć dziewcząt, córek Zeusa i nimfy Mnemosyne (bogini pamięci) miało zostać nimfami źródeł, rzek i potoków. Mówiono, że poeci, którzy napili się z tych wód, zyskiwali ochotę do śpiewu. Potem jednak rola dziewcząt zmieniała się. Pocieszały cierpiących, a następnie inspirowały twórców, bez względu na to, jaką dziedziną artystyczną się zajmowali. Mieszka-

ły w górach Helikonu i Beocji. Muzycy i pisarze mieli zwyczaj udawać się w poblize ich sanktuariów i ochładzać w tamtejszych fontannach.

Wtedy dziewczęta podzieliły się rolami w ten sposób, że każda z nich poświęciła się jednej sztuce.

Kaliope: poezji epickiej.

Klio: historii.

Erato: poezji.

Euterpe: muzyce.

Melpomena: tragedii.

Polihymnia: pieśni sakralnej.

Terpsychora: tańcowi.

Talia: komedii.

Urania: astronomii i geometrii.

Kiedy Pierydy, dziewięć córek Pierosa, stanęły z nimi do współzawodnictwa w śpiewie, muzy wygrały i chcąc ukarać rywalki za ich zuchwałość, zamieniły je w dziewięć kruków.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

5. DZIEWIĘĆ PAŁACÓW

Porywy wiatru poruszają czerwoną toń utworzoną z koron maków.

Najmniejsza z dziewcząt zbliża się do mnie. Ma nie więcej niż 18 lat. Jej długie włosy zdobi korona z bluszczu, w prawej ręce trzyma maskę przedstawiającą twarz o pytającym spojrzeniu. Odslaniają powoli, ukazując swoje rysy. Filuterna twarzyczka i dwoje dużych niebieskich oczu. Patrzy na mnie wyzywająco, po chwili uśmiecha się.

Nawet nie zdążyłem zareagować, kiedy zbliża się i całuje mnie w czoło. Natychmiast odnoszę wrażenie, że jestem w teatrze. Siedzę w pierwszym rzędzie, patrzę na scenę. „Natchnęła” mnie następująca opowieść: mężczyzna i kobieta, zamknięci w klatce, są więźniami kosmitów. Powoli odkrywają, gdzie są i dlaczego się tam znaleźli. Dowiadują się, że ich ojczyzna Ziemia zginęła i jeśli oni nie połączą się w fizycznym związku, ludzkość przestanie istnieć. Od tej chwili próbują wytaczać ludzkości proces, którego celem jest określenie, czy doświadczenie jest warte kontynuacji. Ale mężczyzna i kobieta, króliki doświadczalne wbrew

swojej woli, rozumieją również, że zostali porwani, aby dać początek niewielkiej hodowli ludzkiej, dzieciom kosmitów dla zabawy. Zatem pojawia się pytanie: po co przedłużać istnienie ludzkości?

Otwieram oczy. To był tylko sen. Dziewczyna uśmiecha się do mnie z zadowoleniem. To najprawdopodobniej muza teatru, ale czy jest to Melpomena, muza tragedii, czy też Talia, muza komedii? W jej masce o pytającym spojrzeniu nie znajduję odpowiedzi. Po chwili zastanowienia sądzę, że jednak chodzi o Talię, ponieważ sztuka-proces ludzkości wydaje mi się bardziej zabawna niż smutna. I dobrze się kończy.

16

Wyjmuję z torby Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, spadek po moim nieodżałowanym mistrzu, Edmondzie Wellsie, i na białych kartach notuję pomysł dotyczący spektaklu. Muza ponownie całuje mnie w czoło.

W tym momencie w głowie rodzą mi się trzy zdania, przypominające rady dla pisarza:

„Mów o tym, co znasz.

Raczej pokazuj, niż tłumacz.

Raczej sugeruj, niż pokazuj”.

Zapisuję te rady.

Moi przyjaciele też nie pozostają w tyle. Muza poezji, Kaliope, wzięła za rękę Georges'a Meliesa, Polihymnia, muza pieśni sakralnej, chwyta Freddy'ego Meyera. Terpsychora, muza tańca, obejmuje Marilyn Monroe. Erato, muza poezji, rozmawia czule z Matą Hari. Jeśli chodzi o Raoula, to jego muzą jest oczywiście Melpomena, opiekunka tragedii.

Talia zabiera mnie do swojej siedziby z czerwonego marmuru. Idę za nią aż do sypialni o teatralnym wystroju. Pośrodku stoi wielkie łóżko z baldachimem wspartym na złożonych kolumnach, których kapitele ozdobiono włoskimi maskami. Łóżko wygląda tak, jakby je wzięto z komedii dell'arte.

Na estradzie, otoczonej aksamitną kotarą w kolorze purpury, odgrywa mimiczny spektakl tylko dla mnie. Wyraża szczęście, potem nieszczęście, dalej dramat przechodzi w komedię. Jej oczy zachodzą łzami, mruży je, a po chwili błyszczą z radości. Biję brawo.

Zgina się wpół w ukłonie, schodzi ze sceny, zamyka drzwi na klucz, kładzie go pod łóżkiem, podchodzi i przytula się do mnie.

W moim ostatnim ziemskim życiu tak naprawdę w ogóle nie interesowałem się teatrem. Zniechęcony koniecznością rezerwowania miejsc oraz ich wysoką ceną, chodziłem raczej do kina.

Talia ponownie całuje mnie w czoło, a sztuka we mnie kształtuje się jeszcze bardziej wyraziście. Siadam przy stole i zaczynam z zapalem notować.

Piszę. Co za przyjemność pisać dialogi. Tworzy się fabuła. Majonez zaczyna tężeć.

Talia głaszcze moją dłoń i czuję uspokajającą falę świeżości. Wszystko wydaje się takie naturalne. Odnoszę wrażenie, że moi bohaterowie żyją naprawdę, wypowiadają własne kwestie, a nie wymyślone przeze mnie. Nie wymyślam, lecz opisuję to, co widzę. Nigdy nie było mi dane poznać uczucia tworzenia, które przychodzi z taką łatwością. Wreszcie jestem małym bogiem kierującym światem, którego reguły istnienia potrafię kontrolować tym lepiej, że sam jestem ich twórcą. Przez głowę przebiega mi zgoła inna myśl: „Jeśli nie chcesz zaakceptować przyszłości, stwórz ją sobie sam”. Dochodzę nawet do przekonania, że zanim zacząłem pisać tę sztukę, nigdy nie potrafiłem opanować sytuacji pomiędzy istotami ludzkimi.

Całuję moją muzę w policzki, chcąc jej podziękować... Talia czyta, zaglądając mi przez ramię, potakuje i prosi, abym spojrzał w stronę sto-

17

jącego na komodzie miniaturowego teatru. Przemieszcza na makiecie niektóre figurki, sugerując mi ruchy aktorów. Daje mi tym samym do zrozumienia, że muszę od razu myśleć o reżyserii. Tu będą walczyć, tam się całować, tu iść za sobą, a tam, jak chomiki, kręcić się w kole wielkości człowieka.

Talia potrząsa blond lokami, otacza mnie jej zapach, a następnie, chcąc wesprzeć moje wysiłki, podaje mi szklaneczkę miodu pitnego w czerwonym kolorze, bo o smaku maków.

Mam już tylko jedno zaskakujące marzenie: zostać w czerwonym pałacu i w towarzystwie mojej muzy poświęcić życie twórczości teatralnej. Dotykać Talię, słyszeć jej śmiech wypełniający komnatę, to w tej chwili moja jedyna motywacja. Czyżbym bez odwyku przeszedł z jednego narkotyku w drugi? Od kierowania światem ludzi do świata aktorów? Od Afrodyty do Talii? Muza teatru ma pewną przewagę nad boginią miłości: z naszego związku powstaje dzieło, które nas przerasta. Słynne $1 + 1 = 3$, tak bliskie mojemu mistrzowi Edmondowi Wellsowi. Piszę i mam wrażenie, że słyszę śmiech setek widzów. Talia obejmuje mnie.

Ale to nie owacje przerywają nasz uścisk, lecz hałas drzwi wyważonych ramieniem Freddy'ego. Chwyta mnie, potrząsa i używszy całej swojej siły, wyciąga mnie z pałacu.

- Hej! Zostaw mnie! O co ci chodzi?

Były rabin potrząsa mną znowu.

- A więc nie rozumiesz? To pułapka!

Spoglądam na niego z niedowierzaniem.

- Przypomnij sobie, jak przechodziliśmy przez czerwone terytorium kontynentu umarłych. Wtedy również próbowano nas uwieść. Jeśli stracisz tu czas, koniec z twoim ludem

delfinów, koniec ze wspinaczką na Olimp. Staniesz się chimera, jak wszyscy przegrani. Michael, obudź się!

- Jakie jest niebezpieczeństwo?
- Takie samo, jak lep na muchy: można dać się przykleić.

Słyszę to zdanie, jakby dobiegało z daleka. Tymczasem w drzwiach pałacu znowu pojawia się Talia, czuła i pociągająca.

- Pomyśl o Afrodycie - dodaje Raoul.

Tak jakby jedna trucizna była lekarstwem na inną.

Nie nalegając więcej, Talia przesyła mi pożegnalny gest. Mówię jej po prostu:

- Dziękuję. Pewnego dnia napiszę sztukę, której będziesz inspiracją. Oraz inne.

Teonauci zbierają się przed pałacami, a tymczasem muzy przestały nas uwodzić.

Spoglądamy na siebie. Jaki dziwny zespół tworzymy. Mata Hari, kiedyś szpieg, która uratowała mi życie. Marilyn Monroe, amerykańska gwiazda filmowa. Freddy Meyer, niewidomy rabin, który tutaj odzyskał wzrok. Georges Méliès, awangardowy magik i wynalazca filmowych efektów specjalnych. Gustave Eiffel, architekt tworzący dzieła z żelaza. I Raoul Razorback, zapalczywy odkrywca kontynentu umarłych.

- No dobrze, to już za nami - mówi Mata Hari, podsumowując naszą przygodę z muzami.

18

Oddalamy się od rzeźbionych w marmurze budowli, kładąc tym mym kres naszym artystycznym aspiracjom.

Nigdy wcześniej nie myślałem o sile sztuki. Fakt ujrzenia własnej możliwości w dziedzinie twórczości teatralnej otwiera przede mną ni horyzonty.

A więc jestem zdolny stworzyć mały sztuczny świat, jak w szt teatralnej.

6. ENCYKLOPEDIA: SAMADHI

W buddyzmie pojawia się koncepcja samadhi. Zazwyczaj nasze myślenie biegnie we wszystkich kierunkach. Zapominamy o tym, co aktualnie robimy, a zamiast tego myślimy o wydarzeniach dnia wczorajszego lub snujemy plany na jutro. W stanie samadhi, polegającym na całkowitej koncentracji na chwili obecnej, stajemy się panami naszej duszy. W sanskrycie wyraz „samadhi” tłumaczy się jako „stan zupełnej zdecydowania”.

W stanie samadhi doświadczenia zmysłowe nie mają żadnego znaczenia. Jest się wyłączone z materialnego świata oraz wszelkich jego runkowań. Istnieje tylko jedna motywacja: przebudzenie (nirwana). Można ją osiągnąć w trzech etapach.

Pierwszy to „samadhi bez obrazu”. Należy postrzegać swój um jako bezchmurne niebo. Chmury to nasze myśli i czy są one czar szare czy złote, zawsze zakłócają obraz nieba. Dlatego wyrzuca się stopniowo, jedną po drugiej, aż niebo stanie się czyste. Drugi etap to „samadhi bez kierunku”. Jest to stan, w którym i istnieje droga, którą chcielibyśmy podążać. Nic nas nie pociąga, i na dziedzinie. Człowiek widzi się tak, jakby był postawiony na ziemną kulę, która mimo swego kształtu i przeznaczenia nie toczy się w którą stronę.

I wreszcie etap trzeci to „samadhi pustki”. Jest to doświadczenie podczas którego wszystko wydaje się podobne. Nie ma dobra ani z rzeczy przyjemnych ani niemiłych, nie ma przeszłości, przyszłości tego, co bliskie ani co dalekie. Wszystko jest takie samo. A zatem i ma powodu przyjmować wobec czegośkolwiek innej postawy.

Edmond W

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom

7. ŚMIERTELNICZY. 14 LAT

Miasto Olimpia, stolica wyspy Aeden, świeci w ciemnościach chłodnej nocy. Kilka świerszczy wygrywa swoje pieśni w niekończącym się lecie. Świetliki tańczą w poświacie trzech księżyców. Zapach mchu świadczy, że rośliny wzywają poranną rosę.

Wróciwszy do mojej willi, nadal jestem pod urokiem muzy Talii. Tworzyć, mając u boku kobietę, która jest natchnieniem, to nowe, pasjonujące doświadczenie.

Wchodzę do wanny, by odpocząć. Myję ciało i umysł, usuwając wszystkie zewnętrzne nieczystości. Tyle wstrząsających wydarzeń spotyka mnie na tej wyspie, że muszę je regularnie z siebie zmywać, by móc o nich zapomnieć. Bałem się centaurów, syren, Lewiatana, gryfów, wielkiego oka, które wynurzyło się z niebytu. A tu proszę, urok młodej artystki okazał się jeszcze bardziej niebezpieczny.

Wycieram się, nakładam wreszcie czystą togę i wyciągnięty na kanapie oddaję się jednej z moich ulubionych czynności: obserwowaniu w telewizji losów moich byłych klientów z czasów, gdy byłem aniołem,

Na pierwszym programie Eun Bi, mała Koreanka, która mieszka w Japonii, ma już 14 lat. Chodzi do szkoły, w której uczą sztuki tworzenia manga - ujednoczonych japońskich komiksów. Istnieją dokładne standardy określające twarz, ruchy, działanie. Muszą być duże okrągłe oczy, okropne potwory, delikatny erotyzm (ale bez pokazywania zarostu). Nauczyciele cenią Eun Bi za jej zdolności w zakresie doboru kolorów i wyrafinowanych dekoracji. To prawda, dziewczyna nadal łatwo się zasmuca, jednak wtedy, gdy rysuje, czuje się wolna, a nawet udaje jej się zaznać chwil całkowitego relaksu.

Na drugim programie mieszkający na Wybrzeżu Kości Słoniowej Kouassi Kouassi uczy się grać na tam-tamie. Ojciec uczy go dostosowywać uderzenia w bęben do bicia serca. Podczas jednej z lekcji chłopiec stwierdza, że za pomocą tam-tamu może prowadzić z ojcem dialog. Wtedy odkrywa, że jego instrument to nie tylko zwykły bęben, lecz prawdziwy sposób na

porozumiewanie się bez słów. Uderza, uderza wewnętrzną stroną dłoni i coraz bardziej czuje związek ze swoim ojcem. A jednocześnie ze swoim plemieniem i przodkami.

Na trzecim programie Kreteńczyk Theotime uprawia sport. Jego klatka piersiowa robi wrażenie na przechodzących młodych turystkach. Z powodzeniem uprawia żeglarstwo, siatkówkę, a od niedawna trenuje boks.

A więc u moich ludzi nic oryginalnego. Same banały. Tak bardzo przyzwyczałem się być świadkiem dramatów oglądanych w telewizji, że zapomniałem, iż przez większość czasu w życiu nie dzieje się nic szczególnego. Przecież nie można nieustannie przeżywać kryzysu. Obecnie moi młodzi klienci pozwalają, aby czas płynął spokojnie i realizowało się ich przeznaczenie.

Ktoś puka do drzwi. Opasuję biodra ręcznikiem i idę otworzyć. Przedemną stoi wysoka postać z długimi włosami. Najpierw rozpoznaję jej zapach. Czyżby miała przeczucie, że zaczyna zajmować coraz mniej miejsca w moim umyśle? I wróciła. Na jej ramieniu spoczywa książeczka.

- Przeszkadzam? - pyta.

Af-ro-dy-ta. Bogini miłości. Absolutna doskonałość i uwodzicielskość w jednej osobie. Znowu czuję się jak dziecko. Spuszczam wzrok, ponieważ jej piękno działa na mnie jak uderzenie. Zapomniałem już, że jest aż tak wspaniała.

20

Wciągam tunikę i zapraszam boginię do środka. Siada na kan. Mój wzrok stopniowo wędruje w jej stronę i oswaja się z jej blaskiem. Czuję się, jakbym przyzwyczała oczy do patrzenia na słońce bez (nych okularów). Jej obecność przepełnia moje zmysły. W moim wnętrzu buzuje hormony. Widzę jej sandały, których złote tasiemki opasuje ją aż do kolan. Jej palce u stóp pomalowane w czerwone lezki. I prostuje nogi, unosząc czerwoną togę, moim oczom ukazują się jej. Widzę jej bursztynową skórę i złote włosy, spływające kaskadą po wonej tkaninie. Mruga powiekami, jakby bawiły ją moje uczucia.

- Wszystko w porządku, Michael?

Moje oczy delektują się widokiem czystej estetyki. Gdyby Botl wiedział, jak wygląda naprawdę, spróbowałby ją namalować...

- Mam dla ciebie prezent.

Wyjmuje z kieszeni togi papierowe pudełko z dziurkami. W środku coś oddycha. Spodziewam się, że za chwilę wyjmie stamtąd pieska kotka. Ale to, co mi pokazuje, jest o wiele bardziej zadziwiające.

To dwudziestocentymetrowe bijące serce z małymi ludzkimi sercami. Sądzę, że to rzeźba, ale kiedy go dotykam, drży. Jest ciepłe.

- Ożywiony automat? - pytam.

Afrodyta głaszcze serce po stopach.

- Ofiarowuję je tylko tym, których naprawdę kocham.

Cofam się.

- Żywe serce! Ależ to... straszne!
- To personifikacja miłości... Nie podoba ci się? - pyta zdziwio

Odnoszę wrażenie, że serce zauważyło, że coś jest nie tak, bo całe skurczyło.

- To znaczy, chciałem powiedzieć....

Afrodyta bierze ponownie serce i zaczyna je głaskać, jakby by ciakiem, którego trzeba uspokoić.

- Serca lubią być ofiarowane. Jeśli nawet ta chimera nie ma uszu czy mózgu, to posiada swoją małą świadomość. Świadomość, ca. I chce zostać przyjęte.

Mówiąc to, zbliża się powoli w moją stronę. Nie poruszam się.

- Wszystkie istoty chcą być kochane. Nic innego się nie liczy.

Bogini miłości podchodzi i przytula się mocno do mojej piersi. <

jak delikatna jest jej skóra. Tak bardzo chciałbym ją pocałować ona kładzie wskazujący palec między naszymi ustami.

- Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejszym mężczyzną - oznaj

Matczynym gestem głaszcze moje czoło.

- Kocham cię... ale nie jestem zakochana. Przynajmniej na Musiałbyś najpierw rozwiązać zagadkę.

Bierze moje dłonie i zaczyna je masować.

- Nim stałam się boginią, byłam człowiekiem. Miałam nadzwyczajnych rodziców. To właśnie oni nauczyli mnie kochać. Chciałabym między nami było coś prawdziwego, coś wielkiego, nie byle co. Prawa miłość to wielka rzecz. Jeśli chcesz, abym się w tobie zakochała, i uczynić cud. Znajdź rozwiązanie zagadki. Przypomnę ci ją: „Lepi Bóg, gorsze niż diabeł. Biedni to mają, bogaci nie. Jeśli zjesz, umr;

Całuje moje palce i kładzie na swoich piersiach. Następnie bierze serce, które zdaje się czekać, kiedy ktoś się nim zajmie.

- Przykro mi, drogie serduszko. Chyba nie podobasz się mojemu przyjacielowi.

Mruga do mnie.

- Albo też to nie ty go interesujesz.

Serce drży ze wzruszenia.

Próbuję ponownie ją objąć, lecz wyzwała się z mojego uścisku.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, możemy pójść do łóżka, jednak będziesz miał tylko moje ciało, nie duszę. I myślę, że będziesz bardziej zawiedziony niż szczęśliwy...

- Jestem gotów na wszystko - odpowiadam.

- Naprawdę na wszystko?

- Wiem, że może mnie pani zniszczyć, ale nawet to jestem w stanie zaakceptować.

Spogląda na mnie na wpół rozbawiona, na wpół zdziwiona.

- Wielu mężczyzn umarło z rozpaczyny lub popełniło samobójstwo z mojego powodu. Ale tobie nie chcę zrobić krzywdy. Wręcz przeciwnie.

Oddycha głęboko.

- Teraz jesteśmy złączeni na zawsze. Na koniec, o ile będziesz się dobrze zachowywał, nastąpi może moment wielkiej ekstazy.

Po tych słowach wstaje, podchodzi, przytula mnie do siebie, bierze swoje żywe serce i wychodzi.

Pozostaję oszołomiony. Potem rodzi się w mojej głowie dziwna myśl: a jeśli to serce należało do jednego z jej porzuconych kochanków?

Do jednej z tych istot, które „kocha, lecz w których nie jest zakochana”? Moje policzki stają się purpurowe. Czuję, jak parzą. Nigdy nie czułem się tak zmieszany. To naprawdę ona jest gorsza niż diabeł i silniejsza niż Pan Bóg... a jeśli jej skosztuję, umrę.

Aż podskakuję, słysząc kolejne pukanie do drzwi. To Freddy. Włosy w nieładzie, przerażona twarz. Z ledwością udaje mu się wyjąkać:

- Szybko. Marilyn zniknęła...

Podrywam się. Stawiamy na nogi wszystkich sąsiadów i przyjaciół. Wszyscy pomagają jej szukać. Przemierzamy ulice i uliczki Olimpii, dzielnice, w których nigdy nie byłem. Cherubinki, satyry i centaury przeszukują z nami zarośla.

- Marilyn, Marilyn!

Znowu pojawia się to przecucie, które miewałem, kiedy byłem człowiekiem, na widok plakatów przedstawiających zaginione dzieci, małe dziewczynki lub chłopców sztucznie postarzonych przez komputerowy wydruk z numerem telefonu u dołu, pod który można dzwonić do rodziców. W radiu, na ekranach telewizorów rodzice błagali porywaczy o wieści

na temat swoich dzieci. A potem wszystko przycichało. Nie mówiono już o dzieciach, plakaty na ścianach niszczały coraz bardziej, czas mijał i zapomniano o tym, co się wydarzyło.

- Marilyn, Marilyn!

Przeczესujemy całe miasto. Kiedy jestem przed wysoką jabłonią, stojącą na głównym placu, zauważam niewielką istotę. To cherubinka,

22

którą nazywam Smarkaczką. Dziewczyna-motył, wysoka zaledwie dwadzieścia centymetrów, trzepocze nerwowo swoimi długimi skimi skrzydełkami. Po raz kolejny próbuje mi coś wyjaśnić za gestów. Chce, bym poszedł za nią. Kierujemy się w stronę północy ogrodu. Wielkie rzeźbione fontanny z pomrukiem wylewają swą wodę w kolorze miedzi.

- Wiesz, gdzie jest Marilyn?

Smarkaczka łopocze skrzydełkami. Idę za nią. Dziwna i jedna z pierwszych, jakie spotkałem w Aedenie. Pewnego dnia spróbowałem zrozumieć więź, jaka łączy mnie z tą motylem.

Mijamy kilka ogrodów. I nagle zauważam sandał wystający mieczyków. Jego przedłużeniem jest kobieca stopa. Dalej noga i zgięta ręka, skierowana ku niebu. Dźwięk, jaki wydaje z siebie, bardziej przypomina charczenie zwierzęcia niż człowieka.

Klękam, odwracam ją i widzę w brzuchu wielką ziejącą ranę., czuć zapach spalenizny. Ile razy ta dusza będzie zabijana?

W pobliżu nie ma nikogo. Jestem tylko ja i cherubinka. Biorę gałąź i zapalam za pomocą mojego ankh, robiąc w ten sposób pocóż w jej blasku twarz kobiety, która była prawdopodobnie najślawiejszą aktorką wszech czasów, wywierając na mnie wstrząsające wrażenie nie było za późno. Wzywam pomoc.

- Jest tutaj, chodźcie! Tu!

Wymachuję zapaloną gałęzią. Aktorka otwiera oczy, nie jest nieszczęśliwa. Spogląda na mnie, uśmiecha się i bełkocze:

- Michael...

- Uratujemy cię. Nie martw się - mówię.

Nie śmiem patrzeć na jej wielką ranę. Uśmiechając się z trudem mruczy coś cicho.

- Z miłością do szpady... z humorem do tarczy.

- Kto ci to zrobił?

Chwyta moją dłoń i trzyma kurczowo.

- Bo... bogobójca...

- Tak, bogobójca. Ale kto to jest?

-To... to...

Cichnie i spogląda na mnie swoimi dużymi oczyma. Wreszcie cze, wydając ostatnie tchnienie:

-L...

Zaraz potem jej wzrok gaśnie, ręka puszcza moją dłoń i opad zamykają się na zawsze.

Wokół nas gromadzą się ludzie. Jest też i Freddy. Obejmuj swojej przyjaciółki.

- NIEEEEE!!!

W jego ramionach Marilyn jest już tylko szmacianą lalką.

- Zdażyła podać ci nazwisko mordercy? - pyta Raoul.

- Wypowiedziała tylko jedną literę: „L”...

- Podobnie jak Bernard Palissy... - zauważa Mata Hari.

Raoul wzdycha.

„L” może znaczyć wszystko. Diabła, boga¹. A może to jakaś „elle”²

- może to kobieta?

- „El” to także po hebrajsku Bóg - zauważa Georges Melies.

- A może to miało być „aile”³? - sugeruje Sarah Bernhardt.

To dziwne, że śmierć Marilyn nie dotknęła mnie tak bardzo. Być może dzieje się tak dlatego, że od śmierci mojego mistrza, Edmonda Wellsa przyjąłem do wiadomości, że wszyscy zostaniemy w końcu zabici, jeden po drugim. „Tu, na dole, nic nie trwa wiecznie”...

- Odejmuwanie: $84 - 1 = 83$. W szeregach zostało już tylko 83 uczniów. Na kogo teraz kolej?

To słowa Josepha Proudhona. Ale my nawet nie zwracamy na niego uwagi.

- Znajdźmy coś, co łączy wszystkie ofiary - proponuje Mata Hari.

- To proste - oświadcza Raoul. - Za każdym razem mordowani są najlepsi uczniowie. Beatrice, Marilyn... Zostały zabite po tym, jak znalazły się w zwycięskiej trójce.

- W czym interesie leży zabijanie dobrych uczniów?

- Tych, którzy są słabi - odpowiada natychmiast Sara Bernhardt, wskazując francuskiego anarchistę, który oddał się, nie wykazując żadnego smutku.

Kiedy byłem śmiertelnikiem w moim ostatnim wcieleniu na Ziemi 1, pamiętam, jak w liceum grupa najgorszych uczniów czerpała przyjemność, wyzywając się na najlepszych w klasie. Chcąc ich pobić, zabierali ich w ustronne miejsce. Nauczyciele nie interweniowali, obawiając się przebicia opon w samochodzie, a nawet ataku ze strony bandy. Woleli nawet stawiać prowokatorom dobre stopnie. To były „szkodliwe rządy”. Ustępuje się, aby zyskać spokój.

- Albo też dobry uczeń, który za wszelką cenę chce być pierwszy i wygrać - oznajmia Mata Hari. - Zabija wszystkich, którzy stoją mu na drodze do ostatecznego zwycięstwa.

- Kto ma aktualnie najlepsze wyniki?

Mata Hari przypomina sobie, kto ostatnio stanął na podium.

- Clement Ader jest na czele, po nim ja ex-aequo z...

- Proudhonem - mówi Raoul.

Nazwisko anarchisty dźwięczy w naszych głowach. Nie wyglądał na przejętego, kiedy rzucił swoje „Odejmuwanie...”.

- Nie, oskarżenie go byłoby zbyt proste - ripostuje Georges Melies.

- Skoro eliminuje innych graczy podczas danej partii, to po co miałby ryzykować, zabijając ich poza grą?

Uderzenie skrzydeł w górze sprawia, że podnosimy głowy. To Atena na swoim skrzydlatym rumaku ląduje na ziemi, zeskakuje z konia, a jej sowa wzlatuje ponad głowami naszej grupy. Milkniemy. Bogini sprawiedliwości mówi głośno i stanowczo.

- Po raz kolejny bogobójca zadrwił z nas! I znowu gniew bogów jest wielki! - krzyczy.

1 Franc.: diabeł - le diable, bóg - le dieu.

2 Elle - wym. „el” - ona (przyp. tłum.).

3 Aile - wym. „el” - skrzydło (przyp. tłum.).

24

Podchodzi do trupa, a w tym samym czasie pojawiają się c odpychają obejmującego ciało ukochanej Freddy'ego i podnoś lyn Monroe. Kładą zwłoki na noszach i szybko przykrywają.

- Dla znajdującego się wśród was mordercy dźwiganie świa łasa byłoby zbyt łagodną karą. Atlas w końcu się do tego przy; Jest jeszcze gorsza kara. Szukałam i znalazłam: winny będzie na męki Syzyfa. I tak jak on dźwigał będzie wiecznie swoją ski nego na drugi stok góry.

Przez grupkę zgromadzonych przebiega szmer.

Pamiętam, że z tego pomysłu skorzystali naziści, torturując teczną pracą. W obozach koncentracyjnych zmuszali ludzi do w kółko ciężkich betonowych walców albo kazali przekładać c wielkich kamieni tylko po to, aby potem przenieść je w to samo Każde działanie, nawet uciążliwe, jest do zniesienia, o ile mają Jednak jeśli jest pozbawione sensu...

- Będziecie mieli okazję ujrzeć tę karę z bliska. Wasze główri są już skończone. Teraz spotkają się z wami dodatkowi nau Pierwszym z nich będzie właśnie Syzyf.

To powiedziawszy, bogini dosiada swojego Pegaza i odlatu runku szczytu Olimpu. Obok mnie Freddy nie może otrzą z szoku po utracie narzeczonej. Chwieje się na nogach. Musinr trzymać.

- Nie martw się - szepce Raoul - odnajdziemy ją.

Rabin nie reaguje, a mój przyjaciel tłumaczy, że o tej pon ka jest już zapewne chimerą. Lirogonem, jednorożcem lub jednak na pewno nie opuściła wyspy. Tutaj, zgodnie z zasadą Antoine'a Lavoisiera, „nic nie ginie, nic się nie tworzy, wsz] przekształca”.

8. ENCYKLOPEDIA: WIZJA

Gdyby całą historię ludzkości sprowadzić tylko do krótkieg< tygodnia, jeden dzień odpowiadałby 660 milionom lat. Wyobraźmy sobie, że nasza historia rozpoczyna się w poni o godzinie zero, kiedy to Ziemia wynurza się jako ciało stale cie kuli. W poniedziałek, wtorek i środę rano nie dzieje się w środę w południe zaczyna pojawiać się życie, przybierają bakterii.

W czwartek, piątek i sobotę przed południem bakterie mnożą woli zaczynają się rozwijać.

W sobotę po południu, około godziny szesnastej pojawiają się] dinozaury, które wyginą pięć godzin później. Jeśli chodzi o n sze i najsłabsze formy zwierząt, zaczynają rozprzestrzeniać kiem samowolnie, pojawiają się i giną, pozostawiając po sol kilka gatunków ocalałych przypadkiem z katastrof naturalnj że w sobotę, trzy minuty przed północą pojawiłby się człowiek

sekundy przed północą powstałyby już pierwsze miasta. Jedną czterdziestą sekundy przed północą człowiek zrzuciłby bombę atomową i oddalił od Ziemi, aby postawić stopę na Księżycu. Wydaje nam się, że mamy długą historię, ale tak naprawdę istniejemy jako „nowoczesne, rozumne zwierzęta” dopiero od jednej czterdziestej sekundy przed końcem tygodnia naszej planety.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

9. SEN O DRZEWIE

Przebudzenie jest trudne. Tej nocy śniło mi się, że jestem na zatłoczonej ulicy Nowego Jorku, popychany przez idących i biegających we wszystkie strony ludzi. Pytałem przechodniów: „Czy ktoś wie? Czy ma ktoś jakieś informacje na mój temat? Kto z was wie, kim jestem i co tu robię?”. Wdrapawszy się na dach jednego z samochodów, krzychałem: „Kto z was wie,

kim jestem i dlaczego istnieję, zamiast być niczym?". Ktoś zatrzymał się i zawołał: „Nic nie wiem o tobie, ale może ty wiesz coś o mnie?". A potem kolejne osoby pytały się nawzajem: „Nie wiesz, kim jestem? A ty? Może ty wiesz? Nie wiesz, co tu robimy? Kto sprawia, że nie docierają tu żadne informacje?". Wtedy pojawił się Edmond Wells i powiedział: „Odpowiedź znajdziesz w drzewie". I wskazał na wysoką jabłoń w Olimpii. Podszedłem do drzewa, dotknąłem kory i poczułem, że zostałem wessany do jego wnętrza, gdzie zamieniłem się... w białe soki. Płynąłem aż do korzeni, rozkoszując się mikroelementami, potem wróciłem do pnia, następnie przez korę wpłynąłem do konarów drzewa, dotarłem do samych liści, rozlewając się po zielonych żyłkach i chwytając światło. Po chwili poczułem, że wypełniam całe drzewo, nadal stanowiąc jego soki. Wy płynąłem z korzeni i dosięgnąłem najwyższej położonych i najcieńszych gałązek.

Połączenie obrazów. Soki zaczęły się przekształcać w grudkowatą maź, następnie w komórki, potem w ludzkość. Widziałem, że korzenie drzewa to jego przeszłość, a cienkie gałęzie - przyszłość. Płynąłem w konarach, czując że poruszam się w wielu możliwościach ludzkiej przyszłości. Przemieszczałem się w tę i z powrotem, raz do pnia, to znów wracałem do gałęzi, za każdym razem obserwując, jak zmienia się możliwa przyszłość. I widziałem konsekwencje każdej zmiany. Owoce przekształcały się w kule kolejnych światów, przypominające trochę miniaturowe kule ziemskie, które widziałem w domu Atlasa.

Budzę się i przecieram oczy. Dziwny sen. Czuję się wyczerpany. Dziś rano nie mam ochoty iść do szkoły. To już nie ten wiek, żeby chodzić na lekcje. Wracam myślami do wczorajszego wieczornego spotkania z Afrodytą. Rozumiem już, dlaczego tylu mężczyzn zdołała oczarować ta skomplikowana istota, zamieniając ich w swoich niewolników. Nie, muszę myśleć o czymś innym. Postanawiam zostać w łóżku i znowu zasnąć.

26

Ledwie zamknąłem oczy, znowu znalazłem się wewnątrz d zamieniony w jego soki. Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk, ranne bicie dzwonów. Jaki dzisiaj dzień? Sobota. Jutro niedziela w programie mamy poranne leniuchowanie.

Decyduję się wstać i powłócząc nogami, podchodzę do lustri bladej jak ściana facet ze śladami zarostu na policzkach to ja. j dobudzić, myję twarz zimną wodą, a potem wykonuję wszystkie dzienne czynności: biorę prysznic, golę się, zakładam togę... Nai idę na śniadanie do Megaronu. Kawa, herbata, mleko, dżem, r< drożdżówki, tosty... Freddy siedzi cicho. Wygląda, jakby na c kał.

- Co się stanie z ludem kobiet-os bez Marilyn Monroe? - pyt Hari.
- Co się stanie z nami wszystkimi? - dodaje Sarah Bernhardt ko Marilyn potrafiła zatrzymać Proudtona. Jego armia jest liczy brze wyszkolona. Napadnie na nas wszystkich po kolei.

Gustave Eiffel i Sarah Bernhard po raz kolejny mówią o ze przymierza, które pozwoliłoby zwyciężyć wojska anarchisty. Ra daje się zmartwiony.

- Jeśli ludzie-orły zostaną zaatakowani w moich górach, bę siał stawić opór wrogowi. Ciskając kamienie lub niszcząc drog przełęcze. Ale nie mogę zejść na dół, by walczyć z hordami Prot Zwłaszcza po tym, jak przyjął strategię wysyłania na pierwszą li wolników, by to na nich spadał grad strzał przeciwnika.

- Skąd Proudhon wygrzebał tę taktykę?

- Zdaje się, że dowódcy chińskich wojsk w czasach średni« używali już ludzi jako mięsa armatniego - odpowiadam, gdyż c

0 tym w Encyklopedii. - Karmili ich tylko tyle, aby mieli siłę prz następnej bitwy. A następnie stawiali ich na pierwszej linii w ch rze żywych tarczy.

- Musieli nimi pogardzać - wzdycha Sarah Bernhardt.

Omawiamy strategię. Ludzie-konie Sarah Bernhardt i ludzi«

sy Georges'a Mélièsa znajdują się zbyt daleko od terenu, na grasują ludzie-szczury Proudhona. Nie ma więc sensu zmusza« wyczerpującego marszu tylko po to, aby utworzyć jedną wielką

- Pamiętajmy, że głównym zmartwieniem Proudhona są kobi Zanim sobie z nimi poradzi, my znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- A jeśli zawładnie całą planetą? - pyta Gustave Eiffel.

Sarah Bernhard odpowiada sucho:

- Wtedy dla kobiet świat będzie jednym wielkim niewolnictw dzieliście, w jaki sposób ludzie-szczury traktują swoje kobiety, córki?

- A jak traktują obcych... - dodaje Georges Méliès.

- Co za pełen sprzeczności człowiek - zauważa Mata Har początku Proudhon zachwala istnienie świata „bez boga i m a jednocześnie zaczyna narzucać planetarną tyranię opartą na pr

1 kastowości.

- To zasada leczenia zła złem - przypomina Georges Méliès.

- On walczy z faszyzmem, stosując faszystowskie metody: przemoc, kłamstwo, propagandę - dodaje Sarah Bernhardt.

- Gra polityczna to nie jest postawienie na jednym końcu skrajnej prawicy, a na drugim skrajnej lewicy, jak się często uważa, ale zazwyczaj połączeni ekstremiści stają wspólnie przeciwko centrum - mówi Georges Melies. - Zresztą, „ekstremiści" mają często tę samą klientelę: zazdrosnych, zgorzkniałych nacjonalistów, reakcjonistów i, pod przykrywką „nadrzędnych wartości", stosują te same metody, co uzbrojone bandy, bezinteresowną przemoc, demagogię i kłamliwą propagandę.

Nikt nie śmie zaprzeczyć jego słowom, ale czuję, że nie wszyscy myślą tak samo. Zwłaszcza Raoul, który zawsze uważał, że centrum jest zbyt miękkie i aby je zbudzić, potrzebne są twarde flanki.

- Nawet wartości uznawane przez partie ekstremistyczne są do siebie podobne - stwierdza Sarah Bernhardt. - W zasadzie zawsze zaczyna się od usunięcia kobiet z życia politycznego. To pierwszy sygnał. Potem przychodzi kolej na intelektualistów i tych wszystkich, którzy mogliby przeciwstawić się władzy.

Obserwujemy siedzącego samotnie Proudhona. Wygląda, jakby koncentrował się na nadchodzącej partii.

10. MITOLOGIA. SYZYF

Jego imię oznacza „bardzo mądry człowiek”. Syn Eola, mąż jednej z Plejad, Merope (która z kolei jest córką Atlasa). Jest również założycielem miasta Korynt.

Jego ludzie kontrolowali wody w pobliżu Koryntu. Napadali na statki i żądali okupu od podróżnych. Stworzyli w ten sposób wojenny skarbiec Koryntu, rozpoczynając okres świetności miasta. Po okresie piractwa Syzyf przechodził stopniowo do żeglarstwa i kupiectwa. Pewnego dnia Zeus chciał odszukać w Koryncie Eginę, córkę rzeczno boga Azoposa, której porwanie zlecił. Syzyf zdradził wszystko zaniepokojonemu ojcu, który w nagrodę podarował mu wiecznie tryskającą fontannę. Jednak Zeus nie wybaczył mu zdrady. Nakazał bogu śmierci Tanatosowi ukarać Syzyfa, skazując go na wieczne męczarnie. Kiedy zaopatrzone w kajdany Tanatos zjawił się u Syzyfa, przebiegły król kazał bogu śmierci wypróbować, czy są wystarczająco mocne, żeby go uwięzić. Skutek: to bóg śmierci został zakuty w kajdany i uwięziony w Koryncie. A królestwo umarłych wyludniło się podczas jego nieobecności.

Coraz bardziej rozgniewany Zeus wysłał boga wojny Aresa, aby uwolnił boga umarłych i schwytał przebiegłego władcę Koryntu. Jednak Syzyf nie poddał się tak łatwo. Udał, że zgadza się z decyzją Zeusa, lecz zanim zszedł do królestwa umarłych, polecił swej żonie, aby nie pochowała jego zwłok. Po zejściu do Hadesu otrzymał zgodę na powrót na trzy dni do świata żywych i ukaranie wdowy za to, że nie urządziła mu pogrzebu.

28

Znalazłszy się w Koryncie, postanowił nie wracać do Hade razem Zeus skorzystał z pomocy Hermesa, który sprowadzi siłą do krainy cieni. Sędziowie Podziemia uznali, że za tyle nieszczęść należy mu się szczególna kara. Został więc skazany cjalnie dla niego wymyślone tortury: odtąd miał toczyć ogro mień w górę zbocza, a kiedy był już na szczycie, głaz spadał z strony góry i całą pracę trzeba było zaczynać na nowo. Kiedy próbował odpocząć, Erynia, córka bogini nocy Nyks oraz B przywoływała go do porządku uderzeniem bata.

Edn

Encyklopedia, tom V (według Francisa E oraz Teogonii Hezjoda, 700 r. przed Ch

11. ZNACZENIE MIAST

Uliczki Olimpii zaczynają się ożywiać. Na niebie fruwa kilki przypominających wielkie miejskie gołębie. Z tą różnicą, że te nie potrafią gruchać.

Osiemdziesięciu trzech ubranych w białe togi uczniów, czyli ci, którzy przetrwali, spotyka się, pozdrawia, uspokaja wzajemi

Ustawiamy się w długi rząd i kierujemy w stronę Pól Eliz aby wziąć udział w kolejnych zajęciach. Jednak drzwi są zamknięte. Przychodzi Hora i prowadzi nas w stronę dzielnicy zamieszkaną bogów pomocniczych, w południowej części Olimpii.

To dzielnica, którą mało znam. Domy zbudowano w bardziej widualizowanym stylu. Nie mają takiego charakteru jak pałace jednak są bardziej oryginalne niż domy, w których mieszkają wie. Są tu budynki o klasycznych bryłach, które na pierwszy rzutek przypominają wieżowce. Muszę przyznać, że do zarządzania takim miastem potrzeba sporo personelu.

Hora prowadzi nas przed zbudowane w stylu korynckim domy przypominające imponującą antyczną willę. Boki budynku ozdobione marmurową kolumnadą oraz złotymi rzeźbami. Płaskorzeźby na ścianach przedstawiają duże miasta, starożytne lub nowoczesne.

Przekroczony próg, wchodzimy do klasy, której ściany pomalowane na ceglany kolor. Na półkach stoją niewielkie makietki miast z różnych epok i miejsc.

Na prawo widzę dużą makietkę. Z miniaturowymi pagórkami mi przypomina platformę elektrycznej kolejki dla dzieci. Po lewej, pod szklaną kopułą wznoszą się kolumny. Na ścianach powieszono plany miast różnej wielkości.

Dobiega nas odgłos przesuwanej kuli. Wychodzimy. W stronę zbliża się człowiek, popychając przed sobą wielki kamień. Uskrzydłona mała kobieta o czarnych włosach i kłębki włosów nad jego głową, uderzając go batem.

Po wejściu do sali zdetronizowany król Koryntu odkłada swój ciężar. Erynia zgadza się zwolnić go chwilowo z wykonywania pokuty. Syzyf dziękuje jej za to, następnie kieruje się w stronę katedry, powłócząc nogami. Siada zmęczony i połamanej togą wyciera spływające z czoła krople potu. Jego ciało pokrywają ślady uderzeń.

- Wybaczenie - rzuca w naszym kierunku, łapiąc oddech.

Przez kilka chwil Syzyf spogląda na nas z grymasem zmęczenia na twarzy, który następnie zamienia się w uśmiech.

- Cieszę się, że was widzę. Dzięki wam trochę odpocznę.

Jedna z uczennic chce mu podać szklanekę wody ze stojącego w sali dystrybutora, lecz Erynia każe jej wrócić na miejsce. Nowy nauczyciel radzi nam, abyśmy nie podejmowali tego rodzaju inicjatyw.

- No dobrze, nazywam się Syzyf i jestem nowym nauczycielem w Aedenie.

Zgodnie ze zwyczajem zapisuje swoje imię na tablicy.

- Nie jestem bogiem-mistrzem, lecz bogiem pomocniczym i zajmiemy się wspólnie bardzo istotnym pojęciem w boskim zawodzie: pojęciem miasta.

Gwiżdże na palcach. Znowu słyszymy dobiegający z zewnątrz hałas. Wchodzi Atlas, dysząc ciężko. Na ramionach dźwiga potężną kulę trzymetrowej średnicy, która jest naszym roboczym światem. Ziemią 18.

W tej szklanej kuli znajduje się planeta, na której mieszkają nasze ludy. Ziemia 18. Jeśli nawet jest tylko trójwymiarowym odbiciem jakiejś prawdziwej planety, krążącej gdzieś w kosmosie, to i tak wszyscy odczuwamy wzruszenie, widząc ponownie „naszą Ziemię” pokrytą oceanami, kontynentami, lasami, górami, jeziorami, pełną maleńkich ludzi. Chcemy jak najszybciej jej się przyjrzeć, używając do tego lupy naszych ankh.

Olbrzym postawił swój ciężar na podeście i przetarł czoło ręką. Dołączył do niego Syzyf. Uścisnęli się, a w ich spojrzeniach widać było smutek. Zapewne obydwaj mają uczucie, że padli ofiarą niesprawiedliwości, ale zgodzili się grać swoje role.

- Bądź silny, mój chłopcze - mówi olbrzym.

Przez klasę przebiega szmer. Cieszymy się na widok planety, na której tłoczą się nasze ludzkie stada. I jesteśmy ciekawi, co im się przydarzyło tej nocy, kiedy pozostawiono ich samym sobie.

Syzyf spogląda na wychodzącego olbrzyma, który masuje sobie obolały krzyż. Potem bóg pomocniczy otwiera szufladę biurka i wyjmuje z niej swój ankh. Włącza zawieszony nad planetą reflektor i dokładnie przygląda się naszemu „dziełu”. Wchodzi na taboret, aby znaleźć się na wysokości równika.

- Majonez zaczyna gęstnieć - stwierdza wreszcie. - Jednak nie wygląda to na planowe działanie bogów, zwłaszcza te szybkie wojny oraz byle jakie religie.

Mieliśmy nadzieję usłyszeć w jego słowach więcej entuzjazmu.

- Niewielu z was zadało sobie trud opracowania ogólnej i długofalowej strategii. Widzę tu tylko cywilizacje, które powstały jako reakcja na strach...

30

Przez zgromadzonych przebiega szmer.

- A jak pozbyć się strachu?

Syzyf czeka na odpowiedź, jednak po chwili decyduje się vi sam.

- Łącząc się, ochraniając się wzajemnie, jednocząc swoje którzy z was już to zrobili, jednak te wspólnoty są dopiero na drogi. Dlatego najpierw opowiem wam o najważniejszej kona rej będziecie potrzebować w dalszej części gry.

Zapisuje w cudzysłowie na tablicy: „Miasto”.

- Streszczenie poprzednich wątków. Najpierw poznaliście koczownicze, potem żyjące w jaskiniach, dalej plemiona mi w kilku położonych obok siebie szałasach, następnie we wsadzonych drewnianą palisadą osadach, potem otoczonych murem grodach. Teraz zaś możemy pomyśleć o budowie dużych miast.

Na tablicy pojawia się kolejny wyraz: „Cywilizacja”.

- Wyraz „cywilizacja” pochodzi od łacińskiego słowa *ciuis*, < sto. Uznano, że człowiek stał się istotą cywilizowaną z chw zaczął budować miasta. Na przykład Mongołowie nigdy tego i dlatego nie stosuje się tak naprawdę pojęcia „cywilizacja moi Wrócimy do tego za chwilę.

Syzyf zajmuje z powrotem miejsce za biurkiem i marszczy i

- Zaczniemy od przyjrzenia się miastom, które już u waszy istnieją, i spróbujmy określić, które z nich znajdują się w n pełnego rozkwitu, które w stagnacji, a które przeżywają swój i

Pochyleni nad Ziemią 18, z okiem przyklejonym do ankh, powierzchnię planety w poszukiwaniu aglomeracji miejskich, sza jest z pewnością stolica królestwa ludzi-skarabeuszy Cleme ra. Potem ludzi-wielorybów Freddy'ego Meyera. Dwa wspaniał pełne zabytków i ogrodów. Dzięki wielkim magazynom wype zbożem ich mieszkańcy nie obawiają się głodu.

- Z pewnością zauważyliście, że początkowo większość mic wano wysoko - stwierdza nauczyciel pomocniczy. - Wiecie, dla

- Bo jest tam czystsze powietrze... - stwierdza Simone Sigr

- Ponieważ wysokość daje lepszą ochronę przed najeźdźcy Raoul, który sam założył swoją stolicę wysoko w górach.

Syzyf kręci głową.

- To prawda, lecz, jak widzicie, z czasem ten wybór zawie w górach miast okazuje się ślepą uliczką. Dlaczego?

Henri Matisse, bóg ludzi-słoni, podnosi rękę.

- Jest tam zimno.

- Nie można poszerzyć raz wzniesionych murów miejskich dowa miasta na planie poziomym nie jest możliwa, choćby ze na potoki - mówi Haussmann.

Syzyf potakuje, a następnie celuje swoim ankh w miasto h ków Maty Hari. Jego mieszkańcy wskutek wzrostu populacji wybudować domy poza miastem. Następnie w celach obronnych dowali drugą wstęgę murów. Miasto otaczają strome stoki, na

nie można już nic zbudować. Tym samym niemożliwa jest dalsza jego rozbudowa.

- Co jeszcze?

- W przypadku inwazji mieszkający w dolinie chłopci uciekają schronić się w murach miasta, a tym samym zostawiają swoje pola, które, nie będąc przez nikogo chronione, szybko zostają złupione i zniszczone - mówi Sarah Bernhardt.

- Myślcie dalej, proszę... - zachęca nas były władca Koryntu.

- Żywność i wodę trzeba wnosić do miasta na ludzkich plecach lub transportować na osłach. A więc miasto uzależnione jest od świata położonego w dolinie - stwierdza Raoul, bóg ludzi-orłów, których gród jest szczególnie niedostępny.

-I...?

- Pośrednicy oraz tragarze żądają dużych sum za transport. To, co w dolinie kosztuje 10, w górze warte jest 50.

Maria Curie przyznaje, że znane jej są te problemy i myśli o tym, aby otoczone przepaściami miasto ludzi-iguan przenieść na dół.

- Tak więc widzimy ograniczenia, jakie dotyczą miast zbudowanych w górach... Jak zatem sądzicie? Które miasta czeka piękna przyszłość?

- Położone w lesie - sugeruje Jean-Jacques Rousseau, bóg ludzi-in-dyków.

Szyf kręci przecząco głową.

- Czasy zbieractwa i polowań minęły - przypomina nauczyciel pomocniczy - las będzie utrudniał transport produktów żywnościowych, a drzewa zasłonią nadchodzącego wroga.

- Ale drewno do budowy domów jest tanie - broni się zainteresowany.

- Wkrótce doświadczycie pierwszych wielkich pożarów i zrezygnujecie z budowy drewnianych domów. Jeśli chodzi o materiał budowlany, już lepiej osiedlić się w pobliżu kamieniołomów.

Szukamy dalej.

- Może miasta położone na nizinach - podpowiada Wolter, najwyraźniej nie chcąc pozostać w tyle.

- Szybko padną łupem konnych bandytów. Zresztą, widzieliście już, że większość miast położonych na nizinach została z łatwością znaleziona i zaatakowana przez najeźdźców.

- To może miasta położone nad brzegiem morza - proponuje Edith Piaf.

- To oczywiste, że trudno okrążyć miasta usytuowane na wybrzeżu, ale z kolei mogą zostać zaatakowane przez piratów. Ich mieszkańcy muszą nieustannie kontrolować linię horyzontu.

Nie odzywam się, jednak nadal pamiętam przybyłych z nizin najeźdźców i to, że morze było jedyną drogą ucieczki.

Bruno, bóg ludzi-sokołów, przyznaje, że darzy zaufaniem miasta położone w samym sercu pustyni.

- Na pustyni z daleka widać zbliżającego się nieprzyjaciela. I w dodatku podczas oblężenia nie uzupełni on ani zapasów żywności, ani wody.

32

- Lecz oblężeni równie szybko poznają, co to głód - odparowuje Syzyf. - Co więc zrobić, żeby miasto było dobrze chronione, spokojne i nie krępowały go ani góry, ani morze, ani też pustynia?

Podnoszę rękę.

- Zbudować miasto na wyspie - mówię.

- Nie, wyspa jest odizolowana od świata, a to hamuje rozwój handlu oraz zwiększa ryzyko zawierania małżeństw między bliskimi krewnymi. Wyspa to zbyt zamknięty świat. Ale idziecie w dobrym kierunku. Może nie wyspa na pełnym morzu, lecz...

- ...położona na rzece - sugeruje Mata Hari.

Były król Koryntu potakuje.

- Dokładnie. Wyspa na rzece... Dowody na to znacie z Ziemi 1.

Rozkłada mapę Francji, pokazuje Paryż, miasto założone na wyspie,

podobnie jak Lyon, Bordeaux, Tuluza...

- To są miasta francuskie, ponieważ wasz rocznik pochodzi z Francji, lecz równie dobrze moglibyśmy tu wymienić Londyn, Amsterdam, Nowy Jork, Pekin, Warszawę, Sankt Petersburg, Montreal... Praktycznie wszystkie duże miasta na Ziemi 1 zostały założone na wyspach położonych na środku rzeki.

Rysuję na stole kontury wyspy leżącej na rzece. W tej samej chwili dostrzegam napis, który swoim ankh wyrył najprawdopodobniej jakiś uczeń z poprzedniego rocznika: Ratujmy Ziemię 1, to jedyna planeta, na której można dostać czekoladę.

Przez chwilę moje myśli biegną gdzie indziej, ale zaraz koncentruję się na nowo.

- Jaki cel przyświeca zakładaniu miast na wyspie położonej na środku rzeki?

- Woda stanowi naturalną ochronę. Nie pokonają jej konie. Atak piechoty też nie jest możliwy - mówi pragmatycznie Raoul.

Podnoszą się inne ręce.

- Trudno oblegać miasto położone na wodzie.
- Ludności nie zabraknie wody.
- Ponieważ woda płynie, nie można jej zatruć.
- Rzeka ułatwia ucieczkę w przypadku zagrożenia - przypomina Sarah Bernhardt.

Inny uczeń uzupełnia:

- Podczas oblężenia najeźdźcy muszą dokładnie kontrolować bieg rzeki, bo zawsze mogą znaleźć się statki, którym uda się prześliznąć i dostarczyć oblężonym żywność, posiłki, a w najgorszym wypadku uratować ich przywódców.
- Pomyślcie o czymś innym niż wojna - mówi Syzyf.
- Można robić pranie - rzuca Edith Piaf.
- Rzeka ułatwia transport artykułów spożywczych, a zatem rozwój handlu - twierdzi Rabelais. - Położone na rzece miasto może nakładać opłaty na statki handlowe, czyli cło.

Nauczyciel pomocniczy z aprobatą kiwa głową.

- Można wysyłać ekspedycje w poszukiwaniu nowych obszarów bogatych w surowce, terenów do podbojów lub handlu - dodaje Rousseau.

33

- Dzięki handlowi rzeczemu oraz opłatom miasto wzbogaci się i jeśli będzie chciało, może zawierać przymierza lub werbować najemników. Może właśnie dlatego w herbie Paryża jest okręt należący do związku przewoźników rzecznych - przypomina Hausmann. Widać, że zna historię miasta, w którego przebudowie uczestniczył.
- Ponieważ nie jest już ograniczone murami, stopniowo będzie rozszerzać swoje granice, zajmując coraz więcej terenów nadbrzeżnych - zauważa Eiffel, który również ma w pamięci rozwój francuskiej stolicy, coraz bardziej wykraczającej poza brzegi Sekwany, by w końcu objąć swym zasięgiem cały obszar Basenu Paryskiego.

Syzyf prosi o ciszę. Wychodzi do sąsiedniego pokoju i przynosi stamtąd ustawione na wielkich tacach makiety miast. Stawia je na swoim biurku i zachęca, byśmy się im przyjrzeni. Każde miasto ma swoją etykietkę. Zauważamy, że mamy przed sobą miniaturowe modele głównych starożytnych metropolii z Ziemi 1: Aten, Koryntu, Sparty, Aleksandrii, Persepolis, Antiochii, Jerozolimy, Teb, Babilonu, Rzymu... Nauczyciel każe nam znaleźć mocne i słabe strony każdego z miast, sprawdzić, czy ulice są wystarczająco szerokie, czy place usytuowano w odpowiednich miejscach.

- Plac targowy stanowił zawsze serce miasta, dlatego muszą prowadzić do niego szerokie aleje - podsuwa nam pierwszą wskazówkę.

Następnie pokazuje inną strefę.

- Targ jest często połączony szeroką drogą z magazynami, silosami i miejscami, gdzie gromadzi się zapasy żywności, które powinny znajdować się na obrzeżach miasta, aby wyładowane wozy nie musiały do niego wjeżdżać i zakłócać tym samym ruchu miejskiego.

Szyf wskazuje newralgiczne punkty.

- Miasto należy postrzegać jak wielki żywy organizm, który potrzebuje żywności, przetwarza ją, wchłania i... wydala ekskrementy.

Obraz wydaje się nie pozbawiony sensu. Szyf ciągnie dalej:

- Brama wjazdowa do miasta to jego usta, plac targowy - żołądek, miejskie wysypisko śmieci - odbył. Usuwanie i recykling śmieci to nieustanny problem i jeśli mieszkańcy sobie z nim nie poradzą, nie tylko ulice będą wydzielać cuchnące zapachy, ale staną się siedliskiem chorób roznoszonych przez karaluchy, szczury i muchy.

Szyf wskazuje następnie makietę mongolskiego obozowiska.

- Kiedy wasze ludy były jeszcze wędrownymi plemionami, wczorajsze śmieci zostawiały gdzieś po drodze. Ale kiedy mieszka się w zamkniętym środowisku, śmieci są wszechobecne, a zapach zgnilizny przywołuje do porządku, gdy tylko na chwilę się o nich zapomni.

Robimy notatki.

- Należy także pamiętać o cysternach na deszczówkę, które będą należały do systemu nawadniającego, oraz o rowach i systemie kanalizacji odprowadzającej ścieki i odpadki, pełniących rolę filtrów, podobnie jak w ludzkim organizmie nerki.

Przekazawszy nam to ostrzeżenie, nauczyciel pochyla się nad makietami starożytnych miast.

- Miasto jest jak układ trawienny, ale można je też porównać do układu nerwowego. Pałac królewski lub ratusz to mózg.

34

Pokazuje nam różne modele pałaców lub zamków przeznaczone dla głów państw.

- Zaopatrywane w pieniądze i podatki płuca dostarczają tlen do mózgu i dopiero tam podejmowane są decyzje o jego ponownej dystrybucji.

Król Koryntu pokazuje nam kilka ośrodków ściągania podatków, przynależnych do różnych stylów i epok.

- Tlen-pieniądze dostarczany jest do mięśni: murarzy, budowniczych miasta, którzy je powiększają; do odkrywców, którzy są jego oczyma na położonych wokół terenach; do rzemieślników i robotników, dzięki którym fabryki pracują jak narządy ludzkiego organizmu; do rolników, którzy uprawiają pola.

Szyf z wyraźnym bólem przemieszcza swoje umęczone ciało pomiędzy rzędami:

- Trzeba również pamiętać o obronie, która jest rodzajem systemu odpornościowego miasta, działającego przeciwko zewnętrznym i wewnętrznym agresorom. To policja, która zatrzymuje chore lub niebezpieczne dla reszty organizmu elementy. Należy je dezaktywować, żeby nie zaraziły innych. I właśnie dlatego izoluje się je w więzieniach. Dlatego też musicie pomyśleć o ich budowie.

Chodzi po sali i wyjaśnia dalej.

- Teraz inny system bezpieczeństwa: strażacy, którzy gaszą pożary. Wreszcie wojsko, które chroni przed atakami obcych, tak jak organizm zwalcza pochodzące z zewnątrz bakterie.

Szyf podchodzi do jednej z półek i bierze do ręki miniaturową budowlę.

- Świątynia może być sercem. Zapewnia spójność zbiorowego systemu emocjonalnego.

Pokazuje nam świątynie pochodzące z różnych epok i zbudowane przez różne narody, począwszy od tipi Indian Navajo, po gotyckie katedry.

- Szkoła, a następnie uniwersytet odpowiada układowi rodnemu, ponieważ tworzy nowych obywateli oraz przekazuje pamięć, wartości, kulturę.

Król Koryntu stawia na makiecie maleńkie domki.

- Ludzie w miastach w większym stopniu porozumiewają się ze sobą, lecz ich przestrzeń życiowa się zawęża. Dawniej, jeśli nie przepadałeś za sąsiadami, wystarczyło rozbić namiot nieco dalej. Tutaj jedni muszą znosić drugich... I tak właśnie pojawia się delikatny temat: sąsiedzi.

Wracają wspomnienia z Ziemi 1. Przypominam sobie wspólnotę mieszkańców mojej kamienicy, w której odkryłem szczególnie przerażającą ludzką mieszankę.

- Sąsiad jest podobny do was, jest prawie taki sam. Hałasuje po dwudziestej trzeciej, zostawia niedopałki na korytarzu, spuszcza wodę w środku nocy i przez pomyłkę zabiera waszą korespondencję. Sąsiad urządza dymiącego grilla, kocha się głośno, wydając przy tym śmieszne dźwięki, przychodzi pożyczyć korkociąg właśnie wtedy, kiedy wy jesteście najbardziej zajęci pracą. Zaraża was grypą, opowiada o swoich kłopotach z dziećmi, czasami są to te same dzieci, które porysowały wam

35

pisakiem drzwi. Zatem najlepiej nie spotykać się za często z innymi ludźmi, bo mogą okazać się nie do zniesienia.

Dawny władca Koryntu milknie na chwilę i masuje sobie bok:

- Niektórzy nienawidzili miast. Czyngis-chan był przekonany, że są jak więzienia, a zamknięcie w nich staje się przyczyną wszelkich problemów: chorób, korupcji, skąpstwa, zazdrości, hipokryzji... I po prawdzie było w tym dużo racji. Obserwując doświadczenie ze szczurami w klatce, mieliście okazję się przekonać, że okrucieństwo wzrasta wprost

proporcjonalnie do zmniejszania się przestrzeni życiowej. Jednak nie chcę przez to powiedzieć, że życie na wolnej przestrzeni to synonim dobroci i życzliwości...

Przygląda się swojemu małemu miastu przedstawionemu na makiecie.

- ...zresztą Czyngis-chana też trudno nazwać człowiekiem pokoju, ale jego lud przynajmniej nie wiedział, co to zanieczyszczenia i dużo podróżował.
- Chce nas pan zrazić do miast? - pyta Sarah Bernhardt.
- Chcę was zachęcić, abyście tworzyli miasta harmonijne i funkcjonalne. To jest temat moich zajęć. Jak każda forma postępu, miasto niesie ze sobą zarówno korzyści, jak i zagrożenia. Przyjrzyjmy się z bliska tym makietom. Większość starożytnych miast zaprojektowano w kształcie kwadratu przeciętego dwoma głównymi arteriami komunikacyjnymi, krzyżującymi się pośrodku pod kątem prostym. Tak właśnie jest w Olimpii. Cztery bramy miejskie odpowiadają czterem stronom świata. Na Ziemi 1 tak właśnie zbudowano Jerozolimę, Heliopolis, Rzym, Pekin oraz Angkor. Struktura jest prosta, ale skuteczna w działaniu, może więc stanowić dla was inspirację.

Ponownie wskazuje plany miast. Następnie podchodzi do tablicy i pisze: „Wojny masowe”.

- Powstanie miast pociągnie za sobą nowe rodzaje wojen. Długie i wymagające skomplikowanej techniki oblężenia. Kiedyś chodziło o kontrolę nad terytorium, dziś o kontrolę nad ufortyfikowanym miastem. Oblężenie wymaga ludzi. W tym stadium, w którym dziś są wasze ludy, szacuje się, że każde pokolenie musi podwoić liczbę żołnierzy, aby zapewnić sobie zwycięstwo. Często jest tak, że wojska, chcąc wyrzucić na siebie wrazenie, rozciągają swe szeregi na całej długości linii horyzontu.

Siada.

- W podręcznikach historii dużo mówi się o wielkich bitwach, a przemilcza się te wszystkie, które się nie odbyły tylko dlatego, że jedna z armii zastraszyła drugą wyłącznie przez pokazanie liczby swoich żołnierzy, co w konsekwencji przyczyniło się do kapitulacji przeciwnika. Pamiętajcie, że metoda zastraszenia pozwala oszczędzić wiele ludzkich istnień.

Spoglądam na innych uczniów. Wszyscy notują podawane przez Syzyfa informacje. „Wojny masowe”... Gdybym to ja wiedział, że kiedyś w szkole będę miał taki przedmiot! Ci wszyscy ludzie zgromadzeni po to, żeby się nawzajem zabijali! Zawsze wydawało mi się to żałosne.

36

Smutna tradycja ludzkości. Niemal o charakterze święta. Ludzie zabijają się nawzajem przy dźwiękach trąbek i bębnow. Czasami nawet ze śpiewem na ustach. Najczęściej wiosną, przy pięknej pogodzie. I proszę, oto ja sam mam władzę tworzenia własnych wojen, które wciągną mój lud w wir śmiertelnej walki. Mimo że jestem dobrym szachistą, wiem, że prowadzenie wojen nigdy nie sprawi mi przyjemności.

Król Koryntu ciągnie dalej:

- Wojny odgrywają rolę społeczną. Pomagają usunąć „nadmiar” ludności. Wojny domowe, podobnie jak epidemie i głód, oczyszczają przeludnione społeczeństwa... bo w tym właśnie cały kłopot: ludzie nie potrafią kontrolować przyrostu naturalnego. A potem nagle powstają bandy młodych łobuzów, szerząc poczucie braku bezpieczeństwa. Tak więc samoregulacja ludności jest konieczna, gdyż kompensuje „nadwyżkę dzieci”.

Powiedział to z taką obojętnością w głosie. „Skompensować nadwyżkę dzieci”. Jakby chodziło o fabrykę, która ma zniszczyć część nadprodukcji.

- A zatem jeśli spojrzeć na historię Ziemi 1 - kontynuuje Syzyf - zauważymy, że po okresie wzrostu narodzin przychodzi czas wojny. To tak jak z szybkowarem, w którym trzeba zmniejszyć ciśnienie, aby nie wybuchł.

- Czy to znaczy, że zawsze będziemy musieli wywoływać wojny, żeby „uregulować” sprawę nadwyżki ludności? - pyta Simone Signoret.

- Innym rozwiązaniem mogłaby być samoregulacja. Jednak kilka prób w tym kierunku zakończyło się fiaskiem. Wydaje się, że człowiek jest tak bardzo zadowolony, widząc jak jego populacja się rozrasta, że nie potrafi się powstrzymać. Nawet najwięksi dyktatorzy nie umieli narzucić skutecznej kontroli urodzeń.

Wzdycha ciężko, a na jego twarzy widać rozczarowanie.

- Ale są i takie kraje, które chcą zwiększyć liczbę ludności właśnie ze względu na przyszłe wojny - zaznacza Bruno. - Przecież wiadomo, że jeśli my kontrolujemy liczbę ludności, a nasi sąsiedzi tego nie robią, istnieje ryzyko, że zaleją nas swoimi licznymi dziećmi.

- No widzicie. I znowu wraca kwestia sąsiadów...

Syzyf wstaje, przekłada papiery i wyjmuje z nich plany uli, termitier, mrowisk.

- Jednakże kiedy obserwuje się zwierzęta, zwłaszcza zwierzęta żyjące w rozwiniętych społecznościach, jak na przykład termity, pszczoły czy też mrówki, można zobaczyć, że potrafią one same doskonale regulować swoją populację. Liczba składanych jajeczek uzależniona jest od potrzeb oraz zapasów żywności... Lecz kontrola urodzeń wymaga poziomu świadomości, którego wasze ludy z Ziemi 18 jeszcze nie osiągnęły. Dlatego nadal będą wolały rozwiązywać ten problem za pomocą wojen.

Podnoszę rękę.

- A jeśli my wszyscy, ich bogowie, usiądziemy wspólnie do stołu i ustalimy, że zaprzestajemy prowadzenia wojen? Jeśli określimy pomiędzy sobą mniej więcej równe dla każdego ludu terytorium i wpro-

wadzimy kontrolę urodzin, tak aby na zajmowanym obszarze zachować harmonię i stabilność? Wtedy nasza energia nie będzie pożytkowana na powiększanie terytorium czy też

na obronę granic, lecz wykorzystamy ją do lepszego kierowania codziennym życiem naszych ludów

Po mojej propozycji zapadła cisza. Syzyf dodaje mi odwagi:

- To wcale nie takie głupie. Proszę mówić dalej. A więc gdyby wszyscy usiedli przy stole i...
- ...ustalili, że od tej chwili koniec z rywalizacją, że nie ma zwyciężonych, lecz wszyscy jesteśmy zwycięzcami?
- A co z przyrostem demograficznym? - pyta Syzyf.
- Ustalilibyśmy system kontroli urodzeń, już to kiedyś zrobiłem na Wyspie Spokoju. Rozwijalibyśmy się w zależności od potrzeb oraz tak, by zachować równowagę wewnętrzną i zewnętrzną.

Były król Koryntu drapie się w brodę.

- Zapomniał pan o tym, że jeśli chodzi o przyrost demograficzny, człowiek jest jak zwierzę. Kazać mu powstrzymać się od płodzenia dzieci to tak, jakby miał się wyzbyć swej odwiecznej potrzeby rozmnażania się.
- Przecież przed chwilą powiedział pan, że udało się to owadom żyjącym w społecznościach.

Syzyf kręci głową.

- Ale po jakim czasie? Po setkach milionów lat. A człowiek to młode zwierzę. Jeśli zaś chodzi o waszych ludzi, toż to prawdziwe noworodki... Ludzie nadal żyją w strachu i odczuwają przyjemność z zabijania. Nie potrafią zrozumieć, że szczęście jednostki zależy od stosunku równowagi z naturą. Zawsze chcą udowodnić, że są silniejsi. Potrzebują więc współzawodnictwa. A podczas współzawodnictwa zawsze będą zwycięzcy i przegrani.
- Nie wierzę w darwinizm, teorię selekcji najsilniejszych - mówię z przekonaniem. - Sądzę, że moglibyśmy przestać rozszarpać się wzajemnie i poszukać takiego sposobu postępowania, aby nikt nie czuł się przegrany.
- Ale do tego trzeba jeszcze, by człowiek stał się zwierzęciem jednorodnym. A ludzie są różni, nie wyznają tych samych wartości, nie posiadają takich samych talentów. Egalitaryzm nie jest cechą przyrody. Zwierzęta są różnorodne i właśnie z tej różnorodności wywodzi się bogactwo świata. Tak samo ludzie są bogaci w to, co ich różni... Przypomnijcie sobie komunizm, który chciał wprowadzić równość wszystkich obywateli. Rezultat: dyktatura jeszcze gorsza, niż za czasów cara... Jeśli chodzi o pomysł rozmów przy wspólnym stole, tego też już próbowano w przeszłości. Ligę Narodów utworzono po wielkiej rzezi, jaką była pierwsza wojna światowa. Rządy wszystkich krajów mówiły wtedy: „Już nigdy więcej”. Rozmawiano nawet o „światowym rozbrojeniu”. Naprawdę wierzono wtedy, że można ze wszystkich armii świata utworzyć jeden wielki stos, podpalić go, a potem pochować prochy.

Dwadzieścia lat później wybuchła druga wojna światowa, jeszcze bardziej niszczycielska, pełna większych okropności, podczas której zginęło jeszcze więcej ludzi.

Przez salę przebiega szmer.

38

- Nie udało im się na Ziemi 1, ale przecież nam może się udać. Czy nie po to tu jesteśmy? Żeby postępować lepiej niż nasi poprzednicy?

Szyf podchodzi do mnie.

- Z pewnością, jednak trzeba być realistą. Widział pan igrzyska olimpijskie, na których wszyscy uczestnicy zajmują najwyższe miejsce na podium? Po co mieliby brać udział w takich zawodach? Co to za przyjemność wygrać... jeśli nie ma przegranego?

Nie chcę się poddać.

- Pan używa obrazu igrzysk olimpijskich, w takim razie ja posłużę się innym obrazem: walkami gladiatorów. Wyobraźmy sobie, że podczas widowiska na rzymskiej arenie gladiatorzy postanawiają nie walczyć ze sobą.

Szyf nie daje się zbić z tropu.

- ...co więc zrobią pańscy gladiatorzy?

- Połączą się i będą się nawzajem wspierać.

- I zaatakują rzymskie straże?

- Dobry pomysł.

- I dadzą się wszyscy zabić cesarskiej armii. Wie pan, że na to też mamy sławny przykład w historii... Spartakus. Udało mu się wytworzyć wśród gladiatorów poczucie solidarności. Nie będę przed panem ukrywał, że to się źle skończyło.

Wbijam wzrok w nauczyciela.

- Dobrze, więc zwrócę się do całej klasy.

Odwracam się w stronę uczniów.

- Posłuchajcie, boska gra Y dopiero się zaczęła, nasze ludy wejdą niebawem w fazę, która odpowiada okresowi starożytności na Ziemi 1... Aleja wam proponuję, żebyśmy... zdecydowali... wspólnie, że nie chcemy już między sobą sporów. Proponuję, byśmy rozdzielili między siebie terytoria zgodnie z obecnymi granicami. Dalej, aby zapobiec mogącemu się szybko pojawić problemowi przeludnienia, zobowiązemy się kontrolować liczbę naszych dzieci, tak aby była równa liczbie osób zmarłych. Tych, którzy się zgadzają, proszę, by podnieśli rękę.

Rabin Freddy Meyer podnosi rękę, potem Sarah Bernhardt, Jean de La Fontaine, Simone Signoret, dalej Rabelais. Spoglądam na Raoula, ale on odwraca wzrok. Z pewnością chce zostać zwycięzcą. Podnoszą się kolejne ręce: Edith Piaf, Georges Méliès, Gustave Eiffel. Niektórzy wahają się, potem podnoszą rękę lub nie. Mniej więcej jedna trzecia jest za mną. Ale nikt więcej się nie rusza.

- Zastanówcie się! Zostanie tylko jeden z nas. Czy każdy z was sądzi, że to będzie właśnie on?

Syzyf kręci głową.

- To jak gra w lotto. Ludzie wolą grę, w której ich szanse są jak jeden do pięciu milionów, ale mogą wygrać ogromną sumę, niż black jacka, gdzie szanse na wygraną są większe, ale kwota zdecydowanie niższa. Nie ma w tym żadnej logiki. To sfera uczuć. Nadzieja sprawia, że nie myślą.

Jakby na zaprzeczenie jego słów podnoszą się kolejne ręce. Maria Curie, Jean-Jacques Rousseau, Haussmann, Victor Hugo, Camille Claudel, Erik Satie.

39

Wchodzę na stół i stoję twarzą do moich kolegów z klasy.

- Teraz możemy wszystko przerwać.

- On ma rację - mówi Syzyf. - Sądzę, że jeśli zgodzicie się podzielić sprawiedliwie świat, wszyscy bogowie z Olimpii będą zmuszeni uznać wasz wybór. Choć nie ukrywam, że byłaby to prawdziwa premiera.

Po chwili dodaje:

- Nie ukrywam też, że inne roczniki przed wami także już o tym myślały... ale nie udało im się, nie potrafili podjąć jednomyślnej decyzji.

- Nam może się udać - mówię. - Już się prawie udało.

Podnoszą się kolejne ręce.

- Tam, gdzie inni przegrali, my zwyciężymy!

Ale nikt więcej się już nie rusza. Czuję się tak, jakbym przejął pałeczkę od Luciena, tego ucznia utopisty, który na pierwszych zajęciach chciał uratować Ziemię 17 i który wołał przeciwstawić się, niż wziąć udział w grze, której skutkiem jest śmierć cywilizacji.

- Dalej, wszyscy razem!

Ci, którzy dotąd nie podnieśli ręki, patrzą na mnie z wahaniem.

- Decyzja musi zostać podjęta jednomyślnie - przypomina król Koryntu. - Jeśli choć jeden uczeń nie zechce przerwać gry, pomysł nie zostanie przyjęty.

Kilka kolejnych rąk, ale to nawet nie połowa klasy. Jeszcze jedna ręka w górze. To Mata Hari.

Raoul siedzi z rękoma na kolanach.

- Zdajecie sobie sprawę, co jest stawką tego głosowania? - mówię.

Ale już nikt nawet nie drgnie. Jestem wyczerpany.

- Przynajmniej pan próbował - przyznaje Syzyf - to godne pochwały.

Moi zwolennicy opuszczają ręce. Myślę, że żaden z nich nie miał złudzeń.

- Niech pan sobie nie bierze tego za bardzo do serca - radzi nauczyciel pomocniczy. - Proszę nie zapomnieć, że niektórzy grają tylko dla samej przyjemności uczestniczenia w grze.

I chyba ma rację.

- Pozwoli pan, że posłużę się metaforą: wyobraźmy sobie partyjkę pokera, podczas której wszyscy gracze zgadzają się połączyć bitki i podzielić je na równe części... Po co w takim razie grać?

Syzyf odwraca się do klasy.

- W każdym razie uczestniczcie w najbardziej pasjonującej grze we wszechświecie. To lepsze niż elektryczne kolejki, lepsze niż karty, Monopol oraz wszystkie gry komputerowe razem wzięte. Gracie rolę bogów, używając do gry prawdziwego świata. Wykorzystajcie to.

I dodaje, patrząc w moją stronę:

- Graj dalej, Michael. W każdym razie nie masz wyboru. I możesz wygrać. Słyszycie? Wszyscy możecie wygrać.

Z wieży Kronosa dobiega bicie dzwonu. Syzyf sugeruje:

- No dobrze, koniec zajęć.

Raz jeszcze zagląda do swoich notatek i dodaje:

- Ach, zapomniałbym o czymś. Pismo. W waszym stadium cywilizacji wszędzie pojawią się teksty, skrybowie, historie. To wiele zmieni...

40

12. ENCYKLOPEDIA: PISMO

Począwszy od 3000 roku przed Chrystusem, wszystkie wielkie cywilizacje Bliskiego Wschodu mają swój system pisma. Sumerowie rozwijają pismo klinowe, co oznacza dokładnie „w kształcie klinów”. Wielką innowacją ich systemu jest przejście od rysunków przedstawiających ludzi lub przedmioty, czyli ideogramów, do bardziej symbolicznych znaków, przedstawiających daną ideę, a następnie dźwięki. I tak na przykład obraz

oznaczający strzałę daje jednocześnie dźwięk „ti” i niebawem staje się abstrakcyjnym pojęciem określającym życie. Ten sam system przejęli następnie Kananejczycy, Babilończycy oraz Hu-ryci.

Około 2600 roku przed Chrystusem Sumerowie używają sześciuset znaków, z tego stu pięćdziesięciu do wyrażania pojęć abstrakcyjnych. Ich skrybowie zapisują znaki na wilgotnych glinianych tabliczkach, które następnie suszone są na słońcu lub wypalane w piecach, aby stwardniały. Pismo klinowe wykorzystywane jest w wymianie handlowej oraz w dyplomacji, a wkrótce także w tekstach religijnych, a następnie poetyckich. Tym samym epepeja o królu Gilgameszu uważana jest za pierwszą powieść w historii ludzkości. W Byblos znaleziono najstarsze przykłady nowoczesnego alfabetu, bardzo zbliżone do obecnego alfabetu hebrajskiego. Na sarkofagu króla Ahirama w Byblos znaleziono znaki przedstawiające dwadzieścia dwie spółgłoski. Dzięki kupcom oraz odkrywcom alfabet ten rozpowszechnił się w całym basenie Morza Śródziemnego. Przypomnijmy, że pierwsza litera alfabetu hebrajskiego - „Alef” - przypominała początkowo głowę krowy. Stopniowo literę obracano, aż powstało nasze „A”, z rogami skierowanymi ku dołowi.

Dlaczego głowa krowy? Bez wątplenia dlatego, że krowa była głównym źródłem energii. Dostarczała mięsa, mleka, ciągnęła wozy, umożliwiając ludziom podróżowanie, pomagała też w uprawie ziemi.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

13. CZAS MIAST

SZCZURY

Armia ludzi-szczurów zbliżała się do wsi. Idący na jej czele młodzi ludzie nieśli czarne sztandary zakończone głowami czerwonych szczurów. Jeźdźcy dosiadali koni specjalnie tresowanych do udziału w wyprawach wojennych, gotowych zareagować na każdą komendę. Piechota wyposażona była w łuki, kopie i proce.

41

Od dłuższego czasu przygotowywano tę karną ekspedycję. Ludzie--szczury wyznawali kult męczenników, a przede wszystkim nienawiść do kobiet-os, które od tak dawna stawiały im opór.

Nowy przywódca ludzi-szczurów pozbył się wszystkich rywali, uznając ich za szpiegów kobiet-os. Oskarżeni o tę zbrodnię zostali skazani na śmierć. Powoli w plemienu szerzyła się wieść, że Amazonki wygrały bitwę tylko dlatego, iż miały potajemnych sprzymierzeńców wśród ludzi-szczurów. W ten sposób nienawiść do kobiet-os połączyła lud szczurów, wywołując jednocześnie nieustanną podejrzliwość.

Od czasu poprzedniej bitwy miasto kobiet-os również rozrosło się i umocniło. Otaczające je niegdyś mury trzymetrowej wysokości zastąpiono murami pięciometrowymi. Bramy

wzmocniono kilkoma warstwami drewna. Amazonki zaopatrzyły się w lżejsze miecze, którymi władały z ogromną zręcznością. Kiedy wartowniczeki oznajmiły pojawienie się na horyzoncie szczurzej armii, natychmiast rozległy się dźwięki rogów z kości słoniowej, wzywające do obrony miasta.

Obie armie stanęły twarzą w twarz. Chwila wahania. Z jednej i drugiej strony padają groźby i obelgi, wypowiedane w języku danego ludu.

Amazonki przygotowywały się do odparcia frontalnego ataku, lecz ku ich zdziwieniu, na znak szczurzego króla jego żołnierze rozstąpili się, robiąc miejsce tłumowi nagich istot. Mężczyzn i kobiet, zupełnie nieuzbrojonych. Bez miecza i tarczy zbliżali się z pustymi rękoma. Ich twarze też były puste. Mieli zapadnięte z głodu boki i wystające żebra. Szli całymi tysiącami, kompletnie zrezygnowani. Armia duchów.

Kobiety-osy nie miały wyboru. Strzały skosiły smutne ludzkie stado. Zabiwszy tych nieszczęśników, odczuły pierwsze objawy zmęczenia walką, a ich zapasy strzał zostały mocno nadwyżone. Poza tym były przerażone brakiem poszanowania ludzkiego życia przez ludzi-szczu-rów. Wiedziały, że w przypadku klęski spotka je taki sam los.

Nagle z szeregów ludzi-szczurów wyskoczyła grupa wyposażona w grube tarcze. Na ramionach nieśli wielki bał, zakończony rzeźbą przedstawiającą głowę szczura. Zaczęli nim uderzać w główną bramę miasta.

Ponieważ strzały Amazonek okazały się nieskuteczne, zaczęły ciskać kamienie, jednak te odbijały się rykoszetem od tarcz najeźdźców.

Jedna z kobiet wpadła nagle na pomysł, aby wylać na wroga wielki kocioł wrzącej wody, przeznaczonej do gotowania zupy na kolację. Tym razem poparzony zastęp ludzi-szczurów uciekł, wyjąc z bólu i porzucając swój taran. Ale już nadchodziła nowa grupa chronionych tarczami mężczyzn. Ponieważ kobiety-osy nie miały dość czasu, aby zagrać nowy kocioł wody, więc ludziom-szczurom udało się zrobić wyłom w bramie miasta.

Amazonki spodziewały się teraz szarży kawalerii, lecz przeciwnicy zarezerwowali dla nich inną niespodziankę. Po grupach niewolników, pędzonych po to, aby wyczerpać zapasy strzał przeciwnika, szczury wysłały dzieci, wierząc, że Amazonki nie ośmielą się ich zabić. Wychowywane w poczuciu nienawiści do wroga i kulcie męczeństwa szczurze dzieci starały się udowodnić swoim rodzicom, że potrafią się poświęcić

42

dla swojego narodu. Rzuciły się w kierunku Amazonek, dzieci starsze z maluchami w ramionach.

Zamysł króla szczurów okazał się słuszny. Widząc dzieci, Amazonki nie potrafiły być zdecydowane, a ich strzały nie trafiały do celu. Tym samym dziecięca armia niemal bez oporu ze strony wojowniczek rozbiegła się po mieście, pozostawiając tu i ówdzie zarzewie ognia. Kobiety--osy nie doceniły siły propagandy oraz prania mózgów młodych ludzi.

Zaskoczenie było całkowite. Z płonących domów zaczął się wydobywać gryzący dym, kiedy zaatakowała kohorta szczurzej kawalerii, dostając się do miasta. Walka wręcz. Ludzie-szczury walczyli mieczami z żelaza - nowego metalu, którego tajemnicę produkcji zdobyli od podbitego ludu, kobiety-osy mieczami z brązu, o wiele cięższymi i bardziej łamliwymi.

Nagle z pomocą przyszła kolejna grupa jeźdźców, gdy tymczasem dzieci-szczury rozprawiały się z rannymi kobietami leżącymi na ziemi.

Dano sygnał do kontrataku. Na czele zastępu Amazonek stanęła ich królowa. Teraz one zaskoczyły lansjerów. Nie wahały się zabijać rozwścieczonych dzieciaków, które spowodowały tyle zniszczeń.

Bitwa trwała już ponad dwie godziny, a jej wynik nadal był niepewny. Tam, gdzie przeciwnicy znajdowali się w pewnej od siebie odległości, Amazonki zyskiwały przewagę, ponieważ ich strzały trafiały dokładniej niż włócznie. Jednak wszędzie tam, gdzie ludziom-szczurom udawało się sprowokować walkę wręcz, to oni mieli przewagę.

Wtedy szczurzemu królowi przyszła do głowy zbawienna myśl: „Wystarczy złapać ich królową, tak jakby to były pszczoły”. Zebrał więc najlepszych wojowników i rozkazał schwytać władczynię.

Królowa os przemawiała właśnie do swoich poddanych, zatem szczurzej załodze nietrudno było ją wypatrzeć. Zbliżyli się szybko, zabili straż przyboczną królowej, która została sama, otoczona przez wroga. Utworzony z włóczni mur uniemożliwił komukolwiek przyjście jej z pomocą.

„Chcę ją mieć żywą!” - wrzasnął król szczurów.

Królowa nie dopuszczała do siebie napastników, obracając się na koniu i wymachując mieczem, aby odeprzeć zbliżające się do niej ostrza włóczni. Jej długie włosy powiewały na wietrze, siała śmierć wśród ludzi-szczurów, którzy ośmielili się do niej zbliżyć. Widząc, co się dzieje, król szczurów oparł się na swojej włóczni jak na tyczce, wznosząc się na wysokość królowej i zrzucając ją z siodła. Po chwili oboje, król szczurów i królowa os, tarzali się po ziemi.

Amazonka wbiła paznokcie w policzki przeciwnika, złościąc w jego twarzy głębokie bruzdy. Jednak on odwrócił ją szybkim ruchem, wykręcił ręce i za pomocą bawolego ścięgna zawieszzonego na ubraniu związał jej dłonie na plecach. Następnie przycisnął ją do ziemi i przygniótł pierś kolanami. Wtedy królowa z całych sił ugryzła go w nogę. Krwawił, ale nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Podniósł kobietę-osę, a jeden z wojowników podał mu duży kuchenny nóż, który przyłożył do szyi władczyni.

- Poddajcie się albo ją zabiję!

43

Amazonki się wahały, jednakże kochały swoją królową i większość wołała zaprzestać walki. Powoli wszystkie składały broń. Okrzyk zwycięstwa wydarł się z zastępów ludzi-szczurów.

Zdecydowano, że należy uspokoić szczurze dzieci, które chciały skorzystać z okazji i nadal zabijać. Uwięzione Amazonki skuto i zawiedziono w długiej procesji do miasta ludzi-szczurów, gdzie plemienne kobiety ucziły okrzykami swoich zwycięzców. Stały już przy drodze wiodącej do miasta, tworząc honorowy szpaler. Oplakiwały licznych zabitych i opluwały więźniarki, zadziwiając piękne, z długimi czystymi włosami i w ubiorach z cienkiego płótna. Niektóre kobiety-szczury podchodziły, aby dotknąć ich włosów i spróbować zrozumieć, dlaczego są takie długie i lśniące, podczas gdy ich własne czupryny kleją się z brudu. Obwąchiwały skórę nieprzyjaciół, zaskoczone, że pachną kwiatami, co jednak nie przeszkadzało szcuzym kobietom robić miny pełne obrzydzenia i ponownie opluwać zakładniczki.

Jednak najwspanialej w gronie pojmanych kobiet prezentowała się bez wątpienia ta, która szła ze związanymi rękoma za koniem przywódcy. Miała uniesioną wysoko głowę o zakurzonych, hebanowych włosach. Wyprostowane ramiona wyrażały dumę, uczucie niepojęte dla kobiet-szczurów, uległych we wszystkim mężczyznom.

Po bokach żołnierze prowadzili schwytane konie oraz zabrane ze splądrowanego miasta Amazonek łupy.

Do pojmanej zbliżył się król, trzymając w ręku wielki nóż. Rozległy się wielkie brawa. Lecz zamiast ją zasztyletować, zaczął się oblizywać, jakby miał przed sobą wielką sztukę mięsa, którą właśnie zamierzał pożreć. Jego żołnierze wybuchnęli śmiechem, a ofiarą wstrząsnęły napady mdłości. Wszyscy czekali, co dalej nastąpi.

Wtedy król powoli rozwiązał dłonie nieprzyjacielskiej władczyni.

Zebrani ucichli.

Królowa natychmiast spróbowała go uderzyć, ale z łatwością dał jej radę. A kiedy próbowała bezskutecznie rozorać mu twarz paznokciami, przycisnął ją do siebie i pocałował z całej siły.

Kobiety obrzuciły pojmaną wrogimi okrzykami.

Król skierował w ich stronę swój miecz, zaznaczając w ten sposób, że tylko on stanowi prawo i żadna kobieta nie będzie mu pokazywać, jak ma się zachowywać w stosunku do więźniarek. Czy chodzi o królowe, czy też nie. Zaproponował następnie swoim żołnierzom, aby każdy z nich także wybrał sobie jedną Amazonkę. Tym razem kobiety-szczury nie ośmieliły się wyrazić swojej złości wobec bezprawnej konkurencji.

Zabierając głos, król szcuzurów oznajmił, że mają teraz do swojej dyspozycji duże miasto otoczone grubymi murami i zaprosił wszystkich, aby tam zamieszkali. Do tej pory ludzie-szczury byli raczej ludem koczowniczym, wędrującym tam, gdzie mogli kogoś zaatakować, i zadowolającym się zakładaniem obozów, w których mogli wypocząć. Król dodał, że miał sen, w którym zdobyte miasto zostało ich stolicą.

Zgodnie z rytuałem, król szczurów poślubił królową Amazonek. Dopilnował też, aby wzniesiono pomnik, przedstawiający go konno z Amazonką błagającą go na ziemi o litość. To był pierwszy pomnik w szczu-

44

rym królestwie. Jeśli chodzi o kobiety-osy, to pozbawione możliwości prowadzenia wojny, zintegrowały się ze społecznością szczurów. Swoich nowych towarzyszy nauczyły tkactwa i podstaw higieny.

Na niewielkich kartach zaczęły natomiast kreślić historię swojego zwyciężonego ludu.

Jednak pewnego dnia król odkrył ich zapiski i zniszczył je. Pomyślał, że lepiej zatrzeć pamięć o wrogim niegdyś ludzie i utrzymywać, że wszyscy potomkowie wywodzą się od ludzi-szczurów.

Zażądał za to od skrybów-os, aby spisali historię, którą on, król szczurów, im podyktuje. Chciał, aby raz na zawsze zapisane zostały wszystkie wielkie zwycięskie bitwy stoczone przez lud szczurów.

Ironia losu: ze związku z królową Amazonek rodziły się, ku rozpacz króla, tylko córki. Co stało się powodem zamordowania go przez jednego z generałów.

Ten ostatni wstąpił na tron i kazał zmienić głowę posągu, tak by było tam jego oblicze.

Wszystko można było wybaczyć królowi szczurów, z wyjątkiem jednego: tego, że płodził córki.

14. ENCYKLOPEDIA: KRÓLOWA SEMIRAMIDA

Począwszy od 3500 roku przed Chrystusem, Indoeuropejczycy podbijają królestwo sumeryjskie. Hetyci, Luwici, Scytowie, Kimerowie, Me-dowie, Frygowie i Lidowie rozdierają je między sobą, tworząc efemeryczne królestwa, które też zostaną następnie podbite. Około 700 roku przed Chrystusem jednemu z ludów indoeuropejskich, Asyryjczykom, udało się stworzyć za pomocą terroru stabilne królestwo. W nim los podarował nadzwyczajne życie młodej dziewczynie. Urodzona nad Morzem Śródziemnym, niedaleko obecnego Ashkelonu w Izraelu, została porzucona na pustyni, gdzie wykarmiły ją gołębnice (zgodnie z legendą, którą później sama spisała), następnie została przygarnięta przez pasterzy. Uwriodła i poślubiła Onnesa, dowódcę asyryjskiego, któremu towarzyszyła w drodze do jego władcy. Tam oczarowała króla Ninusa i została królową Asyrii, przybierając imię Semiramida. Następnie kazała otruć swojego męża, a potem zbudować dla niego ogromne mauzoleum.

Od tego momentu królowa Semiramida zasiadła na tronie i rządziła w pokoju jednym z największych państw swoich czasów. Powiększyła terytorium Babilonu aż do Eufratu, poleciła zbudować wiele zabytków oraz słynne „wiszące ogrody”, uznawane za jeden z siedmiu cudów świata starożytnego. Jednak chęć sławy królowej Semiramidy ciągle była niezaspokojona, dlatego rzuciła się w wir podbojów i zawładnęła Egiptem, Medią, Libią,

Persją, Arabią i Armenią. Jej wojska zostały ostatecznie pokonane przez Hindusów nad brzegiem rzeki Indus. Po czterdziestu dwu latach niepodzielnych rządów i zbudowaniu jednego z pierwszych wielkich imperiów militarynych, kulturalnych i ar-

45

tystycznych królowa Semiramida ustąpiła z tronu na rzecz swojego syna Nianiasa.

Kolejni królowie, mający w pogardzie kobiety, stopniowo zacierali ślady jej rządów, tak aby zapomniano, że jakaś królowa odnosiła większe sukcesy niż oni.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

15. DELFINY

Lud delfinów asymilował się coraz bardziej z ludem skarabeuszy. Niemniej jednak jego integracja nie odbywała się bezboleśnie. Szeptano, że delfiny zatrzymują tylko dla siebie część wiedzy, której nie chcą nikomu wyjawiać. Albo że posiadają skarby, którymi nie chcą się dzielić. Dla wszystkich stanowili tajemnicę, która rodziła nieufność.

Tymczasem ludzie-delfiny skrupulatnie przestrzegali obyczajów swoich gospodarzy i zamęczali się, próbując ulepszyć wiedzę w interesie wszystkich.

Spopularyzowali pismo oraz potrzebne do niego narzędzia, czyli pióro oraz materiały piśmiennicze, do których wytwarzania używali najpierw suszonych kwiatów, potem połączonych włókien papirusu. Oprócz szkół zakładali wyspecjalizowane uniwersytety, na których kształcono intelektualistów: naukowców, inżynierów, lekarzy.

Religia wywodząca się z dawnego kultu delfinów, podarowanego skarabeuszom, wysubtelniała z chwilą powstania seminarium kształcącego kapłanów, którzy czcili jedyne boga - Słońce, czerpiąc jednocześnie z dawnej ezoterycznej wiedzy ludu delfinów.

Jednak dla zrównoważenia ich wpływu powstała jeszcze inna uczelnia dla kapłanów, którzy w imię „tradycji z czasów sprzed skażenia obcymi czarami” oddawali się kultowi Wielkiego Skarabeusza oraz jego panteonu bóstw z głowami zwierząt. Na północy kraju rozwinął się monoteistyczny kult Słońca, na południu natomiast panteizm uważano za obowiązującą religię.

Podczas gdy północ przeżywała rozkwit ekonomiczny oraz naukowy, powstawały coraz nowocześniejsze miasta i porty rybackie, południe wiodło coraz bardziej frustrujące życie, swą gospodarkę opierając głównie na rolnictwie. Na północy, w miarę wzrostu poziomu i jakości życia, pojawiały się coraz bardziej wysublimowane obyczaje. Ludność zamieszkująca południe wyczerpywała swoje siły w ciężkich pracach polowych. Aby skompensować dużą śmiertelność dzieci oraz zapewnić ręce do siewu i zbiorów, południowcy płodzili liczne potomstwo.

Dzięki rozwiniętej medycynie mieszkańcy północy nie oplakiwali wielu zgonów małych dzieci. Zgodnie z powiedzeniem delfinów, że „płodzi się tylko tyle dzieci, ile można pokochać”, ograniczali raczej liczbę urodzeń, by nie pozwolić na szerzenie się band porzuconych dzieciaków.

46

Jednakże czas działał na korzyść południa, ponieważ z każdym pokoleniem, pod wpływem panteistycznych kapłanów, liczba ludności rosła, a duchowieństwo stawało się coraz bardziej mściwe. Oskarżali fałszywie królów północy o odpowiedzialność za występowanie dziwnych bakterii. W swoich kazaniach krytykowali wynalazki delfinów, twierdząc, że to tylko zatrute prezenty. Żądali od króla, aby wrócił do swoich źródeł i nawrócił się na panteizm, uważany za jedyną prawdziwą religię.

Wreszcie kapłani zawiązują spisek, którego skutkiem jest zamordowanie najstarszego syna króla. Potem spiskują z generałami, obiecując im wyjawienie miejsca ukrycia bogactwa delfinów. Początkowo wojskowi opierają się, lecz skuszeni perspektywą zysku, ustępują.

Doskonale zorganizowany pucz wojskowych doprowadza do aresztowania króla, a następnie do jego „samobójstwa” w więzieniu. Na próżno jego małżonka zapierała się swoich poglądów, chcąc w ten sposób uratować życie. Ona oraz ich drugie dziecko również ponieśli śmierć.

Kapłani-skarabeusze wynieśli na tron pochodzącego z południa młodego księcia, wywodzącego się z dalekiej linii królewskiej, który postanowił zamknąć uniwersytety oraz szkoły i przekształcić je w seminaria duchowne kształcące kapłanów religii skarabeuszy. Studenci manifestowali na ulicach, jednak ich rebelia natychmiast została krwawo stłumiona.

Młody król wykorzystał uliczne bójki, aby zaarrestować studentów--delfinów oraz profesorów, oskarżając tych ostatnich o podburzanie do zamieszek. Następnie wygłosił oficjalną mowę, w której odpowiedzialnością za ostatnią masakrę obarczył delfiny. „To wszystko ich wina” - mówił ogólnikowo, jednak to nie przekonało ludzi, którzy nadal pamiętali wiele dobrych rzeczy, które ludzie-delfiny wnieśli do ich życia.

Nadal pod wpływem kapłanów zgromadził król ludzi wykształconych i prawomyślnych, którym zlecił znalezienie sposobu na zgodne z prawem pozbycie się delfinów. Po długich rozmyślaniach uczeni napisali tekst, mówiący o konieczności zniszczenia społeczeństwa skarabeuszy, którego autorstwo przypisali ludziom-delfinom.

Dzieło odniosło większy sukces, niż spodziewali się jego inspiratorzy. I stało się tak, jakby społeczeństwo czekało tylko na ten jeden pretekst, aby się pozbyć ostatnich skrupułów lub wymazać ostatnie dobre wspomnienia związane z kulturą delfinów. Spisek ludu delfinów oraz ich wrogie zamysły stały się dla wszystkich sprawą oczywistą. Coraz częściej słychać było o aktach rasizmu, traktowanych nierzadko ze zbytnią tolerancją, a nawet bezpośrednim wsparciem ze strony policji.

W tym samym czasie, gdy zmniejszał się wpływ delfinów oraz świeckich uniwersytetów, ograniczono swobodę myśli oraz prawo do pobierania nauki, a wszystko to w imię oczyszczenia umysłów. Religii pante-istycznej nadano rangę nauki. Księgi, a nawet całe biblioteki delfinów palono na publicznych placach. Następnie król uznał, że zbyt widoczna obecność ludzi-delfinów jest powodem wybuchających co rusz zamieszek. Aby temu zapobiec, kazał otoczyć ich dzielnicę murem i wprowadził w niej godzinę policyjną. A to ułatwiło działanie skarabeuszom fanatykom.

47

Warunki życia ludzi-delfinów pogarszały się coraz bardziej. Najpierw zabroniono im wykonywania wszelkich zawodów, ponieważ jednak zaczęli umierać z głodu, zorganizowano „dla ich dobra” obozy pracy, za którą prawie nie otrzymywali wynagrodzenia. Początkowo ograniczano się do najcięższych rodzajów prac, ale wkrótce nowy król wpadł na pomysł, żeby wykorzystać tę prawie darmową siłę roboczą do wznoszenia nowego, ogromnego pomnika na swoją chwałę. Do grupy ludzi-delfinów dołączyła cała inteligencja oraz kontestatorzy i posądzani o opozycyjne poglądy politycy. Strażników do obozu pracy wybrano spośród najbardziej brutalnych elementów społeczeństwa skarabeuszy, często byłych kryminalistów.

Ludzie-delfiny pracowali na tej budowie w strasznych warunkach, karmiono ich źle, nie zapewniano żadnej opieki medycznej.

Lud delfinów ulegał coraz szybszej zagładzie, aż pewnego dnia od uderzenia pioruna zawaliła się ściana obozu pracy. Osłupiali ludzie-delfiny nie śmieli uciekać, jakby się bali, że naruszą zasady ustalonego porządku. Wtedy jeden z kapłanów wyznających kult Słońca, mężczyzna nie pochodzący z rodu delfinów, ale wychowany na ich wartościach, postanowił działać. Korzystając z wywołanego przez burzę zamieszania, namówił kilku odważnych do ucieczki.

„W końcu, biorąc pod uwagę naszą sytuację, niewiele mamy do stracenia” - stwierdził.

Przyczajeni w opuszczonych zakątkach swojej dawnej dzielnicy, w której znali każdą najmniejszą uliczkę, uciekinierzy pod wodzą kapłana kultu Słońca zaczęli układać plan oswobodzenia wszystkich więźniów politycznych. Kiedy zapadła noc, wykopali tunele pod murami otaczającymi obóz oraz plac budowy. Dzięki temu mogli działać zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz obozu. I w ustalonym dniu ludzie-delfiny uciekli podziemnymi przejściami. Zgodnie ze wskazówkami zbuntowanego kapłana rozpierzchli się w małych grupkach i spotkali dopiero na skraju wielkiej pustyni, uważanej za niemożliwą do przejścia przez człowieka.

Kapłan Słońca zgromadził wszystkich i przemówił do nich. Powiedział, że z drugiej strony pustyni znajduje się ziemia, z której wywodzą się wszyscy ludzie-delfiny i że tam mogliby zbudować swoje niepodległe państwo, w którym nie musieliby zabiegać o akceptację innych ludów.

Jego słowa nie przekonały tłumu, ale wszyscy wiedzieli jedno: nie mają wyboru. I ludzie-delfiny ruszyli w drogę. Początkowo sądzili, że są ich tylko setki, potem, że tysiące, lecz kiedy napływały kolejne grupy uciekinierów, okazywało się, że są ich tak naprawdę

dziesiątki, a potem setki tysięcy. Szli przez nagrzane słońcem piaski i kamienie. Ludzie--delfiny, ale także byli profesorowie uniwersyteccy, a nawet intelektualiści z czasów dawnego reżimu, którzy, co prawda, nie zostali zatrzymani, ale nie potrafi znieść nowych rządów.

Ponieważ kapłan słonecznego kultu wiódł odtąd prawdziwe ludzkie stado, nazwali go Pasterzem.

Ludzie-skarabeusze początkowo chcieli ich dogonić i zabić, ale strach przed zabłądzeniem na nieznanym suchym obszarze kazał im zawrócić.

48

Król rozkazał zakończyć pogoń. Sądził, że głód, pragnienie oraz szakale zabiją uciekinierów tak samo skutecznie, jak włócznie i strzały. Zdaniem wszystkich, było to zwyczajne zbiorowe samobójstwo.

Tak więc prowadzeni przez swojego Pasterza ludzie-delfiny coraz bardziej zagłębiali się w pustynię. W ciągu dnia paliło ich słońce, nocą drżeli z zimna. Ponieważ na pustyni nie było żadnego punktu odniesienia, nie rozumieli, dlaczego ich przewodnik obierał taki, a nie inny kierunek. Krajobraz był monotony i niektórzy odnosili nawet wrażenie, że kręcą się w kółko. Dzięki doskonałej znajomości kartografii nieba, Pasterz wiedział, że nie zbacza z drogi, tylko wiedzie swój lud, idąc ciągle na północ. Mówił, że w nocy ma sny, w których widzi, jaką drogą mają iść.

Tymczasem ludzie-delfiny byli coraz bardziej wyczerpani i głodni. Pod byle pretekstem wybuchały kłótnie. Wielokrotnie wędrowcy o mało nie umarli z pragnienia lub z powodu zatargów, które podczas drogi były zupełnie nie na miejscu. Jednak za każdym razem, gdy sytuacja wydawała się krytyczna, słyszeli grzmot, a po chwili spadał dobroczynny deszcz, który ratował ich przed odwodnieniem lub własnym gniewem.

Ale znaleźli się i tacy ludzie-delfiny, którzy przeklinali wielkiego kapłana za to, że wciągnął ich w to nieszczęście, ich zdaniem gorsze niż męki, jakie cierpieli w obozie pracy.

„Jeżeli ktoś chce zawrócić i paść do stóp królowi skarabeuszy, błagając go o wybaczenie, droga wolna” - powiedział Pasterz.

Jeden z mężczyzn, dobry mówca, wykorzystał jego słowa, pociągając za sobą ponad tysiąc osób. Połowa z nich zginęła w ruchomych piaskach. Pozostali dotarli wycieńczeni do kraju skarabeuszy, gdzie natychmiast dokonano ich publicznej egzekucji.

Tymczasem duża liczba ludzi-delfinów oraz ich sprzymierzeńców wędrowała dalej przez pustynię.

Ich długi marsz nie zawsze przebiegał w spokoju i nierzadko trzeba było udaremnić próby zamordowania nawet samego Pasterza. Szli jednak dalej, jak uparta ławica łososi płynących z trudem pod prąd, by znaleźć się w miejscu, z którego kiedyś wyruszyły. I zawsze wtedy, gdy wydawało się, że stoją u progu śmierci, znajdowali jakąś oazę. Lub też zaczynał padać deszcz. Już nawet przyzwyczaili się do tych cudów.

Znieczuleni codziennym trudem żyli tylko dzięki słowom, które słyszeli z ust Pasterza, oraz snom, o których istnieniu opowiadał. Przyzwyczaili się do warunków panujących na pustyni. Aby nie tracić wilgoci z organizmu, mówili mało i nigdy nie płakali. Pustynia nauczyła ich bycia konkretnym i skutecznym. Do perfekcji doprowadzili system budowy obozowiska, potrafiąc w kilka godzin wykopać w piasku schronienia. Ich wywodząca się z morza religia dostosowała się do pustyni. Pasterz pościł, medytował, odrywając się od zgiełku świata. I niektórzy polubili ten nowy rodzaj ascezy.

Pasterz mówił: „Aby zrozumieć drugiego człowieka, należy postawić się na jego miejscu”. To jest zasada empatii. I rozciągał tę zasadę na świat zwierząt i roślin, twierdząc, że zwierzę daje się upolować dlatego, ponieważ zostało zrozumiane, a skoro czuje się zrozumiane, zatem zgadza się na to, by stać się pożywieniem dla myśliwego.

49

Pasterz mówił: „Kiedy coś robicie, myślcie, jakie będą tego skutki w czasie i przestrzeni. Nie ma działania bez następstw. Kiedy rozpowszechnicie strach lub kłamstwo, sprawicie tym samym, że stają się one prawdziwe”. To jest zasada przypadkowości.

Pasterz mówił: „Wszyscy macie do wypełnienia jakąś misję w świecie i wszyscy posiadacie jakiś talent, który pozwoli wam lepiej tę misję wypełnić. Znajdźcie je, a wasze życie nabierze sensu. Nie ma człowieka bez talentu. A ten, kto nie korzysta ze swojego talentu, marnuje życie”.

Pasterz mówił: „Nikt nie jest zobowiązany do osiągania sukcesów, ale każdy powinien próbować. Jeśli się nie udaje, nie należy mieć do siebie pretensji, trzeba mieć sobie za złe tylko to, że się nie podjęło próby”.

Pasterz mówił: „Należy sławić podejmowanie ryzyka, a nie zwycięstwo. Ponieważ ryzykowna decyzja zależy od nas, a zwycięstwo od wielu czynników, których nie jesteśmy w stanie kontrolować”.

Pasterz mówił: „Poza światem widzialnym znajduje się świat niewidzialny, w którym dostępna jest wszelka wiedza i oświecenie. Dotrzeć do niego można tylko, uciszając zgiełk małych, śmiesznych myśli, bezustannie ogłuszających nasz mózg”.

Pewnego ranka, kiedy czuli rezygnację z powodu niekończącego się błędzenia po pustyni, ujrzeni w blasku błyskawicy po drugiej stronie wzgórza żyzną i pełną dzikiej zwierzyny dolinę pociętą rzekami. Wiadomość była tak niewiarygodna, że nikt na nią nie zareagował.

Ale kiedy minęli górski grzbiet, musieli już zwrócić uwagę: pejzaż, który ujrzeni, wydawał się mirażem: zielona dolina poprzecinana rzekami i potokami. Rodzinna ziemia ludzi-delfinów była znowu przed ich oczyma i wszyscy czuli to swoim ciałem, tak jakby ich komórki rozpoznawały to powietrze, pyłki, trawę... które kiedyś znali ich dalecy przodkowie. A więc udało się.

Na ich spotkanie wyszli „archaiczni” ludzie-delfiny, którzy jeszcze jakoś przetrwali na dawnym terytorium.

- Ludzie-delfiny nigdy tak do końca nie opuścili tej ziemi i nigdy jej nie opuszczą! - zawołał jeden z nich, prowadząc nowo przybyłych w stronę biednej, na wpół zburzonej wioski.

Jej mieszkańcy opowiedzieli, że są potomkami pierwszej generacji ludzi-delfinów ocalałych z inwazji ludzi-szczurów. Ukryci podczas ataku, nie zdołali dostać się na statki zabierające uciekinierów na niosące ratunek morze. Zostali, ukryci pod ziemią. Kiedy ludzie-szczury wyruszyli na podbój kolejnych terytoriów, wyszli z ukrycia i zamieszkali w ruinach, starając się zachować w pamięci swoje dawne tradycje.

Dla uczczenia powrotu delfinów urządzono wielkie święto. Następnie jedni i drudzy ludzie-delfiny zdecydowali wspólnie, że stworzą naród. Postanowili zbudować wielką stolicę, otoczoną wysokimi murami, wewnątrz których czcili już nie Słońce, lecz Światło.

Pierwszym przywódcą nowego narodu został Pasterz, który stwierdził, że ma dość królów i scentralizowanej władzy. Zaproponował utworzenie zgromadzenia złożonego z dwunastu mędrców, odpowiadających dwunastu wielkim rodom ludzi-delfinów.

50

Pasterz miał też sen, w którym dowiedział się, że ma ustanowić prawa, aby jego lud nigdy już nie powrócił do pierwotnych popędów.

Ustanowił czternaście praw.

Trzy pierwsze miały związek z żywnością:

- Zakaz kanibalizmu.
- Zakaz zjadania zwierzęcia, które cierpi. A zwłaszcza żywych zwierząt.

„Zjeść zwierzę, które cierpiało, to przejąć jego cierpienie” - mówił Pasterz.

- Zakaz kontaktu żywności z odchodami. To było jedno z pierwszych praw dotyczących higieny żywności. Czasami chłopcy wywoływali epidemie, używając za dużo ludzkich i zwierzęcych odchodów jako nawozu.

Potem następowało pięć praw dotyczących życia seksualnego:

- Zakaz kazirodztwa.
- Zakaz gwałtu.
- Zakaz pedofilii.
- Zakaz zoofilii.
- Zakaz nekrofilii.

Dla wszystkich były to sprawy oczywiste, jednak Pasterz uważał, że powtarzać należy nawet to, co się rozumie samo przez się.

Kolejne cztery prawa dotyczyły przemocy:

- Zakaz mordowania.
- Zakaz aktów agresji mogących powodować rany.
- Zakaz kradzieży.
- Zakaz niszczenia przedmiotów należących do bliźniego.

Potem następowały prawa dotyczące stosunków społecznych. Jako że ludzie-delfiny sami doznali niewolnictwa, to pierwszym ustanowionym prawem był:

- Brak obowiązku pracy bez wynagrodzenia.
- Zakaz pracy bez przerw na odpoczynek.

Po zakończeniu spisywania praw, Pasterz zmarł śmiercią nagłą, zadławiwszy się rybią ością. Jego agonia trwała dwie godziny, dwie godziny charczenia, wkładania palców do ust, tarzania się po ziemi. Próbowano dać mu pić, zmuszano, aby połknął miękisz chleba, wszystko na nic. Ponieważ się dusił, niektórzy proponowali, aby mu przeciąć jabłko Adama, jednak po szybkim głosowaniu, w którym trzy głosy były za, dwa przeciw i jedna osoba wstrzymała się od głosu, nikt już nie śmiał interweniować i Pasterz zmarł.

Śmierć na skutek zadławienia ością była trywialną w stosunku do wagi dokonań Pasterza, dlatego biografowie zdecydowali szybko stworzyć oficjalną wersję bardziej „historyczną”: Pasterz zmarł w trakcie ekstazy, a potem widziano, jak po jego duszę przybyła gołębica i zabrała go w stronę Słońca.

Zgodnie z wolą Pasterza, pochowano go pod mrowiskiem. Bez trumny, aby, tak jak sobie tego życzył Jego ciało, które powstało z ziemi, ponownie użyźniło tę ziemię, która go wykarmiła".

51

Wprowadzenie w życie praw nie było takie łatwe. Aby zmniejszyć cierpienie zwierząt przeznaczonych na pokarm, kapłani religii delfinów nakazali lekarzom znaleźć bezbolesny sposób zabijania, a ci wskazali im dokładnie miejsce na tętnicy szyjnej, którego przecięcie powodowało szybką śmierć.

Zgromadzenie dwunastu mędrców, które ustanawiało zasady obowiązujące w nowym państwie delfinów, związane z prawem do odpoczynku, zarządziło, aby jedna czwarta pól pozostawała co roku nieużytkiem. W ten sposób tereny te odzyskiwały mikroelementy, podczas gdy pozostała ziemia wydawała plony. Kobiety i mężczyźni mieli pracować sześć dni w tygodniu i odpoczywać siódmego dnia.

Wzniesli świątynię w kształcie sześcianu, gdyż postanowili zrezygnować z kształtów piramidalnych, które kojarzyli ze swoimi prześladowcami, skarabeuszami. Aby zachować pamięć o pobycie w niewoli oraz zmartwychwstaniu na pustyni, zredagowali wielką historyczną księgę i na wypadek, gdyby znowu zaczęto palić księgi, ustanowili święto, podczas którego rodzice opowiadali dzieciom dzieje ich ludu. Tak więc tradycja przekazu ustnego zakorzeniła się równolegle z rozwojem słowa pisanego.

Powstawały nowe biblioteki, w których gromadzono księgi oraz mapy uważane przez delfiny za najcenniejsze skarby.

Założywszy stolicę, zbudowali drogi, a następnie przekształcili wsie w miasta, a osady w wioski.

Mijał czas. Byli niewolnicy z kraju skarabeuszy starzeli się, a ich dzieci budowały silne królestwo. Wracając do źródeł kultury ludzi-delfinów, nawiązali do tradycji połączonych z handlem, budując porty, z których wypływały statki, handlowali wyrobami rzemiosła, wymieniając je na surowce lub innowacje techniczne. Celem tych wypraw było nawiązanie pokojowych stosunków z autochtonami zamieszkującymi okoliczne wybrzeża, a także stworzenie przedstawicielstw handlowych oraz uzupełnienie map.

Ludzie-delfiny nie starali się nawracać cudzoziemców na swoją religię. Uważali, że każdy lud może mieć własnego boga. O ile więc rozpowszechniali zasady swojego języka i kultury, to o swojej religii wspominali rzadko.

Może to dziwne, ale ich rezygnacja z prozelityzmu, choć początkowo spotykała się z pozytywnym oddźwiękiem, coraz częściej rodziła nieufność sąsiadów. Zwłaszcza mieszkających na północy i wschodzie. Zamiast docenić fakt, że ludzie-delfiny szanowali pierwotną kulturę swoich sąsiadów, ci zaczęli ich podejrzewać, że wyłącznie dla siebie chcą zachować swoje tajemnice. Tak więc scenariusz z kraju skarabeuszy powtórzył się w nieco tylko zmienionej wersji.

Przedstawicielstwa handlowe delfinów oraz ich statki zaatakowane zostały przez bandy złoczyńców. Początkowo nikt nie przykładał do tego wagi. Jednak niebawem prawdziwe wojska zaatakowały z zaskoczenia przygraniczne miasta.

Znowu więc zaistniała konieczność utworzenia armii. Tak jak zalecał kiedyś Pasterz, zgromadzenie dwunastu mędrców zdecydowało

52

utworzyć armię złożoną z żołnierzy-obywateli. Każdy z nich w czasach pokoju wykonywałby swój zawód, a chwyciłby za broń w przypadku zagrożenia kraju. W ten sposób całe społeczeństwo uczestniczyłoby w obronie miast delfinów. Chłopi, rybacy, rzemieślnicy i pisarze początkowo okazali się raczej mało zręcznymi żołnierzami, jednak ćwiczenia spowodowały, że wiedza o ich umiejętnościach zaczęła docierać do okolicznych krajów. Tymczasem armie sąsiadów składały się głównie z nieokrzyszanych żołdaków, których taktykę łatwo było przewidzieć. Ludzie-delfiny wyspecjalizowali się zwłaszcza w sztuce atakowania

oddziałów nieprzyjaciela nocą, w obozowiskach. Palili ich namioty i rozpędzali konie. To zwykle wystarczało, by ostudzić zapał najeźdźcy. Jednak ataki przygraniczne mimo to nie ustały.

I chociaż ludzie-delfiny często mieli przewagę, to jednak ponosili coraz więcej strat. Tak jakby cudzoziemcy przyzwyczaili się do ich taktyki i znaleźli na nią sposób. Tym samym wiele nocnych oddziałów zostało schwytanych i wymordowanych.

Poczucie niepewności źle wpływało na pomyślność kraju. Każda napaść wiązała się z koniecznością zaprzestania działalności gospodarczej, by jak najszybciej zgromadzić wojsko. System zaciągu okazał się ociężały, zwłaszcza w czasie kryzysu. Głosowanie dwunastu mędrców za lub przeciw działaniom militarnym odbywało się na zasadzie balotażu. Członkowie zgromadzenia, czując ciężar decyzji, postanowili zrezygnować ze swojego przywileju. Opowiedzieli się za wyborem króla, który posiadałby całą władzę wykonawczą - jak to było w kraju skarabeuszy - podczas gdy oni zajmowałiby się kwestiami ustawodawczymi. Ogłosili królem najbardziej wsławionego w walkach generała. Ten zaraz podniósł podatki, co pozwoliło stworzyć zawodową armię. Zaprzestano systemu opartego na rekrutacji do wojska.

Dzięki nowej armii naród ludzi-delfinów zaznał okresu względnego spokoju. Jednak wielu obywateli sprzeciwiało się centralizacji władzy. Wybuchły bunt przeciw podatkom, które uważano za niesłuszne. Ludzie-delfiny walczyli z ludźmi-delfinami. To była pierwsza wojna domowa na terytorium delfinów.

Nieposłuszeństwo, które kiedyś stało się źródłem ich siły, teraz okazało się ich słabością. Król wygłosił publicznie pełną żalu mowę: „Kiedy nie ma już wroga, któremu musielibyśmy stawić czoła, sami dla siebie stajemy się nieprzyjaciółmi. Kiedy wreszcie nauczymy się żyć bez nieporozumień między sobą?”.

W tym samym czasie pojawiła się, niszcząc wszystko, co napotkała na swojej drodze, przybyła z północy ogromna armia ludzi-szczurów. W sąsiednich portach wiele opowiadano o tych żołnierzach i o dzieciach popychających przed sobą naród duchów. A w bibliotekach ludzi-delfinów odnaleziono książki mówiące o niegdysiejszej wielkiej inwazji.

Ludzie-delfiny opierali się, jak tylko potrafili ludziom-szczurom, jednak ich armia była za mało liczna, a ich monarchia zbyt młoda, aby odeprzeć liczne oddziały doświadczonych żołnierzy, walczących z niezwykłą determinacją. Odparli dwa ataki, lecz trzeci okazał się klęską.

53

I znowu ludzie-szczury zajęli królestwo delfinów. Zburzono świątynię, spalono księgi.

Jednak ludzie-szczury wiedzieli już, że mordując wszystkich, nic nie zyskają, a najlepsze, co mogą zrobić, to zmuszenie podbitych ludów do tego, żeby pracowały dla nich. W efekcie ogłosili królem jednego z ludzi-delfinów, całkowicie im uległego. Wprowadzili też dla wszystkich obywateli wysokie podatki. Chcąc zyskać prawo do życia, podbity lud

zaopatrywał ich w metale, żywność oraz najbardziej nowoczesną technologię. Najpiękniejsze kobiety oraz najlepsi uczeni z ludu delfinów zostali schwytani i jako więźniowie wywiezieni do szczyrzej stolicy. Tymczasem niewielkiej grupie ludzi-delfinów, w skład której weszło dwunastu mędrców tworzących zgromadzenie, ale bez poległego w walce króla, udało się uciec drogą morską.

Żeglując wzdłuż brzegu, dotarli do kraju ludzi-skarabeuszy.

Tam, działając w największej tajemnicy, dotarli do pałacu króla. Stanąwszy przed jego obliczem, przypomnieli mu, jak kiedyś przyczynili się do rozwoju tamtejszego społeczeństwa. Mieli świadomość, że nie mogą działać oficjalnie, ale zaproponowali, że pomogą mu w tajemnicy. W dowód swojej dobrej woli wyjawili mu mądrość wywodzącą się spoza kultu delfinów: opowiedzieli o pierwotnym kulcie mrówek. Opowiedzieli o tym, że piramidy budowano na wzór mrowisk, i że jedna trzecia część każdej budowli stanowiła miejsce odbioru pochodzących z kosmosu fal.

Król skarabeuszy znał dobrze odwieczną urazę swoich poddanych do ludzi-delfinów, niemniej ich opowieść wzruszyła go tak bardzo, że postanowił w tajemnicy udzielić im schronienia.

16. ENCYKLOPEDIA: ECHNATON

Nazywał się Amenophis IV lecz przybrał imię Echnaton, co oznacza „ten, który podoba się Atonowi”, bogu Słońca. Panował w latach 1372-1354 i był pierwszym faraonem monoteistą.

Nieliczne zachowane posągi przedstawiają go jako wysokiego mężczyznę o podłużnej twarzy, oczach w kształcie migdałów, pogodnym spojrzeniu, wydatnych wargach i długim podbródkiem, zakończonym rurkową brodą.

Jego małżonka, Nefertiti, często przedstawiana jest u jego boku w farańskim nakryciu głowy, co dowodzi, że król przyznał jej status równy swojemu. Najprawdopodobniej to ona przyczyniła się do wprowadzenia przez władcę reform.

Echnaton prowadził politykę modernizacji egipskiego społeczeństwa, tworząc tym samym nowe cesarstwo. Zdetronizował główne egipskie bóstwo, Amona-Re, przedstawianego z głową barana, i zastąpił go bogiem Słońca, Atonem, którego ogłosił jedynym bóstwem. Była to prawdziwa rewolucja religijna, spotęgowana jeszcze przez rewolucję polityczną.

54

Poświęconemu bogu Amonowi miastu Uaset (nazwanemu później przez Greków Tebami) odebrał status stolicy, przenosząc ją do przeznaczonego bogu Atonowi miasta Achetaton (dzisiejsze Tell el-Amar-na).

Wyraz „aton” oznacza światło i ciepło, ale również sprawiedliwość oraz obecność we wszechświecie życiową energię. Echnaton pozwolił Nubijczykom oraz Hebrajczykom uczestniczyć w swoim rządzie. „Aton” bez wątplenia wywodzi się od hebrajskiego słowa „adon”, Adonai, będącego w tym języku określeniem Boga. Również w życiu artystycznym

za panowania faraona Echnatona nastąpiły wyraźne zmiany. Malowidła stały się bardziej realistyczne, dalekie od scen bitewnych i religijnych, które dotąd inspirowały malarzy. Przedstawiano na nich życie codzienne oraz rodzinne.

Elity szybko uznały ideę „Jednego, wielkiego boga”, zastępującą cały panteon dotychczasowych bóstw, z których każde specjalizowało się w jakiejś dziedzinie. Za czasów faraona Echnatona wpływ egipskiego imperium sięgał od obecnej Etiopii aż do południowej Turcji. Faraon kazał wybudować sobie grobowiec, którego oś umożliwiła promieniom słonecznym oświetlanie całego wnętrza. Tymczasem wojna była blisko. Księżę Rib Addi z Byblos (obecnie w Libanie), którego królestwo zaatakowały koczownicze plemiona przybyłe z pustyni, rozpaczliwie wzywał pomocy. Jednak Echnaton był zbyt zajęty wznoszeniem stolicy i kierowaniem królestwem, aby zareagować. Nic nie zrobił także wówczas, gdy jego północne miasta zaatakował lud Khabiri, później Indoeuropejczycy, następnie Hetyci. Dopiero kiedy Damaszek, Qadnesh i Qatna wpadły w ręce najeźdźców, zdecydował się wreszcie pospieszyć ze swoją armią. Jednak wie-dy było już za późno.

Kapłani Amona, wykorzystując niepowodzenia militarne, oskarżyli wyznającego monoteizm faraona o herezję. W 1340 roku przed Chrystusem generał Ahoreb dokonał wojskowego zamachu stanu. Echnaton został zamordowany, a Nefertiti zmuszono do nawrócenia się na kult boga z głową barana. Nową stolicę zrównano z ziemią, zniszczono również podobizny „faraona heretyka”. Pozostały tylko nieliczne wyjątki. Również z hieroglifów wymazano wszelkie odniesienia do Echnatona.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

17. LWY

Ludzie-lwy osiedlili się ostatecznie w centrum równinnego regionu. Wzniesli liczne doskonale prosperujące miasta, z których każde posiadało świetnie zorganizowaną armię. Ich cywilizacja nie błyszczała dzięki swojej oryginalności, ale wstawiła się skutecznością.

Ludzie-lwy

55

przejęli kilka cech ludu szczurów, zwłaszcza bardzo skuteczne oddziały ofensywne, unowocześnione wprowadzeniem długich, trzymetrowych włóczni, pozwalających zatrzymać szarżę kawalerii. Podobnie jak szczury, kochali wojnę i walecznych żołnierzy. Jednak od brutalnych bohaterów woleli bohaterów przebiegłych.

Ludzie-lwy pragnęli podbojów. Ich okręty atakowały statki handlowe należące do ludzi-delfinów i ludzi-wielorybów oraz ludzi-byków. Zdobywali w ten sposób produkty żywnościowe i bogactwa oraz brali więźniów, którzy uczyli ich nowych technologii. Zatem większość statków handlowych musiała szybko pomyśleć o uzbrojeniu.

Na lądzie, dzięki dobrej gospodarce zasobami rolnymi, demografia przeżywała prawdziwy rozwój i jeśli nawet żadne z miast ludzi-lwów nie było tak rozwinięte jak kwitnąca stolica ludzi-wielorybów, to razem i tak tworzyły silne królestwo.

Król ludzi-lwów rozpoczął podboje od ataku na wyspę ludzi-byków. Jej mieszkańcy byli radosni i lubili święta. Kobiety-byki nosiły krótkie zakieciki sięgające tylko do piersi, co pozwalało im lepiej pokazać swoje wdzięki. Kobiety-byki poświęcały się uprawie winorośli, z której otrzymywały słynny nektar. Poza tym, dzięki obecności kilku ludzi-delfinów, którzy osiedlili się wśród nich, nauczyły się pływać i porozumiewać z delfinami. Jednakże ich flota handlowa nie zdołała stawić czoła militarnej potędze ludzi-lwów. Jeden z oddziałów dostał się nocą do miasta. W ciemnej uliczce żołnierze napotkali młodą kobietę, której zagrozili śmiercią, jeśli nie wskaże im drogi do pałacu. Posłuchała ich rozkazu. Dotarwszy z nią do pałacu, podpalili stajnie i, wykorzystując efekt zaskoczenia, dostali się do środka.

Kiedy dotarli do komnaty króla ludzi-byków, władca spał. I chociaż błagał, aby go oszczędzili, podcięli mu gardło. Skoncentrowanie władzy w jednej osobie z pewnością było jedną ze słabych stron systemu monarchicznego. Jego śmierć powodowała bowiem upadek całego systemu. Kilku generałów, którym udało się przeżyć, zafascynowanych niezwykłą siłą przeciwnika, po krótkim wahaniu zdecydowało się do niego przystać.

Odtąd wyspa stała się integralną częścią królestwa lwów, a wszystkie jej bogactwa zostały zagarnięte.

Po czym skrybowie ludzi-lwów wymyślili legendę, według której dzielny bohater przemierzył ogromny labirynt, a następnie, wspomagany miłością kobiety, dostał się do pałacu tyrana. Tam spotkał kró-la-potwora o ciele człowieka i głowie byka, który żywił się dziewicami składanymi przez lud w ofierze. Pokonał go podstępem, a potem poślubił tę, która pomogła mu wydostać się z labiryntu. Historia była wystarczająco piękna, aby nikt nie chciał podawać jej w wątpliwość.

Zachęceni pierwszym sukcesem ludzie-lwy napadli teraz na ludzi-śledzie, morski lud, który zbudował swoje dobrze chronione miasto na szlaku wodnym i potrafił to położenie doskonale wykorzystać, żądając opłaty od wszystkich przepływających tamtędy statków.

Oni również przygarnęli kilku ludzi-delfinów, dzięki którym nauczyli się pisać oraz doceniać znaczenie bibliotek. Cytadela ludzi-śledzi była

56

znacznie lepiej ufortyfikowana niż miasto ludzi-byków, a ich żołnierze bardziej zaprawieni w walce. Toteż wojna pomiędzy ludźmi-śledziami i ludźmi-lwami trwała długo. Obydwa obozy wystawiały najlepszych żołnierzy, aby u murów miasta ludzi-śledzi toczyli pojedynki.

Aż pewnego razu, znowu dzięki zdradzie, ludzie-lwy zdołali dostać się do samego serca fortecy ludzi-śledzi i wymordować podczas snu wszystkich mieszkańców. Długotrwałe oblężenie tak nadszarpięło nerwy ludzi-lwów, że nikogo nie pozostawili przy życiu. W ciągu jednej nocy całą ludność wycięto w pień.

Straszliwy koniec ludzi-śledzi, opowiadany przez wędrowców, rozszławił z kolei ludzi-lwy jako silny naród. To z kolei spowodowało samoistne poddanie się kilku innych ludów, które w obawie przed strasznym losem, jaki spotkał ludzi-śledzi, wołały stać się niewolnikami.

Od tej chwili nic już nie mogło zatrzymać ludzi-lwów. Zdecydowali, że podbiją cały świat. A ich legenda docierała wszędzie przed nimi.

Bez trudu odnosili zwycięstwa, aż do dnia, w którym dotarli do terytorium ludzi-szczurów.

W tym czasie na czele królestwa lwów stał człowiek młody i porywczy, który obiecał swoim poddanym, że chwała ich ludu obejmie całą planetę. Zaledwie 25-letni władca, zafascynowany bitwami, z zapalem studiował strategię razem z tysiącem lwich generałów. To on wprowadził nowe zasady użycia kawalerii na flankach. Ludzie-szczury cieszyli się opinią odważnych żołnierzy, jednak młody król uważał, że poradzą sobie z nimi już podczas pierwszego starcia.

Do konfrontacji dwóch najpotężniejszych armii świata doszło na rozległej równinie. Tego dnia 45 tysięcy żołnierzy ludzi-lwów stanęło przeciw 153 tysiącom żołnierzy ludzi-szczurów. Nad głowami nieprzyjacielskich armii zagrzmiało.

Ludzie-szczury ustawili wojsko w jednej linii, tak aby zasłonić cały horyzont i pokazać swą liczebną przewagę. Widać było ich ciężką piechotę, kawalerię, włóczników, procarzy i łuczników.

Ludzie-szczury przyzwyczaili się, że samo rozstawienie ich wojsk wystarczało, aby przeciwnik się poddał. Jednak nie tym razem.

Na rozkaz młodego króla armia ludzi-lwów ustawiła się w długi wąski prostokąt, tak że przeciwnik nie był w stanie odgadnąć ich dokładnej liczby.

Ludzie-szczury dali sygnał do ataku.

W tym samym momencie stojąca z tyłu kawaleria ludzi-lwów pogalopowała na flanki. Ku zdziwieniu szczurzych łuczników, usiłujących trafić jeźdźców swoimi strzałami, ci nie zatrzymali się po bokach, lecz popędzili dalej, wyminęli wojsko przeciwnika i zajęli pozycję za jego armią.

Gdy tylko jazda szczurów rozpoczęła swoją szarżę, oczom zgromadzonych ukazała się przedziwna choreografia. Wielki prostokąt zbudowany z żołnierzy-lwów rozpadł się na małe kwadraciki, tworzące najeżone włóczyniami falangi, ochraniane murem z tarcz tak skutecznie, że nieprzyjacielscy jeźdźcy nijak nie mogli się do nich zbliżyć. Na próżno usiłowali atakować, przemieszczając się między poszczególnymi falan-

57

gami. W końcu, prowadzeni siłą rozpędu, znaleźli się naprzeciw linii łuczników, którzy wykosili ich swoimi strzałami. Widząc to, rozproszona piechota szczurów rzuciła się na ciągle zwarte, ustawione w kwadraty oddziały lwów.

Wtedy, jakby na jeden sygnał, lwie falangi połączyły się po dwie, tworząc rodzaj imadła, które zmiążdżyło przeciwnika.

Szczurza piechota przypominała teraz długi bochen chleba, którego skórkę po bokach wydłubały pary kolczastych taranów.

Dopiero wtedy szczurzy żołnierze zorientowali się, że lwia kawaleria zaatakowała ich od tyłu. Po kolczastych taranach przyszedł czas na krojenie chleba tasakiem.

Szczury walczyły z odwagą. Jednak nie były w stanie spowodować realnych szkód w armii przeciwnika. Dobrze chronionym przez otoczone wysokimi tarczami kwadratowe falangi ludziom-lwom w żaden sposób nie zagrażały miecze ani włócznie przeciwnika.

W obozie szczurów nastąpił ów moment zawahania, w którym wiadomo już, że zwycięstwo jest niepewne, a potem ten kolejny, kiedy przegrana okazuje się faktem. Ponieważ kawaleria lwów znajdowała się na tyłach armii szczurów oraz zamykała flanki, nie było nawet możliwości ucieczki. Jatka trwała jeszcze przez wiele godzin.

Wreszcie rozległ się dźwięk trąbek wzywających do odwrotu. Następnie, jako że niebo zaczęło się przejaśniać, widać było całe kohorty much i wron lecących po pożywieniu.

To był koniec szczurzej pychy. Ze 153 tysięcy żołnierzy przeżyło tylko 400, którzy zdołali uciec, korzystając ze zmęczenia przeciwnika.

Potem wszystko działo się bardzo szybko. Otoczona aureolą zwycięstwa lwia armia, której bitwa stała się legendą, została przyjęta jak wy-zwolicielka przez ludy podległe szczurom. W każdym niemal zakątku królestwa ludzi-szczurów wybuchały bunty, poprzedzające nadejście lwów.

Wkrótce z ludzi-szczurów pozostał tylko długi sznur uciekinierów.

Udało im się jednak zbudować wysoko w górach ufortyfikowane miasto. Tam gromadzili się, próbując zrozumieć, jak to się stało, że przegrali i to w dodatku tak szybko. Tym razem nie myśleli ani o karaniu dla przykładu, ani o zabijaniu co dziesiątego. Najważniejsze to przeżyć. I uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z najeźdźcą.

Rozentuzjasmowani ludzie-lwy, idąc za ciosem, ze swoim walecznym królem na czele, nazywanym odtąd Nieustraszonym, wyruszyli na podbój ludzi-krokodyli, których zepchnęli na dalekie bagna. Ulegli im też ludzie-ropuchy i dopiero lud termitów stawiał tak silny opór, że ludzie--lwy zaprzestali marszu na wschód i zawrócili na południe. Powtórnie przemierzyli terytorium ludzi-delfinów i poszli dalej, aż dotarli do kraju ludzi-skarabeuszy.

Nieustraszony zasłynął nie tylko w sprawach dotyczących falang i kawalerii, ale także jako doskonały dyplomata. Wpadł na pomysł, żeby podbitych władców pozostawiać na tronie w charakterze wasali. Takie łagodne postępowanie okazało się tym bardziej korzystne, że królowie doskonale znali swój kraj i wspaniale radzili sobie z jego administracją. Tym samym rzadziej wybuchały bunty. Poza tym takie traktowanie

czyniło z Nieustraszonego „najeźdźcę nie wywołującego urazu”, a zatem „do zaakceptowania”.

Ludzie-lwy korzystali ze swoich eskapad, przyswajając sobie wynalazki i odkrycia podbitych ludów. A odkrywszy w różnych miastach dzielnice delfinów, zrozumieli że warto ich wykorzystać jako swojego rodzaju rezerwę inwencji oraz wiedzy.

Z inicjatywy Nieustraszonego należący do ludu delfinów naukowcy i artyści zostali umieszczeni w specjalnych dzielnicach. Młody król kazał nawet wybudować dla nich otoczone murem miasto, gdzie mogliby pracować w spokoju i dobrych warunkach. Za jego hojne dary odwdzięczyli mu się po stokroć.

Język delfinów, którym posługiwali się w tym mieście, stał się językiem nauki w całym lwim królestwie.

Pewnego dnia jeden z mędrców-delfinów, obserwując odbicie promienia słońca w studni, wynalazł system określania kątów, umożliwiającym zmierzenie wielkości planety. Inny z kolei, wątpiąc w prawdziwość poznania za pomocą zmysłów, napisał traktat filozoficzny. Trzeci zaś opracował zasady sztuki teatralnej, wprowadzając jedność akcji, miejsca i czasu. W ten sposób teatr stracił charakter religijny, stając się widowiskiem rozrywkowym.

W chronionym przez siły ludzi-lwów mieście, zamieszkanym przez ludzi-delfiny, sztuka i nauka przenikały się nawzajem.

18. ENCYKLOPEDIA: MILET

W Milecie, jońskim mieście położonym w Azji Mniejszej, powstał pierwszy ruch naukowy, na czele którego stanęli Tales, Anaksyman-der i Anaksymenes. Wszyscy trzej przeciwstawiali się dawnej kosmogonii Hezjoda, głoszącej istnienie świata stworzonego przez bogów o ludzkich twarzach. Ich poczucie świętości sprawiło, że odrzucili an-tropomorfizm, skłaniając się raczej ku odnajdywaniu boskiego pierwiastka w przyrodzie. Dla Talesa bóg jest wodą, dla Anaksymenesa powietrzem, zaś dla Anaksymandra nieskończonością. Według czwartego filozofa, urodzonego w V wieku przed Chrystusem Demokryta, wszechświat wypełniają atomy, które zderzając się przypadkowo ze sobą, stworzyły światy oraz człowieka.

Nieco później, bardziej na zachodzie, w Atenach, Sokrates i jego uczeń Platon, ukształtowani przez poglądy mistrzów z Miletu, stworzyli podwaliny filozofii greckiej. Aby lepiej przedstawić istotę świata, w którym ewoluuje człowiek, Sokrates posłużył się alegorią jaskini. Według niego człowiek jest podobny do żyjącego w grocie więźnia, przykutego do swojego nędznego losu, z twarzą nieustannie zwróconą do środka. Widzi, jak na ścianie, w blasku ognia, przesuwają się cienie poruszających się za jego plecami przedmiotów i wyobraża sobie, że to, co widzi, to rzeczywistość. Tymczasem to tylko złudzenie. Gdyby oswobodzić tego więźnia i pozwolić mu się odwrócić, by mógł

zobaczyć przedmioty, których zarys widzi, oraz ożywiający je ogień, byiby przerażony. Gdyby następnie zabrać go do wejścia do jaskini, aby zobaczył prawdziwe światło, poczuje ból, a jasność go oślepi. Jednakże jeśli pójdzie dalej tą drogą, uda mu się spojrzeć na słońce, będące prawdziwym źródłem wszelkiego światła.

Zdaniem Sokratesa ten więzień to filozof. A kiedy wróci do jaskini, nikt z tych, którzy tam pozostali, nie uwierzy jego opowieściom, a najgorsze spotka go ze strony tych, których chciałby wyzwolić od kłamstwa oraz złudzeń.

Oskarżony o bezbożność i psucie młodzieży Sokrates został skazany w 399 roku przed Chrystusem na śmierć przez wypicie cykuty.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

19. BILANS SYZYFA

Zapalają się światła, historia świata ludzi zamieszkujących Ziemię 18 toczy się dalej bez nas. Bogowie-uczniowie mrużą oczy zmęczone długotrwałym wpatrywaniem się w ludy za pomocą lup swoich zaokrąglonych krzyży.

Czuję, że ścieka po mnie pot i cały drzę. Tak, jakbym wdrapał się na odwróconą ósemkę symbolizującą nieskończoność, atakowany przez tysiące silnych emocji. Już rozumiem, dlaczego my, bogowie, mamy ciała. Ta zewnętrzna powłoka umożliwia nam doświadczanie silnych odczuć.

Obserwacja życia ludzi jest jak narkotyk. Kiedy się na nich patrzy, nic innego się nie liczy.

Schodzę ze stołka. Czuję suchość w ustach. Odnoszę wrażenie, że uczestniczyłem w wysokonakładowym filmie, który nie zakończył się szczęśliwie.

Najsilniejszy lud, zwycięska cywilizacja poddała się podczas jednej bitwy... ludziom-lwom Etienne'a de Montgolfiera. Z tego, co zbudowali ludzie-szczury, pozostało tylko jedno ufortyfikowane miasto, położone wysoko w górach, gdzie przerażeni ukryli się pod ziemią, jak zwierzę, które przedstawiono na ich totemie.

To, co widzieliśmy, daje nam wiele do myślenia. A więc cywilizacje nie tylko są śmiertelne, ale też nigdy nie mogą być pewne, że nagle nie nadejdzie jakaś mocno zdeterminowana jednostka i nie unicestwi ich w ciągu jednego dnia. Jak mówił Edmond Wells, wystarczy jedna kropla, by ocean wystąpił z brzegów.

I pomyśleć, że w poprzedniej grze to ludzie-szczury byli zwycięzcami, podczas gdy ludzie-lwy Montgolfiera byli tylko zwykłym, opóźnionym cywilizacyjnie plemieniem. A teraz mają ponad sto dużych miast, tysiące hektarów ziem, a także wszystkie technologie, których im brakowało, nie mówiąc już o skarbach i zapasach żywności czy minerałach. Ich zwycięstwo daje nową nadzieję uczniom zagubionym gdzieś tam, na

końcu peletonu. Młody, zdeterminowany król, mający kilka dobrych pomysłów, niekoniecznie bardzo nowatorskich, tylko trochę przebiegłych: falangi, dłuższe włócznie, dobra mobilizacja kawalerii, tak właśnie zdobywa się główną wygraną.

Pamiętam znajomego kolarza, uczestniczącego w Tour de France, który zdradził mi kiedyś: „W zasadzie to peleton pozwala zachować siły. Ci, którzy wysuwają się do przodu, ponoszą ryzyko, nic ich nie chroni, męczą się. Ci, którzy jadą zaraz za nimi, są spięci, nie mogą dogonić czołówki i też tracą siły. Natomiast jadący w środku peletonu wspierają się nawzajem. Można nawet powiedzieć, że grupa powoduje swego rodzaju efekt dynamizujący, który sprawia, że kolarze mniej się męczą. To właśnie tu wszystko się rozgrywa. Jadący w peletonie cykliści rozmawiają ze sobą, prowadzą negocjacje, zamieniają się miejscami. Pozwalają sobie nawzajem wygrywać poszczególne etapy, tak aby każdy miał swoją chwilę sławy". I jeszcze dodał: „Od początku wyścigu wszyscy widzą, kto wygra, i wystarczyłoby rozegrać jeden etap górski, aby zobaczyć, kto to jest... A jednak spektakl musi rozegrać się cały, tak aby każdy coś zyskał, a zwłaszcza sponsorzy. A więc robi się show".

Taka wizja Tour de France zaskoczyła mnie wtedy. Ale jak dziś popatrzę na to, w jaki sposób toczy się nasza gra, widzę, że jest podobnie. Nie należy być na czele, trzeba pozwolić prowadzić się peletonowi, trzeba korzystać z końca danej partii, ustalając między sobą dalsze posunięcia.

Sarah Bernhardt wyraża głośno to, co wielu z nas myśli po cichu.

- Sądzę, że możemy pogratulować Etienne'owi jego pięknego zwycięstwa.

Spojrzenia kierują się w stronę tego, który walczył dziś o tytuł mistrza.

Sarah Bernhardt klaszcze, pozostali także. Wszyscy wstajemy. Owacje. Etienne de Montgolfier kłania się.

To, że moi ludzie znajdują się w jego rękach, trochę mnie uspokaja. Mam możnego protektora. Gdzieś tam moi naukowcy mogą wreszcie budować laboratoria, a moi artyści zakładać pracownie, nie obawiając się prześladowań ani rasizmu. Dzięki Montgolflerowi mój lud ma chwilę wytchnienia.

Proudhon, bóg-uczeń ludzi-szczurów, siedzi w milczeniu. Jego postać wzbudza ogólny entuzjazm: nie ma nic bardziej satysfakcjonującego niż zobaczyć, jak unieszkodliwia się tych, którzy nam zagrażali.

Jednak są i tacy, którzy biją brawo z większą rezerwą. Oni nadal mają przed oczami los, jaki spotkał lud byków oraz lud śledzi. „Może tylko zmienił się drapieźnik" - mówią.

Syzyf, nasz nauczyciel pomocniczy ponownie włącza umieszczony nad planetą reflektor i zaprasza każdego z nas do sprawdzenia, jak sobie radzą jego ludzie, i sporządzenia bilansu swojej pracy.

Podchodzimy. Niektórzy wyjmują podnóżki, niewielkie stołki lub rozstawiają drabiny, aby wspiąć się na wysokość równika Ziemi 18.

Szukam mojej rozproszonej społeczności. Oprócz tych, którzy mieszkają w chronionych przez ludzi-lwy miastach, niemal wszędzie można spotkać delfiny.

61

Przykładam oko do lupy mojego ankh, by im się dobrze przyjrzeć. Moi ludzie-delfiny podróżują, wchodzą w układy, zajmują się handlem, ofiarowują swoją wiedzę, by zdobyć akceptację. Ale udaje im się przetrwać. Ja na ich miejscu byłbym przerażony. Oni, mimo tych wszystkich strasznych przeżyć, wydają się przyjmować swój los z wiarą w przeznaczenie.

Mam wrażenie, że los moich ludzi-delfinów jest kopią historii, jaka zaistniała na Ziemi 1... Ale z drugiej strony, jak znaleźć spójny scenariusz gdzie indziej niż w pierwotnej historii? My, bogowie-uczniowie, działamy podobnie jak dzieci, które, będąc osobami dorosłymi, powielają wzorzec małżeństwa swoich rodziców, bo to dla nich jedyny punkt odniesienia. I jeśli Ziemia 18 przypomina często Ziemię 1, dzieje się tak z pewnością dlatego, że debiutującym bogom brak wyobraźni, a poza tym boją się wprowadzać innowacje. A tak właściwie w czym jesteśmy inspiracją dla naszych śmiertelników, oprócz wojny, wznoszenia miast, rolnictwa, dróg, nawadniania i odrobiny nauki?

Powinienem stworzyć własny styl boskiej sztuki, różniący się od innych. Sądzę, że brakuje mi oryginalności. Muszę zapomnieć o tym wszystkim, co pozostało w mojej pamięci z podręczników historii, z których uczyłem się na Ziemi 1. Tylko w ten sposób będę mógł wyobrazić sobie oryginalną, jedyną i nadzwyczajną epopeję mojego ludu. W końcu kiedyś, na Wyspie Spokoju ludzie-delfiny pokazali już, na co ich stać.

I chociaż nie mają dziś swojego państwa, pozostały im książki. Te dzieła naukowe to ich nowe, niematerialne terytoria.

Muszę bardziej zaangażować się w sprawy związane z nauką. Dobrze by było, gdyby udało im się szybko zbudować samochody i samoloty.

Chemia jako dziedzina wiedzy w zasadzie jeszcze nie istnieje. Czy zatem połączyć chemię z mistyką? Posłużyć się alchemią lub kabałą? W końcu Newton był zagorzałym alchemikiem, choć rzadko się o tym mówi. I pasjonowała go zagadka kamienia filozoficznego.

Szyf zaczyna sprawdzać nasze prace. Nie robi przy tym żadnych notatek, tylko zapamiętuje te elementy, które go interesują. Patrzy z wyraźnym ożywieniem. Podchodząc do mnie, pyta:

- Czy posłużył się pan prorokiem?
- Tylko medium. Pomyślałem, że pomoże im zorganizować kolejne zrywy. Ale sądę, że i tak poradziliby sobie bez niego - staram się umniejszyć jego rolę.

Dobry Boże, mam nadzieję, że Szyf nie zrobi tak jak Afrodyta z powodu cudów. Ona „stsunamizowała” moją wyspę.

- Wiem, że należy unikać cudów i proroków, ale...

- Nie lubię proroków - mówi Syzyf. - To mi się zawsze kojarzyło z oszustwem. Można osiągnąć dany cel w bardziej zręczny sposób.

- Moi ludzie byli niewolnikami. Potrzebowali lekkiego popchnięcia palcem.

Syzyf drapie się po brodzie.

- Jest pan pewien?

- Byli jak króliki oślepienie światłami samochodu. Surowość kapłanów skarabeuszy miała na nich tak wielki wpływ, że nawet nie śmieli myśleć o tym, aby się im przeciwstawić.

62

- Jest pan tego pewien? - zapytał ponownie.

- Poza tym... musieli przecież pokonać pustynię... i to nie wiedząc, co znajduje się przed nimi. Bez charyzmatycznego przewodnika nigdy by się na to nie zdobyli. Oprócz tego, że by zabłądzili, to na pewno umarliby z pragnienia.

Syzyf wyjmując niewielki notesik i kartkuje go, najwyraźniej czegoś szukając.

- Wydaje mi się, że pańscy ludzie-delfiny razem z ludźmi-mrówkami już kiedyś zagłębili się w nieznaną, by uratować życie... Ta ucieczka zakończyła się szczęśliwie, kiedy cali i zdrowi dotarli do wyspy. Chociaż nie było wśród nich proroka.

No tak, oni wszystko wiedzą.

- To prawda. Nie było proroka w dosłownym znaczeniu, jednak mimo wszystko była z nimi kobieta medium.

Kiwa głową ze zrozumieniem.

- Abstrahując od tego szczegółu... Niech pan się przyzna, ma pan szczególny dar do tego, aby pakować swoich ludzi w kłopoty.

- Proszę wybaczyć, ale ja nic takiego nie robię, kłopoty pojawiają się same.

- A jak pan to wytłumaczy, Michaelu Pinsonie? Ten brak szczęścia?

- Gdybym nie był bogiem-uczniem, mógłbym tak sądzić, ale zważywszy na to, co wiem, powiedziałbym, że my, ludzie-delfiny, posiadamy tradycję wolności oraz walki z tyranami. Jednocześnie nasze poczucie niezależności drażni od razu wszystkich wrogów.

- Chce pan przez to powiedzieć, że pańscy koledzy nie hołdują tej tradycji?

Węszę pułapkę.

- Nie, oczywiście, że nie. Mają podobne aspiracje, ale widzą, że najpierw ich ludy muszą zdobyć dobre podstawy bytu i wykształcenie. Dopiero potem otrzymają prawo do

wolności. W przeciwnym razie ludzie nawet tego nie docenią. Być może ja zbyt szybko wpoilem im tę miłość.

Dostrzegam w spojrzeniu Syzyfa aprobatę, więc ciągnę dalej:

- To dlatego mam tyle problemów. W tym również problemy wewnętrzne... Zauważyłem bowiem, że kiedy moi ludzie-delfiny są wolni, nadużywają swojego wolnomyślicielstwa i to do tego stopnia, że nigdy nie zgadzają się ze sobą. Jest w nich taki duch przekory, że gdzie spotyka się moich dwóch ludzi-delfinów, tam rodzą się... trzy opinie.

Bóg-nauczyciel ustawia swój ankh, aby lepiej przyjrzeć się mojemu ludowi. Po chwili prowadzi dalej swoją inspekcję, zwracając się do Proudhona.

- Udało mi się skończyć z Amazonkami. Reszta to tylko perypetie... Każdy żywy organizm ma okresy wzlotów i upadków. Powiedzmy, że aby zregenerować siły, znalazłem się w stanie hibernacji - usprawiedliwia się anarchista.

Syzyf znowu spogląda na Ziemię 18, następnie wraca na podium, aby ogłosić zwycięzców i przegranych.

- Zwyciężył lud ludzi-tygrysów Georges'a Meliesa.

63

Ogólne zaskoczenie. Ponieważ cywilizacja Georges'a Meliesa leży nieco na uboczu głównych konfliktów, niewielu z nas zwróciło na nią uwagę. Kojarzę jednak, że tam, na wschodzie, na swoim ogromnym terenie otoczonym wysokimi górami, Georges Melies mógł spokojnie realizować plany, o których ja sam myślałem: budować wielkie miasta w oryginalnym stylu architektonicznym, zakładać uczelnie naukowe i artystyczne, wprowadzać skodyfikowane zasady postępowania. Nie zaznając najazdów, spokojnie dokonał ogromnego postępu w dziedzinie medycyny, higieny, żeglugi oraz kartografii. Ma najlepiej rozwiniętą metalurgię. Lemiesz jego pługów są wyjątkowo skuteczne, a zbiory o wiele bardziej rentowne niż w sąsiednich krajach. Melies zasugerował swojemu medium użycie mąki do produkcji klusek. Okazuje się, że ten nowy produkt żywnościowy łatwo przechowywać. W przeciwieństwie do chleba, który szybko schnie i twardnieje, kluski długo nadają się do użytku, ponieważ wystarczy wrzucić je do wrzącej wody, aby ponownie stały się miękkie. Ludzie-tygrysy używają zaopatrzonej w żagiel taczki, której centralnie położone koło umożliwia transportowanie dużych ciężarów bez nadmiernego zmęczenia.

Syzyf wyjaśnia, że Georges Melies bardzo nas wszystkich wyprzedził, ponieważ w jego miastach pojawiają się pierwsze fabryki.

- To już nie jest królestwo, lecz nowoczesne imperium przemysłowe - stwierdza.

Nauczyciel pomocniczy zaprasza nas do podziwiania dzieła kolegi. Widzimy ogromne terytorium z dużymi, rozwiniętymi miastami. Niektóre z nich liczą dziesiątki tysięcy mieszkańców. Miasta połączone są siecią dróg. Żywność pochodzi z pól nawadnianych za

pomocą systemu platform tworzących na zboczach coś na kształt stopni, którymi spływa deszczówka.

W dziedzinie rolnictwa ludzie-tygrysy udoskonalili przetwarzanie ludzkich ekskrementów używanych jako nawóz. Potrafią tak dozować odchody, aby uniknąć ryzyka infekcji. Całe miasta wyspecjalizowały się w eksporcie środków użyźniających ludzkiego pochodzenia.

Jego stolica kwitnie. Rzemieślnicy wyrabiają ubiory z tkanin powstałych na bazie nitkowatej wydzielin gąsienic.

Pod wpływem ludzi wykształconych wszystko jest usystematyzowane: muzyka, malarstwo, poezja, rzeźba. Także gastronomię uważa się tu za rodzaj sztuki, ponieważ dysponując dużą różnorodnością produktów żywnościowych, można wymyślać nowe kompozycje potraw. Śmiertelnicy Georges'a Meliesa szczególnie upodobali sobie krojenie mięsa, warzyw i owoców na małe kawałki i przygotowywanie z nich potraw, w których mieszają się wszystkie smaki.

Sukces ludzi-tygrysów jest niezaprzeczalny. Udało im się rozwiązać wszystkie problemy dotyczące zaspokajania podstawowych potrzeb, bezpieczeństwa oraz pożywienia, i mogą ze spokojem poświęcić się rozwijaniu potrzeb drugorzędnych, takich jak kultura, komfort, wiedza.

W chwili, kiedy skończyła się dzisiejsza gra, w całym imperium tygrysów nauka oraz sztuka poświęcone były księżycowi. A zatem Ziemia 18, podobnie jak Ziemia 1, ma swój księżyc, tyle że trochę mniejszy od

64

tego, który widziałem, będąc ziemskim śmiertelnikiem. Tygrysi artyści obserwują go, malują, śpiewają o nim, staje się on tematem ich muzyki, marzą o podróżach kosmicznych.

Rzeczywiście, Melies najpełniej skorzystał z nauk Syzyfa. Jego religia opiera się na przeciwieństwie, a jednocześnie uzupełnianiu się pierwiastka męskiego i żeńskiego. A mnie się wydawało, że mój bóg światła to prawdziwa innowacja! Teraz widzę, jak bardzo jestem opóźniony w stosunku do tej subtelnej koncepcji. Powinienem był wymyślić boga o dwóch twarzach, przedstawiających cień i światło, w ten sposób jego wizja byłaby pełniejsza.

W swoich laboratoriach ludzie-tygrysy uzyskują proch, który na razie wykorzystują tylko do sztucznych ogni. Ponieważ odkryli zasadę działania magnesu, wytwarzają kompasy, dzięki którym ich statki bez trudu poruszają się podczas mgły.

Cała ta finezja w żaden sposób nie wpływa na obronność imperium tygrysów. Ich armia, która zapewniła spójność terytorium, włączając do niego liczne sąsiednie królestwa, jest wyjątkowo sprawna. Jeden z filozofów wymyślił metodę prowadzenia wojny, tak jakby to była gra strategiczna, w której używa się ruchomych figurek, przesuwanych po planszy. W ten sposób wojna również stała się sztuką.

- Sukces Georges'a Meliesa - podkreśla Syzyf - to zwycięstwo siły „N”. Dotąd wielu z was, jak Michael Pinson, wierzyło w wyższość siły „A”, czyli asocjacji, lub też, jak to było w przypadku Proudihona, siły „D”, czyli dominacji. Niewielu myślało o rozwiązaniu pośrednim. A przecież mądrość jest zwykle gdzieś pośrodku i nie ma nic wspólnego ze skrajnościami. Imperium tygrysów pokazuje najlepiej, że system neutralny może okazać się bardzo skuteczny.

Zapisuje na tablicy „Brak intencji”.

W klasie słycać szmery. Uświadamiam sobie, że dotychczas siła neutralna znaczyła dla mnie tyle, co stan inercji. Myśląc o niej, widziałem grubego, ociążałego, śpiącego człowieka bez żadnych przekonań. Taki Neutron. Widzi, jak źli walczą z dobrymi, i czeka, który z nich zwycięży. A teraz upadła cała moja koncepcja DNA. Neutralni też mogą odnosić zwycięstwo... i to nawet z fasonem.

Syzyf kontynuuje swoją wyliczankę:

- Na drugim miejscu znalazł się Freddy Meyer i jego ludzie-wieloryby

Kurczę, im też się zbytnio nie przyglądałem. Co prawda, moje statki często miały się po przyjacielsku z jego statkami, ale zupełnie nie zwróciłem uwagi na postęp jego cywilizacji. Freddy, podobnie jak inni, przygarnął kilku moich ludzi-delfinów i skorzystał z ich wiedzy.

Odkryłem tym samym, że moi ludzie-delfiny pomogli ludowi wielorybów wznieść niezwykle miasto. W tym rozległym porcie ultranowoczesne urządzenia pozwalają przyjmować statki ośmiometrowej wysokości, podnosząc je i opuszczając za pomocą hydraulicznych wind do czegoś w rodzaju specjalnych garaży.

Pod wpływem ocalałych ludzi-delfinów okręty ludzi-wielorybów przemierzają morza i oceany, zakładając faktorie handlowe. Na ich

65

banderze widnieje ogromna ryba, a ich marynarze rozpowszechniają wszędzie mój język oraz pismo. Oni także opowiadają o rajskiej Wyspie Spokoju, jakby sami stamtąd pochodzili. O mojej wyspie... Nawet przywłaszczyli sobie moje legendy!

- Muszę podziękować Michaelowi - wtrąca Freddy Meyer. - Jego lud stał się zaczął mojego. Bez niego nigdy nie zaszedłbym tak daleko.

Jestem wzruszony tymi oficjalnymi wyrazami uznania. Jednocześnie nie mogę przestać myśleć, że sam mogłem wybudować takie wspaniałe miasto, jak to, w którym mieszkają posługujący się moim językiem i opowiadający moje historie ludzie-wieloryby.

Wstaję.

- Ja z kolei chciałbym wspomnieć Edmonda Wellsa, którego lud mrówek stał się kiedyś inspiracją dla moich ludzi-delfinów. Jesteśmy po to, aby przekazywać sobie dziedzictwo i wartości. Nieważne, czy stało się za moją przyczyną, czy twoją, Freddy. Najważniejsze, żeby przetrwały.

Syzyf przerywa tę wymianę uprzejmości.

- Freddy Meyer - mówi - reprezentuje siłę „A”, czyli łączenia. Przejdźmy teraz do siły „D”.

Nauczyciel pomocniczy spogląda na nas wszystkich, trochę dłużej zatrzymując wzrok na Proudhonie, i mówi dalej:

- Miejsce trzecie: Montgolfier i jego ludzie-lwy. Lud, który, wychodząc niemal od zera, bardzo dużo osiągnął. Zajął terytoria swoich sąsiadów, lecz także skorzystał z ich wiedzy i potrafił ich zintegrować, osiągając w ten sposób własne cele. To bardzo skuteczna strategia.

-Jeśli mogę się wtrącić, moi ludzie-lwy nie tylko powielali obce wzorce, ale mają na swoim koncie także własne wynalazki. Na przykład... liście winogron nadziewane kabaczkami. Takiej potrawy nie spotkacie nigdzie na Ziemi 18.

Jego uwaga wywołuje sarkastyczne uśmiechy.

Dyskretnie żłobię w blacie stołu:

„Ratujcie Ziemię 18, to jedyna planeta, na której znajdziecie liście winogron nadziewane kabaczkami”.

- Wynalazłem też alfabet, który nie posługuje się ideogramami - dodaje Montgolfier.

- To był pomysł Michaela i jego ludzi-delfinów - przypomina Syzyf.

Etienne spogląda na mnie, zaraz potem wzrusza ramionami.

- A mój teatr? A moja filozofia?

- To też nie pańska zasługa, tylko artystów i filozofów wywodzących się z ludu delfinów.

- To co? Może bogom do ich wynalazków przysługiwać będą jeszcze prawa autorskie?

Sam pomysł wyraźnie rozbawił Syzyfa.

- Czemu nie, trzeba przedstawić pomysł bogom-mistrzom...

Etienne de Montgolfier nie wie, czy bóg pomocniczy żartuje z niego,

czy mówi poważnie. Ta wątpliwość sprawia, że jego twarz posepnieje. Na koniec mruczy już tylko po cichu coś na temat rozświetlenia rzeczywistości, w której żyje jego lud.

Padają kolejne nazwiska z listy zwycięzców.

W klasyfikacji generalnej zajmuję trzydzieste trzecie miejsce. Syzyf ukarał mnie za proroka. I za rozproszenie. To prawda, że moi śmiertelnicy są tak rozsiani po całym świecie, że trudno mi ich kontrolować. Nie wiedziałem o sukcesach delfinów mieszkających u ludzi-wielorybów. A Syzyf jeszcze dodał, że gdybym dokładniej spojrział na planetę, to znalazłbym niewielkie, dobrze prosperujące miasto delfinów na terytorium ludzi-termitów Gustave'a Eiffela, a nawet jeszcze jedno, u ludzi-tygry-sów.

- Sądzę, że twoim podstawowym błędem, Michael, jest przyrost naturalny. Dobrze jest uznawać wyższość jakości nad ilością, ale w tym stadium gry mała liczba dzieci oznacza jednocześnie za mało żołnierzy, którzy broniliby twojego ludu. Nawet najlepsze strategie nie zastąpią braku piechoty. Nie posiadając swoich żołnierzy, będziesz zależał od innych. A oni każą ci za to płacić.

Niedaleko mnie znalazł się Raoul i jego ludzie-orły. Przeniósł ich na półwysep położony na zachód od terytoriów ludzi-lwów. Ale na razie trudno im znaleźć własną tożsamość. W żadnej dziedzinie nie mogą też poszczycić się wynalazkami.

- Wielka rzecz! Na razie mi się nie spieszy - szepce mi do ucha. - Dopóki nie wykluczą nas z gry, ciągle mamy szansę działać i rozwijać się. Montgolfier jest tego dobrym przykładem. Trzeba tylko poczekać, aż nadejdzie nasz czas.

Syzyf staje z powrotem za swoim biurkiem i z grymasem na twarzy prostuje plecy.

- Na podsumowanie tych zajęć chciałbym wam przypomnieć prawo Illitcha, mówiące o tym, że strategia wojskowa lub ekonomiczna, która sprawdziła się wielokrotnie, któregoś razu w końcu nie zadziała. A jeśli uparcie chce się ją nadal stosować, ostatecznie spowoduje to efekt an-typrodukcyjny. Zadawajcie sobie zatem nieustannie pytania, nie wpadajcie w rutynę, bądźcie twórczy, nie dajcie się uśpić zwycięstwom ani pogrążyć klęskom. Bawcie się zaskakiwaniem samych siebie. Wprowadzajcie nowości.

„Wprowadzajcie nowości”, notuje na tablicy i podkreśla.

- Lekcja historii śmiertelników przypomina mi czasami poruszającą się spiralę. Regularnie wraca się w to samo miejsce, ale za każdym razem trochę wyżej. Niepowodzeniem byłoby kręcić się w kółko, nie zmieniając wysokości...

- Kto tym razem został uznany za przegranego? - pyta jakiś zniecierpliwiony uczeń.

- Podczas tej partii straciliśmy dwa ludy - podejmuje temat nauczyciel pomocniczy - żyjących na wyspie ludzi-byków oraz zamieszkujący portowe miasto lud śledzi. Do tych dwu dodajmy ucznia, który znajduje się w końcówce peletonu...

Chwila przerwy.

- ...Clement Ader. A zatem rachunek to $83 - 3 = 80$ uczniów, którzy pozostają w grze.

Pionier lotnictwa nie kryje zdziwienia.

- Czy dobrze usłyszałem? - pyta.

67

- Zbudował pan wspaniałą cywilizację. Sięgnęła zenitu, a potem runęła. Proszę spojrzeć, jaka jest teraz pańska sytuacja: w kraju ludzi-skarabeuszy spiskują nawet bracia i siostry króla. Jego siostrzeńcy i kuzyni podają sobie nawzajem truciznę. Nawet kapłani mordują się między sobą.

- Ale żyjemy w pokoju.

- Tak. I w pełnej dekadencji. Żadnych wynalazków, żadnych odkryć, najmniejszego znaleziska. Nawet pańska sztuka powtarza te same wzorce. Żyje pan wyłącznie pamięcią o minionych czasach.

Clément Ader oddycha głośno.

-To jest... to jest... To jest wina Michaela. Zgadząc się na przyjęcie jego ludzi, zasiałem w moich ziarno schyłkowości.

- Nietrudno oskarżać innych - odpiera zarzuty Syzyf. - Wręcz przeciwnie, powinien pan podziękować swojemu koledze. Gdyby nie on, pański upadek nastąpiłby o wiele szybciej. Jego „ludzie”, jak pan mówi, naprawdę panu pomogli. To oni rozegrali tę grę. Nie pan. I zabił pan kurę znoszącą złote jaja.

Clément Ader na pewno zapamięta te słowa. Syzyf ciągnie dalej:

- Zamiast szanować ludzi-delfiny, prześladował ich pan i uczynił niewolnikami. Jedyne, co im pozostało, to ucieczka. Jeśli stwierdzi pan, że pańskie pole użyźniane jest dzięki mniejszości, lepiej nie mówić o tym reszcie społeczeństwa. Mimo że zazdrość w stosunku do mniejszości narodowych, które odnoszą sukcesy, jest demagogicznie najłatwiejszą drogą.

Clément Ader spogląda na mnie z ciekawością. Jednocześnie zimny dreszcz przebiega mi przez plecy.

- Gdyby pańskie społeczeństwo chciało współpracować z ludźmi Michaela Pinsona i traktować ich jak równych sobie, to jego naukowcy i artyści nadal ulepszałiby życie pańskiej społeczności. Ludzie-lwy już zrozumieli tę prawdę: nie zabija się kury znoszącej złote jaja - powtarza Syzyf.

Ja już wolę się nie odzywać.

Wtedy Clément Ader rzuca w moją stronę:

- Wolę przegrać bez ciebie niż zwyciężyć z tobą. Żałuję tylko jednego: że przyjąłem twoje statki i pomogłem ocalałym ludziom. Pociesza mnie jednak to, że ta mała, żalonna cywilizacja, która już zresztą nie stanowi całości, też wkrótce upadnie i dołączy do moich ludzi na cmentarzysku cywilizacji - rzuca.

Następnie zwraca się w kierunku kulis:

- Dalej, skończcie z nim.

Nic nie odpowiadam.

Ale moje milczenie, zamiast go uspokoić, wyprowadza go z równowagi. Podbiega i chwytam mnie za gardło. Raoul przychodzi mi z pomocą, chwytając go za nadgarstki.

Szyf reaguje szybko. Jedno klaśnięcie w dłonie i już centaur chwytam ucznia.

- Nie znoszę złych graczy - wzdycha Szyf.

Teraz klasa przygląda mi się jak dziwnej bestii. Co ja im wszystkim zrobiłem? Przecież jako jedyny nigdy nikogo nie napadłem. Nigdy nikogo nie nawracałem. Nie mam na sumieniu żadnej masakry.

68

- Nie wiem, w co się zamienię! - krzyczy Clément Ader. - Ale wierz mi, Michael, chciałbym zachować oczy i dłonie, by móc klaskać, kiedy nadejdzie twój koniec!

Auguste Rodin, bóg ludzi-byków, oraz Charles, uczeń odpowiedzialny za ludzi-śledzie, wychodzą sami, składając przedtem ostatni, smutny ukłon.

Znowu jest cicho.

- Jeszcze jedno słowo, nim się rozstaniemy - mówi Szyf z wyrazem zatroskania na twarzy. - Zdaje się, że jest między wami bogobójca, który morduje innych uczniów. O ile dobrze zrozumiałem, przewidziano dla niego taką samą karę jak moja. No więc nie wiem, kim on jest, ani jakimi kieruje się pobudkami, ale dam mu jedną radę: „daj sobie spokój”.

Wychodzimy w ciszy, wyrażając nasz szacunek dla tego dziwnego króla pozbawionego swej władzy. Jest już Erynia. Przynosi mu łańcuchy. Zrezygnowany Szyf odchodzi w kierunku swojej okrągłej skały.

20. ENCYKLOPEDIA: SUMER I JEDENASTA PLANETA

Tabliczki sumeryjskie napomykają o istnieniu w systemie słonecznym jedenastej planety. Z badań, jakich dokonali Noah Kramer, Geo-rge Smith (z British Museum), a później rosyjski archeolog Zecharia Sitchin, wynika, że Sumerowie ochrztili ją Niburu. Planeta zakreślała szeroką orbitę w kształcie elipsy, a jej okres obiegu wokół Słońca wynosił 3600 lat. Planeta obracała się w przeciwnym kierunku i na płaszczyźnie nachylonej w stosunku do pozostałych planet. Niburu miała przechodzić przez Układ Słoneczny i kiedyś zbliżyć się do Ziemi. Zdaniem Sumeryjczyków, Niburu zamieszkiwała pozaziemska cywilizacja: Anunnaki (co oznacza w języku sumeryjskim: „ci, którzy przybyli z nieba”). Według zapisów na tabliczkach, przybysze z Niburu byli bardzo wysocy, mieli trzy, a nawet cztery metry wzrostu, a długość ich życia wynosiła stulecia. Jednakże przed 400 tysiącami lat doświadczyli Anunnaki anomalii pogodowych, zapowiadających niszczycielską zimę. Wtedy ich naukowcy

wpadli na pomysł, aby w górnej części atmosfery rozsypać złoty proszek, tworząc w ten sposób sztuczną chmurę-tarczę. Kiedy Niburu znalazła się wystarczająco blisko naszej Ziemi, Anunnaki wsiedli do swoich statków kosmicznych, przypominających długie tuby z ostrymi czubkami i tylną częścią ziejącą ogniem, i pod wodzą swojego dowódcy, Enki, wylądowali w okolicach Sumeru. Utworzyli tam wyrzutnię raket kosmicznych, którą nazwali Eridu. Ale ponieważ nie znaleźli tam złota, kontynuowali poszukiwania w innych częściach planety, aż je wreszcie znaleźli w dolinie położonej na południowy wschód od Afryki, w regionie, który dziś znajdowałby się naprzeciw Madagaskaru. Początkowo kopalnie złota eksploatowali robotnicy z narodu Anunnaki, kierowani przez Enlila, młodszego brata Enki. Lecz w końcu zbuntowali się,

69

a wówczas pozaziemscy naukowcy, działając pod kierunkiem Enki, zdecydowali się stworzyć nowe istoty, będące krzyżówką genetyczną ludu Anunnaki oraz żyjących na Ziemi naczelnych. W ten sposób 300 tysięcy lat temu narodził się człowiek, tylko po to, aby być niewolnikiem kosmitów. Teksty sumeryjskie mówią, że istoty z ludu Anunnaki bez problemu podporządkowały sobie ludzi, ponieważ miały „jedno oko umieszczone bardzo wysoko, które obserwowało ziemię” oraz „ognisty płomień, który potrafił przeniknąć przez każdą materię”.

Kiedy wydobyto już całe złoto, a tym samym zakończono prace, Enlil otrzymał rozkaz zniszczenia rasy ludzkiej, aby wskutek eksperymentów genetycznych nie spowodować zaburzeń w funkcjonowaniu planety. Jednakże Enki uratował kilkoro ludzi (arka Noego?), twierdząc, że człowiek wart jest tego, żeby dalej żyć. Rozgniewany Enlil zwołał radę mędrców (być może historia ta została przejęta przez Egipcjan, gdzie Enki został zastąpiony przez Ozyrysa, a jego brat Enlil przez Seta), którzy postanowili pozwolić ludziom rozmnażać się na Ziemi. A przed 100 tysiącami lat pierwsi Anunnaki wzięli sobie za żony dziewczęta należące do ludzi. Zaczęli wtedy przekazywać pomaleńku swoją wiedzę. Chcąc połączyć obydwie światy, utworzyli godność królewską. Ów król pełnił rolę ambasadora, którego zadaniem było kierować nauczaniem ludu Anunnaki. Po to, by obudzić tkwiącą w nich naturę Anannuki, królowie musieli przejść tajemniczy rytuał, podczas którego wypijali magiczny napój z krwi menstruacyjnej królowych Anunnaki, zawierającej hormony kosmitów. W rytuałach wielu religii można spotkać symbolikę tego dziwnego napoju.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

21. DOBRY BLUES

Gęste czerwone wino spływa do naszych owalnych lampek.

Ponieważ nasi ziemscy wychowankowie odkryli już winorośl i jej różnorakie zastosowanie, nam także zaproponowano wyroby winiarskie. Jemy i pijemy w Megaronie, stołówce bogów-uczniów.

Wieczorem, podczas kolacji, czuję się przygnębiony. To pewnie skutek ciężkiego dnia. Siadam trochę na uboczu, nie mam ochoty z nikim rozmawiać. Czuję, że mój lud delfinów skazany jest na zagładę. Na próżno się miota, wprowadza nowości, zawiązuje przymierza. I tak barbarzyński świat, w którym najsilniejszy narzuca zawsze swoje prawa, ledwie go toleruje.

Mój wzrok w naturalny sposób wędruje w stronę wierzchołka góry.

Przypominam sobie dawną piosenkę zespołu Genesis: Dance on a volcano. Jej refren brzmi mniej więcej tak:

70

„Musisz się pospieszyć, aby dotrzeć na szczyt.

Jesteś w pół drogi.

A ciężar, który dźwigasz, miazdzy ci kręgosłup.

Wyrzuć go, tam na górze nie będzie ci potrzebny.

Ale pamiętaj,

Nigdy nie oglądaj się za siebie. Cokolwiek by się działo.

Idź pewnym krokiem.

W ogniu i walce tak właśnie idą bohaterowie.

Postaw lewą nogę i ruszaj w stronę światła.

Szczyt tej góry jest końcem świata".

W pół drogi... czy jestem dopiero w pół drogi?

Kawałek dalej usiedli razem Mata Hari, Freddy, Georges Melies oraz Raoul i piją nieco mocniejszy alkohol na bazie słodkiego wina. Odrzucam zaproszenie na ten aperitif i pozostaję zatopiony w myślach. Moja głowa oparta na dłoniach przypomina jajko w kieliszku.

Właściwie powinienem się cieszyć, że mój lud przeżył mimo tylu zagrożeń, powinienem być szczęśliwy, że udało im się wyrwać ze szponów ludzi-skarabeuszy. A jednak nie potrafię. Mam wrażenie, że wszystkie moje wysiłki są systematycznie niweczone. Zakochuję się w Afrodycie, a ona mnie zdradza. Przywiązuję się do mojego mistrza Edmonda Wellsa, a on zostaje wyeliminowany przez Atlasa. A piękna Marilyn, najmilsza z nas wszystkich, pada ofiarą mordercy. I oto czuję się w Aedenie samotny i zagubiony.

Nawet bogobójca jest mi obojętny. Wszystko mi jedno, czy mnie teraz dopadnie i jak to się skończy. Nie jestem dobrym bogiem-ucniem. Tak bardzo się staram dla mojego ludu, a na koniec jakie są tego wyniki?

Znowu spoglądam w górę. Kto tam jest?

Czy to JEGO oko widzieliśmy na horyzoncie?

Dlaczego się nami interesuje?

Hipotezy nasuwają się same: A może nas podziwia? A może tam, w górze, cyniczny i zmęczony bóg zabawia się, obserwując i niszcząc tych, którzy usiłują go naśladować lub mu dorównać? W takim razie jego oko jest jak zbliżone do klatki z chomikami oko człowieka. Ono też wydaje się wtedy ogromne...

Po chwili pojawia się inna hipoteza.

A jeśli znajdujemy się w piekle? Jeśli celem tej gry jest przypiekanie nas powoli na małym ogniu, ale tak, byśmy uwierzyli, że mamy wpływ na bieg wydarzeń, podczas gdy w rzeczywistości nic nie możemy zrobić? Bycie bogiem jest być może... karą dla nieposłusznych dusz.

W tym przypadku, jeżeli przebywanie tu jest naszą pokutą, to ci, którzy pozostaną ostatni w grze, wycierpią więcej od tych, którzy zostali wyeliminowani jako pierwsi. Jak hipopotamy, które w czasie suszy chronią się w kałużach błota. W miarę, jak woda wyparowuje, walki między zwierzętami stają się coraz bardziej okrutne. I w końcu ten, który zwyciężył, umiera samotnie w powolnej agonii, wystawiony na słońce, wśród trupów pokonanych pobratymców.

71

„Najprawdopodobniej jesteśmy postaciami z jakiejś powieści” - twierdził Edmond Wells.

„Gramy w telewizyjnym reality show” - sugerował Raoul.

„Jesteśmy w rzeźni - mówił Lucien Dupres - a wy jesteście współodpowiedzialni za stopniowe umieranie cywilizacji”. Dupres... pierwszy, który został wyeliminowany na własne życzenie. Odszedł zrażony do gry, kiedy tylko zrozumiał jej reguły. A jeśli on miał rację?

Chciałbym być takim facetem jak Freddy Meyer, który mimo utraty swojej miłości zachowuje się z godnością.

„Nie dbać o swoją wewnętrzną radość to grzech” - uważa były rabin.

Pora Roku Zima przynosi dania dnia. Liście winogron faszerowane kabaczkami, kluski, roladki z pasty ryżowej nadziewane warzywami oraz małymi kawałkami mięsa. Tak więc po raz kolejny dostajemy do jedzenia potrawy związane z kulinarnymi odkryciami naszych ludów. Nie mówiąc

o ich podaniu: rzeźbione marchewki lub liście sałaty ułożone tak, aby przypominały las. Pomyśleli o wszystkim, nawet o tym, żebyśmy podczas jedzenia pozostawali w grze Y. W porównaniu z pierwszymi posiłkami, złożonymi wyłącznie z surowych jajek, widzimy wyraźny postęp.

1 doceniamy go.

Jedna z Hor przynosi nowe amfory wypełnione winem. Wypijam pełną lampkę gęstego czerwonego płynu. Ależ to dobre. Wino budzi podniebienie i jednocześnie rozgrzewa. Całe jedzenie, czy to pochodzenia roślinnego, czy zwierzęcego, jest zazwyczaj martwe.

Tymczasem mam wrażenie, że wino jest żywym płynem. Piję tę świeżą roślinną krew. Piję jeszcze i jeszcze. Łupie mi w czaszce, jakby moje dwie półkule mózgowe pocierały jedna o drugą.

- Co ty, Michael, pękasz?

Moje półkule przestają tańczyć. Czuję, jak gdzieś tam w środku układają się moje myśli. Mam kłopoty z mówieniem. Otwieram usta, by zaraz je zamknąć wbrew swojej woli.

- Ludzie-skarabeusze, taka piękna cywilizacja zapadła się jak domek z kart... to im się nie należało - wypowiadam z trudem.

- Przecież oni prześladowali twój lud. Masz prawo cieszyć się z ich upadku.

- Byli warci tego, aby żyć. To była naprawdę oryginalna cywilizacja. Nie można tak po prostu wyrzucić na śmietnik kultury liczącej tysiące lat. To... NIEETYCZNE.

Raoul używa tego przesadnego wyrażenia, które jest mi tak dobrze znane.

- Gdzie jest teraz owa idylliczna wspólnota Luciena Dupresa z Ziemi 17, gdzie ludzie-żółwie Beatrice, gdzie są kobiety-Amazonki Marilyn Monroe? - pytam.

Raoul odsuwa amforę z winem. Ciągnę dalej:

- ...a na Ziemi 1... co się stało z Sumerami, Babilończykami, starożytnymi Egipcjanami, Frygijczykami, Lidyjczykami... Te wszystkie ludy także miały prawo żyć, a jednak wyginęły! WYGINĘŁY. Fiuuu! I już nie mam nic.

72

- Ja tam, jeśli chodzi o sprawę cywilizacji, wierzę w darwinizm. Najslabsze i najmniej przystosowane giną - odpowiada Raoul.

- Nie lubię Darwina, bo usprawiedliwia „historyczny cynizm”.

Biorę amforę i nalewam sobie kolejną lampkę wina. Moje usta robią

się ciepłe, czuję łaskotanie w zębach, a w mózgu znowu zaczyna mi wrzeć. Stawiam lampkę, kręcąc nią w dłoniach.

- Przypomniały mi się filmy dokumentalne o zwierzętach, które oglądałem na Ziemi 1. Zawsze pokazywano wielkie drapieżniki ścigające gazy. W końcu widać było w zwolnionym tempie, jak je dopadają.

Chcę nalać Raoulowi wina, ale odmawia.

- A jaki to ma związek z upadkiem cywilizacji?

- Zastanawiałem się wtedy, jak oni to robią. Przecież, żeby nakręcić coś w zwolnionym tempie, silnik kamery musi obracać się bardzo szybko, a zużycie taśmy jest bardzo duże. Jak więc uzyskać dobre zdjęcia, skoro przez większość czasu gazela ucieka? Umiesz mi to wyjaśnić?

-Nie.

- A więc tak naprawdę wszystko jest przygotowane z góry. W rezerwatach znajdują się strefy wyposażone w specjalny sprzęt do filmowania w zwolnionym tempie tego rodzaju scen. Gazela dostaje zastrzyk usypiający. Lwa chwyta się dzień wcześniej i pozbawia pożywienia, aby był głodny, a więc zmotywowany. Potem umieszcza się je w trójkątnej zamkniętej strefie, gdzie gazela może wybrać tylko jedną drogę. Lwa wypuszcza się tak, aby dopadł ją w odpowiednim miejscu, gdzie jest dobre oświetlenie. Twórcy filmów dokumentalnych słono płacą za to, aby im zorganizowano ten doskonały scenariusz, łatwy do nakręcenia nawet w zwolnionym tempie, i to przy odpowiednim ustawieniu do światła, nigdy pod słońce.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nasuwa się pytanie: dlaczego filmuje się takie sceny? Dlaczego ludzi fascynuje widok lwów pożerających w zwolnionym tempie gazelę, kiedy widać dokładnie wszystkie szczegóły?

Raoul spogląda z zainteresowaniem.

- Ponieważ taka jest przyroda.

- Ponieważ te obrazy ilustrują koncepcję silniejszego, który zwycięża nad słabszym. Lew zjada gazelę. Wszyscy bierzemy udział w zawodach. Twardy zabija łagodnego. Filmy dokumentalne o zwierzętach stanowią przekaz teorii Darwina.

Patrzę przyjacielowi prosto w oczy.

- A jednak zawody nie są drogą do ewolucji. Jestem o tym przekonany. Zamiast pokazywać, jak lew łapie gazelę, powinno się pokazywać coś całkiem innego... mrówki łączące się z mszycą, aby w ten sposób wytwarzać spadź. Gromadzące się pingwiny, które walczą z chłodem, ogrzewając się własnymi ciałami.

Nagły przebłysk świadomości wyrzuca cząsteczki alkoholu z mojego mózgu, ale mam ochotę na kolejne.

- Oj, Michael, znowu te twoje utopie. Masz zbyt uproszczoną wizję świata. Całe szczęście, że nie możesz już uczestniczyć w wyborach na Ziemi, bo już sobie wyobrażam, na jakie ugrupowania byś głosował.

Denerwuje mnie.

- Oddawałem pustą kartę. Chciałem w ten sposób pokazać, że jestem za wyborami, ale przeciw istniejącym partiom. Albo też głosowałem przeciw ludziom, którzy wydawali mi się najbardziej antypatyczni.

- Taaak. Tak właśnie sądziłem. Jesteś politycznie „niedojrzały”. Nawet nie potrafisz opowiedzieć się za prawicą lub lewicą.

- Polityka to piasek sypany w oczy. Politycy nie mają wizji, nie mają prawdziwych projektów. Potrafią jedynie mówić i osiągać punktowe efekty. Kiedy już mają władzę, chcą tylko kierować wielkim okrętem administracji, któremu jest wszystko jedno, czy dana osoba należy do prawej, czy do lewej strony politycznej sceny. Ja zaś mówię ci o wizji w perspektywie historycznej!

Biorę ponownie amforę. I piję.

- Mówię ci o nadziejach na lepszy świat... Bo tak naprawdę w przyrodzie ważniejsza jest współpraca niż współzawodnictwo. Już nawet w naszych ciałach występuje związek różnych rodzajów wyspecjalizowanych komórek, których zadaniem jest wspólne stworzenie bardziej wydajnego organizmu. Kwiaty potrzebują pszczoł do przenoszenia pyłków. To dlatego mają takie piękne kolory. Nasiona niektórych drzew muszą być transportowane na dużą odległość, aby nie rosły w cieniu, a zatem drzewa muszą sobie radzić, by móc przyciągać wiewiórki.

- Które te nasiona zjadają.

-I jednocześnie przenoszą i składają w innym miejscu razem ze swoimi ekskrementami, które jednocześnie pełnią rolę środków użyźniających. Wszędzie znajdziesz współpracę... w ostatecznym rozrachunku wszędzie można znaleźć przymierze. Jest też miłość. A więc Darwin się pomylił. W ostatecznym rozrachunku to przymierze zwycięża, nie współzawodnictwo.

Raoul patrzy na mnie zdziwiony, jakbym po wypiciu dwóch ostatnich lampek wina stał się jeszcze bardziej niepokojący.

- Ty, Michael, zawsze potrafisz głosić jakieś teorie lub snuć marzenia. Ale przypomnij sobie wiadomości z Ziemi 1. O ile pamiętam, wojny nie były tam chyba wyreżyserowane.

- Tak sądzisz? - mówię, wypijając kolejny łyk.

- Wizja wojny pociąga za sobą strach - dodaję. - STRACH. Strach sprawia, że ludzie stają się ulegli. Potem możesz już zrobić, co tylko zechcesz. To jedna z pierwszych motywacji naszych czynów.

Pod pretekstem wypicia kolejnego kieliszka uśmiecham się, potem wybucham wymuszonym śmiechem.

- Mają nas, bo sprawili, że się boimy. STRACH!!!

Krzyknąłem bardzo głośno. Przyjaciół daje mi znak, abym był bardziej dyskretny. Ale już kilka osób odwraca się w moją stronę.

- A teraz zostaw mnie w spokoju, Raoul.

Mój przyjaciel waha się przez chwilę, po czym odwraca się do mnie plecami, tak jakby mnie tu nie było.

Znowu jestem sam. Wiem, że mnie obserwują. Przechodzącą Porę Roku proszę o przyniesienie kolejnej amfory wina. I piję. Jakże to nie-

74

przyjemne uczucie mieć wrażenie, że się rozumie, podczas gdy inni nie rozumieją. Jakże to nieprzyjemne być świadomym.

Chcę zapomnieć.

Zapomnieć lud delfinów.

Zapomnieć Afrodytę.

Zapomnieć Marilyn, Edmonda, Raoula i Freddy'ego.

Zapomnieć samego siebie.

Wstaję i podnoszę wysoko kieliszek. Jak podczas zajęć, kiedy próbowałem uzyskać jednomyślną decyzję, tak i teraz wszystkie spojrzenia kierują się w moją stronę. Rzucam, skandując każde słowo:

- WZNOSZĘ TOAST. WZNOSZĘ TOAST ZA TRZY... ZA TRZY PRAWA OLIMPII: KŁAMSTWO, ZDRADĘ I HIPOKRYZJĘ.

Chwieję się. Czuję, jak ziemia usuwa mi się spod stóp. Prawie się przewracam, kiedy czyjaś ręka chwyta mnie za łokieć.

- Chodź - mówi Georges Melies - zaprowadzę cię do domu.

Wyszarpuję się i ponownie wznoszę kieliszek.

- Nudzimy się tu śmiertelnie. Ej, Charyty, zagrajcie nam tu rock and rolla. Chcę zatańczyć. Albo techno. Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że w Aedenie nie jest znany rock and rolli, czy też hip-hop? A wy, Pory Roku, co sobie myślicie? Moja amfora jest pusta. I z kogo tu sobie żartują! W końcu jesteśmy bogami. Dalej! Przynieście mi następną.

Pod wpływem moich żądań jedna z Hor przynosi mi dużą amforę czerwonego wina o zapachu dębowego drewna.

- I to właśnie tutejszy problem. Zbyt wolna obsługa, za mało zróżnicowane wina. Przykro mi, ale wasz Aeden nie zasługuje nawet na trzy gwiazdki. Lepiej było w klubach

wakacyjnych. Szwedzki stół. Sery. Desery. A poza tym na śniadanie wolałbym trochę płatków, bekonu i smażonych jajek.

Rozlegają się głosy aprobaty.

- Tak, przyjaciele. Zgadza się ze mną. Chcielibyśmy też mieć basen. W centrum Olimpii. Jest za gorąco. A poza tym w czasie, kiedy zajmujemy się naszymi ludami, przydałyby się zimne napoje lub lody. Tak jak w kinie. W końcu nawet jeśli jesteśmy bogami, to wcale nie znaczy, że już nie jesteśmy ludźmi.

- Michael, przestań. Chodź już - mówi Raoul, biorąc mnie za rękę.

Całkiem niewzruszony ciągnę dalej:

- Popatrz. Wszyscy nosimy takie same białe uniformy, a biały kolor od razu się brudzi. Ledwie założę moją togę, już jest poplamiona. Do tego togi i tuniki są źle skrojone i zwisają nam z każdej strony. Proszę, dajcie nam dzinsy!

- Uspokój się, Michael.

- Mam się uspokoić? Mam dość bycia cicho. Nie jesteśmy w domu starców. Musicie przyznać, że niewiele tu mamy rozrywek. Żadnych papierosów. Tu się nie pali. Nie uprawia się miłości... Jedyna rozrywka polega na tym, że zabijamy jedni drugich. Oczywiście to fajna zabawa dla małych chłopców/, którzy lubią żołnierzyki, tyle że ja wolę lalki.

75

Próbuję chwycić za rękę przechodzącą Porę Roku, lecz udaje jej się uciec. Nikt już nic nie mówi. Skoro raz zacząłem, nie skończę, póki nie wyleję wszystkich żalów.

- I nie ma nic do czytania. Nic. Weźmiesz książkę w bibliotece, a tu tylko puste kartki, same puste kartki. Włączasz telewizor, a w nim żadnych filmów ani programów, tylko obrazki z życia naszych byłych klientów, którzy nas zanudzili już wtedy, kiedy byliśmy aniołami. Oglądamy, jak grają na tam-tamach lub popłakują w kącie. Też mi widowisko! Puśćcie lepiej amerykańskie seriale, nawet telezakupy byłyby ciekawsze...

Kolejny kieliszek. Wino pomaga mi odzyskać odwagę, której mi zazwyczaj brak. Nalewam znowu. I znowu. I znowu. Po przekroczeniu pewnego progu staje się to wstrętne, ale po przekroczeniu następnego znowu czuję się odurzony.

- Proszę pani. MOJA AMFORA JEST PUSTA! SZYBKO! PROSZĘ MI NALAĆ!

Hora pospiesznie napełnia mój kieliszek. (Ciekawe, im bardziej jestem nieuprzejmy, tym większy zyskuję szacunek).

- Przestań! - nakazuje Raoul, odsuwając amforę.

- W CO JA SIĘ WPLĄTAŁEM? W każdym razie pijaństwo mamy w genach. Oto selekcja twojego Darwina. Nasi ponurzy przodkowie pijący wodę już nie żyją. To logiczne,

bo przecież w wodzie było pełno bakterii. Tylko ci, którzy pili alkohol, piwo, wino, wódkę czy liche winko, wyszli z tego obronną ręką. Wszyscy inni... pooooozli!

Raoul czeka, aż się uspokoję.

- Jak tak dalej pójdzie, nie będziesz w stanie iść o własnych siłach.
- I co z tego? DAJ MI SPOKÓJ i wracaj na swoją górę z twoimi... SĘPAMI.

Ponownie chwytam amforę.

- W czym problem? - pyta spokojnie Raoul.

W odpowiedzi wybucham śmiechem.

- Mój problem? Jestem ZME-CZO-NY. Nie widzę przed sobą „WIELKIEJ, ŚWIETLISTEJ PRZYSZŁOŚCI”. Na czym polega mój problem?

Spoglądam na przyjaciela.

- Posłuchaj, Raoul. Ty nic nie rozumiesz. CZY NAPRAWDĘ NIE WIDZISZ? Wszystko stracone. Wszyscy zdechniemy, nie będzie żadnego zwycięzcy, lecz sami PRZEGRANI.

Raoul podchodzi i bierze mnie za ramię.

- NIE DOTYKAJ MNIE!
- Zabierzcie go do domu. Niech wytrzeźwieje!

Głos Dionizosa dobiegł zza moich pleców. Zaraz potem chwytają mnie dwa centaury, jeden za rękę, drugi za nogi, i natychmiast zabierają.

Galopujemy przez miasto. Czuję, jak strumień świeżego powietrza chłodzi moją twarz.

Centaury rzucają mnie na fotel. Leżę, nie mogąc się ruszyć. Moje ciało jest wiotkie, głowa mi ciąży.

Mijają długie minuty, a ja siedzę wyczerpany. Mam wrażenie, że śpię z otwartymi oczyma, ale krew mi wrze. Mam ochotę jednocześnie śmiać się i płakać.

76

Próbuję wstać, ale zaraz upadam z powrotem. Po przyjemnym uczuciu nadchodzi czas na migrenę, którą może wyleczyć tylko alkohol. Muszę się napić! Tylko tak uśmierzę ten ból głowy. Tylko alkohol może mi pomóc pozbyć się alkoholowego bólu.

- CHCE MI SIĘ PIĆ. CHCĘ WINA!

Ale jestem sam w pokoju i nawet nie udaje mi się stanąć na nogi. Miękkie nogi nie są w stanie utrzymać ciała. Wtedy otwierają się drzwi, za którymi pojawiają się trzy księżycy.

Podnoszę głowę i widzę stopy, potem nagie kobiece nogi ledwie przykryte togą. A nad nimi jakąś postać z twarzą schowaną w kapturze.

- Afrodyta?

Kobieta wchodzi i zamyka drzwi. Klęka i kładzie mi na czole chłodną dłoń. Ma delikatne palce. Pięknie pachnie.

- Myślę, że potrzebujesz pomocy - mówi Mata Hari.

Cofam się natychmiast. Jestem rozczarowany.

- Idź sobie, nie potrzebuję nikogo.

Mata Hari odsuwa lepki kosmyk włosów z mojego czoła i ze smutkiem patrzy mi w oczy.

- Michael, nie psuj wszystkiego.

- Poddaję się. Proudhon miał rację: „Ani boga, ani mistrza”. Co prawda, dzisiaj właśnie jest tu bóg, który decyduje się zakończyć grę.

Chichoczę głupkowato.

- Idź sobie, Mato Hari. Nie mam ochoty na towarzystwo. Jestem bogiem przeklętym.

Waha się przez chwilę, potem odwraca się i odchodzi w kierunku drzwi. Stojąc na progu, rzuca w moją stronę:

- Wiedz, że nigdy nie pozwolę ci upaść, nawet gdybym miała pomóc ci wbrew twojej woli. Stawka jest zbyt duża. Nie możesz się poddać.

Idę na czworakach i znajduję tylko tyle sił, aby wstać i zamknąć za nią zasuwę w drzwiach. Następnie, trzymając się mebli, wlokę się do łazienki i wsadzam głowę pod zimną wodę.

Czuję mdłości dochodzące gdzieś z samego środka wnętrzości i po chwili wyrzucam z siebie zmieszany z żółcią różowy płyn, który pali mi przełyk i gardło. Po chwili nowy skurcz wstrząsa moim, teraz już pustym, żołądkiem. Chwytam się umywalki, aby nie upaść.

Spoglądam w lustro i zastanawiam się, czy Wielki Pan Bóg, który zapewne jest tam w górze, też ma ochotę się upić, żeby zapomnieć. Już sama myśl wydaje mi się zabawna. A gdyby tak Wielki Pan Bóg był pijakiem?

Wlokę się do salonu. Czuję obrzydzenie do siebie samego, a jednocześnie do wszystkich ludzi, czy to pochodzących z Ziemi 1, z Ziemi 17, z Ziemi 18 czy też z Ziemi 100 000. Ci nasi ludzie tacy są czasami irytujący. Zwycięstwo ludu szczurów nad ludem kobiet-os ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu o ich brutalności oraz głupocie.

Wstrząsany kolejnymi skurczami zwijam się w kłębek na kanapie. Czekam na sen, który jednak nie nadchodzi. Mam wrażenie, że na skutek ocierania się półkul mój mózg płonie. W skroniach pulsuje mi gorąca lawa.

Sen nie przyjdzie.

Myśleć o czymś innym. Przede wszystkim starać się myśleć o czymś innym. Eun Bi...

Mój palec szuka ankh, żeby włączyć telewizor.

22. ENCYKLOPEDIA: PROROCTWO DANIELA

W 587 roku przed Chrystusem Hebrajczycy zostali napadnięci przez babilońskiego władcę Nabuchodonozora. Zburzono Pierwszą Świątynię, a król Joachim wraz z dziesięcioma tysiącami szlachetnie urodzonych został pojmany i zawieziony do Babilonu. Pewnej nocy Nabuchodonozor miał dziwny sen, którego żadna z jego wyroczni nie umiała wyjaśnić. Usłyszawszy o młodym hebrajskim księciu, mającym zdolność interpretowania snów, kazał go odnaleźć. Ów książę nazywał się Daniel. Przywiedziony przed oblicze władcy powiedział mu, że ten widział we śnie olbrzyma ze złotą głową, srebrną klatką piersiową i rękoma, brzuchem i udami z brązu, nogami z żelaza i stopami z gliny. A ponieważ jego stopy zaczynały się kruszyć, olbrzym zaraz miał się przewrócić. Zachwycony Nabuchodonozor rozpoznał swój sen i zażądał jego wyjaśnienia. Daniel oznajmił, że złota głowa to rządy babilońskiego imperium. Srebrna klatka piersiowa to zapowiedź nadejścia kolejnego cesarstwa (mogło chodzić o imperium perskie z lat 539-331 przed Chrystusem). Brzuch i uda z brązu miały symbolizować nadejście kolejnego imperium (najprawdopodobniej Greków, którzy w latach 331-168 przed Chrystusem zajmowali cały basen Morza Śródziemnego). Żelazne nogi były symbolem trzecich rządów (Rzymian, którzy panowali w tym regionie od 168 roku przed Chrystusem do 476 roku po Chrystusie). Gliniane stopy miały wyrażać powstanie imperium zbudowanego przez jednego, prostego człowieka, który miał zostać mesjaszem. (Później zostało to zinterpretowane przez chrześcijaństwo jako zapowiedź nadejścia Jezusa Chrystusa. Dwie nogi miały symbolizować rozdział chrześcijaństwa wschodniego i zachodniego. A dziesięć palców u stóp przypisano jeszcze później dziesięciu królestwom chrześcijańskim z epoki średniowiecza). Daniel tłumaczył, że ponieważ glina jest krucha, spowoduje upadek wszystkich metalowych imperiów.

Proroctwo Daniela, według którego rządy gliny nadejdą po napaści żelaza (czyli imperium rzymskiego) na kraj Hebrajczyków, spowodowało pojawienie się setki pretendentów do roli mesjasza. Przeważająca większość z nich została skazana na śmierć przez Rzymian, którzy także znali proroctwo Daniela i nie chcieli, aby upadło ich żelazne imperium.

Edinond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

23. ŚMIERTELNICY. 16 LAT

Głowa daje mi trochę wytchnienia. Spoglądam na ekran i staram się skupić jak najwięcej uwagi na tym, co widzę.

Pierwszy program. W Tokio Eun Bi ogląda w telewizji program

0 delfinach. Akcja rozgrywa się na japońskiej wyspie, gdzie co roku zbierają się delfiny, aby tam się rozmnażać. Rybacy zaciskają linę i zabijają je uderzeniem żelaznych żerdzi. Jeden z rybaków wyjaśnia dziennikarzowi, że nie zabijają delfinów po to, aby zjeść ich mięso, lecz dlatego, że te przeszkadzają im w połowach tuńczyka. Kolejne zdjęcia pokazują, jak woda w morzu zabarwia się na czerwono, a ciała waleni pływają do góry brzuchami na powierzchni wody.

Zszokowana Eun Bi postanawia, że przedstawi wolne delfiny buntujące się przeciw człowiekowi i biorące na nim odwet.

Potem widzę ją w szkole. Rysuje sceny z delfinami. Podchodzi do niej inna dziewczyna i pyta, dlaczego Eun Bi wybrała właśnie taki temat.

- Nie mogę zemścić się realnie, więc przedstawiam moją zemstę na papierze - wyjaśnia nastolatka.
- Wy, Koreańczycy, wszyscy jesteście stuknięci! - wykrzykuje dziewczyna.
- A wy, Japończycy, wszyscy jesteście imbecylami!

Zaczynają się bić. Interweniuje nauczycielka, która karze Eun Bi za zakłócanie spokoju w szkole. Nauczycielka ogląda potępione rysunki

1 drze je, uznając, że są obsceniczne.

- Ponieważ Eun Bi jest cudzoziemką - dodaje kobieta - powinna być bardziej „dyskretna”.
- Nie jestem cudzoziemką - protestuje Eun Bi - urodziłam się w Japonii.

W klasie wybuchają śmiechy. Wszyscy wiedzą, że w Japonii nie obowiązuje prawo ziemi, lecz prawo krwi. Nawet Eun Bi o tym wie.

Wieczorem w swoim pokoju dziewczyna rysuje delfiny, które eksterminują całe szkoły. Luźne kartki nie wystarczą. Trzeba napisać całą książkę o delfinach, całą sagę, w której opowiedziano by, że delfiny to tak naprawdę istoty pozaziemskie, które przybrały taką postać, aby móc wylądować na Ziemi, i od pomroki dziejów na próżno usiłują porozumieć się z ludźmi. Nastolatka pisze całą noc, zupełnie nie zwracając uwagi na mijające godziny, głucha na klótnie swoich rodziców. Pisząc, czuje się całkowicie odizolowana od świata, który ją jednocześnie przeraża i pociąga. Pisząc, odrywa się od swojego życia.

Drugi program. Na Krecie Theotime zapisał się do klubu bokserskiego. Pozostali sportowcy nowicjusze nie chcą brać udziału w zawodach. Ale nie on. Rozgrywa towarzyską walkę z niższym od siebie, starszym chłopcem, któremu kibicuje cała rodzina. Trener pyta Theotime'a, czy chce założyć ochraniacz na zęby, ale on jak zwykle woli walczyć bez.

- Zrobisz z niego pasztet. Ma krótkie ręce, nawet cię nie dosięgnie - mówi trener.

Na ringu sędzia przypomina, że to walka towarzyska i uderzenia poniżej pasa są zabronione. Po przeciwnej stronie drugi trener daje wska-

79

zówki rywalowi. Dwaj sportowcy stają naprzeciw siebie. Zaraz po gongu przeciwnik Theotime'a robi coś nieprzewidzianego. Uderza go z przodu obydwoma pięściami. Cios w brodę, w usta, zęby kruszą się i Theotime czuje smak krwi. I straszny ból. Nic nie rozumie. Przecież sędzia wyraźnie powiedział: to towarzyska walka. I rzeczywiście, przerywa walkę i łaje przeciwnika. Ale zło zostało wyrządzone.

Pod koniec pierwszej rundy Theotime'a bolą zęby, a jego trener mówi oburzony:

- Próbował cię znokautować na samym początku. Teraz się zemścij. Przy twojej długości ramienia nie będziesz miał żadnych problemów, by go dosięgnąć.

Słychać gong. Powrót na ring. Przeciwnikowi nie udaje się już nawet dotknąć Theotime'a. Traci siły na ciosy, które trafiają w powietrze. Kiedy opiera się o sznury ograniczające ring, a jego ręce już nawet nie chronią klatki piersiowej, ekipa Theotime'a wyje: „Zabij go, zabij!”.

Rodzina przeciwnika również krzyczy coś w rodzaju: „Dalej, ojciec, dalej!”.

Theotime przygotowuje cios. W spojrzeniu drugiego zawodnika widzi rezygnację i oczekiwanie na sprawiedliwy wyrok. Nawet nie podnosi już pięści. Ale Theotime nie atakuje. Uderzenie gongu kończy walkę. Sędziowie ogłaszają zwycięstwo przeciwnika Theotime'a, który ze zdziwieniem podnosi ręce. Słychać owacje jego rodziny.

- Przecież miałeś go w zasięgu ręki. Dlaczego się nie zemściłeś? -pyta trener.

Theotime nie odpowiada.

Wieczorem, aby uwolnić się od dzisiejszych emocji, matka daje mu w prezencie parę chomików. Theotime obserwuje je z ciekawością. Zwierzęta obwąchują się, a następnie zaczynają z niezwykłą gwałtownością uprawiać miłość.

Trzeci program. Kouassi Kouassi za sprawą wybranej przez ojca młodej kobiety przeżywa inicjację seksualną. To dawny obyczaj. Młoda kobieta ubrana jest w długą białą spódnicę. Długo siedzi nad żarzącymi się iglastymi gałązkami zmieszanyymi z bukietem ziół. W ten sposób jej ciało nasiąka ładnym zapachem. Spódniczka unosi się pod wpływem pary, a przyjemne wonie wnikają w jej skórę. Następnie pokazuje nastolatkowi swoją wspaniałą nagość. Chłopak jest poważny, jakby zrozumiał, że oto rozgrywa się jakiś dramat. Koniec jego dzieciństwa. Kobieta szanuje jego treść i prosi go do tańca. Ponieważ chłopak pozostaje nieruchomy, kobieta śmieje się. Rzuca go na łóżko, następnie pokazuje mu po kolei ruchy, dzięki którym chłopak zaczyna odczuwać przyjemność. Kiedy ich ciała łączą się, ojciec uderza w tam-tam.

Po skończonej ceremonii Kouassi Kouassi wraca do swojego rodzica. Wygląda na zdziwionego. Ojciec, wiedząc, że chłopak na razie nie jest w stanie mówić, daje mu

instrument, djembe. I porozumiewają się za pomocą bębnów. W ten sposób cała wioska jest świadkiem bicia ich serc, a więc i uczuć.

Sądzę, że należy podsycić ich skłonności do sztuki. Tego przynajmniej uczyły mnie muzy. Eun Bi ma talent do rysowania, który teraz

80

przekształcił się w dar pisania. Czy więc nie jest inkarnacją pisarza Jacques'a Nemroda?

Wslawił się on sagami o zwierzętach, zwłaszcza na temat szczurów, dlaczego zatem jego dusza w ciele koreańskiej dziewczynki nie miałaby zająć się teraz delfinami?

Theotime ma talent do boksu. To też jest logiczne, bo w swoim poprzednim życiu był niezwykle brutalnym rosyjskim żołnierzem.

Kouassi Kouassi zachował upodobania Venus Sheridan do rytmu, muzyki i pieszczot.

„Lepiej rozwijać mocne strony niż usuwać słabe” - twierdził Edmond Wells. Mam nadzieję, że pójdą w tym właśnie kierunku.

Wydaje mi się, że słyszę odgłos kroków, który dociera do moich uszu jak echo tam-tamów.

Wyłączam telewizor. Wychodzę, zataczając się.

Oddycham świeżym powietrzem w nadziei, że ustanie ten szum w głowie, gdy nagle pod oknem zauważam ślady czyichś stóp. Są jeszcze dosyć wyraźne. Przyglądam się im. To odciski męskich sandałów.

Bez wątpienia ktoś mnie śledził.

24. ENCYKLOPEDIA: ODPOWIEDŹ GAI

Długo zadawano sobie pytanie, skąd się biorą chmury milionów pasikoników tworzących szarańczę. A jednak to zjawisko nie jest w żaden sposób naturalne. To konsekwencje wprowadzenia przez człowieka intensywnej gospodarki rolnej. Na skutek stosowania na wielkich obszarach monokultury, naturalne drapieżniki, żywiące się określonymi roślinami, zaczęły gromadzić się w jednej strefie. Przed interwencją człowieka pasikonik był samotnie żyjącym i nieszkodliwym owadem. Ale wszędzie tam, gdzie człowiek postanowił zmienić przyrodę, pasikoniki odpowiedziały mu na swój sposób.

Jeśli człowiek decyduje się zrzucić bomby atomowe na skorupę ziemską, Gaja odpowiada mu zjawiskami sejsmicznymi. Niech człowiek przekształci czarną krew Ziemi - ropę naftową, w toksyczne dymy tworzące trujące chmury, a Ziemia odpowie mu zwiększonymi temperaturami. A dalej topnieniem lodowców i powodziami. Człowiek nie zrozumiał jeszcze, że rodzima planeta odpowiada na każdą z jego prowokacji, i ciągle jeszcze się dziwi, kiedy następuje to, co nazywa „katastrofą naturalną”, a co tak naprawdę jest „katastrofą sztuczną”, wynikłą z braku dialogu człowieka z planetą matką.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

81

25. ZAWROTY I CIĘŻKA GŁOWA

Pianie koguta przewiera mi bębenki. Już jasno. Więc w końcu zasnąłem na kanapie. Chowam twarz w dłoniach, ale zaraz rozlega się bicie porannych dzwonów. O, moja czaszka! Czuję ból w skroniach, powieki ciężą mi jak betonowe rolety. Suchość w gardle. Nie pamiętam nic oprócz tego, że wczoraj wypilem więcej niż nakazuje rozsądek.

Pukanie do drzwi. Wchodzi Raoul i każe mi się szybko ubrać. Obraz przyjaciela nie chce się ustabilizować, mam wrażenie, że cały drży.

- Fajnie było wczoraj? - pytam z grymasem na twarzy.

Intensywnie masuję sobie skronie. Raoul nie odpowiada od razu.

Czuję, że stało się coś złego.

- Straciliśmy Freddy'ego - oznajmia nerwowo.

Jakbym dostał obuchem.

- Bogobójca?

- Gorzej.

- Szatan?

- Jeszcze gorzej.

- To już nie wiem.

- ...miłość.

Raoul Razorback wyjaśnia, że na prośbę rabina ich grupa wróciła wczoraj do czerwonego kraju Muz, gdzie odnaleźli Marilyn, która, jak to przewidział, nie zamieniła się w byle jaką chimerę, tylko właśnie w kolejną muzę. Dziesiątą. Muzę kina.

Raoul opowiada mi, że ona teraz również posiada czerwony pałac, w którym znajduje się sala kinowa, sprzęt do kręcenia filmów i początki kinoteki. A zatem potwierdziła się teoria na temat śmierci bogów-ucz-niów. W końcu zmieniają się w niemych mieszkańców Aedenu, centaury, cherubiny lub muzy. Oto ostatnie cmentarzysko dusz: stać się fantastyczną istotą, która może widzieć, rozumieć, działać, ale nie może mówić.

- Tak więc będzie jedną z tych nielicznych chimer, które zachowały swój dawny wygląd

- zauważam. - A Freddy?

Raoul przyznaje, że to był jego pomysł... Wolał to, niż aby ich przyjaciel zginął po śmierci swojej ukochanej. Dlatego zaproponował mu, żeby do niej dołączył.

- O tej porze rabin Freddy Meyer powinien już zamienić się w chimerę. O ile przekształcenie związane jest z miejscem, w którym dana osoba się znajduje, powinien zostać muzą...

- To będzie jedenastą muzą - uzupełniam.

- Nie wiem, jaka mogłaby być jedenasta sztuka - mówi Raoul.

Co za niesamowita sprawa, ten związek niewidomego alzackiego rabina z hollywoodzką gwiazdą filmową. Ta zdawałoby się niemożliwa miłość przetrwała Imperium Aniołów i trwała nadal w królestwie bogów.

A teraz są połączeni na wieczność w czerwonym świetle rozkoszy. I chociaż ich struny głosowe na zawsze pozostaną milczące, ich dusze nie przestaną się porozumiewać i łączyć ze sobą.

82

- Zanim zostawiliśmy go w czerwonym świetle, Freddy poprosił, abym przekazał ci wiadomość. Powierza ci swój lud wielorybów, jego stolicę i wszystkich jej mieszkańców. W każdym razie oni mówią tym samym językiem, co ludzie-delfiny, i mają takie samo pismo.

Cały lud w spadku? W ciągu sekundy widzę wszystkie konsekwencje takiego „prezentu”.

Raoul Razorback krąży po salonie. Ja tymczasem wkładam tunikę i togę.

- Uważam to za trochę niesprawiedliwe, że zyskałeś lud, chociaż nim nie kierowałeś. Ponadto nie jestem pewien, czy twoja opieka będzie także prezentem dla ludzi-wielorybów, zwłaszcza że do tej pory jawiłeś się raczej jako bóg bojaźliwy. Widzieliśmy, czym to się skończyło w kontaktach z ludźmi-mrówkami...

- Może jestem, jak mówisz, „bojaźliwy”, ale i tak wyprzedzam cię w klasyfikacji.

Biorę moją Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej i chowam ją w fałdach togi. Następnie wkładam ankh. Bateria wydaje się dobrze naładowana.

- Nie tylko ty dostałeś coś od Freddy'ego. Mnie również pozostawił część swojego spadku.

Raoul pokazuje mi książkę podobną do tych, które wszyscy mamy w naszych willach.

- Freddy napisał cały zbiór dowcipów... I poprosił mnie, abym kontynuował jego dzieło, tak jak Edmond Wells poprosił o to ciebie.

Przeglądam książkę i natrafiam na przypadkową historię:

- „Jak rozśmieszyć Pana Boga? Opowiadając mu o ludzkich planach”. Niezłe. A gdzie ty znajdziesz dowcipy? Freddy miał wybitną zdolność do ich zapamiętywania.

Raoul odpowiada wymijająco:

- Nie wiem. Wydaje mi się, że wszystko, co się tutaj dzieje, to jedna wielka farsa.

Dźwięk dzwonu przywołuje nas do porządku. Kierujemy się w stronę Megaronu, gdzie czeka śniadanie.

Moi przyjaciele teonaucci zgromadzili się przy końcu stołu. Siadam koło Raoula. Podaje mi mleko.

- Wczoraj wieczorem byłem żaloszny, prawda?

- Powiedziałbym raczej, że byłeś prawdziwy. Kiedy byliśmy śmiertelnikami, nigdy się nie upijałeś i miałem wrażenie, że boisz się, aby nie wpaść w sidła alkoholu. Wczoraj wieczorem pokazałeś swoją ciemną stronę i teraz wydaje mi się, że cię lepiej znam. Jestem twoim przyjacielem, Michael, i jako przyjaciel mogę ci podarować prezent: obiecuję, że nigdy, bez względu na okoliczności, nie będę cię osądzał.

Patrzy na mnie swoimi dużymi, czarnymi oczami i przypominam sobie czasy, gdy jako chłopcy przechadzaliśmy się po alejkach cmentarza Pere-Lachaise.

- Szkoda jedynie, że przez swoje upicie straciłeś scenę ponownego spotkania Freddy'ego i Marilyn. To było nadzwyczajne, naprawdę nadzwyczajne.

83

Pora Roku Jesień upina do góry swoje rude włosy i przynosi nam chleb z rodzynekami oraz masło. Myślę, że na dzem przyjdzie trochę zaczekać.

- Doszliście dalej, za krainę muz? - pytam.

Freddy wyjaśnia, że zostawiwszy Freddy'ego Meyera ze swoją muzą, kontynuowali eskapadę.

- Z tego, co zdążyliśmy się zorientować, za czerwoną krainą znajduje się wulkaniczny region z wypełnionymi lawą jeziorami.

- Strefa pomarańczowa...

- Ziemia jest tam zbyt gorąca. Aby móc iść dalej, trzeba zabrać ze sobą kawałki materiału do owinięcia sandałów.

Georges Méliès, Gustave Eiffel i Mata Hari siadają obok nas.

- Poranne odejmowanie: $80 - 1 = 79$ - podsumowuje Georges Méliès z ledwie wyczuwalną nutą smutku w głosie.

- Kto dziś jest naszym nauczycielem? - pytam.

26. MITOLOGIA: HERAKLES

Herakles (po łacinie Herkules) oznacza w języku greckim „chwała Hery”. Począł się ze związku Zeusa z Alkmeną. W tym celu Zeus przybrał wygląd jej męża.

Znużona niewiernością swojego męża Hera wysłała dwa węże, które miały udusić dziecko. Lecz ono, chociaż było dopiero co urodzonym noworodkiem, miało wystarczająco dużo sił, aby zabić gady. Kiedy był już dorosły, Hera, która nienawidziła go od czasu dzieciństwa, zesłała na niego szaleństwo. Wskutek ataku demencji Herakles zabił ośmioro własnych dzieci. Kiedy powrócił do stanu normalnej świadomości, chciał się oczyścić i udał się w tym celu do wyroczni del-fickiej. Pytia powiedziała, że na okres dwunastu lat powinien oddać się do dyspozycji swojego kuzyna-tyrana Eurysteusza i wykonywać wszystkie prace, których ten od niego zażąda.

1. Herakles zabił lwa nemejskiego, którego skóra była twarda jak żółwi pancerz. Ponieważ ani jego maczuga, ani miecz w żaden sposób nie mogły zaszkodzić bestii, Herakles zabił ją gołymi rękoma.
2. Zabił hydrę lernejską, potwora z ciałem psa i dziewięcioma głowami węża.
3. Schwytał łanię kerynejską, zwierzę o kopytach z brązu i złotych rogach, które uciekło bogini Artemidzie, kiedy była dzieckiem.
4. Uwięził dzika erymantejskiego.
5. Posprzątał stajnię Augiasza.
6. Przepędził ptaki stymfalijskie.
7. Schwytał byka kreteńskiego.
8. Zabił kłacze króla Tracji, Diomedesa, który żywił je ludzkim mięsem.
9. Zdobył przepaskę Hippolity, królowej Amazonek.
- 84
10. Uprowadził trzodę Geriona, uznawanego za najsilniejszego człowieka na Ziemi.
11. Przyniósł złote jabłka z ogrodu Hesperyd. Owoce te pochodziły z jabłoni подарowanej Herze przez Gaję z okazji jej ślubu z Zeusem.
12. Pojmał Cerbera, bestię o wyglądzie psa. Ta dwrunasta praca była najtrudniejsza, bowiem polegała na wyprowadzeniu Cerbera z Podziemia Hadesa. Aby temu podołać, Herakles został wtajemniczony przez syna Orfeusza w misteria eleuzyjskie, dzięki czemu mógł wejść do podziemnego świata umarłych.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

27. HERAKLES. NIEDZIELA. ZNACZENIE BOHATERÓW

Położony w dzielnicy nauczycieli pomocniczych pałac Heraklesa jest z pewnością większy i wspanialszy niż pałac Syzyfa. Podtrzymujące wejście kolumny są tak naprawdę rzeźbami ludzi ogromnych rozmiarów.

Przy wejściu rozłożono duży czerwony dywan. Na ścianach korytarza zawieszono trofea myśliwskie: głowy lwów, smoków, niedźwiedzi, koni z przeraźliwie ostrymi zębami lub przerażających ptaków drapieżnych.

Wreszcie nadchodzi nasz dzisiejszy nauczyciel.

Herakles jest mężczyzną raczej barczystym niż wysokim. Ubrany jest w dobrze skrojoną lwią skórę, wyglądającą jak modna tunika. Na głowie nosi paszczę lwa przyozdobioną dekoracyjnymi motywami. W ręku trzyma rzeźbioną maczugę z oliwnego drzewa. Jednak jest mniej umięśniony, niż to sobie wyobrażałem. Mitologia zawsze przesadza.

Przypominam sobie tekst Francisa Razorbacka, zamieszczony w Encyklopedii Edmonda Wellsa, i stwierdzam, że nasz dzisiejszy nauczyciel pomocniczy wcale nie jest taki sympatyczny, jak to się zwykle przypuszczać. W końcu, aby zrealizować swoje dwanaście prac, musiał zabijać, kłamać, oszukiwać. Zabił własne dziecko, zmasakrował Amazonki, ukradł skarb.

Siadam przy ostatnim stoliku i zauważam, że znowu jakiś żartowniś wyrzył w drewnie napis: „Bóg bogów nie ma religii”. Najprawdopodobniej ktoś z poprzedniego rocznika. Ciągle zapominam, że nasz rocznik bogów-uczniów jest tylko jednym z wielu i że z pewnością wielu następnych uczniów będzie zużywać swoje togi, siedząc na moim miejscu.

Herakles przygląda się nam, jakby chciał ocenić wzrokiem swoją nową klasę. Nie mówiąc ani słowa, uderza maczugą w biurko i natychmiast pojawia się Atlas z twarzą, na której nie widać żadnych uczuć. Tym razem ten, który przyzwyczaił nas do swoich nieustannych narze-

85

kań, nic nie mówi. Kładzie kulę ziemską w kieliszku do jajek, rozkłada w odpowiednich miejscach fiołki „Raju” oraz „Imperium aniołów” pod Ziemią 18 i odwraca się plecami, aby wyjść, powłócząc stopami.

Herakles zatrzymuje go:

- Hej, Atlasie, mógłbyś już zapomnieć o tej ponurej historii w ogrodzie Hesperyd i znowu stać się moim przyjacielem.

Atlas zatrzymuje się i lekko odwraca.

- Nasze porozumienie dotyczyło wymiany: ja miałem ci pomóc zerwać złote jabłka, a ty miałeś mi pomóc dźwigać świat.

- Nie do końca.

Atlas odwraca się nagle i mówi swoim zwykłym tonem:

- Jeśli nie chcesz dźwigać świata, znajdź przynajmniej kogoś, kto mógłby mnie zastąpić.

- Dobrze wiesz, Atlasie, że to niemożliwe. Dźwiganie świata jest twoim przeznaczeniem. Nikt nie może tego zrobić za ciebie.

Zdegustowany olbrzym wzrusza ramionami. Następnie zatrzymuje się i spoglądając na klasę, rzuca w naszą stronę:

- Jeśli chodzi o tego złośliwca, który dziś w nocy przyszedł do mojego domu, to niech się nie martwi. I tak go złapię. Tak jak wcześniej złapałem innego.

A zatem jeszcze jakiś inny uczeń zwiedził piwnicę wypełnioną kulami ziemskimi. A on pewnie myśli, że to znowu ja...

Olbrzym znika, mrużąc pod nosem.

Herakles bierze swój ankh, ogląda planetę, po czym zwraca się do nas:

- Dzień dobry. Nazywam się Herakles i jestem waszym nowym nauczycielem pomocniczym. Dzisiaj opowiem wam o znaczeniu „herosów”. Ale najpierw, czy ktoś potrafi mi podać definicję wyrazu „bohater”?

Chwila zamieszania wśród publiczności.

- Człowiek posiadający nadzwyczajną moc - proponuje Wolter.

Herakles uśmiecha się ironicznie.

- Tak, to właśnie wymyślają potem biografowie bohatera. Kiedy już sprostował wszystkim wyzwaniom i dokonał wszelkich wyczynów. Albo też... kiedy ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby zapłacić za profesjonalne pochlebstwa. Jednak nie mylcie ludzi z ich legendą. Myślcie da-lej...

- Człowiek wyjątkowo inteligentny? - proponuje Jean-Jacques Rousseau.

- Są inteligentni ludzie, którzy siedzą w swoich fotelach, rozwiązując wyjątkowo skomplikowane krzyżówki. To nie są bohaterowie.

Herakles krąży między rzędami, przyglądając się nam po kolei.

W końcu zrezygnowany mówi sam:

- Bohaterowie to ludzie, którzy...

Zawiesza głos.

- ...wyobrażają sobie, że są bohaterami.

Herakles nie kryje satysfakcji.

- Wyjaśniam to, co powiedziałem: bohater sądzi, że jest zbudowany ze szczególnego tworzywa i przeznaczony do wykonania szczegól-

86

nej misji, innej od wyznaczonych wszystkim innym ludzkim istotom. Krótko mówiąc, bohater to ktoś, kto z góry wierzy w swoją własną legendę.

Przechadzając się wśród ławek, precyzuje:

- Jeśli weźmiemy pod uwagę historię waszej planety, Ziemi 18, to z pewnością pojawili się już w niej bohaterowie: dowódcy wojsk, odważni odkrywcy, a nawet bardziej niż inni bystrzy naukowcy. Tym, co ich łączy, jest chęć przyczynienia się do wzrostu znaczenia ich ludu na świecie. Król szczurów podbił terytorium Amazonek, a następnie, wbrew woli własnego ludu, poślubił ich królową. W oczach swoich ludzi też jest bohaterem. Twardy dowódca wojsk, zdeklarowany reformator. Jego legenda trwać będzie w kolejnych pokoleniach ludzi-szczurów. Ale można zrobić coś lepszego.

Z dużego, zdobionego okuciami dębowego pudełka nasz nauczyciel pomocniczy wyjmuje coś, co przypomina nam ołowiane żołnierzyki.

- Przedstawię wam kilku bohaterów ze światów stworzonych przez poprzednie roczniki. Posłuchajcie tych imion, które rozbrzmiewają w historii ich ludzkości: Belzec, charyzmatyczny król z Ziemi 7, zmarł z miłości do pewnej królowej. Guron, odkrywca, który dotarł do źródeł największej rzeki z planety zwanej Ziemią 14, choroba położyła kres jego ostatniej podróży do archipelagu dzikich wysp. Solgan, niesamowity facet, który głosił proroctwa dotyczące jego planety i nigdy się nie mylił. Lileith, astronauta, który zorganizował wyprawę ostatniej szansy, chcąc w ten sposób uratować swój gatunek przez ucieczkę na gwiazdnych żaglowcach w przestrzeń kosmiczną. Według mnie był najbardziej oryginalny ze wszystkich..

Annimachedec, muzyk, który uznał, że śpiew jest wartością nadrzędną. Niektórzy potrafili leczyć śpiewając, inni umieli zabijać. Podczas wojny używali strun głosowych jak broni. Uprawiali miłość, łącząc się strunami głosowymi.

Dając się ponieść wspomnieniom o tym dziwnym bohaterze, Herakles zaczyna nucić, po chwili jednak podejmuje na nowo:

- Annimachedec zmarł na skutek infekcji gardła. Kaszłał. Kaszłał, biedny. Dobili go, każąc mu słuchać niskich tonów, które zatrzymały pracę jego serca. W końcu... Takie jest przeznaczenie wszystkich bohaterów: śmierć.

Oddaje się marzeniom.

- Może właśnie tego bogowie-mistrzowie najbardziej zazdroszczą ludziom. Śmierci. Ich film się kiedyś urywa. Tymczasem, kiedy jest się nieśmiertelnym, film się nigdy nie kończy. I dlatego bogowie nie mogą być bohaterami. Bo heroizm powstaje w ostatniej scenie.

Zastanawiam się nad tym. Wielki Pan Bóg, o ile istnieje, jest nieskończony i wszechpotężny, ale musi zapewne podziwiać to, co posiada granice i żyje w strachu przed przegraną. Tak. My mamy ten przywilej, że możemy odnieść sukces, ponieważ także mamy możliwość przegranej... podczas gdy on... cały czas wygrywając, nie ma już o co walczyć. Brak napięcia. Herakles z wyraźnie zadowoloną miną porusza ołowianymi figurkami.

87

- A zatem Animachedec. Lileth, Solgan... Oczywiście te nazwiska nic wam nie mówią, jednak my, nauczyciele, nie zapomnieliśmy o tych szczególnych śmiertelnikach, zainspirowanych przez obdarzonych bujną wyobraźnią bogów-uczniów.

Bóg pomocniczy otwiera szufladę biurka i wystawia kolejne statuetki, na których wygrawerowano nazwiska. Niektóre trzymają w ręku broń lub nieznanne narzędzia, kilka ubranych jest w mundury.

- ...Ludzie należący do elit, prawdziwe dzieła sztuki, skarby, które godne są przechowywania w muzeum wszechświata... Ale na razie tłoczą się w mojej torbie, chociaż poprosiłem już, aby stworzono tu muzeum ludzkiego bohatera wszystkich ziem. Projekt został poddany pod dyskusję.

„Jak wyprodukować bohatera?” - zapisuje Herakles na tablicy.

-Ach, przepis na bohatera. Oczywiście wszyscy chcieliby go znać. Nie istnieje formuła absolutna, ale warto poznać kilka elementów. Aby uzyskać wysokogatunkowego bohatera, wybierzcie najpierw istotę zdrowo myślącą, która jest zdolna naprawiać swoje błędy. A więc oporność.

Notuje na tablicy: „Oporność”.

- Co to jest oporność? Minus skompensowany przez plus.

Sala słucha z zainteresowaniem. Wielu spośród 80 uczniów także odniosło sukces, kompensując jakąś ranę z okresu młodości.

- „Nigdy do niczego nie dojdiesz” - wystarczy powiedzieć tak małemu chłopcu, aby z samej przekory zadał sobie wiele trudu po to, by udowodnić, że jest najlepszy. Za każdym bohaterem kryje się nierzadko dziecko, które dużo czasu spędzało samotnie w kąciку, wściekając się lub płacząc.

Herakles pokazuje rysunek. Wydaje mi się, że widziałem go już w moim wcześniejszym życiu. Przedstawia dwie baraszkujące rybki. Mniejsza pyta: „Mamo, podobno niektórzy z nas wyszli z wody i teraz chodzą po ziemi, kto to był? - Och, głównie niezadowoleni”.

Wśród zebranych rozlegają się śmiechy.

- Strach, niezadowolenie, rany, oto, co tworzy bohaterów. Po co zadawalibyśmy sobie trud zmieniania świata, gdyby odpowiadał nam taki, jaki jest?

Herakles bierze do rąk figurkę, którą zdaje się szczególnie podziwiać.

- Ludzie szczęśliwi nic nie zyskują wraz ze zmianami. Tylko poczucie niesprawiedliwości motywuje do tego, by zmieniać bieg rzeczy. A zatem bohater cierpi z powodu jakiejś rany. Teraz wasza kolej wykorzystać to w grze.

Edith Piaf podnosi rękę.

- A jeśli rana jest śmiertelna? - pyta.

- Wiadomo, że bite dzieci są niedobre dla swoich własnych dzieci - potwierdza Simone Signoret.

Ta uwaga nie zbija z tropu Heraklesa.

- Dlatego właśnie trzeba rozważnie podawać truciznę, która ma służyć jako szczepionka. Za dużo trucizny i możemy uzyskać efekt odwrotny do zamierzonego, całkowite przygnębienie. No i są jeszcze

88

--— _____J

bohaterowie negatywni. Powiedziano im na przykład, że są zerem, a oni, zamiast chcieć udowodnić, że są najlepsi, próbują zniszczyć tych, którzy ich zniesławili. Między bohaterem i... kryminalistą jest czasami niewielka różnica. Tak powinniście dawkować złe przeżycia z okresu dzieciństwa, aby pozostawić nadzieję, a wasz bohater żeby zachował pozytywne wartości.

Myślę, że w tej historii z bohaterami jest więcej szans na wyprodukowanie potworów niż świętych.

- Od strony praktycznej: stosujcie wasze własne rany, tworząc bohaterów na wasz własny obraz. Jesteście bogami-uczniami, ale w głębi serca zachowaliście wiele urazów, nerwic i mieszanych uczuć z czasów, kiedy byliście śmiertelnikami na Ziemi 1. Skoro znaleźliście się tutaj, to znaczy, że umieliście w swoim życiu zrealizować tę pozytywną oporność. A zatem niech wasza osobista droga będzie inspiracją dla waszych poddanych. Natchnijcie ich swoim gniewem, waszymi ambicjami, a oni wyrażą je w swoim świecie. W ten sposób nietrudno wam będzie ich uformować. Niech na Ziemi 18 będą przedstawiciele waszych słabości i sił. Jest takie hinduskie słowo, które wyraża inkarnację boga na ziemi: „awatara”. Niech więc oni staną się waszymi awatarami. Jeden zdeterminowany człowiek wystarczy, aby zmienić oblicze świata. Jedna kropla może sprawić, że ocean wystąpi z brzegów.

Kreda zgrzyta na tablicy pod naciskiem jego silnej dłoni, kiedy zapisuje, a następnie podkreśla: „Owce Panurga”.

- Kto zna tę bajkę?

Podnosi się wiele rąk, w tym moja.

- Chodzi o anegdotę z książki tu obecnego François'a Rabelais'go. W doskonały sposób ilustruje ona dalszy ciąg naszej lekcji.

Rabelais daje lekki znak głową.

- Przypomnijmy dla tych, którzy ją zapomnieli. Akcja dzieje się na statku. Pewien mężczyzna chciał się zemścić na pasterzu. Kupił więc od niego jednego barana, wybierając celowo przewodnika stada. Dokonawszy zakupu, wrzucił zwierzę do wody, a wtedy pozostałe owce wskoczyły za przewodnikiem i utopiły się, rujnując pasterza.

Po pchłach, małpach i szczurach przyszła kolej na owce.

- To jest właśnie siła lidera. A zatem dzisiaj, jeśli zechcecie, poświęćcie się tworzeniu bohaterów. Bądźcie oryginalni, nie produkujcie szablonów, jakie można spotkać na wszystkich planetach wszystkich galaktyk we wszechświecie. Zapomnijcie o Zorro i Robin Hoodzie, których postaci upiękuszono w legendach, chociaż tak naprawdę byli zabójcami. Pomyślcie, jak wyrazić was samych w ich świecie. No, dalej, zróbcie na mnie wrażenie.

Nasz nauczyciel chowa swoje figurki.

- Macie już królestwa. Dzięki bohaterom zbudujecie legendy.

89

28. ENCYKLOPEDIA: SELEKCJA

Aby dokonać selekcji swoich przyszłych szpiegów, CIA, amerykańska agencja wywiadowcza, stosowała między innymi bardzo prostą metodę: dawała w gazetach małe ogłoszenie, w którym sygnalizowała, że prowadzi nabór pracowników. Żadnego konkursu, żadnych druków do wypełniania, bez potrzeby jakichkolwiek szczególnych rekomendacji, nawet bez curriculum vitae. Osoby zainteresowane proszono o zgłoszenie się do biura o siódmej rano. Tak więc około stu kandydatów spotykało się rano w poczekalni. Jednak mijała godzina i nikt po nich nie przychodził. Czas płynął. Kolejna godzina. Najmniej wytrwali denerwowali się, nie rozumiejąc, dlaczego zawraca im się głowę, w końcu wychodzili, narzekając. Około godziny 13.00 dobra połowa trzasnęła z drugiej strony drzwiami. Około 17.00 z tych, którzy stawili się rano, została zaledwie jedna czwarta. Do północy wytrzymało tylko dwóch lub jeden. Ci byli automatycznie zatrudniani.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

29. CZAS IMPERIÓW

IMPERIUM DELFINÓW

Wiatr wiał nad wydrami. Gromadziły się szare chmury, przynosząc drobną mżawkę. Ludzie spoglądali w niebo i większość z nich zadawała sobie pytanie, co tak właściwie jest tam w górze, ponad chmurami. Ale byli i tacy, którzy się nad tym nie zastanawiali. I już z daleka było widać, że ci boją się najmniej. Dla nich jutro byłoby innym dzisiaj.

Ludzie starzeli się i umierali, jedni z uśmiechem na twarzy, inni narzekając. Niektórzy przed śmiercią wypowiadali ostatnie słowa: „Śmierć jest tylko przejściem” albo: „Proch, obracam się w proch”. Chowano trupy, a robaki recykliowały je, przetwarzając na kompost. Nim minęły trzy pokolenia, większość ich nazwisk odchodziła w zapomnienie.

Ludzie-delfiny czuli się jak w ślepej uliczce. Ich historyczne księgi wymieniały przeżyte nieszczęścia i opisywały nadzieje. Nie wiedzieli, jaki kierunek nadać swojemu wspólnemu losowi. Powstałe w samym sercu ich religii ruchy ezoteryczne próbowały znaleźć jakieś wyjaśnienie, ale nawet gdyby te poszukiwania wpływały na wyobraźnię ludzi--delfinów, i tak by to nie wystarczyło, by przywrócić im spokój.

Terytorium ich przodków zajmowali ludzie-lwy, a lud delfinów rozproszony był po całym świecie, tworząc w łonie innych narodów bardziej lub mniej tolerowane mniejszości.

Uciekając przed jarzmem najeźdźców z północy, ludzie-delfiny postanowili wypłynąć na morze i przemieszczać się wzdłuż brzegów

90

w nadziei, że znajdą tam terytorium, gdzie będą mogli założyć miasto, w którym wreszcie będą mogli spokojnie żyć. Przez większość czasu napotykali tylko wysłane w ich kierunku strzały lub strome brzegi. Wracali więc czym prędzej na morze. Zrezygnowani traktowaniem jak intruzów, byli już przekonani, że przyjdzie im powrócić z opuszczoną głową do portu, z którego wyruszyli, kiedy nagle, ku ich wielkiemu zaskoczeniu, zostali przyjęci z otwartymi ramionami w położonym na południu nadmorskim mieście, dużym i znaczącym porcie.

Nawet znaleźli tam niewielką wspólnotę ludzi-delfinów, która żyła tam od bardzo dawna, ciesząc się bezpieczeństwem i komfortem.

Zastanawiali się, skąd takie gościnne przyjęcie. Regułą bowiem była nieufność. Ku ich wielkiemu zaskoczeniu przedstawiciel lokalnej ludności zwrócił się do nich w ich własnym języku i wyjaśnił, że znajdują się teraz w kraju ludzi-wielorybów, którzy, zdaniem kapłanów, utracili niedawno swojego boga, ale on, nim zginął, zapowiedział im rychłe przybycie grupy ludzi-delfinów. Nakazał, aby przyjęli ich przyjaźnie, ponieważ przywiozł ze sobą wiedzę niezbędną w nowej erze pomyślności, która nadejdzie dla ich ludu.

Początkowo ludzie-delfiny podejrzliwie podeszli do takiej postawy. Wiedzieli, że w regionach położonych w pobliżu ziemi ich przodków nie ma takiego miejsca, które nie stanowiłoby dla nich zagrożenia. W końcu jednak pogodzili się z tą myślą, uznając, że rasizm w stosunku do delfinów jest zjawiskiem cyklicznym. I nawet jeśli teraz nie istnieje, to za jakiś czas znowu powróci. Ale nie mieli wyboru. Toteż zaczęli czuć się coraz bardziej swobodnie, mimo że niektórzy spośród nich szemrali ciągle, że wszystko układa się zbyt dobrze.

Ludzie-wieloryby nawrócili się na ich religię wyznającą kult światła, słońca, jednego boga, życiowej siły przenikającej wszechświat. Jednocześnie zaniechali kultu dawnego boga wielorybów. Tak jak to robili ludzie-delfiny, przejęli zwyczaj mycia rąk przed jedzeniem, przestrzegali jednego dnia w tygodniu wolnego od pracy, zaprzestali składania ofiar z ludzi, a potem również ze zwierząt. Nawet wyrzekli się niewolnictwa.

Jako że już wcześniej przyswoili sobie język i pismo ludzi-delfinów, teraz dostosowali się do ich kalendarza oraz kartografii.

Wywodzący się z ludu delfinów architekci wzmocnili mury miejskie, używając do tego uzyskanego przez swoich chemików nowego cementu. Ciągłe wrażliwi na punkcie higieny, zamocowali na dachach domów cysterny przeznaczone do gromadzenia deszczówki. Propagowali też częstsze mycie. W celu oczyszczenia ulic miasta stworzyli system kanalizacji odprowadzającej zarówno ścieki, jak i odpadki. Z myślą o spacerach, wypoczynku i zdrowiu założyli ogrody. Wzniesli obserwatorium astronomiczne, dużą bibliotekę oraz ogromnych rozmiarów świątynię w kształcie sześcienu. Zbudowane wokół miasta akwedukty oraz inne systemy nawadniające z wielokrotności zbiory.

Pod wpływem nowych ludzi-delfinów, ludzie-wieloryby stworzyli system polityczny, na czele którego stała posiadająca symboliczną władzę królowa oraz zgromadzenie mędrców, w których gestii była władza

91

ustawodawcza. Oni zaś powoływali rząd, złożony ze specjalistów z różnych dziedzin.

Pierwsza królowa wywodziła się z ludu wielorybów, ale poślubiła uczonego, wywodzącego się z ludu delfinów.

Miasto biło własną monetę. Sprawiedliwość wymierzały sądy złożone ze specjalistów w zakresie prawa oraz wybranych spośród ludu ławników. Zgodnie z pierwotną tradycją delfinów, królowa zaczęła rozwijać swoje umiejętności jako medium i jednocześnie przybierać na wadze, aż zrobiła się otyła. Kiedy siadała na środku świątyni i wpadała w trans, otaczali ją kapłani, czekając, jakie wiadomości otrzyma z „wyższego wymiaru”.

Z inicjatywy swojej grubej królowej ludzie-wieloryby i ludzie-delfiny rozpoczęli budowę ogromnych rozmiarów portu, mogącego, dzięki systemowi wodnych ramp, przyjmować setki statków na kilku poziomach jednocześnie. Ulepszono także okręty, stosując w nich stery umieszczone z przodu statku, wysmukłe kadłuby oraz lżejsze materiały, dzięki którym statki zyskiwały większą prędkość oraz pojemność.

Inżynierowie z ludu delfinów zrozumieli dość szybko, że wytrzymałość statku zależy od kilu. Dotychczasowe kile zbudowane były z trzech elementów, które w momencie uderzenia wyginały się na wszystkie strony. Studiując dogłębnie technikę budowania kadłubów, inżynierowie zainteresowali się okazałymi drzewami: cedrami. Chcąc otrzymać zaokrąglony kształt, moczyli obydwa końce drewnianych bali, a następnie podgrzewali je z jednej strony. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, który stał się główną tajemnicą stoczni ludu wielorybów-

delfinów: giąć drewno, kiedy jest jeszcze krzewem. Pień rósł zatem w kształcie krzywej, a potem zupełnie nieskomplikowaną sprawą było otrzymanie zaokrąglonego kadłuba z drewnianymi kilami. Widok lasów pełnych pochylonych drzew bawił dzieci i zaskakiwał nieuprzedzonego spacerowicza.

Ponieważ ludzie-delfiny nadal nie chcieli sami brać udziału w wojnach, zwerbowali najemników, zawodowych żołnierzy, otrzymujących pensję w zamian za ochronę morskich konwojów i czuwanie nad bezpieczeństwem miasta. Od tej chwili, dzięki obecności na pokładzie uzbrojonych ludzi, statki zyskały respekt tubylców. Ludzie-delfiny bez problemów kontaktowali się z lokalnymi społecznościami, którym proponowali wymianę surowców, wyrabianych ręcznie przedmiotów oraz map przeznaczonych dla marynarzy.

Rozpoczęli od handlu wymiennego, później przekonali inne ludy do używania wspólnego pieniądza.

W celu zwiększenia wymiany handlowej ludzie wieloryby-delfiny wysyłali swoje morskie ekspedycje w coraz dalsze rejony. Ustanawiali tam przedstawicielstwa handlowe.

Ekspedycje przyczyniły się także do mieszania się ludów, które następowało mimo początkowej rezerwy, z jaką odnosili się do siebie. Sąsiednie królestwa, mając świadomość postępu ludu wielorybów-delfinów, wysyłały nawet swoją młodzież, aby kształciła się na ich uniwersytetach. Młodzi ludzie wracali stamtąd przepelnieni liberalnymi ideałami, szokującymi społeczeństwa, z których pochodzili. Opowiadali się

92

przeciw niewolnictwu, głosili zakaz składania ofiar z ludzi i zwierząt oraz inne opinie uważane za wywrotowe.

Dzięki geniuszowi budowniczych statków cywilizacja wielorybów--delfinów nieustannie ulepszała swoje okręty, a co za tym idzie, organizowała coraz dalsze wyprawy, mające na celu odkrywanie terra incognita. Uaktualniane mapy określały rodzaje prądów morskich, których działaniu poddawane były statki. Tym samym można było podróżować na duże odległości, pozwalając się nieść tylko i wyłącznie dobrym prądom. Powstawały szlaki morskie, które tylko oni znali.

Zachęceni tym mędrcy i królowa postanowili pewnego dnia wysłać statki na poszukiwanie dużej wyspy, położonej na zachodzie. Mitycznej „Wyspy Spokoju”, na której ich przodkowie starali się zbudować idealne państwo. Marynarze długo żeglowali, lecz wrócili z niczym. Jeśli nawet ta wyspa kiedyś istniała, to musiało pochłonąć ją morze i żadne podwodne trzęsienie ziemi nie wypchnęło jej z powrotem na powierzchnię.

Lud wielorybów-delfinów wysłał też specjalną ekspedycję, której zadaniem było opłynięcie całego kontynentu. Podróż trwała siedem lat. Wracający podróżnicy przywieźli ze sobą nowe artykuły spożywcze, nieznanne owoce i warzywa oraz poprawiające smak potraw przyprawę. Przywieźli także oryginalne instrumenty muzyczne, rośliny, dzięki którym leczono gorączkę, bardzo twarde kamienie o pięknym połysku.

Kilku powracających marynarzy było także nosicielami nieznanymi chorob, których nie umiano leczyć. Z powodu strasznej epidemii i z troski o ochronę ludności, zgromadzenie mędrców zdecydowało się poddawać czasowemu odosobnieniu osoby powracające z daleka. 40 dni bez kontaktu z miastem czekało każdego marynarza przebywającego na nieznanym terytorium. Podczas swoich wędrówek spotykali czasami ludzi-delfiny wywodzących się z wcześniejszych migracji. Niektórzy zachowali nadal wiedzę, którą oni już zapomnieli. Inni wszystko zapomnieli i prosili, aby przypomnieć im dawne obyczaje. Opłynawszy kontynent drogą morską, ludzie-wieloryby-delfiny zapragnęli dowiedzieć się, co się znajduje na położonych w głębi ziemiach. Pierwsze karawany wyruszyły w kierunku wschodnim, chcąc zbadać, co znajduje się poza położonymi w tamtych stronach górami. Przywieźli stamtąd konkretne informacje dotyczące nowych cywilizacji, które pojawiły się na tych obszarach.

Pewien wyjątkowo nieustraszony odkrywca zorganizował wyprawę na północny wschód. Celem grupy było pokonanie licznych band rozbójników. Najpierw więc musieli przebyć wysokie góry, położone na północnej granicy kraju, później pokonali skaliste wybrzeża, aż wreszcie dotarli do brzegu kamienistej pustyni. Pokonawszy rwący potok, zostali zaatakowani przez bandy rabusiów. Pokonali ich i kontynuowali swoją wyprawę, aż doszli do kolejnych gór, za którymi znajdowała się kraina, którą uznali za koniec świata.

Nie wiedząc o tym, młody odkrywca oraz jego ludzie właśnie nawiązali kontakt z wielką cywilizacją ludzi-termitów.

93

30. ENCYKLOPEDIA: HISTORIA ŚWIŃ

Zaniepokojona smakiem mięsa grupa masarzy zwróciła się do znanego chemika, profesora Dantzera z Bordeaux z prośbą o rozwiązanie zagadki. Masarze spostrzegli bowiem, że mięso wieprzowe coraz bardziej przesiąknięte jest zapachem moczu, który sprawia, że nie nadaje się ono do spożycia. Profesor Dantzer przeprowadził śledztwo w ubojniach i wreszcie zrozumiał. Moczem pachniało mięso tych świń, które były najbardziej świadome swojej sytuacji i jednocześnie najbardziej bały się przed śmiercią.

Profesor Dantzer zalecił dwa sposoby rozwiązania tego problemu: podanie środka uspokajającego lub nieoddzielanie świni od jej bliskich.

Dantzer zauważył, że jeżeli maciora mogła pozostać ze swoimi małymi, akceptowała sytuację i nie stresowała się.

Jednak wybrano rozwiązanie ze środkiem uspokajającym. Tak więc, zjadając wieprzowinę, konsumenci spożywali jednocześnie Valium, które posłużyło do uspokojenia zwierzęcia. Tymczasem Valium ma jeden minus: powoduje uzależnienie. W rezultacie człowiek też potrzebuje regularnej dawki valium, aby sam nie czuł strachu...

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

31. IMPERIUM TERMITÓW

Wschód słońca na porośniętej bujną roślinnością nizinie.

Hałaśliwe małpy obudziły spokojne słonie. Z położonego w oddali czerwonego miasta wydobywały się strużki dymu. Królestwo ludzi-ter-mitów, chronione przed wojnami dzięki swojemu położeniu z daleka od innych ludów i wysokim górą, stanowiącym jego północną granicę, całą swoją energię zainwestowało w rozwój sztuki.

Ostre kolory zajmowały istotne miejsce w ich malarstwie, rzeźbie, ubiorach, a nawet w gastronomii. Czcili mnóstwo bogów przedstawianych z różnymi symbolami.

Historię swoich bogów, wojen oraz dzieje rywali ludzie-termity spisali na zwojach papirusu. Ich mitologia zajęła dwadzieścia tomów. Niewielu ludzi-termitów przeczytało ów tekst w całości, ale wszyscy często się na niego powoływali.

Ludzie-termity uprawiali dziwną gimnastykę, opartą na przybieraniu odpowiednich pozycji lub pozostawaniu nieruchomo. Utrzymywali, że nauczyła ich tego niegdyś ryba. A tak naprawdę chodziło o czło-wieka-delfina, który w prastarych czasach zamieszkał z nimi i tam też zmarł, nie pozostawivszy po sobie potomstwa. Cudzoziemiec nie tylko nauczył ich gimnastyki, lecz zapoznał także z pismem, astronomią i żeglarstwem.

94

Ludzie-termity przeżyli czas wielkich wojen z ludami wywodzącymi się z ludzi-szczurów, którzy nieustannie dzielili się na ciągle tak samo agresywne grupy. Przekraczali położone na północy góry i napadali na niziny. Ludzie-szczury często zwyciężali. Jednak za każdym razem sztuka i filozofia termitów tak oczarowywała dowódców ich wojsk, że porzucali wojenne zajęcia, oddając się przyjemnościom, jakie niosła ze sobą ta cywilizacja. Tak oto ludzie-termity odkryli nowy sposób na przeżycie: usnąć przeciwnika przyjemnością i nonszalancją.

Ludzie-termity poszukiwali również nieustannie możliwości ulepszenia swojego życia. W dziedzinie kulinarnej stali się ekspertami od przypraw oraz w szczególności od przygotowywania potraw w piecu, gdzie mięsa przechodziły aromatem wybranych przypraw.

Na ich uniwersytetach nauczano medycyny pomieszanej z religią, religii z astronomią, astronomii z nową arytmetyką opartą na symbolach.

Jako że ludzie-termity byli bardzo dokładni, potrafili diagnozować choroby, mierzyli puls, określając w ten sposób zużycie narządów, i używali słonej wody jako środka przeczyszczającego.

Odkryli liczby, zwłaszcza liczbę zero, strunowe instrumenty muzyczne, dające harmoniczne tony. Ale przede wszystkim wpadli na pomysł połączenia religii z seksualnością, która stała się prawdziwą sztuką, wyrażaną wieloma technikami prowadzącymi do wywołania stanów ekstazy. Uważali orgazm za najłatwiejszy sposób wzniesienia ludzkiej duszy do krainy bogów.

Chcąc zwiększyć seksualną przyjemność, naukowcy termitów studiowali każdą część ludzkiego ciała, każde zakończenie nerwu, a wszystkie obserwacje spisywali w papirusowych księgach.

Kiedy pierwsza karawana ludzi-wielorybów-delfinów dotarła do granic ich kraju, pokonując wcześniej tysiące kilometrów oraz wysokie góry leżące na północy, lud termitów przyjął ich życzliwie. Oni też znali starożytną legendę, według której ludzie-delfiny mieli powrócić kiedyś do ich kraju.

Bardzo szybko ludzie-wieloryby-delfiny i ludzie-termyty wymienili się posiadaną wiedzą. Każdy lud zachwycił się zakresem oraz różnorodnością wiadomości posiadanych przez drugi. Postanowili też szybko stworzyć faktorię handlową, co pozwoliłoby rozwijać wzajemne stosunki.

W tym samym czasie wśród ludzi-termitów pojawił się młody człowiek, który zaczął głosić nową filozofię, wywodzącą się z religii termitów, lecz jednocześnie także z koncepcji braku przemocy. Nazwano go Spokojnym Człowiekiem. Posiadał tak wielką charyzmę i wywarł takie wrażenie na ludziach-wielorybach-delfinach, że poprosili, aby im także pozwolono skorzystać z jego nauczania. Spokojny Człowiek sko-dyfikował i uszlachetnił odziedziczoną po przodkach wiedzę ludzi-termitów, wyciągając z niej kwintesencję. Ulepszył koncepcję wędrówki dusz. Przekazał zatem ludziom-wielorybom-delfinom swoją szczególną wizję świata, według której ludzie umierają i odradzają się bez końca. Oczywiście zmieniają ciało, ale dusza jest ciągle ta sama, tylko ulega

95

reinkarnacji. Młody człowiek twierdził, że nie istnieje ani piekło, ani niebo, lecz nadchodzi taka chwila, kiedy dusza sądzi samą siebie za czyny, których dokonała w poprzednich wcieleniach. A, jego zdaniem, jedynym wrogiem człowieka jest on sam i jego surowość wobec siebie.

Młody mędrzec prosił każdego o współczucie oraz dobroć dla tego, czym był w poprzednim wcieleniu.

W filozofii tej - Spokojny Człowiek bronił się przed nazwaniem jej religią - zachwycalo to, że pozwalała nie obawiać się śmierci, ponieważ każda egzystencja jest tylko przejściem z jednego życia do drugiego. Kaznodzieja miał jasne i prawe spojrzenie, a w jego głosie brzmiała słodycz. Mówiąc, uśmiechał się, czasami nawet rozlegał się jego głośny śmiech. Jednak nigdy nie wyśmiewał się z nikogo. Jego śmiech był raczej wyrazem radości z przekazywania prawd oczywistych.

Zafascynowani pisarze bez niczyjej namowy spisywali jego słowa. Notowali je także odkrywcy z kraju wielorybów-delfinów, przekonani, że im także ta filozofia może okazać się przydatna.

32. ENCYKLOPEDIA: CZTERY UMOWY TOLTEKÓW

Don Miguel Ruiz urodził się w Meksyku. Jego matka była curandera - znachorką, zaś jego dziadek nagual - szamanem. Studiował medycynę i został chirurgiem, ale podczas wypadku przeżył stan nazywany NDE (Near Death Experience lub po polsku „doświadczenie na granicy śmierci”). Wskutek wypadku zdecydował się odnaleźć naukę szamanów i został nagual linii Rycerzy Orła, tej linii, która poświęciła się przekazywaniu nauki starożytnych Tolteków. W swojej książce, zatytułowanej Cztery umowy Tolteków, zaproponował kodeks postępowania, będący streszczeniem jego nauki opartej na czterech rodzajach zachowań, które umożliwiają człowiekowi wyzwolenie się od wspólnego losu oraz strachu przed przyszłością. Pierwsza Umowa. Niech twoje słowo będzie nieskazitelne. Mów z namysłem i tylko to, co naprawdę myślisz. Nie używaj słowa przeciwko sobie samemu, ani po to, by zlorzeczyć innym. Słowo jest narzędziem mogącym niszczyć, dlatego bądź świadom jego siły i używaj go z umiarem. Bez kłamstw i oszczerstw. Druga Umowa. Nie bierz niczego do siebie.

Wszystko to, co inni mówią na twój temat i czynią przeciwko tobie, jest tylko ich wizją rzeczywistości, wyrazem ich obaw, gniewku, ich złudzeń. Przykład: jeśli ktoś cię znieważa, to jego problem, nie twój. Nie wściekaj się i nie bierz tego do siebie. Trzecia Umowa. Nie zakładaj nic z góry.

Nie zaczynaj od tworzenia hipotez dotyczących negatywnych możliwości, bo w końcu uwierzysz w nie, jakby były pewne. Przykład: jeżeli ktoś się spóźnia, myślisz zaraz, że zdarzył mu się wypadek. Jeżeli nie wiesz, dowiedz się. Nie przekonuj się o swoich własnych niepokojach i kłamstwach.

96

Czwarta Umowa. Rób wszystko najlepiej, jak potrafisz.

Nie musi ci się udać, masz tylko jeden obowiązek: robić wszystko najlepiej, jak potrafisz.

Jeżeli ci się nie uda, nie wydawaj sądów, nie karz się i nie żałuj. Staraj się, próbuj, usiłuj jak najlepiej wykorzystać swoje osobiste możliwości. Bądź dla siebie wyrozumiały. Zaakceptuj to, że nie jesteś doskonały i że nie zawsze zwyciężasz.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

33. IMPERIUM ORŁÓW

Ludzie-orły długo czekali, aż nadejdzie ich czas.

Ze szczytu swojej góry obserwowali z daleka rozwój innych ludów zamieszkujących niziny i kiedy uznali, że są gotowi, zdecydowali, że nadszedł odpowiedni moment, aby rozszerzyć strefę swoich wpływów.

Rozwinęli zatem cywilizację opartą na wojsku, zbliżoną do cywilizacji ludzi-lwów, ale z bardziej rozbudowaną strukturą.

Rządy zgromadzenia, jakie istniały w kraju wielorybów-delfinów, a o których opowiadali wędrowcy, wydały im się bardzo nowoczesne, jednak u nich tylko bogaci i szlachetnie urodzeni mieli prawo głosować.

Ich naukowcy poświęcali się opracowywaniu skuteczniejszej i bardziej niszczycielskiej broni. W ten sposób wymyślili katapultę, kuszę i balistę, które umożliwiały wyrzucanie ostrzy oraz kamieni na znaczne odległości.

Ludzie-orły przyjęli alfabet ludzi-lwów, wprowadzając do niego nieliczne zmiany. Ustanowili sądy i dokładnie skodyfikowali prawa, w szczególny sposób uwzględniając w nich kary, z karami cielesnymi włącznie, i to wykonywanymi publicznie. Jeśli chodzi o religię, nie komplikowali sobie życia, tylko zapożyczyli od ludzi-lwów w czystej postaci ich politeizm, zadowolając się jedynie zmianą nazw bogów, ale zachowując ich atrybuty, moc i historię.

Ludzie-orły napadali z góry. Bez problemu zajęli kilka wsi, następnie miasta na nizinach należące do ludów nieposiadających swoich bogów.

Potem przenieśli swoją stolicę i opuścili szczyt góry, aby zamieszkać w przeciętej dużą rzeką niecce, gdzie wzniesli ogromne miasto, które ufortyfikowali, jak tylko najlepiej potrafili.

Ludzie-lwy budowali jak najwięcej mniej lub bardziej samodzielnych i rywalizujących ze sobą miast. Ludzie-orły woleli koncepcję jednej kwitnącej stolicy. Pragnęli scentralizowanego państwa, a nie związku miast.

Wewnątrz murów miejskich zbudowano szkoły, wydziały prawa i filozofii, sądy wymierzające sprawiedliwość zgodnie z obowiązującym prawem. W ten sposób powstała zhierarchizowana administracja, będąca odbiciem armii, która uformowała Państwo.

97

Kraj tych ostatnich po okresie ekspansji zaczął się chylić ku upadkowi. Ich miasta traciły siły w wojnach domowych, a zamiłowanie do zabaw zdławiło ducha walki.

Skoro uznali, że ich stolica jest wystarczająco chroniona, zebrali wojsko i rozpoczęli atak na położony na północnym zachodzie kraj swojego potężnego sąsiada: ludzi-lwów.

Atakowane przez ludzi-orłów miasta ludzi-lwów padały jedno po drugim. Mimo wielu prób mediacji, małe miasta lwów okazały się niezdolne do tego, aby się zjednoczyć i wspólnie stawić czoła najeźdźcy.

Ludzie-orły okazali się strasznymi zwycięzcami. W ich programie zawsze znalazła się masakra i niewolnictwo pokonanych, grabienie bogactw i burzenie zabytków.

Tymczasem kiedy minął pierwszy okres inwazji, przestali systematycznie mordować wszystkich pokonanych przeciwników. Zwyciężonym królom pozwalali zachować władzę.

Nie żądano od nich, by się nawracali na wiarę zwycięzców i jeśli tylko płacili ludziom-orłom podatki, ich lud nie był prześladowany.

Podatki opłacano w walucie, w surowcach, w kobietach i niewolnikach. Po kilku latach cudzoziemcy, o ile sami tego pragnęli, mogli poprosić o włączenie ich do królestwa ludzi-orłów i wtedy stawali się pełnoprawnymi obywatelami.

Właśnie w tym czasie do brzegu ziemi ludzi-orłów przybiła ekspedycja morska wielorybów-delfinów. Odkrywczy zostali dobrze przyjęci, a ich propozycja stworzenia nowej faktorii, zapewniającej lepszą wymianę handlową między dwoma ludami, zyskała pełną akceptację.

Wszystko szło jak najlepiej dopóty, dopóki oddział żołnierzy orłów nie otrzymał rozkazu zajęcia jednego z okrętów ludzi-wielorybów-delfinów po to, aby poznać tajemnicę jego budowy. Śpiącym spokojnie marynarzom podcięto gardła, a ich statek rozłożono na czynniki pierwsze. Pozostała już tylko jedna tajemnica: jak cudzoziemcy zdobywali te ogromne drewniane zaokrąglone belki?

Wtedy ludzie-orły podjęli decyzję, by przejść od inwazji lądowych do inwazji morskich. Postanowili też stworzyć flotę wojenną. W odróżnieniu od wielorybów-delfinów, których przyczajone na pokładzie najemne wojsko czekało tylko na abordaż, aby zareagować w przypadku ataku, dzioby orlich okrętów wyposażone były w metalowe ostrza, za pomocą których przebijano skorupy nieprzyjacielskich statków. W celu uzyskania większej zwrotności i prędkości dorzucili do żagli wiosła. Pracowały przy nich całe grupy galerników pilnowanych przez bezlitosnych dozorców, których bicze spadały na ich nagie ciała.

Tak oto okręty przestały zależeć od wiatrów i prądów morskich. Łatwo było nimi sterować, zawracać w miejscu, jeśli zaszła taka potrzeba, i ustawiać je tak, aby łatwiej było uderzyć ostro zakończonym dziobem.

Wojenne okręty orłów pływały tymi samymi morskimi szlakami, co handlowe statki wielorybów-delfinów.

Od tej chwili zderzenie obydwu cywilizacji było nieuchronne. Każda ze stolic zbyt wiele osiągnęła, aby w drugiej nie widzieć rywalki.

98

Flota ludzi-orłów przejęła inicjatywę i zaatakowała wielorybio-delfini konwój, wiozący zapasy do jednej z faktorii. To było całkowite zaskoczenie.

Zaczynało się powoli ściemniać, kiedy ze statków ludzi-orłów zaczęto wyrzucać zapalone pakuły nasączone smołą. Wysyłane przez katapul-ty, zapalały omasztowanie i żagle wielorybio-delfinich okrętów, które w żaden sposób nie mogły odpowiedzieć przeciwnikowi. Statki delfinów w panice zderzały się ze sobą, a orli kapitanowie tylko czekali na odpowiedni moment, aby wbić w nie ostre dzioby swoich okrętów. Rzucających się do wody marynarzy, którzy chcieli w ten sposób uniknąć pójścia ze statkiem na dno, dosięgały płonące strzały. W ciemnościach nocy jaśniały płonące żagle i okręty.

Tymczasem zerwał się wiatr i kilku wielorybio-delfinim okrętom udało się wydostać i zastosować abordaż. Mieli doświadczenie w walkach wręcz i nawet udało im się zdobyć kilka katapult, które zwrócili przeciw okrętom ludzi-orłów. Te zaś, tonąc, zabierały ze sobą całe załogi skutych łańcuchami galerników. Przyciągnięte zapachem krwi coraz liczniejsze rekiny tworzyły w wodzie zamęt.

Bitwa trwała całą noc. Zręczni kapitanowie spalonych statków lu-dzi-delfinów starali się sterować tym, co pozostało ze zwęglonych żagli. Rano już tylko jeden statek wielorybów-delfinów był w stanie dopłynąć do bazy i obwieścić katastrofę.

Większość tworzących zgromadzenie mędrców opowiedziała się za negocjacjami, a nawet darami dla ludzi-orłów, które mogłyby ich uspokoić.

Tak też zrobiono. Jednak prezenty te zostały przyjęte jako wyraz słabości. A ucisk, zamiast zmaleć, jeszcze się wzmógł. Wiele faktorii wielorybów-delfinów dostało się w ręce ludu orłów.

Wtedy właśnie pojawił się młody, 22-letni generał wywodzący się z ludu delfinów. Jego ojciec, także generał, zginął w urzędzonej przez ludzi-orły zasadzce.

Młody człowiek nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był raczej niski, szeroki w ramionach, miał wielki nos, rude włosy i mięsiste wargi. Chociaż wyglądem przypominał nastolatka, w jego wzroku można było wyczytać stanowczość. Na głównym placu stolicy zgromadził tłumy. W uniesieniu mówił o wolności oraz prawie ludów do samodzielnych rządów. Przypominał, że cywilizacja wielorybów-delfinów zawsze szanowała autonomię, obyczaje oraz prawa obcych miast, podczas gdy cywilizacja ludzi-orłów podbiła ich i regularnie trzebiła. Tutaj zaprzestano składania ofiar z ludzi i zwierząt, zniesiono niewolnictwo, ustanowiono dla wszystkich jeden dzień odpoczynku w tygodniu, a zatem podporządkowanie się teraz brutalności i okrucieństwu ludzi-orłów w ogóle nie wchodziło w grę. Jego zdaniem, należało zwiększyć wzajemną pomoc wszystkich miast zagrożonych przez orły, a jeśli byłoby to możliwe, zjednoczyć je pod wspólnym sztandarem wolności. Jego głos brzmiał donośnie wśród słuchających go tłumów.

Tak więc zaczął gromadzić wokół siebie ochotników. W końcu grupa utworzyła małą armię, połączoną jego charyzmą, nie zaś obietnicą żołdu czy grabieży.

99

Jako doskonały strateg, wyszkolony w sztuce wojennej, młody generał podziwiał ludzi-lwy, a zwłaszcza Nieustraszonego, o którego strategicznych działaniach opowiadali żołnierze-wędrowcy. Zrozumiał też, że chcąc skuteczniej bronić otoczone ze wszystkich stron terytorium wielorybów-delfinów, trzeba zaatakować wroga w samym sercu jego imperium. Najlepszą obroną jest atak. Mimo tak strasznej sytuacji militarnej, przygotował plan ofensywy na stolicę ludzi-orłów.

Początkowo lud orłów nie zwrócił uwagi na mały oddział, który przybił do brzegu sąsiedniego terytorium, zamieszkanego przez lu-dzi-kozy. Jednakże z każdym dniem armia ta

stawała się coraz silniejsza, głównie dzięki dołączającym do niej ochotnikom, pochodzącym ze wszystkich ludów, które sprzeciwiały się jarzmu ludzi-orłów. A generał kontynuował swoje przemowy na placach i targowiskach, w miastach i wsiach. Wkrótce trzydzieści tysięcy żołnierzy piechoty, sześć tysięcy kawalerzystów i sto czterdzieści słoni przeszło przez pierwszy łańcuch górski graniczący z terytorium ludzi-orłów. I tak oto generał i jego wojsko wniknęli do kraju ludzi-kogutów. Ich oddział robił wystarczająco silne wrażenie, aby ludzie-koguty zdecydowali się wreszcie zbuntować przeciw zarządcom orłów. Co wyszło im na dobre. W ten sposób kolejne miasta stawały się wolne.

W stolicy kraju wielorybów-delfinów senatorowie niepokoiли się tą ryzykowną, prywatną inicjatywą. Z góry obawiali się represji ze strony ludzi-orłów. Wysłano zatem do młodego, porywczego dowódcy emisariusza, który nakazał mu zaniechać owej manifestacji siły i jak najszybciej wrócić do kraju. Młody generał jednak wcale nie wziął sobie tego do serca. Twierdził, że otrzymał we śnie radę, aby kontynuował swoje dzieło. Toteż jego armia podążała dalej w kierunku terytorium orłów.

Jeśli nawet połowa słoni zginęła po drodze z zimna i wyczerpania, to i tak sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy piechoty i dwanaście tysięcy kawalerzystów pokonało drugi łańcuch górski. Ludzie-orły sądzili, że będąc ich wasalami ludy postarają się zatrzymać tych dziwnych najeźdźców, lecz działa się całkiem inaczej - oklaskiwali entuzjastycznie tę niezwykłą armię, która bez obaw rozbijała obozowiska na ich terytorium. Słuchali jej pięknego generała, który mówił tylko o wolności i uwłasnowolnieniu ludów. Tak więc dowiedziono, że jeżeli można było za pomocą strachu i przemocy uczynić tłumy poddanymi, tym bardziej można było je podbić obietnicą wolności.

Oczarowane ideą wolności nowe kontyngenty, a nawet całe wsie ludzi-orłów dołączały do charyzmatycznego wodza wielorybów-delfinów. Nazwano go Wyzwolicielem.

Sceną pierwszej bitwy stała się położona u stóp wzniesienia dolina. Zgromadzone pod sztandarem wielorybo-delfinów oddziały stanęły na szczycie, zaś kawaleria i piechota ludzi-orłów natychmiast rozpoczęła atak, wspinając się na zbocze. Kiedy zadyszani znaleźli się w pół drogi, szeregi wielorybów-delfinów rozstały się przed słoniami, na których grzbietach w specjalnych gondolach siedzieli łucznicy. Ten widok zaskoczył bądź co bądź zaprawione w bojach oddziały ludzi-orłów. Nie parły

100

już tak szybko do przodu, a Wyzwoliciel skorzystał z chwili zamieszania i teraz on dał sygnał do ataku.

Słonie zbliżały się silną, majestatyczną linią, powodując osłupienie w szeregach nieprzyjaciela. Ruchome fortece rozpoczęły swoją szarżę, wystawiając do przodu kły. Pod ciężarem mastodontów drżała ziemia. Wielu żołnierzy orłów uciekło. Ci, którzy nie zdołali szybko zareagować, zginęli pod wysyłanymi z gondoli strzałami. Przerażone konie nie słuchały jeźdźców, zrzucając ich na ziemię. Orli oficerowie wrzeszczeli rozkazy, lecz ich

głosy ginęły pośród ryku słoni. Kły wbijały się w nieprzyjacielskie szeregi, następnie podnosiły zaczepionych na ich ostrzu żołnierzy.

Kiedy do natarcia ruszyła piechota wielorybo-delfinów, musiała się już tylko uporać z resztkami bardzo osłabionej obrony.

Młody generał delfinów rozkazał tymczasem, aby pozwolono umknąć kilku ocalałym żołnierzom. Chciał bowiem, żeby opowiedzieli ludności i dowódcom o klęsce swojej armii. Rozumiał już, na czym polega zasada wojny psychologicznej.

Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania.

Ponieważ głównodowodzący orlimi wojskami zupełnie nie wiedział, jak poprawić morale swoich żołnierzy, postanowił przywrócić do życia stary zwyczaj ludzi-szczurów: pokonać strach jeszcze większym strachem. Co dziesiąty żołnierz spośród tych, którzy ocalili z bitwy, został rozstrzelany, gdyż uznano, że nie dopełnili obowiązku walki aż do śmierci. Ścięto im głowy wobec zgromadzonych kolegów. „Zwycięstwo albo śmierć” - to była nowa dewiza ludzi-orłów. Ogłoszono też, że jeżeli w przyszłości żołnierze znowu uciekną przed słoniami, będą mieli do czynienia z łucznikami, których zadaniem będzie ich zabić.

Podczas drugiej bitwy ludzie-orły wykorzystali nauki z poprzedniej lekcji. Rozpierzchli się, przepuszczając słonie, a następnie okrążyli je i podcięli stawy skokowe. Oszalałe z bólu zwierzęta kręciły się wokół własnej osi, aż pozabijały dosiadających je łuczników.

Wyzwoliciel szybko dostosował się do takiego obrotu spraw. Rozszerzył linię ataku, rzucił na pomoc mastodontom kawalerię i po raz kolejny odniósł zwycięstwo.

Pozycja Wyzwoliciała wśród jego ludu i żołnierzy jeszcze się wzmocniła. Nie zważając na błagania i coraz częstsze ostrzeżenia dochodzące od senatorów wielorybów-delfinów, coraz bardziej wystraszonych jego niespodziewanym sukcesem, kontynuował swój marsz w kierunku stolicy ludu orłów.

Chociaż nie otrzymywał żadnej pomocy od swoich, mógł na nią liczyć ze strony miast należących do orłów, ale mających już dość tyranii swoich panów. Oprócz uwodzicielskiej mocy jego słów, mówiących o uwolnieniu ludów i położeniu kresu niewolnictwu, także jego sława rosła. Upiększono opowieści o jego zwycięstwach, twierdzono, że jest niepokonany oraz że wspomagają go bogowie. Kto więc odtąd mógłby sprzeciwić się Wyzwolicielowi?

Oddziały wielorybów-delfinów parły w kierunku stolicy ludu-orłów, nie napotykając po drodze na żaden poważniejszy opór. Na swojej drodze spotykały za to tłumy wiwatujące na ich cześć.

101

Ostatni rezerwiści orłów dołączali do armii w celu obrony stolicy, w której zgromadzono zapasy żywności z myślą o długotrwałym oblężeniu.

Kiedy wreszcie zjednoczone wojska otoczyły miasto, za murami nastąpiło prawdziwe szaleństwo. Dochodziły stamtąd przerażające wieści

o olbrzymich potworach, które zadeptywały ludzi i wyrzucały w powietrze za pomocą trąb, by następnie nabici spadające ciała żołnierzy na swoje ogromne kły.

Jednak w społeczeństwie orłów warstwy ludu były wrażliwe na postępowe idee, głoszone przez Wyzwolicieła. Podlegały więc do zamachu stanu, wskutek czego w stolicy kraju orłów wybuchła wojna domowa, nim jeszcze wojska wielorybów-delfinów zdążyły ją zaatakować.

Aby dać przykład, krwawo stłumiono „rewoltę biedaków”. Co tylko wzmogło niechęć do rządu orłów.

Tymczasem Wyzwolicieł nie ośmielił się przyjść rebeliantom z pomocą. Za to rozbił swój obóz pod miastem, odcinając wcześniej wszystkie drogi, którymi można by dostarczać obleżonym zaopatrzenie. I czekał.

Wszyscy w okolicy liczyli na klęskę orłów. Nawet wygłodniała ludność stolicy straciła już nadzieję.

Minęło wiele tygodni, kiedy nagle, ku ogólnemu zaskoczeniu, Wyzwolicieł zdecydował się odstąpić od obleżenia. Jego zdaniem, ludzie-orły dostali dobrą naukę. Uważał, że nie trzeba ich już niszczyć, bo sami będą umieli zachowywać się właściwie, gdyż wiedzą już, że jeśli napadną na ludzi-wielorybów-delfinów, ich odpowiedź będzie straszna.

Senat ludzi-orłów podpisał natychmiast traktat pokojowy, w myśl którego przywrócono faktorie handlowe oraz terytoria wielorybów-delfinów zagarnięte niegdyś przez orły.

Swoim sprzymierzeńcom, którzy bardzo pragnęli złupić miasto

1 zupełnie nie rozumieli, dlaczego oszczędzono jego mieszkańców, Wyzwolicieł wytłumaczył, że nadszedł czas, aby skończyć wreszcie z masakrą i grabieżami, oraz że nowoczesny naród więcej zyska, zawiązując przymierza niż burząc i niszcząc. W swojej teorii poszedł nawet dalej, podejmując gospodarcze partnerstwo z ludźmi-orłami.

Po powrocie do kraju na czele zwycięskich oddziałów, został przyjęty przez wiwatujące na ulicach tłumy jako oswobodziciel i bohater. Zazdrośni o jego sławę senatorowie, obawiając się, że ten zbyt młody i nieustraszony Wyzwolicieł zażąda tronu, próbowali rozpowszechnić plotki, jakoby na polu walki okazał się tchórzem i człowiekiem małego ducha. Ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. Wtedy senatorowie spróbowali innego manewru: buntu żołnierzy. Ponieważ armia młodego generała nadal w jednej czwartej składała się z najemników, wystarczyło zatem nie płacić im żołdu, żeby się zbuntowali.

W rezultacie cudzoziemscy ochotnicy, którzy dołączyli kiedyś do charyzmatycznego dowódcy, wrócili do swoich krajów. Jeśli chodzi o patriotów z ludu wielorybów-delfinów, kiedy minęło niebezpieczeństwo, powrócili do swoich codziennych zajęć. Tak więc w stacjonującej w pobliżu stolicy armii pozostali tylko owi najemnicy, którym senatorowie nie płacili żołdu, używając jako pretekstu argumentu, że kasy państwowe

są puste. Jak można było przewidzieć, najemnicy wyruszyli na stolicę, a wtedy Wyzwoliciel musiał nagle sformować zaimprovizowaną armię, złożoną z jej mieszkańców. Oczywiście było ich mniej i mieli mniejsze doświadczenie niż najemnicy, jednak byli zmotywowani. Bitwa między byłymi towarzyszami walki okazała się bardzo zacięta, lecz dzięki niesamowitemu zmysłowi strategicznemu młodego generała udało mu się rozdzielić wojska najemników na dwie części. Tak więc jego mała armia najpierw stawiała czoła połowie wojsk najemników i zwyciężyła, a potem zaatakowała drugą połowę i zwyciężyła po raz drugi. Jednak ta bitwa wyraźnie osłabiła armię wielorybów-delfinów.

W tym czasie dotarły wieści o nowej armii ludzi-orłów, sformowanej przez dowódcę jeszcze młodszego od Wyzwolicielem. Dołączyło do niej wielu najemników, ponieważ stolica orłów nie została złupiona, a więc zachowała swoje bogactwa. Armia ta przybiła do wybrzeży. Masakrowała wszystkich, których spotykała na swojej drodze: mężczyzn, kobiety i dzieci, rzemieślników czy chłopów.

Nadejście nowej armii orłów rodziło taki strach, że wsie poddawały się bez walki...

Rozległ się dźwięk gongu i Herakles zapalił światło.

34. ENCYKLOPEDIA: ARCHIMEDES

Archimedes, którego ojciec był astronomem, urodził się w Syrakuzach na Sycylii, w 287 roku przed Chrystusem. O ile w mieście panowała kultura grecka, o tyle silne były tam także wpływy kartagińskie. Pewnego dnia, kiedy Archimedes zażywał kąpieli, stwierdził, że pod jego ciężarem podnosi się poziom wody. Na tej podstawie sformułował swoje słynne prawo: „Na każde ciało zanurzone w cieczy działa pionowa siła, skierowana od dołu ku górze, której wartość jest równa ciężarowi cieczy wypartej przez to ciało”. W tym właśnie momencie - zgodnie z legendą - miał krzyknąć Eureka!, co oznacza po grecku „Znalazłem!”. (Część jego rękopisu, wyjaśniająca odkryte prawo, została odnaleziona w 1907 roku na papierze pergaminowym, który ponownie wykorzystano do jednej ze stron Biblii).

Archimedes badał także punkty równowagi sił oraz stworzył prawo dźwigni: „Dwa ciała równoważą się wzajemnie w odległości odwrotnie proporcjonalnej do ich ciężarów”. Przypisuje mu się również słynne zdanie: „Dajcie mi dźwignię i podpórę, a sam jeden podźwignę glob”. W ten sposób Archimedes zdefiniował zasadę środka grawitacji. W dziedzinie mechaniki wynalazł koło zębate, będące przodkiem przekładni ślimakowej, oraz przekładnię śrubową, poprzedniczkę współczesnej śruby i nakrętki, umożliwiającą transport ziarna do zbiorników.

Kiedy król Syrakuz sprzymierzył się z Kartagińczykami, Rzymianie w odwecie przez trzy lata oblegali miasto. Przez cały ten czas Archimedes wytwarzał różnego rodzaju oryginalne maszyny wojenne.

Zbudował katapulty mające dziesięć razy większą moc niż rzymskie. Zbudował także dźwig do podnoszenia i wywracania do góry dnem nieprzyjacielskich statków. Dźwig stawiano po wewnętrznej stronie murów. W chwili, kiedy nieprzyjacielski statek docierał do miasta, zarzucano żelazne szczypce, które zaczepiały okręt jak zdobycz. Powstawała wówczas przeciwwaga, która podnosiła statek i odwracała go razem z załogą, jakby był zwykłą zabawką. Z pozostałych awangardowych wynalazków Archimedes wymieniłem należy zwierciadła kuliste, umożliwiające skupienie światła słonecznego w jeden silny promień, zdolny spalić żagle rzymskich okrętów. W taki oto sposób Plutarch opowiada o jego śmierci: „Archimedes rozwiązywał właśnie jeden z problemów, a więc jego oczy i umysł skupione były na procesie myślenia, nie zauważył zatem przybycia Rzymian, ani tego, że miasto zostało przez nich zdobyte. Wtedy zjawił się w jego domu jeden z rzymskich żołnierzy i kazał pójść ze sobą. Archimedes zażądał jeszcze kilku minut, bo właśnie był o krok od rozwiązania jakiegoś kluczowego naukowego problemu. Żołnierz uznał to żądanie za sprzeciw i, chcąc go ukarać, wbił miecz w jego brzuch”.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

35. BILANS HERAKLESA

Powoli wracamy do rzeczywistości od okrucieństwa ostatniej partii. Czujemy się teraz trochę tak, jakbyśmy potrzebowali komory dekompresyjnej, by móc wydostać się z Ziemi 18.

Chcąc znaleźć się na wysokości terytorium wielorybów-delfinów, wszedłem na taboret. Teraz schodzę na dół i cofam się. Stąd Ziemia 18 wygląda jak wielka piłka. Ziemia 18, ta Ziemia-brudnopis, na której próbujemy działać tak samo dobrze, jak pierwszy bóg na Ziemi 1, wydaje mi się niewdzięczną kochanką.

Ocieram czoło i po raz kolejny spostrzegam, że jestem zlany potem. Od stóp do głów. Myślę, że podczas każdej partii gry Y tracę około jednego kilograma. Bycie bogiem działa odchudzająco.

Herakles siada przy biurku i pozwala nam dyskutować.

Serce mocno mi bije i czuję, że moje uczucia są podzielone. Z jednej strony radość z odniesionego przez Wyzwoliciele zwycięstwa, z drugiej obawa wobec nagłego zwrotu akcji. Tyle pracy, żeby znowu znaleźć się w tak niekomfortowej sytuacji.

Zwracam się w stronę Raoula:

- Chyba mi tego nie zrobisz.

Mój przyjaciel gładzi długimi dłońmi brodę. Nie wygląda na tak przejętego wydarzeniami jak ja.

- Co mi dasz w zamian, jeśli cię oszczędzę?

- Jesteśmy przyjaciółmi czy nie? - nalegam.
- Nasza przyjaźń dotyczy życia, gra to całkiem inna sprawa. Kiedy przyjaciele grają w pokera, zdaje mi się, że nie robią sobie podczas partyjki prezentów z kart...
- Ja w takiej sytuacji bym cię uratował. Mój Wyzwoliciel oblegał twoją stolicę, a jednak oszczędził twój lud.

Mierzy mnie wzrokiem.

- Jestem mu za to wdzięczny.

Widzę, że pozostał niewzruszony.

- Lecz... liczy się tak naprawdę końcowe zwycięstwo. Twój generał zabłysnął na chwilę, a potem zgasł.
- Przecież oszczędził twój lud!
- Dlaczego to zrobił?
- Bo jesteś moim przyjacielem.

-I to wszystko?

- Ponieważ chciał jak najszybciej zakończyć cykl przemocy, zemsty i odbudować między naszymi ludami dyplomatyczne stosunki, tak jakby tworzył nowy, wspólny język. Podpisaliśmy traktat pokojowy.

Teraz Raoul się oburza.

- Poniżyłeś mnie, sięjąc zagrożenie, a potem nie kończąc dzieła. Powinieneś był to skończyć.

Jeśli dobrze rozumiem, zarzuca mi, że zostawiłem go... przy życiu.

- Ale przecież traktat pokojowy! - powtarzam, starając się zapanować nad sobą.
- Nie zamierzam go przestrzegać.
- To niezgodne z prawem.
- Dla mnie to był tylko podstęp. A to jest element gry. Jako bóg mam prawo stosować wszystkie rodzaje forteli w celu uratowania mojego ludu z nagłego niebezpieczeństwa. A kiedy niebezpieczeństwo minie, zastanawiam się, jakie są moje długoterminowe interesy.
- To było porozumienie pokojowe, dzięki któremu wyszliśmy z tej trudnej sytuacji, w której znaleźliśmy się wbrew sobie przez to twoje umiłowanie wojny.
- „Pokój” - powtarza Raoul. - „Pokój” to idea dla śmiertelników. Podobnie jak „szczęście” lub „miłość”, słowa, tylko słowa, które rodzą marzenia. Nic konkretnego w nich

nie ma. Wojna to okresy przyspieszenia i zwalniania. Uznajmy zatem, że pokój to antrakt pomiędzy dwiema wojnami.

- Pokój jest wartością nadrzędną.

- Owszem, dla śmiertelników, ale nie dla bogów. Stąd widać wyraźniej, że pokój to coś dla bogów słabych lub leniwych, którzy nie mają wystarczająco dużo cierpliwości na organizowanie podbojów. W tym stadium gry jest do wykonania ogromna praca dla wojska. Kiedy zostanie całkowicie zakończona, znowu zaczną ustalać granice i pokój sam się pojawi.

Widzę przyjaciela z całkiem innej perspektywy.

- Michael, nie bądź naiwny. Podpisałem to porozumienie pokojowe, ponieważ miałem złą passę i potrzebowalem czasu, aby zgromadzić

105

nową armię. Do tego właśnie służą traktaty pokojowe: do zyskania na czasie, aby następnie uderzyć i wygrać. Nie bądź naiwny, tam, na powierzchni Ziemi 18, jest jeszcze dżungla.

- Oszukujesz.

- Nieprzestrzeganie traktatu pokojowego nie jest oszustwem, lecz strategicznym wyborem. Wielkie cywilizacje nie zostały zbudowane na dobrych uczuciach. Chyba mi nie powiesz, że mimo wszystko wierzysz w ludzką propagandę!

- Traktaty są sposobem na ograniczenie przemocy.

- Ale przemoc JEST prawem przyrody. Zwierzęta walczą ze sobą. Ile razy mam ci to powtarzać? Czy lwy podpisują z gazelami traktaty pokojowe? Nawet rośliny ze sobą walczą. Nawet w twoim ciele obowiązuje to prawo. Czy twoje limfocyty podpisują traktat pokojowy z bakteriami? Nie, usuwają je, ponieważ to warunek przeżycia układu. Wszędzie się zabija po to, aby przeżyć.

Raoul ciągnie dalej, przyglądając mi się badawczo:

- Jeżeli nie jesteś zdolny, jak to miało dziś miejsce, sprostać zwycięstwu, to znaczy, że postępujesz niezgodnie z prawami natury. Uważasz, że jesteś w dalszym stadium ewolucji, a tak naprawdę jesteś po prostu słabszy. Jesteś jak dinozaur.

Jego twarde słowa zaczynają mnie denerwować. Raoul przeszedł prawdziwą ewolucję, dominuje u niego siła „D”, jak Darwin.

- Ja nadal uważam, że uprzejmość jest oznaką inteligencji oraz rozwoju. Ostatecznie wygrywają ci, którzy byli „uprzejmi”.

Obydwaj mamy wrażenie, że nadal prowadzimy tę samą, niekończącą się walkę. On nie przekona mnie, ani ja jego.

- Pamiętasz te niedźwiedzie z Ziemi 1, które stały się wegetarianami? - pyta Raoul.

- Misie panda?
- Tak, przypomnij sobie. Możliwe, że miały dosyć używania pazurów, gryzienia i zabijania. Zaczęły więc ssać bambusy i... znalazły się wśród ginących gatunków.
- A więc na moim miejscu ty...
- Oczywiście zająłbym stolicę. Bez chwili wahania. To jest gra. Kiedy zacząłeś się wahać, zrozumiałem, że nie jesteś w stanie wykorzystać siły swojego generała. Zrozumiałem bowiem, że to ty poradziłeś mu we śnie, aby uspokoił grę. Śmiertelnicy nie są aż tak głupi! Zastanowił się i ustąpił. Słabi zastanawiają się i nic nie robią, silni nie zadają sobie pytań, tylko działają. Dopiero potem, jeśli coś nie wypali, przepraszają i mówią, że nie zrobili tego specjalnie albo znajdują jakiegoś oficera, który płaci za wszystkich.

Być może Raoul ma rację. Nie jestem więcej wart niż Theotime, kiedy wahał się, czy dokonać zemsty na ringu. Strach przed zwycięstwem, niemożność doprowadzenia do końca ofensywy, strach przed niszczeniem, obawa przed znizeniem się do poziomu dzikiego okrucieństwa naszych przeciwników...

Mój Wyzwoliciel nie zgadzał się na prawo łaski. Wiem, że nie chciał plądrować, gwałcić i grabić miasta, które nie miało już czym się bronić.

106

To wydawało mu się hańbiące. Dlatego postanowił zostać z wysoko podniesionym czołem. I wrócił. A oto jakie są tego skutki...

Raoulowi nawet nie drgnęła powieka.

- Delenda est Carthago - mówi ponuro.

Słynne zdanie rzymskiego generała Scypiona, rozpoczynające burzenie nieprzyjacielskiej stolicy. „Kartagina musi zostać zburzona”.

Za moimi plecami rozlega się jakiś głos:

- I to jest właśnie sprawiedliwe. Naśladując Kartagińczyków, przejdzie pan ich drogę krzyżową - mówi Herakles.
- Co ma mi pan do zarzucenia? - pytam.
- Mam panu do zarzucenia, panie Pinson, to, że powiela pan wydarzenia, które miały miejsce na Ziemi 1.
- A to zbrodnia?
- Powielanie tak. Bo to pójdzie na łatwiznę. Czyli coś złego... nawet jeśli to powszechny proceder. Proszę się nie dziwić, że takie same przyczyny pociągają za sobą takie same skutki. Nie wiem, skąd ma pan takie dokładne informacje, ale nie mam żadnych wątpliwości, że skopiował pan historię Ziemi 1.

Nasz nauczyciel pomocniczy marszczy brwi.

- Sądzi pan, że nie rozpoznałem kartagińskiego wodza Hannibala i jego słoni? - Pański Wyzwoliciel jest jego bladą kopią. Ale to nie tylko pana przypadek, panie Pinson! Eiffel i jego mędrzec podobny do Siddhârthy. I ten pseudo-Aleksander Wielki, którego przed chwilą widziałem u ludzi-lwów... O, właśnie, Nieustraszony. To niesłychane, jak mało twórczy jesteście wszyscy.

Chowam w fałdach togi Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, żeby czasem nie zobaczył, skąd mam takie „dokładne” informacje na temat zdarzeń na Ziemi 1. Prawdą jest, że znałem uczucie mojego mistrza Edmonda Wellsa do Hannibala i prawdą jest też, że sam pochłaniałem przygody tego młodego generała, który wbrew opinii swojego rządu zorganizował ekspedycję wojskową, której celem było zwyciężenie najeźdźcy na jego własnym terytorium. Poza tym oczarował mnie fakt, że do tego był również przeciwnikiem niewolnictwa oraz oswobodził Hiszpanię i południową Galię. Pomyślałem nawet, że gdyby któregoś dnia przyszło mi powrócić na Ziemię w roli śmiertelnika, nazwałbym syna imieniem tego bohatera. Hannibal sam jeden przeciwko Rzymianom, Hannibal darujący życie swojemu przeciwnikowi, Hannibal zdradzony przez zazdrość swoich ludzi. Bohater.

„Dać dowód swojej oryginalności” - zapisuje Herakles na tablicy. Podkreśla to kilkakrotnie.

- Dobrze, że w tej stercie rupieci nie znalazłem bohaterów stanowiących jakkolwiek reprodukcję... mnie samego. W tej partii nie będę gratulował zwycięzcom, lecz wymienię po kolei tych, którzy byli najmniej źli.

Herakles siada ponownie za biurkiem, spogląda w swój notesik i ogłasza:

- Tak więc pierwsze miejsce, pomimo banalności swojego „bohatera” zajmuje... Gustave Eiffel i jego lud termitów. Jego nawiązująca do bud-

107

dyzmu filozofia dobrze się rozprzestrzenia. Opracował coś na kształt łagodnej siły, na którą jak muchy na lep łapią się przeciwnicy. Jest to dziwne, ale działa. Według mnie Gustave Eiffel najlepiej wyraził siłę „A”, siłę asocjacji, łączenia.

Nie mamy odwagi oklaskiwać takiej słabej pochwały.

- Miejsce drugie - Georges Méliès i jego ludzie-tygrysy, których cywilizacja przeżywa pełen rozkwit. Dokonał rewolucji przemysłowej, ustanowił rządy tajnych sił bezpieczeństwa, które w pełni kontrolują całe terytorium. Wyraża siłę „N”, siłę neutralności, ponieważ nie ma w nim ani dynamiki obrony, ani ataku. Oto prawdziwie stabilna cywilizacja.

Rozlega się kilka braw.

- Miejsce trzecie: Raoul Razorback i jego ludzie-orły, ponieważ zdołał szybko podźwignąć się z klęski, jakiej doznał w walce z wielorybami-delfinami, i rozpoczął na nowo podbój świata. To zadziwiające, ale teraz, po przejściu tej próby, wydaje się jeszcze

silniejszy. Tak jakby otarcie się o unicestwienie dodało mu nowej energii. Doskonała umiejętność ofensywnej reakcji. Razorback ma w sobie siłę „D”, siłę ataku oraz inwazji, siłę wojny w całej swojej okazałości.

Trochę większe oklaski, do których ja się jednak nie przyłączam.

Herakles przesuwając następnie paciorki różańca z nazwisk, a ja nie jestem ani w pierwszej dziesiątce, ani dwudziestce, ani pięćdziesiątce.

Już zaczynam przyzwyczajać się do tego, że jestem na szarym końcu. O jeden wyraz życzliwości za dużo, a od razu ja i moja cywilizacja jesteśmy potępieni.

- Miejsce siedemdziesiąte ósme i zarazem przedostatnie: Michael Pinson. Armia w rozsypce, zrujnowana stolica, rozproszony lud. Pańscy ludzie-delfiny wszędzie stanowią mniejszość, wszędzie ich po trochu, wszędzie są prześladowani... Wszystko to niezbyt chwalebne.

Mruczę pod nosem:

- Moi naukowcy i artyści nadal są bardzo płodni.

- Ale w służbie innych cywilizacji, które ich tolerują w mniejszym lub większym stopniu. Po upadku pana stolicy będą już tylko niewolnikami wojowniczych ludów. Dla ludu, który zawsze walczył przeciwko poddaństwu oraz o wyzwolenie jednostki, to musi być prawdziwy szok.

Nie drgnie mi nawet powieka.

- Moi odkrywcy, moje karawany, moje statki przemierzają świat. W większości faktorii handlowych mówi się w języku delfinów. To w wielu krajach również język nauki.

- Lecz wystarczy, że pana kupcy trafią na zwykłych piratów, by zostali zmieceni z powierzchni wody. Każdy z pańskich naukowców jest zdany na łaskę i niełaskę rzezi. I nikt nawet nie zauważy jego zniknięcia.

-Wybrałem inteligencję, kreatywność i... pokój.

Po dyskusji z Raoulem wypowiadam to słowo z wahaniem, gdyż wydaje mi się, że zostało zbezczeszczone. Herakles odbija piłeczkę.

- Zły wybór. Powinien był pan zacząć od rozwiązań siłowych. Najpierw trzeba być silnym, dopiero potem można sobie pozwolić na luksus szlacheckich ideałów. Jak to powiedział tu obecny pana kolega, Jean de La Fontaine: „Racja silniejszego jest zawsze najlepsza”.

108

Jean de La Fontaine wydaje się zażenowany faktem przytoczenia jego słów w tym momencie. Wygląda, jakby był pogrążony w wewnętrznych rozważaniach. Trzeba przyznać, że jego

ludzie-mewy nie dokonali jak na razie nic wielkiego i trzymają się w kątku odizolowanego kontynentu, pomaleńku zaczynając wysyłać w celach handlowych statki do swoich sąsiadów.

Szukam wzrokiem wsparcia, ale go nie znajduję. Grając rolę boga dla swoich ludów, wszyscy doszli do wniosku, że wartości moralne, które wpoili nam nasi rodzice i nauczyciele, tutaj nie mają żadnego sensu. Dobro i zło nie dotyczą Aedenu.

Spoglądam na Heraklesa, który najwyraźniej życzy mi tego, abym zrozumiał. Ma podobną minę człowieka, którego pozbawiono złudzeń, jak przed chwilą Raoul.

- Nie zajął pan ostatniego miejsca tylko dlatego - wyjaśnia mi Herakles - że pana naukowcy, artyści i odkrywcy, nawet jeśli żyją pod brzemieniem obcego jarzma, zachowali ducha swojej cywilizacji i starają się na swój sposób w tym duchu dalej postępować. Nie mają już ojczyzny, ale po raz kolejny ratują pana dzięki swojej żywej kulturze.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni za pomocą swojego ankh na mój lud, dodaje:

- Pana jedynym pewnym terytorium, Michael, są księgi. Pana księgi, legendy, mitologie, wartości... dzięki nim posiada pan wirtualną ojczyznę.

- Moja kultura jest wystarczająco silna, aby odrodzić się gdziekolwiek, kiedykolwiek - stwierdzam, trochę po to, żeby przekonać samego siebie. - Jeżeli mój generał, Wyzwoliciel, umiał tak szybko zbudować armię, stało się tak właśnie dzięki tym wartościom, które są bliskie wszystkim inteligentnym osobom.

Herakles mierzy mnie wzrokiem.

- To prawda. Problem jest jednak w tym, że wychodzi pan z założenia, iż większość ludzi to osoby inteligentne... zakochane w idei wolności.

Sala wybucha śmiechem. Nic nie odpowiadam.

- Bierzcie świat takim, jaki jest, a nie jakim chcielibyście go widzieć.

Nic nie mogę na to odpowiedzieć.

- Wyeliminowany zostaje ostatni uczeń: Etienne de Montgolfier oraz jego lud lwów. Co daje: $79 - 1 = 78$.

Montgolfier protestuje:

- Chyba się pan pomylił. To niemożliwe.

- Ależ tak - mówi nauczyciel pomocniczy. - Myśli pan tylko o świętowaniu i orgiach. Nawet pana poeci stali się dekadentami.

Montgolfier bełkocze:

- Proszę mi dać trochę czasu, a się poprawię.

- Pana miasta chylą się ku upadkowi. Klóćą się między sobą o tereny łowieckie lub odwrócenie biegu potoków. Są podporządkowane ludziom--orłom, którym muszą płacić podatki. Pańska flota jest przestarzała. Pana zbyt liczna ludność wylewa się poza granice kraju, ale pan nie ma

109

środków, aby prowadzić wojny i zapewnić jej przestrzeń życiową. Kto się nie rozwija, ten się cofa, panie de Montgolfier.

Jest cały czerwony.

- To nie moja wina, to wina... Pinsona.

Dlaczego oni wszyscy mnie nienawidzą? Prawdopodobnie dlatego, że nie obawiają się z mojej strony odwetu, a gdyby oskarżyli Raoula, jego ludzie-orły na pewno szybko przypuściliby na nich atak.

- Przygarniając ludzi-delfiny Pinsona, wpuściłem robaka do jabłka.

Zapomniał, co dobrego dla niego zrobiłem. Tak samo jak Clement

Ader i jego ludzie-skarabeusze. W końcu wszyscy dochodzą do wniosku, że mieli już wcześniej to, co przecież ja im dałem. Z każdym pokoleniem minimalizują mój wkład. A wszystko dlatego, żeby nie musieli mi dziękować.

- Tworząc klasę intelektualistów i filozofów, Pinson sprawił, że mój naród stracił wojenną energię.

Przynajmniej pamięta, że to był mój pomysł.

- To on kazał moim ludziom świętować, oddawać się tańcom, muzyce, teatrowi...

Wskazuje na mnie oskarżycielskim palcem.

- Nauczył moje kobiety kołysać w tańcu biodrami, a moi mężczyźni wolą teraz świętowanie od wojny. Kiedy przybyli ludzie-orły, wszyscy moi ludzie byli jak chucherka.

Montgolfier wstaje i podchodzi do mnie, grożąc:

- Powinienem był unicestwić twój lud, jak tylko postawił stopę na mojej ziemi.

Uczniowie powstrzymują go. Zwraca się w stronę zebranych i skanduje:

- Radzę wszystkim uczniom, żeby pozbyli się ludzi-delfinów...

- Moi ludzie-delfiny przynieśli ci całą wiedzę - odparowuję.

- Nie potrzebowałem jej. Zobacz, dokąd mnie to zawiodło. Wolałbym żyć nadal w niewiedzy.

- Dałem ci wiedzę mojego ludu, ponieważ mnie o to prosiłeś.
- I to był właśnie błąd. Wolę teraz przegrać bez ciebie, niż miałbym wygrać z tobą.

Uwalnia się i znowu rzuca w moją stronę, lecz Herakles staje pomiędzy nami:

- Nie lubię tych, którzy nie potrafią przegrywać. I są takie zdania, które mają historyczną wagę, dlatego nie mogę pozostawić ich bez echa. Przegrał pan, panie Montgolfier. Wynoś się pan z historii Ziemi 18. Zachowuj się pan jak bóg, nawet po przegranej.

Herakles klaszcze w dłonie i zaraz zjawiają się centaury, chwytając Montgolfiera pod pachy.

- Nie dotykajcie mnie! Zabierzcie wasze brudne łapy chimer z mojej togi! Mój lud świecił przykładem. Przykładem, słyszycie! To ludzie-lwy wszystko wynaleźli. Ludzie-orły tylko od nas ściągnęli. Nawet, Michael, twój młody generał, twój Wyzwoliciel uczył się wśród mojej generacji. I ściągnął moje strategie bitew. Dobrze widziałem, jakie ruchy na flankach wykonywała twoja kawaleria. To ja wpadłem na ten pomysł. By-

110

liśmy latarnią morską dla wszystkich innych ludów, latarnią morską! Beze mnie ta planeta nie byłaby tym, czym jest!

Jeszcze na dworze rozbrzmiewają złorzeczenia Montgolfiera:

- Zabijcie delfiny, zabijcie delfiny! Zabijcie Michaela! Jeśli jest wśród was bogobójca, to ja wskazuję mu następną ofiarę. Zabij Michaela!

Sala nie reaguje. Jestem porażony wrogością mojego współtowarzysza, kiedyś także boga.

Podchodzi do mnie Raoul.

- Daj spokój. Twój lud może przyjść do mnie, kiedy tylko zechcą. Mam wszystko, aby mogli zbudować szkoły, laboratoria, teatry, tak jak to robili u ludzi-lwów i w innych miejscach.

Ponieważ wątpię w jego słowa, dodaje:

- Oczywiście ludzie-delfiny otrzymają u mnie tylko status „tolerowanej mniejszości”. Nie będą mieli prawa posiadać ziem ani wojska. Co do reszty, Michael, będę cię chronił przed wszystkimi...

Nie wiem, jak traktować słowa tego, który jest gotów zrównać z ziemią moją stolicę wielorybów-delfinów.

- Ja nie czuję awersji do intelektualistów - dodaje, chcąc mnie uspokoić.

36. ENCYKLOPEDIA: DAVID BOHM

Po długiej pracy nad zagadnieniami fizyki kwantowej i relatywistycznej, fizyka Davida Bohma zafascynowały filozoficzne implikacje jego teorii. Ten specjalista od hologramów, czyli trójwymiarowych obrazów wytwarzanych przez promienie lasera, musi opuścić Stany Zjednoczone podczas antykomunistycznego polowania na czarownice w latach pięćdziesiątych, następnie zostaje usunięty z Brazylii przez sympatyków nazizmu. Osiada wówczas w Anglii i zostaje profesorem na uniwersytecie w Londynie. W tym samym czasie pasjonuje go buddyzm tybetański i zostaje przyjacielem dalajlamy. Pracując na londyńskim uniwersytecie, rozwija teorię, w której ogłasza, że wszechświat jest tylko jednym wielkim złudzeniem, tak samo jak obraz holograficzny daje złudzenie wypukłości. I wszechświat, podobnie jak hologram, ma tę szczególną cechę, że każdy fragment obrazu zawiera... informacje o wszystkim. Należy wiedzieć, że jeśli rozbije się obraz holograficzny, w efekcie uzyskuje się cały obraz w każdym podzielonym kawałku.

Zdaniem Davida Bohma, kosmos mógłby być uważany za nieskończoną strukturę, zbudowaną z fal, w której wszystko ze wszystkim jest powiązane, gdzie byt i niebyt, duch i materia są tylko innym sposobem przedstawienia tego samego źródła światła, które powoduje złudzenie wypukłości. Nazywa to świetlne źródło życiem. Einstein, początkowo z powściągliwością traktujący niekonformistyczną wizję swojego kolegi, w końcu także zachwyił się odkryciami Bohma.

111

Jednakże Bohm, odcinając się od całego środowiska naukowego, które uważa za zbyt zachowawcze, aby umiało sobie pozwolić na przekraczanie ustalonych przez siebie granic, nie waha się nawiązywać do hinduizmu lub chińskiego taoizmu w celu wyjaśnienia swojej wizji fizyki. Uważa, że nie istnieje rozdział ciała i umysłu, oraz że istnieje ogólna ludzka świadomość. Aby ją dostrzec, wystarczy oświetlić odpowiedni poziom, właściwą warstwę (ponieważ chodzi tylko o informacje, które ukazują się pod wpływem światła, podobnie jak hologram daje złudzenie wypukłości tylko wtedy, kiedy promień lasera wysłany jest pod odpowiednim kątem). Bohm sądził, że fizyka kwantowa oraz medytacje pozwolą poznać ukryte poziomy rzeczywistości. W jego „metafizycznej” wizji śmierć jako taka nie istnieje. Jest tylko zmianą poziomu energii. Sam David Bohm „zmienił poziom energii” w 1992 roku, nie dokończywszy swoich osobistych poszukiwań na temat zrozumienia wszechświata. Jednak udało mu się otworzyć nową drogę dla badań z pogranicza nauki i filozofii.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

37. GRA W KARTY

Trzy księżycy tworzą nad górą doskonały trójkąt równoramienny, a w mieście bogów rozbrzmiewa spokojna muzyka. Skrzypce i wiolonczela nawołują się jak dwa ludzkie głosy. To całkiem co innego niż tam-tamy, które słyszeliśmy w pierwszych dniach pobytu.

Dziś wieczorem nie jemy w Megaronie, lecz w amfiteatrze. Stoliki przygotowano na trybunach. W menu jest lazania; pewnie po to, żebyśmy mieli świadomość różnych warstw w ewolucji historii. Pory Roku roznoszą świece, tworząc doskonały nastrój.

Testujemy nowe wina i przyprawy. Jesteśmy zmęczeni panującym podczas partii napięciem i nawet nie mamy ochoty rozmawiać. Nasza grupa teonautów gromadzi się przy jednym stole. Obok nas siada Jean de La Fontaine. Długo jemy, milcząc.

- Zrób nam kolejny pokaz magii - Mata Hari prosi Georges'a Meliesa, chcąc w ten sposób rozładować atmosferę. - Zgoda, ale potrzebne mi są karty.

Tancerka wie, gdzie je znaleźć. Wstaje i za chwilę wraca z talią. Filmowiec sprawdza karty, następnie układa w czterech kolumnach: króla, damę, waleta, asa pik, obok króla, damę, waleta, asa kier, podobnie trefl i karo.

Zaraz potem wyjaśnia:

- To jednocześnie sztuczka oraz historia. Historia czterech królestw, królestwa pik, kier, trefl i karo. Wszystkie cztery żyją z dala od siebie.

Pokazuje cztery równoległe rzędy.

112

Wyobrażam sobie karciane królestwa, rządzone przez królów kier, królowe pik, waletów karo, a których ludem byłyby asy.

- Ale z czasem, wraz z rozwojem dróg, podróżami oraz coraz częstszymi mieszanymi małżeństwami, ludy te mieszają się między sobą. I tak oto zamiast czterech odrębnych królestw pojawia się federacja królestw, która z kolei ustępuje miejsca jednemu narodowi, utworzonemu z czterech ludów.

Georges Méliès zbiera cztery rzędy kart i tworzy z nich jedną kupkę, złożoną z szesnastu kart. Kładzie je odwrócone.

- Federacja rozrasta się. Tymczasem zmiana nastąpiła zbyt gwałtownie. Nowa administracja wykazuje oznaki korupcji. Nadużycia nowej oligarchii tworzą nową biedotę. Ludzie bezdomni przybywają na przedmieścia miast, tworząc tam slumsy, podobne do miejskich wrzodów. Wzrasta bezrobocie i brak poczucia bezpieczeństwa. Ludzie obawiają się wychodzić wieczorem z domów, a więzienia są przepełnione.

- To już znamy - żartuje Gustave Eiffel.

Georges Méliès nawet nie zadaje sobie trudu, aby mu odpowiedzieć i zupełnie niewzruszony ciągnie dalej:

- Politycy nie są w stanie wyciągnąć kraju z tego bagna. Cofnąć się już nie można, a jak tu iść do przodu? Rządzący wpadają wówczas na pomysł, aby zwrócić się do... Michaela Pinsona.

Iluzjonista odwraca się w moją stronę i podaje mi karty.

- Tylko ty, Michael, możesz ich uratować.

Biorę pakiecik, nie za bardzo wiedząc, co mam z tym zrobić.

- Michael zostaje mianowany premierem nadzwyczajnym. Bezzwłocznie decyduje się na podjęcie drakońskich środków. Rozkazuje dokonać czystek. Dalej, Michael, przełóż talię.

- Obojętnie jak?

Dzielę pakiet kart na dwie części, potem część górną przykrywam tą, która była na dole.

Magik komentuje:

- Pan premier Pinson właśnie podjął pierwszą decyzję, ale ponieważ ludność nadal powątpiewa i jest pełna podejrzeń, Pinson wybiera drugie przełożenie. Jeszcze raz, Michael, bardzo proszę.

Przekładam karty po raz kolejny i znowu kładę część z dołu na górę.

- Zresztą, pan minister Pinson może przekładać karty tyle razy, ile tylko zechce. To on jest szefem rządu i sam wie, co ma robić.

Siedem razy powtarzam tę samą czynność. Méliès podejmuje opowieść na nowo:

- Ludzie są nieufni, ciągle potrzebują dowodów. Lud mówi: „No dobrze, dokonał czystek, ale w czym to odmieni nasze życie?”.

W końcu sam stawiam sobie takie pytanie.

- W tym momencie Michael decyduje się wyjawic swoją nową politykę. No, Michael, weź całą talię.

Posłusznie spełniam polecenie.

- Kładziesz pierwszą kartę, zakrytą, u góry, po lewej. Potem drugą po prawej, dalej trzecią i czwartą po prawej.

Rozkładam cztery pierwsze karty.

113

- Kładziesz dalej, od lewej do prawej. Piąta karta pod pierwszą, szósta pod drugą i tak dalej, aż wszystkie karty będą rozłożone, tworząc cztery osobne kupki. Zostaw je cały czas zakryte.

- No i? - pyta ironicznie Raoul. - Czegóż takiego dokonał nasz nadzwyczajny Michael?

- Zapropował nam nowy porządek.

Méliès proponuje Raoulowi, aby odwrócił pierwszą kupkę: cztery króle. Drugą tworzą cztery damy, trzecią cztery walety, a czwartą cztery asy.

Rozlegają się oklaski. Próbuję zrozumieć sztuczkę. To ja zdecydowałem o tym, jak przełożyć karty. Od początku zabawy Méliès nie dotknął ani jednej karty, a nawet trzymał się w pewnej odległości, żeby pokazać, że nic nie kombinuje. Jak to się stało, że tak pogrupowałem karty?

Sarah Bernhardt sprawdza karty, starając się zrozumieć, na czym polega sztuczka. I też nie znajduje odpowiedzi.

- Tendencyjna ta twoja sztuczka, mój drogi - mówi Sarah. - Sugeruje, że zaradzić problemom można tylko w gronie podobnych sobie.

- Każdy może ją zinterpretować po swojemu. Przecież mogłaby też oznaczać potrzebę decentralizacji.

- Na czym polega ta sztuczka? - pytam zaintrygowany.

- Magik nigdy nie zdradza swoich tajemnic - odpowiada Méliès.

Ta sztuczka robi na mnie dziwne wrażenie. Mają miejsce jakieś wydarzenia, pozytywne czy negatywne, a ja nie mam na nie żadnego wpływu. Czuję, że pozwoliłem sobą manipulować, jak w sztuczce z kiwi i Danią. Wydawało mi się, że dokonuję wyborów, a tak naprawdę nie dokonałem żadnego. Sądziłem, że w oryginalny sposób kieruję moim ludem delfinów, a w rzeczywistości powieliłem historię z Ziemi 1.

Dziękuję artyście, wstaję i idę pomiędzy ławki amfiteatru. Obserwuję jedzących uczniów, grających muzyków, Hory i Pory Roku pospiesznie przynoszące kolejne dania. Czy oni dzielają moje uczucie niemocy i wrażenie bycia manipulowanym? Nie, oni wszyscy sądzą, że przechodzą do następnej partii tylko dzięki własnemu talentowi.

Wychodzę więc z amfiteatru i czuję, że ktoś idzie za mną. Odwracam się i widzę... serduszko na małych nóżkach. Schylam się naprzeciw niego, a ono staje nieruchomo, jakby onieśmiałe. Nie ma oczu ani uszu. Jeszcze jedno czary Aedenu.

- Czego chcesz ode mnie?

Serce podskakuje do moich ust, jakby chciało mnie pocałować, potem kładzie się i zwija jak kotek domagający się pieszczot.

Ponownie wstaje i podskakuje, zniecierpliwione. Wtedy za moimi plecami pojawia się siatka na motyle i chwyta małą chimere.

Osoba, która to zrobiła, po cichu wynurza się z ciemności.

Zaledwie dostrzegam jej sylwetkę. On czy też ona ma długie włosy i jest wysokiego wzrostu.

- Jest pan typem mężczyzny, którzy zakochują się w mojej matce... - mówi przez nos.

W blasku przenikającego przez gałęzie promyka widzę tylko delikatne dłonie. Pewnym ruchem wyjmują serce z siatki, wkładają do

114

słoja i zamykają. Potem wyjmują bawełnianą szmatkę, nasączają ją jakimś płynem i wrzucają do słoika. Serce wykazuje objawy paniki: rzuca się na ścianki, wije, skacze, w końcu przewraca się i leży nieruchomo.

- Zostało zabite?

- Oczywiście. I powinien mi pan za to podziękować. Chodzące za kimś zakochane serce to prawdziwe piekło.

- A zatem można zabić chimerę?

- W tym wypadku nie chodziło o chimerę - odpowiada postać - to raczej żywy gadżet. Ale nie ma duszy. Istnieje tylko po to, aby mocno kochać. A tak w ogóle, to najbardziej podoba się... dzieciom.

Nie udaje mi się stwierdzić, czy to głos mężczyzny, czy kobiety. Przyglądam się leżącemu w słoiku sercu.

- Kim jesteś?

Postać zbliża się. Teraz rozróżniam wszystkie cechy. On czy też ona, ma okazałe piersi, gruby wąs, długie włosy i muskularne ramiona.

- Hermafrodyta. Bardzo mi miło - mówi nosowy głos. - A pan to Michael Pinson, bóg ludzi-delfinów, prawda?

Hermafrodyta. Syn Afrodyty i Hermesa.

- Jestem pewien, że chciał pan się ze mną spotkać - mówi.

- No więc...

- „Oni” wszyscy chcą ze mną porozmawiać...

Bierze mnie pod rękę i proponuje, byśmy wrócili do amfiteatru. Siadamy przy stoliku. Hermafrodyta kładzie z boku martwe serce. Hory i Pory Roku podają mu potrawy.

- Oni wszyscy chcą tego samego z tych samych powodów - żartuje, mówiąc z pełnymi ustami.

Spoglądam zdziwiony.

- Chcesz wiedzieć, kim jest moja matka i czy cię kocha?

Hermafrodyta z apetytem zajada lazanie.

-No...

- Ponieważ ci powiedziała, że Jesteś dla niej najważniejszym mężczyzną", czyż nie?

Dziwi mnie jego bezpośredniość.

- To znaczy...

Podaje mi kieliszek ambrozji.

- Ja także jestem mistrzem pomocniczym. Moim zadaniem jest pomagać uczniom, aby stali się „zacnymi” bogami. Powiedzmy zatem, że ta drobna przysługa wchodzi w zakres moich obowiązków. Jeśli więc chcesz, zaspokoję twoją ciekawość. Proszę, zadawaj mi pytania.

Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Więc odpowiem na twoje pytanie, zanim zdążysz je sformułować. A zatem mam dobrą i złą wiadomość. Dobra to ta, że będąc zakochany w mojej matce, doznałeś najsilniejszego uczucia, jakie może spotkać duszę.

-A zła?

- Moja matka jest największą zdzirą.

Wyraziwszy ten sąd, uśmiecha się, a jego oczy błyszczą.

115

- Teraz druga dobra wiadomość. Mogę ci pomóc w ułożeniu spraw. Ale pod jednym warunkiem.

Patrzę na młodego mężczyznę i kobietę zarazem i czuję się nieswojo, ale jednak stwierdzam, że on ma klucz, którego ja potrzebuję. Hermafrodyta gładzi wąsy i wyjmuję przyczepione do włosów resztki jedzenia. Pochyla się do przodu i zniża głos.

- Musisz mi obiecać, że jeśli znajdziesz rozwiązanie zagadki, nie podasz go mojej matce.

No tak.

- A co dostanę w zamian?

Potrząsa zamkniętym w słoiku sercem, jakby chciał się upewnić, że stamtąd nie wyjdzie.

- Prawdę o mojej matce. A więc klucz do tego, żeby ją całkowicie zrozumieć.

Ciekawość jest silniejsza. Zgadzam się.

Spogląda na mnie podejrzliwie. Potem śmieje się i ściska mi dłoń.

- Przybij. A więc tak. Wszystko, co powiedziała ci moja matka, to nieprawda. Choć nosi taki tytuł, to tak naprawdę nie jest boginią miłości. Jest boginią uwodzenia. Ona nigdy nikogo nie kochała. I nigdy nikogo nie pokocha.

Obserwuje moją reakcję, ale ja nie wyrażam niezadowolenia.

- Moja matka wzbudza miłość i być może to właśnie jej główna zaleta, ale sama nie jest zdolna odczuwać czegokolwiek do kogokolwiek. Ani do mężczyzn, ani do kobiet, ani do zwierząt, ani do bogów. Jej serce jest nieczułe. To dlatego zbiera kochanków, dzieci, istoty, które klęczą u jej stóp i walczą o to, aby się do niej zbliżyć. Ona nie kocha nikogo, ale chce, aby wszyscy ją kochali. To kokietka. Nawet jak się z nią prześpisz, nie zdobędziesz jej serca. To będzie tylko seks, a dla niej seks to jedno z narzędzi służących do uwodzenia, nic więcej.

Uśmiecha się drwiąco.

- Chcesz wiedzieć? A więc sądzę, że w całym swoim długim życiu ona nigdy nie miała najmniejszego orgazmu. Bogini miłości nawet do tego nie jest zdolna!

Tym razem wybucha śmiechem. Jestem zszokowany, słysząc, jak obraża kobietę, którą tak bardzo kocham. I to jej własny syn.

- Przy mnie się zmieni - mówię.

- Wszyscy chcą ją zmienić. Tak właśnie wpadają w zastawioną przez nią pułapkę.

Wstrząsa słojem i pokazuje mi nieruchome serduszko.

- Ona zdobywa życiową substancję, gasząc inne życia. Nie zauważyłeś, że od czasu, gdy jesteś w niej zakochany, wszystko się w twoim życiu komplikuje, twoje działania są mniej skuteczne, jesteś mniej szczęśliwy, masz więcej kłopotów?

Wolę nie odpowiadać.

- To jest jak narkotyk... Nie ma godziny, żebyś o niej nie myślał.

Ma rację.

- Jest narkotyk, którego działanie można z nią porównać. Heroina. Ona jest twoją heroiną. I jak heroina powoduje narkotyczne wizje i za-

116

truwa ci organizm, ale nie możesz się bez niej obejść i ta potrzeba staje się obsesją.

- Taka jest miłość.

- No tak, w tym przypadku miłość jest jak twardy narkotyk. Zresztą moja matka jako dilerka ma też innych klientów. Możesz być pewien, że w tym samym czasie, kiedy manipuluje tobą, takie same słowa powtarza innym mężczyznom. I sypia z innymi mężczyznami. Którzy cierpią tak samo jak ty. Jest jak pająk, który tka swoją sieć i chwytą w

nią bezsilne ofiary jak żywe trofea, a one wszystkie krzyczą: „Kocham cię, Afrodyto!”. I... co jest dziwne, wielu mężczyzn, poznawszy moją matkę, nie może już uprawiać miłości. Stają się impotentami.

Śmieje się ponownie. Zaraz potem przestaje i przygląda mi się z poważną miną. Je powoli, bawiąc się słoikiem.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, kim jest moja matka? Nie urodziła się wcale w taki sposób, jak przedstawia to mitologia. Zanim się tu znalazła, była zwykłą śmiertelniczką. Miała ojca, matkę. Nie wynurzyła się z morskiej piany.

Wypija duży kieliszek ambrozji, a następnie gwałtownie odstawia naczynie.

- Wszyscy bogowie olimpijscy byli zwykłymi śmiertelnikami na Ziemi 1. Tak jak ty. Dopiero później inni ludzie wymyślili o nich legendy. A zatem mała Afrodyta urodziła się oczywiście bardzo piękna, ale nie w rodzinie boskiej, lecz całkiem prozaicznie, w prostej rodzinie greckich chłopów, którzy żyli z uprawy fig. Moi dziadkowie ze strony matki byli zresztą oboje piękni, pracowici i raczej sympatyczni. Problem był jednak w tym, że jej ojciec, a mój dziadek, uganiał się za spódniczkami. I pewnego dnia powiedział swojej żonie, a mojej babce, że ma dość wspólnego z nią życia. Odrzucił ją dla młodszej kobiety, pięknej dziewczyny, która pracowała w pralni. Moja babcia odeszła, a Afrodyta została z ojcem i jego nową partnerką, młodszą od siebie. Macocha zamieszkała z nimi i, jak to często bywa, stała się zazdrosna o swoją pasierbicę. Tak długo naciskała na mojego dziadka, aż odrzucił córkę.

Trudno było mi uwierzyć w tę historię, zwłaszcza że Afrodyta powiedziała mi, iż uwielbiała swoich rodziców.

- Odrzucona matka, ojciec, który ją porzucił dla młodszej i zazdrosnej dziewczyny... Wyobraź sobie teraz, jaki ma Afrodyta obraz małżeństwa i mężczyzn.

Kłamie.

- Ostatecznie ojciec zażądał, aby zamieszkała gdzie indziej, bo przeszkadza jego nowej partnerce. Tak więc mama została sama. Od tej chwili zaczęła się mścić. Uznała, że wszyscy mężczyźni powinni zapłacić za to, co wycierpiała od swojego ojca.

Hermafrodyta przestaje mówić i przygląda mi się, jakby chciał się upewnić, że wszystko rozumiem.

- Była coraz bardziej urocza. Szybko zrozumiała, że ten dar fizyczny daje jej możliwość wpływania na męską rasę. Ach, ta siła hormonów! Moim zdaniem, to coś najbardziej wpływowego. Ilu królów lub prezy-

117

dentów uległo urokowi zwykłej sekretarki albo banalnej fryzjerki? A ilu pograżyło się dla nich?

Potrząsa słojem, jakby chciał zbudzić martwe serduszko.

- Zaczęła uwodzić coraz więcej mężczyzn. Najpierw poszła na ilość. Potem na jakość. Wydawało się, jakby kochanek dostarczał jej trochę swojej życiowej energii, a tym samym zwiększał jej zdolność do polowania na kolejnych. Potem wykorzystywała swoje uroki po prostu do... zarabiania na życie.

Wstaje.

- Nie chcę słyszeć nic więcej.

Chwyta moją rękę w nadgarstku.

- Afrodyta uprawiała prostytutkę. Moja matka była luksusową call-girl, ale jednak to była prostytutka. Zresztą właśnie dzięki temu nauczyła się tych wszystkich miłosnych technik, a potem udoskonaliła je. W Chinach i Indiach nazywa się to czerwoną magią. Biała magia leczy, czarna magia rzuca urok, a czerwona magia... czyni zakochanym. Moja matka stała się ekspertem w zakresie ludzkiego ciała. Robi doskonałe masaże, zna wszystkie punkty, których pobudzenie sprawia, że mężczyźni osiągają najwyższą rozkosz.

Dłużej tego nie zniosę... Chwytam go za kołnierz.

- Zabraniam panu obrażać.

- Widzi pan, nie jest pan jeszcze gotowy wysłuchać prawdy.

Biorę się w garść.

- Przepraszam. Proszę mówić dalej.

- Moja matka w miejscu serca ma ziejącą ranę. Poczucie zdrady i porzucenia przez rodziców. Strach przed zdradą i porzuceniem przez mężczyzn. Przyjemność sprawia jej tworzenie takich ziejących ran u mężczyzn. Kiedy więc ci mówi, że jesteś dla niej ważny i że należysz do „rodziny dusz”, to znaczy dokładnie tyle, że kiedy ty będziesz cierpieć tak jak ona, wtedy ona rozpozna w tobie siebie. To jest jej sposób kochania.

- To nieprawda. Nie wierzę w ani jedno słowo.

- To jest prawda. A prawda często jest trudna do zaakceptowania. Lecz jeśli mógłbym coś jeszcze dodać... Nie osądzaj jej. Ona nigdy nie będzie mogła cię pokochać. Współczuj jej. Tak jak lekarze, którzy wybierają specjalizację z zakresu chorób, na które sami cierpią, tak ona wybrała miłość. A najsmieszniejsze w tym wszystkim, że to jedyne uczucie, które na zawsze pozostanie jej obce.

Hermafrodyta ponownie zaśmiał się gorzko.

- Tak to zwykle jest. Chromi chcą innych uczyć chodzenia. A ci, którym się nie powiodło, dają innym lekcje, w jaki sposób wygrać.

- TO NIEMOŻLIWE! Ona jest boginią! - krzyczę.

- No widzisz, mówiłem ci, że nie będziesz mógł tego słuchać. Ty nawet nie potrafisz tego zrozumieć.

- Musi być jakiś sposób, żeby jej pomóc.

- Byłeś lekarzem, Michaelu Pinsonie, a więc musiałeś liźnąć trochę psychiatrii. Jej przypadek określa się mianem: histeria. Afrodyta to typowa histeryczka.

118

Źle się czuję.

- Była anorektyczką, bulimiczką, popadała w depresję, manię samobójczą, była nimfomanką, a teraz jest... boginią miłości. Logiczny porządek rzeczy dla...

- Kobiety?

- Nie, histeryczki. Nie wszystkie kobiety to histeryczki. Coś wiem na ten temat... w końcu sam w pewnym sensie jestem kobietą, prawda?

Znowu śmieje się gardłowo. Nie podoba mi się ten jego śmiech. Czuję, że wzbiera we mnie ślepy gniew.

- To kłamstwo! Afrodyta jest wspaniała. A poza tym jest...

Staram się określić, co mnie w niej najbardziej oczarowało. Nie, wcale nie jej uroda. Coś zupełnie innego. Już wiem.

- Ona jest samą dobrocią, czułością, zrozumieniem. Po raz pierwszy miałem przez chwilę wrażenie, że kobieta naprawdę mnie rozumie.

- Mój biedny Michaelu... każda forma szaleństwa jest czymś kompensowana. Paranoicy są bardziej czujni. Schizofrenicy mają większą wyobraźnię. Nimfomanki są bardziej zmysłowe. Histerycy potrafią łatwiej dostrzec ból u innych. Ona zna TWOJE ukryte blizny. Posiada niesamowity talent do analizowania męskiej psychiki. Zobaczyła wszystkie blizny w twoim sercu, nawet te najgłębiej ukryte... I poczułeś, że cię rozumie. To tylko rodzaj manipulacji.

Patrzy na mnie ze współczuciem.

- A ponieważ poczułeś się zrozumiany, poczułeś też, że się „zakochałeś”. W rzeczywistości jednak zakochałeś się tylko w jej zdolności do analizowania twojej osoby. To wszystko. Oto, co legenda nazwała „magiczną przepaską”, która sprawia, że mężczyźni zakochują się w niej. Łatwy sposób zanalizowania twojej osoby, najgłębiej zakorzenionych w tobie bólów, twoich cierpień z okresu dzieciństwa. A ty uznałeś, że to miłość.

Chowam głowę w ramionach. I ponownie nalewam sobie ambrozji.

- Za przedstawioną w mitologii historią każdego boga kryje się jakaś odrażająca historia. Choroba psychiczna, obsesja, gwałt, zbrodnia, dramat z dzieciństwa. Oraz

odporność, która stworzyła „dar”. Potem czas upiększył historię, zamieniając ją w legendę. Jesteśmy bohaterami. Sądzę, że Herkules mówił wam o tym. A ja? Co myślisz o mnie? Cierpię na znany syndrom fizjologiczny: trzeci chromosom. Mam dwa chromosomy żeńskie i jeden męski. Podobno to się leczy zastrzykami hormonalnymi... aleja nie chcę być leczony. Akceptuję moją podwójną płciowość.

Jedną ręką Hermafrodyta gładzi się po piersi, a drugą po wąsach.

- To, co teraz mówię, powinno cię uspokoić, bowiem wynika z tego, że wszyscy bogowie olimpijscy byli kiedyś śmiertelnikami. A to znaczy, że pewnego dnia ty także możesz zostać „trzynastym mistrzem w szkole”. Jeżeli moja matka zaćmiła ci umysł, chociaż to dobrze ci zrobi. W ten sposób będziesz mógł przez całą wieczność ślinić się przed nią razem z pozostałymi seksualnymi niewolnikami.

Tym razem wybucha gromkim śmiechem. Czuję się ogłuszony jak Theotime na ringu. Podwójny sierpowy w brodę. Afrodyta histeryczką?

119

Jej magia byłaby tylko chorobą psychiczną? Edmond Wells mawiał, że dobrego boksera poznaje się po umiejętności podźwignięcia się po nokaucie. Ja też muszę się podźwignąć. Pięć, cztery, trzy, dwa... Potrząsam głową, żeby się obudzić.

Nie mogę w to uwierzyć. A jednocześnie moje zainteresowanie jej osobą nie zmieniło się. Jakakolwiek by była jej historia, to ona jest jej pierwszą ofiarą. To nie ona sprawiła, że ojciec odrzucił jej matkę, a potem również ją zostawił. To nie ona wybrała sobie macochę. Hermafrodyta wyjawiał mi prawdę. I to mam mu za złe. Wolałbym nie wiedzieć.

Hermafrodyta ściska mi dłoń jak dobry zawodnik, który docenia wysiłek przeciwnika.

- Miłość to zwycięstwo wyobraźni nad inteligencją. Nigdy o tym nie zapominaj. Zapisz to w swojej encyklopedii, aby mogło służyć innym. Jednakże musisz wiedzieć, że... zazdrościsz ci, Michaelu. Bo dzięki swojej wyobraźni możesz przynajmniej przeżyć coś bardzo silnego. Nawet jeśli to tylko złudzenie.

Staram się przetrwać to, co usłyszałem. Syn Hermesa i Afrodyty wychodzi, zabierając słoik z martwym sercem.

Czuję się strasznie samotny. Jedna z Hor przynosi mi deser. Naleśniki z białym serem oraz korynckimi winogronami. Pyszne. Przynajmniej jedzenie jest prawdziwą przyjemnością, a nie złudzeniem. Delektuję się słodyczami, ale robię to niemal ze smutkiem.

Nagle mój wzrok pada na scenę, na której coś chyba jest przygotowywane. Orkiestra rozkłada instrumenty, wchodzi satyry grające na fletni Pana i centaury grające na wielkich organach ze skórzanymi miechami.

Dionizos wchodzi na scenę i zabiera głos. Ogłasza, że dzisiejszego wieczoru jemy kolację w amfiteatrze, ponieważ zespół animacyjny przygotował dla nas sztukę teatralną pod tytułem Persefona w piekle.

W tym samym momencie na widownię wbiegają chimery. Rozlegają się trzy dzwonki. Gasną świece i zapalają się światła na scenie.

Ubrany w przeznaczone do tragedii maski chór rozpacza nad uprowadzeniem Persefony. Na scenie pojawiają się kolejni aktorzy, ich twarze skrywają maski. Jednak w ich sylwetkach rozpoznajemy bogów-mistrzów. Demeter gra Persefonę, Hermes Zeusa, a Dionizos szybko nałożył strój, w którym wcielił się w postać Hadesa.

Afrodyty nie ma wśród nich. Za każdym razem, kiedy o niej pomyślę, jej imię odbija się echem w mojej głowie. A-fro-dy-ta. Aktorzy na scenie deklamują. Ich twarze nadal zakrywają maski. Przypomina mi się informacja etymologiczna, którą znalazłem w Encyklopedii. Wyraz „persona”, czyli osoba, pochodzi od nazwy maski, którą aktor grający w antycznym teatrze umieszczał przed twarzą, per sonare, to znaczy „tak, aby dobrze brzmiał” jego głos, odbijając się od wklęsłości drewnianej maski. A więc osoba to maska.

Przedstawieniu towarzyszy muzyka i śpiew.

Muszę koniecznie się rozerwać.

Korzystając ze światła księżyca, wertuję Encyklopedię i znajduję fragment dotyczący antycznego teatru. Czytam w nim, że w tamtej epoce aktorzy byli niewolnikami należącymi do właściciela trupy. „Po przed-

120

stawieniu aktorki wystawiano na licytację jako prostytutki. Im większą grały rolę, tym drożej kosztowały. W wielu spektaklach zdarzało się, i to nierzadko, że role osób mających zginąć grali więźniowie skazani na karę śmierci. W micie o Penteuszu odgrywająca scenę jego śmierci aktorka naprawdę rozerwała na kawałki swojego scenicznego syna. W średniowieczu zdarzało się często, że pamiętliwi widzowie nie pozwalali wejść do oberży aktorom odtwarzającym role negatywnych postaci, a nawet zdarzały się na nich lincze.

Mata Hari siada obok mnie.

- Mogę? - pyta szeptem.

Zauważa Encyklopedię.

- To jest księga wiedzy Edmonda Wellsa, prawda?

- Powierzył mi ją - mówię, gładząc okładkę cennej książki.

- Michael, chciałam ci powiedzieć... Przyglądałam ci się, jak grałeś i uważam, że twój lud delfinów jest bardzo interesujący.

- Dziękuję. Twój lud wilków też jest niezły.

Przebiega mi przez głowę pewna myśl: maska, „osoba” - per sonare - uczniowie-bogowie, ich lud. Nasze postawy wyrażają się w zachowaniu tysięcy obdartusów, którzy sądzą, że inspirujemy ich poczynania. Nasi wierni są wyrazem nas samych. A nawet więcej: ci, którzy w nas wierzą, sami tworzą nasz wizerunek.

- Och, moi ludzie-wilki podróżują, odkrywają nowe miejsca, ale nie udaje im się zbudować dużego miasta, czy też stworzyć laboratoriów naukowych. A poza tym, za mało myślą, raczej działają instynktownie.

- Tak jak my wszyscy.

Mata Hari odwraca się tyłem do sceny, aby w półmroku lepiej widzieć moją twarz.

- Są takie chwile, w których odczuwam wobec moich śmiertelników współczucie. My jesteśmy bogami i możemy spojrzeć na wszystko z dystansu. Oni są w środku tej gry i nie zdają sobie z niczego sprawy.

Patrzę na nią. Z pewnością ma w sobie wiele powabu, jednak za bardzo zawrócił mi w głowie urok Afrodyty, aby tak naprawdę dać się poruszyć tej „uroczej” dziewczynie. Uśmiecha się do mnie i czytam w jej wzroku, że dostrzega mój brak zainteresowania jej osobą. I widzę także, że udaje, aby przypadkiem nie było widać, że to czuje. Nakładam sobie drugą porcję naleśników z twarogiem. Polane są karmelem. Czuję oprócz tego trochę rumu, którym polane są winogrona.

- Czego byś chciała? Przymierza wilków z moimi delfinami?

- Nie wiem... Być może - odpowiada w zamyśleniu.

Ten dialog przywodzi mi na myśl dawnego przyjaciela, który codziennie wieczorem, wychodząc z psem, miał nadzieję, że spotka dziewczynę, która będzie szła ze swoim czworonogiem. Kiedy zwierzęta zaczną ko-pulować, on skorzysta z sytuacji, aby rozpocząć rozmowę. W ten sposób żenił się cztery razy. Teraz nie chodzi o połączenie zwierząt, lecz naszych ludów, a jednak sytuacja jest dosyć podobna.

- Czemu nie? - odpowiadam.

Mam ochotę na samotny spacer po ogrodzie. Wstaję. Na scenie Dionizos recytuje tekst, którego nie słucham.

121

- Zobaczymy się zaraz po spektaklu w związku z wyprawą? - rzuca Mata Hari.

Przechadzam się po pustej Olimpii. Najpierw idę główną aleją, potem skręcam w lewo, w małą uliczkę. Wszyscy są w amfiteatrze. Nagle czuję, że ktoś za mną idzie.

Kładę rękę na ankh, ustawiając przycisk w pozycji „D”, gotowej do strzału. Chowam broń w fałdach togi i czekam nieruchomo. Tym razem bogobójca mnie nie dopadnie.

38. HANNIBAL BARCA

Kartagina została założona w 814 roku przed Chrystusem przez królową Elisę (siostrę króla Pigmaliona, nazywaną przez Rzymian Dydo-ną). Towarzyszyli jej pochodzący z Tyru fenicyjczy wygnańcy. Kartagina szybko stała się najnowocześniejszym i najbogatszym miastem swojej epoki. To również jedna z pierwszych republik. Corocznie złożona z trzystu senatorów rada wybierała dwóch urzędników, nazywanych sufetami. Aż do III wieku przed Chrystusem Kartagina panowała w całym basenie Morza Śródziemnego. Dysponując ponad dwustu statkami, wysyłała je na wyprawy w każdy zakątek świata. Dzięki swojej morskiej potędze Kartagińczycy zbudowali przedstawicielstwa handlowe na Sycylii, Sardynii, wzdłuż północnych wybrzeży Afryki, w Hiszpanii (w mieście Gades, które następnie zostało przemianowane na Kadyks), a nawet dotarli na północ, aż do Szkocji, z którą nawiązali stosunki, aby handlować cyną, oraz na południe, aż do Gwinei, gdzie kupowali złoto. To oczywiście musiało wzbudzić zazdrość nowo powstałej potęgi: Rzymu. Rzymianie stworzyli jeszcze potężniejszą flotę wojenną, ściągając od Kartagińczyków techniki budowy okrętów, wyposażając je w ostro zakończony dziób oraz galerników, dzięki którym statki osiągały większą prędkość. W roku 264 przed Chrystusem rzymska flota wojenna pokonała flotę kartagińską w bitwie pod Egates. Był to początek wojen punickich. Kartagiński generał Hamilcar Barca wynegocjował pokój na niekorzystnych dla swojego kraju warunkach, wskutek czego musiał stawić czoła własnym najemnym żołnierzom ze zbuntowanej armii sycylijskiej, którą udało mu się pokonać dzięki wewnętrznym siłom kraju. Jego syn Hannibal przyszedł na świat w 247 roku przed Chrystusem. Grecki nauczyciel wychowuje chłopca w podziw dla Aleksandra Wielkiego. Młody Hannibal towarzyszy ojcu podczas kampanii hiszpańskiej. Zdradzony i schwytany w zasadzkę generał zostaje zamordowany. Jego syn Hannibal bierze odwet. Mając zaledwie 26 lat, dzięki charyzmie i talentom organizacyjnym, wbrew opiniom senatorów, tworzy iberyjsko-kartagińską armię. Podejmuje na nowo wojnę z Rzymem i razem z kilkudziesięcioma tysiącami ludzi oraz kilkuset słoniami przechodzi przez Pireneje, przemierza południową Galię, następnie przekracza Alpy. W czerwcu 218 roku przed Chry-

122

stusem przybywa na teren północnej Italii. Wysłana do Hiszpanii armia rzymska stwierdza ze zdumieniem, że Hannibal jest już w dolinie Padu. Rzymianie spieszą się na spotkanie z kartagińskim wodzem. Do bitwy dochodzi w grudniu, nad brzegiem rzeki Trebia, nieopodal miasta Placencja. Rzymianie uciekają przed szarżującymi afrykańskimi słoniami, które jednak źle zniosły przemarsz przez ośnieżone górskie szczyty. Hannibal jest genialnym dowódcą. Potrafi szybko przemieszczać swoje wojska i w odpowiednim momencie użyć jazdy. Podczas bitwy nie tylko wykorzystuje słonie w charakterze atakujących czołgów, ale wprowadza także akcje „komandosów”, prowadzone przez mało liczne, lecz bardzo skuteczne oddziały uderzeniowe, działające w najbardziej newralgicznych punktach.

Podczas drugiej bitwy, która rozegrała się w Kampanii, Hannibal rekompensuje słabość swojej armii podstępem: posyła na przeciwnika stado wołów pokrytych wiązkami płonącego chrustu. I oto nowe zwycięstwo Kartagińczyków. W odpowiedzi Rzym wysyła wszystkie swoje wojskowe rezerwy. Następuje bitwa pod miejscowością Kanny w Apulii, podczas której, dzięki zręcznemu fortelowi oskrzydłającemu, Hannibal po raz kolejny otacza i unicestwia dwa razy liczniejsze od swoich rzymskie oddziały. Cała Italia sprzymierza się z Kartagińczykami, podobnie Macedonia i Sycylia.

Lecz zamiast wziąć Rzym, Hannibal podpisuje traktat pokojowy z naprędce mianowanym rzymskim dyktatorem, zapewniając tym samym miastu obronę.

Kiedy mija niebezpieczeństwo, dyktator gromadzi armię, a jej dowództwo powierza młodemu generałowi, Scypionowi Afrykańskiemu. Scypion zrozumiał, że armia rzymska nie wygra z Hannibalem w wielkiej bitwie. Postanowił zatem po kolei skubać kartagińskie terytoria, unikając bezpośredniego spotkania z wielką armią. Siły Kartagińczyków zbyt już były zredukowane liczebnie, aby móc sprostać walkom na kilku frontach. Scypion zdobywa kolejne miasta, potem przejmuje Italię, Galię, Hiszpanię, a następnie jego armia przybija do brzegów Afryki. Hannibal usiłuje negocjować ze Scypionem, a kiedy ten odmawia wszelkich umów pokojowych, odbywa się bitwa pod Zamą. Pozbawiony numidyjskiej kawalerii, którą w ostatniej chwili przekupili Rzymianie, Hannibal zostaje pokonany. Rzymianie narzucają Kartaginie ogromną kontrybucję, którą miasto ma płacić przez 50 lat. Hannibal zostaje wybrany przez senatorów sufetem i próbuje rządzić swoim zrujnowanym miastem. Likwiduje przywileje możnych rodów i zobowiązuje odpowiedzialnych za finanse państwowe do sporządzania raportu na temat zawartości państwowego skarbcza. Ci zaś nie zgadzają się z demokratycznymi zapędami swojego władcy i zwracają się do Rzymu o pomoc w obaleniu ich nowego, „zbyt reformatorskiego” króla. Ścigany przez Rzymian Hannibal ucieka z Kartaginy i znajduje schronienie na dworze syryjskiego króla Antiocha, który prosi go o doradztwo w wojnie z Rzymianami. Jednak potem nie słucha rad swojego gościa, dotyczących rozwiązań strategicznych, i w efekcie przegrywa bitwę.

123

Jednym z warunków traktatu pokojowego jest opuszczenie Syrii przez Kartagińczyka. Wtedy Hannibal znajduje schronienie u króla Bitynii, Prusjasza, w służbie którego wykorzystuje swoje talenty wojskowe i urbanistyczne. W 183 roku przed Chrystusem Rzymianie zażądali od Prusjasza, aby wydał im Hannibala. Ten, nie mogąc uciec, zażył truciznę, którą nosił w swoim pierścieniu.

Trzecia wojna punicka wybuchła w 149 roku przed Chrystusem, powodując ostateczne zniszczenie Kartaginy.

Rzymski historyk Tytus Liwiusz tak o nim pisał: „Hannibal był najlepszy. Pierwszy zaczynał walkę, jako ostatni opuszczał pole bitwy. Nikt nie miał tyle odwagi w stawianiu czoła niebezpieczeństwom. Mało spał, mało jadł, bez przerwy się uczył. Podziwiał Aleksandra Wielkiego, ale jego projekty były o wiele śmielsze”. Po śmierci Hannibal stał się symbolem oswobodzenia ludów spod rzymskiego jarzma i walki z oligarchią.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

39. SPOTKANIE W BLASKU KSIĘŻYCÓW

Kroki zbliżają się. Są lekkie. Po chwili już ich nie słyszę. Oceniam położenie mojego przeciwnika na chybił trafił i odwracam się w jego stronę, z palcem na przycisku ankh, gotów w każdej chwili oddać strzał.

To kobieta. Poznaje jej zapach i sylwetkę, nim jeszcze zobaczę jej twarz, ponieważ stoi tyłem do światła księżyców. Biorę świetlika i unoszę go, aby ją oświetlić. Jej toga jest podarta. Kobieta wygląda, jakby zamierzała się ukryć.

Przełykam ślinę. Za każdym razem jej obecność działa na mnie w ten sam sposób. Narkotyk. Moja heroina.

Patrzy na mnie, widzę jej źrenice. Jej twarz błyszczy zbyt mocno. Po policzku aż do brody płynie coś, co przypomina mały, lśniący strumyk. Oddycha ciężko. Oświetlam lepiej jej postać. Sądząc po wyglądzie jej togi, musiała zostać pobita. Widać ślady bata.

Chwyta moją dłoń i zmusza mnie, abym wypuścił świetlika i nie patrzył na nią. Potem ucieka. Rzucam się za nią.

-Afrodyto, zaczekaj!

Biegnie, jak może najszybciej. Ja za nią.

Przewraca się, podnosi i biegnie dalej.

-Afrodyto, zaczekaj!

Mijamy ogrody, aleje wysadzone figowcami i drzewami oliwnymi. W końcu docieram do wąskich, krętych uliczek. Jestem u kresu sił. Nigdy tu nie byłem. Prawdziwy labirynt. Tracę ją z oczu, potem zauważam daleko. Przyspieszam.

- Zaczekaj na mnie.

124

Znowu ciągnie mnie wąskimi uliczkami. Najwyraźniej Olimpia jest większa niż sądziłem. To miejsce przypomina centrum Wenecji, „ulice, w których łatwo dać sobie podciąć gardło” - jak myślałem kiedyś.

Docieram do miejsca, z którego jest tylko jedna droga. Jej nazwa: ulica Nadziei. To ślepa uliczka. W głębi stoją tylko stare drewniane skrzynki. Straciłem z oczu boginię miłości. Nagły hałas sprawia, że się odwracam. To ona. Kpi sobie ze mnie? Zobaczywszy mnie, umyka w stronę bocznego wejścia.

- Proszę na mnie zaczekać - powtarzam.

Idąc w ślad za nią, wchodzę do galerii, przypominającej te z Luwru. Na frontonie widnieje inskrypcja: MUZEUM APOKALIPSY. W sali panuje ciemność, ale przez okna sączy się niebieskie światło trzech księżyców.

W środku, na ścianach wiszą zdjęcia. Pod każdym znajdują się podpisy: „Ziemia 17”, „Ziemia 16”, „Ziemia 11” itd. Bez wątplenia są to kartki pocztowe z gry Y poprzednich roczników. Przedstawiają obrazy zniszczenia. Zrujnowane miasta, po których ganiają bandy złoczyńców, wojsko lub całe hordy szczurów. Czasami sfory hien lub psów. Miejscami roślinność znowu narzuciła swoje prawa, gdzie indziej leży śnieg albo gorący piasek, albo jest morze. Ziemia jest pożerana, zamarznęta, wysuszona, przywrócona do dzikiego stanu... Przedstawieni ludzie są w całkowitym szoku. I, jak wnioskuję, ten szok zarówno na Ziemi 17, jak i innych, dotyczy tylko ludzi. Jakież to wszystko chore... Wystawa prezentująca światy, których bogowie nie zdołali uratować.

Szukam wzrokiem Afrodyty, nie mogąc jednocześnie zatrzymać napływających myśli.

Ludzkość jest sama dla siebie największym wrogiem. Zbiorowe samobójstwo jest dla niej naturalną kolejną rzeczą. Skoro bogini miłości przywiodła mnie tutaj, to zapewne chciała, żebym o tym pomyślał. Bogowie walczą, żeby zapobiec staczaniu się ze zbocza toczzonego w górę kamienia, jak ten Syzyfa, jednak upadek jest nieuchronny.

Afrodyta stanęła nieruchomo w głębi sali.

Wyciągam delikatnie dłoń, jakbym chciał oswoić kota, który uciekł. Nie rusza się. Widzę tylko, jak jej oczy błyszczą w ciemnościach.

Jestem od niej zaledwie kilka metrów, ale obawiam się, że znowu rzuci się do ucieczki.

- Michael ... - mówi.

Cofa się i ukrywa bardziej w ciemnościach.

- Nie, nie zbliżaj się.

Staję w miejscu.

- Rozwiązałeś zagadkę? Musisz znaleźć rozwiązanie. To dla mnie bardzo ważne.

Jej głos brzmi chrapliwie. Mam wrażenie, że długo płakała i reszta łkania pozostała jeszcze w jej gardle.

Powtarza z przekonaniem:

- „Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł. Jeśli zjesz, umrzesz”.

- Nie może pani tu zostać. Proszę iść ze mną do mojej willi. Opatrzę pani rany.

125

Jeszcze mocniej ściska mi dłoń.

- Bywało gorzej. Poza tym my, bogowie, nie ryzykujemy zbyt wiele.
- Kto to zrobił?
- ...Czasami jest trochę brutalny.
- Pani mąż? Hefajstos, tak?

Kręci przecząco głową.

- To nie Hefajstos, ale ten, kto się tak zachował, miał powody, by tak postąpić, wierz mi. To moja wina. Przynoszę pecha mężczyznom, którzy mnie kochają.

Brzegiem togi wycieram lśniące na jej policzkach łzy. Afrodyta uśmiecha się z trudem.

- Dziwny z ciebie człowiek, Michaelu. Zesłałam na twoich ludzi potop, a ty mnie nie zostawiłeś. Musisz ode mnie uciec. Wiesz, jestem jak modliszka. Niszczę tych, którzy mnie kochają. To silniejsze ode mnie.
- Jest pani wspaniała.
- To nieprawda. Nie bądź ślepy. Czynię zło, nawet tego nie chcąc.

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Zauważam, że jej plecy

naznaczone są czerwonymi paskami. Delikatna skóra jest głęboko pocięta. Ten, kto bił, miał silną rękę.

- Kto to pani zrobił? - powtarzam pytanie.
- Zasłużyłam sobie - wzdycha. - Wiem, zaraz powiesz, że nikt nie ma prawa uderzyć kobiety, ale w tym przypadku sama jestem sobie winna.

Głaszczcie mnie po brodzie.

- Jesteś taki naiwny, Michael, że aż mnie to wzrusza. Tam, na Ziemi, musiałeś być wspaniałym mężem, jestem tego pewna.

Nagle przypominam sobie moją ostatnią ziemską towarzyszkę życia: Rose, za którą podążyłem aż na kontynent umarłych.

- Pamiętaj, że należę do tych kobiet, których musisz dla własnego dobra unikać, bowiem moim jedynym przeznaczeniem jest sprawianie mężczyznom cierpienia. Znajdź tu sobie inną Rose. Zasługujesz na to.
- Tylko pani mnie interesuje.

Chcę wziąć ją w ramiona, lecz wymyka się.

- Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, rozwiąż zagadkę. Bądź „tym, na którego czekamy”, „tym, na którego ja czekam”.

Nagle w mojej głowie pojawia się rozwiązanie.

- Miłość - mówię.
- Co miłość?
- Miłość jest lepsza niż Bóg i, zważywszy na to, jak traktują panią kochankowie, może przekształcić mężczyzn w gorszych od diabła.

Patrzy na mnie z czułością. Następnie podchodzi do ściany ozdobionej fotografiami zniszczonych światów.

- ...a co ze zdaniem: Jeśli zjesz, umrzesz?". Nie. Nie należy nie doceniać tej zagadki. Ona jest na pewno subtelniejsza... Zaczekaj, dam ci wskazówkę, która właśnie pojawiła się w mieście. Wydaje się, że „rozwiązanie jest banalne”.

To paradoksalne, ale przy każdym spotkaniu staje się dla mnie coraz bardziej pociągająca.

126

Spotkaniu? To więcej niż spotkania... ta kobieta sprawiła mi tyle kłopotów. A jednak nie potrafię mieć jej tego za złe. Kocham ją.

Za to Mata Hari, która uratowała mi życie i zawsze jest przy mnie, kiedy mam kłopoty, przygnębia mnie swoją obecnością.

Moje zachowanie przypomina mi fragment z Encyklopedii, nawiązujący do sztuki Eugene'a Labiche'a.

40. ENCYKLOPEDIA: KOMPLEKS PANA PERRICHONA

W sztuce Podróż pana Perrichona XIX-wieczny francuski autor, Eugene Labiche, opisuje ludzkie zachowanie, które a priori jest zupełnie niezrozumiałe, a jednocześnie całkiem banalne. Niewdzięczność.

Pan Perrichon oddaje się przyjemnościom alpinizmu na stokach Mont Blanc. Towarzyszy mu służący. Natomiast jego córka odpoczywa w góralskiej chacie. Po powrocie ojciec przedstawia jej dwóch ludzi, których spotkał w górach. Pierwszy - wyjaśnia - to wspaniały chłopak, któremu on, Perrichon, uratował życie, kiedy o mało nie zginął w przepaści. A młody mężczyzna szybko potwierdza, że gdyby nie pan Perrichon, już by nie żył.

Wtedy służący ponagla swego pana, aby przedstawił również drugiego przybysza. Ten bowiem uratował pana Perrichona, kiedy z kolei on wpadł w skalną szczelinę. Pan Perrichon wzrusza ramionami i oświadcza, że wcale nie był w takim dużym niebezpieczeństwie. Uważa też, że ten, kto go uratował, jest arogancki i pretensjonalny. Jego opowieść umniejsza wagę tego, czego dokonał młody człowiek. Oczywiście ojciec zachęca dziewczynę, aby zainteresowała się pierwszym chłopcem, jego zdaniem bardzo sympatycznym, a nie drugim, którego interwencja jawi mu się jako coraz bardziej niepotrzebna, aż w końcu zadaje sobie pytanie: czy to zdarzenie w ogóle miało miejsce? W swojej sztuce Eugene Labiche ukazuje

owo dziwne zachowanie, które sprawia, że człowiek nie tylko nie jest zdolny do uznania i wdzięczności, ale, co gorsza, zaczyna nienawidzić tych, którzy przyszli mu z pomocą. Być może z obawy, że już zawsze będzie im coś dłużny... Kochamy natomiast tych, którym sami pomogliśmy, jesteśmy dumni z naszych pozytywnych działań i przekonani o wiecznej dla nas wdzięczności.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

127

41. SAINT-EX

Długo pozostaję zatopiony w głębokich oczach Afrodyty

- Michael, jesteś w niebezpieczeństwie - słyszę. - Jesteś wcieleniem tego, który płaci za winy innych. Twój lud płaci za ograniczenie totalitaryzmu, ty płacisz, aby bronić wartości, jaką jest wolność. „Oni” ci tego nie odpuszczą.
- Kim są ci „oni”? Pozostali uczniowie?
- Nie tylko...

Odwraca się, rozgląda w prawo, w lewo, jakby bała się, że ktoś ją może usłyszeć, następnie szepcze mi do ucha:

- Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co się tutaj tak naprawdę dzieje. Gdybyś to wiedział... Nikt nie wie, czym naprawdę jest świat bogów. Och, jak ja czasami żałuję, że wiem to wszystko! Och, jak ja czasami żałuję, że nie jestem... śmiertelniczką!

Kiedy wypowiada te słowa, zmienia się wyraz jej twarzy.

Zachowuje się jak ktoś, kto znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Trochę jak Juliusz Verne, który pierwszego dnia polecił mi, abym nawet nie próbował dowiedzieć się, co jest na szczycie góry.

- Nikt nie może nawet wyobrazić sobie prawdy - powtarza.
- Ale my, bogowie, manipulujemy śmiertelnikami, prawda?
- Śmiertelnicy nie mogą podejmować żadnych naprawdę ważnych decyzji. Poza tym... oni tak naprawdę nie wiedzą, w jakim żyją świecie. Ale my wiemy... a zatem nie mamy żadnego wytłumaczenia.
- Nie rozumiem.

Afrodyta przybliżyła się do mnie i czuję, jak jej delikatne ciało dotyka mojej togi. Bierze moją dłoń i wsuwa w dekolt, pozwalając dotknąć swojej piersi. Czuję prąd przebiegający przez ciało. Moja dłoń przemienia się w ultraczuły receptor. Mam wrażenie, że wyczuwam

najmniejszy z jej porów, najmniejszą żyłkę tętniącą pod skórą. Sterczący sutek jest delikatnie wilgotny. W tej samej sekundzie chciałbym, aby moja dłoń i jej pierś stanowiły jedno ciało.

- Szczęśliwi ci, którzy nie rozumieją. Ja bym chciała nie rozumieć.

Mam ochotę pocałować ją w usta, ale kiedy zbliżam wargi, odsuwa mnie delikatnie, lecz stanowczo.

Uśmiecha się, lecz na jej twarzy widać przygnębienie.

- Nigdy nie rezygnuj ze swoich marzeń, Michael, nie rezygnuj nigdy, a przede wszystkim znajdź odpowiedź, co może być lepsze niż Bóg i gorsze niż diabeł. Na litość boską, znajdź tę odpowiedź, a wtedy cała będę twoja.

Znowu przysuwa się do mnie.

Jestem owładnięty jej pięknem, wdziękiem, otacza mnie aura jej miłości. Wiszące wokół nas fotografie umarłych światów tworzą paradoks chwili. Eros i Tanatos. Energia życia, której nieodmiennie towarzyszy energia śmierci.

Chciałbym, aby ta chwila trwała wiecznie. Chciałbym, żebyśmy zamieszkali na stałe w łóżku, leżąc nago w pościeli, nie jedząc i nie śpiąc. Korzystając z boskiego przywileju nieśmiertelności, przez pierwszych

128

sto lat pieścilibyśmy tylko nasze ciała. Aby pożądanie trwało jak najdłużej. Przez następne wieki wymyślalibyśmy wspólnie nowe, nieznanne pozycje naszej własnej Kamasutry. Zmysłowość bogów, seksualność bogów, apoteoza boskich zmysłów. Tylko ja i Afrodyta. Ja i istota, która stała się moją obsesją.

Ale ona już ucieka.

- Nie zajmuj się mną, ratuj swoich ludzi, ratuj siebie samego - rzuca mi na odchodne.

Zostaję sam na ulicy Olimpii. Uśmiechnięty i rozmarzony.

Co za kobieta. Co za kobieta. Co za kobieta.

- Hej! Michael!

Z daleka dobiega mnie głos Antoine'a de Saint-Exupéry'ego.

- Muszę z tobą pomówić, to ważne.

Nie odpowiadam. Potrzeba czasu, aby jego słowa dotarły do moich uszu.

- Chodź ze mną. Chcę cię zapytać o coś bardzo ważnego, ale najpierw muszę ci coś pokazać.

Pozwalam mu się prowadzić. Po drodze wyjaśnia mi szybko:

- Muszę ci powiedzieć... Lewiatan... wreszcie to zrozumiałem. Wiesz, że Lewiatan nigdy nie istniał na Ziemi 1?

Powoli zaczynam go słuchać.

- „Ci” tutaj wcielają w życie wytwory naszej wyobraźni z czasów, kiedy byliśmy śmiertelnikami. Wierzymy w istnienie Olimpii: i oto jest. Nasze marzenia krystalizują się. Wierzymy w istnienie Edenu: i oto znaleźliśmy się tutaj. Tak samo z syrenami, gryfami, cherubinami.

Staram się zebrać myśli.

- Chcesz powiedzieć, że Aeden istnieje tylko w naszych umysłach...

- Nie. Powiedziałem, że oni go „krystalizują”. Przekształcają w rzeczywistość to, co istnieje w naszych głowach. Wierzysz w Wielkiego Pana Boga? W porządku, zatem „Oni” sprawią, że Wielki Pan Bóg istnieje!

„Wierzę w miłość, a oni sprawią, że istnieje Afrodyta...” - myślę.

Saint-Exupéry wskazuje na spowity w chmurach szczyt Olimpu, który sam w sobie nie świeci, lecz otaczające go chmury błyszczą światłem trzech księżyców.

- Tak samo ty. Wierzyłeś w Hannibala i sprawiłeś tym samym, że zaistniał. Marilyn Monroe wierzyła w istnienie Amazonek. I stworzyła je.

- Ale przecież Hannibal istniał naprawdę! - irytuję się.

- To, czy coś działa się w rzeczywistości, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest tylko to, że dana rzecz istnieje w umyśle jednego z mieszkańców Aedenu. Legendę o Lewiatanie stworzyli Fenicjanie i Kartagińczycy, chcąc w ten sposób przestraszyć inne ludy i odwieść je od podążania ich śladem. Tym samym pozbywali się konkurencji w podróżach. Podobnie z Atlantydą...

- Atlantydą?

Pilot-powieściopisarz obejmuje moje ramię.

- Ależ tak, Atlantydą. Nie neguj tego, co jest oczywiste. Nie jestem jedynym, który odgadł, skąd wziął się twój pomysł Wyspy Spokoju. Jeśli coś istnieje w naszym umyśle, zaczyna istnieć naprawdę.

129

- Dlaczego tak się dzieje? Nie rozumiem.

- Ponieważ ktoś gdzieś zdecydował, że da nam taki prezent. Ale pozostaje pytanie: czy ten świat jest wytworem naszej wyobraźni, czy może my jesteśmy wytworem wyobraźni tego

świata? Georges Méliès pokazał nam swoimi magicznymi sztuczkami coś istotnego. Sądzymy, że dokonujemy wyboru, ale tak naprawdę niczego nie wybieramy. Dostosowujemy się do scenariusza, który ktoś już napisał. Jak mówi znana sentencja - „Wszystko jest zapisane w niebie”.

Zastanawiam się, zmieszany.

- To, co nam się przydarza, nie jest wytworem naszych marzeń lub wyobraźni, lecz naszej pamięci.

Saint-Exupéry ciągnie dalej:

- Jeśli tak jest, pozostaje nam tylko dowiedzieć się, dlaczego „Oni” wtykają nos w naszą przeszłość.

W amfiteatrze nadal trwa przedstawienie teatralne. Naszych uszu dobiega recytacja w wykonaniu chóru charyt. Saint-Exupéry proponuje, abyśmy poszli do warsztatu Nadara. Korzystając z tajemnego przejścia, opuszczamy miasto i przyspieszając kroku, kierujemy się w stronę lasu.

- Być może w historii ludzkości z Ziemi 1 istnieje jakaś ukryta tajemnica. Tajemnica, której nie udało nam się zidentyfikować. A „Oni”, zamiast kazać nam czytać książki historyczne, które przecież nie są niczym innym, jak tylko propagandą na cześć zwycięzców lub obroną poglądów politycznych sprzymierzeńców, sprawiają, że przeżywamy w rzeczywistości cały ten przebieg wydarzeń. A podejmując decyzje sami, lepiej rozumiemy, co tak naprawdę się wydarzyło.

Mam wrażenie, że dotyka jakiejś bardzo istotnej kwestii.

- Uwielbiam etymologię - mówi, odsuwając liście olbrzymich paproci - naukę o pochodzeniu wyrazów. Często mówi się o apokalipsie. Wiesz, co oznacza wyraz „apokalipsa”?

- Koniec świata?

- Nie, to jest znaczenie potoczne, nie właściwe. O ile pamiętam z zajęć języka greckiego, słowo „apokalipsa” oznacza dosłownie „zdjęcie woalu”. A to oznacza, że w dniu apokalipsy zostanie wyjawione ludziom to, co jest schowane za woalem, prawda skryta za zasłoną kłamstw.

- To zadziwiające - mówię - ale kiedy byłem jeszcze na Ziemi 1, trwały wielkie dyskusje za lub przeciw woalom na głowie...

- To jeden z wielu znaków. Zdjęcie woalu lub chusty to ostateczne ukazanie rzeczywistości tym wszystkim, którzy żyją w świecie iluzji. To dlatego apokalipsa utożsamiana jest z Ostatnim Dniem. Uważa się, że poznanie prawdy zabija.

Jego opinie przywodzą mi na myśl zdanie Philipa K. Dicka, które zapisał Edmond Wells w swojej Encyklopedii-. „Rzeczywistość jest tym, co istnieje wtedy, kiedy przestaje się w to

wierzyć". Obiektywny świat istnieje poza wszelkimi ludzkimi wierzeniami. Poza wszelkimi woalami.

Nagle logiczne wydaje mi się to, o czym mówi Saint-Exupéry. „Oni” wtykają nos w nasze wierzenia, aby potem móc nam pokazać, że tak naprawdę chodzi tylko o wierzenia. Dopiero potem mogą nam ukazać tę prawdę, której przyjęcia odmawiamy.

130

Nadal widać otaczające górę światło.

- Jednak kiedy gramy, sami decydujemy o sposobie prowadzenia

gry-

- Jesteś tego pewien? Przypomnij sobie znowu magiczną sztuczkę Georges Mélièsa. Jakkolwiek przełożyłbyś karty, i tak uzyskany rezultat był z góry zaplanowany...

To fakt, ta sztuczka zbiła mnie z tropu.

- Wyruszasz dziś wieczorem z twoimi przyjaciółmi na pieszą wyprawę? - pyta autor Małego Księcia.

- Tak, być może, jeszcze nie wiem. Niewielu pozostało z naszej grupki teonautów.

Méliès, Mata Hari..., Raoul.

Saint-Exupéry kiwa potakująco głową. Wiem, że grupa aeronautów straciła wielu swoich członków. Clémenta Adera, Montgolfiera... Saint-Exupéry zaznacza, że mimo wszystko chce kontynuować rozpoczęte przez nich poszukiwania. Proponuje, abyśmy przyspieszyli kroku.

Widzimy z daleka La Fayette'a, Surcoufa i Marię Curie, dźwigających jakieś ciężkie torby. Akwanauci muszą zajmować się budową statku. Pozdrawiamy się, rzucamy porozumiewawcze spojrzenie odkrywców morskich i powietrznych. Każdy realizuje odkrycia swoim własnym sposobem.

Coraz bardziej oddalamy się od Olimpii.

Saint-Exupéry prowadzi mnie do ukrytego warsztatu, w którym kiedyś pomagałem im tkać płótno na czasę balonu. Widzę nowe narzędzia i duży stół, na którym leży jakiś bardzo duży przedmiot przykryty brezentem.

- Montgolfier skonstruował nowy statek powietrzny, właściwy czasom, w których żył - wyjaśnia Saint-Exupéry. - Wtedy wystarczyło tylko trochę wznieść się ponad ziemią, aby wzbudzić podziw ludzi. Ale, jak już zauważyłeś, tutaj to nie wystarczy. A poza tym, nie ma kto nim kierować.

Nadar, który właśnie majstruje coś w blasku świeczki, zostawia swoje zajęcie i podchodzi się przywitać. Musiał tu przyjść zaraz po tym, jak zaczęło się przedstawienie teatralne.

- Cieszę się, że znowu jesteś z nami - mówi były fotografik, kiedyś przyjaciel Juliusza Verne'a.

Padamy sobie w ramiona.

- Powiedziałeś mu? - pyta Saint-Exupéry'ego.

- Powiedziałem mu, że wyraz „apokalipsa” oznacza zdjęcie zasłony. Odkrycie naszej nowej prawdy pozostawiłem tobie.

Nadar powolnym ruchem zdejmuje brezent. Moim oczom ukazuje się coś, co przypomina drewniany rower wyposażony w system skórzanych pasów, który przekazuje ruchy osoby pedałuującej do śmigła. Na górze moi współnicy umieścili kosz na śmieci, w który włożyli garnek.

- Co to takiego?

- Urządzenie zbudowane na zasadzie balonu, którym można jednak sterować - wyjaśnia lotnik. - Jak widzisz, ten rower wyposażony jest w dwa siodełka, a więc to tandem. Trzeba zatem dwóch osób, aby do-

131

starczyć energii, która wystarczyłaby do napędu tej maszyny. Będziemy pracować nad tym całą noc. Jutro lub pojutrze mój statek powietrzny będzie gotów.

- Zgodzisz się zostać drugim sternikiem mojego tandemu ze śmigłem? - pyta Nadar.

- Dlaczego ja?

- Mojemu towarzyszowi przydarzył się mały problem - mówi Saint-Exupéry.

Gustave Nadar unosi togę i pokazuje zranione kolano.

- Bogobójca?

- Dopadł mnie i ledwie zdołałem uciec. Niestety, do sterowca potrzebne są dwie zdrowe nogi.

- A więc widziałeś bogobójcę? Jaki on jest?

- Było ciemno. Widziałem tylko zarys sylwetki. Nawet nie udało mi się ocenić jego wzrostu.

Saint-Exupéry zachęca mnie:

- To bardzo ważne, Michael. Potrzebujemy ciebie. Dołączysz do nas na nową powietrzną przygodę?

Mam jeszcze świeżo w pamięci wspomnienie upadku do oceanu. Pilot rozumie moje wahanie.

- ...tak jak wszyscy, śledzę przygody twojego ludu delfinów - przypomina mi. - Nie zawsze rozumiem twoje wybory, ale samo widowisko jest zajmujące. Gdybyś nie był tak bardzo skoncentrowany na grze, zauważyłbyś, że wszyscy bogowie-uczniowie regularnie rzucają okiem w kierunku twoich delfinów. Prawda, Nadar?

- To tak, jakbyśmy oglądali serial - potwierdza fotografik. - Im więcej prób doświadczają twoi ludzie, im bardziej inni okazują się wobec nich niesprawiedliwi, tym bardziej wszystko staje się interesujące.

Jaką mam dać odpowiedź? Stworzyłem lud, którego cierpienia są „dobrym widowiskiem”. Chyba już rozumiem.

- Ale mimo wszelkich „trudności” historii, ciągle żyjesz, podczas gdy ludzie-skarabeusze i ludzie-lwy, którzy byli kiedyś u szczytu sławy...

- ...i którzy cię prześladowali - uzupełnia Saint-Exupéry.

- ...zostali ostatecznie wyrzuceni z gry. Nawet Proudhon, który kiedyś był na czele zwycięskiego triumwiratu, Proudhon, przed którego siejącymi zniszczenie oddziałami drżała cała planeta, jest dziś w złej sytuacji. A ty ciągle grasz. Denerwujący, osłabiony, ale żywy.

- Jak długo to jeszcze potrwa? W ostatniej partii byłem przedostatni - przypominam.

Saint-Exupéry patrzy na mnie i dodaje:

- My jesteśmy wywrotowcami, pamiętaj o tym, Michael. Sprzeciwiamy się przyjętym normom. A więc denerwuje to wszystkich, którzy stanowią układ. Zawsze większość będzie przeciw nam.

Nie wiem, dlaczego teraz mówi mi o grze. Próbuje mi schlebiać. Usiłuję zainteresować się tandemem.

- W jaki sposób ruszy wasza latająca maszyna?

- Najpierw trzeba zapalić górny kosz żarowy, żeby napęczyć powietrzem membranę tak jak w balonie - mówi Nadar.

132

- Wówczas wsiada się i pedałuje, a wtedy uruchamia się tylne śmigło. Umocowana z przodu kierownicy dźwignia połączona jest z nim sznurem, za pomocą którego kontroluje się stery. Jednak aby wszystko dobrze działało, lepiej żeby nie było silnego wiatru, bo inaczej...

Trochę zniechęcony siadam na ziemi.

- Chyba naprawdę potrzebne mi są wakacje. Epopeja mojego Wyzwolicielea całkiem mnie wykończyła.

- Idziesz dziś wieczorem na wyprawę z teonautami?

Ich oczy błyszczą w świetle niewielkiej kuźni.

- Nie wiem. Dobrze się czuję tu z wami. Kiedy chcecie lecieć?
- W każdym razie nie dziś wieczorem. Idź z nimi. My będziemy pracować, żeby statek powietrzny był gotów na jutro.
- Mogę wam pomóc?
- Do niczego się nie przydasz. Za to jeśli zbliżysz się bardziej do szczytu góry, będziesz mógł kierować statkiem, gdy już będzie działał.

Saint-Exupéry kładzie po przyjacielsku dłoń na moim ramieniu, jakby chciał mi tym gestem dodać odwagi.

- O tej porze Persefona w piekle ma się ku końcowi. Wracaj więc do amfiteatru. Teraz już wiesz, że masz do wykonania również misję z nami. Misję na później.

Patrzę na Saint-Exupéry'ego i Nadara jak na ewentualnych nowych przyjaciół, gdyby moi mnie zostawili. Ostatnie słowo należy do Saint-Exupéry'ego:

- Wszystko, co ci się przytrafia, dzieje się dla twojego dobra. Daj się unieść biegowi wypadków. Nie bój się. Chociaż wydaje się to dziwne, wszystko, co spotykasz na swojej drodze, nawet najtrudniejsze próby, to wszystko dzieje się dla twojego dobra - powtarza. - Jeśli nawet ten scenariusz został już napisany, jestem pewien, że jego autor chce, aby nam się powiodło.

Jak bardzo chciałbym mieć tę pewność. Jak bardzo chciałbym wiedzieć, co „Autor Scenariusza”, jak go nazwał, przewidział dla mnie. Tymczasem w głowie dźwięczy mi zdanie: „Chociaż wydaje się to dziwne, wszystko, co spotykasz na swojej drodze, nawet najtrudniejsze próby, to wszystko dzieje się dla twojego dobra”.

42. ENCYKLOPEDIA: ZODIAK

Patrząc obiektywnie, koło Zodiaku nie jest wyrazem żadnego naukowo uznanego zjawiska z zakresu astronomii. W dodatku zostało ustanowione w okresie, kiedy większość kultur uważała, że Ziemia stanowi centrum wszechświata. W tamtych czasach, widząc świecący punkt na niebie, nie potrafiono powiedzieć, czy jest to gwiazda, planeta, czy też galaktyka. Ówczesni obserwatorzy nieba nie potrafili określić różnicy odległości pomiędzy leżącą blisko Ziemi gwiazdką i oddaloną dużą gwiazdą.

Zasadę koła z dwunastoma symbolami odnajdujemy w Babilonii (gdzie nazywane jest „Domem Księżycy”), w Egipcie, w Izraelu („Koło Pao-

133

na”), w Tybecie („Koło Zwierząt”), u Fenicjan („Pas Ishtar”), w Ameryce Południowej, w krajach skandynawskich, a nawet w początkach religii chrześcijańskiej (gdzie dwanaście znaków Zodiaku zostało zastąpionych przez dwunastu apostołów).

Uczni tacy jak Jan Kepler - twórca nowoczesnej astronomii, ale również Newton, także odwołują się do tego zjawiska, nie obawiając się układania horoskopów oraz tematów astralnych. Tymczasem nie należy zapominać, że oprócz swojego magicznego aspektu, Zodiak przedstawia symboliczny cykl ewolucji, alchemiczną propozycję ewolucji świata.

Pierwszy znak, Baran: to pierwsza siła. Energia wielkiego wybuchu, która angażuje się i pociąga za sobą pozostałe. Po nim kolejne:

2. Byk: symbol mocy, która następuje po sile Barana.
3. Bliźnięta: podział tej siły na dwa ramiona oraz pojawienie się dwubiegowości: ducha i materii.
4. Rak: pojawienie się elementu ciekłego, wód, w których matka złoży swoje jaja.
5. Lew: wyklucie się jaja i pojawienie się życia, siły, energii, ruchu, ciepła.
6. Panna: oczyszczenie i przekształcenie pierwotnej materii w materię bardziej wyrafinowaną.
7. Waga: równowaga i harmonia sił przeciwnych.
8. Skorpion: destrukcja przez fermentację i rozkład, który następuje po to, aby się lepiej odrodzić.
9. Strzelec: dekantacja.
10. Koziorożec: podniesienie się.
11. Wodnik: uświadomienie sobie.
12. Ryby: przejście do „wyższych wód” duchowości, w przeciwieństwie do poprzedzających je „niskich wód” Raka.

Zdaniem astrologów, w 2000 roku po Chrystusie zakończyła się era Ryb i weszliśmy w erę Wodnika.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

43. NOWA WIECZORNA WYPRAWA

Przedstawienie teatralne przedłuża się.

Podczas mojego spaceru poza miasto była druga przerwa. Persefona nadal jest uwięziona w piekle. Wyjście do światła po raz kolejny jest alegorią dwunastofazowej transmutacji podstawowej istoty ciemnej w końcową istotę świetlną. Ile razy jeszcze będą przedstawiać symbolicznie naszą inicjację, abyśmy mogli stać się żyjącymi „kamieniami filozoficznymi”?

Ile razy jeszcze będą pokazywali rozmiar naszej pierwotnej materii, aby przemienić ją w złoto?

134

Wreszcie chór charyt na scenie intonuje wesołą pieśń na opuszczenie piekła przez Persefonę, a więc powrót na ziemię okresu zbiorów. Tak kończy się sztuka. Uwolnieniem i winobranieniem. Artyści kłaniają się wśród uprzejmych oklasków. Pory Roku roznoszą widzom owoce.

Stoję na zewnątrz i czekam na wyjście moich przyjaciół. Podchodzi do mnie Raoul. Patrzę na niego z ukosa.

- Chyba nie będziesz przez cały wieczór na mnie obrażony tylko dlatego, że nasze ludy toczyły ze sobą wojnę? Przypominasz mi szachistów, którzy cierpią, kiedy tracą jakąś figurę.

Nie odpowiadam.

- Nie chcę, żebyśmy patrzyli na siebie niechętnie - nalega. - Po tym, co wspólnie przeżyliśmy od... no, po tym wszystkim, co nasze dusze przeżyły, kiedy jeszcze byliśmy śmiertelnikami, potem jako anioły i jako bogowie, chyba nie będziemy się kłócić przez historię kilku ludzi.

„To coś więcej niż «kilku ludzi»" - myślę.

- To są tylko szachowe figury... ile razy mam ci to powtarzać?

Dołączają do nas Mata Hari, Gustave Eiffel i Georges Méliès.

Mierzę Raoula wzrokiem. Tylko gra? Nie, myli się. To nie jest tylko

gra. Chyba, że cały wszechświat jest tylko grą.

Nasza grupka teonautów kieruje się w stronę granic Olimpii, gdzie pod murami miasta wykopaliśmy tunel.

Raoul i Mata Hari idą przodem, Gustave Eiffel i Georges Méliès z tyłu. Dołączyły dwie nowe osoby: Camille Claudel i Jean de La Fontaine. Osobiście zawsze byłem fanem tego ostatniego. Swoimi historyjkami o zwierzętach przekazywał bardzo głębokie myśli, otwierając tym samym szerokie pole refleksji filozoficznej oraz politycznej.

Czuję się trochę onieśmielony i nawet nie potrafię do niego podejść. Zresztą, i tak idzie z przodu z Camille Claudel.

Idziemy w niebieskim lesie, kierując się w stronę rzeki. Poruszamy się szybko, znajdując za każdym razem krótszą i łatwiejszą drogę. Pokonujemy rzekę, przechodząc przez ukryty tunel, znajdujący się za ścianą spływającej wody potoku.

Z daleka dostrzegamy Wielką Chimere, nadal unieruchomioną własnym odbiciem w lustrze, które sprezentował jej genialny Georges Méliès. To jakże kiedyś okrutne zwierzę nie zwraca

na nas żadnej uwagi, a my przechodzimy obok najdyskretniej, jak tylko umiemy. Taka jest moc luster...

Droga, która niegdyś sprawiła nam tyle kłopotów, dziś wydaje mi się łatwa. Tak jakby przeszkody, które kiedyś pokonałiliśmy, nie stawały ponownie przed nami.

Szybko zbliżamy się do pola maków.

W czerwonej strefie zamiast dziewięciu, stoi teraz jedenaście pałaców. Doszedł pałac kina i humoru. Cieszymy się, spotykając naszych dwoje przyjaciół. Są niemymi chimerami płci żeńskiej. Marilyn jest podobna do siebie samej. Co do Freddy'ego, to dziwne, że ten alzacki rabin syjący dowcipami mógł zamienić się we wdzięczną młodą dziewczynę, zachowując jednocześnie niektóre rysy swojej dawnej twarzy.

135

Małżonkowie stracili możliwość porozumiewania się za pomocą mowy, lecz oboje próbują ostrzec nas za pomocą gestów, że na następnym terytorium czyha na nas niebezpieczeństwo. Nalegają, abyśmy zabrali ze sobą sznurowane sandały. Potwierdzamy gestem, że przydadzą nam się później. Dziękujemy im.

Zapada noc. Czekając na wschód drugiego słońca, siadamy w kole, oświetleni przez wiązkę świetlików, które kładziemy pośrodku, jakby to było ognisko.

Mata Hari zajmuje miejsce koło mnie.

- Kiedy już tam, w górze, zobaczysz Wielkiego Pana Boga, to o co go zapytasz?
- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Poczekaj chwilę... A ty?
- Zapytam go, dlaczego istnieją nikczemnicy. Dlaczego istniał Hitler? Po co komu terroryzm? Po co fanatyzm? Po co bezinteresowna brutalność? Po co złośliwość? Czemu, w „historycznym” ujęciu, ma służyć tyle cierpienia...
- Sądzę, że częściowo umiem na to odpowiedzieć - zapewnia Jean de La Fontaine, wtrącając się do rozmowy. - Może być tak, że zło służy do ukazania dobra. Tylko dzięki przeciwnościom odkrywa się prawdziwą wartość istot.

Ponieważ nikt go nie rozumie, pisarz proponuje, że wytłumaczy nam to na przykładzie bajki.

- Robaczek świętojański spotyka swojego tatę robaczka świętojańskiego i mówi: „Powiedz tato, czyja świecę?”.

Jean de La Fontaine bierze garść świetlików i kładzie je na otwartej dłoni, chcąc w ten sposób zilustrować opowieść.

- Ojciec odpowiada: „Kiedy jesteśmy tu razem, nie wiem, czy widać twoje światło, czy moje. Musiałbyś pójść tam, gdzie jest ciemno”. Wtedy mały robaczek świętojański szuka ciemności i zaczyna świecić w niej sam.

Jednym ruchem Jean de La Fontaine wyjmuję pojedynczego świetlika i oddala go od pozostałych. Kładzie go na końcu palca wskazującego.

- I wtedy wszyscy widzą, że świeci on swoim własnym światłem.
- Ładna ta twoja historia - mówi rozmarzonym głosem Mata Hari.
- Ale to nie koniec. Ponieważ mały robaczek świętojański spostrzega, że jest sam w ciemnościach, wpada w panikę, rzucając ojcu rozdzierające wołanie: „Ojcze, ojczy, czemuś mnie opuścił?”
- To koniec?
- Nie, ponieważ ojciec mu odpowiada: „To nie ja cię opuściłem, to ty chciałeś mi pokazać, jak potrafisz świecić”.

-1 jaki z tego morał?

- Tylko w ciemnościach można zobaczyć światło - szepce Mata Hari.
- Tylko w konfrontacji z nieprawością, nikczemnością, głupotą i barbarzyństwem możemy ujrzeć, jacy jesteśmy. Kto zauważy mądrego w świecie, gdzie wszystko jest w porządku?

Przypomina mi się epizod z czasów, kiedy byłem człowiekiem. Wtedy, jako tanatonauci, ogłosiliśmy tajemnicę sądu nad duszami oraz to, że

136

ich reinkarnacja zależy od dobrych i złych uczynków, których się ludzie dopuścili. Informacja wywołała panikę w całym świecie i wszyscy stali się „uprzejmi”, aby tylko mieć szansę na dobrą reinkarnację. Żebracy otrzymywali tyle datków, że musieli zaopatrzyć się w czytniki kart kredytowych. Ludzie nie wiedzieli już, co mają wymyślić, aby czynić dobro. Jednak robili to z egoistycznych pobudek, interesownie, ze strachu, że po reinkarnacji staną się ropuchami. Moja przyjaciółka Stefania uznała, że trzeba odrodzić hard rock i wandalizm, by pośród tego cukierkowego świata znowu można było cenić dobre zachowanie.

Jean de La Fontaine kładzie świetlika do jego braci.

- Wyobraźcie sobie doskonały świat... Wyobraźcie sobie świat stabilny, wyobraźcie sobie świat szczęśliwy, w którym nie ma wypadków, masakr, nikczemników... Czy taki świat wydaje się wam interesujący?

Nie mamy odwagi odpowiedzieć na to pytanie. Jednak ja, który stworzyłem kiedyś Wyspę Spokoju, nadal uważam, że można rozwijać się bez stresu. Wystarczy tylko chcieć iść dalej, aby znaleźć inną motywację niż strach.

- A więc twoim zdaniem Pan Bóg, Wielki Pan Bóg, zsyła na nas próby, abyśmy w ten sposób zobaczyli samych siebie? - pyta Camille Claudel.

Jean de la Fontaine potakuje.

- Jeśli nawet nie jest tak do końca, to sama myśl stanowi początek uspokajającego wyjaśnienia - podsumowuje.

Zrywa się silniejszy wiatr i drżymy z zimna.

- Gdybym spotkała Pana Boga - mówi Camille Claudel - zapytałabym go, dlaczego ludzie mają taki właśnie, a nie inny kształt. Dlaczego mamy na przykład pięć palców. Dlaczego nie cztery, trzy czy sześć?

Wyciąga dłoń i porusza po kolei każdym palcem, jakby to była złożona maszyna.

- Żaby mają cztery - wtrąca Raoul.

- Dobre pytanie - mówi Gustave Eiffel. - Wydaje mi się, że potrzebny jest jeden centralnie położony palec, który służyłby jako oparcie. I wspierające go dwa palce boczne. Myślę, że ta mechaniczna architektura musiała powstać z myślą o czasach pierwotnych, kiedy używaliśmy rąk do chodzenia, opierając się na dłoniach.

I Gustave Eiffel naśladuje goryla.

- A jeżeli to był przypadek? - mówi Mata Hari. - Jeśli mamy pięć palców bez specjalnego powodu?

- O ile wiem, nie ma żadnego zwierzęcia, które miałyby sześć lub siedem palców - przypominam.

- Kształt dłoni pozwala na użycie jej jako szczypiec, ale także jako pojemnika. To praktyczne - mówi Georges Méliès, wyciągając z rękawa kartę, która to pojawia się, to znowu znika.

- Czy nasz kształt fizyczny jest naprawdę najbardziej dostosowany do rozwoju inteligencji? Dlaczego głowa znajduje się u góry?

Każdy rzuca swoje zdanie.

- Żeby docierało do niej słońce.

- Żeby docierały do niej promienie kosmiczne.

- Żeby dalej widzieć.

137

- Żeby mózg znajdował się jak najdalej od ziemi, na której czyhają niebezpieczeństwa, na przykład węże i kamienie.

To nie przekonuje Camille Claudel.

- A dlaczego mózg nie jest położony centralnie, tak aby promieniował na cały system nerwowy w naszym ciele? To, że mózg znajduje się na szczycie, tworzy konieczność tworzenia bardzo długich nerwów, które są delikatne.

- A ja, gdybym u góry spotkał Wielkiego Pana Boga - mówi Raoul - zapytałbym go, jaki jest cel ewolucji wszechświata.

- Złożoność - mówi rozmarzonym głosem Mata Hari.

- A dlaczego nie piękno, jak to sugerował van Gogh?

- Albo świadomość.

- Albo zabawa. Może stworzył świat na wzór tamagotchi: żywe przedstawienie, które rozwija się bez jego udziału i na które spogląda od czasu do czasu, aby się zabawić.

Ta idea wszystkich rozśmiesza.

- I co, Michael, wymyśliłeś już, o co zapytasz Wielkiego Pana Boga, kiedy go spotkasz?
- pyta Mata Hari.

Zastanawiam się nad odpowiedzią.

- Zapytam go: „Jak się masz?”

Wszyscy się śmieją, a ja mówię dalej:

- W końcu jesteśmy dla niego jak dzieci. Prosimy o to, aby dał nam zabawki, boimy się, że wymierzy nam klapsy, chcemy mu się przypodobać, naśladować go. Ale nawet swojego tatę można zapytać: „A ty, tatusiu, jak się masz?”

Już się nie śmieją.

- Jeżeli Pan Bóg jest żywą istotą, to ma swoje własne życie. A więc być może również swoje własne pytania, wątpliwości, swoje obawy, ambicje, swoje własne zawody. Tak jak kiedyś nasi ojcowie w czasach, gdy byliśmy śmiertelnikami. Podziwialiśmy ich, baliśmy się, ale nie chcieliśmy znaleźć się na ich miejscu. Tak więc zamiast pytać Pana Boga, w czym może nam pomóc, zapytałbym go, w czym ja mogę pomóc jemu.

Raoul śmieje się nerwowo.

Pozostali patrzą na mnie bez przekonania. Dodaję:

- Gdybym ja był Panem Bogiem, nie chciałbym, aby mnie wielbiono, podziwiano lub robiono ze mnie idola. Chciałbym, żeby uważano mnie za osobę... sympatyczną. Za sympatycznego tatę.

Tym razem wszyscy pękają ze śmiechu.

- Wolałbym, aby moi poddani zastanawiali się, jak mi pomóc, a nie, jak mnie kochać.

- Chciałbyś, aby twój lud delfinów ci pomagał? - mówi Jean de La Fontaine.
- Tak... I denerwuje mnie już ta nieuzasadniona miłość, którą żywią do mnie chwilami niektórzy z moich poddanych, nawet mnie nie znając. Czczą mnie, sami nie wiedząc, dlaczego.
- A zatem chciałbyś - mówi Raoul - żeby, kiedy się do ciebie modlą, modlili się do Michaela Pinsona i żeby widzieli ciebie takim, jaki naprawdę jesteś?

138

- Dokładnie tak. Chciałbym, żeby interesowała ich moja przeszłość, moje problemy tu, w Olimpii, i żeby oni też chcieli, abym zwyciężył w grze Y.

Georges Méliès kiwa głową, uśmiechając się.

- Ja też czuję się nieswojo - mówi La Fontaine - kiedy tworzą idoli na moje podobieństwo i gdy przedstawiają mnie z głową mewy.

Każdy z nas ma w pamięci żarliwe modlitwy, psalmodie, suplika-cje, ofiary z ludzi i zwierząt. Pamiętamy naszych kapłanów i proroków z niezachwianą pewnością siebie interpretujących nasze myśli. Pamiętamy też tak zwanych heretyków, których zabijano dla nas.

Mata Hari gładzi swoje długie zadbane włosy.

- Wiecie, co moi ludzie robią z heretykami? Zostawiają ich w lesie, wilkom na pożarcie.
- A moi zrzucają ich ze skały - mówi Raoul, bóg ludzi-orłów.
- Ja - odzywa się Camille Claudel - to znaczy moi ludzie-jeżowce, wszystkich, którzy wątpią w moje istnienie, wrzucają do wody z kamieniem u szyi. Uważają, że jeżeli bóg zechce ich uratować, pomoże im się wydostać na powierzchnię.
- Moi ludzie-termity - mówi Gustave Eiffel - grzebią heretyków żywcem.
- A u mnie dzieje się bardziej klasycznie: rozpalają stos - uzupełnia Georges Méliès.
- U mnie obcinają głowy - oznajmia Jean de La Fontaine.
- To znaczy, że czego byś chciał? Żeby nie podziwiali cię, lecz stali się twoimi... przyjaciółmi? - pyta Mata Hari.
- Tak, przyjaciółmi. Właśnie tak. Jestem za „przyjaźnią” z Panem Bogiem.
- Widziałeś wielkie oko - mówi Mata Hari. - Można być przyjacielem czegoś takiego?

Myślę o Encyklopedii i o Edmondzie Wellsie. O ile dobrze pamiętam, mój przyjaciel mawiał: „Dla mnie Pan Bóg to wyższy wymiar, tak jak cząsteczka jest wyższym wymiarem dla atomu”. Czy atom może przyjaźnić się z cząsteczką, której część stanowi?

- Tak, przyjaźń z Panem Bogiem - nie ustępuję. - Tak samo jak dziecko może być przyjacielem swojego ojca.

Moja sugestia wydaje się tak dziwaczna, że niektórzy wzruszają ramionami. „Przyjaźń z Panem Bogiem”. Nie zostaliśmy ukierunkowani w tę stronę. Tyle gwałtownych uczuć towarzyszy religii, że przyjaźń wydaje się w tym kontekście dziwaczna. A jednak nagle odnoszę wrażenie, że dla mnie wyraz „przyjaźń” ma w sobie głębszą treść niż „miłość”. W słowie „przyjaźń” nie ma idei posiadania drugiej osoby. Jest tylko wspólne funkcjonowanie i wzajemny szacunek. Ramię w ramię. Może właśnie dlatego nigdy nie łączyliśmy ze sobą tych dwóch wyrazów: „bóg” i „przyjaźń”. Lecz dla mnie idealny bóg powinien być jednocześnie bogiem przyjacielem. Zresztą, ja sam nigdy nie uważałem moich ludzi-delfinów za marionetki czy za moich poddanych. Wręcz przeciwnie, im bardziej cierpieli, tym bardziej byli mi bliscy, tym bardziej uważałem ich za towarzyszy swojej niedoli. Moich śmiertelnych przyjaciół.

139

W oddali pojawia się nowe słońce. Na wieży Kronosa zegar wybija pierwszą w nocy.

Ruszamy dalej.

Kręta ścieżka prowadzi w górę.

Podchodzi do mnie Raoul.

- Kurczę, Michael, zawsze mnie rozśmieszysz. Czasami zastanawiam się, czy nie jesteś, na swój sposób... geniuszem? Wiesz, od czasu, kiedy się poznaliśmy, bardzo się zmieniłeś.

- Ty też bardzo się zmieniłeś, Raoul.

Ścieżka staje się stroma i bardziej kręta. Wchodzimy na tak bardzo pochyły teren, że musimy pomagać sobie rękoma, aby nie upaść. Wspinamy się jak alpinści. Nie rozmawiamy już. Jesteśmy coraz bardziej zdyszani.

Wspinaczka prowadzi nas do wulkanicznej równiny, pociętej niewielkimi dymiącymi pomarańczowymi kraterami.

Dotarliśmy do pomarańczowego świata.

II. DZIEŁO W KOLORZE POMARAŃCZOWYM

44. NA POMARAŃCZOWEJ ZIEMI

Pomarańczowy.

Wszystko ma pomarańczowy kolor. Ziemia jest miejscami popękana, pozwalając płynąć czerwonej lawie. Zapach siarki drażni nozdrza i zmusza nas do zasłaniania nosa togami. Całe szczęście, że Marilyn i Freddy zaopatrzyli nas w dobre podeszwy, ponieważ domyślamy się, że ziemia pod naszymi stopami aż wrze.

Idziemy naprzód we mgle z oparów i fumaroli. Na czele, jak zwykle, Mata Hari, najbardziej nieustraszona ze wszystkich teonautów.

- Widzisz coś?
- Na razie nic - odpowiada.

Przesuwamy się wzdłuż przepaści, coraz bardziej oświetleni promieniami drugiego słońca, bez którego zbłądzilibyśmy i spadli w przepaść.

- Zaczekajcie! - rzuca nagle była tancerka. - Przed nami są jacyś ludzie.

Stajemy, ustawiając ankh w pozycji gotowej do strzału. Jean de La Fontaine trzyma swój oparty na łokciu, jak japoński miecz. Camille Claudel chowa ankh w poły togi, tak jakby chciała użyć go z zaskoczenia.

- Co dokładnie widzisz? - pyta Raoul.
- Nie wiem. Rozpoznaję tylko kształty, ludzkie sylwetki, ale nic się nie rusza.
- Ej, wy tam, z przodu! Kim jesteście?

Brak odpowiedzi.

Podchodzimy powoli bliżej i przez gęste opary i fumarole teraz ja dostrzegam niewyraźnie dziesiątki, może nawet setki nieruchomych postaci, które zdają się nas obserwować.

Jakiś hałas.

Zatrzymujemy się, w każdej chwili gotowi użyć broni. Dlaczego ci ludzie się nie ruszają? Przecież nie będziemy tak czekać godzinami. Zdenerwowany, celuję w jedną z postaci i strzelam. Kształt rozsypuje

141

się natychmiast. Słysząc przy tym dźwięk kruszącej się skały. Po chwili wahania podchodzę i natrafiam na okrągły kamień. Głowa! Wzdrygam się z przerażenia. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie podnieść. Zauważam wtedy, że to nie jest byle jaka głowa. Rozpoznaję w niej dumną twarz, którą znam z tyłu rycin. Galileusz.

- To nie są żywe istoty, to statuy! - rzucam w kierunku pozostałych.

Idziemy przez pole, znajdując w tłumie nieznanym rzeźby znanych postaci. Wszystkie ubrane są w togi. W ich ustawieniu nie ma żadnego porządku, osoby sławne pomieszane są z anonimowymi.

- Nadzwyczajne! - wykrzykuje Camille Claudel. - Żadnych błędów w proporcjach. Ci, którzy je stworzyli, w najdrobniejszym szczególe oddali każdy, najmniejszy nawet mięsień.

- Można nawet dostrzec żyłki na nadgarstku i włoski na uszach - dodaje Gustave Eiffel, który także wznosił statuy, a zwłaszcza zajmował się wewnętrzną strukturą Statuy Wolności.
- Ta ma nawet prążkowane paznokcie - zachwyca się, a po chwili niepokoi Méliès.
- A ten z kolei ma otwarte usta i można zobaczyć jego głośnie i wszystkie zęby - zauważa Raoul.

Mnie interesuje kobieta, która wygląda na przerażoną. Jej dłoń jest ułożona tak, jakby chciała obronić się przed jakimś niebezpieczeństwem. Ona też musiała krzyczeć, bo widać jej zęby i język. Nie zapomniano nawet o liniach papilarnych. Usiłuję wyobrazić sobie, jakież zręczne dłuto wyłobilo tak delikatne wzory.

- Można by powiedzieć, że zostali wyrzeźbieni w pozycji przywodzącej na myśl strach lub ucieczkę - niepokoi się Jean de La Fontaine.

Coraz bardziej zaniepokojeni przyglądamy się tym doskonałym figurom. Nagle Georges Méliès staje jak wryty.

- To nie są rzeźby - rzuca.

Przez nasze ciała przebiegają dreszcze. Zrozumieliśmy to w tej samej chwili, co on.

- To są uczniowie z poprzednich roczników, którzy zostali... zamienieni w kamień.

Zapada przerażająca cisza. Zimny pot cieknie mi po plecach. Patrzę na skamieniałe twarze i mam wrażenie, że jedno z oczu porusza się, aby na mnie spojrzeć!

Cofam się. To nie jest złudzenie. Pozostali teonaucci odnieśli takie samo wrażenie.

- Oni... oni nie są martwi - wydusza z siebie Georges Méliès.
- Ci ludzie zostali zamienieni w skałę, ale w środku są świadomi - dodaje Raoul.

Dobry Boże! Zamienić się w chimerę, choćby i niemowę, to jeszcze perspektywa do zniesienia, ale dać się spetryfikować, pozostając na zawsze myślącą istotą uwięzioną w kamieniu...

Jesteśmy przerażeni.

Pamiętam, że jako Michael Pinson na Ziemi 1 cierpiałem na zeszywniające zapalenie stawów, chorobę, wskutek której moje kości

142

jakby łączyły się ze sobą. Pierwszy atak nastąpił, kiedy miałem 8 lat. Potem objawy wracały w regularnych odstępach czasu, atakując palec stopy lub dłoni, a przede wszystkim uszywniając mi kręgosłup. Z upływem czasu coraz trudniej było mi się schylać. Jednak śmierć nadeszła, nim choroba objęła całe ciało. Ale przez całe życie prześladowała mnie ta obsesyjna myśl: w końcu będę unieruchomiony. Reumatolog powiedział mi, że ta choroba

jest za mało rozpowszechniona, aby opłacało się prowadzić nad nią badania. W konsekwencji nie miałem co liczyć na skuteczne lekarstwo. Pewnego dnia - ostrzegł mnie - postawią mi to dziwne pytanie: „na siedząco, stojąco czy leżąc?”, co będzie znaczyło, że moja choroba zawiodła mnie do punktu, kiedy będę musiał wybrać pozycję, w której pozostanę już na zawsze. Bowiem w takiej pozycji złączą się moje kręgi. I tak całą resztę życia stałbym, siedział lub leżał. Odwiedziłem ośrodek specjalizujący się w tego typu schorzeniach. Ci, którzy wybierali pozostanie w pozycji stojącej, spali w zawieszonych pod sufitem hamakach, z których zwisały ich nogi. Jak nietoperze. W mojej chorobie znalazłem tylko jedną korzyść: pozwoliła mi uniknąć służby wojskowej. I oto znowu jestem zagrożony petryfikacją.

Przyglądam się nieszczęśnikom na dymiącym polu.

Jak, dlaczego, w jakiej postaci spadł na nich taki los?

45. MITOLOGIA: MEDUZA

Meduza była młodą dziewczyną niezwyklej urody. Jej wspaniałe włosy stały się legendą. Dlatego właśnie Posejdon marzył, aby ją posiąść. Zamienił się więc w ptaka, porwał ją i zgwałcił w świątyni Ateny. Zdruzgotana taką profanacją bogini, zamiast mieć pretensje do potężnego boga, zwróciła swój gniew przeciwko rywalce. Zamieniła Meduzę w Gorgonę. Jej piękne włosy obróciły się w węże. W ustach miała zęby dzika, a u palców dłoni paznokcie z brązu. Atena rzuciła poza tym na Meduzę przekleństwo: odtąd wszyscy, którzy spojrzeli jej prosto w oczy, zamieniali się w kamień. Ze wszystkich trzech Gorgon tylko Meduza była śmiertelna. Dlatego Atena posłała Perseusza, żeby ją zabił. Perseusz, wiedząc o niezwyklej mocy Meduzy, wpatrywał się w odbicie Gorgony na swojej tarczy. Tym samym uniknął kontaktu z jej wzrokiem. Zbliżył się do niej, a następnie odciął jej głowę. Z pozbawionego głowy ciała wyskoczył olbrzym Chryzaor, nazywany także „ognistym ostrzem”, oraz skrzydlaty koń Pegaz, który jednym uderzeniem kopyta wywoływał deszcz. Ojcem obydwu magicznych istot miał być Posejdon. Perseusz ofiarował głowę Meduzy bogini Atenie, która przymocowała ją w charakterze dekoracji do swojej tarczy.

Z kolei Atena zebrała krew Meduzy i dała ją do wypicia bogowi sztuki lekarskiej, Asklepiosowi. Pochodząca z prawej żyły krew Gorgony

143

miała zdolność przywracania do życia. Krew pochodząca z lewej żyły była porażającą trucizną.

Według greckiego historyka Pauzanasza, Meduza była królową, która żyła naprawdę w okolicach jeziora Trytonide, leżącego obecnie w Libii. Została zamordowana przez młodego księcia peloponeskiego podczas wielkiej ekspansji morskiej Greków.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V (według Francisa Razorbacka)

46. ZAMKNAĆ OCZY

Łopot skrzydeł, syk węży, szelest tkaniny... W wulkanicznym dymie trudno nam stwierdzić, skąd nadchodzi zagrożenie, którego obecność wszyscy przeczuwamy.

- Zamknijcie oczy, to Meduza! - krzyczę, zaciskając mocno powieki.

- Chwyćmy się za ręce i nie ruszajmy się - dodaje Raoul.

Szukamy się nawzajem. Nasze dłonie trafiają wreszcie na siebie

i czepiają jedne drugich. Ciągłe z zamkniętymi oczami, stajemy w kole. Po lewej stronie mam Matę Hari, po prawej Raoula. Hałas skrzydeł wzmaga się. Czuję, jak dłoń Maty Hari kuli się w mojej.

Nagle słyszymy, że ktoś się zbliża. Leci, siada na ziemi, następnie zbliża się, skrobiąc ziemię.

Oczekiwanie.

Jest tutaj, całkiem blisko nas, jestem tego pewien. Strasznie cuchnie. Jeśli to ta sama Meduza, którą Edmond Wells opisał w swojej Encyklopedii, to znaczy, że Atena spotęgowała jeszcze swoją zemstę.

- Wy! - mówi Gorgona posępnym, grobowym głosem, jakby miała w gardle kamyki. - Wy! - powtarza z niesmakiem. - Ciągłe się ruszacie. Wszędzie was pełno. Gestykulujecie. Hałasujecie ustami, które bez przerwy zamykają się i otwierają. Ciągłe poruszacie rękoma, palcami, nogami.

Chwilami jej głos przechodzi w świst, przechwytywany jak echo przez tworzące jej włosy węże. Pewnego dnia Edmond Wells powiedział mi: „Ostatecznie wszystkie złe postacie z greckiej mitologii: Minotaur, Meduza, cyklop są tak naprawdę tylko symbolicznym przedstawieniem tych dzielnych ludzi, których jedynym błędem było to, że pozwolili opanować się Grekom i umarli tylko dlatego, aby zaprzeczyć w ten sposób oszczerstwom wymyślanym przez oficjalnych historyków". Według mitu Perseusz odciął głowę Meduzy, a zatem albo jej odrosła, albo też mit nie jest prawdziwy.

- Może by spróbować wycofać się i wrócić? - sugeruje Gustave Eiffel.

- Ale jak? Przecież z zamkniętymi oczyma ryzykujemy wpadnięcie do gorącej lawy - odpowiada Raoul.

144

- Na razie nie ruszajmy się i nie otwierajmy oczu - mówię.

Meduza obeszła wokół naszą grupę i skierowała się w moją stronę.

Czuję, że jej twarz jest całkiem blisko mojej.

- Ach, czyżbym trafiła na rozumnych ludzi?! - mówi z przekąsem. - Ludzi, którzy pomyślą, nim zrobią lub też takich, którzy z dwóch kar wybiorą tę, która wyda im się mniej bolesna? Macie do wyboru dwie możliwości: zginąć w gorącej lawie lub zostać

zamienionymi w kamień. Chociaż... jak się dobrze zastanowić, to upadek w lawę i tak się skończy petryfikacją.

Wybuchą dziwnym śmiechem, będącym połączeniem krakania wrony i chrząkania dzika. Dłonie moich dwojga przyjaciół zgniatają moje. Trzęsiemy się ze strachu.

- Początkowo byłam zaskoczona, widząc, że ludzie, którzy na mnie spojrzeli, zostają zamienieni w kamień. A potem... przyzwyczyłam się do tego. Prawdę mówiąc, miałam ku temu trochę predyspozycji. Zawsze lubiłam rzeźbę.

Musi teraz być blisko Camille Claudel, bo słyszę, jak moja towarzyszka oddycha coraz głośniejsze. Domyślam się, że Meduza głaszcze jej włosy.

- Zaczęłam od rzeźby krzewu. Jako model posłużył mi prawdziwy krzew. Ale wiatr poruszał nieustannie jego liśćmi. To było bardzo denerwujące. Bardzo.

Zostawia Camille Claudel i podchodzi do Jeana de La Fontaine'a, autora Dębu i trzciny.

- A zatem ścięłam go i umieściłam w zamkniętym pokoju, z dala od przeciągów. I już się nie ruszał.

Teraz staje przy Georges'u Meliesie.

- Potem chciałam rzeźbić ryby. Założyłam akwarium. Ale jego mieszkańcy poruszali się bez przerwy, do przodu, do tyłu, w górę i w dół. A więc zamroziłam wodę i wreszcie przestali się ruszać.

Dotyka Matę Hari.

- Chciałam wyrzeźbić psa. On też bez przerwy się ruszał. Lizał moją rękę. Jadł. Poruszał się nawet wtedy, kiedy spał. A więc go wypchałam.

Wraca do Camille Claudel.

- Atena rozwiązała te wszystkie moje problemy. Petryfikuję bez zamrażania, czy też preparowania. Odtąd mogę bez kłopotu wyrzeźbić najbardziej pasjonujący model. Człowieka.

Ledwie mamy odwagę oddychać. Meduza kontynuuje swój wywód:

-Wielokrotnie interweniowałam na waszej Ziemi 1. Po pojedynczym człowieku rzeźbiłam tłum. Nikt wcześniej nie odważył się tego zrobić. Byłam w Sodomie i Gomorze i zmieniłam w słup soli żonę Lota. Została przecież ostrzeżona: jeśli, opuszczając miasto, obejrzy się za siebie, stanie jej się coś złego. Obejrzała się i zobaczyła mnie...

Teraz czujemy, że unosi się nad naszymi głowami.

- Pompeje to było prawdziwie mistrzowskie posunięcie! Całe miasto, domy, mieszkańcy, zwierzęta, wszystko spetryfikowane na wieczność! Teraz marzę o tym, aby unieruchomić jakiś kraj, cywilizację, całą

planetę. Cóż za szlachetny cel dla ambitnej rzeźbiarki, prawda, panno Claudel? Nie ominę żadnego szczegółu. Będą kamienne samochody, kamienne drzewa, kamienne psy, kamienne gołębie, kamienne rzeki, kamienne rowery, kamienni mężczyźni i kamienne kobiety... Wszystko twarde, solidne i wreszcie spokojne...

Meduza staje z powrotem na ziemi i obchodzi wokół nasze kółko. Kiedy przechodzi obok mnie, czuję na szyi jej pokrytą łuskami dłoń. Chwyta moją głowę i ciągnie za powieki, chcąc mnie zmusić do ich podniesienia.

- No już! Spójrz na mnie, spójrz na mnie! - rozkazuje.

Zakrzywione palce wpijają się w moje włosy. Czuję, że po mojej głowie pełzają węże.

Myśleć o czymś innym. Zadawać sobie inne pytania:

Kto zabił Juliusza Verne'a?

Kim jest Pan Bóg?

Kto jest bogobójcą?

Jakie jest rozwiązanie zagadki „Lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł”?

Pytam Georges'a Meliesa, czy czasem nie ma lustra, bo zdaje się, że właśnie w ten sposób Perseusz pokonał Gorgonę.

- Przykro mi, nie mam - mruczy.

- Trzymaj się, Michael, trzymaj się! - skanduje Raoul.

Paznokcie z brązu drapią delikatną błonkę chroniącą moje oczy.

- Spójrz na mnie! Teraz!

Uderza w moje powieki szponiastymi palcami i widzę ją.

Koszmar.

Poorana zmarszczkami twarz starej kobiety. Jej wężowe włosy tworzą długą czuprynę. Ubrana jest w pomarańczową togę. Jej kły, jak szable dzika, wychodzą z ust i są zakrzywione w stronę policzków.

I pomyśleć, że ta przerażająca istota była kiedyś uroczą dziewczyną, której jedynym błędem było to, że wzbudziła pożądanie Posejdon. Zachwycona moją porażką, wytrzeszcza oczy, a jej usta wykrzywia uśmiech zadowolenia.

To koniec. Wszystko dla mnie skończone. Czeka mnie los statuy.

Czuję mrowienie w stopach. Najpierw drętwieją mi kostki, dalej łydki, nogi. Zamieniam się w kamień. Trzymam oczy zamknięte, żeby nie przyspieszać tego procesu.

Byłem Michaellem Pinsonem, byłem aniołem, byłem bogiem-ucz-niem, a na koniec będę statuą, zupełnie świadomą, z nietkniętym mózgiem, ale niezdolną do ruchu lub mówienia. Będę mógł jedynie poruszać oczyma, aby obserwować przybycie na pomarańczową ziemię kolejnych turystów. Jak ja zazdroszczę Marilyn Monroe i Freddy'emu Meyerowi! Los muzy wydaje mi się znacznie lepszy od mojego. Być muzą obojętnie czego, lecz móc ruszać się, chodzić, biegać.

Nie czuję już dolnej części ciała. W tej ostatniej chwili życia nie odczuwam wyrzutów sumienia, tylko żal. Mogłem objąć Afrodytę, kiedy płakała na moim ramieniu. Mogłem stworzyć niezwyciężoną armię delfinów, wykorzystując do tego wszystkie nasze zdobycze myśli technicznej i postawić na jej czele doskonałych generałów-strategów, bezlitos-

146

nych dla wroga. Wtedy moi ludzie posiadaliby potężną ojczyznę. Bano by się ich, szanowano, a nie tylko tolerowano. Najpierw być silnym, dopiero potem dobrym. Co się stanie z moimi ludźmi-delfinami beze mnie?

To już koniec.

Teraz Meduza rzuca się na Camille Claudel. Rzeźbiarka krzyczy, że nie, nie chce stać się statuą.

Martwota dociera do mojego brzucha. Za późno, żeby walczyć. Ośmielam się otworzyć oczy i widzę, że moje stopy są z kamienia, moje kolana są z kamienia, moje uda są z kamienia. Czuję, jak drętwieją mi płuca.

- To samo stanie się z nami wszystkimi po kolei - mówi Jean de La Fontaine.
- Musi być jakiś sposób - odpowiada Georges Melies bez specjalnego przekonania.

Mój los jest gorszy od tego, co czeka bogobójcę. Zabójcy ponoszą mniejsze kary niż odkrywcy. Wolałbym już dźwigać świat jak Atlas lub tak jak Syzyf pchać pod górę kamień...

Moje ręce są sparaliżowane. Z trudnością poruszam jeszcze szyję.

- Dalej, poddajcie się! Po co stawiacie opór? I tak w końcu będziecie spokojni, wreszcie zaznacie spokoju, otwórzcie oczy, otwórzcie oczy, otwórzcie oczy - szepce uwodzicielskim głosem.

Krzyk i śmiech Meduzy każą przypuszczać, że ktoś ustąpił. Zobaczył

ją-

Moi towarzysze trzymają się nadal za ręce, coraz bardziej zniecierpliwieni.

Uczucie zimna dociera do mojej szyi. Mięśnie twarzy twardnieją. Powieki są ciężkie jak skała. Opadają i już nie mogę ich podnieść. Ale moje uszy nadal są sprawne, bo ciągle słyszę krzyki Camille Claudel.

A potem dźwięk także zanika. A więc nawet nie będę mógł ruszać oczyma ani słyszeć, jak niektóre rzeźby.

Wszystko się zatrzymuje. Czekam, ale nic więcej się nie dzieje, a czas zaczyna płynąć, chociaż ja już nie wiem, co się dzieje wokół mnie. Już na zawsze pozostanę nieruchomy, z zamkniętymi oczyma. Żywy, świadomy, bez możliwości postrzegania zewnętrznego świata. Prawdopodobnie nawet nie będę mógł zasnąć. Jak długo pozostanę w takim stanie? Godzinę, dzień, rok, wiek, wieczność?

Oszaleję. Pozostają mi tylko wspomnienia i moja wyobraźnia. Ja, który zawsze potrzebowałem spokoju, aby móc pomyśleć, teraz będę robił tylko to. Myślał w spokoju. Nieruchomy. Głuchy. Niemy. Świadomy.

Koniec mojej aktywności ruchowej. Przegrałem. Wszystko stracone.

47. ENCYKLOPEDIA: TWARDE I MIĘKKIE

U Inuitów oraz większości ludów zajmujących się łowiectwem i zbieractwem zabronione jest łamanie kości w mięsie, które się zjada.

147

Ten rytuał nawiązuje do myśli, że jeżeli kość zostanie pochowana w ziemi, to ta ziemia karmicielka sprawi, że na kości wyrośnie ciało i ponownie powstanie całe zwierzę.

Takie wierzenia wywodzą się prawdopodobnie z obserwacji drzew. Zimą drzewa tracą swoje zbudowane z liści „ciało”. Podczas pory zimnej pozostają części twarde, „kości” drzewa, dlatego widoczne są nagie gałęzie.

Taką samą logikę znaleźć można w wielu rytuałach szamańskich, w których wierzy się, że jeżeli zmarły zostanie pogrzebany z nienaruszonymi kośćmi, jego ciało odrośnie i będzie mógł ponownie się narodzić.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

48. TYLKO POCAŁUNEK

Nadal nie mogę się poruszyć. Po raz pierwszy przez głowę przebiega mi film z mojego życia. Ale jestem tak przerażony, że nijak nie potrafię jasno myśleć.

Nie mam kontaktu ze światem zewnętrznym. Jaka szkoda, że nie zostawiłem otwartych oczu.

Może minął już tydzień? Straciłem poczucie czasu. Pozostali musieli już odejść. Albo też zamienili się w statuy.

Uspokoić się. Zastosować opisaną w Encyklopedii technikę Samadhi. Przegnać po kolei wszystkie myśli.

Próbuję, ale bezskutecznie. Gdybym chociaż mógł wiedzieć, co dzieje się na zewnątrz. Gdybym chociaż mógł się dowiedzieć, czy pozostali też są tutaj, czy teraz jest noc, czy dzień.

Muszę zacząć medytować. Przepędzić myśli jak gnane wiatrem chmury. Nie zastanawiać się nad sytuacją, w jakiej się znalazłem. OSZALEJĘ.

Mój (Wielki) Panie Boże, jeśli mnie słyszysz, proszę cię.

Wyciągnij mnie stąd. WYCIĄGNIJ MNIE STĄD!!!

W tym momencie dzieje się coś dziwnego. Czuję jakiś kontakt na wysokości ust. Pocałunek. Na moich ustach czuję długi pocałunek o smaku truskawki. I ten pocałunek rozchodzi się po moim ciele i rozgrzewa mnie od wewnątrz. Czyżby Afrodyta przybyła w ostatniej chwili, aby uratować mi życie?

Jej pocałunek ma niezwykłą moc. Jestem stopniowo uwalniany. Moje usta odzyskują czucie, tak jak po znieczuleniu u dentysty. Na wargach czuję wilgotne ciepło. Moja szyja porusza się. Powieki stają się lżejsze i widzę już, kto przyszedł mi z pomocą.

To nie jest bogini miłości.

Mata Hari.

148

Przytuliła się do mnie z zamkniętymi oczyma. Obejmuje mnie i całuje, przekazując mi te dobroczynne fale, które ogarniają moje ciało i wrywają mnie z kamiennej powłoki. Jestem jak Śpiąca Królowna, którą zbudził pocałunek. Znowu zaczynam poruszać palcami, kręcić tułowiem. Odnajduję moje ciało. Odnajduję moją krew. Powietrze na nowo napęłnia moje płuca i kaszlę od pyłu.

Chłodna kobieca dłoń ciągnie mnie za sobą. Są takie chwile, kiedy przede wszystkim nie należy się zastanawiać. Razem, z zamkniętymi oczyma, biegniemy pośród kraterów lawy. Słyszę inne kroki. A więc teo-nauci są tu nadal, razem z nami.

Meduza goni nas. Słyszymy jej ciężkie kroki. Potem wzbija się do lotu i słyszę za sobą łopot jej skrzydeł.

Wreszcie ośmielam się otworzyć oczy i widzę, co znajduje się przede mną. Chłodna dłoń, która mnie ciągnie, należy do zamienionego w muzę Freddy'ego Meyera. To on mnie ciągnie, a ja trzymam Matę Hari. Ona z kolei ciągnie pozostałych. Wszyscy trzymają się za ręce. Dokładnie odwrócona kolej rzeczy: kiedyś to Freddy był niewidomy, a my byliśmy mu za przewodników...

Kiedy docieramy do stromej górskiej ściany, prowadzącej do czerwonego terytorium, Meduza przestaje nas ścigać. Jej królestwo leży tam, na górze, a ona go nie opuszcza.

Zbiegamy szybko ze stoku. Docieramy do pola maków. Biegniemy i jeszcze nigdy nie cieszyłem się tak bardzo, że mam nogi, które mnie niosą, powieki, którymi mogę mrugać, dłonie, które mogę zamknąć i otworzyć.

Biegniemy długo, wreszcie zatrzymujemy się. Nie musimy już trzymać się jedni drugich. Szaleję na polu pełnym maków i upajam się uczuciem, że każdy z moich mięśni działa normalnie. Uniknąłem najgorszego, żyję i mogę się poruszać.

Spoglądamy na siebie nawzajem, zdziwieni, że żyjemy. A więc nie minęła ani godzina, ani tydzień, ani rok. Tylko kilka minut.

Wyszedłem z tego cało.

- No dobrze, dokonało się - oznajmia skromnie Mata Hari.

To zdanie, w tym właśnie momencie, nabiera szczególnego znaczenia.

- Dziękuję - zwracam się do niej.

Moje ciało pragnie ją objąć, ale mózg mi w tym przeszkadza. Spoglądam na pozostałych. Teonautów, muzy, cherubinkę, która fruwa nad nami.

Chyba już wiem, co się wydarzyło: Smarkaczka poleciała po Fred-dy'ego Meyera, a on wspiął się na górę, aby nas wyciągnąć z tej pułapki. Mata Hari spróbowała wybawicielskiego pocałunku.

Cherubinka wznosi się, aby sprawdzić, czy niebezpieczeństwo minęło. Potem wraca i siada na moim wyciągniętym palcu.

- Tobie też dziękuję, Smarkaczko.

Słyszając imię, którego nie lubi, wytyka swój motyli języczek i odlatuje.

-Ej, Smarkaczko, zaczekaj...

149

Ale jest już daleko. Spoglądam na przyjaciół.

- Brakuje Camille Claudel - wołam. - Musimy tam wrócić.

- To zbyt niebezpieczne - ucina Jean de La Fontaine.

- Nie możemy jej zostawić. Musimy iść jej na ratunek! - powtarzam.

-Już jest dla niej za późno. Należało pocałować ją, kiedy było to jeszcze możliwe - mówi Raoul.

- On ma rację - podejmuje temat Georges Méliès. - Mata Hari uratowała cię, ponieważ zadziałała szybko, a Camille Claudel do tej pory już całkiem zastygła.

- Rzeźbiarka zamieniona w rzeźbę, logiczne zakończenie - podsuwa myśl Raoul.

Podnosimy oczy do góry, w kierunku pomarańczowej strefy.

- To koniec, dalej iść nie możemy. W każdym razie ja już tam więcej nie wrócę.

Muza Marilyn Monroe i muza Freddy Meyer dają nam znaki, że już dłużej nie mogą z nami zostać. Układ z bogami-uczniemi ma swoje granice.

Wyczerpani ruszamy w drogę powrotną do Olimpii.

Pod strumieniem rozkoszuję się strugami zimnej wody. Chcę czuć każdy milimetr mojego ciała. Rozumiem teraz korzyść z bycia materia, odczuwania świata, poruszania się. Rozstawiam palce, uśmiecham się, śmieję, podnoszę ręce. Dziękuję Ci, Panie Boże. Całe moje ciało jest jak antena, która odbiera świat. Oddycham głęboko. Zamykam oczy i jestem taki szczęśliwy, że moja dusza mieści się w ruchomym ciele.

Współczuję drzewom. Współczuję kamieniom. Rozumiem już, że tysiące kłopotów zdrowotnych, które mnie spotkały, kiedy byłem jeszcze w skórze śmiertelnika, były dla mnie błogosławieństwem. Nawet moje zmiany reumatyczne, próchnica, wrzody, nawet nerwobóle twarzy były przynajmniej silnymi doznaniem. Moje dolegliwości świadczyły, że żyję.

Całym ciałem odczuwam świat zewnętrzny i mam wrażenie, że po raz pierwszy postrzegam całą planetę i kosmos. Warto było przejść próbę strachu związaną z pozostaniem na zawsze nieruchomym, aby teraz smakować szczęścia dygotania własnego ciała.

Im wyżej wznosi się dusza, tym większy jest nacisk...

Dusza się wznosi.

Dołącza do mnie Mata Hari. Woda sprawia, że jej toga stała się przezroczysta i przylega do ciała.

Myję się, szoruję, aby pozbyć się potu, kurzu i strachu. Czuję się winny, że nie uratowałem Edmonda Wellsa, że nie uratowałem Juliusza Verne'a, moich śmiertelnych klientów - Igora i Venus, kiedy byłem jeszcze aniołem. I jeszcze wcześniej Feliksa Kerboza i moich wszystkich przyjaciół tanatonautów, którzy zginęli w tej szalonej przygodzie...Czuję się winny wszystkich nieszczęść świata, od jego początku. Wszystkie wojny są po trosze moją winą, wszelkie niesprawiedliwości, aż do grzechu pierworodnego. Kain zabijający Abła. Albo Ewa zjadająca jabłko. Czy to już też była moja wina?

150

Nawet Afrodyta jest moją winą. I klęska mojego ludu delfinów.

Ponownie wkładam głowę pod wodę i wstrzymuję oddech na tak długo, aż pali mnie w płucach.

Myślę o mojej matce, która mówiła: „To wszystko twoja wina...”. Ona naprawdę miała rację. Jednak nie powiedziała mi nigdy: „I nigdy nie będziesz mógł temu zaradzić”. Za to powiedziała: „Ale masz w sobie tyle siły, żeby to zmienić”. W tamtych czasach chodziło o mój nie-posprzątany pokój. Przez nieuwagę rzuciłem sweter na akwarium ze złotą rybką i biedne zwierzę straciło życie.

„To wszystko twoja wina... Ale masz w sobie tyle siły, żeby to zmienić”.

Posprzątałem pokój, a następnie kupiłem nową złotą rybkę.

Czy można kupić nową ludzkość?

Zamykam oczy, potem znowu otwieram. Mata Hari przygląda mi się ze spokojem. Jest świadoma swojej półnagości.

Jest piękna, odważna, być może to najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem... poza Afrodytą.

I to jest być może właśnie mój problem. Nie potrafię mieć odpowiednich pragnień.

Czuję wstyd.

Czy to diabeł działa w ten sposób?

Jean de La Fontaine pogania mnie.

- Jest późno, wracajmy.

Nie ruszam się. Mata Hari stoi naprzeciw mnie, jakby na coś czekała.

- Mata, chciałbym ci powiedzieć...

-Co?

- Nie... nic. Jeszcze raz dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś.

Camille Claudel została w pomarańczowej strefie. A więc jest nas już tylko 77.

Wracamy, a ja gryzę się w język aż do krwi. „Może czasami lepiej być drzewem” - myślę.

49. ENCYKLOPEDIA: MIŁORZĄB

Jednym z najbardziej intrygujących drzew jest miłorząb chiński (Ginkgo biloba). Aktualnie uznawane za najstarsze znane drzewo. Uważa się, że istnieje od 150 milionów lat. Jest także najbardziej odporne. Po zrzućeniu bomby jądrowej na Hiroszimę było pierwszym drzewem, które odrosło na skażonym obszarze, zaledwie rok od wybuchu.

Wśród miłorzębów występują drzewa męskie i żeńskie. Co ciekawe, zauważono, że nawet jeśli okaz męski i żeński rosną od siebie w odległości kilkuset metrów, mają tendencję... do pochylania się w swoją stronę. Rozmnażanie wymaga przeniesienia pyłku z kwiatu znajdującego się na drzewie męskim na kwiat drzewa żeńskiego. Wskutek ich

151

połączenia powstaje owoc, który gnijąc (i wydzielając przy tym dość nieprzyjemny zapach), uwalnia ziarnka, z których wyrosną nowe krzewy.

W Chinach miłorzęb, nazywany Yinshing (srebrna morela), stosuje się w celach leczniczych. Jest doskonałym antyutleniaczem, wzmacnia system immunologiczny i opóźnia starzenie się komórek. Wspomaga także metabolizm glukozy w mózgu.

Mnisi tybetańscy piją wywar z liści miłorzębu, aby nie zasypiać podczas nocnych medytacji.

W krajach zachodnich coraz częściej sadi się miłorzęby nie tylko ze względu na ich odporność na wszelkie drobnoustroje i warunki klimatyczne, ale także na zanieczyszczenie środowiska. Odnaleziono drzewa miłorzębu sprzed 1200 lat.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

50. TRZY DUSZE (18 LAT)

Pod moją nieobecność ktoś był w mojej willi.

Drzwi są szeroko otwarte, widać ślady kroków. Próbuje iść za nimi i stwierdzam, że mój gość poszedł do biblioteczki. Jako że wszystkie książki mają niezapisane kartki, zatem sędzę, że szukał Encyklopedii Wiedzy Relatywnej i Absolutnej. A więc musiał to być ktoś, kto wie, że kontynuuję dzieło Edmonda Wellsa.

Uważnie oglądam odcisk podeszwy na ziemi w ogrodzie: bez wątpienia był to mężczyzna, który przedtem szedł przez las.

Po chwili czuję, że zmęczenie bierze górę.

Wracam do willi i kładę się spać.

Ale na próżno staram się zasnąć. W końcu wstaję i włączam telewizor. Najwyraźniej życie bogów cechuje bezsenność.

Pierwszy program: Kouassi Kouassi. Ma 18 lat. Na terytorium jego kraju dostają się potajemnie Ghańcy, którzy niszczą plantacje, aby w ten sposób zwiększyć ceny ananasów. Przygotowania do bitwy. Ludzie z jego pleniienia podążają za sprawcami szkód. Kouassi Kouassi walczy z Ghańcykiem. W oczach przeciwnika widzi wściekłość.

- Dlaczego to robicie? - pyta. - Chcecie mieć to, co my, tak?

- Nie, nie zależy nam, żeby mieć to samo, co wy. Pragniemy zabrać wam to, co macie, żebyście już tego nie mieli - odpowiada mu z pewnością siebie przeciwnik.

Kouassi Kouassi myśli z przygnębieniem: „Oni nie chcą być bogaci... chcą tylko, żebym ja był tak samo biedny jak oni”.

Puszczą Ghańczyka. A sam pada, jakby już nie miał sił. Przybiega jego ojciec, sądząc, że został ranny.

Zmiana programu. Eun Bi, która ma również 18 lat, jest coraz większą samotniczką, z nikim nie rozmawia, wiele godzin spędza przy grach

152

komputerowych lub przed telewizorem, a poza tym pisze swoją wielką powieść Delfiny. Jednak nieustannie trapią ją nieszczęścia. Odkąd jej matka rozwiodła się z ojcem, Eun Bi zdecydowała się zamieszkać sama w małym pokoiku na przedmieściach Tokio.

Postanawia podłączyć się do internetu, aby po raz n-ty wejść na czat, gdzie można spotkać ludzi z całego świata. Używa pseudonimu K.D.-Ko-rean Delphinus, czyli delfin koreański. Wreszcie może być osobą anonimową, wreszcie może odwoływać się do swojego koreańskiego pochodzenia i ubiegać o podziw dla delfinów.

Podczas rozmowy na licznych forach jej uwagę przyciąga jedno imię: K.F. -Korean Fox, czyli koreański lis. Ktoś postanowił tak jak ona określić się poprzez swoją koreańską narodowość i ulubione zwierzę.

Zaczyna rozmawiać z osobą o tym pseudonimie. Chłopak przedstawia się. Mieszka w Pushan, na wschodnim wybrzeżu. Pyta ją, gdzie mieszka, a Eun odpowiada, że jest z pochodzenia Koreanką, ale nigdy nie widziała swojego kraju. Prosi chłopaka, aby opowiedział jej o nim. Mówi więc o życiu w Korei. O świątyniach, górach, uprzejmości ludzi, urodzie kobiet. Opowiada historię pierwszych cywilizacji.

Eun Bi dochodzi do wniosku, że o ile niełatwo być Koreanką w Japonii, to przy ciągłym zagrożeniu użyciem broni atomowej przez przywódcę Korei Północnej, bycie Koreanką w Korei Południowej również łatwe nie jest.

Potem opowiada o swoim codziennym życiu. O poniżeniu, bo jest inna niż Japonki. Czuje się winna, że jest ofiarą. Nie zna twarzy Korean Foksa, ale go sobie wyobraża. Zwierza mu się ze swojej pasji do rysunku. Chciałaby kiedyś tworzyć kreskówki.

On także mówi jej o swojej pasji, którą jest informatyka. Całą swoją wczesną młodość spędził w kawiarenkach internetowych, grając we wszystkie możliwe gry strategiczne i wojenne. Teraz został inżynierem informatykiem i pracuje nad własnym projektem. Nazwał go na razie „Piąty świat”.

Jego slogan to:

Pierwszy świat: świat rzeczywisty, którego można dotknąć.

Drugi świat: świat snów, który pojawia się, kiedy człowiek zasypia.

Trzeci świat: świat powieści.

Czwarty świat: świat filmów.

Piąty świat: wirtualny świat komputerów.

Eun Bi pyta o szczegóły na temat projektu „Piątego świata” i K.F. jej wyjaśnia.

Pomysł przyszedł mu do głowy podczas gier on-line, tych gier, w których wszyscy znajdują się w wirtualnej przestrzeni i tam przeżywają różne przygody. Każdy uczestnik gry reprezentowany jest przez swój awatar. Za pomocą słowa „awatar” internauci wyrażają swoje wirtualne wcielenie w grze. Jednak K.F. pragnie zaproponować awatary jak najbardziej zbliżone do prawdziwych graczy. Eun Bi jest zachwycona tym pomysłem. Rozumie, jaka jest waga tego projektu... „To by znaczyło, że awatary będą miały twarze prawdziwych ludzi?” K.F. chce jeszcze więcej. Jego zdaniem, należałoby nadać awatarom cechy nie tylko

153

fizyczne, ale także psychiczne, tak aby nawet wówczas, gdy gracz nie jest on-line, jego awatar mógł sam kontynuować grę. W tym celu razem ze swoimi kolegami inżynierami informatyki tworzą programy komputerowe, w których gracz może podać maksimum informacji na temat swojego ciała i „duszy”.

Według Eun Bi awatar ma szansę zwyciężyć tam, gdzie ludzie ponieśli klęskę. Awatar Eun Bi mógłby uratować delfiny i dać w twarz tym wszystkim, którzy ją obrażają.

- Ale jeśli to się uda - mówi Eun - awatar będzie mógł nadal żyć... także po śmierci gracza.

Tajemniczy K.F. odpowiada, że właśnie również dlatego stworzył ten projekt. Razem z piątym światem chce podarować graczom nieśmiertelność.

Eun Bi zgłasza chęć uczestnictwa w tworzeniu tego projektu i K.F. mówi, żeby zastanowiła się nad pierwszą scenerią, w jakiej będą żyły awatary.

Nie mija wiele czasu, kiedy wysyła mu rysunki wysp, jezior, gór i futurystycznych miast. K.F. jest zachwycony i aby jej podziękować, wysyła pocztą elektroniczną prototypy awatarów, mających już swoje własne sposoby zachowania.

Eun Bi otrzymuje programy i uruchamia je. Wtedy postacie zaczynają się poruszać, rozmawiać, naśladować ludzkie gesty. Z niektórymi można nawet prowadzić coś na kształt rozmowy, ponieważ mają zaprogramowane zasady dialogu. I tak K.F. i K.D. rozmawiają ze sobą, jedno wysyła małe ludziki, a drugie przesyła mu propozycje scenerii, w której mogłyby żyć. Po raz pierwszy w życiu Eun Bi kładzie się spać z uśmiechem na ustach, ma wrażenie, że na wszystko ją stać i że wreszcie gdzieś tam ma prawdziwego życiowego partnera, chociaż nie zna jego twarzy. Pewnego dnia prosi go o podanie prawdziwego imienia i przysłanie swojego zdjęcia. Jednak K.F. odpowiada, że na razie woli, aby znała tylko jego pseudonim i awatary. Od tej chwili dziewczyna jest coraz bardziej zaintrygowana jego osobą.

Trzeci program. Theotime ma 18 lat i w chwili, kiedy włączam film

0 jego życiu, jest wychowawcą na koloniach.

Na początku wszystko idzie dobrze. To kolonie dla synów wojskowych. Theotime jest jedynym cywilnym wychowawcą. Wszyscy inni to poborowi, którzy przyjechali tu, aby nie być w koszarach.

Dyrektor, pozostali wychowawcy i same dzieci cenią łagodność

1 uprzejmość Theotime'a. Gra na gitarze przysparza mu jeszcze więcej sympatii. Ale wkrótce pojawia się problem. Dziesiątka dzieci w wieku jedenastu lat, którymi ma się zajmować, stworzyła wśród siebie hierarchię, która odpowiada stopniom wojskowym, jakie mają ich ojcowie. Dowodzi syn pułkownika, pod nim jest syn sierżanta, później syn kaprała itd., aż do syna żandarma, który jest kozłem ofiarnym. W dodatku ten ostatni jest rudy, co wcale mu nie pomaga. Kiedy Theotime staje się świadkiem sceny bezinteresownego okrucieństwa, bez wahania decyduje się ukarać kata, którym jest oczywiście syn pułkownika, i zamyka go w osobnym pokoju. Następnie pociesza ofiarę, syna żan-

154

darma. Tymczasem skutek jego działań jest całkiem inny, niż się spodziewał. Syn pułkownika staje się bohaterem, zdolnym przeciwstawić się wychowawcy, a zatem osobie dorosłej. Jeśli chodzi o syna żandarma, zostaje on uznany za nadgorliwca. Jednocześnie pozostała część grupy staje za potomkiem pułkownika i nie przestaje dręczyć dziecka żandarma.

Ostatecznie wszystkie dzieci z grupy każą nieszczęśnikowi iść zerwać struny w gitarze Theotime'a i w ten sposób udowodnić, że nie jest nadgorliwcem. Co też robi. Wtedy Theotime karze całą grupę, z synem żandarma włącznie. I jak gdyby nigdy nic, wszyscy stają jednomyślnie przeciw niemu.

Syn żandarma staje się wiernym poddanym syna pułkownika, który organizuje wielką noc ataku na wychowawcę. Kolega Theotime'a musi interweniować w jego obronie. Jak przystało na żołnierza, nie waha się bić dzieci, aby przywrócić porządek. Kopiąc je swoimi butami na grubej podeszwie, rzuca w stronę Theotime'a:

- Gdybyś wtrząpał dzieciakom zaraz na początku, nie mielibyśmy teraz problemu, mała przemoc zapobiega dużej przemocy.

Następny dzień jest ostatnim dniem na koloniach. Przed wyjazdem Theotime oznajmia dyrektorowi:

- Zdaję sobie sprawę, że poniosłem klęskę. Ale nadal nie wiem, co powinienem był zrobić. Bić je, jak mi poradził kolega?

Dyrektor przygląda się młodemu człowiekowi i odpowiada:

- To prawda. Dzieci mają szacunek dla osób z autorytetem, zwłaszcza jeśli wywodzi się on z siły, a więc i brutalności. Jednak istniała możliwość przyjęcia innej strategii,

spokojniejszej, ale skutecznej. Należało zaprzyjaźnić się z synem pułkownika i ukarać syna żandarma.

Widać, że Theotime nic z tego nie rozumie.

- Poprzez syna pułkownika - wyjaśnia dyrektor - mógł pan przekazywać wszystkie polecenia i sprawić, żeby byli panu posłuszni. Byłby dumny, że zdobył zaufanie osoby dorosłej. Byłby doskonałym przekąźnikiem pańskich poleceń. Takie postępowanie wchodziłoby w zakres jego sposobu myślenia. Co do ruzielca, jest on tak przyzwyczajony do maltretowania, że z rezygnacją przyjąłby pana szykany. Wtedy wszystkie dzieci uważałyby pana za dobrego wychowawcę i znowu zapanowałby porządek.

- Chce pan powiedzieć, że zwycięska strategia polega na nagradzaniu katów i karaniu ofiar?

- Fakt - mówi dyrektor - to może wydawać się początkowo niemoralne, ale w końcu tak zawsze postępowali nasi przywódcy i odnosili wcale niezłe sukcesy. „Żli” są zwykle najsilniejsi, a z silnymi należy trzymać. Należy więc mieć w nich przyjaciół. Ofiary są słabe... To żaden interes. Nie mogą nam ani pomóc, ani zaszkodzić. Skarżą się. Nie są sympatyczne. A zatem wspieranie silnych to jedyna zasadna droga, nawet jeśli nie jest moralna. Poza tym, należy to przedstawić w taki sposób, żeby było możliwe do zaakceptowania. A to już problem porozumiewania się.

Wyłączam telewizor, mając wrażenie, że właśnie słyszałem mojego przyjaciela Raoula, wyjaśniającego mi swój historyczny cynizm.

155

Wracam do łóżka i zasypiam, myśląc o smutnym doświadczeniu Theotime'a. Co mógł zrobić? W filmach zawsze staje się w obronie słabych i uciśnionych, ale w życiu jest to praktycznie niemożliwe.

51. ENCYKLOPEDIA: DELFY

Zeus chciał wiedzieć, gdzie znajduje się środek świata, wypuścił więc dwa orły na dwóch krańcach Ziemi i oświadczył, że miejsce, w którym się spotkają, to Omfalos, czyli „pępek świata”.

Drogi obydwu drapieżników zetknęły się na zachodzie Grecji, w grocie wzgórza Parnas, wznoszącego się 570 metrów nad poziomem morza. Wejścia do jaskini pilnował olbrzymi wąż, postawiony tam przez Gaję. Apollon zabił potwora, za co przez osiem lat musiał przebywać na wygnaniu. Kiedy powrócił, kazał w tym miejscu wznieść swoją świątynię. Wtedy sanktuarium nazwano „Delphos”, czyli „środek”. Nieco później wyraz ten posłużył do nazwania jednego z atrybutów boga Apollona: morskiego ssaka, Delphosa, od którego pochodzi nazwa Delphinus, a później delfin.

Świątynia została zbudowana w 513 roku przed Chrystusem. Przy wejściu umieszczono sławne zdanie: „Poznaj samego siebie, a poznasz bogów i niebios”.

Wewnątrz świątyni wielka kapłanka Pytia przepowiadała przyszłość tym, którzy się do niej zwracali. Świątynia zyskała wkrótce rozgłos i do wyroczni przybywano już nie tylko z terytorium Grecji, ale również Egiptu i Azji Mniejszej. Wszyscy mieszkańcy sąsiedniego miasta znaleźli zatrudnienie w świątyni, najpierw przy jej budowie, a potem zajmowali się podtrzymywaniem świętego ognia, przyjmowaniem pielgrzymów, pomocą kapłanom, organizacją publicznych festynów, oczyszczających kąpeli, śpiewami i tańcami na cześć Apollona. Każdy nowy pielgrzym przechodził następującą drogę: kiedy już się oczyścił, składał w ofierze, zależnie od zamożności, barana, kozę lub kurę. Pierwsza grupa kapłanów wróżyła z wnętrzości ofiarowanego zwierzęcia. Jeśli wróżba wypadła pomyślnie, pielgrzym czekał na swoją kolej, aby zadać pytanie Pytii.

Liczba odwiedzających była tak duża, że kapłani zostali zmuszeni do losowego wybierania (chyba, że pielgrzym był kimś znaczącym lub też ich przekupił).

Jeśli otrzymywał zgodę na dostęp do Pytii, schodził wówczas do ady-tonu, czyli podziemnej sali, i stawał przed pępkiem świata, przedstawionym w postaci gigantycznego kamiennego mrowiska. Tam zadawał swoje osobiste pytanie.

Wielka kapłanka Pytia, która zwykle znajdowała się w transie po spożyciu liści laurowych, odpowiadała na pytania, które przynoszono jej na piśmie i składano w pucharze. Nikt nie mógł jej zobaczyć. Odpowiadała krótkimi, piskliwymi i niezrozumiałymi okrzykami, „tłumaczonymi” przez towarzyszących jej „proroków”.

156

Do sławnych „klientów” Pytii należeli: Aleksander Wielki, któremu przepowiedziała: „Nikt nie zdoła ci się oprzeć”, a także Krezus, bogaty król Lidii. Zapytał ją, czy ma wypowiedzieć wojnę Persji. Pytia odrzekła: „Jeżeli zaatakujesz Persów, zniszczysz wielkie imperium”. Pełen ufności Krezus wyruszył na wojnę i został pobity. Kiedy skazano go na śmierć, poprosił o zgodę na ukaranie wyroczni, ale ta odpowiedziała mu tymi słowami: „Krezusie, postąpiłeś nieroztropnie, należało zadać sobie pytanie: jakie imperium zostanie zniszczone? Bo to było twoje imperium”.

Przez dziesięć wieków świątynia w Delfach, mimo licznych grabieży (jej „ukryty skarb” stał się marzeniem wielu rabusiów), była miejscem, na które powoływano się w przepowiedniach. Świątynię zamknięto w IV wieku, kiedy cesarz Teodozjusz I zakazał kultu Apollona. Pytia przewidziała to w swojej ostatniej przepowiedni. Powiedziała: „Piękna budowla nie będzie już miała ani ścian, ani prorockiego lauru, źródło wyschnie, a fala, która mówiła, zamilknie”.

Tej nocy śniłem o delfinach. W moim śnie latały w przestworzach. Nosily cenne ozdoby. W rzeczywistości okazało się, że ta biżuteria to zbroje. Przemieszczały się w kosmosie, używając jako rydwanów kawałków wysp pokrytych kamieniami i kolumnami ze zburzonych greckich świątyń. Latały, wykorzystując od czasu do czasu swoje płetwy jako skrzydła. Na ich twarzach widniał uśmiech, który przypominał mi uśmiech Mony Lisy Leonarda da Vinci. W mojej głowie rozbrzmiewało zdanie z Encyklopedii Edmonda Wellsa: „Poznaj samego

siebie, a poznasz bogów i niebiosa". Delfinów było około pięćdziesięciu, niektóre w biało-czarne kropki, inne szare lub srebrne.

Delfiny dotarły do strefy, w której ludzie zastawili na nie pułapki i czekali z żelaznymi żerdziami. Jak w wiadomościach, które oglądała Eun Bi. Jeden z delfinów usiłował się bronić. Rzucał się wśród martwych ciał swoich bliskich, pływając i latając we krwi, tworzącej zawieszony w powietrzu kuliste plamy. W pewnej chwili podskoczył. Oświetliły go promienie słońca i wszyscy maleńcy ludzie rzucili w jego stronę swoje żelazne żerdzie, jakby to były oszczepy.

Pragnąłem w moim śnie, aby walenie zabiły ludzi. Ale to one pozwoliły zatłuc siebie. „Brońcie się! Ależ brońcie się!” - wrzeszczałem. Ranny delfin popatrzył na mnie i powiedział: „Taki jest bieg Historii”. Wyspa z ruinami delfickiej świątyni rozsypywała się coraz bardziej, a ludzie z żelaznymi żerdziami wydawali okrzyki zwycięstwa.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

52. SEN O DELFINACH

157

Budzę się rozgniewany. Nawet świat snu nie jest dla mnie bezpiecznym schronieniem. Postanawiam dać mu jeszcze jedną szansę i ponownie zasypiam.

W moim drugim śnie widzę krążącą na niebie potrójną spiralę DNA. Trzy tańczące wspólnie kolorowe wstęgi.

W mojej głowie rozbrzmiewa coraz głośniejsza spokojna muzyka.

Trzy wstęgi zamieniają się w trzy węże. Na ich grzbietach, otoczone czerwoną obwódką, widnieją trzy litery. Pierwszy wąż ma czerwoną literę D; drugi białe N; trzeci niebieskie A.

Wszystkie trzy węże wznoszą się, tworząc niekończącą się spiralę.

1. Czerwony jak krew to Dominacja.
2. Białe jak brak koloru, to Neutralność.
3. Niebieski jak widok nieba, to Akceptacja.

Przypominam sobie naukę naszych mistrzów: wobec „drugiej osoby” możliwe są tylko trzy postawy.

Z tobą.

Przeciwko tobie.

Bez ciebie.

To wszystko łączy się ze sobą, czuję, że to wszystko ma jakiś związek, że istnieje jakiś klucz, jakieś rozwiązanie. Za tym wszystkim, co się tutaj dzieje, musi kryć się jakaś tajemnica. I czuję, że zamyka się ona w tych trzech literach: D, N, A.

Drapieżność, Nonszalancja, Afekt.

Delfin, Natura, Atlantyda.

Trzy węże wznoszą się w rytm muzyki i nagle rzucają się na siebie, walczą ze sobą, płaczą jeden w drugim. Najpierw tworzą niewielkie węzły, potem ogromny supeł, z którego wystają trzy kolorowe rozwścieczone głowy, usiłujące pogryźć się nawzajem.

Wężowy kłębek rośnie, aż w końcu tworzy w kosmosie całą nową planetę. Spoglądając z bliska, zauważa się, że jej powierzchnię pokrywa rodzaj sieci na ryby zbudowanej z milionów czerwono-niebiesko-białych głów węży.

Kiedy o ósmej rano rozlega się dźwięk dzwonu, w mojej głowie dźwięczy jeszcze muzyka.

Druga pobudka.

Nie mam ochoty iść do szkoły... Muszę zregenerować siły.

Długo stoję pod prysznicem, potem zakładam nową togę, myję zęby, golę się, wsuwam sandały.

Na dworze mgła. Ulice Olimpii są puste. Czuję się tak, jak w czasach, kiedy byłem dzieckiem i nadchodził początek roku szkolnego. Marzyłem wtedy, żeby zostać w ciepłym łóżku, przykryty kołderką. Powietrze jest wilgotne, a mój krok ciężki.

Najpierw śniadanie w Megaronie.

Siadam sam w kącie i pochłaniam kanapki z masłem i dżemem z pomarańczy, nie spuszczać z oczu mojej dużej filiżanki z kawą. Ra-oul siada koło mnie. Kicham.

- Masz katar? Pewnie przez to wczorajsze ciepło i zimno, już za pomarańczową strefą. Nasze togi kiepsko chronią przed chłodem lasu. I zatrzymują wilgoć - mówi.

158

Jem w milczeniu. Przyjaciel zbliża się i szepce mi do ucha:

- Mam pomysł, jak wrócić dziś wieczorem i ominąć Meduzę.

Udaję, że nic nie słyszałem. A on mówi dalej:

- Weźmiemy ze sobą kaski, dzięki którym na pewno nie spojrzymy na nią, a ona nie zmusi nas do otwarcia powiek. Potem poprowadzi nas Freddy, który jest muzą, a więc nic mu się nie może stać, bo już przeszedł metamorfozę.

- Nie idę dziś wieczorem - mówię.

- Co ci jest?
- Jestem zmęczony.
- To dlatego, że wczoraj zostałeś zamieniony w rzeźbę?
- Nie tylko. Czuję, że potrzeba mi trochę odpoczynku.

Wstaję, biorę filiżankę i kanapki i odchodzę usiąść z dala od Raoula. Nie mam już ochoty z nim rozmawiać.

Siadam koło Georges'a Meliesa. To dziwne, ale w chwilach zwątpienia wydaje mi się, że tylko ten mistrz iluzji należy do namacalnej rzeczywistości.

- Georges, na czym polega ta sztuczka z kartami, w której króle, damy, walety i asy układają się w określonym porządku, chociaż przełożyłem karty dziesięć lub dwanaście razy w dowolny sposób?

On rozumie: przede wszystkim potrzebuję odwrócenia uwagi.

- Tak naprawdę to nie jest żadna sztuczka. Znowu wydaje ci się, że dokonujesz wyboru, ale nic nie wybierasz.

Wyjmuje talię kart.

- Kiedy składam cztery kupki, tworząc z nich jedną, ich ułożenie w środku nie zmienia się. Pozostaje kolejność: król, dama, walet, as, i dalej znowu król, dama, walet, as innego koloru, zgadzasz się z tym?

-Tak.

- A więc dwa kolejne króle oddzielone są czterema kartami, podobnie damy, walety i asy. Zgadza się? Otóż kiedy przekładasz karty, nie zmieniasz tego odstępu. Zawsze między dwoma odpowiadającymi sobie figurami znajdują się cztery karty. A zatem kiedy ponownie rozkładasz je na cztery kupki, możesz być pewien, że każda figura trafi do swoich. To zawsze działa. Możesz to powtarzać w nieskończoność. Sztuczka polega na tym, że nie ma żadnej sztuczki. Bez względu na to, ile razy będziesz przekładał karty, i tak na koniec będą perfekcyjnie ułożone.

Ponieważ nie jestem do końca pewien, czy dobrze rozumiem, wyjmuje ponownie talię i powtarza sztuczkę na odkrytych kartach. Wreszcie mogę stwierdzić z całą pewnością, że nawet jeśli przełożę karty dwadzieścia razy, to i tak odległość między dwoma królami lub dwoma asami pozostanie zawsze taka sama, a kiedy rozkładam je na kupki, automatycznie tworzą ustalony porządek.

- Tak, tak - mówi Georges Melies - czasami lepiej nie wiedzieć, na czym polega sztuczka, bo to zawsze powoduje rozczarowanie...

Spoglądam na górę.

- Sądziś, że nasze wybory są jak to przekładanie kart? Ze nie mają żadnego wpływu na końcowe rozwiązanie?

159

- Przedtem należałoby wiedzieć, w jakim znajdujemy się systemie. Miałem sen - mówi Georges Melies - w którym byliśmy postaciami z powieści. Przemieszczaliśmy się w płaskim świecie, na stronach książki. I nawet nie byliśmy w stanie wyobrazić sobie trzeciego wymiaru: przestrzeni. Gdybyśmy zdołali zobaczyć przestrzeń, zauważylibyśmy czytelnika trzymającego książkę, w której zostaliśmy „spłaszczeni”.

Ciekawa zbieżność: Edmond Wells proponował mi podobny scenariusz. Sądził, że zostaliśmy „napisani” przez jakiegoś autora scenariuszy, który nas stworzył, a nasze przygody mają stanowić rozrywkę dla czytelnika.

- To zbyt proste. Ja uważam, że system, w którym się znajdujemy, jest poza możliwościami naszej wyobraźni. Jeśli zatem możemy myśleć, że chodzi o powieść, to już samo w sobie znaczy, że nie o to chodzi.

W tej chwili Georges Melies nie potrafi mi podać żadnego innego wytłumaczenia.

- Nawet dla nas, magików, niektóre sztuczki pozostają niezrozumiałe...

- Edmond Wells mawiał, że Bóg jest wymiarem pozaludzkim, tak jak cząsteczka przewyższa atom. Czy zatem atom może wyobrazić sobie cząsteczkę, w skład której wchodzi?

Georges Melies rozkłada karty i patrzy, jakby szukał w nich odpowiedzi. Wyjmuje waleta kier i podaje mi.

- Proszę, daję ci tę kartę. Możesz z nią zrobić, co tylko zechcesz, przynajmniej na to będziesz miał wpływ. Żadna sztuczka z waletami kier nie może dojść do skutku, dopóki nie zechcesz włożyć tej karty z powrotem do talii.

Oglądam kartę, a następnie odmawiam jej przyjęcia.

- Dotychczas przestrzegałem zasad gry. Nie jestem jeszcze tak bardzo rozczarowany, aby chcieć psuć magiczne sztuczki.

W tym momencie rozlega się krzyk. Nawet nie jestem już zaskoczony. Przez chwilę w Megaronie panuje zamieszanie, zaraz potem wszyscy kierują się w stronę, skąd dobiegł krzyk.

- Kto tym razem? - pytam.

- Bóg ludzi-nietoperzy... Nadar.

Dobry Boże! Przecież mieli pracować całą noc nad przygotowaniem maszyny i teraz dał się zabić?

Szukam w tłumie Saint-Exupery'ego. Stoi zupełnie blisko ofiary, najwyraźniej przejęty morderstwem.

Już pojawiły się centaury i zakrywają ciało fotografa.

Odejmowanie: $77 - 1 = 76$. Klub bogów znowu się zredukował.

- Jego lud poczuje się osierocony bez swojego boga - mówi Edith Piaf, a jej wypowiedź brzmi jak epitafium.

- Kto to wie? - mówi Proudhon.

Zastanawiam się przez chwilę. Czy od początku gry zdarzyło się, aby któryś lud przetrwał po śmierci swojego boga? Nie, wydaje mi się, że nie. Wręcz przeciwnie, przypominam sobie, że raczej przetrwały te ludy, które w ogóle nie miały swojego boga, i wiem, że ta myśl byłaby wodą na młyn Proudhona.

160

- Brak boga to coś lepszego niż niezręczny bóg - dodaje anarchista.

Zamykam oczy i oczyma wyobraźni widzę spotkanie z moim ludem

delfinów: „Ach, to ty?”. Patrzyliby na mnie z dołu, tak jak Liliputy spoglądały na Guliwera. „A zatem to tobie zawdzięczamy wszystko!” Być może kusiłoby mnie, aby się przed nimi usprawiedliwić: „Przykro mi, chłopaki, robiłem, co w mojej mocy, ale nie miałem szczęścia”. Bóg, który nie ma szczęścia, jakie to śmieszne! „Nie miejcie mi za złe, zrobiłem wszystko, co można było uczynić, ale inni uczniowie byli zbyt silni”. Nie, to by nie było dobre. Chyba raczej powinienem spróbować w ten sposób: „To wy nie mieliście szczęścia, bo trafiliście na mnie”. Nie, muszę skończyć z tą negatywną postawą: „Posłuchajcie, może i jestem początkującym bogiem, ale przynajmniej żyjecie, podczas gdy ze 144 ludów pozostało już tylko 76”.

Wokół mnie panuje straszny ruch i jakoś nie mogę zatrzymać swojej myślowej maszyny. Widzę małe kobiety-delfiny zwracające się do mnie: „Ach, to ty jesteś naszym bogiem! Gdybyśmy wiedzieli, wybralibyśmy sobie kogoś innego”.

To prawda, nie wybraliby mnie. Raczej kogoś takiego jak Raoul. Boga triumfującego, który czeka spokojnie, aż wybije jego godzina, pilnuje swoich konkurentów, zauważa trudności, a potem w chwili, kiedy nikt się tego nie spodziewa, pozwala rozkwitnąć swojej cywilizacji i niszczy wszystkie inne. Albo też wybraliby Meliesa. Boga, który buduje powoli, lecz solidnie, a następnie, bez specjalnych upiększeń, tworzy wyrafinowane sztuki i technikę. Tak, Georges Melies byłby dla moich ludzi idealnym bogiem.

Wyniesiono ciało fotografa.

Wtedy prosto z nieba na swoim skrzydlatym rumaku zjawia się Atena.

- Zdaje się, że to wszystko, co wam ostatnio powiedziałam, w żaden sposób nie ostudziło destrukcyjnego zapału słynnego bogobójcy! - grzmi bogini.

Jej sówka lata nad naszymi głowami.

- A może ten ktoś w szczególny sposób kpi sobie ze mnie? Może to, co widzieliście, nie było zbyt przekonujące? Zobaczyliście Syzyfa i uznaliście, że wcale nie wygląda na tak bardzo nieszczęśliwego... Winny spośród was pozna karę, jaką otrzymał wasz kolejny mistrz-bóg pomocniczy. A sami zobaczycie, że to bardzo wyrafinowana kara.

53. MITOLOGIA: PROMETEUSZ

Jego imię oznacza „ten, który najpierw myśli”. Jest jednym z siedmiu synów tytana Japetona. Prometeusz wraz z braćmi walczył przeciwko Zeusowi wtedy, gdy ten zakładał na Olimpie ośrodek swojej władzy. Po zwycięstwie Zeusa pokonani tytani otrzymali surowe kary. Ale Prometeusz i jego brat Epimeteusz (którego imię oznacza „ten, który

161

myśli potem”) byli bardziej przebiegli i opowiedzieli się po stronie zwycięzcy, dlatego też oszczędzono ich i przyjęto do grona bogów olimpijskich.

Wtedy Prometeusz zaprzyjaźnił się z Ateną, która nauczyła go architektury, astronomii, arytmetyki, medycyny, żeglarstwa, metalurgii. Tymczasem Prometeusz przygotowywał w tajemnicy zemstę na Zeusie.

Z gliny i wody (pochodzącej z łez wylanych po śmierci braci) ulepił pierwszego człowieka. Atena zaś ożywiła go swoim boskim technieniem.

W ten sposób narodziła się nowa ludzkość epoki żelaza (po epoce złota, srebra i brązu).

Lecz pewnego dnia Prometeusz popełnił oszustwo, dzieląc między bogów i ludzi złożonego w ofierze byka. Postąpił na korzyść ludzi. Kiedy Zeus odkrył fałszerstwo, postanowił zabrać ludziom ogień. „Skoro są tacy mądrzy, niech jedzą surowe mięso!” - uznał. Jednak Prometeusz nie chciał, żeby ludzie spotkali taki smutny los. Pozostając w zмовie z Ateną, odpalił pochodnię od ognistego rydwanu boga słońca, Heliosa. Zatrzymał potem rozżarzony węgiel, który ukrył w łodydze dzikiego kopru, i zaniósł boski ogień ludziom. Zeus wpadł w straszny gniew. Nie ma mowy, żeby ludzie dostali ogień bez jego zgody. Dlatego postanowił ukarać Prometeusza. Przykuł go nagiego do jednego ze szczytów Kaukazu, a każdego dnia przylatywał tam sęp i pożerał mu wątrobę, która podczas nocy odrastała. Jednak Prometeusz nigdy nie poddał się Zeusowi, którego uważał za olimpijskiego tyrana.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

54. PROMETEUSZ ALBO SZTUKA BUNTU

Pałac Prometeusza poświęcony jest wszystkim buntom w historii. Na ścianach wiszą koło siebie portrety wodzów rewolucji, broń, za pomocą której dokonano zamachów stanu, fotografie wykonane podczas manifestacji, strajków, wojen domowych, obrazy przedstawiające wzniesione przez studentów barykady, rzeźby wyobrażające rebelie na innych planetach. Wszyscy wodzowie rewolucji mają romantyczne spojrzenie, zdecydowaną postawę i wyzywająco zadarty podbródek.

Samo miejsce też nie mieści się w granicach normy. Spośród innych starożytnych pałaców wyróżnia go nie tylko architektura o nowoczesnych kształtach, ale obwieszona jest także plakatami przedstawiającymi egzotyczne bunty. Dominuje kolor czerwony: czerwień gniewu i czerwona krew męczenników.

Główną salę, w której odbywają się nasze zajęcia, oświetlają pochodnie. Ścianę w głębi pomalowano na czerwony kolor. Ktoś napisał

162

sprayem hasła: „WOLNOŚĆ ALBO ŚMIERĆ”, „ŚMIERĆ TYRANOM”, „PRECZ Z TOTALITARYZMEM”.

Prometeusz wchodzi do sali. Ten, który podarował ludziom ogień, jest tytanem prawie trzymetrowego wzrostu. A więc jest prawie tak wysoki jak Atlas. Na jego prawym boku widnieje ogromna blizna wskazująca miejsce, gdzie sęp wyszarpuje mu wątrobę. Bez słowa zajmuje miejsce za biurkiem. Przez twarz przebiega mu nerwowy tik. W swoim cierpieniu przypomina trochę Syzyfa, ale w jego postawie nie ma nic z męczennika ani żadnej ironii.

Wchodzi Atlas, nim jeszcze został wezwany. Z trudem dźwiga naszą drogą ćwiczebną planetę, Ziemię 18. Dwaj mężczyźni wymieniają spojrzenia i Atlas stawia Ziemię 18.

- Widzisz - mówi Atlas - widzisz...
- Co takiego widzę? - pyta Prometeusz.
- Nie powinieneś być zdradzać swoich braci.
- Nie zdradziłem ich.

Atlas wskazuje palcem mistrza pomocniczego.

- Zdezerterowałeś podczas wojny olimpijskiej.
- Nie zdezerterowałem.
- A więc co?

Prometeusz spogląda na nas, waha się przez chwilę, czy kontynuować rozmowę, po czym, najwyraźniej stwierdziwszy, że mu nie przeszkadzamy, stawia czoła Atlasowi.

- Przypomnij sobie... byliśmy na przegranej pozycji. Co by to dało, gdybym został ukarany razem z wami?

- Przeszedłeś do wrogiego obozu!
- Już o tym rozmawialiśmy, Atlasie. Przeniknąłem do wroga. Udawałem, że stoję po ich stronie, aby móc z zaskoczenia działać od wewnątrz.
- Tak jakby to coś zmieniło...
- No dobrze, skoro chcesz po raz kolejny o tym porozmawiać... Sądzę, że lepiej się poddać, aby móc później działać, niż stawić czoła przeciwnikowi, przegrać i zrezygnować z dalszej walki. Szpiegowałem w obronie naszej sprawy. Byłem podwójnym agentem...
- Zdradziłeś. Żaden z nas nigdy ci tego nie zapomni.
- Możesz sobie myśleć, co chcesz.

Przez chwilę mierzą się nawzajem wzrokiem. Potem Prometeusz podejmuje na nowo:

- W każdym razie ja nadal walczyłem, kiedy wojna została przegrana. W przeciwieństwie do pozostałych, nigdy się nie poddałem.

Atlas wzrusza ramionami i zwraca się w naszą stronę.

- Musisz wiedzieć, że ta klasa jest szczególnie niesforna. W jej szeregach znajduje się bogobójca... oraz mali złośliwcy, którzy po 22.00 chodzą na wagary: znaleźli się i tacy, którzy przyszli zwiedzić moją piwnicę.
- Wiem o tym wszystkim, Atlasie, wiem.
- Co do ostatniego... to chcę was ostrzec... nie, nie będę was ostrzegał... nie ma sprawy, wróćcie do mojej piwnicy... a zobaczycie.

163

Atlas ustawia Raj oraz Imperium Aniołów Ziemi 18 w przewidzianym do tego miejscu.

- Zobacz - mówi - na ich planecie zaczynają pojawiać się wyżej rozwinięte dusze.

Wstrząsa fiolką. Dla nas, uczniów, ta uwaga nabiera szczególnego znaczenia. Sami byliśmy aniołami i wiemy, że im więcej dusz znajduje się w Raju, tym bardziej ludzkość ma szansę na rozwój. Te anioły w fiolce są po trosze naszymi ambasadorami lub też zastępcami.

Atlas spluwa na ziemię i po chwili wychodzi, trzaskając drzwiami.

Prometeusz udaje, że nie zauważył tego gestu pogardy. Bierze ankh i przygląda się naszej pracy. Kilka miast szczególnie przyciąga jego uwagę. Następnie zwraca się do nas:

- To mi przypomina kawałek chleba, który włożyłem pod dzwon, żeby tam spleśniał. Po kilku dniach wyrosła na nim zielona i szara pleśń, tworząc rodzaj kożuszka. I tak wygląda wasza ludzkość... jak pleśń pokrywająca planetę. Nic się nie da z tym zrobić. Szkoda naszego czasu, lepiej zniszczyć to coś i zbudować nowy świat.

Dreszcz niepokoju przebiega po zebranych.

Jego spojrzenie staje się twarde.

- Nie zrozumieliście? Game over. Zostajecie wylani, wszyscy zamienicie się w chimery, a my przejdziemy do następnego rocznika.

Z kieszeni togi wyjmuję notes.

- A więc wy jesteście Francuzami, następni zaś to... Włosi. Wow, zatem powinni być wśród nich Leonardo da Vinci, Dante, Michał Anioł, Primo Levi. Podobają mi się ci ludzie, powinni poradzić sobie lepiej od was. W każdym razie wy, Francuzi, zawsze byliście do niczego, zgadza się?

Wśród zgromadzonych słychać ciche odgłosy oburzenia.

- Oczywiście, że zawsze byliście do niczego. Historia Francji to historia zgnilizny. Tchorze, zawsze gotowi pójść na kompromis z najbardziej okrutną siłą totalitarną. Tych kilka ruchów wolnościowych, które pojawiły się u was, zostało skąpanych we krwi.

Ciche odgłosy zamieniają się w wyraźny pomruk.

- Templariusze zmasakrowani przez Filipa Pięknego, katarzy przez Szymona z Montfort, protestancy kalwiniści przez Katarzynę Medycejską, Wandejczycy przez Kolumny Śmierci. Wasi jedynie odrobinę charyzmatyczni przywódcy, Ludwik XIV czy Napoleon, kazali tylko zabijać przeciwników i eksportować wojnę. I tutaj też dokładnie rozpoznaję typowy francuski styl: operetkowych tyranów, tchorzy, dekadentów, oto wasze ludy. Wy, Francuzi, jesteście królami zgnilizny. Nawet wasza żywność jest spleśniała.

Spoglądamy po sobie, przytłoczeni tyloma złymi słowami.

A Prometeusz jeszcze nie skończył.

- Pomówmy teraz o waszym jedzeniu! Wasz chleb robiony jest ze sfermentowanej mąki, wasz ser ze sfermentowanego mleka, wasze wino z soku ze sfermentowanych winogron. Nie mówiąc o pieczarkach, które hodujecie na końskim łajnie. „Coraz bardziej zgniłe”, oto wasza dewiza, co? Odpowiadajcie! I jeszcze jesteście z tego dumni. Nawet wasza dyplomacja technicznie zgnilizną. O ile dobrze pamiętam, w latach sie-

164

demdziesiątych wasz prezydent pożyczył pieniądze od szacha Iranu, a wy przyjęliście u siebie jego przeciwnika i pomogliście mu przygotować rewolucję. I to wszystko po to, abyście nie musieli spłacać tego długu. Stąd wszystko widać. Wasze zgniłe konszachty z terrorystami też widzimy. I wasze ustępstwa na rzecz dyktatorów, którym chcecie sprzedać samoloty i pociągi. Wy, Francuzi, tacy jesteście. I wszystko wskazuje na to, że ludzkość, którą wasz rocznik stara się zbudować, stworzy jeszcze bardziej zgniły świat.

Jesteśmy oszołomieni. Nikt już nie reaguje.

- Dobrze. Posprzątaście tę planetę i zrobicie miejsce dla 19. rocznika Włochów. Oni przynajmniej zaznali w swojej historii kilku zwycięskich chwil. Nawet ich tyrani mieli w sobie coś teatralnego. Cezar, Borgia, Duce... było w nich coś wielkiego. Zbliźcie się wszyscy. Posprzątamy stajnię Augiasza. Myślę, że Kronos pokazał wam już, jak to się robi: trzeba stopić pokrywę lodową, to powoduje potop, a potem strzela się do tych, którzy przeżyli i dryfują na wodzie.

Zrezygnowani podchodzimy, aby zniszczyć Ziemię 18. To bardzo proste. Mój lud nie będzie ostatecznie ani lepiej, ani gorzej potraktowany niż pozostałe.

- Uwaga, na mój rozkaz! Pięć, cztery... gotowi do strzału?

Nasze ankh wycelowane są w pokrywę lodową. Wiemy, że kiedy lód na biegunach zacznie się topić, podniesie się poziom wody w oceanach, zatapiając wszystkie ziemie. A więc nastanie potop. Kontynenty znikną, a ocean pokryje całą powierzchnię Ziemi 18. Zanim woda nie zamrznie na nowo. W ten sposób giną ćwiczebne ludzkości.

- Gotowi? - pyta ponownie Prometeusz.

Nasze palce wskazujące dotykają przycisków na ankh.

- Uwaga. Trzy. Dwa... Jeden...

Czekamy na słowo „ognia”.

Długa chwila oczekiwania. Wreszcie bóg-mistrz pomocniczy rozkazuje:

- Ognia!

Nikt nie strzela.

- Powiedziałem: Ognia! Już, strzelajcie! - powtarza.

Nikt się nie rusza. Prometeusz marszczy brwi, staje nad nami. Sądzymy, że uniesie się gniewem, ale jego twarz zmienia się, a po chwili wybucha gromkim śmiechem.

- No, no, widzę, że mam do czynienia z Francuzami... zapomniałem o tym. Zostawić, żeby zgniło, to wasza dewiza. Akt łaski to akt odwagi, do którego wy nie jesteście zdolni, nieprawdaż?

Nie wiemy, jak mamy zareagować na tyle bezinteresownej agresywności.

- Banda mięczaków! Tandetni bogowie!

Naprawdę zaczyna mnie denerwować. Jeszcze trochę i mu powiem, co sędzę o jego analizie na temat Francji. Nie znałem tej historii dotyczącej Iranu, ale były takie momenty, w których Francja działała dla dobra świata. Przynajmniej tak mi się wydaje. Zastanowię się nad tym innym razem.

Prometeusz wyjmując swój ankh i ustawia przycisk, regulując siłę strzału.

- No dobrze, skoro muszę wszystko zrobić sam... Kiedyś dałem ludziom ogień... tym razem dostaną go... w bardziej skoncentrowanej postaci. Porządny ogień, który zdejmie pleśń.

Składa się do strzału, celując w pokrywą lodową Ziemi 18. Palec trzyma na przycisku.

-Nie!

Odwracamy się.

- Ktoś ma jakieś obiekcje? - mówi Prometeusz, cały czas trzymając palec na przycisku.

-Tak, ja!

- Pani Mata Hari? No, no. Jaki ma pani problem?

- Ten świat nie powinien umrzeć.

- Chyba zaproponuję, aby po roczniku Włochów wziąć rocznik Holendrów. Uwielbiam malarstwo flamandzkie. Poza tym, Holendrzy są cool, palą skręty z haszyszu i są seksualnie bardziej swobodni niż ludy łańskie...

Mata Hari stoi sztywno, przeciwstawiając się mistrzowi.

Prometeusz mierzy nas wzrokiem, potem jego twarz przybiera inny wyraz.

- Jeżeli jedna istota sprzeciwi się woli władzy, to już wystarczy, aby wszystko zmienić - przyznaje. - Możecie wrócić na swoje miejsca.

Potrzebujemy trochę czasu, aby zareagować.

- Nazywam się Prometeusz - mówi bóg-mistrz pomocniczy - i jestem tu po to, aby wam opowiedzieć o Buncie. To dlatego pozwoliłem sobie na tę małą prowokację. Chciałem was zmusić do tego, żebyście się zbuntowali i poczuli, jak wzrasta w was gniew.

Siadamy zmieszani.

- Bo właśnie o gniewie będziemy mówić. Lecz jak mogliście zobaczyć, szacunek dla władzy jest tak zakorzeniony, że potrzebowaliście dużo czasu, aby wreszcie wypchnąć korek. Tak naprawdę zostaliście kiedyś złamani przez waszych rodziców, nauczycieli, szefów. Posłuszeństwo jest dla was rzeczą naturalną.

Jest nam coraz bardziej wstyd, że nie zareagowaliśmy tak jak Mata Hari. Prometeusz uśmiecha się.

- W zasadzie nie mam nic przeciwko Francji... nawet jeśli nie lubię ostrych serów. Cenię wasze wino i gastronomię. A wasi przywódcy, no cóż, w końcu nie są gorsi od innych.

Teraz Prometeusz wydaje nam się trochę smutny. Ma w sobie coś z pozbawionego władzy księcia, coś, co zauważyłem już u Syzyfa.

- Dlaczego wybuchają bunty? - pyta.
- Ponieważ ludzie są głodni - mówi Sarah Bernhardt.

Prometeusz potakuje. Pisze na tablicy: „Głód”.

- To rzeczywiście przyczyna rewolucji. Co jeszcze?

Zastanawiamy się.

- Ponieważ rządzący źle wykonują swoją pracę - oznajmia Jean-Jacques Rousseau.

166

- Złe rządy, to prawda. Ale proszę dokładniej.
- Ponieważ rządzący są skorumpowani - mówi Jean de La Fontaine.
- Tak. Co jeszcze?
- Tyranizują, są okrutni - uzupełnia zaraz Wolter.
- Tak. Co jeszcze?
- Z powodu niesprawiedliwości - podpowiada Simone Signoret.

Zewsząd padają odpowiedzi.

- Ponieważ podatki są za wysokie.
- Ponieważ jest zbyt duża rozbieżność pomiędzy poziomem życia klas rządzących oraz klasy robotniczej.

Prometeusz notuje nasze propozycje. Dziwne, że tak baliśmy się go na początku, a teraz wydaje nam się niemal przyjacielski.

- Przez zmęczenie starego, skostniałego systemu.
- Kto to powiedział?

Proudhon podnosi rękę.

- Nieźle. Są takie chwile, że zachowanie dawnego systemu działa uspokajająco, a potem nagle ludzie nie mogą go dłużej znieść. Jednakże jeśli zbadamy historię, to stwierdzimy, że niewiele ludowych rewolucji odniosło istotny skutek. Nawet zamieszki spowodowane głodem w większości przypadków zostały z łatwością opanowane. A zatem, co takiego powoduje nagle zawalenie się systemu, i to na dobre?

Prometeusz bierze kredę i notuje: „Spiski zagraniczne”.

- Większość zamachów stanu została zorganizowana przez obce kraje w celu osłabienia ich sąsiada. Biorąc przykład z Ziemi 1: w 1917 roku tajne służby niemieckie wywołały

rewolucję rosyjską, aby w ten sposób osłabić front wschodni. To nie przypadek, że niemiecki pociąg umożliwił Leninowi potajemny powrót do kraju. Z kolei Rosjanie sfinansują i będą chronić bandę chińskich komunistów w 1949 roku, aby Mao mógł dojść do władzy. A tym samym wspomóc front południowy. Następnie Chińczycy wspomogli materialnie, logistycznie, a najprawdopodobniej również wysłali żołnierzy na wojny w Korei, Wietnamie, Laosie i Kambodży. Oczywiście tego się nie podaje oficjalnie - dorzuca.

Mistrz pomocniczy wiesza mapę naszej Ziemi 1 i pokazuje kolejne kraje.

- A to może być jeszcze bardziej nikczemne. Jeden kraj może podzegać do rewolucji po to, aby powstał marionetkowy rząd. Bo rewolucja może też być dla sąsiedniego kraju sposobem na zaoszczędzenie na wojnie. I przekonacie się na zajęciach innych nauczycieli, że nie ma stu sposobów na zdobycie surowców oraz stref wpływów: albo po prostu inwazja, albo dobrze wynegocjowane na waszą korzyść porozumienia. Aby druga opcja okazała się sukcesem, potrzebny jest marionetkowy rząd, który będzie wam wdzięczny. A do tego potrzeba niewielkiej grupy zdeterminowanych ludzi. Czasami wystarczy jeden generał, a nawet niskiej rangi oficer dysponujący magazynem broni i niewielką ilością pieniędzy.

- Ale przecież miały miejsce także prawdziwe rewolty - oburza się Proudhon.

167

- Tak? To proszę.

- Komuna Paryska.

- To prawda. Ale nie trwała długo i zakończyła się jatką. Chcę was nauczyć, że lud nie potrafi sam się zbuntować. Nawet jeśli jest głodny, nawet jeżeli narzeka na niesprawiedliwy rząd, nawet jeżeli istnieje zbyt duża różnica między bogatymi i biednymi, to i tak potrzebni mu są charyzmatyczni przywódcy i skarb wojenny, aby zdobył się na prawdziwą rewoltę.

- Czasami bunt wychodzi od samego rządzącego - zaznacza Raoul Razorback.

- Rzeczywiście. Właśnie chciałem do tego nawiązać. Pozostając nadal przy przykładach z Ziemi 1, sędzę, że znacie historię zbuntowanego faraona Echnatona, który chciał uwolnić swój lud od klasy kapłanów, pragnącej utrzymać go na jak najniższym poziomie. Można zatem powiedzieć, że był to „król rewolucjonista”.

Klasa potakuje.

- Ale przegrał - ucina krótko. - A zatem zbuntowany król - to nie działa. Poza tym został obalony przez spiskowców.

Potem Prometeusz opowiada nam o Hannibalu i jego próbie oswobodzenia swojego ludu.

- Wspomagany przez mieszkańców swojego kraju, wspomagany przez wiele ludów cudzoziemskich, został zdradzony przez senatorów i w końcu, po ostatniej zdradzie, popełnił samobójstwo.

Prometeusz wymienia też Spartakusa, rewolucjonistę wywodzącego się z najniższej kategorii społecznej: gladiato-rów.

- Udaje mu się zebrać armię, która niepokoi cesarstwo, ale w ostatniej chwili robi fałszywy krok.

Wymienia mnóstwo innych wyzwoleniczych przywódców, między innymi Wallace'a ze Szkocji, którzy w większości przypadków skończyli w okropnych męczarniach, aby inni dobrze zapamiętali ich śmierć.

Potem bóg-mistrz pomocniczy wraca do naszej planety. Zauważa, że jest na niej wiele ludów rządzonych „łagodnie”.

- Często władza działa w sposób wahadłowy. Po okresie łagodnym rządy twardej ręki. Po rządach twardej ręki, łagodne.

Przyczepia swój ankh i naśladuje nim ruchy wahadła w zegarze.

- Jednak ważne jest zawsze zdobycie wsparcia ludu. Nawet najbardziej cyniczni dyktatorzy muszą stworzyć klimat niezadowolenia, chcąc obalić istniejącą władzę. Nie można stworzyć burzy bez uprzedniego przygotowania czarnej chmury. Lud się programuje i manipuluje nim. Lecz także się go słucha. Lud to kapryśne dziecko, które zawsze chce czegoś innego niż to, co już ma. Po spokojnych rządach prawicy chce rządu lewicowego. Powstaje pytanie: czy niezadowolenie ludu wywodzi się od spiskowców, czy też spiskowcy wywodzą się z niezadowolenia ludu?

Przyglądam się widocznym w sali rewolucyjnym elementom, jakbym chciał znaleźć w nich początek odpowiedzi.

- Pomimo tego, co wam przed chwilą powiedziałem, większość rewolucji wyznacza przejście między dwoma rodzajami polityki. To może

168

przyczynić się do rozwoju, ale również może spowodować cofnięcie się. Znanymi są przypadki krajów, które zbyt wcześnie uległy demokratyzacji, więc wznieciły rewolucję, aby przywrócić władzę tyranom. Ci zaś oczywiście natychmiast narzucili im system feudalny, przeciw któremu już się nie zbuntowali.

Prometeusz huśta swoim ankh w przód i w tył.

- Popatrzmy, co my tu mamy. Najbardziej rozwinięte ludy właśnie przechodzą z monarchii despotycznej do monarchii zrównoważonej przez zgromadzenie ustawodawcze. Ale róbcie to pomału. Rządy parlamentarne dobrze funkcjonują wtedy, kiedy istnieją:

a) duże miasta, b) ludność potrafiąca czytać i pisać, a zatem szkoły, i wreszcie, c) klasa średnia.

Pisze dużymi literami: „klasa średnia”.

- Co to jest klasa średnia? To klasa buforowa, która nie jest ani klasą ciemną, ani zepsutą przywilejami. A więc potrafi głęboko myśleć i działać. To zwykle od niej pochodzą elementy „liberalizatorskie”. Przygotowując rewolucje, myślcie zawsze, aby oprzeć się na klasach średnich oraz studentach. Często jest tak, że analfabeci oraz biedota są takimi odwetowcami, że mogą tylko spowodować powstanie większych dyktatur niż te, które właśnie obalili...

Wielu uczniów jest zaszokowanych, iż w ten sposób potraktowana została cała klasa społeczna.

- Jak może pan tak mówić? - woła Sarah Bernhardt.

- Aby w mądry sposób rządzić ludem, potrzeba pogody ducha. Kiedy jest się głodnym lub rozgniewanym, o pogodzie ducha nie może być mowy. Spójrzcie na te rewolucje, które zakończyły się utworzeniem systemów mafijnych... Należy unikać uproszczeń. Nie wszyscy biedni są cnotliwi, nie wszyscy bogaci to egoiści.

Przez rzędy przebiega pomruk dezaprobaty.

- Ale przecież to nie wina... biednych, że są biedni! - oburza się aktorka.

Prometeusz masuje ranę na wątrobie.

- Sedno problemu dotyczy edukacji. Biedni przez większość czasu marzą tylko o jednym: stać się bogatymi i zająć ich miejsce. Nie chcą równości, chcą zastąpić jedną kastę drugą. Czasami nawet chcą zobaczyć, jak bogaci cierpią, i to już wystarczy im do szczęścia. Nie bądźcie naiwni!

Przypomina mi się scena z życia Kouassi Kouassi. Ghański sabota-żysta mówił właśnie: „Nie, nie zależy nam, żeby mieć to samo, co wy. Pragniemy zabrać wam to, co macie, żebyście już tego nie mieli”.

- To nie jest „politycznie poprawne” - kontynuuje Prometeusz. - Ale tak właśnie myślę i z przykrością muszę stwierdzić, że to najczęściej klasy średnie cechuje wystarczająca przenikliwość, aby nie powielić schematu ciemnienia jednej grupy społecznej przez drugą.

W tej chwili słychać kilka gwizdów. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby jakiś bóg-mistrz pozwalał tak się ze sobą spierać. Jeśli o mnie chodzi, to czytałem fragmenty książki Francisa Razorbacka i pamiętam, że Prometeusz jest mimo wszystko bogiem, który stanął po stronie ludzi

169

przeciw bogom olimpijskim. Widzę w jego osobowości pewien paradoks. Chyba, że to znowu prowokacja.

Prometeusz przechadza się między nami i ogłasza:

- Widzę, że niektórzy z was zaszokowani są moimi słowami. Chciałbym im więc opowiedzieć o mało znanej w historii postaci, która jednak znalazła się w samym centrum największej rewolucji, jaka miała miejsce na Ziemi 1: królu Francji, Ludwiku XVI.

Pisze na tablicy jego imię.

- Chcacie, żebym wam przedstawił moją wizję tego, co wydarzyło się podczas Rewolucji Francuskiej 1789 roku?

Przez salę przebiega pomruk wyrażający nieufność. Ludwik XVI uważany był zawsze za przeciętnego władcę.

- Najpierw przypomnijmy sobie waszą historię. Zacznę od Ludwika XIV króla-dyktatora, który nazwał się Królem Słońce, ale przede wszystkim był królem-tyranem. Zapoczątkowuje on realizację istic faraonńskiego projektu: Wersalu. Ogrody, pałace, luksus i zbytki, a to wszystko po to, żeby utrzymać i kontrolować dwór zdeprawowanych szlachciurów. Aby opłacić te ponadwymiarowe kaprysy, ustanawia dodatkowe podatki. I na dodatek angażuje się w wojny na wszystkich granicach państwa. Wojny, które zresztą w większości kończą się klęską. Co również drogo kosztuje. Rezultat: Francja jest zrujnowana, na wsi panuje głód. Tam też wybucha kilka chłopskich buntów, które jednak szybko zostają krwawo stłumione. Ludwik XIV umiera, a gorący ziemniak dostaje się Ludwikowi XV. Ludwik XV nie robi nic, rządzi tak, aby zyskać na czasie, i przekazuje jeszcze bardziej gorącego ziemniaka Ludwikowi XVI. Ten ostatni nie jest geniuszem, ale ma dobre intencje. Sprawdza, jaki jest stan kraju i zauważa, że system ledwie się trzyma, ponieważ kasta ludzi, którzy posiadają przywileje z urodzenia, czyli arystokracja, nie tylko dzierży ogromną władzę, ale jeszcze nie płaci podatków.

Dziwna analiza historii. Bez wątpienia nigdy nie przedstawiano nam naszych królów w ten sposób.

- Ludwik XVI stwierdza istnienie tych nierówności i co robi? Postanawia posłużyć się ludem, aby obalić baronów, hrabiów oraz innych książąt, którzy nierzadko sieją terror na swoich ziemiach.

Prometeusz zauważa nasze zdziwienie i z wyraźnym zadowoleniem mówi dalej:

- A zatem Ludwik XVI zwraca się bezpośrednio do ludu, aby go zapytać o zdanie.

Wstaje, żebyśmy go dobrze słyszeli.

- Przypomnijcie sobie. To będą sławne Zeszyty zażaleń - wspaniały projekt, polegający na pytaniu prostych ludzi, jakie są ich codzienne problemy.

Prometeusz podchodzi do jednej z szuflad i wyjmuje z niej gigantyczny zbiór dokumentów.

- Oto kilka z nich. To tak niezwykle pomysł, że postanowiliśmy część z nich odtworzyć w Olimpii. Na pewno wyobrażacie sobie, czym były owe Zeszyty zażaleń. Ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwym świa-

dectwem na temat francuskiej prowincji! Dowiadujemy się z nich, jakie kłopoty dręczą chłopów, czytamy o panującej na wsi biedzie, o życiu rzemieślników, o życiu księży. To pierwszy obiektywny sondaż danego społeczeństwa. Poza tym to tekst, w którym nie mówi się o wojnach ani o księżących ślubach, lecz o prawdziwym życiu 99% ludności tamtego wieku.

Zaczynamy rozumieć, dokąd zmierza nasz nauczyciel.

- Problem polega na tym, że lud, wyrażając swoje bóle, bardziej zdał sobie sprawę z ich istnienia. I od razu jego gniew wobec rządzących zwielokrotnił się. To trochę tak, jakby kłozard nagle stanął nagi i zobaczył wszystkie swoje krosty, rany, zmiany spowodowane łuszczycą. Oczywiście wcześniej go to swędziało, ale dopóki nie wiedział, co to jest, nie denerwował się z tego powodu. A tu nagle, dowiedziawszy się, jest przerażony i zaczyna panikować. Klasyczne zachowanie. Zdejmując zasłonę, pod którą skrywa się nieczystości, czujemy smród.

Krąży po prawej stronie klasy i nagle wśród wiszących portretów wielkich buntowników dostrzegamy Ludwika XVI. Ale nie ma tam Robespierre'a, nie ma Lenina, Mao Zedonga, czy też Fidela Castro. Nie ma w tej galerii żadnego z naszych „oficjalnych ziemskich buntowników”. Prawdopodobnie w świecie bogów, skąd widać to, co się dzieje naprawdę, z pominięciem propagandy i prania mózgow, uznano, że nie są godni znaleźć się w gronie prawdziwych obrońców ludu.

- Ludwik XVI zdał sobie sprawę z rozmiarów problemu i faktu, że nie da się go tak od razu rozwiązać. Decyduje się zatem rozpocząć od przeprowadzenia kilku reform. Aby pomóc sobie w tym przedsięwzięciu, mianuje nowym premierem technika ekonomii: Turgota. Znosi przywileje feudałów, narzuca obowiązkowy dla wszystkich podatek, także dla szlachty.

Zmęczony Prometeusz ponownie siada za biurkiem.

- Wcześniej nikt się na coś takiego nie odważył. Ludwik XVI ma więc przeciw sobie z jednej strony arystokrację plus lud, który zaczyna wreszcie rozumieć, że od dłuższego czasu jest oszukiwany.

Prometeusz stara się wywołać wrażenie.

- Dalszy ciąg znacie. Lud wychodzi na ulice, król ucieka, zostaje zdradzony, zatrzymany i w końcu osądzony, skazany i zgilotynowany, tak samo jak i jego rodzina. Tak właśnie lud dziękuje tym, którzy chcą go oswobodzić. Ale to jeszcze nie wszystko. Kilka lat później, po krwawej rewolucji lud wybiera przeważającą większością głosów kolejnego charyzmatycznego przywódcę, który sam ogłasza się cesarzem i razem ze swoją rodziną tworzy nową szlachtę, korzystając z jeszcze większych przywilejów. Nowy cesarz buduje armię, aby prowadzić wojny ze wszystkimi sąsiadami. Wojny, które po raz kolejny zrujnują kraj i zabiją wszystkich młodych mężczyzn, zostawiając ich wśród lodów ośnieżonej Rosji. A

najdziwniejsze jest to, że lud naprawdę uwielbia swojego cesarza i długo będzie czuł za nim nostalgię.

W sali wykładowej zapada długa cisza.

- Lud to rzecz święta - protestuje Proudhon.
- Raczej strasznie głupia, to tak.

171

Prometeusz otwiera szufladę, wyjmuje z niej plik kartek, czyta je, a następnie kontynuuje wykład.

- „Francuzi są jak cielęta”, twierdził wasz kolejny charyzmatyczny przywódca, Charles de Gaulle. Ja bym raczej powiedział: jak stado owiec. Już przerabialiście z moim poprzednikiem epizod opowiadający o owcach Panurga, które idą za tym, kto stoi na czele. Ja dodałbym, że boją się władzy, czyli pasterza. Boją się go i ze zwykłego wygodnictwa są mu posłuszne, nawet się nad tym nie zastanawiając. I kochają go. Tak jak więzień kocha swojego strażnika, a niewolnik swojego pana. I wszyscy, podobnie jak owce, ugryzienie psa traktują jako coś naturalnego, jeśli dotyczy to wszystkich. Nawet czują się wtedy spokojniejsi. A im częściej są gryzieni, tym bardziej kochają swoich panów. Tak więc lud jest w naturalny sposób... (zapisuje na tablicy) ..., „masochistą”.

Znowu słyhać odgłosy dezaprobaty, ale mniej intensywne niż poprzednio. Czujemy niewyraźnie, że sami wywodzimy się lub też należymy do tego ludu, który Prometeusz uważa za stado.

- Lud lubi cierpieć. Lubi bać się władzy. Dziwne, prawda? I wystrzega się królów lub cesarzy, którzy mogliby okazać się wyznawcami swobodnych zasad moralnych lub liberałami. Tacy zawsze wydają się podejrzeni. Zwykle zostają szybko usunięci i zastąpieni przez twardych i reakcyjnych przywódców.

Podkreśla wyraz masochista. I zapisuje: „Kto dobrze kocha, dobrze karze” i dalej: „Im więcej się karze, tym bardziej jest się kochanym”.

Prometeusz wychodzi zza biurka i spaceruje wzdłuż rzeźb przedstawiających rebeliantów ze wszystkich planet znajdujących się we wszechświecie.

- Ludzkie owieczki nie lubią wolności, nawet jeśli beczą żałośnie w ciągu dnia, skarżąc się na jej brak, nawet jeśli śpiewają o niej pieśni, modlą się o nią, stawiają ją w centrum swoich pragnień i życzeń... I tak w głębi serca wiedzą, że byliby znudzeni, gdyby naprawdę im ją ofiarowano. Wasze ludy także nie lubią demokracji, nie lubią, kiedy ktoś je pyta o zdanie, o ile w ogóle je mają. Nie zostały w tym kierunku wykształcone. Lubią się skarżyć, narzekać, potajemnie obrażać swoich przywódców a jednocześnie, także potajemnie ich czcić. Ostatecznie każdy chciałby tylko jednego: mieć troszeczkę więcej niż jego sąsiad.

Słyhać kilka tłumionych śmiechów.

- Lubią porządek. Szanują policję. Boją się wojska. Uciszenie utopistów uważają za rzecz naturalną. Obawiają się chaosu, braku poczucia bezpieczeństwa. Nie dowierzają opiniom równych sobie, uważają, że ich sędziowie są zawsze sprawiedliwi.

Tytan kładzie dłoń na ramieniu jednej z rzeźb.

- Większość rewolucji korzysta zazwyczaj z takich samych ludzi. Ja ich nazywam „spryciarzami”. Widzieliście ich działania. Choćby w doświadczeniu ukazującym hierarchię u szczerów: jakakolwiek grupa zostanie utworzona, zawsze pojawi się w niej sześciu osobników: dwóch wyzyskiwaczy, dwóch wyzyskiwanych, jeden kozioł ofiarny i jeden samodzielny.

172

Faktycznie to doświadczenie w dużym stopniu wpłynęło na naszą pracę. Pamiętam, że poznawszy je, powiedziałem sobie: „A zatem nie ma żadnej nadziei, zmieniają się tylko mundury”.

- Chcąc usprawiedliwić ten zły los, nazywają to rewolucją. Tylko my, tu, w Olimpi, rozróżniamy prawdziwych, szczerych rewolucjonistów od spryciarzy, którym zależy tylko na zmianie rządzącej mafii. Tylko my widzimy specjalistów od propagandy i przekupionych historyków, którzy fałszują rzeczywistość i usprawiedliwiają istnienie przywilejów spryciarzy.

W jego głosie dźwięczy gniewna nuta.

- My tu widzimy. My tu wiemy. Pozostaje jednak ciągle to samo pytanie: dlaczego lud pozwala się tak łatwo oszukać? Stawiam wam to pytanie, bogowie-uczniowie.

Chwila zastanowienia.

- Łatwo manipulować ludem, ponieważ nie jest dość wykształcony - mówi spokojnie Simone Signoret.

Prometeusz gładzi bródkę jednego z marmurowych rewolucjonistów. Dziwna myśl przebiega mi przez głowę: a jeśli ta rzeźba została dostarczona przez Meduzę? Jeśli w środku nadal siedzi człeczyna, całkiem świadomie śledząc przebieg zajęć?

- Lud jest sentymentalny - rzuca Jean de La Fontaine.

- Dobrze powiedziane - mówi Prometeusz. - Lud jest sen-ty-men-tal-ny. Wystarczy więc romantyczny wywód buntownika, przebiegła propaganda i wszystko działa. Pokazuje się męczenników, rzuca oszczerstwa. Im więcej fałszu, tym bardziej działa. Składa się ludowi niemożliwe do spełnienia obietnice. Kusi się możliwością prostego rozwiązania skomplikowanych problemów. Lud nie chce znać rzeczywistości, bo wie, że często jest ona odrażająca i nie można jej naprawiać inaczej, jak małymi kroczkami, poprzez długoterminowe działania specjalistów. Lud chce takiego obrotu spraw, które pozwolą na

natychmiastową realizację marzeń, bez zadawania zbędnych pytań. Jest nawet gotów świadomie uwierzyć w kłamstwa.

W tym momencie rozlegają się narzekania.

Prometeusz pozwala, żeby bunt się wzmacniał. Całkiem niewzruszony mówi dalej, mimo że musi krzyknąć, aby przebić się przez wrzawę.

- Tak naprawdę żaden wielki historyczny przywódca z Ziemi 1 nie kochał swojego ludu.

Niektórzy uczniowie gwizdzą oburzeni. Pewnie w czasach swojej młodości byli zwolennikami politycznych działań.

- Przygotowuje pan grunt anarchistom! - krzyczy Wolter.

- Broni pan tyranów, twierdząc, że są złym losem, którego nie można uniknąć! - dodaje Jean-Jacques Rousseau, wyjątkowo zgadzając się ze swoim rywalem.

Prometeusz uderza w gong.

- Z pewnością zburzyłem wasze złudzenia na temat systemów politycznych, ale zaręczam wam, że one trzymają się tylko dzięki głębokim przekonaniom tworzących je osób.

Klasa ucisza się powoli.

173

- Jaki mamy jeszcze inny sposób, oprócz utworzenia klasy średniej, pozwalający na oswobodzenie ludu? - pyta Jean de La Fontaine, który razem z Rabelais'm jako jeden z nielicznych zdaje się cenić naszego dziwnego nauczyciela.

- Tak jak wam powiedziałem przed chwilą: edukacja.

Zapisuje na tablicy: „Zasługokracja”.

- Zasługokracja, czyli oddanie władzy nie tym, którzy są najsilniejsi fizycznie, ani dobrze urodzonym, lecz tym, którzy się najbardziej wyróżnili, czyli najlepszym uczniom. Obowiązkowa dla wszystkich szkoła spowoduje pomieszczenie klas społecznych, pogodzenie różnych wartości, umożliwi spotkanie osób wywodzących się z różnych kultur.

Odwraca się w naszą stronę.

- Rozwijajcie więc powoli, lecz skutecznie klasę średnią, która wesprze system szkolnictwa, pozwalający najbiedniejszym na zajmowanie, dzięki ich pracy i talentom, wyższej pozycji w społeczeństwie. To właśnie sposób na wprowadzenie mniej „niesprawiedliwego” ustroju społecznego. Prawdziwą rewolucję przygotowuje się powoli, od szkoły począwszy.

Proudhon nie wydaje się przekonany.

- Właśnie zaproponował nam pan stworzenie systemu opartego na burżuazji, rodzaj miękkiego konsensusu, który zawdzięcza się szkole?
- Ma pan lepszy pomysł?
- Tak, system bezpośrednich rządów ludu.
- Dobrze pan wie, drogi panie Proudhon, że to niemożliwe.
- A rewolucja kambodżańska?
- Pol Pot? Mam nadzieję, że pan żartuje. Oczywiście popchnął on nieokrzesanych chłopów do masakrowania intelektualistów i mieszczan, ale znamy tego rezultaty. Kraj pogrążony w nędzy, podczas gdy on stworzył nową klasę mafijnych przywódców, utrzymujących się z handlu narkotykami. W kraju zapanował despotyzm, rujnując jego przyszłość ekonomiczną i moralną.

Proudhon milknie i mamrocze pod nosem coś, co można zrozumieć jako stwierdzenie, że Olimpia już jest królestwem drobnej burżuazji.

Prometeusz zaprasza nas do rozpoczęcia kolejnej partii.

Podchodzimy do Ziemi 18. Szybko chwytam mały taboret, aby móc lepiej widzieć ziemię wielorybów. Co się miało stać, to się stało. Lud orłów całkowicie unicestwił stolicę wielorybo-delfinów. Przykro mi, Fred-dy, że nie potrafiłem kierować twoim ludzkim stadem.

- Macie czas na zastanowienie się, potem wszyscy biorą sprzęt i zaczynamy partię.

Dyskretnie grzebię w torbie, aby znaleźć jakiś pomysł, który pomoże mi zlikwidować Raoula.

Potrzebny mi jest bohater, ktoś wywodzący się z ludu, kto umiałby wykorzystać słabości systemu orłów.

174

55. ENCYKLOPEDIA: SPARTAKUS

W 73 roku przed Chrystusem wybucha bunt w szkole gladiatorów w Kapui. Przywódca buntowników jest z pochodzenia Trakiem i nazywa się Spartakus. Podczas buntu Spartakusowi udaje się uciec wraz z 70 innymi gladiatorami. Atakują wóz przewożący broń i tworzą oddział zbrojny. Udają się w stronę Neapolu, a po drodze dołączają do nich tysiące niewolników. Rzymski rząd wysyła przeciw nim drobne oddziały, lecz gladiatorzy stawiają zaciekle opór i zmuszają je do ucieczki.

Tymczasem rzymscy generałowie odmawiają wysłania wojska, gdyż uważają, że gladiatorzy nie są godni walki z prawdziwymi żołnierzami.

W grudniu 73 roku przed Chrystusem oddziały Spartakusa liczą już 70 000 uzbrojonych ludzi, kroczących pod wspólnym sztandarem. Kierują się na północ Italii i w marcu 72 roku przed Chrystusem docierają do Niziny Padańskiej. Tym razem Rzym decyduje się wysłać

wojsko. Ale jest już za późno. Gladiatorzy i niewolnicy, pod dowództwem Spartakusa, który okazuje się doskonałym strategiem, zwyciężają kolejne legiony, najpierw konsula Gelliusza, potem konsula Lentulu-sa, następnie prokonsula Kasjusza. Po tych zwycięstwach Spartakus decyduje się dotrzeć do Rzymu. Mieszkańcy stolicy drżą ze strachu. Wtedy bardzo bogaty senator Krassus postanawia stworzyć armię, która stawi czoła temu zagrożeniu. Udaje mu się odsunąć oddziały Spartakusa aż do półwyspu Rhegiun, do którego dostęp zamyka za pomocą ufortyfikowanego rowu długości 55 km. W styczniu 71 roku przed Chrystusem Spartakusowi udaje się przerwać blokadę. Bitwa trwa długo i kończy się zwycięstwem Krassusa. W celu zapobieżenia nowym buntom niewolników lub gladiatorów 6000 jeńców zostaje ukrzyżowanych wzdłuż 195-kilometrowej drogi wiodącej z Rzymu do Kapui.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

56. CZAS HEGEMONII. ORŁY

Lud orłów pokonał lud wielorybo-delfinów i zniszczył ich port, zemścił się tym samym za zniewagę doznaną od młodego generała delfina, nazywanego Wyzwolicielem, którego imię w księgach historycznych szybko zamieniono na „Kłamcę”.

Ludzie-lwy odzyskali niemal całkowicie wschodnią część terytorium, które należało do nich w czasach największej świetności. Na wybrzeżu południowo-wschodnim zagarnęli odziedziczone po przodkach terytorium ludzi-delfinów. Na morzu opanowali wyspę ludzi-byków, port ludzi-śledzi. Na lądzie odsunęli ludzi-szczury aż do gór oraz zajęli te-

175

rytorium ludzi-sokołów. Ich nowe strefy wpływów rozciągały się aż po terytorium ludzi-termitów, gdzie po jednej z nielicznych klęsk militarnych wzniesli ufortyfikowaną granicę.

Na północy ludzie-orły odnieśli zwycięstwo w walkach z ludźmi-koń-mi oraz ludźmi-niedźwiedziami. Mieli już także wspólną granicę z ludźmi-wilkami.

Odnosili zwycięstwo za zwycięstwem. Najczęściej ludzie-orły nawet nie musieli walczyć, gdyż ich sława skłaniała inne ludy do poddania się przed rozlewem krwi.

Za każdym razem ludzie-orły brali niewolników i włączali ich do swojej ogromnej armii, dostarczali na okręty w charakterze galerników lub wykorzystywali jako siłę roboczą. Niektóre ludy same starały się

0 to, aby zostały odkryte przez zwiadowców Republiki (nie mówiono już nawet o „orłach”, tak było dla wszystkich oczywiste, że istnieje tylko jedna prawdziwa Republika, a pozostałe to tylko nadęte królestwa)

1 podpisały jak najszybciej traktat pokojowy. Obciążano ich wówczas podatkiem. Musieli także dostarczyć żołnierzy oraz swoje najlepsze surowce.

Stolica ludzi-orłów stała się megalopolis zarządzanym przez rozbudowaną administrację. Pojawiła się klasa inteligencji, potem mieszczaństwa. Lud orłów przestał pracować, zmuszając do ciężkiej harówki cudzoziemskich niewolników. Aby zabawić nowobogackich, znudzeni banalnymi walkami kogutów lub psów ludzie-orły organizowali dla nich walki niewolników.

Wtedy młody generał orzeł postanowił podbić Północny Zachód. Była to strefa ludzi-kogutów, którzy zawarli kiedyś pakt z Wyzwolicielem. Małomówny młody człowiek o wydłużonej twarzy, z białym kosmykiem rozjaśniającym ciemne włosy, ukończył z pierwszą lokatą szkołę oficerską. Pasjonowała go sztuka wojenna, ale również odkrywanie obcych kultur. Koledzy nazwali go „Biały Kosmyk”. Tak długo studiował strategię bitew generała ludzi-lwów oraz Wyzwoliciele, aż nauczył się ich na pamięć. Nauczył się także mówić językiem ludzi-kogutów.

Biały Kosmyk stanął na czele pięciu legionów i przeszedł przez góry leżące na zachodniej granicy kraju.

Wojna ludzi-orłów z ludźmi-kogutami była jedną z najlepiej zorganizowanych wojskowych kampanii epoki. Ludzie-koguty stanowili federację plemion i nie mieli scentralizowanej władzy. Biały Kosmyk w każdej bitwie postępował w ten sam sposób. Najpierw rozmieszczał swoje oddziały na obrzeżach nieprzyjacielskiego obozu. Wysyłał zwiadowców, aby dowiedzieć się, z jakimi siłami przyjdzie mu walczyć. Kazał przynosić sobie raporty, na podstawie których redagował wielkie dzieło na temat obyczajów plemion kogutów.

Na swój sposób podziwiał je. Zresztą w swojej księdze Wojna kogutów bardzo pochlebnie wypowiadał się o urodzie ich kobiet, odwadze ich wojowników, delikatnej melodii ich akcentu, gastronomii, malarstwie, sztuce ubierania się. Był to pierwszy generał „etnolog”. Proponował następnie tym ludom, aby poddały się, unikając w ten sposób rzezi. One zazwyczaj odmawiały i Biały Kosmyk mordował je z żalem.

176

Jego dewizą było: „1) zdobyć informacje, 2) zastanowić się, 3) działać”. I faktem jest, że dzięki dobrym informacjom i przemyślanym działaniom jego akcje były do końca skuteczne.

Po odniesieniu zwycięstwa prosił żołnierzy, aby ograniczyli grabieże i kazał ścinać głowy tylko królom i wodzom poszczególnych wsi, darując życie pozostałym dygnitarzom.

Żołnierze koguty byli dziesięciokrotnie liczniejsi niż żołnierze orły, a i tak nic to nie zmieniło. Generał Biały Kosmyk kontynuował pisanie swojej ąsasi-naukowej księgi Wojna kogutów. Postępował jak kolekcjoner motyli, zabijając te okazy, które mu się podobały, aby zapewnić im nieśmiertelność. Był bowiem przekonany, że dzięki jego książce potomność dowie się o istnieniu takich ludów. Był świadom tego paradoksu i próbował wytłumaczyć to pokonanym ludziom-kogutom. „Dzięki mnie - mówił - za dwa tysiące lat ludzie będą wiedzieli, że kiedyś istnieliście”.

Biały Kosmyk poprosił nawet swojego osobistego rysownika, aby przedstawił je z możliwie największym realizmem.

Kiedy wreszcie charyzmatycznemu generałowi ludzi-kogutów udało się połączyć ostatnie plemiona, by wspólnie stawić opór wcale nie takim licznym legionom Białego Kosmyka, było już za późno. Armia generała koguta odniosła dwa niewielkie zwycięstwa i trzy wielkie klęski. Ścigany przez ludzi-orły generał razem z resztkami swoich żołnierzy ukrył się w fortecy. Zostali otoczeni przez wojska Białego Kosmyka. Oblężenie trwało wiele miesięcy. Wygłodniali ludzie-koguty walczyli mężnie. I czekali na posiłki. Lecz one nadeszły o jeden dzień za późno. Generał kogut poddał się, żądając w zamian ocalenia życia swoich towarzyszy.

Biały Kosmyk zczekał, aż obrońcy złożą broń, następnie kazał zakuć w łańcuchy generała koguta, przywiązał go do swojego rydwana i pokazywał na ulicach, po czym więził przez wiele tygodni w klatce, aż wreszcie ściął mu publicznie głowę.

Jednak Biały Kosmyk dotrzymał obietnicy: nie zabił żołnierzy, którzy stawili mu czoła podczas oblężenia... Wysłał ich na orle okręty jako galerników.

Jego książka spotkała się z ogromnym oddźwiękiem. Dzięki zwycięstwu oraz swojemu wrodzonemu zmysłowi propagandy, Biały Kosmyk zyskał wielką popularność. Jednak to mu nie wystarczało. Wybrał się na podbój Południa, chcąc zaatakować ziemię ludzi-skarabeuszy, rządzonej przez buntowniczą królową wywodzącą się z ludu lwów.

Tymczasem władczyni, zamiast mu się oprzeć, zaproponowała spontanicznie przymierze. Zrobiła to tak przekonująco, że po okresie ciągłego wojowania postanowił trochę odetchnąć. Pozostawiając chwilowo swój generalski rynsztunek, Biały Kosmyk próżnował w pałacach królowej skarabeuszy-lwów.

Lecz Biały Kosmyk był już żonaty z kobietą-orłem, toteż lud, podziwiający go jako wspaniałego stratega i etnologa, zgorszył się na wieść, że ich bohater otwarcie zdradza małżonkę z cudzoziemską królową.

Strasznie rozgniewany pogromca ludzi-kogutów wrócił do stolicy, gdzie nadal silna była jego sława niezwycięzonego wojownika, i zde-

177

cydował się obalić Republikę, ogłaszając się jedynym władcą z tytułem cesarza ludzi-orłów.

Przerażeni senatorowie, obawiając się o swoje życie, zawiązali spisek. W chwili, kiedy Biały Kosmyk ogłaszał obalenie rządu, senatorowie wyjęli noże i napadli na niego, krzycząc: „Śmierć tyranowi!”. Otrzymał prawie sto ciosów nożem. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Ja umieram, lecz moja legenda przetrwa”.

Wszyscy senatorowie zostali zatrzymani i rzućeni na pożarcie lwom na znajdującej się w stolicy arenie. Tytuł cesarza odziedziczył, nie robiąc nic w tym kierunku, jeden z kuzynów Białego Kosmyka. Machina umacniania władzy została wprawiona w ruch. Od tej chwili

rządy były jeszcze bardziej scentralizowane. Gorliwi ministrowie wydali dekret, w którym ogłosili, że imperator jest wcieleniem boga na Ziemi.

Ale za władzę trzeba płacić. A na tym poziomie pociągała za sobą pożądanie. Pierwszy cesarz został otruty przez własną żonę, która umieściła na tronie najstarszego syna. Ten zaś po kilku latach rządów został zabity przez młodszego brata. Jego z kolei zdetronizował wuj, którego następnie zasztyletował kochanek, sam ogłaszając się cesarzem. Podczas wielkiej, pełnej przepychu uroczystości kazał politykom i kapłanom przekazać sobie atrybuty władzy.

Jednak został niebawem uwięziony i ukarany przez wspomaganą przez generała siostrę jednego z poddanych. Tron więc znowu zmienił właściciela. Trzeba było czterech ciosów sztyletem, około dwudziestu otruc i wielu spisków, zanim tytuł cesarza powrócił przez przypadek do bezpośredniego potomka Białego Kosmyka. Lecz wydawało się, że wszyscy, którzy sięgają po tron, są przeklęci i nie mogą uniknąć śmierci.

Podczas gdy cesarstwo nigdy nie było tak potężne militarnie i ekonomicznie, to jego władcy zmieniali się w ogromnym tempie. Patrząc z zewnątrz, wewnętrzne walki w ludzie orłów widoczne były tylko w zmieniających się twarzach na monetach.

57. ENCYKLOPEDIA: INDOEUROPEJCZYCY

Począwszy od XVII wieku, wielu specjalistów zajmujących się językami, zwłaszcza pochodzących z Niderlandów, stwierdziło pewne zbieżności pomiędzy łaciną, greką, perskim i nowożytnymi językami europejskimi. Sądono wówczas, że wspólnym punktem okaże się lud Scytów. Pod koniec XVIII wieku William Jones, zafascynowany filologią angielski urzędnik pracujący w Indiach, odkrył z kolei powiązania tych języków z sanskrytem, czyli świętym językiem Hindusów. Jego badania zostały na nowo podjęte przez innego Anglika, Thomasa Younga, który w 1813 roku tworzy termin „indoeuropejski” i wysuwa hipotezę dotyczącą istnienia jednego ludu, który po kolei najeżdżał sąsiednie kraje i rozpowszechniał w nich swój język.

178

Termin został ponownie użyty przez dwóch Niemców, Friedricha von Schlegela i Franza Boppa, którzy odnaleźli podobieństwa pomiędzy językiem afgańskim i bengalskim a łaciną, ale również językiem greckim, hetyckim, dawnym językiem irlandzkim, gotyckim, starobułgarskim i staropruskim.

Od tego momentu historycy próbują odtworzyć historię owego sławnego ludu indoeuropejskich najeźdźców. Wydaje się, że pierwotne plemię „indoeuropejskie” zamieszkiwało północne tereny Turcji. Był to lud zorganizowany w kasty. Udomowili konia, potrafili wytwarzać wozy bojowe oraz kuć żelazo. Co im dało przewagę nad przeciwnikami używającymi koni wyłącznie do transportu żywności oraz znającymi tylko miedź i brąz.

Indoeuropejczycy wyznawali kult wojny. Tak właśnie podbili, nawrócili na swoją wiarę i „odzyskali” swoich najbliższych sąsiadów: Hetytów, Tocharów, Lykienów, Frygijczyków, Traków (ludy te całkowicie wyginęły pod koniec starożytności). Następnie podbili terytoria

zamieszkałe przez Irańczyków, Greków, Rzymian, Albańczyków, Ormian, Słowian, Bałtów, Germanów, Celtów i Saksonów. Tylko niektórym ludom udało się uniknąć indoeuropejskiej inwazji i zachować język przodków: zwłaszcza Finom, Estończykom oraz Baskom.

Szacuje się dzisiaj, że około dwóch i pół miliarda ludzi, a więc prawie połowa ludzkości mówi językiem pochodzenia „indoeuropejskiego”.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

58. TRZECIE ROZPROSZENIE DELFINÓW

Z chwilą, gdy ludzie-orły rozpoczęli oblężenie stolicy ludzi-wielory-bów-delfinów, część z nich postanowiła wziąć najlepsze statki i uciec nocą. Prowadzili ich starsi mężczyźni-delfiny, mający jeszcze w pamięci scenariusze wielu zbiorowych ucieczek.

Tak więc dwanaście dużych statków znalazło się na wodzie.

Siedem pierwszych zostało przechwyconych lub zatopionych podczas nocnej bitwy z flotą kontrolowaną przez ludzi-delfiny. Statki uciekinierów płonęły od wystrzeliwanych przez nieprzyjacielskie katapul-ty zapalonych głów. Dzieła dokończyły ostrza dziobów, wbijając się w kadłuby ich okrętów.

Pięć okrętów, którym udało się wyjść z bitwy cało, zawdzięczało to zręczności swoich kapitanów oraz korzystnym wiatrom.

Kiedy ocaleni ludzie-wieloryby-delfiny znaleźli się poza zasięgiem orlej floty, postanowili się rozdzielić, chcąc w ten sposób zwiększyć swoje szanse na przeżycie.

Załoga ósmego statku zdecydowała się skierować na wschód i powrócić na ziemię należącą do przodków delfinów. Ten właśnie pierwszy do-

179

tarł do celu. Wtedy marynarze odkryli, że ich ziemia również znajduje się pod okupacją orłów, którzy posadzili na tronie marionetkowego króla, całkowicie oddanego ich imperium, oraz narzucili prawo wojenne, nakładające na ludność ogromne podatki.

Zaledwie okręt wielorybów-delfinów dobił do brzegu, zostali pochwyteni i wsadzeni do więzienia. Tam, odizolowani od świata, postanowili zachować historię swojego ludu, aby nigdy, nawet w najtrudniejszych momentach, nie zapomniano o ich kulturze. Zaczęli więc pisać książkę przygodową, w której w historii fikcyjnych postaci ukryli zakodowaną historię wielorybów-delfinów. W innej książce, o charakterze baśni, przemycili informacje naukowe z zakresu chemii, astronomii, matematyki. Tylko ci, którzy znali kod, mogli odszyfrować zawarte w niej informacje. Starano się bowiem, aby żadna z przyszłych tyranii nie uznała książki za wywrotową.

Jednakże poza intelektualnym aspektem więźniowie wieloryby-delfiny uznali, że trzeba wymyślić święta związane z ważnymi rocznicami wydarzeń z ich historii, tak aby rozproszony po całym świecie lud mógł wspominać swoją historię (ich ucieczka ze stolicy delfinów została nazwana Trzecim Rozproszeniem).

Na pamiątkę ataku ludzi-szczurów oraz ucieczki przez morze mieli jeść gryzonia (raczej królika, ponieważ szczur nie wydawał się zbyt apetyczny).

Na pamiątkę zbudowania swojej własnej wielkiej stolicy mieli w swoich ogrodach budować szałas.

Na pamiątkę potopu, który zatopił Wyspę Spokoju, mieli wypijać łyk słonej wody.

Na pamiątkę ucieczki przez pustynię z terytorium ludzi-skarabeu-szy mieli zjadać trochę piasku.

Dorzucili do tego rytuał upamiętniający wojnę przeciw ludziom-orłom: zjedanie jajka (oczywiście kurzego, ponieważ jaja orłów trudno było zdobyć), aby w ten sposób pamiętać o eposie Wyzwoliciele, który najpierw podbił orły, a potem darował im życie.

Dziewiąty statek delfinów został zatopiony przez przepływający w pobliżu okręt piratów.

Dziesiąty popłynął na południe i przybił do wybrzeża, którego mieszkańcy wymordowali załogę, nie pozostawiając nawet czasu na żadne rozmowy.

Statki jedenasty i dwunasty odpłynęły na zachód i, poszukując Wyspy Spokoju, musiały stawić czoła wodom oceanu.

Ich podróż trwała długo i była bardzo męcząca.

Walcząc z kolejnymi rewoltami, nawałnicami i głodem, w końcu również zdecydowali się rozdzielić, aby w ten sposób zwiększyć szanse odnalezienia wyspy. Jedenasty statek skierował się na północny zachód, dwunasty na południowy zachód.

W końcu jedenasty statek dotarł do wybrzeży kontynentu. Zamieszkiwał go lud indyków, którzy przyjęli ich początkowo z nieufnością, lecz później zauroczyła ich wiedza wielorybów-delfinów oraz przedmioty, którymi się posługiwali. Wytworzyły się między nimi relacje

180

oparte na wzajemnym zaufaniu, co pozwoliło na rozwój kontaktów. Ludzie-wieloryby-delfiny nauczyli swoich gospodarzy pisma, matematyki i rolnictwa, a także budowy miast. Sami nie dbali o zbudowanie własnego miasta, woleli żyć pod gołym niebem jako wolni nomadowie niż pozwolić się zamknąć w murach. Przyjęli jednak idee zgromadzenia mędrców oraz głosowania przez podniesienie ręki przy podejmowaniu wszystkich ważnych decyzji. Przystosowali sobie również ekstrawagancki pomysł dosiadanania koni, co pozwalało przemieszczać się szybciej.

Co do dwunastego statku, żeglującego na południowy zachód, przybił on do ziemi ludzi-iguan. Tam wyczerpani podróżnicy spotkali się z serdecznym przyjęciem. Przedstawiono ich natychmiast królowi, który uklęknął przed nimi. Takie zachowanie od razu wzbudziło ich nieufność. A to jeszcze nie był koniec niespodzianek.

Król mówił językiem bardzo zbliżonym do mowy delfinów, tak że mogli go zrozumieć. Wyjaśnił im to dziwne zachowanie. Kiedyś na tej samej plaży wylądowali ludzie-delfiny. Lud iguan otrzymał od nich wiele dobra. Nauczyli go liczyć, pisać, uprawiać ziemię. Pokazali ludziom-iguanom, jak buduje się piramidy, nauczyli rozpoznawać gwiazdy na niebie. Potem odpłynęli, powiedziawszy im na pożegnanie: „Pewnego dnia inni ludzie-delfiny tak samo jak my przybiją do brzegów tej plaży. Oni przywiozą wam dalszą część naszej nauki”. Dlatego właśnie, kiedy dotarli tu żeglarze-delfiny, potraktowano ich jak kogoś długo oczekiwanego. W triumfalnym pochodzie przeszli główną ulicą stolicy, z okien rzucano im kwiaty, a radosny tłum skandował ich imię.

Tak więc ludzie-delfiny zamieszkali u ludzi-iguan, ciesząc się nowym dla nich komfortem życia. Szybko porozumieli się w sprawach związanych z techniką i sztuką. Ludzie-iguan słuchali ich z zainteresowaniem, łapczywie chłonąc całą mądrość pochodzącą z ust tych tajemniczych ludzi. Pokazali im, że potrafili dobrze wykorzystać wiedzę, którą otrzymali od ich poprzedników. Zbudowali obserwatoria, z których przyglądano się niebu, oraz stworzyli dokładne mapy przedstawiające gwiazdy. Oprócz astronomii zajęli się sztuką astrologii. Uczni mówili dzieciom o tym, co ich czeka w przyszłości. Dzieci uczyły się na pamięć piosenek, które opowiadały o tym, jak spotkają miłość swojego życia, ile będą mieć dzieci, a nawet, w jaki sposób umrą.

Ludzie-delfiny stwierdzili ze zdziwieniem, że dzięki tym horoskopom ludzie-iguan stali się „mistrzami przyszłości”.

Król iguan zapoznał ich także z obyczajami swojego ludu. Kiedy ich dzieci były jeszcze bardzo małe, a ich ciemiączka miękkie, kapłani zakładali na ich główki kwadratowe korony, które ścisnęły czaszkę. Robili to dlatego, żeby ich głowa przybrała taką właśnie formę geometryczną. W ten sposób nawet kiedy byli nadzy lub wybrali się w daleką podróż, każdy mógł ich rozpoznać.

Król zabrał ich na zwiedzanie największych zabytków swojego imperium, pokazał im też, jak bardzo rozwinęli w rolnictwie sztukę hodowli sadzonek. Produkowali w ten sposób rośliny-hybrydy o dużych wartościach odżywczych i łatwe do przechowywania. „Bierzemy najlepsze

181

ziarna kukurydzy z każdej odmiany i krzyżujemy ze sobą, aby otrzymać ziarna posiadające cechy obojga rodziców”.

Następnie król postanowił uczcić powrót przybyłych morzem dobroczyńców i ogłosił tydzień uczt i zabaw.

Podczas jednej z ceremonii pojawił się nagi, a całe jego ciało pokryte było złotym proszkiem. Płynął na tratwie po leżącym w środku miasta jeziorze, otoczony sługami dzierżącymi w rękach pochodnie. Po przybiciu do brzegu wezwał wszystkich ludzi-delfiny i oświadczył, że są półbogami. Rozległy się owacje, podjęte przez chór złożony z 1200 dzieci. Potem ludziedelfiny zostali również rozebrani, pokryci złotym proszkiem i powiezieni na wielkich rydwanach w triumfalnym pochodzie.

Jednemu z delfinów, wzruszonemu do łez, przyszła do głowy straszna myśl: „Tyle w naszej historii oberwaliśmy ciosów, że nie wiemy już, co to znaczy być kochanym”.

59. ENCYKLOPEDIA: LUDY HEBRAJSKO-FENICKIE

Drugim dużym prądem językowym był prąd hebrajsko-fenicki. Umiejętność zastosowania żagli, kadłubów statków, map oraz busoli pozwoliła tym ludom opłynąć Afrykę i dotrzeć aż do Szkocji, tworząc po drodze przedstawicielstwa handlowe. Przyplýwiali na nowe terytoria, spotykali się z autochtonami i proponowali im wymianę wiedzy oraz surowców.

Ponieważ do bicia swoich pierwszych monet wykorzystywali miedź, a metal ten miał czerwony kolor, nazwali się Edomitami, z hebrajskiego edom, czyli „czerwony”, co Grecy przetłumaczyli jako Phenicos, czyli „czerwoni”. Stąd też nazwa morza leżącego na południu Izraela - Morze Czerwone, stamtąd bowiem wyruszały hebrajsko-fenickie okręty, udając się na odkrywanie sąsiednich terytoriów. Ich język był prosty. Składał się z sześćdziesięciu trzyliterowych wyrazów, które łączyły się ze sobą, dając znaczenie mnogości innych wyrazów. Jednak tych sześćdziesiąt wyrazów wystarczyło, aby nawiązać dialog ze wszystkimi napotkanymi ludami.

Lud hebrajsko-fenicki utworzył szlak miedzi, szlak herbaty, ale także zapoczątkował trasę przez Morze Śródziemne, wykorzystując znajomość prądu morskiego, występującego w pobliżu wybrzeży greckich, rzymskich i afrykańskich. Utworzyli również szlak cyny, a ślady języka hebrajskiego odnaleźć można w Bretanii, Szkocji, ale również w Mali i Zimbabwie. Toteż wyraz britain wywodzi się od hebrajskiego brit, czyli „przymierze”. Z kolei Kadyks pochodzi od Kadesh, czyli „rzecz święta”. Fenicjanie stworzyli cywilizację berberyjską, a beraber oznaczało po hebrajsku „syn narodu matki”. Kabylija pochodzi od kabałach - „tradycji”. Teby, Milet, Knossos (z hebrajskiego knes-seth - „miejsce zgromadzenia”), ale również Utica, Marsylia, Syrakuzy, Astrachań nad Morzem Czarnym, czy też Londyn były początkowo fenickimi faktoriami.

182

U ludów hebrajsko-fenickich znaczącą rolę odgrywały kobiety, ponieważ to kobieta, a nie mężczyzna, przekazywała swoje nazwisko.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

60. HEGEMONIA TYGRYSÓW

Lud tygrysów, zbudowawszy ogromne, silne imperium, skupił się na sobie, starając się jak najbardziej scentralizować swój system polityczny. Do tego stopnia, że przestali podbijać nowe terytoria, jak czynili to ludzie-orły, nie ustając w ekspansji. I chociaż lud tygrysów wznosił fortyfikacje, jednak nie powiększał swojego terytorium. Było to działanie siły dośrodkowej, podczas gdy orły znajdowały się w wirującej spirali.

Stolica imperium tygrysów była olbrzymia. W jej centrum znajdował się pałac, chroniony grubymi murami oraz szeroką fosą, broniący przed wszelką rewoltą. Poza pałacem rozciągał się kompleks administracyjny, on także chroniony murem i tylko niewiele węższą fosą. Jeszcze dalej zbudowano ośrodek uniwersytecki, gdzie kształciła się przyszła administracja imperium.

Powstała wówczas kasta tak zwanych legistów, czyli urzędników--prawników, którzy przygotowywali ustawy, dekrety, wprowadzali zmiany w prawie, powoływali sądy oraz zgromadzenia specjalistów. Informacji dostarczała im klasa policjantów, którzy sprawowali również nad wszystkim nadzór.

Chcąc zapewnić sobie spokój, legiści postanowili ogłosić swojego imperatora żyjącym bogiem. W ten sposób stał się on niedostępny, a tym samym nie mógł w bezpośredni sposób uczestniczyć w życiu politycznym.

Legiści chcieli sprawdzić, do jakiego stopnia można traktować jednostki instrumentalnie. Zaczęli od wydania dekretu, w którym zabroniono pisania czegokolwiek bez zgody cesarza. Potem był następny, zabraniający czytania.

Ich zdaniem, tym, co zagrażało stabilności imperium, były indywidualne inicjatywy, gdyż podawały w wątpliwość sam system. Tak więc, zabroniwszy pisania i czytania, zabronili następnie po prostu myślenia. „Myśleć - to znaczy myśleć przeciw rządowi” - napisali w wydanym przez siebie edykcje.

Aby udało im się zahamować myślenie jednostki, zaproponowali legiści intensywną pracę. Uważali bowiem, że kiedy pracuje się aż do wyczerpania, nie można już znaleźć energii na spiskowanie przeciw państwu.

Początkowo zachęcano do denuncjacji, potem stała się obowiązkiem. Pojawiła się nowa zasada: „Nie donieść na kogoś, kto popełnił występki, jest jeszcze większym występkiem”.

Dziecięce oddziały zostały zobowiązane do kontrolowania, czy na pewno nikt nie myśli. Płacono im od liczby osób, na które doniosły.

183

Dodatkową premię otrzymywały w przypadku donoszenia na własnych rodziców.

Oprócz wykorzystywania dzieci szpiegów-donosicieli, legiści ulepszyli jeszcze bardziej swój system kontroli, tworząc koncepcję „dziesiątek”. Całe królestwo podzielono na dziesięcioosobowe grupy. „Jak dziesięć palców u rąk” - ogłosili legiści. W każdej dziesiątce był jeden szef, „kciuk”, który musiał regularnie informować władzę o tym, co robi

pozostałych dziewięciu członków grupy. Jeśli jeden z nich popełnił przestępstwo, a szef o tym nie doniósł, ponosił taką samą karę jak ów przestępca. W swej złośliwości legiści ustalili również, że jeden z tych dziewięciu, nazywany „małym palcem”, śledził w tajemnicy „kciuka”.

Dziesiątki grupowano w setki, wśród których także był szef oraz jego tajny dozorca, setki zaś grupowano w tysiące.

W ten sposób wszyscy pilnowali wszystkich, oczywiście dla bezpieczeństwa i stabilności Imperium Tygrysów.

Ale to legistom nie wystarczyło. Marzyli o stworzeniu nowej ludzkości, biologicznie dostosowanej do ich porządku. Powstała wtedy koncepcja „prawa organicznego”. Pomysł polegał na tym, że poszanowanie obowiązujących w państwie zasad powinno być instynktowne, a nie pojawiać się dopiero jako nakaz moralny. Legiści chcieli, aby w sytuacji, kiedy ktoś będzie chciał złamać prawo, nie pozwoliło mu na to jego własne ciało. W tym celu organizowali wielkie spektakle publicznych egzekucji. Aby zdarzenie dobrze wryło się w pamięć widzów, kara musiała być wykonywana tak, aby skazaniec długo cierpiał, nim wreszcie stracił przytomność. Tak rodziło się przerażenie wśród ludności, która uczestniczyła w tym makabrycznym przedstawieniu. I to już wystarczyło, żeby wpoić im „prawo organiczne”.

Chcąc udoskonalić sztukę wywoływania szoku wśród kolejnych pokoleń, utworzono uniwersytet, na którym uczono stosowania tortur, a sztukę sprawiania bólu traktowano w sposób naukowy, wykorzystując do tego lekarzy.

Nie mogąc jednak zgładzić wszystkich osób, na które doniesiono, stworzyli legiści obozy pracy dla dewiantów, których zmuszano wkrótce do wznoszenia budowli na chwałę cesarza.

W tym samym czasie, kiedy administracja umacniała swoją władzę, ulepszenie metalurgii pozwoliło na wprowadzenie bardziej skutecznych narzędzi rolniczych, nadających się do szerokiego zastosowania. Jednocześnie scalono małe poletka i nastąpiła rewolucja rolna. Równolegle rozwijały się fabryki, otwarte po to, aby produkować narzędzia rolnicze.

Opuszczano wioski i nastąpił pierwszy wielki exodus ze wsi do miast. Tłumy przenoszących się chłopów sprawiły, że miasta zamieniły się w megalopolis.

Oprócz kasty kontrolującej administrację legistów, pojawiła się kasta nauczycieli uniwersyteckich, których nazwano erudydami. Mieli oni prawo pisać, czytać, a nawet mieć własne, oryginalne pomysły. Rozmawiali ze sobą w swoim własnym języku, dzięki czemu łatwo im było się rozpoznać, a ponadto lud ich nie rozumiał. Mieli swoje uniwersytety i pozostawali odcięci od niepiśmiennego społeczeństwa. Erudyci odda-

wali się sztuce, nauce i przyjemnościom. Sami dobierali nowych członków, nosili odrębne stroje i fryzury, dzięki czemu rozpoznawano ich z daleka. Legiści kazali ludowi obdarzać ich

szacunkiem. Erudyci i legiści postanowili wspólnie skodyfikować życie społeczeństwa, w tym również sztukę jedzenia, chodzenia, oddychania, zabijania czy uprawiania miłości. Tak więc po uniwersytecie tortur pojawił się uniwersytet miłości. W tej szkole nowego typu kształcono dziewczęta od najmłodszych lat, w jaki sposób zaspokajać męską potrzebę przyjemności. Nauczanie obejmowało zajęcia gimnastyki lub tańca, specjalnie dostosowane do miłosnego aktu, były też lekcje gotowania pobudzającego popęd płciowy, malowania aktów lub poezji erotycznej. Kobiety, które ukończyły tego typu uniwersytety, cieszyły się dużym wzięciem, niektóre nawet trafiały do haremu cesarza lub też haremów legistów czy erudyków. Nazywano je kobietami-kwiatami.

Tak więc system tygrysów oparty był na trzech filarach: cesarz -symbol świętości i scentralizowania, legiści - ramię zbrojne i gwarancja porządku społecznego, erudyci - arbitrzy elegancji i eksperymentatorzy w zakresie sztuki oraz nauki.

Ale w pewnym momencie system został zachwiany. Ministrowie legistów posprzeczcali się z ministrami erudyków. Dokładniej mówiąc, minister bezpieczeństwa wszedł w osobisty konflikt z ministrem muzyki, który ukradł mu kobietę-kwiat.

Obydwaj mężczyźni poprosili o rozstrzygnięcie sporu cesarza, który, wysłuchawszy obydwu stron, zdecydował, że aby ich pogodzić, weźmie tę kobietę-kwiat do swojego haremu. Ale minister muzyki był zakochany. Spróbował więc otruć cesarza, aby odzyskać ukochaną. Jego spisek nie powiódł się, ministra aresztowano i poddano karze, którą wykonał jeden z najlepszych profesorów na uniwersytecie tortur.

Od tego momentu cesarz wpadł w stan paranoi. Skazał na śmierć kobietę-kwiat, sądząc, że nadal jest zakochana w swoim zawziętym eru-dycie, a także jej najbliższe przyjaciółki z haremu, które mogły próbować ją chronić lub choćby jej żałować. Potem, idąc za ciosem, skazał ministra bezpieczeństwa, który przecież także w miłosnym zapędzie mógł chcieć go otruć.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ponieważ wielu legistów wstawiło się za swoim kolegą, cesarz skazał na śmierć całą grupę, która domagała się audiencji.

Potem cesarz stwierdził, że nie może ufać swojemu otoczeniu. Zdecydował więc uśmiercić wszystkich ministrów, podejrzewając ich o to, że chcieli zająć jego miejsce, następnie dużą część erudyków, uznanych za niepokornych intelektualistów.

Przekonany o tym, że wszędzie po trochu zawiązują się przeciw niemu spiski, powołał cesarz nowy rząd, któremu nakazał pilne wprowadzenie terroru. Nastąpiły czasy tak zwanej Wielkiej Czystki.

Po zakończeniu fazy terroru wszyscy członkowie rządu także zostali publicznie straceni. Wtedy cesarz uznał, że ponieważ wszyscy ludzie są omylni, potrzebuje jako ministra istoty, która nie byłaby człowiekiem. I zlecił swoim zegarmistrzom skonstruowanie robota.

Skonstruowali ruchomą statwę, napędzaną systemem hydraulicznym, wprawiającym w ruch setki kółeczek, które potrafiły sprawić, że figura naśladowała ludzkie zachowanie. Robot został mianowany szefem nowego rządu, a cesarz zobowiązał wszystkich pozostałych ministrów, aby mu się kłaniali i traktowali go z szacunkiem.

Lecz cesarz ludzi-tygrysów nie opanował jeszcze swojego strachu przed śmiercią. Zlecił chemikom opracowanie sposobu, aby stał się nieśmiertelny. Ci zaś poradzi mu, żeby często uprawiał miłość, lecz zachowywał w sobie swój „życiowy sok”. Musiał zatem cesarz zawiązać sobie na przyrodzeniu sznureczek, który zaciskał w chwili, gdy czuł, że zbliża się ejakulacja. W ten sposób jego męska energia pozostawała wewnątrz i umacniała go. Poza tym miał wchłaniać w płynnej postaci takie metale jak rtęć lub cynk.

Zawiązało się kilka spisków, które zostały krwawo stłumione. Aby wzmocnić system, zatrudniono większą liczbę urzędników: policjantów, żołnierzy, legistów, erudyty, dozorców. Aż w końcu więcej osób kontrolowało lub wymyślało systemy kontroli, niż działało w sposób produktywny.

Wielkie imperium ludzi-tygrysów stało się narodem ociężałym, otyłym, niezdolnym do ruchu. Jednak legiści realizowali w ten sposób swój ideał państwa stabilnego, które nie tyle było państwem doskonałym, ile monumentalnym.

Nawet erudyci produkowali już tylko sztukę nijaką, która w żadnej mierze nie była kreatywna. Powtarzali kody swoich starszych kolegów i spędzali całe dni na spieraniu się o nieistotne szczegóły.

Cesarz zmarł w wieku 103 lat. Jako że nie miał żadnego potomka, tron odziedziczył jeden z dalekich kuzynów. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ tymczasem administracyjna machina uległa takiemu skostnieniu, że żyła swoim własnym życiem. W ten sposób trawiono całą energię. Każda inicjatywa ginęła w tłumie. Nikt już nie słuchał państwa. Żaden cesarz nie mógł już wywierać wpływu na jego funkcjonowanie.

61. ENCYKLOPEDIA: CZTERY SPOSOBY KOCHANIA

Zdaniem psychologów dziecięcych w pojęciu „miłość” wyróżnia się cztery stopnie.

Stopień pierwszy: „Potrzebuję miłości”.

To poziom wczesnodziecięcy. Niemowlę potrzebuje pieśczoć oraz pocałunków, dziecko potrzebuje prezentów. Pyta otoczenie: „Czy jestem miły?” i pragnie dowodów miłości. Na pierwszym stopniu pytamy innych, a potem „tego szczególnego innego”, który jest dla nas punktem odniesienia.

Stopień drugi: „Jestem zdolny kochać”. To jest poziom osoby dorosłej. Człowiek odkrywa w sobie zdolność życia dla innych, a zatem przela-

nia swojego uczucia na zewnątrz. Oczywiście jest ono ukierunkowane na szczególną osobę. To uczucie może być bardziej odurzające niż bycie kochanym. Im bardziej się kocha, tym większą widzi się moc, którą daje miłość. To uczucie może stać się niezbędne jak narkotyk. Stopień trzeci: „Kocham samego siebie”.

Po przelaniu swojego uczucia na innych, człowiek odkrywa, że może nim obdarzyć również samego siebie.

Korzyść w stosunku do dwóch poprzednich stopni: nie zależy od innych ani w otrzymywaniu miłości, ani w tym, że oni otrzymują ją od nas. Nie ma więc ryzyka, że ukochana osoba zawiedzie nas lub zdradzi, a miłość można dawkować zgodnie z naszymi potrzebami, nie prosząc nikogo o jakąkolwiek pomoc. Stopień czwarty: „Miłość uniwersalna”.

To miłość nieskończona. Po otrzymaniu uczucia, przelaniu uczucia, pokochaniu samego siebie, człowiek rozsiewa swoje uczucie wokół siebie. I w ten sam sposób je odbiera.

W zależności od danej jednostki, taką Miłość można nazwać: Życiem, Przyrodą, Ziemią, Wszechświatem, Ki, Bogiem itd. Chodzi o pojęcie, które, kiedy jesteśmy świadomi jego istnienia, poszerza nasz umysł.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

62. BILANS PROMETEUSZA

Zapalają się światła.

-1 co, dzieje się, prawda? - mówi Prometeusz. - To jest coś wspaniałego w wielkim Oddechu Historii. Im bardziej do przodu, tym szybciej.

Prometeusz nie chce tracić czasu, więc postanawia od razu przedstawić nam klasyfikację.

- Pierwsze miejsce: Raoul i jego lud orłów. To on kieruje najsilniejszym i najbardziej dynamicznym imperium. Brawo. Drugie miejsce: Georges Melies i jego lud tygrysów. Imperium solidne, finezyjne, dobrze sterowane. Prawdziwy majstersztyk. Wreszcie miejsce trzecie...

Zawiesza na chwilę głos.

- Maria Curie. Jej ludzie-iguany znaleźli równowagę i prawdziwie oryginalny styl. Mają skuteczną medycynę, znają pierwsze metody stosowania krzyżówek genetycznych roślin, posiadają szczególną sztukę, naukę bazującą na obserwacji gwiazd. To wszystko jest bardzo ładne. Co prawda, nie ma metalurgii, ale to tylko mały niedobór, który należy szybko uzupełnić. Ludzie-delfiny powinni ich szybko nauczyć, czyż nie?

Kiwam potakująco głową, nieco oszołomiony. Prawdę mówiąc, na razie mam bardzo mało kontaktu z tą uczennicą.

Prometeusz ciągnie dalej:

187

- Miejsce czwarte: Mata Hari. Nic poważnego nie zagraza jej granicom i rozwinęła lekką flotę, używającą żagli i wiosł. Kontakt z odkrywcami z ludu delfinów pozwolił jej polepszyć wiedzę z zakresu map oraz metalurgii. Całkiem niezłe.

Kurczę, nie patrzyłem, co kombinowali moi ludzie-delfiny na północy planety. A tym samym powstało przymierze pomiędzy moimi śmiertelnikami i ludźmi Maty Hari, a ja nawet nie byłem tego świadom.

To jest właśnie problem z rozproszonym ludem. Nigdy nie wiadomo, gdzie ich szukać. Z drugiej strony, nie mogę skupiać się na jednym kraju, w którym znajduje się dwudziestu ludzi-delfinów. To już nie jest rozproszenie, to... turystyka.

Prometeusz mówi dalej, a ja spodziewam się usłyszeć swoje nazwisko wśród ostatnich, lecz ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, jestem na dwunastej pozycji.

- Panie Pinson, sądzę, że może pan podziękować Marii Curie i Macie Hari - mówi mistrz pomocniczy. - Uratowany przez kobiety, co?

Spuszczam wzrok, trochę onieśmielony takim stwierdzeniem.

- Dostał pan wysoką notę, ponieważ jest pan sprzymierzony z tymi, które osiągnęły sukces, a więc w połowie także ma pan w nim swój udział. Nawet trochę zawdzięczają panu ludzie-orły.

Raoul kiwa głową.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Jest coś, co w panu podziwiam... - kontynuuje mistrz pomocniczy.

Przygląda mi się dziwnie.

- Nie poddaje się pan.

To wzruszający komplement z ust tytana, którego własna historia jest tak straszna.

Prometeusz podchodzi do mnie, podczas gdy cała klasa wlepia we mnie oczy. Być może to dwunaste miejsce wcale nie jest prezentem.

- Nauczył ich pan, żeby nie rezygnowali z wartości, jaką jest wolność. I to się liczy. To mi przypomina jednego kolegę ze szkoły - mówi Prometeusz.

Ponownie siada za biurkiem.

- Mogliśmy mieć ze 13 lat. Szkołą rządziła banda wymuszająca haracze na uczniach.

Próbuję wyobrazić sobie młodych Greków wymuszających haracze w starożytności.

- Pod groźbą użycia noża zmuszali dzieci do oddawania im pieniędzy. A nauczyciele pozwalali im na to, bo sami obawiali się tych łobuzów. Aż tu pewnego dnia pojawił się nowy uczeń. Gdy tylko przekroczył progi szkoły, wymuszający haracze zażądali od niego pieniędzy, jednak on odmówił, więc go pobili. Uderzyli go w twarz, a nawet mu ją pokiereszowali. I oczywiście ukradli mu wszystkie pieniądze. Czyli dotąd wszystko odbyło się normalnie. Kiedy jednak po raz drugi te same łobuzy chciały od niego haracz, spodziewały się, że mając w pamięci poprzedni raz, natychmiast ustąpi. A tu nowy bronił się tak samo zawzięcie. I... dał się pobić po twarzy i znowu okraść. Tak samo za trzecim i za czwartym razem. Każde spotkanie z grupą wyłudźających

188

pieniądze łobuzów kończyło się dla chłopaka pobiciem. Nikt z nas nie mógł już tego znieść. Poszedłem z nim porozmawiać. „Dlaczego się bijesz, skoro wiesz, jak to się skończy? Jest ich więcej i są od ciebie silniejsi, nie masz szans”. I wiecie, co mi odpowiedział? „Żeby wiedzieli, że nigdy łatwo mnie nie dostaną”. W tamtym momencie poczułem dla niego podziw. I zrozumiałem, że ten cherlawy gość z podbitym okiem i pokiereszowaną twarzą pokazał nam drogę. Nawet jeśli jest się z góry skazanym na niepowodzenie, trzeba walczyć, aby ciemiężcy nie zdobyli nic łatwo. Zresztą potem woleli rzucić się na „wygodniejsze” zdobycze. Przez zwykłe lenistwo. Nowy słono za to zapłacił, ale na dłuższą metę wygrał „wolność”, a przede wszystkim zyskał nasz szacunek. Dlatego ja dokonałem podobnego wyboru. Nie ustępować łatwo. Banda wymuszaczy zabrała mi pieniądze, ale jednak próbowałem się bronić. Przegrałem, lecz uśmiechałem się, ponieważ zrozumiałem lekcję. „Niech wiedzą, że nawet jeśli wygrają, nie będzie to takie proste”. Za każdym razem udawało mi się dać kopniaka lub trafić pięścią, nim całkiem zdążyłem się pogrążyć. A kiedy inne dzieci spostrzegły, że banda zaczęła się nagle mniej mną interesować, zaczęły mnie naśladować. Trwało to długo, nie potrafiliśmy się bić, nie mieliśmy noży, w naszych szeregach byli nawet ranni, ale w końcu łobuzy zmęczyły się i zostawiły nas w spokoju...

Po jego anegdocie zapada długa cisza.

W gardle czuję dziwny smak. A więc to było to. Prometeusz wytłumaczył to, co czułem, nie potrafiąc sam tego wyrazić. Trzeba zacisnąć zęby, wytrzymać mimo wszystko, nie poddać się. Bardzo długo przegrywałem, ale w końcu wszyscy despoci i dyktatorzy uciskający mój lud po prostu się zmęczą. A potem znikną.

Za to na Ziemi 18 zawsze znajdzie się gdzieś mój człowiek-delfin, który nawet w najgorszych okolicznościach będzie się starał nosić głowę wysoko.

- To jest temat moich zajęć: rewolta. Zawsze wyobrażamy sobie rewoltę jako tłumy zdążające na zamek, w którym zamknęli się tyran i jego zwolennicy. Ale bywa i tak, że buntownicy są w mniejszości, a lud staje po stronie tyrana, aby ich zgładzić. Zapomina się o tym. A poza tym, jako jedyny na Ziemi 18 namawia pan do zniesienia niewolnictwa, a więc mogą tylko zachęcać pana do zaciśnięcia zębów. Bo to nie będzie łatwe. Jak tylko pojawi się totalitaryzm, zaraz się do pana dobierze...

Mata Hari wstaje i zaczyna klaskać.

Za nią Maria Curie. Raoul podnosi się także. Potem Jean de La Fontaine, Méliès, Edith Piaf, Gustave Eiffel, Eric Satie. Moja paczka, ale nie tylko oni. Coraz więcej uczniów bije brawo, po chwili praktycznie cała klasa. Myślę o tym, co przeszli moi ludzie, jaką cenę zapłacili za swoją walkę z niewolnictwem, niewdzięcznością ludzi-skarabeuszy, potem ludzi--lwów.

Dziwny smak w moim gardle zmienia się w gorzkie ły. Nie wolno mi płakać, nawet jeśli uczucia, których doświadczam, są silne. Oni nie są przeciwko mnie, to tylko okoliczności gry sprawiają, że czasami odnoszę takie wrażenie. To jest tylko gra. Mój lud jest jednym spośród

189

dziesiątek innych. Jestem tylko jednym z graczy, którzy nie chcą zbyt szybko przegrać.

Oklaski nie ustają.

Wiedzą, że tego potrzebuję. Karmią mnie nimi. Czuję łzę i szybko ją ocieram. Pokazuję gestem, że nie jestem tego wart. Potem brawa milkną i wszystko idzie zwykłym trybem, jakby nic się nie wydarzyło.

Prometeusz bierze listę i wymienia ostatnich:

- Miejsce ostatnie: Clemenceau i jego lud jeleni, który zresztą został pobity przez orły.

Clemenceau, ze swoim wielkim wąsem, wstaje z godnością.

- Panowie, kiedy nadeszła ta chwila, trzeba umieć się poddać lub się na to nie zgodzić. Gra z wami była dla mnie ogromną przyjemnością i życzę wszystkim, jak tu jesteście, jak najpiękniejszej boskiej partii. Co do ciebie, Raoul, brawo, pokonałeś mnie, ponieważ w tej partii byłeś naprawdę najlepszy. Lubię twoją cywilizację orłów, ma prawdziwą klasę.

Wreszcie uczeń, który opuszcza grę z fasonem.

Już przychodzi po niego centaur. Prometeusz daje mu znak, że nie trzeba go wiązać.

Następnie wyczytuje jeszcze dwa inne nazwiska anonimowych bogów, których przygód nawet nie śledziłem. Ludzie-chrabąszcze, którymi kieruje niejaki Jean-Paul Lowendal. Lud ten miał zwyczaj łączenia się w związki małżeńskie osób należących do tej samej klasy. Rezultat: liczne choroby wrodzone zniszczyły jego ludność, która poddała się podczas pierwszej inwazji orłów. Potem ludzie-świstaki, żyjący w izolacji lud górski, kierowany przez niejaką Sandrine Maréchal. Ten ostatni lud miał pewną szczególną cechę: wyznawał kult snu. Zimą pozostawali praktycznie w stanie hibernacji. Im ktoś dłużej potrafił spać, tym większym cieszył się w kraju poważaniem. Jednak problem polegał na tym, że znaleźli się daleko w tyle zarówno pod względem ekonomicznym, jak i militarnym. Stąd też ich upadek zaraz po wejściu orłów. Można powiedzieć, że ci ostatni działają jak czyściciele ludów znajdujących się w kłopotach.

Odejmowanie: $76 - 3 = 73$

Prometeusz wraca do mnie i szepcze mi na ucho:

- Niektórzy twierdzą, że jest pan „tym, na którego czekamy”, czy to prawda?
- Nic mi o tym nie wiadomo - bełkoczę. - Jestem sobą. Nie wiem, na kogo czekacie.

Potem dla niepoznaki odzywa się głośniej:

- Michael, oceniłem pana wysoko, ale mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę ze swojej sytuacji. Wegetuje pan, walczy, ucieka... ale nie rządzi.
- Robię, co w mojej mocy, proszę pana.
- Jeśli się nie mylę, uczyłem was, jak się buntować. Proszę pomyśleć o Spartakusie.
- Właśnie myślałem, i to tak intensywnie, że doszedłem do wniosku, iż jeśli postąpię tak samo, efekt będzie identyczny.

Prometeusz uśmiecha się.

190

- Wzruszające. To prawda, że trzeba dużo praktycznej wiedzy, aby bunt niewolników powiódł się, zwłaszcza w wojskowym imperium, takim jak ludzi-orłów.

Robi tajemniczą minę, a po chwili oznajmia:

- Być może nie wie pan o tym... ale coś takiego miało już miejsce.

Prometeusz proponuje, abym podszedł do Ziemi 18 i rzeczywiście

odkrywam, że jeden z moich gladiatorów-delfinów spontanicznie, bez mojej pomocy, rozpoczął bunt niewolników!

Zapomniałem, że moi śmiertelnicy działają również beze mnie. Gdybym, zamiast skupić się na przyjęciu moich ludzi przez Marię Curie, popatrzył dokładniej, co się dzieje w okolicach, mógłbym zauważyć w akcji „mojego” Spartakusa i pomóc mu za pomocą pioruna lub snu. Teraz jest za późno.

- Szkoda, panie Pinson, miał pan dobre karty, a jednak pan nimi nie zagrał. Co pana powstrzymuje?
- Wszystko w porządku, proszę pana, to jest mój własny styl gry.
- Byłbym zdziwiony, gdyby ten styl był rzeczywiście kwestią pańskiego wyboru. W każdym razie, długo tak się pan nie utrzyma.
- Zrobię, co tylko będę mógł.
- No dobrze, jeśli wolno, dam panu jedną radę: niech pan przestanie się poddawać, proszę uderzyć. Nie jestem bowiem pewien, czy pozostali

bogowie-mistrzowie będą tak samo jak ja wrażliwi na „niepoddawanie

■ _ »

się .

Ma rację. Nie udało się z moim nowatorskim królem, nie udało się z porywczym generałem, nie udało się ze zbuntowanym niewolnikiem; muszę wymyślić coś innego... Na przykład wziąć na przywódcę kolejnej rewolucji człowieka wywodzącego się z ludu. Prostego rzemieślnika. Garncarza albo tkacza, albo stolarza.

- Dobrze - mówi Prometeusz - dostajecie w nagrodę dwa dni odpoczynku, aby zregenerować siły i zastanowić się nad strategią w kolejnych partiach gry Y. Dwa dni odpoczynku. Wykorzystajcie je, zabawcie się. Sądzę, że dla wielu z was ta pierwsza sesja była uciążliwa.

Uciążliwa? Ależ delikatny eufemizm.

- Mistrzu - mówi Wolter - przez dwa dni nasze ludy będą rozwijały się bez nas, a to znaczy, że istnieje ryzyko odnalezienia ich w stanie zaawansowanego rozkładu...

W klasie słychać odgłosy aprobaty.

- Nie martwcie się, Kronos, bóg czasu, zmodyfikuje rytm. Przynajmniej tak, żeby przez ten weekend nie minęły wieki, a co najwyżej dziesięciolecia...

Tylko połowicznie nas to uspokaja.

- Jednakże, na zakończenie zajęć prowadzonych przez mistrzów pomocniczych, chcę was poprosić o wykonanie jeszcze jednego ćwiczenia. Wszyscy macie w głowie idealny świat, do którego dążą wasze ludy. W tym stadium gry nie możecie już niczego przyspieszyć, a jedynie załatwiać stopniowo pojawiające się problemy. W przeciwnym wypadku pozostanie w stadium pozwalającym jedynie na przeżycie i improwizację. Chciałbym was prosić, abyście wyobrazili sobie idealny świat

191

dla waszych ludzi. Swoją nową utopię opiszeć na kartkach. Potem, w ostatniej partii zobaczymy, czy dalsze im środki do tego, aby szli w tym kierunku.

- Robiliśmy to już z Afrodytą - przypomina Simone Signoret.

- Wiem, ale gra rozwinęła się i wy także. To tak, jak w latarni morskiej. Idąc krętymi schodami, widzicie za oknem ciągle ten sam krajobraz, ale z coraz większej wysokości. Tak samo wasza analiza musi się zmienić.

Rozdaje papier i długopisy. Zastanawiam się.

Poprzednim razem napisałem o utopii w postaci „pokojowego i rozbrojonego świata”. Mogłem się przekonać, że rozbrojenie daje korzyść tym, którzy oszukują. A oszuści będą zawsze. Zatem to nie jest rozwiązanie.

Zapisuję: „Moja utopia: stworzyć ludzkość wolną od strachu”.

63. ENCYKLOPEDIA: TYGRYS SZABLOZĘBNY

Dlaczego niektóre gatunki zwierząt giną? By odpowiedzieć na to pytanie, wymieniano często nadzwyczajne przyczyny zewnętrzne, jak na przykład upadek asteroidy, czy też zmiany klimatyczne. Jednak mogą istnieć również przyczyny kulturowe. Przytoczmy tu przypadek smilodona, czyli tygrysa szablozębnego. Skamieliny tego zwierzęcia odnaleziono w Ameryce, uznając, że pochodzą sprzed 2,5 miliona lat przed Chrystusem. Zwierzę miało prawie 3 metry długości, a jego wagę określa się na 300 kilogramów. A zatem to największy ze znanych kotowatych. Jego cechą szczególną były dwa zakrzywione kły, tak długie, że wystawały poza pysk. Odnaleziono 20-centymetro-we zęby smilodona. Jedno z wyjaśnień dotyczących zniknięcia tego drapieżnika brzmi następująco: samice miały ponoć przyjąć zasadę — „im dłuższe są zęby samca, tym większą może upolować zwierzynę”. A to oczywiście pozwala nakarmić dzieci. A zatem, wybierając partnera seksualnego, kierowały się cechą genetyczną: długością zębów. Te samce, które miały krótkie zęby, nie mogły znaleźć partnerki. W efekcie zachowanie samic spowodowało pojawienie się zbyt długich zębów, które przeszkadzały w przedostaniu się pożywienia do paszczy. Cofnąć się już nie było można. Gatunek wyginął około 10 000 lat przed Chrystusem.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

192

64. KOLACJA

Cisza.

Widzę usta otwierające się, aby mówić, ale nie słyszę żadnego dźwięku.

Nie znaczy to, że mam właśnie atak nagłej głuchoty, lecz to mój umysł zamknął się na odbiór dźwięków z nieznanymi mi powodów. Może po to, abym wreszcie mógł spokojnie pomyśleć?

Kiedy zatrzymam moją maszynę do myślenia?

Hory w amfiteatrze podają nam posiłek godny końca sesji. Langu-sty w ziołach, delikatne ryby, sarnę, dzika, a do picia ambrozię, nektar, miód pitny. Widzę Dionizosa wdrapującego się na stół i rozpoczynającego jakiś wywód. Nie słucham go. Pewnie robi podsumowanie zajęć prowadzonych przez mistrzów pomocniczych. Wszyscy klaszczą.

Następnie pojawia się Atena. Nie wygląda na zadowoloną. Jej sowa też nie.

Przypomina mi się hinduska legenda: „Wyobraź sobie ptaka, który siada na twoim ramieniu i zadaje ci pytanie: Gdybyś miał umrzeć dziś wieczorem, co byś teraz zrobił?”. Sądzę, że miałbym ochotę na to, by się kochać. Obojętnie z kim, ale kochać się po raz ostatni.

Po wystąpieniu Ateny wchodzi centaury ze swoimi instrumentami. Jak zwykle pochód otwierają bębny, za nimi idą trębacze, później harfiści. Chóry młodych charyt intonują pieśni, których nie słyszę.

Z wielką pompą wchodzi Posejdon. Towarzyszy mu chór syren niesionych w wielkich kadziach napełnionych wodą.

Bóg mórz również wygłasza swoją mowę. Pewnie mówi o naszej odwadze, sukcesach lub porażkach naszej Ziemi-brudnopisu, której nadano numer 18.

Posejdon gestem ręki wzywa troje ostatnich zwycięzców. Zaprasza ich na podium, gdzie wśród oklasków otrzymują laury.

Wtedy centaury przyspieszają rytm bębnow i troje mistrzów - Raoul, Georges i Maria Curie - zostaje otoczonych przez kibiców, czujących się uzależnionymi od trzech sił: D - siły Dominującej, N - siły Neutralnej, A - siły Asocjatywnej.

D, N, A.

Pory Roku rzucają ponad głowami przechodzących płatki kwiatów.

Niezła impreza. Napięcie spowodowane zajęciami ustępuje. Niektórzy odsuwają stoły i siadają w dużym kole.

Potem oddają się swego rodzaju grze, w której bogowie-uczniowie biorą za ręce boginie i przechodzą pod mostem utworzonym z ramion. Wyglądają tak swobodnie... Jakby nie było bogobójcy, gróźb Ateny, wyeliminowanych bogów, stresu związanego z prowadzonymi przez ludy wojnami.

Ktoś mną potrząsa. Raoul bierze mnie za ramię. Mówi do mnie.

- ...iść tam. Ona czeka tylko na ciebie.

Powracający do moich uszu dźwięk jest dla mnie niemal bolesny.

-Co?

Przyjaciół przysuwa się bliżej.

193

- Mata Hari siedzi sama w kącie i nikt nie prosi jej do tańca... Musisz tam podejść.

Szybko nalewam sobie szklankę miodu.

- Nie, to Afrodyta mnie interesuje - mówię.

- Tak, ale Afrodyta nie interesuje się tobą - przypomina Raoul.
- ...Jeszcze nie - dodaję.
- Przestań bawić się w tajemnice. To jest bogini miłości, mieszka z bogami-mistrzami, nie zniży się nigdy do tego, aby być z uczniem. Ewentualnie może zadawać się z mistrzami pomocniczymi. Takimi jak Herkules czy Prometeusz. A i to nie wiadomo.
- Co ty możesz wiedzieć? Jedyna reguła w miłości to ta, że nie ma żadnych reguł - mówię z naciskiem, chyba po to, aby przekonać samego siebie.
- Masz rację, nie ma jakiejś absolutnej zasady, są jednak bardziej lub mniej zwycięskie strategie. Wiesz, jak zabierałem się do uwodzenia niedostępnych dziewcząt?
- Słucham.
- Interesowałem się wcześniej inną. Na przykład jej najlepszą przyjaciółką. I nagle zaczynałem ją intrygować. To jest zasada „trójkątnego pragnienia”. Masz, jedz.

Podaje mi ciastko. Pochłaniam je, zupełnie się nad tym nie zastanawiając. Wtedy wchodzi Ona. Wygląda wspanialej niż zwykle. Na uroczystość zakończenia sesji wpięła we włosy turkusowy diadem i włożyła togę ze złotą nitką, zwężoną po bokach, spod której widać jej nogi o doskonałym kształcie.

Czas zatrzymuje się. Działa czerwona magia. Jakaż ona piękna.

Kiedy tylko zjawia się w amfiteatrze, pozostali nauczyciele spieszą, aby się z nią przywitać. Jest radosna, nie ma najmniejszego śladu tej bogini, która poprzedniego wieczoru chroniła się w moich ramionach.

Afrodyta.

Czy ci wszyscy bogowie-mistrzowie byli jej kochankami?

Wszyscy ją podziwiają, pożądają jej, ona się śmieje, lekka, uwodzicielska, głaszcze po twarzach, całuje, jak kotek ociera o piersi bogów, po czym uwalnia się od nich niepostrzeżenie.

Jej oficjalny małżonek, Hefajstos, próbuje pocałować ją w usta, ale ona omija go i staje koło Aresa. On również próbuje pocałować ją w usta, sądząc, że jest tym, którego bogini woli, ale ona już jest w ramionach Hermesa. Wiruje, po czym zatrzymuje się przed Dionizosem, przyjmując poważny wyraz twarzy, jakby go dobrze rozumiała. To samo poważne spojrzenie, dzięki któremu poczułem, że wreszcie zostałem zrozumiany przez kobietę.

Zmienia się muzyka. Tym razem do orkiestry dołączają cherubinki z maleńkimi trąbkami o dwóch rurkach. Wśród zawieszonych w powietrzu grupy dostrzegam moją Smarkaczkę, ciągle tak samo urocą ze swoimi długimi, metalicznymi, niebieskimi skrzydłami.

Teraz inny sektor amfiteatru przyciąga ogólną uwagę. Mata Hari tańczy, naśladowując węża. Wygląda, jakby uwolniła się ze swojego szkie-

194

letu. Wszystkie instrumenty cichną, pozostaje tylko dźwięk bębnów, bijących w rytm naszych serc.

Mata Hari zaczyna teraz orientalny taniec bioder, a jej spojrzenie i ruchy rąk przywodzą na myśl tancerki z Bali. Zatrzymuje się, a jej ciało drży, jakby przebiegały przez nie impulsy elektryczne. Potem wije się w powolnych, wdzięcznych ruchach.

Tworzą się pary. Mata Hari siada. Zwracam się do Raoula:

- Co to takiego ta twoja zasada „trójkątnego pragnienia”?
- To prawo rządzące światem. Zazdrość okazuje się najlepszym motorem wzbudzającym zainteresowanie. Co ja mówię zazdrość: pożądanie. Chcemy tego, co należy do innych. Jeśli będziesz z Matą Hari, Afrodyta zainteresuje się tobą. Teraz, jako podrywacz singiel, zupełnie jej nie interesujesz, ale gdyby zobaczyła cię szczęśliwego, z piękną tancerką...
- Nie jest aż taka głupia.

Nagle przypominam sobie to, co mi powiedział Hermafrodyta. Ona z pewnością wie wszystko na temat manipulowania mężczyznami, czy jednak byłoby możliwe manipulowanie manipulatorek?

- Sam sobie zadaj pytanie. Nigdy nie oceniałeś drugiej osoby na podstawie tego, jaki jest jej partner lub partnerka? Nie zdarzyło ci się nigdy rozmawiać z facetem, który a priori ogóle cię nie interesował, a robiłeś to tylko dlatego, że miał świetną żonę, więc mówiłeś sobie, że skoro takie stworzenie jest z tym pocziwcem, to musi on być kimś wspaniałym?
- To prawda, ale...
- Pożyczamy tylko bogatym. Piękne kobiety są zainteresowane tylko tymi, którzy mają już ładne partnerki.

Przyznaję, że umknęły mi niektóre elementy ludzkiej psychologii.

- Dlaczego człowiek lubi interesować się tą lub tym, którzy są już zajęci?
- Ponieważ ludzie nie są zdolni sami wyrobić sobie opinii, a pragnienie innych to dla nich informacja, czego „należy” pragnąć.

Pomysł Raoula zaczyna odnosić skutek. Adorować Matę Hari, żeby przyciągnąć uwagę Afrodyty...

- Dobra, jeśli ty nie chcesz Maty Hari, to ja się nią zainteresuję.

Moje usta wymawiają spontaniczne „nie!”.

Rzucam się w jej stronę, zanim zrobi to Raoul. Ale jest już za późno. Uprzedził mnie Proudhon, a ona przyjęła jego zaproszenie. A im dłużej tańczą, tym moje pragnienie staje się silniejsze.

Obserwuję ich, rozmarzony. I nie jestem jedyny. Georges Melies również czeka na koniec tańca. Kędy muzyka milknie, podchodzę szybko.

- Mata, mogę cię prosić do tańca?

Widzę, jak z tyłu Raoul daje mi zachęcające znaki.

- Czemu nie - odpowiada nonszalancko.

Przez nieskończenie długą chwilę, kiedy bierze mnie za rękę, błagam dobrego Pana Boga, żeby, jeśli jest tam w górze i mnie widzi przez swoją lornetkę lub teleskop, zesłał mi teraz jakiś wolny taniec.

Ale nie, te kretyńskie centaury postanawiają zmienić muzykę i zaczynają grać rock and rolla. Trudno. Tańczę rocka najlepiej jak potrafię,

195

starając się nie wykręcać jej za bardzo palców, ani nie deptać po nogach. Jej skóra jest w dotyku całkiem inna niż skóra Afrodyty.

Kiedy muzyka ustaje, kłaniamy się, a potem czekamy nie wiadomo na co. Wtedy wyrasta przed nami Georges Melies i prosi ją do kolejnego tańca.

Chwila zmieszania.

Orkiestra intonuje spokojną balladę.

Nie chcę, żeby ominęło mnie szczęście.

- Przykro mi, Georges, ale chciałbym jeszcze zatańczyć z Matą.

Melodia wydaje mi się znajoma. To Hotel California zespołu The

Eagles, słynny słow z czasów mojej ludzkiej młodości na Ziemi 1.

- Chciałbym pani powiedzieć, chciałbym ci powiedzieć, że bardzo doceniam to, co dla mnie zrobiłaś tam, w górze... uratowałaś mi życie... no wiesz, z Meduzą... no... ten pocałunek.

Udaje, że nie rozumie, o co mi chodzi.

- Każdy by tak zrobił - odpowiada.

- Tak, ale nie po raz pierwszy uratowałaś mi życie, a ja tak naprawdę nigdy ci jeszcze za to nie podziękowałem.

- Ależ podziękowałeś, wiele razy.
- Może tak to jakoś sformułowałem... w każdym razie chciałem powiedzieć, że jestem świadomy tego, iż bez ciebie już dawno wypadłbym z gry.

Muzyka jest coraz piękniejsza. Orkiestra przechodzi do riffu na dwie gitary, tym razem zastąpione przez dwie lutnie.

- Chciałbym ci też podziękować za mój lud. Całe szczęście, że go przygarnęłaś, bo myślę, że gdyby tak się nie stało, ani jeden z moich ludzi nie byłby wolnym człowiekiem.
- Maria Curie też cię dobrze przyjęła.
- ...To znaczy, chciałem powiedzieć, w tej części kontynentu.
- Przymierze z tobą jest również w moim interesie - mówi uprzejmie.

Kręcimy się na arenie.

Jej pot wydziela delikatny zapach opium, który mnie odurza. Afrodyta pachniała karmelem i kwiatami, Mata pachnie drzewem sandałowym i piżmem.

- Chciałbym ci też podziękować za przyjście z pomocą wtedy, gdy się upilem.
- Nie ma za co.

To zadziwiające, ale w miarę, jak jej dziękuję, czuję się coraz lepiej. Jakbym spłacał jakiś dług. Coś w kosmosie odzyskuje równowagę. Popęliłem błąd, a teraz go naprawiam. Im bardziej pokazuję Macie Hari moją wdzięczność, tym lepiej się czuję.

- Byłem... głupi.
- Wszystko w porządku. „Głupim jest ten, który się wszystkim zachwyca”, mawiał Edmond Wells.
- Mówił także: „W okresie linienia wąż jest ślepy” - dodaje.

Tańczę, a bliskość Maty Hari porywa mnie. Czuję, jakby ktoś miał

mnie w garści. W dosłownym i przenośnym znaczeniu. Zrobiłem pierw-

196

szy krok, teraz jej kolej. Dobrze się składa, bo mam ochotę, aby ktoś mną pokierował...

Przypomina mi się stadium lustra, o którym czytałem w Encyklopedii Wellsa. Sądzymy, że kochamy drugą osobę, ale w rzeczywistości kochamy tylko jej spojrzenie. Znajdujemy w nim samych siebie, tak jakbyśmy stali przed lustrem. Człowiek kocha samego siebie poprzez obraz, który wysyła mu lustro.

Tańczymy jeszcze wolniej. Potem proponuję, abyśmy wyszli.

Zauważam, że Afrodyta obserwuje nas z daleka, spoglądając z ukosa.

Kilka minut później jesteśmy w moim łóżku, a moje ciało na nowo odkrywa dawne odczucia.

65. ENCYKLOPEDIA: LILITH

Chociaż nie występuje w biblijnej Księdze Rodzaju, to o jej istnieniu wspomina Zohar - „księga blasku” odwołująca się do kabały. Lilith jest pierwszą w historii ludzkości kobietą, która została stworzona z gliny i boskiego tchnienia w tym samym czasie, co Adam. Jest mu więc równa. Opisywano ją jako tę, która „płodzi umysł” jeszcze nieożywionego Adama. Lilith zjadła owoc poznania i nie zabiło jej to, za to od razu zrozumiała, że „pragnienie jest czymś dobrym”. Mając taką wiedzę, zaczyna stawiać wymagania. Kłóci się z Adamem, ponieważ w czasie stosunku płciowego nie chce być pod nim, tylko zamieniać się miejscami. Adam nie zgadza się. Podczas tej awantury Lilith popełnia grzech, wymawiając imię Boga. Po czym ucieka z Raju. Bóg posyła w pościg za nią trzech aniołów, którzy grożą zabiciem jej dzieci, jeśli nie wróci do Raju. Lilith nie poddaje się i woli żyć samotnie w jaskini. Ta pierwsza feministka wydaje na świat syreny i meluzyny, których uroda sprawia, że żaden mężczyzna nie potrafi im się oprzeć.

Chrześcijanie wracają do jej legendy, ale przedstawiają Lilith - „tę, która powiedziała nie” - jako czarownicę, królową czarnego księżyca (po hebrajsku Leila, co oznacza „noc”), towarzyszkę demona Sama-ela.

Niektóre średniowieczne ryciny katolickie przedstawiają Lilith z pochwą na czole (jako przeciwwagę jednorożca, który na czole ma róg, będący symbolem fallicznym). Lilith uważana jest za przeciwniczkę Ewy (żony Adama, która była mu uległa, ponieważ została stworzona z części jego ciała), nie była symbolem macierzyństwa, ale żoną, która kocha przyjemność dla samej przyjemności i płaci najwyższą cenę za swoją wolność, tracąc dzieci i decydując się na samotność.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

197

66. CENNA CHWILA

Mata Hari przebiega po moim ciele wytyczonymi przez nerwy drogami, pieści moje żyły, całuje miejsca, w których skóra jest szczególnie cienka.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - pytam.

- W Indiach - odpowiada.

W kolejnych sekundach mam wrażenie, że była kobieta-szpieg posiadała moje ciało, że je oswaja, że samo ciało wykonuje ruchy wbrew mojej woli.

W mojej głowie dźwięczy jedno zdanie: „Nie myśleć o Afrodycie”.

- Błądzisz gdzieś myślami - mówi Mata Hari.
- Nie, wszystko w porządku. To spotkanie dwóch dusz.

Tańczy na moim brzuchu, tak jak tańczyła przed chwilą. Każdy ruch jej bioder niesie ze sobą jakąś niespodziankę. Chwyta mój członek i robi z niego oś, na której porusza się, obraca, kołysze biodrami.

„Nie myśleć o Afrodycie”.

Przez kilka sekund widzę niewyraźnie, dlaczego jestem tak bardzo zafascynowany boginią miłości. Ponieważ chcę jej pomóc. Wzbudziła we mnie poczucie dumy, dobre mniemanie, wyższe uczucia zapisane w moich genach. Miałem wrażenie, że naprawdę mogę być tym, na którego czekają, tym jedynym na świecie, kto może uratować znajdującą się w niebezpieczeństwie boginię miłości. Próżność.

Ale właśnie wszystko się zmienia. Wąż zrzuca skórę. Odrzuca swój narkotyk, swoją heroinę. Trzeźwieję, odtruwam się, pozbywam złudzeń. Jeszcze kilkakrotnie w ciągu tej nocy moje ciało nie posiada się z radości, moje mięśnie dziękują mózgowi, że udało mu się dostarczyć mi tę chwilę czystej fizycznej radości. Mata Hari była sposobem na moje wszystkie kłopoty. To było tak oczywiste, że nie chciałem tego widzieć.

Jej kręcone ciemne włosy, małe sterczące piersi, jej głębokie i przenikliwe spojrzenie. Wszystko to mnie zachwyca. Wyczerpani robimy chwilę przerwy.

Mata wyjmuje papierosa. Pali. Proponuje mi także... Mimo że nigdy w życiu nie paliłem, biorę jednego. Zaciągam się i zaczynam kaszleć.

- Gdzie znalazłaś papierosy?
- Tu jest wszystko, wystarczy poszukać.

Uśmiecham się błogo, całkiem bez powodu. Przez okno widzę górę Olimp.

- Jak sądzisz, co jest tam, w górze?
- Zeus - mówi, wydmuchując duży biały kłębek dymu, który przybiera kształt kółka, by po chwili zamienić się w ósemkę.
- Wyglądasz na pewną siebie.

Jej ciało jest jeszcze mokre od potu. Siada, wkładając swoje piękne stopy pod pośladki.

- Z mojego małego śledztwa wynika, że tak uważa większość bogów--mistrzów, a sądzę, że oni są najlepiej poinformowani.
- A co to by było ten „Zeus”?

Na jej twarzy pojawia się wyraz powątpiewania.

- A ogromne oko, które pojawiło się na niebie? - pytam.

- Prawdopodobnie to było jego oko. Pamiętaj, że król Olimpu, o którym mówi mitologia grecka, jest polimorficzny. Może przybrać taką postać, jaką będzie chciał. Myślę, że chciał nas przestraszyć tym wielkim okiem.

Zaciągam się ponownie i czuję, jak czarna para brudzi moje płuca.

- Tam, w górze, znajdziemy pałac i Zeusa na tronie, zajętego rządzeniem wszechświatem, oto, co sądzę.

Mata Hari powiedziała to tak, jakby wyrażała opinię na temat muzeum, które zamierza zwiedzić.

- Ostatecznie może wszystko tu jest dokładnie takie, jak to sobie wyobrażamy. Wyobrażenie mitycznej Olimpii, takiej, jaką znajdziemy w książkach z Ziemi 1...

- Edmond Wells twierdził: „Rzeczywistość jest tym, co istnieje nawet wtedy, gdy przestanie się w to wierzyć”, podczas gdy dla ciebie „Aeden jest tym, co zaczyna istnieć, kiedy zaczynamy w to wierzyć”.

Poprawia wilgotne kosmyki włosów.

- Tak, podoba mi się ten pomysł, że to nasza wyobraźnia tworzy bogów. W każdym razie albo Zeus i jego klika istnieli, a ich legenda posłużyła do napisania mitologii, albo też zostali wymyśleni przez ludzi.

- Lubię religię antycznej Grecji - mówię. - Bo jej bogowie są ludzcy. Mają wady, ambicje. Klóćą się, oszukują, nie chcą być sami, doskonali, niedostępni.

Wydmuchuję dym.

- W takim razie rodzi się pytanie: dlaczego właśnie mitologia grecka?

- Być może każdy rocznik ma swój panteon: Inkowie, mieszkańcy Jawy, Hindusi, Chińczycy. W każdym razie w większości religii można znaleźć ojca stwórcy, boginię miłości, boga wojny, boga morza, boginię płodności, boga śmierci.

- A jeśli kogoś zainspirowała mitologia i stworzył scenografię oraz głównych aktorów?
- mówię, wyrażając myśl Edmonda Wellsa.

- Mów dalej.

- Znajdowalibyśmy się w powieści. A spojrzenie potencjalnego czytelnika dawałoby nam życie, tak jak diament na ramieniu adaptera wytwarza dźwięk, przesuając się po zagłębieniach płyty.

Głaszczesz i delikatnie masujesz moje ramiona. Potem dotyka piersiami moich pleców, a ja czuję, jakby wstrząs elektryczny przebiegł przez moje ciało. Jest niższa i szczuplejsza niż Afrodyta.

Kiedy zarzuca mi ręce na szyję, zauważam blizny na jej nadgarstkach. Zapewne próbowała popełnić samobójstwo, kiedy była młoda. Jeszcze jedna odporna. Ciekawe, że oddając jej ludzką skórę, oddano jej również stygmaty z poprzedniego życia.

- A kim byłby pisarz? - pyta.
- Jakimś gościem, który wie o banalnym życiu i bawi się, pisząc to wszystko.
- Pisarze zawsze mają banalne życie i marzą o nadzwyczajnych światach - oświadcza. - Zazwyczaj to samotni introwertycy, którzy monotonię swojego życia kompensują wyobraźnią.

199

Rzeczywiście, przypominam sobie jednego z moich klientów z czasów, kiedy byłem aniołem: Jacques'a Nemroda. Jego życie faktycznie nie było specjalnie radosne.

- Jeżeli to jest powieść, to podoba mi się sceneria, w jakiej nas umieszczono. Co zaś do efektów specjalnych, to zarówno potwory, jak i chimery robią wrażenie prawdziwych...
- Nie - mówi Mata - jest jednak mnóstwo rzeczy, które nie mają sensu. Agresywne syreny - to jakaś lipa. Meduza. Wielka Chimera. To już trochę za dużo. Nie mówiąc już o Lewiatanie lub Afrodycie. Nawet ty nie wydajesz się zbyt wiarygodny.

Wybuchasz śmiechem i obsypujesz mój tors drobnymi pocałunkami.

- A jeśli nie ma żadnego pisarza? Jeśli to tylko mój sen? - zastanawia się Mata.
- Nie rozumiem.
- No więc, myślę czasami, czy nie jestem jedyną osobą, która istnieje naprawdę.

-A ja?

- Ty? Wszystko, co jest wokół mnie, istnieje tylko dla mojej rozrywki.

Ta myśl wprawia mnie w zakłopotanie.

- W takim przypadku, skoro wyznałaś mi przed chwilą, że już kiedyś ujrzałaś mnie po raz pierwszy, chciałaś się ze mną kochać, to dlaczego tak się nie stało? - pytam.
- Ponieważ nie chciałam cię mieć od razu. Wołałam, aby moje pragnienie wzrastało, aby w chwili, kiedy znajdzie ujście, było jeszcze silniejsze.

Dąsam się, bo nie znoszę, gdy się mnie traktuje jak przedmiot.

- Mogłbym ci powiedzieć podobnie. Tylko ja istnieję naprawdę, a ty jesteś figurantką z mojego świata.

Mata Hari odwraca mnie na plecy i siada na mnie, potem pochyla się powoli, by wsunąć język do moich ust.

- Całuję wytwór mojej wyobraźni - mówi. - Mmm... wyglądasz wiarygodnie! Dzięki ci, pisarzu wiodący banalne życie. Chcesz, żebym ci powiedziała, co czuję? Mam prawie wrażenie, że istniejesz naprawdę.

Tym razem uwalniam się. Mata zapala kolejnego papierosa.

- Co, wkurza cię, kiedy jesteś traktowany jak bohater powieści?

- Nie jestem postacią z powieści, jestem żywą istotą... bogiem. Albo przynajmniej bogiem-ucznikiem.

- Mnie by wcale nie przeszkadzało to, że jestem postacią z powieści. One są nieśmiertelne.

- Postacie z powieści nie mogą wybierać tego, co chcą powiedzieć, to pisarz o banalnym życiu każe im mówić.

- A więc to relaksujące... przynajmniej nie trzeba sobie łamać głowy, szukając inteligentnych zdań.

- Ja lubię wygłaszać swoje własne słowa. Na przykład, jeśli miałbym ochotę na jakieś przekleństwo, sądzę, że na pewno by je ocenzurowano.

- Spróbuj, sprawdzimy.

- Cholera.

200

- Widzisz. Jeśli przyjmiemy hipotezę powieści, to znaczy, że zachowałeś jakąś część wolnej woli. Wyobraź sobie, że pisarz nas stworzył, teraz jesteśmy trochę „żywi” i pozwala nam mówić to, co chcemy, kiedy chcemy i jak chcemy.

Nie jestem przekonany.

- Hm... zobaczymy. Wpienia mnie to.

- Czego się obawiasz? Tego, że twoje słowa zostaną ocenzurowane, czy tego, że zostaniesz wyeliminowany z fabuły?

- Powinienem wiedzieć, czy jestem ważną postacią tej powieści. Bo jeśli jestem kimś ważnym, powinienem dotrzeć do końca książki.

Ta rozmowa powoduje nagle podobny zawrót głowy, jak wtedy, gdy byłem pijany.

- Każda postać chce być w książce głównym bohaterem. To normalne. A kiedy umiera, nie może wiedzieć, co dzieje się w fabule po jego śmierci... a zatem wszyscy jesteśmy głównymi bohaterami.

- A jeśli popełnię samobójstwo? - pytam.

- To będzie oznaczać, że nie byłeś głównym bohaterem - odpowiada szybko. - W każdym razie mówię ci, że to ja jestem główną bohaterką. Ty jesteś tylko moim seksualnym partnerem w tej scenie.

Wstaję i w zamyśleniu podchodzę do okna. Góra drwi ze mnie.

- Ależ uspokój się, za tym nie stoi żaden pisarz, tylko Zeus - oznajmia Mata.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Autor nie mógłby sam umieścić się w powieści.

Argument wydaje mi się zasadny.

- A czego, według ciebie, chce ten twój Zeus?

- „Mój” Zeus, moim zdaniem, przygląda się z ciekawością, jak się rozwijamy. Patrzy na nasze dokonania. Ja, gdybym była Panem Bogiem, podziwiałabym to, co robią śmiertelnicy. Uwielbiam na przykład Toccate Bacha. Nasz Bóg, sam będąc stwórcą, musi podziwiać innych twórców, bo przecież pochodzą od niego, są jego kruchymi poddanymi.

- To mi przypomina dowcip Freddy'ego Meyera.

- Opowiedz.

Teraz ja zapalam drugiego papierosa, zaciągam się, kaszlę, znowu się zaciągam, odkładam, następnie siadam za nią, aby pomasować jej ramiona. Kiwa głową, że to przyjemne.

Enzo Ferrari, konstruktor samochodów Ferrari, przybywa do Raju. Zostaje przyjęty bezpośrednio przez Pana Boga, który mówi mu, że podziwia wiele jego samochodów, ale najbardziej podoba mu się Testaros-sa. To, jego zdaniem, samochód doskonały, zarówno pod względem linii, miękkości, osiągow, jak i komfortu. Ma jednak jeden, tylko jeden maleńki szczegół, który należałoby poprawić. „Twórca twórcy może wszystko powiedzieć - odpowiada Ferrari. - Słucham więc”. - „A zatem - mówi Pan Bóg - to problem odległości. Kiedy wrzuca się piąty bieg, dźwignia zmiany biegów uderza w szufladkę popielniczki, jeśli ta jest otwarta. Ten element znajduje się zbyt blisko. Należałoby go przesunąć”. Enzo Ferrari przyznaje rację, po czym oświadcza, że on także podziwia dzieło Pana Boga. Uważa, że prawdziwym arcydziełem jest tu kobieta. „Jest

201

doskonała, zarówno pod względem linii, miękkości, osiągow, jak i komfortu. Ale jeśli mógłby sobie pozwolić na zwrócenie uwagi, jak twórca twórcy, jest jeden maleńki szczegół, który

należałoby poprawić". Pan Bóg dziwi się i pyta, co jest w kobiecie niedoskonałego. A Enzo Ferrari odpowiada: „To problem odległości, narządy płciowe są trochę za blisko tłumika wydechu”.

Mata Hari nie od razu rozumie, o co chodzi, a po chwili, oburzona wulgarnością dowcipu, rzuca mi jaśkiem w sam środek twarzy. Zaczynamy poduszkową bitwę.

- Taki dowcip nigdy nie powinien znaleźć się w książce!
- A więc mówisz bóg, który rządzi swoim własnym stworzeniem?

Kiwa potakująco głową. Jakaż ona milusia. Chciałbym cały czas dotykać jej ciała, więc biorę jej stopy i stawiam na moich udach.

- Nasze ludy to prawdziwe dzieła sztuki. Wielki Pan Bóg musi mieć tam, w górze, jakieś urządzenia, które pozwalają mu patrzeć na naszą Ziemię 18, i oczekuje, że będziemy go zachwycać. Przygląda się nam, pilnuje, może nawet już nas podziwia...

- Więc na co czeka?

- Z pewnością na to, żebyśmy znaleźli jakieś oryginalne rozwiązania. Jednym z problemów naszej Ziemi 18 jest to, że jej historia bardzo przypomina historię Ziemi 1, z której pochodzimy. A może on wolałby widzieć inne dusze, które potrafiłyby odkryć takie rozwiązania, o których on sam nie pomyślał?

- Na razie - jak słusznie zauważyłeś - dużo kopiujemy.

- Nawet w zakresie boskości muszą istnieć oryginalni twórcy.

- To wszystko, co stworzyliśmy: nasi bohaterowie, nasze wojny, nasze imperia, nasze miasta, to wszystko jest tylko - nie łudźmy się - bładą kopią tego, o czym czytaliśmy w książkach historycznych na Ziemi 1.

- No to spróbujmy wymyślić jakiegoś bardziej twórczego boga. Co mógłby zrobić?

Zastanawiam się.

- Planetę o kształcie sześcianu?

Mata odpycha mnie.

- Nie, pytam poważnie.

- Ludzi, którzy mają trzy ręce?

- Przestań, denerwujesz mnie.

- No dobrze, a zatem nie wiem. Może ludzkość ukierunkowaną tylko na twórczość muzyczną. Wszystkie ludy rywalizowałyby ze sobą w zakresie sztuki audio.

Mata Hari uśmiecha się, a po chwili na jej twarzy pojawia się niepokój.

- Tym, co najbardziej mnie intryguje - mówi - jest diabeł.
- Diabeł?
- Tak. Hades. Władca ciemności, nie pamiętasz? Atena powiedziała nam, że jest największym niebezpieczeństwem na wyspie.

Położyła dłoń na ilustrowanych księgach opowiadających o mitologii. Jeszcze jedno źródło informacji, inne od książki Francisa Razorba-cka. Pochylam się nad jej ramieniem.

202

- Mówią tu, że Hades, czyli diabeł, nosi niewidzialny hełm. Może więc równie dobrze chodzić między nami. Może nawet teraz słyszeć, o czym rozmawiamy...

Czuję przebiegający mnie dreszcz. Czy nie zrobił się przeciąg?

- Atena uważa, że dopóki znajdujemy się na terenie miasta, nic nam nie grozi.
- Tak sądzisz? Skoro jest niewidzialny, to cały czas żyjemy w zagrożeniu.
- Diabeł... tak cię to przeraża, że nie chcesz już wyruszać na kolejną ekspedycję?
- Nie, oczywiście, że nie. Ale dziwi mnie, że nie zastanawiasz się nad tym bardziej. Ja myślę cały czas... To jest tutaj największa niewiadoma. Diabeł... Moim zdaniem, on nas nie zabije, to byłoby zbyt proste. Raczej sprawi, że znajdziemy się w sytuacji, w której nie będziemy mogli zrozumieć, co się z nami dzieje.
- Kara? Coś w tym stylu, co nam obiecała Meduza?
- To byłoby zbyt proste. Sądzę, że diabeł musi być kusicielem. Musi działać na nasze słabe punkty i łaskotać je, abyśmy przeszli do jego obozu. Musi zobaczyć upadek każdego z nas. To jego skryte marzenie.

Może to jest rozwiązanie zagadki? Pragnienie: lepsze niż Bóg i gorsze niż diabeł?

Mata Hari wstaje. Wspaniale prezentuje się nago. Jej długie włosy spadają gęstą kaskadą aż na piersi. Chwyta wielką amforę miodu i nalewa dla nas duży puchar.

- Nigdy cię o to nie pytałem, ale... kiedy byłaś śmiertelniczką, skazano cię na karę śmierci za zdradę, prawda? Czy naprawdę zdradziłaś?

Mata Hari odwraca się z drwiącą miną.

- Myślisz, że co ci odpowiem? „Tak, oczywiście, zdradziłam i to było dla mnie błogosławieństwem?”

Patrzę na nią zaintrygowany.

- Nie. Nie zdradziłam. To była pułapka, którą na mnie zastawił francuski oficer, ponieważ nie chciałam już z nim sypiać. Ze złości spreparował fałszywe dowody oraz

falszywe świadectwa, podając mnie za podwójną agentkę w służbie Niemców. To było trochę tak, jak kiedyś, gdy wojsko próbowało zniszczyć kapitana Dreyfusa. Niemcy byli zadowoleni, Francuzi także. W każdym razie kobieta używająca swoich wdzięków, aby w ten sposób pomagać w prowadzeniu wojny, to zaniepokoi każdego.

- Dlaczego więc byłaś szpiegiem?

- A jakie życie proponowano kobietom w tamtych czasach? Matki lub prostytutki. Ja nie wybrałam ani jednego, ani drugiego... ale po trosze z obydwu. Chcesz poznać moją historię? W tamtym życiu naprawdę nazywałam się Margaretha Geertruida Zelle. Byłam piękną małą dziewczynką, uwielbianą i rozpieszczaną przez ojca, który był sprzedawcą kapeluszy w Leeuwarden w Holandii. Nic oryginalnego. Gdy miałam szesnaście lat, odesłano mnie ze szkoły w Lejdzie, kiedy odkryto, że łączył mnie potajemny związek z dyrektorem. Wtedy poślubiłam starego kapitana statku, niejakiego Mac Leoda, z którym miałam dwoje dzieci.

203

To on zabrał mnie do Indii. Jednak pił i bił mnie. Więc się rozwiodłam i przyjechałam do Paryża. Tam rozpoczęłam karierę tancerki przebranej w jawajski strój i przyjęłam imię Mata Hari, które oznacza „oko jutrzeńki”.

- Jak oko na niebie...

Ale ona nie pozwala sobie przerywać.

- Spektakl odniósł duży sukces i podróżowałam po całej Europie. Byłam nawet w Kairze. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, nagle wszyscy chcieli nawiązać ze mną kontakt, ponieważ przekraczałam różne granice i znałam wiele języków.

Pije łyk miodu.

- Zawsze pociągały mnie mundury, czy to marynarskie, czy wojskowe. Miałam wiele przygód. Zwłaszcza z lotnikami...

W tym momencie nie mogę nie pomyśleć o Amandine, naszej pielęgniarkę z czasów pionierskich, która uprawiała miłość tylko z tanatonau-tami. Tak jakby mundur określał ich jako potencjalnych partnerów.

Mata Hari ciągnie dalej:

- W 1916 roku, złamawszy już wiele serc, tym razem sama uległam urokowi rosyjskiego lotnika służącego we francuskiej armii, Vadima Maslova. To dziwne, ale pamiętam wszystko tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Nazwiska, twarze, miejsca. Vadim został ranny, a kiedy chciałam jechać go odwiedzić, armia francuska zaproponowała mi, abym dla nich pracowała. Uwiodłam więc majora Kalle, niemieckiego attache wojskowego w Madrycie. Powierzył mi wiele ważnych informacji: okręty podwodne w drodze do Maroka, król, którego Niemcy chcieli posadzić na greckim tronie. Wśród pracowników służb

wywiadowczych był pewien wstrętny typ, nazywał się Bouchardon, kapitan Bouchardon. Zakochał się we mnie, aleja nie byłam nim zainteresowana. Powiedziałam mu to wprost. Wtedy on zmontował spisek i na podstawie fałszywych dokumentów oskarżył mnie o bycie podwójną agentką. W tym samym czasie zaczęły się problemy na froncie. Trzeba więc było poszukać kozłów ofiarnych. Ja doskonale się do tego nadawałam. Osądzono mnie, nie mając żadnych dowodów, i rozstrzelano w fortecy w Vincennes.

Opróżnia swoją filiżankę, a na jej twarzy pojawia się grymas bólu, jakby opowieść sprawiła, że znowu poczuła trafiające w klatkę piersiową kule. Po czym wstaje, odwraca się do mnie plecami i obserwuje górę.

- Tak to jest. Podróżowałam, miałam setki kochanków, nigdy do nikogo nie należałam. Ale wolna kobieta, zwłaszcza w tamtych czasach, była czymś denerwującym. Ludzie „porządni” obawiali się, że moje zachowanie okaże się zaraźliwe, rozumiesz, co mam na myśli? Już od setek wcieleń mam karmę wolnej kobiety. Byłam królową autonomicznego ludu afrykańskiego, kurtyzana w Wenecji, poetką... najczęściej nie wychodziłam za mąż, przewidując, że to pułapka...

- Jaka pułapka?

Mata Hari spuszcza wzrok.

- Mężczyźni chcą zawsze trzymać kobiety w klatce, ponieważ się ich boją. A my się na to zgadzamy, gdyż jesteśmy romantyczkami. A poza tym, tak bardzo lubimy sprawiać przyjemność. Mężczyźni zakuwają

204

nas w łańcuchy uczuć. Tak więc moje siostry znoszą bijących je mężów alkoholików, kochanków, którzy mnożą obietnice, ale żadnej z nich nie dotrzymują, pozwalają nawet zamknąć się w domu i uczą swoje córki, że te oznaki poddaństwa są dla nich dobrodziejstwem. W końcu nawet dochodzą do tego, że wycinają swoim własnym córkom lechtaczkę lub dokonują infibulacji.

- Co to takiego „infibulacja”?

- Zaszycie dziewczętom warg sromowych, aby mieć pewność, że pozostały dziewicami. Czasami nawet za pomocą niesterylnych igieł.

Wypowiada te słowa z wściekłością.

Stają razem z nią w oknie.

- Jednak ja nie żyję złudzeniami. Wiem, że kobiety same są także odpowiedzialne za swój los. Kiedy w Indiach teściowe podpalają sari swoich synowych, aby w ten sposób zdobyć ich posag, to trzeba sobie powiedzieć szczerze, że mężczyźni nie mają z tym nic wspólnego. I jeśli matki uczą swoich synów, jak mają kiedyś podporządkować sobie swoje

żony, to potem nie powinny się skarżyć. Jedno trzeba sobie jasno powiedzieć: jeżeli chcemy przerwać cykl przemocy, to matki muszą uczyć synów, żeby nie byli tacy, jak ich ojcowie...

- Mężczyźni wiedzą, że przyszłość należy do kobiet, dlatego skupiają się na swoich dawnych przywilejach - mówię, chcąc ją uspokoić.

- Nadejdzie taki dzień - mówi - że mężczyźni na Ziemi 1 będą błagać kobiety, aby chciały wyjść za nich za mąż.

Kiwam głową.

- To będzie nasz rewanż. Najpierw nastąpi to w krajach demokratycznych, a potem stopniowo kobiety na całym świecie powiedzą: „Nie chcemy waszych pierścionków zaręczynowych, waszych małżeństw, waszych dzieci. Chcemy być wolne”.

Uderza z całej siły pięścią w ścianę.

- To jest twoja utopia?

- Tak, bo my, kobiety, mamy do przekazania wartości. Wartości związane z naszą umiejętnością dawania życia... Wartości związane ze śmiercią i poddaństwem muszą zostać odsunięte.

- Puszczę wodę na twój młyn. Wiesz, kiedyś na Ziemi 1 byłem naukowcem i dowiedziałem się czegoś, o czym się często zapomina. Przyszłość rzeczywiście będzie należała do kobiet z tego prostego powodu, że jest coraz mniej spermatozoidów będących nosicielami męskich gamet. Są za słabe, trudno się dostosowują, osłabia je najmniejsza zmiana środowiska. Czyli samce znikną z czysto biologicznych powodów.

Pamiętam jeszcze, że podczas pobytu w piwnicy Atlasa widzieliśmy planetę o wiele bardziej rozwiniętą niż nasza, na której nie było mężczyzn.

Mata Hari wydaje się tym bardzo zainteresowana.

- Biologicznie być może. Ale kulturowo to całkiem inna sprawa. Czytałam, że w krajach azjatyckich rodziny korzystały z badań ultrasonograficznych, które pozwalały im określić płeć dziecka jeszcze przed jego urodzeniem, aby w przypadku, kiedy to była dziewczynka, usunąć ciążę. W ten sposób przyszłe pokolenia będą w większości męskie.

205

- Biologia jest silniejsza niż wszystkie sztuczne systemy wymyślone przez człowieka.

I aby zakończyć tę dyskusję, oświadczam:

-1 nadejdzie taki dzień, kiedy na ziemi zostaną tylko kobiety, a mężczyźni staną się wyłącznie legendą.

To zdanie sprawia, że Mata Hari pyta rozmarzonym głosem:

- Czy to możliwe?

- W świecie mrówek istnieją w zasadzie tylko samice oraz osobniki bezpłciowe. A to gatunek zdecydowanie starszy od naszego. Istnieją na Ziemi 1 od 100 milionów lat, podczas gdy pierwsze naczelnice pojawiły się dopiero 3 miliony lat temu. Takie znalazły rozwiązanie. Przyszłość żeńska. Wyłącznie żeńska.

Mata Hari odwraca się i całuje mnie namiętnie.

- Oby cię Bóg wysłuchał. Jutro mamy dzień odpoczynku - oznajmia po krótkiej chwili ciszey. - Ale później gra stanie się trudniejsza. Istnieją teraz wielkie imperia. Raoul i jego orły, Georges Méliès i jego termity, ale także Gustave Eiffel i jego tygrysy. Można by rzec, że zostaliśmy wciągnięci w spiralę i teraz zwycięzcy będą wygrywać coraz więcej, a przegrani coraz więcej tracić.

Powiedziawszy to, wtula się we mnie i zasypiamy razem.

Śni mi się, że znowu Kocham się z Matą Hari, kiedy nagle budzi mnie jakiś hałas.

Afrodyta jest tutaj. Patrzy na mnie, a twarde spojrzenie zmienia jej twarz. Potem odchodzi.

Waham się, czy za nią iść, czy nie. W końcu rezygnuję. Próbuję z powrotem zasnąć, ale nie mogę, więc wstaję i wychodzę do ogrodu. Afrodyta nadal tu jest, przygląda mi się z daleka.

Od jak dawna mnie pilnuje? Czy była świadkiem naszych figli? Czy słyszała naszą rozmowę? Idę za nią. Lecz znika.

Wracam, kładę się koło Maty Hari i wreszcie z powrotem zasypiam.

67. ENCYKLOPEDIA: HISTORIA JASZCZURKI

Lepidodactylus lugubris to niewielka jaszczurka z rodziny gekonów, która występuje na Filipinach, w Australii oraz na wyspach Pacyfiku. Jednak zdarza się tak, że zwierzę to zostaje wessane przez tajfun i zrzucone na bezludną wyspę. Kiedy jest to samiec, fakt ów nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. Ale kiedy idzie o samicę, zachodzi dziwny proces adaptacyjny, którego żaden naukowiec nie potrafi wytłumaczyć. Podczas gdy Lepidodactylus lugubris jest zwierzęciem dwupłciowym, to znaczy takim, którego rozmnażanie związane jest z połączeniem się samca z samicą, zagubionej na bezludnej wyspie samicy udaje się zmienić swój model rozmnażania. Przekształca się cały jej organizm, tak, aby mogła złożyć niezapłodnione, a mimo to zdolne do życia jaja. Małe jaszczurki pochodzące z tej partenogenezy (wydania na świat potomstwa bez udziału partnera) są wszystkie rodzaju

206

żeńskiego. I te jaszczurki będą miały taką samą zdolność składania jaj, które nie muszą być zapłodnione przez samca. Co jest jeszcze bardziej zadziwiające: pierwsze córki wcale nie są klonami swojej matki. Pojawia się bowiem zjawisko mejozy, które umożliwia mieszanie się materiału genetycznego, zapewniające występowanie u każdej małej jaszczurki odrębnych cech. Do tego stopnia, że po upływie kilku lat bezludna wyspa na Pacyfiku okazuje się

zamieszkała przez kolonię gekonów składającą się wyłącznie z samiczek. Populacja jaszczurek cieszy się doskonałym zdrowiem, jest zróżnicowana i zdolna do samodzielnej reprodukcji, bez najmniejszego udziału samców.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

68. NA PLAŻY

Kiedy się budzę, jest obok, ciepła, wtulona w mój bok. Ładnie pachnie. Trochę się porusza. Nie jest zwierzęciem, nie jest rośliną, nawet nie jest człowiekiem. To Mata Hari, boska istota.

Wstaję. Słońce jest już wysoko na niebie. Musi być co najmniej dziesiąta. Poranne dzwony nie były. Przeciagam się. Dobry Boże, mam wakacje, dwa dni wakacji w Raju, na wyspie, ze wspaniałą „narzeczoną”, nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale ten świat, który jeszcze kilka dni temu wydawał mi się taki szary, nagle nabrał kolorów.

Wstaję i idę w stronę słońca, które świeci przed moim domem.

Witaj, słoneczna gwiazdo.

Żyję. Dziękuję Ci za to, mój Boże.

Mój lud też powinien jeszcze żyć. Dziękuję Ci także.

Jestem kochany. Dziękuję ci, Mato Hari.

Kocham. Jeszcze raz dziękuję Macie Hari.

Już nie jestem sam, jest nas dwoje.

Jeśli chodzi o Afrodytę... Im więcej się nad tym zastanawiam, tym mniej mnie interesuje. To zadziwiające, jak kobieta może przyćmić nasz umysł, a potem nagle człowiek odkrywa, że to była tylko pomyłka. Sądzę, że w pewnym sensie bardziej można Afrodyty żałować, niż jej zazdrościć.

Przez głowę przebiegają mi słowa Hermafrodyty: „Ona znajduje przyjemność w uwodzeniu, nie w miłości”. „Zdobywa swoją życiową substancję, niszcząc innych”. Jeśli nawet domyślam się, że Hermafrodyta ma z matką rachunki do wyrównania, to jednak przecież wszystkiego nie mógł wymyślić. Ona karmi się pragnieniem, które wzbudza. Najgorszą rzeczą, jaką mogłaby ją spotkać, byłoby umieszczenie jej w odizolowanym miejscu, z daleka od wszelkich adoratorów.

Biedna Afrodyta. A jednak nawet rewelacje jej własnego syna nie wystarczyły, żeby mnie od niej uwolnić. Potrzebowałem spotkania z prawdziwą miłością, abym zrozumiał, jaką zastawiła na mnie pułapkę.

Dlaczego byłem nią tak bardzo zafascynowany? Może dlatego, że byłem zafascynowany swoim własnym niepowodzeniem w nawiązaniu z nią kontaktu? Chyba, że byłem ciekaw, czy uda mi się pokonać przeszkodę. Człowiek zawsze pragnie poznać granice swoich możliwości.

Patrzę na śpiącą Matę Hari. Mruczy coś przez sen. Musi o czymś śnić. Nie rozumiem, co mówi. Całuję ją w szyję. Jedna kobieta mnie wiąże, druga uwalnia. Lekarstwo i trucizna są tego samego rodzaju, efekt zależy wyłącznie od dawkowania.

Budzę holenderską kobietę-szpiega, obsypując ją pocałunkami.

- Mmm... - mruczy, niezbyt zadowolona.

Dotykam gładkiej skóry na jej szyi.

- Zostaw mnie. Chcę jeszcze spać - mówi, chowając się pod kołdrę.

Nagle mam ochotę przynieść jej śniadanie do łóżka. Wychodzę z willi. Wszędzie pusto. Idę do Megaronu i biorę tacę. Pory Roku obsługują mnie uprzejmie.

Wracam, pogwizdując melodyjkę z dzieciństwa. Łóżko jest puste. Słyszę szum wody w łazience i wchodzę do niej pod prysznic.

Zauważam, że właśnie zaczynam na nowo klasyczne życie małżeńskie „śmiertelnika”.

Powraca zdanie, które usłyszałem na Ziemi 1: „Żyć we dwoje, to wspólnie rozwiązywać problemy, których by się nie miało, żyjąc samemu”.

Po kilku erotycznych chwilach pod prysznicem, Mata Hari znajduje w szafie stroje kąpielowe: dla siebie małe czarne bikini, dla mnie niebieskie kąpielówki. Zabieramy również ręczniki, okulary przeciwsłoneczne, a nawet parasol. Po czym wychodzimy, aby wykorzystać ten rekreacyjny weekend w Olimpii. Kierujemy się w stronę plaży.

Bogowie-uczniowie już tu są, w sandałkach i kostiumach kąpielowych, z ręcznikami zawieszonymi na szyi. Przechodzi Edith Piaf, śpiewając piosenkę Mój legionisto: „Był piękny, był wysoki, pachniał ciepłym piaskiem, mój legioooooooooooooonista”.

- Cześć Michael, cześć Mata - mówi pieśniarka.

Podążając za innymi uczniami, docieramy do części plaży, której nie znałem, wysuniętej bardziej na północ. Znajduje się tu teren rekreacyjny, podobny jak te w klubach sportowych przy ziemskich hotelach.

Naprzeciw plaży znajduje się barek, w którym Hory i Pory Roku serwują napoje chłodzące, oczywiście z lodem, plasterkami owoców i słomką.

Uczniowie rozmawiają. Chwytam urywki dyskusji. Dwaj z nich analizują historię Ziemi 1, chcąc w ten sposób zrozumieć to, co dzieje się na Ziemi 18.

- Ateńczycy zyskali przewagę dzięki niewielkiemu szczegółowi, wymyślonemu przez prostego obywatela. Wsuwali pod siedzenia galerników kawałek mokrej skóry,

umożliwiającej pośladowcom ślizganie się w przód i w tył. Jednocześnie, przy zachowaniu stałego kąta pracy rąk, zyskiwali dziesięć procent mocy. To wystarczyło, aby wygrywać bitwy.

- Grecy napadali z morza, a Rzymianie z lądu.
- Tak, tyle że tam, gdzie Grecy zadowalali się posadzeniem na tronie sprzymierzonego z nimi marionetkowego króla, Rzymianie wprowadza-

208

li prawdziwą politykę okupacyjną, z umieszczeniem stałego garnizonu wojskowego włącznie. Chcieli mieć pewność, że podatki będą trafiać do ich kasy.

- Rzymianie budowali drogi i wznosili budynki.
- Tak, aby lepiej zorganizować grabież surowców. Pod koniec istnienia rzymskiego imperium stolica była tak bogata, że sami nie wiedzieli, co mają robić z pieniędzmi.
- Trochę podobnie jak Hiszpania po zdobyciu Ameryki. Zbyt duża ilość złota niszczy cywilizację.

Dochodzę do wniosku, że Olimpia produkuje nie tylko dobrych zarządców dla swoich ludów, ale może i nawet kilku niezłych teoretyków techniki boskości.

Nieco dalej dwaj inni uczniowie rozmawiają na temat zamieszek.

- Już wiem, jak się do tego zabrać. Trzeba znaleźć przywódców, a następnie ich odizolować. Wtedy cała reszta jest pozostawiona samym sobie. Bunt jest przedsięwzięciem wspólnym. Policja, chcąc ich zdemotywować, musi ich sprowadzić do poziomu jednostki. Pojedynczo będą niegroźni i nie zechcą stwarzać problemów.

Nie mam ochoty dalej słuchać na temat „pracy”.

Kliki uczniów gra na turystycznym stoliku w szachy, inni w go, jeszcze inni w yaltę - rodzaj gry na trójkątnej szachownicy z białymi, czarnymi i czerwonymi figurami, w której bierze udział trzech zawodników.

Gustave Eiffel mierzy się z Proudhonem i Brunem.

- Cześć, Michael, cześć, Mata. Mieliście dobrą noc? - pyta Eiffel porozumiewawczo.

Nie znajdując żadnej oryginalnej odpowiedzi, zadowolam się witaniem z pozostałymi uczniami.

- Cześć Georges.
- Cześć.

Fakt, że dziś rano nie było zajęć, gry, „zawieszenia”, pozwala mi na niespotykany relaks.

- Cudownie - mówię, zakładając okulary przeciwsłoneczne.

Na brzegu bogowie-uczniowie grają w siatkówkę, przebijając piłkę przez siatkę o szerokich oczkach.

Podchodzę do grupy skupionej na grze w karty, której od razu nie rozpoznaję. Potem dopiero przypominam sobie, że opisał ją Wells w Encyklopedii jako grę Eleusis. Pasuje doskonale do miejsca, ponieważ zwycięża ten, kto znajdzie... zasadę gry.

Inni uczniowie się kąpią. Woda wygląda na trochę chłodną. Wchodzą powoli, spryskując sobie szyję, ramiona, brzuch. Edith Piaf podśpiewuje, dodając sobie odwagi. Teraz nuci: „Nie, nie żałuję niczego”.

- Dobra woda? - wołam.

Jakiś satyr podchodzi i ciągnie mnie za rękę.

- Dobra woda - powtarza.
- Daj mi spokój - mówię.
- Daj mi spokój, daj mi spokój, daj mi spokój.

Nie do zniesienia są te satyry z ich eholalią.

209

- Na początku jest trochę zimna, ale potem nie masz ochoty wychodzić - mówi Simone Signoret, której woda sięga do ramion.

Wyciągam się na ręczniku.

- Co robimy?
- Odpoczywamy - odpowiada moja towarzyszka.

Wychodzenie z łóżka tylko po to, aby spać na plaży, wydaje mi się trochę niemoralne, ale ustępuję. Nagle ktoś zasłania mi słońce.

- Mogę się do was przysiąc? - pyta Raoul Razorback.
- Oczywiście - odpowiada Mata Hari.

Przyjaciel rozkłada się.

- Chciałem ci powiedzieć, Michael, że jeśli chodzi o twój lud delfinów i twój port wielorybów to... no... żałuję tego, co się stało.

Mówi tak, jakby jego śmiertelnicy działali bez jego wiedzy. Jakby był ojcem niezręcznych dzieci, które wybiły piłką szybę.

- Żałujesz, że tym, którzy przeżyli, pozwoliłeś uciec statkiem? - mówię ironicznie.

- Nie, mówię poważnie. Wiem, że w moim zachowaniu było wiele niezręczności, a nawet wielokrotnie postąpiłem w sposób zbyt uproszczony. Ale to była najprawdopodobniej reakcja na ofensywę twojego Wyzwoliciele. Nie spodziewałem się, że wszystko zawali się tak szybko z woli jednego tylko zdeterminowanego człowieka.

Staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

- To są niespodzianki, które serwuje gra.

- Planujemy z teonautami dziś po kolacji wyprawę do pomarańczowej strefy. Jak ci już mówiłem, mamy hełmy i...

- Zaraz, zaraz, ja też przewidziałam już na dzisiejszy wieczór kontynent do odkrycia - protestuje Mata Hari.

- Ach tak, a jaki?

- Kontynent pięciu zmysłów.

Uśmiecham się i całuję ją w rękę.

- Przykro mi, Raoul, muszę zachować priorytety - odpowiadam. - Tak więc dziś wieczorem idziecie beze mnie.

Hory rozstawiają w pobliżu grill. Raoul postanawia pójść się wykapać.

Zostajemy z Matą Hari na słońcu, wylegując się jak jaszczurki.

- Dziś wieczorem nie będzie mnie ani z Raoulem, ani z tobą - mówię.

Mata Hari opuszcza przeciwsłoneczne okulary i przygląda mi się badawczo.

- A co będziesz robił?

- Nic specjalnego.

- Powiedz mi, bo inaczej nie pozwolę ci pójść.

Szeptę jej na ucho:

- Pójdę kontynuować grę.

- Przecież to zabronione. Jest przerwa. Nasze ludy ewoluują bez nas, idąc same ostatnio wytyczonym torem.

- No właśnie, a ja chciałbym zmienić trochę mój.

Mata Hari patrzy na mnie wyraźnie zaniepokojona.

210

- Nie można nic zrobić, nie mamy dostępu do gry.

Całuję ją.

- Już to robiłem.
- A więc to byłeś ty, ów nieproszony gość, o którym wspominał Atlas...
- Ja i Edmond Wells. Nie mieliśmy wyboru... nasze ludy zostały zredukowane do grupy rozbitków płynących na targanej wiatrami skorupie orzecha. Mieliśmy tylko jedno wyjście: oszukać albo zniknąć.
- Już rozumiem, w jaki sposób udało się wam stworzyć tak dobrze rozwiniętą cywilizację na Wyspie Spokoju.
- Znowu mam wrażenie, że jestem na granicy. Jeśli zostawię mój lud samopas przez jeden dzień... może to oznaczać duże ryzyko.
- Moi ludzie ochronią cię.
- Ale moi ludzie są nie tylko na terytorium wilków. Ludzie-delfmy są rozproszeni po całym świecie i wszyscy są albo niewolnikami, albo w najlepszym wypadku ciemniejszą mniejszością.

Zbliża swoją twarz do mojej.

- Tak właśnie zdobywa nas szatan, przez pragnienie bycia bogiem.
- Co złego jest w tym, że nie chcę przegrać?
- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Kiedy w grę wchodzi władza, nic was nie powstrzyma.
- Jeśli chcesz, Mata, możesz iść ze mną.
- Chciałam spędzić z tobą spokojny wieczór, a ty mi już mówisz o pracy!

Odwraca się plecami.

- Co ci się marzy? Ze zdołasz sprowadzić swój lud delfinów na terytorium przodków?
- Czemu by nie?

Wzrusza ramionami.

- A więc aż do tego stopnia kochasz tych swoich śmiertelników?
- Chwilami mnie denerwują, czasem rozczulają, a czasami też martwię się o nich. Nie mogę pozostać obojętny w obliczu grożącego im niebezpieczeństwa.

Przysuwam się do Maty i przytulam ją, kładąc głowę na jej ramieniu.

- Od czasu, gdy kocham ciebie, ich kocham jeszcze bardziej. To musi być zaraźliwe w różnych wymiarach.

Całuję ją w łokieć. To na razie mało znany moim ustom region.

Odwraca się do mnie, uśmiechnięta. Chyba trafiłem w sedno.

- A jeśli dasz się złapać? - mówi, marszcząc czoło.

Hory skończyły montować grill i wbijają na ruszt barana. Pomagają im w tym Pory Roku.

- W każdym razie nie może mi się przytrafić już nic gorszego niż to, co próbowała mi zrobić Gorgona. Muszę spróbować ocalić mój lud.

Odpycha mnie.

- A o mnie zapomniałeś? Jesteśmy razem od niespełna doby, a ty już jesteś gotowy zamienić mnie we wdowę!

Proponuję, byśmy poszli się wykąpać. Woda jest przezroczysta, chłodna, ale nie za bardzo. Jest piękna pogoda. Kładę się na wodę i pły-

211

nę. Mata Hari płynie obok mnie kraulem. Proponuję, byśmy wypuścili się na szerokie morze. Zawsze lubiłem daleko wypływać. Jednak ona nie chce odpływać od brzegu. Płynę sam.

Wtedy zauważam skaczącego ponad falami delfina.

Płynę w jego stronę.

Mam jakieś przeczucie. Tak, znam go.

- Edmond Wells? Edmond, to ty?

Jaki piękny koniec dla duszy: zamienić się w delfina żyjącego w oceanie królestwa bogów.

Podpływam bliżej. Nie ucieka. Chwytam jego boczną płetwę, chcąc się w ten sposób przywitać. Pozwala mi na to. Wtedy ośmielam się uczepić płetwy grzbietowej. Wszystkie te gesty wydają mi się znajome, gdyż wielokrotnie widziałem, jak robili to moi ludzie-delfmy. Ciągnie mnie. Jakie wspaniałe uczucie.

Czasami zapomina wypłynąć na powierzchnię i wtedy duszę się trochę pod wodą, ale szybko przyzwyczajam się przedłużać okresy bezdechu.

Wreszcie odstawia mnie na brzeg.

- Dziękuję za przejażdżkę, Edmondzie. Już wiem, jaki spotkał cię los.

Rusza z powrotem, przesuając się tyłem, niemal w pozycji pionowej, i wydając przy tym wysokie dźwięki oraz kręcąc głową, jakby się ze mnie naśmiewał.

69. ENCYKLOPEDIA: SEN DELFINA

Delfin jest ssakiem morskim. Ponieważ oddycha powietrzem, zatem nie może przebywać pod wodą tak długo, jak ryby. Ponieważ ma delikatną skórę, nie może również przebywać długo na powietrzu, gdyż istnieje ryzyko jej uszkodzenia. Tak więc musi żyć jednocześnie w wodzie i na powierzchni. Lecz ani tylko w wodzie, ani tylko na powierzchni. Jak spać w takiej sytuacji? Delfin nie potrafi pozostawać nieruchomo, ponieważ ryzykowałby wówczas wysuszenie skóry, bądź uduszenie się. Jednak sen jest mu potrzebny do zregenerowania sił, tak zresztą jak wszystkim innym organizmom (nawet rośliny na swój sposób zapadają w sen). Delfin rozwiązuje ów życiowy problem, śpiąc na jawie. Kiedy zasypia jego lewa półkula mózgowa, to funkcjonowanie ciała zapewnia prawa półkula. Kiedy odpoczywa prawa półkula, organizmem kieruje lewa. Tak więc, kiedy delfin skacze w powietrzu, znajduje się jednocześnie w stanie snu...

Delfiny przystosowały się do takiego systemu funkcjonowania mózgu, wytwarzając coś w rodzaju trzeciego mózgu - niewielkiego wyrostka nerwowego, który kieruje całym zespołem.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

212

70. SJESTA

Po zjedzeniu na plaży obiadu Mata Hari proponuje mi sjęstę. Spać po południu? Już dawno taka myśl nie przyszła mi do głowy. Od razu widać, że jesteśmy bogaci w czas i próżniactwo. Sjęsta wydaje mi się pierwszym realnym dowodem na to, że naprawdę jesteśmy na wakacjach. Układamy plażowe rzeczy, bierzemy prysznic i wślizgujemy się pod kołdrę, gdzie szukamy nowych sposobów łączenia naszych ciał, coraz mniej sobie obcych.

Zasypiam spocony.

Śnię.

Po raz pierwszy od bardzo dawna nie mam snu, w którym coś się dzieje. Śnią mi się kolory. Widzę jasnyniebieskie światła tańczące na granatowym tle. Światła zamieniają się w gwiazdy, następnie w rozety, potem w spirale. Wirują i stają się złote, potem żółte, potem czerwone, tworzą koncentrycznie ułożone kółka, potem linie przedłużające się w nieskończoność. Po chwili linie się zbiegają i przekształcają w romby, które odsuwają się coraz bardziej. Jednocześnie w mojej głowie rozbrzmiewa muzyka, w której słychać chór damskich głosów. Romby przekształcają się w owale, te zaś zwężają się, tworząc różnokolorowe mozaiki. Są jak ruchome obrazy malarstwa abstrakcyjnego.

- Psst...

Czuję zimną dłoń na moim ramieniu.

-Psst...

Czyjaś ręka ściska moje ramię i potrząsa nim.

- Obudź się.

Opuszczam biały ocean, z którego wynurzają się purpurowe drzewa, a kiedy otwieram oczy, widzę przed sobą twarz Maty Hari.

- Co się dzieje?

- Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas w salonie.

Ktoś chodzi po domu.

Afrodyta?

Wyskakuję nagi z łóżka.

Wchodzę do salonu i widzę jakąś postać. Stoi pod światło, więc rysuje się niewyraźnie. Wszystko, co widzę, to toga oraz duża maska, zakrywająca całkowicie twarz. Promień słońca wpadający przez zasłony pozwala mi spostrzec, że chodzi o maskę z greckiej tragedii, przedstawiającą smutną twarz.

Bogobójca?

Intruz nie rusza się. Trzyma w ręku moją Encyklopedię Wiedzy Relatywnej. Chce ukraść moją Encyklopedię. KRADNIE MOJĄ ENCYKLOPEDIĘ.

Gdzie mój ankh?

Ciągle nagi rzucam się na fotel, grzebię w połach togi i strzelam w jego kierunku. Chybiam.

Złodziej woli uciec. Biegnę za nim. Kluczymy pomiędzy domami. Mija slalomem drzewa. Ja też biegnę slalomem.

213

Zatrzymuję się, celuję dokładnie i strzelam. Błyskawica przecina powietrze i trafia go. Przewraca się, wypuszczając z rąk Encyklopedię. Mam go! Przyspieszam. Podnosi się, jedną ręką trzyma się za ramię. Zraniłem go. Odwraca się, patrzy na mnie spoza maski i znowu rzuca się do ucieczki. Podnoszę cenne dzieło lewą ręką i trzymając cały czas w prawej ręce ankh, pędzę za nim.

- Ej, ty! Nie jesteśmy w klubie naturystów, Michael. Już ci o tym kiedyś mówiłem! - dobiega mnie z oddali głos Dionizosa.

Nie mam czasu tłumaczyć mu powodów, dla których widzi mnie w takim stroju. Gonię bogobójcę. Jest ranny w ramię, powinienem go złapać.

Intruz kluczony wśród ogrodów, przeskakuje przez płoty, ściskając bolące ramię. Ale i tak jest zwinny.

Biegnę cały czas za nim, nago, raniąc stopy o żwir, a uda o żywopłoty. Składam się do strzału, celuję, opierając ankh o udo, po czym strzelam wielokrotnie i chybiam. Uderzenia z ankh dziurawią drzewa lub tłuką szyby w oknach.

Ulice są puste, wszyscy uczniowie są nadal na plaży. Biegnę sam, zdecydowany go dopaść.

Wchodzi na murek, idzie po nim, starając się zachować równowagę. Nigdy nie byłem dobry w tego typu ćwiczeniach, ale nie zamierzam się poddać, kiedy jest niemal w zasięgu mojej ręki. W pewnej chwili prawie upadam, lecz waga sytuacji powoduje, że wzrasta mi poziom adrenaliny, rekompensując moje słabości.

Bieg rozpoczyna się na nowo. Pędzę. Wbiega do wielkiego budynku. Wahadłowe drzwi jeszcze się poruszają. Wchodzę za nim.

Sala, w której się znajduję, przypomina laboratorium. Ale jak się dobrze przyjrzeć, nie jest to tylko laboratorium, ale także zoo. Duże klatki stoją obok akwariów. Czuję, że bogobójca ukrył się tutaj. Podchodzę powoli, trzymając w ręku gotowy do strzału ankh. Wtedy zauważam w klatkach żywe istoty.

Widzę małe centaury. Tyle, że zamiast nóg koni mają łapy gepardów. Prawdopodobnie po to, aby mogły szybciej biegać. Także ich tułowia są węższe. Podchodzą w moją stronę i wyciągają przez pręty klatek łapy, jakby mnie błagały, żebym je stąd wyciągnął. Obok widzę cherubiny, które nie mają skrzydeł motyla, lecz ważki. Gryfy ze skrzydłami nietoperza i ciałem kota. Przesuwając się dalej w poszukiwaniu bogobójcy, dochodzę do wniosku, że jest to laboratorium, w którym ktoś tworzy nowe chimery! Czyżby to było laboratorium Hefajstosa? Nie, zdaje się, że on pracuje wyłącznie na maszynach, robotach lub automatach. Tutaj mam do czynienia z laboratorium, w którym są żywe istoty. Są tu słoje z jaszczurkami o ludzkiej twarzy, pająki z małymi ludzkimi nóżkami, a nawet hybrydy roślin: bonsai z rękoma i dłońmi, grzyby z wylupiastymi oczyma, paprocie, których różowe gałęzie przypominają ludzkie ciało, kwiaty, których płatki mają kształt uszu. Można by uwierzyć, że to stworzony w stanie delirium obraz Hieronima Boscha, gdyby nie fakt, że ten flamandzki mistrz nie przedstawiał takiej organiczno-roślinno-ludzkiej mieszaniny.

214

Jeżeli to laboratorium, tylko diabeł może być jego właścicielem albo jakaś istota nieodczuwająca empatii do stworzeń, które są jej dziełem.

Jest mi niedobrze. Większość chimer dostrzega moją obecność i wyraża swoją wolę, abym je uwolnił.

Znowu wraca porównanie z wyspą doktora Moreau. Tutaj wykonuje się doświadczenia, których celem jest zmieszanie człowieka i zwierzęcia, lub raczej tego, co boskie, z tym, co potworne. Jaki interes może mieć ktoś w fabrykowaniu takich chimer? Teraz te wszystkie istoty są podenerwowane i przez pręty swoich klatek wyciągają do mnie ręce. Te, które zamknięto w akwariach, uderzają o ścianki. Czuję niesmak i mam ochotę uwolnić je wszystkie. Zwalniam kroku. Przez chwilę zapomniałem, dlaczego tu się znalazłem.

Przypomina mi o tym dźwięk tłuczonej fiołki. Bogobójca ukrył się. Jest z przodu. Biegnę. I docieram do innej części laboratorium, w której na półkach stoją setki słoików. Wszystkie wypełnione są serduszkami na małych nóżkach, identycznymi jak to, które podarowała mi Afrodyta. A zatem to ona zapoczątkowała w tym miejscu hodowlę... „serc w prezencie”, przeznaczonych dla jej zalotników. Czyli to, które mi zaproponowała, nie było jedyne.

Jestem tak zaintrygowany, że nie mogę nie podejść bliżej. Wydają z siebie ciche smutne piski, trochę podobnie jak kotki w okresie rui.

Chcę szybko opuścić to miejsce. Zauważam zbitą szybę; bogobójca musiał zwiać tamtędy. I rzeczywiście, rozpoznaję oddalającą się postać.

Wychodzę przez okno. Biegnę za nim.

Jesteśmy na głównej alei. Odległość między nami zmniejsza się i kiedy uznaję, że jest ona odpowiednia, celuję w jego policzek. Ale mój ankh jest wyładowany.

Wieszam beużyteczny ankh na szyi i podnoszę gałąź drzewa, która może mi posłużyć jako broń.

Postać w smutnej masce biegnie w stronę krętych uliczek. I już jesteśmy w labiryncie. Mój rywal jest trochę bardziej z przodu, ale udaje mi się za nim zdążyć.

Wbiegł na ulicę Nadziei. To musi być jakiś uczeń, bo chyba nie wie, że ta uliczka jest bez wyjścia. Tym razem nie może uciec. Mam go.

Kiedy docieram do końca, uliczka jest pusta. Stoją tylko duże skrzynie. Przecież nie mógł się ulotnić.

Przesuwam skrzynki: na nic. Wtedy zauważam na ziemi krople krwi. Krew boga. Kończą się przed dużą skrzynią, której chyba nie zdołam podnieść. Jednak kiedy próbuję ją przesunąć, stwierdzam, że obraca się wokół własnej osi. Tajemne przejście.

Wchodzę. To tunel przechodzący pod murem. Idę długo, podążając za kroplami krwi.

Tunel kończy się w lesie, który prowadzi do niebieskiej rzeki. Nie widzę go już. Zatrzymuję się, dysząc ciężko.

Odgłos kopyt. To centaury. Otaczają mnie.

- No, kawaleria, potrzebujecie dużo czasu, żeby zareagować - mówię zgięty w pół, aby zaczerpnąć tchu.

Po chwili obok mnie ląduje Atena.

215

Pegaz majestatycznie macha skrzydłami.

- Kto to był? - pyta bogini mądrości, najwyraźniej wiedząc już o mojej przygodzie.

- Nie udało mi się go zobaczyć, miał na twarzy maskę.
- Maskę?
- Maskę z teatru greckiego, maskę o smutnej mimice, trochę podobną do tych, które widzieliśmy podczas przedstawienia Persefony.
- Musiał ją zdobyć w magazynie kostiumów.
- Zraniłem go w ramię.

Ta uwaga bardzo ją zainteresowała.

- Mówi pan w ramię? W takim razie mamy go. Nie będzie mógł przekroczyć niebieskiej rzeki.

Rozkazuje centaurom obstawić brzegi. Syreny, widząc, że dzieje się coś nowego, wyciągają z wody głowy i swoje długie włosy. Czekamy, ale nic się nie dzieje. Bogobójca rzeczywiście zniknął.

Atena uderza włócznie w ziemię.

- Bijcie na alarm. Wezwiemy wszystkich uczniów.

W następnej minucie, podczas gdy dzwony pałacu Kronosa biją z całej siły, uczniowie zgromadzili się na dużym placu pod drzewem. Ubieram się i wkładam sandały.

Stoimy w długim rzędzie, jak pierwszego dnia po przybyciu do Ae-denu, tyle że jest nas o połowę mniej. Uczniowie podają kolejno swoje nazwiska i pokazują odsłonięte ramiona.

- Brakuje jednej osoby - oznajmia bogini mądrości, sprawdzając z satysfakcją na swojej liście nazwisk.

Domyślam się, o kogo chodzi.

- Joseph Proudhon.

Wśród zebranych słycać szmer.

- Proudhon? Powiedziała Proudhon?
- Zawsze tak myślałem. To mógł być tylko on.
- Jego cywilizacja szczurów jest całkiem przestarzała.
- Źle znosił grę. Atakował zwycięzców - mówi Sarah Bernhardt. - Pamiętacie? Najpierw Beatrice z ludu zółwi. Dalej Marilyn Monroe, potem wszyscy inni.
- Przyszedł do mojej willi - mówię. - Dlaczego chciał mnie zaatakować? Nie jestem zwycięzcą. Zająłem dwunaste miejsce.

- Ale on jest za tobą. Ci wszyscy, którzy są przed nim, to jego przyszłe ofiary - mówi dalej Sarah Bernhardt.

- To anarchista, nie lubił bogów - twierdzi Edith Piaf.

- Zawsze mówił, że chce zniszczyć system - dorzuca Simone Signoret.

Atena ogłasza, że w niebieskim lesie zorganizowana zostanie wielka obława.

Zostajemy włączeni w polowanie na anarchistę.

Centaurzy idą w pierwszej linii, grając na bębnach. Przesuwają się od brzegów niebieskiej rzeki w naszą stronę. Wszyscy uczniowie, wspomagani przez satyrów, trzymają długą sieć. Wygląda, jakby to było polowanie na tygrysa w lasach Bengalów.

216

Nad nami latają gryfy, wrzeszcząc gardłowo. Pod nimi cherubinki. Zaglądały między gałęzie, sprawdzają, czy uciekinier nie ukrył się czasem w listowiu.

Mata Hari jest niedaleko mnie. Idziemy naprzód, ale po jakimś czasie rząd centaurów i rząd uczniów spotykają się ze sobą, nie wypłoszywszy Proudhona.

Atena jest wyraźnie zmartwiona.

- Nie mógł opuścić wyspy ani przedostać się przez rzekę. Musimy go znaleźć. Szukajcie wszędzie, wyspa nie jest taka duża, nie może ukrywać się w nieskończoność.

Obława przybiera na sile. Przeczesujemy plażę, okolice miasta. Eskadry gryfów rozdzierają niebo w poszukiwaniu śladów tego, który zabija bogów, a dzwon na trwogę ciągle bije.

Nie udaje się znaleźć Proudhona.

Hermes oświadcza, że może należałoby przeczesać miasto.

- Może tylko udawał, że wydostaje się na zewnątrz, a to był podstęp. To w oku cyklonu najlepiej ustrzec się od wiatru - przypomina bóg podróży.

Zbieramy się więc przy zachodniej bramie miasta. Centaurzy otwierają po kolei wszystkie domy i szukają w środku. Aż wreszcie znajdują Proudhona... w jego własnej willi, schowanego pod łóżkiem.

Centaurzy chwytają go bez trudu i, zakutego w łańcuchy, przywodzą na główny plac. Ma spaloną togę, wydaje się oszołomiony, jego ramię krwawi.

- To nie ja - bełkocze. - Jestem niewinny.

- Dlaczego więc się ukryłeś? - rzuciła Sarah Bernhardt, biorąc odwet na drapieżnym bogu.

- Spałem - odpowiada, lecz nie brzmi to przekonująco.

- I zbudził cię dzwon bijący na alarm? - pyta ironicznie Wolter.

Anarchista jest przerażony.

- Kiedy zrozumiałem, że to mnie szukacie, wolałem się ukryć - przyznaje.

Na jego twarzy pojawia się smutny uśmiech.

- Być może to dawna reakcja z czasów mojego ostatniego ziemskiego wcielenia. Boję się policji...

Atena ogłasza, że otrzyma karę za popełnione zbrodnie.

- Przysięgam, że jestem niewinny - protestuje Proudhon.

Gdzieś zniknęła ta jego charakterystyczna arogancja. Zakrywa dłonią ranę. Zabieram głos.

- Ma prawo do procesu! - mówię.

Atena usłyszała i szuka, kto wśród zgromadzonych pozwolił sobie na taką uwagę.

- Czy ktoś coś mówił?

Wychodzę z tłumu.

- On ma prawo do procesu - oznajmiam wyraźnie.

Wszyscy przyglądają mi się z niedowierzaniem.

Atena staje przede mną, bardziej zaskoczona niż przeciwna.

- Hm... To pan wymyślił dla swoich ludzi sądy, prawda Michael?

217

Chwila zamieszania, słycać szepty.

- Niezawisła władza sądownicza to postęp, jak mi się wydaje. Każda osoba podejrzana ma prawo do obrony. Proudhon ma prawo być sądzony nie przez jedną, ale przez wiele osób.

Atena wybucha śmiechem, ale ja nadal patrzę jej w twarz bez mrugnięcia.

- Dobrze, skoro pan Pinson tego żąda... Joseph Proudhon będzie miał prawo do procesu - oznajmia z lekceważącym gestem. - Dziś wieczorem, przed kolacją, w amfiteatrze, o osiemnastej. To będzie dodatkowe przedstawionko na ten weekend.

71. ENCYKLOPEDIA: DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ

Trudno było wprowadzić procedurę niezależnych sądów. Dawno temu wyroki wydawali po prostu wojenni dowódcy lub królowie. Podejmowali więc tylko takie decyzje, które im odpowiadały, nikomu nie musząc się z nich tłumaczyć. Z chwilą pojawienia się Dziesięciu Przykazań (przekazanych Mojżeszowi około 1300 roku przed Chrystusem), pojawia się

niezależny system, który ustanawia prawo nie-służące żadnym osobistym interesom politycznym, lecz które można zastosować wobec każdej ludzkiej istoty.

Należy jednak zauważyć, że Dziesięć Przykazań to nie jest ciąg zakazów, gdyż musiałyby zostać inaczej sformułowane: „Nie wolno ci zabijać”, „Nie wolno ci kraść” itd. Zdania są w czasie przyszłym: „Nie będziesz zabijał”, „Nie będziesz kradł”. Dlatego niektórzy egzegeci wysunęli myśl, że to nie tylko kodeks prawny, ale prorocstwo. Pewnego dnia nie będziesz zabijał, ponieważ zrozumiesz, że zabijanie jest niepotrzebne. Pewnego dnia nie będziesz kradł, ponieważ nie będziesz już potrzebował kradzieży, aby przeżyć. Jeżeli spojrzymy na Dziesięć Przykazań jako na prorocstwo, to jawi się ono jako dynamiczne zdobywanie świadomości, gdzie karanie występków jest już niepotrzebne, gdyż osoba nie chce ich popełniać...

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

72. NA PLAŻY

Wróciwszy na plażę, rozmawiamy o mającym się odbyć procesie. Dołącza do mnie Raoul.

- Brawo, Michael, w końcu to ty go w zasadzie złapałeś.
- Chciał ukraść Encyklopedię Wiedzy Relatywnej i Absolutnej - mówię, starając się zrozumieć sens tego incydentu. - Nie rozumiem, dla-

218

czego go to interesowało. Myślę, że w księdze jest coś, co go bezpośrednio dotyczy.

- Byłeś kolejny na liście, ale cię nie zabił - zauważa.
- To wszystko wydaje mi się zbyt proste - szepczę.

Raoul poklepuje mnie po przyjacielsku.

- Dlaczego chciałbyś, żeby wszystkie policyjne dochodzenia długo trwały? Czasami od początku wiadomo, kto jest mordercą. Wyobraź sobie kryminał, w którym na samym początku chwytają mordercę, a cała reszta powieści jest o tym, jak prowadzący śledztwo wyjeżdżają na wakacje i odpoczywają dzięki superpremi, którą otrzymali za swoje szybkie działanie...
- Mogę sobie również wyobrazić kryminał, w którym do końca nie udaje się odnaleźć mordercy i sprawa zostaje zamknięta. Tak zresztą dzieje się naprawdę w większości przypadków.

Patrzę z daleka na zanurzony we mgle szczyt góry.

- Nadal wierzysz w to, że znajdujemy się w powieści, prawda? - pytam przyjaciela.

- To był pomysł Edmonda Wellsa.

Raoul wzrusza ramionami.

- W każdym razie, jeżeli znajdujemy się w powieści, to chyba dotarliśmy do ostatniego rozdziału, ponieważ po pierwsze: zagadka kryminalna została rozwiązana, po drugie: uporałeś się z twoją wielką historią miłosną.

- Zapomniałeś o jednym, to dopiero połowa sesji. Na razie mieliśmy zajęcia tylko z sześcioma bogami-mistrzami z dwunastu. A zatem jesteśmy w połowie fabuły, a nie pod koniec. I poza tym ciągle nie wiemy, co jest na szczycie góry.

- Jestem przekonany, że jak tylko przejdziemy pomarańczowy świat, wszystko się wyjaśni. Co do twojego pomysłu... Być może od połowy historii pisarz rozpocznie jakiś nowy wątek, w którym znajdą się inne główne postacie, inne zagadki kryminalne oraz inne miłosne przygody... - dodaje Raoul Razorback.

- Inni bohaterowie, inne przygody miłosne... kogo masz na myśli?

Przyjaciel uśmiecha się.

- Siebie. W końcu od samego początku tylko ty i Freddy zbudowaliście jakieś związki. Ja też mam prawo się zakochać... zresztą, już jestem zakochany.

- Zaczekaj, niech zgadnę. Sarah Bernhardt?

- Nie powiem...

Daję mu kuksańca.

- Wiem, że to Sarah Bernhardt... na co czekasz, powiedz jej to!

Raoul pozostaje niewzruszony.

- To naprawdę wspaniała dziewczyna. Jej lud jest wolny i dumny, galopuje konno po nizinach i nie żyje, jak większość z nas, zamknięty w coraz bardziej niezdrowych miastach.

- Uważaj. Jeśli jej lud jest zapowiedzią pierwszych Mongołów, którzy także większość czasu spędzali w siodle, to przypominam ci, że zdobyli całe Wschodnie Cesarstwo Rzymskie.

219

- Nie uważam, że odtwarzamy dokładnie historię Ziemi 1. To my zniekształcamy nasze wyobrażenia. Interpretujemy wszystko tak, aby dwa historyczne schematy sprawiały wrażenie, że są do siebie podobne. Ale przecież mamy ciągle naszą wolną wolę. Jest droga znana i ta, którą każdego dnia musimy na nowo wytyczać.

- Chciałbym mieć pewność, że się nie mylisz.

- To tak, jak z naszym życiem. Jest pewna wyznaczona droga, ale jest także nasza wolna wola, która sprawia, że albo idziemy wytyczonym szlakiem, albo z niego schodzimy. Lecz to my podejmujemy decyzję. I jak się dobrze przyjrzeć, Rzymianie i Mongołowie mogli równie dobrze porozumieć się i zbudować ogromne imperium, rozciągające się od Chin po Anglię. Twoja uwaga otwiera przede mną perspektywy.

Georges Méliès, Jean de La Fontaine i Gustave Eiffel rozkładają koło nas ręczniki.

- Idziemy się wykąpać przed procesem, idziecie z nami?
- Nie, dziękujemy, trochę nam zimno.
- Ja mam raczej ochotę na partyjkę szachów, co ty na to, Michael? - proponuje Raoul.
- Nie mam do tego głowy...

Raoul nalega i w końcu zgadzam się. Idzie poszukać figur, a potem siadamy na delikatnym piasku.

Zaczynam pionem królewskim. Po debiutach gra staje się coraz bardziej szybka. Raoul rusza skoczkiem. Ja odsłaniam gońca i królową i atakuję jego linię pionów

- Uważasz się za Wyzwolicieła?

Bierze króla i stawia go za wieżą.

- Jaka jest twoja utopia?

Przesuwam gońca i zbijam mu królową.

Kiwa głową z uznaniem dla mojego ruchu.

- Zastanawiam się, czy świat nie jest już doskonały, będąc takim, jaki jest.
- Mówisz o Ziemi 1 czy Ziemi 18?
- Może o obydwu. Nie wiem, czy to życiowa mądrość, ale sądzę, że jestem w stanie zaakceptować świat z jego przemocą, świętymi, szaleństwem, mądrością, perwersją, zabójcami.
- A zatem gdybyś ty był bogiem, to co byś zrobił?
- Postąpiłbym tak, jak nasz były Pan Bóg z Ziemi 1.
- To znaczy?
- Nic bym nie zrobił. Pozostawiłbym świat samemu sobie, niech sobie radzi. I przyglądałbym się temu, jakby to było jakieś widowisko.
- „Boskie wypuszczenie z ręki”?

- Przynajmniej gdyby im się powiodło, mogliby gratulować tylko samym sobie, a gdyby im się nie udało, tylko oni ponosiliby za to odpowiedzialność.
- Masz szczęście, że potrafisz wykazać się taką obojętnością wobec twoich śmiertelników. Ale po co w takim razie grasz?
- Ponieważ gra sprawia mi przyjemność. Tak jak przyjemnością jest gra w szachy. A skoro gram, to walczę wszelkimi sposobami, aby wygrać.

220

Powiedziawszy to, bierze swojego gońca i zbija mi więzę.

Za pomocą skoczka tworzę widełki, wskutek czego Raoul traci gońca. Straciwszy już swoje królowe, wieże, gońców i skoczki, zaczynamy bitwę pionów. W końcu każdy z nas zostaje tylko z królem i jednym pionem. Gramy teraz tak, że blokujemy się nawzajem, aż dochodzi do stosunkowo rzadkiej w szachach sytuacji, nazywanej patem, kiedy nie ma zwycięzcy.

- Dobrze było wczoraj z Matą Hari? - pyta mnie podstępnie przyjaciel.

Ale patrzy z sympatią.

- Wiesz, ona cię naprawdę kocha.

Po tych słowach staje mi przed oczyma postać Afrodyty.

- Przestań myśleć o „tej drugiej” - mówi Raoul. - Nie jest tego warta. Jest tyle warta, ile podsunie ci twoja wyobraźnia.

- Problem w tym, że mam bogatą wyobraźnię - mówię.

- Skoncentruj swoją wyobraźnię na pracy boga. Tam jest dużo do wymyślenia.

Zegar wybija osiemnastą. To pora procesu.

73. ENCYKLOPEDIA: THOMAS HOBBS

Thomas Hobbes (1588-1679) jest angielskim uczonym i pisarzem uważanym za twórcę filozofii politycznej.

Z nauki o ludzkim ciele czerpie wiedzę, która pozwoli mu stworzyć nauki polityczne, zwłaszcza w trylogii *De cive* (O obywatelu), *De homine* (O człowieku), a następnie w swoim najważniejszym dziele *Lewiatan*. Dochodzi on do wniosku, że o ile zwierzę żyje teraźniejszością, o tyle człowiek chce być panem swojej przyszłości, żeby jak najdłużej pozostać przy życiu. Aby to uczynić, każdy człowiek usiłuje przypisać sobie samemu możliwie jak największe znaczenie i jednocześnie umniejszyć znaczenie innych, czyniąc to za ich zgodą lub wbrew nim. Od tego momentu gromadzi władzę (bogactwo, sławę, przyjaciół, podwładnych) i stara się kraść czas oraz środki innym osobom ze swojego otoczenia. Thomas Hobbes lansuje słynne powiedzenie: „Człowiek człowiekowi wilkiem”.

Zgodnie z logiką, ludzkie zwierzę ucieka od równości wobec innych, co pociąga za sobą przemoc i wojny. Według Hobbesa, jedynym sposobem przeszkodzenia człowiekowi w realizacji pragnienia bycia ponad innymi jest zmuszenie go do współpracy przez... zniewolenie. Dlatego też, jego zdaniem, musi istnieć jakaś hegemoniczna siła (powstała na skutek umowy międzyludzkiej), która zabrania ludzkiemu zwierzęciu poddawania się jego naturalnym skłonnościom do niszczenia współbraci. Hegemon powinien mieć bardzo szerokie prawa, aby mógł zapobiegać rozwojowi wszelkich konfliktów.

Zdaniem Hobbesa istnieje następujący paradoks: anarchia pociąga za sobą ograniczenie wolności, dając przewagę silniejszemu. Tylko

221

scentralizowana władza przymuszająca może pozwolić człowiekowi stać się wolnym. Trzeba jednak jeszcze, aby ta władza znajdowała się w rękach Hegemona, który pragnie dobra swoich poddanych i potrafi pokonać osobisty egoizm.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

74. OSKARŻENIE

Proces odbywa się w amfiteatrze podzielonym na dwie części. Wszyscy uczniowie zajmują miejsca na widowni, tworząc w ten sposób półkole. Na scenie, na wprost siedzącej u góry publiczności ustawiono duży stół z akacjowego drewna. Atena, pełniąca rolę sędziego, zasiada na wysoko podniesionym fotelu.

Prokuratorem jest Demeter.

Obrońcą Ares, który jako bóg wojny solidaryzuje się z mocnym stylem gry Proudhona i sam zaproponował swój udział w procesie.

Z boku siedzi dziewięciu losowo wybranych bogów-uczniów, pełniących rolę ławy przysięgłych. Wśród nich jest Edith Piaf i Maria Curie.

- Proszę wprowadzić oskarżonego.

Centaury biją w bębny. Inne dmą w muszle jak w trąbki.

Proudhon znajduje się w klatce ciągnionej na wózku przez centaury. Bóg ludzi-szczurów ochrania ręką zranione ramię, które, zdaje się, nadal sprawia mu ból.

Jedno ze szkielec w jego okularach pękło, a broda i długie włosy są potargane.

Kilku uczniów zaczyna gwizdać.

Ja sam przypominam sobie, jak jego hordy napadły na plażę, na której zbudowałem moją wioskę na palach. Mam w pamięci zniszczenie mojego pierwszego pokolenia ludzi-delfmów i niekończącą się ucieczkę statkiem ostatniej szansy. Zachowałem w pamięci sceny, w których

jego śmiertelnicy rzucali się na moich, chcąc ich uczynić jeszcze bardziej śmiertelnymi. Nocna walka, rozpaczliwa walka. Jednak nie zapominam też, że dzięki temu nieszczęściu mogłem zbudować na Wyspie Spokoju moje idealne miasto.

Proudhon przekłada głowę przez pręty klatki.

- Jestem niewinny, słyszycie?! Jestem niewinny, to nie ja jestem bo-gobójcą!

Proudhon zostaje wyciągnięty z klatki i umieszczony naprzeciw tronu Ateny. Przypomina teraz obrazki z historycznych ksiązek. Wercyn-getoryks przywiedziony przed oblicze Cezara.

Centaury zmuszają go, aby uklęknął.

Atena wyjmując młoteczek z kości słoniowej i uderza nim, żądając uciszenia się zebranych.

222

- Oskarżony: Proudhon Joseph. W swojej poprzedniej ziemskiej powłoce był pan...

Atena otwiera księgę i przegląda kolejne strony.

- A, tak. Urodzony na Ziemi 1, we Francji, w Besançon w 1809 roku według kalendarza lokalnego, ojciec piwowar i matka kucharka.

Proudhon potwierdza. Jeśli chodzi o mnie, zupełnie nie rozumiem, co jego przeszłość ma wspólnego z obecnym procesem. Czy to jest proces bogobójcy z Aedenu, czy też francuskiego anarchisty?

- Rozpoczął pan wspaniałe studia, które pan przerwał, z jakiego powodu?

- Ze względu na finanse. Skończyło mi się stypendium.

- Ach tak. Potem chwycił się pan wielu zajęć: był pan zecerem, drukarzem i już wtedy brał pan udział w strajkach.

- Warunki pracy były okropne.

- Zajmuje pan zdecydowane stanowisko w sprawach politycznych. Więzienie, wygnanie, bieda, oto początek pana życiowego startu, prawda? Ale zaczyna pan pisać. Przede wszystkim bardzo intelektualny esej, którego gramatykę można porównać z hebrajską, grecką i łacińską. Dlaczego nie kontynuował pan?

- Mój wydawca oszalał, jego drukarnia splajtowała.

Atena kontynuuje niewzruszona:

- W dziele Co to jest własność? tworzy pan pojęcie, które nazywa pan socjalizmem naukowym, a następnie wstępuje pan na ścieżkę anarchii, określa się jako antykapitalista, antyetatysta i antyteista. Swoją wizję przedstawia pan w licznych książkach, między innymi w Filozofii nędzy, zakłada pan gazety, a wreszcie umiera na odmę płuc w wieku 56 lat.

Atena porządkuje papiery, następnie otwiera inną teczkę. To prawda, życie to tylko tyle. Nic innego, nawet w przypadku takiego wielkiego polityka jak Joseph Proudhon.

- Jest pan oskarżony o umyślne zabójstwo następujących osób:

Claude'a Debussy'ego,

Vincenta van Gogha,

Béatrice Chaffanoux,

Marilyn Monroe,

oraz próbę zabójstwa Michaela Pinsona.

Wszyscy odwracają się w moją stronę. Niektórzy szepczą. Mata Hari bierze mnie za rękę, żeby pokazać, że się ze mną solidaryzuje.

- Josephie Proudhonie, tym samym złamał pan jedno z czterech świętych praw Olimpii. To, które zabrania wszelkiej przemocy, czyli a fortiori jakiegokolwiek zbrodni w tym sanktuarium. Jest pan zatem oskarżony o bogobójstwo. Czy ma pan coś na swoją obronę?

- Nie jestem bogobójcą. Jestem niewinny.

Jest cały spocony, a zbite okulary ześlizgują mu się na czubek nosa, toteż musi je co chwila poprawiać.

- Jak zatem wytłumaczy pan swoją ranę na ręce?

- Odpoczywałem spokojnie w mojej willi po obiedzie, kiedy nagle poczułem ból w ramieniu. Ktoś wszedł do domu i strzelił mi w ramię, kiedy spałem.

223

Zebrani reagują na te słowa. Trudno to uznać za alibi, ale co innego miałby powiedzieć?

- Nie ma żadnego świadka, który mógłby potwierdzić pana obecność w domu?

- W takich chwilach nie mam zwyczaju zapraszać gości - usiłuję żartować.

- Jak w takim razie wytłumaczy pan to, że nadal pan odpoczywał, kiedy bił dzwon na trwogę, wzywając wszystkich uczniów do stawiania się i właśnie pokazania ramion?

- Ja... włożyłem sobie do uszu pszczeli wosk, bo już od wielu nocy nie mogę spać.

- A kto do pana strzelał?

- Ktoś, kto chciał, żeby mnie oskarżono zamiast niego. Prawdziwy winny. Bogobójca. A wy rzeczywiście uwierzyliście w tę mistyfikację.

Harmider w sali. Atena uderza młoteczkiem, chcąc w ten sposób przywrócić spokój.

- A więc, pana zdaniem, prawdziwy bogobójca, ranny, pojawia się w pańskim domu, zastaje pana śpiącego, z korkami w uszach, strzela, raniąc pana w ramię i ucieka.
- Dokładnie.
- Widział go pan?
- Wie pani, w takich chwilach nie myśli się o ściganiu napastnika. Widziałem oddalającą się postać. Wydaje mi się, że miał bardzo brudną białą togę. Ale wszystko to działo się bardzo szybko.
- Dlaczego nie krzyczał pan, kiedy do pana strzelał? Usłyszelibyśmy pana.
- Nie wiem. Może dlatego, że jestem przyzwyczajony do zaciskania zębów, kiedy mnie coś boli.

Atena robi sceptyczną minę.

- Dlaczego, kiedy centaury weszły do pańskiego domu, leżał pan ukryty pod łóżkiem?
- Sądziłem, że to wraca napastnik.

Wobec tak małej wiarygodności jego słów kilku uczniów zaczyna gwizdać.

- Ale przecież musiał pan słyszeć uderzenia kopyt centaurów, czyli wiedział pan, że są to siły porządkowe, które chronią pański dom.

Na jego ustach pojawia się nikły uśmiech.

- Wie pani, że przedtem byłem anarchista. Dla nas, anarchistów, pojawienie się policji nigdy nie było czynnikiem uspokajającym.

Spojrzenie Ateny jest twarde.

- Mówił pan o białej todze. A zatem, pana zdaniem, napastnik był uczniem. Jak więc wytłumaczy pan to, że postrzelony przez Michaela „prawdziwy” morderca sprawił, że jego rana zniknęła, a tymczasem pojawiła się pańska?
- Nie mam żadnego innego wytłumaczenia, oprócz tego, co już powiedziałem. Wiem, że pozory grają na moją niekorzyść - przyznaje teoretyk anarchii, po raz kolejny przesuważąc na nosie zbite okulary.
- Dobrze, wzywam głównego świadka.

224

Atena zagląda w swoje papiery, jakby zapomniała moje nazwisko.

- Michael Pinson.

Schodzę z widowni. Znowu wraca to zdanie, które towarzyszyło mi przez całe życie: „Ale co ja tu tak naprawdę robię?” To dziwne, lecz nie czuję żalu do Proudhona. Może dlatego, że jestem szczęśliwy z Matą Hari? Dziwny jest ten brak we mnie gniewu.

Proudhon opuszcza głowę. Informacje o jego ostatnim śmiertelnym wcieleniu sprawiły, że stał się w moich oczach bardziej ludzki. Ten chłopak z biednej rodziny wychowywał się sam, chciał walczyć o większą wolność dla ludzi. Nawet jeśli jego walka nie do końca się udała, to jednak przynajmniej próbował jakieś drogi. Anarchii.

Staję naprzeciw Ateny, podczas gdy Proudhon ma zająć miejsce z boku sceny.

- Świadek Pinson, proszę przysiąc, że będzie pan mówił samą prawdę i tylko prawdę.
- Będę mówił prawdę. Przynajmniej tę, która jest mi wiadoma - uściślam.
- Proszę przedstawić nam fakty.
- Leżałem w łóżku. Usłyszałem jakiś hałas w salonie. Stałem oko w oko z kimś, kto grzebał w moich rzeczach. Właśnie próbował ukraść moją Encyklopedię. Miał na twarzy maskę z greckiej tragedii. Uciekł.

Szum na sali.

- Chwyciłem ankh i pobiegłem za nim. Wycelowałem i trafiłem go w ramię, po czym straciłem go z oczu w ślepej uliczce. Szukałem przejścia i znalazłem je. Prowadziło pod murem do lasu.
- Czy rozpoznaje pan oskarżonego?
- Już mówiłem, że miał maskę. Nie widziałem jego twarzy.
- Czy zatem był to przynajmniej osobnik tego wzrostu i postury, co oskarżony?
- Przy todze trudno to określić.

Atena dziękuje mi i prosi o zabranie głosu prokuratora.

Bogini zbiorów wstaje i zabiera głos, biorąc zgromadzonych na świadków.

- Sądzę, że zbrodnia Proudhona jest dziełem czystego geniusza zła. Chowając się pod zasłoną cynicznego dandysa, ten uczeń pragnął tylko jednego: pozbyć się swoich konkurentów, aby mieć pewność, że tylko on ukończy boski mecz. Jego mordercze instynkty mogliśmy zauważyć już w trakcie gry Y.

Demeter zarzuca na ramię połą swojej togi. Celuje palcem w oskarżonego.

- Jego lud jest podobny do niego. Szczury, które służą szczurzemu bogu. Tak jak prawdziwe szczury, oskarżony szanuje tylko siłę i zna wyłącznie język przemocy. Zabijał z zimną krwią i gdybyśmy go nie zatrzymali, nadal by mordował wszystkich uczniów po kolei, aż pozostałby tylko sam jeden.

To zdanie wstrząsa zebranymi.

- Ten człowiek działa w sposób koherentny. Bóg-kryminalista, który stworzył lud kryminalistów.

225

- Jestem niewinny - mruczy Proudhon.

- Pogwałcił także prawa Olimpii i oszukiwał w grze Y. Pragnę więc, żeby został dziś za to wszystko ukarany. Dlatego żądam od ławy przysięgłych przykładowej kary. Była mowa o karze, na jaką został skazany Prometeusz...

- Nie jestem bogobójcą - powtarza oskarżony.

Atena uderza młoteczką, uspokajając zgromadzonych.

- Nie sędzę, że to będzie odpowiednia kara - kontynuuje Demeter - ponieważ... jest zbyt łagodna.

Atena kiwa głową na znak zgody.

- Zbrodnia Proudhona jest o wiele gorsza od tej, którą popełnił Prometeusz. Zakłócił bowiem porządek wewnątrz jednej klasy, zabił na terenie sanktuarium, przeciwstawił się bogom-mistrzom, chociaż dobrze wiedział, ile ryzykuje. Tak więc chciałabym prosić, Wysoki Sądzie, żebyśmy znaleźli dla niego dużo bardziej pouczającą karę. Chciałabym, aby to był wzorcowy proces, dzięki któremu nie tylko ten rocznik, ale także wszystkie, które po nim nastąpią, będą wiedziały, co tu się wydarzyło i jak ta zbrodnia została ukarana. Dajmy dowód naszej inwencji, wymierzając Proudhonowi karę, która na zawsze ostudzi zapal wszystkich potencjalnych bogobójców.

- O czym pani myśli, Demeter?

Bogini zbiorów waha się.

- Na razie o niczym szczególnym. Sędzę nawet, że należy ogłosić konkurs na najbardziej dotkliwą karę.

- Dziękuję, pani prokurator. Oddaję głos obronie.

Odzywa się Ares:

- Chciałbym na początku powiedzieć, że zważywszy na panującą w tej szkole nudę, wydaje się rzeczą normalną, że uczniowie chcą trochę „ożywienia”.

Na sali słychać głośnie gwizdy.

- Ja doskonale rozumiem pana Proudhona. Kiedy był jeszcze śmiertelnikiem, jako polityk walczył przeciw skostniałemu systemowi panującemu w jego epoce. Jest więc całkiem logiczne, że tu również stara się poruszyć sprawę. Wszak Olimpia coraz bardziej

przypomina klub starszych pań, które podnoszą filiżankę z herbatą, odchylając mały palec i dyskutują o wojnie oraz przepisach na pudding.

Niektórzy nauczyciele oburzają się.

- Nie boję się tego powiedzieć, że mam czasami wrażenie, iż jestem w kurniku pełnym oskubanego drobiu. Jeśli nawet czas nie odcisnął piętna na ich wyglądzie, to na psychice tak.

Kolejne protesty. W tej samej chwili wchodzi kilku nowych bogów--mistrzów i kieruje się do rzędów dla publiczności. Afrodyty nie ma pośród nich.

Atena daje im znak, aby usiedli i nie przeszkadzali w mowie obrońcy.

- Tak więc powiedziałem, że rozumiem Proudhona. Przybywa ze swojej ojczystej ziemi, widzi wyspę zagubioną gdzieś w kosmosie, widzi magiczny, wspaniały świat i spodziewa się, że będzie to świat trochę...

226

proszę wybaczyć mi to określenie, Wysoki Sądzie, ale, że to będzie świat „zabawny”. A tu widzi, że zarządza nim mało dynamiczna, ociążała i powolna administracja. Mówi sobie zatem, że trzeba tym wszystkim wstrząsnąć, zmienić mentalność ludzi. Zachowuje się jak wilk w kurniku lub, odwołując się do określenia użytego przez Demeter, jak szczur, tak jak szczur w gnieździe z pisklętami.

Na twarzy Proudhona pojawia się grymas. Obrona Aresa niepokoi go jeszcze bardziej niż atak Demeter.

- Zabija, tak, zabija, jednak jego zbrodnie nadały w ostatnich dniach rytm naszemu życiu. To się nazywa chwycić byka za rogi! Proudhon oddał nam przysługę. Podarował nam widowisko, wzrastające napięcie, nagły zwrot akcji. Każda z jego zbrodni zmusiła nas do zadania sobie pytań, do zastanowienia się. Nawet oblawa była wielką chwilą w historii Aedenu, a wszystko skończyło się odnalezieniem go pod łóżkiem we własnej willi! Ależ potrafił sobie z nas zakpić. Cóż za poczucie teatralności! Powiem jedno: „Czapki z głów, panie Proudhon, jest pan naprawdę dobry”. A do tego jego lud, lud szczurów! Widzieliście jego lud szczurów? Jaki styl. Jaka klasa. Odwaga. Tu znowu w scenie grabieży widać dzieło wielkiego reżysera, ukrytego za zwykłym bogiem ludu najeźdźców. Tak, mogliśmy wszyscy podziwiać jego hordy fanatyków napadających na wsie przerażonych cywili, rżących w stanie agonii.

Na wspomnienie tamtych wydarzeń na twarzy Aresa pojawia się uśmiech.

- Chodź, niech cię rozrąbię siekierą, chodź, nabiję cię na włócznię. Ach, jak sobie przypomnę Amazonki, nieźle dostały po tyłku! I jeszcze do tego wódz, który poślubia ich królową! Piękny film. Bądźmy szczerzy: inwazje Proudhona zmusiły inne ludy do zbrojeń oraz szukania sposobów, aby mu stawić czoła. Być może bez Proudhona... nikt na Ziemi 18 nie wpadłby na pomysł wymyślenia wojny!

Na sali panuje pełna zdumienia cisza.

- Panie i panowie przysięgli, czy wyobrażacie sobie świat bez wojen? Czy wyobrażacie sobie Ziemię 18 „peace and love”? Wszyscy respektują granice, nikt nie ma broni, pełno dzieci, których nadmiaru nie uregulują żadne masakry? Przepraszam, ale aż niedobrze się robi na samą myśl.

Znowu hałas. Sędzina uderza młoteczkiem.

- Dajcie skończyć mowę obrońcy. Proszę kontynuować, panie mecenasie Ares.

- Tak jest, mój klient zabijał. Nawet masakrował. I nawet sprawiało mu to przyjemność. I cóż z tego? Co jest w tym złego?

Tym razem sala nie potrafi się powstrzymać. Atena po raz kolejny uderza młoteczkiem.

-Jeżeli się nie uspokoiacie, każę opróżnić salę. Ostrzegam! Pozwólcie dokończyć mowę obrońcy. A pan, mecenasie, niech postara się nie prowokować.

- Dziękuję, wysoki sędzie, za posadzenie na miejscu tej „konwencjonalnej” publiczności.

Wypowiedział to słowo wyraźnie zde gustowany.

227

- To prawda, Proudhon był bogiem, którego lud eliminował inne ludy. To prawda, jego śmiertelnicy mieli skłonności do składania w ofierze jeńców i gwałcenia wziętych do niewoli kobiet. Ale niech bóg, który nigdy nie dopuścił się najmniejszej grabieży, pierwszy ciśnie w niego piorunem.

Zdanie wywołuje reakcję wśród bogów-mistrzów oraz uczniów. To prawda, że oprócz mnie większość bogów odwoływała się do niepotrzebnej przemocy tylko po to, aby narzucić sąsiadom swój własny punkt widzenia.

- Nigdy nikogo nie zabiłeś, Hermesie? A ty, Demeter? Nawet Wysoki Sąd, o ile pamiętam, też ma na swoim koncie konflikty interesów, które doprowadziły do zakatrupienia więcej niż jednego śmiertelnika.

- To nie ma związku z procesem, proszę nie nadużywać faktu, że ma pan głos. Proszę kontynuować, mecenasie Ares, abyśmy mogli kończyć.

- Ma pani rację. Czasami nie można już dyskutować, należy działać. Joseph Proudhon działał. Tak jak kiedyś działaliśmy my wszyscy. Jeżeli chcemy skazać mojego klienta, to uważam, że należy skazać wszystkich bogów, którzy, tak jak on, zabili, aby rozwiązać jakąś trudną sytuację lub dla rozrywki w tym nudnym świecie.

Pierwsza reaguje Demeter.

- Ale Proudhon oszukał! Nie przestrzegał w grze reguł naturalnej eliminacji. Chciał sam pokierować losem.

Bóg wojny robi uspokajający gest.

- Zgoda, oszukał. A ja powiem, że bardzo dobrze zrobił. Doskonale: można oszukiwać. Tylko nie należy dać się przyłapać. A zatem jedyny obiektywny zarzut, który można postawić Proudhonowi, to ten, że pozwolił się przyłapać.

- Czy to już koniec pańskiej mowy? - pyta zniecierpliwiona Atena.

- Nie, to nie wszystko. Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden element śledztwa. Przed chwilą Michael Pinson powiedział, że złodziej Encyklopedii stał przed nim, a potem uciekł. A zatem stawiam pytanie: dlaczego Proudhon, który rzekomo przyszedł go zabić, nie pozbawił życia Michaela Pinsona?

- Może miał jeszcze jakieś skrupuły - sugeruje Atena. - Co chce pan przez to powiedzieć, mecenasie?

- A więc - mówi bóg wojny - chciałem powiedzieć, że mój klient, a w zasadzie oskarżony, jest winien przede wszystkim niezręczności. I gdyby mu się udało, gdyby pozabijał pozostałych uczniów, nie byłoby mowy o tym, aby go osądzać. Wręcz przeciwnie, jako zwycięzca partii cieszyłby się szacunkiem i zostałby uhonorowany.

- Skończył pan, mecenasie? - pyta Atena.

- Och, przyznaję - przerywa Ares - nie jestem z zawodu adwokatem, ale naprawdę żałuję, że przez swoją nieudolność, przez jakieś ostatnie skrupuły, pozwolił się złapać.

- Czy ktoś chciałby coś jeszcze dodać? - pyta Atena. - Nie? A zatem idziemy naradzić się z ławą przysięgłych i...

- Ja - odzywa się Proudhon. - Ja chciałbym coś powiedzieć.

228

Atena pozwala mu podejść naprzeciw niej.

- Jestem tutaj, ponieważ miałem ambicje, by stworzyć pierwszy lud ateistów.

- To prawda. Jednak mimo wszystko pańscy ateści czcili pioruny, które pomagały im w trudnych chwilach - przypomina Demeter.

- Uwolniłbym ich od tych gadżetów.

Po raz kolejny bóg szczurów poprawia na błyszczącym nosie okulary. Spogląda przez szczelinę, która rozcina jedno ze szkielec.

- Nie lubię mieć nad sobą niczego, co mogłoby mną manipulować. Papa, Profesor, Patron, Panteon. Wszystkie te „P” inspirują mnie wyłącznie do głębokiego Patetyzmu.

Jego twarz przybiera bardziej dumny wyraz. To dziwne, ale jego twarz z tym długim nosem przypomina mi nagle szczurzy pysk. Czy to możliwe, że totemy naszych ludów w końcu odcisną się na naszych twarzach?

- Wiem już teraz, że zostałem skazany. Bo tak jest najprościej, najłatwiej. Bo to wszystkich uspokoi. Anarchista twierdzący, że „nie ma boga ani mistrza” okazuje się przypadkiem mordercą bogów. Przecież to jest szyte grubymi nićmi... Słuchając was, można uwierzyć, że jestem demonem.

Pod wpływem emocji przełyka głośno ślinę.

- Pragnę wam przypomnieć, że ja także zostałem uwolniony z cyklu reinkarnacji. Ja także ratowałem dusze moich klientów. Ja też byłem aniołem. Jestem bogiem. Jeżeli mnie zabijecie, to wy będziecie bogobójcami.

Jego wzrok tężeje, głośno dyszy.

- Chcę jeszcze coś dodać: ja nie popełniłem tych zbrodni, ale w zasadzie tego żałuję. Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to. Wypieram się takiego nauczania, które chce z nas zrobić bogów uległych, wypieram się moich towarzyszy, wypieram się nawet przydatności tej wyspy. Przez całe moje śmiertelne życie walczyłem z wszelkimi systemami zniewalającymi człowieka. I nigdy nie ustane.

- Wydaje mi się, że był pan bogiem twardym i lubiącym rozkazywać. Jako „wyzwoliciel ze zniewolenia” widział pan lepiej - ironizuje Atena.

- Ponieważ na początku gry wiedziałem, że nie mam wyjścia. Chciałem użyć wojska, systemu przeciw systemowi, poddać się niesprawiedliwym regułom waszej gry po to, aby ją zniszczyć od środka. Nie udało mi się. I to mój jedyny błąd. Prawdą jest, że chciałem stworzyć wielką armię, która podbiłaby pozostałe ludy, narzucając im swoje prawa jedyne przywódcy. A potem objawiłbym im, że prawem tego przywódcy jest brak prawa.

- Jak udało się panu pogodzić koncepcję anarchii z koncepcją anarchistycznego „przywódcy”? - pyta Atena.

- System rozwija się etapami. Stworzyłbym taką dyktaturę, że anarchia pojawiłaby się jako spontaniczna reakcja. To jest moja utopia. Popchnąć błąd aż do końca, aby w ten sposób wzbudzić zbawienny odruch.

229

- Niegłupie - mówi Ares - ten chłopak jest pionierem.

- Wielu tyranów używało podstępnych argumentów - mówi Demeter. - Ale kiedy raz powstanie dyktatura, zakorzenia się i wcale nie pojawia się ten, jak go pan nazywa, „zbawienny odruch”. Najlepszym dowodem na to jest komunizm, który w imię równości wszystkich ludzi ustanowił Najwyższego Sowietę, sowieckiego prezydenta podobnego do króla oraz wysokich funkcjonariuszy partyjnych, przypominających średniowiecznych

baronów i hrabiów. Nazwali to „dyktaturą proletariatu”, a to przecież była zwyczajna dyktatura.

Oskarżony znowu kuli głowę w ramionach.

- Nienawidzę komunizmu - mówi Proudhon. - Kiedy byłem w Imperium Aniołów, widziałem, co ta ideologia zdziałała po mojej śmierci. To oni zabili w Rosji najwięcej anarchistów. Zabili ich więcej niż car.

Publiczność głośno protestuje.

Atena żąda spokoju. Proudhon denerwuje się.

- Chwila, chwila, czy to jest mój proces jako bogobójcy, czy też proces anarchizmu jako wywrotowej idei?

- Anarchizm nie jest jeszcze do strawienia dla człowieka, ponieważ człowiek nie jest gotów, aby żyć bez praw i policji, bez wojska i sądów -ucina Demeter. - Anarchizm to nagroda dla istot samodzielnych, obywatelskich. Ale wystarczy we wspólnocie jeden oszust, aby anarchia stała się niemożliwa do zastosowania. Zresztą, niech pan popatrzy, to z pana powodu w Aedenie wzmocniono siły policyjne i sądownicze. Jest pan najgorszym gwarantem wolności. Gdyby tu pana nie było, kontrola centaurów byłaby coraz słabsza, a każdy stałby się odpowiedzialny za swoje czyny. Ale nie, przez pana trzeba nadal traktować wszystkich bogów-uczniów jak szkołę nieodpowiedzialnych i niespokojnych dzieciaków.

Proudhon chce odpowiedzieć, ale bogini-prokurator przerywa mu gestem.

- Historia Ziemi 1 pokazała, że tacy ludzie jak pan wypaczali zawsze anarchizm. Wierzy pan w obronę pięknych idei, ale tak naprawdę tylko je pan dyskredytuje. Nic interesującego nie można uzyskać przemocą, a już zwłaszcza stosowaną na cywilach lub osobach niewinnych.

Lecz Proudhon nie daje się tak łatwo przekonać.

- A jednak ja już wygrałem. Czyż nie jest tak, że przez ten proces mogę wreszcie jasno wyrazić moje poglądy? Pamiętam proces komunar-dów i już wtedy...

Atena irytuje się.

- Nie jesteśmy tu po to, aby odtwarzać historię Ziemi 1. Sam pan przyznał, że chciał pan zniszczyć naszą wspólnotę z Olimpij, bogów--mistrzów i bogów-uczniów! To w zupełności wystarczy.

- Nie mam już nic do stracenia, wiem, że zostałem skazany, więc co Wysoki Sąd chciałby usłyszeć?... (jego spojrzenie staje się coraz bardziej twarde). Nie jestem bogobójcą, ale... żałuję, że nim nie jestem. A gdybym nim był, starałbym się zabić nie tylko uczniów, lecz także nauczycieli.

Teraz harmider wybucha już nie tylko wśród widzów, ale także wśród ławy przysięgłych.

- Spaliłbym całą tę wyspę, tak aby nic z niej nie zostało, ani bogowie, ani mistrzowie. Tylko popiół. Och, jak bardzo żałuję, że nie poświęciłem całej mojej energii na to szczytne przedsięwzięcie! Zabijcie mnie. Jeśli mnie nie zabijecie, wiedźcie, że odtąd nie spocznę, póki nie zniszczę tego przeklętego miejsca.

Atena chrząka, po czym mówi:

- Skończył pan?

- Nie, jeszcze jedno słowo. Wszyscy zdechniecie. I jeśli słyszy mnie prawdziwy bogobójca, to błagam go, żeby się pospieszył i zamienił tę wyspę we wspomnienie. Aeden musi zostać zniszczony. I aby nikt nie zdążył stąd uciec.

W tym momencie centaury rzucają się na niego bez żadnego polecenia i zamykają go z powrotem w klatce.

Przysięgli szybko podejmują decyzję. Po czym Atena ogłasza wyrok:

- Uznaje się oskarżonego winnym wszystkich zbrodni wymienionych podczas trwania procesu. Na prośbę prokuratora szukaliśmy dla niego bardziej srogiej kary niż ta, którą wymierzono Prometeuszowi. I znaleźliśmy.

Niemniej wydaje się skrupowana, mając ogłosić wyrok.

Kiedy bogini sprawiedliwości ogłasza karę, wszyscy są zdumieni.

Proudhon wrzeszczy:

- Nie, tylko nie to! Wszystko inne, tylko nie to! Żałuję, przyznam się do wszystkiego, co tylko chcecie, jestem gotów odpokutować. Mówiłem bez zastanowienia. Nie, nie to! Błagam was, nie macie prawa! Jestem niewinny!

Rzuca się na kraty.

Nawet centaury osłupiały na wieść o karze.

Krzyki Proudhona rozbrzmiewają w całej Olimpii:

- NIE, TYLKO NIE TO! NIE MACIE PRAWA!

Atena wstaje, a jej silny głos przebija się przez gwar zdziwionych głosów:

- Chcę, aby wszyscy wiedzieli, że jeśli ktokolwiek zachowa się identycznie, zostanie poddany takiej samej karze.

Proudhon wyje aż do zdarcia strun głosowych:

- NIEEEEEEEEEEEEE!

Nie ruszamy się z ławek. Wyrok zwałił nas z nóg.

75. ENCYKLOPEDIA: RUCH ANARCHISTYCZNY

Wyraz „anarchizm” wywodzi się z greckiego anarkhia, co tłumaczy się jako „brak przywódcy”. Ruch anarchistyczny zapoczątkowany został przez Francuza - Pierre'a Josepha Proudhona. Począwszy od 1840 roku, czyli od chwili wydania dzieła *Co to jest własność?*, proponuje on umowę między ludźmi, dzięki której nie będą oni potrzebowali przywódców. Odrzuca autorytarne rozwiązania komunistów, co powoduje wrogość Karola Marksa. Kontynuatorem jego poglądów jest

231

Rosjanin - Bakunin, który uważa, że przejście do tej bardziej rozwiniętej formy społecznej może się odbyć tylko przy użyciu przemocy. Po fazie wojennej (zamach na cesarza Wilhelma I w Niemczech, na cesarżową Elżbietę „Sissi” w Austrii, na prezydenta McKinleya w Stanach Zjednoczonych, na króla Umberto I we Włoszech i na cara Aleksandra II w Rosji) anarchiści tworzą prawdziwą siłę polityczną. Ich symbolem staje się czarna flaga. Anarchiści odegrają kluczową rolę podczas Komuny Paryskiej w 1871 roku, podczas rewolucji rosyjskiej w 1917 roku (wielu z nich zamordują komuniści), a także podczas wojny domowej w Hiszpanii w 1936 roku. Wymienia się kilka prób stworzenia w Ameryce Łacińskiej anarchistycznych miast, przede wszystkim kolonii Cecilia w Brazylii w 1891 roku, spółdzielni Cosma w Paragwaju w 1896 roku, socjalistycznej republiki Dolnej Kalifornii w Meksyku w 1911 roku.

Podczas wojny 1939-1945 włoski ruch oporu będzie próbował utworzyć anarchistyczną republikę nieopodal Carrary. Rozwój ruchu został zahamowany, a większość ośrodków zlikwidowano.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

76. NAJSTRASZLIWSZY WYROK

Kolacja odbywa się na głównym placu. Stoły poustawiano tak, aby pośrodku zostało dużo wolnej przestrzeni.

Po jedzeniu greckim tym razem mamy prawo do kuchni włoskiej. Pojawia się wózek z przystawkami: suszone pomidory z mozzarellą, marynowane bakłażany w oleju, wędzona szynka, melon.

Z oddali dobiegają nas zrozpaczone wołania skazańca.

- Co za straszna kara.
- Biedaczysko.
- Mimo wszystko - mruczy Georges Méliès - cokolwiek byśmy myśleli i jakakolwiek by była jego zbrodnia, to jednak Proudhon na to nie zasłużył.

- Nie chciałabym się znaleźć na jego miejscu - przyznaje Sarah Bernhardt, chociaż była wśród pierwszych, którzy go oskarżyli.
- Nawet biorąc pod uwagę wszystkie jego złe uczynki, to i tak sobie na to nie zasłużył... - podejmuje Jean de La Fontaine. - Sankcja jest nieproporcjonalna.
- Chcieli, żeby ta kara stała się przykładem - mówi Saint-Exupéry. - Nie zdają sobie sprawy.

Bogowie-mistrzowie siedzą przy kolacji razem z nami. Jedzą, gwarząc głośno.

Są wszyscy, z wyjątkiem Afrodyty.

- Czuję odpowiedzialność za to, co mu się przydarzyło - mówię. 232

Chrupię nerwowo grzanek. Myślę ponownie o tej scenie i nagle mam wątpliwości.

Przywołuję w pamięci obrazy. Widzę scenę w zwolnionym tempie.

Strzelając, zraniłem bogobójcę w prawe ramię. Podczas procesu Proud-hon był ranny w lewe ramię. Dobry Boże! Rana na ramieniu! Proudhon jest niewinny. A to znaczy, że prawdziwy bogobójca jest cały czas na wolności. I znaczy to także, że nie jest nim nikt z pozostałych przy życiu uczniów. Ponieważ żaden nie ma zranionego prawego ramienia.

- Co jest, Michael? - pyta Raoul.
- Nic - odpowiadam. - Ja też sądzę, że kara jest zbyt sroga.
- Bogowie-mistrzowie bali się. Bóg-uczeń zabójca, zapewne nigdy nie mieli z czymś takim do czynienia - zauważa Sarah Bernhardt.

Georges Melies lepi z chleba kształt przypominający człowieka. Mata Hari nakłada sobie melona.

- Co za straszna kara. Nigdy bym się nie spodziewała, że skazą go na coś takiego.

Wszyscy słyszeliśmy ogłoszony przez Atenę wyrok: Ponownie stać się... zwykłym śmiertelnikiem. I to w dodatku na Ziemi 18.

- Miał przewagę w grze, a teraz doświadczy jej bezpośrednio - twierdzi Georges Melies, bawiąc się chlebowym ludzikiem.

Dochodzę do wniosku, że życie, los śmiertelnika, przeznaczenie... To wszystko jest do zniesienia, jeśli się nie wie..., jednak Atena wyraźnie powiedziała, że Proudhon zachowa w pamięci swoje doświadczenie życia w Olimpii... Będzie pamiętał, że był bogiem.

Niektórzy z nas krzywią się na wspomnienie swojej ostatniej egzystencji na Ziemi 1. Każdy zachował w pamięci kilka bolesnych wspomnień z tej larwalnej fazy naszego życia.

Przychodzą mi na myśl fragmenty delikatnych chwil z mojej ziemskiej codzienności. Zawsze rozdarty pomiędzy pragnieniem i strachem. Nawracające pragnienia. Nieustanny strach. Niemożność zrozumienia świata, w którym się żyje. Starość. Hierarchia na każdym poziomie życia społecznego. Mali przywódcy. Małe ambicje. Zmienić samochód. Odmalować pokój. Przestać palić. Zdradzić żonę. Wygrać w totolotka. Teraz, z moją wiedzą boga, wszystko to wydaje mi się takim strasznym ograniczeniem umysłowym.

Raoul streszcza ogólną opinię:

- To zbyt sroga kara.
- My byliśmy na Ziemi 1, on będzie na Ziemi 18.
- Kiedy „tam” wyląduje?

W tym momencie krzyki Proudhona nagle się urywają. Przerywamy kolację. Nadstawiamy uszu. Cisza trwa już trzy, cztery minuty.

- To już się stało. Wysłali go „tam”... - mruknął Jean de La Fon-taine.

Przychodzi mi do głowy głupia myśl. Mogłem przekazać mu wiadomość dla moich ludzi-delfinów. Gdyby ich czasem spotkał. W końcu to nie był zły facet, na pewno by się zgodził.

- Biedaczysko - nie może z kolei przestać powtarzać Sarah Bernhardt.

233

Wyobrażamy sobie Proudhona lądującego w swoich okularkach i z długą brodą na środku świata Ziemi 18, który jest jeszcze na poziomie zbliżonym do czasów starożytności na Ziemi 1.

- Jeżeli będzie mówił prawdę, wezmą go za szaleńca.
- Albo czarownika.

-Zabiją go...

-Ależ nie, przecież jest nieśmiertelny. To także stanowi element jego kary. Tak powiedziała Atena. Będzie skazany na wieczne niezrozumienie.

Powoli zabieramy się znowu do jedzenia.

- Tak czy owak, wszystko zależy od tego, w jakim dokładnie miejscu wylądował. Jeśli bogowie wysłali go do jego ludu, tam na pewno może liczyć na lepsze przyjęcie. W końcu zna dobrze ich historię.
- Ludzi-szczurów?

Wyraz twarzy Sarah Bernhardt zmienia się.

- Chciał, żeby byli twardzielami, najeźdźcami, macho, zwolennikami niewolnictwa, żeby siali zniszczenie..., a więc niech teraz żyje wśród nich i zobaczy, jak to jest. Zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że lubią dziwacznym cudzoziemców.

- Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka - dodaje Simone Signoret.

Kiedy minęła pierwsza chwila, w której odczuwaliśmy zdegustowanie, moi przyjaciele najwyraźniej zaczynają się przyzwyczajać do myśli

0 nieszczęściu, które spotkało Proudhona.

Pory Roku stawiają na stołach inuoltini - zrazy zawijane z cielęciny nadziewane nasionami szyszki sosnowej, rodzynkami, szałwią i serem. To naprawdę smaczne.

- A co wy byście zrobili, gdyby przyszło wam żyć jako bogom wśród ludu, który stworzyliście?

Pytanie interesuje moich towarzyszy.

- Jeśli chodzi o mnie - mówi Raoul - to moja cywilizacja mi odpowiada, po prostu starałbym się zostać nowym cesarzem.

- A ty, Michael?

- U mnie nie ma cesarza - mówię. - Ale sądzę, że wiedząc to wszystko, co wiem, stałbym się człowiekiem-delfinem wśród ludzi-delfinów i... zrobiłbym wszystko, aby o tym zapomnieć.

- On ma rację, trzeba zapomnieć, przekonać samego siebie, stać się osobą anonimową, a nie kimś ważnym.

- Można znieść przebywanie w gronie imbecyli tylko pod warunkiem, że samemu też się jest imbecylem - dorzuca Jean de La Fontaine.

Zaraz też zresztą wyjmuję notes i wykorzystuje tę sentencję, przekształcając ją w bajkę, którą zaczyna od razu spisywać. Widzę tytuł: Szaleniec w królestwie szaleńców.

Mówię dalej:

- Wyobraziłem sobie, że miałem sen, iż byłem bogiem w Olimpii, to wszystko. I przekonywałem samego siebie, że to był tylko sen.

1 uważałem, że jestem śmiertelny. W ten sposób z zaciekawieniem czekałbym na śmierć.

Mata Hari bierze mnie za rękę.

234

- Ja zapomniałabym o wszystkim, ale starałabym się nie zapomnieć o tobie - mówi.

Ściska mocno moją dłoń.

- Kiedy wszyscy umrą, a ty zostaniesz, z pewnością zauważysz, że nie jesteś taki sam jak oni - mówi Saint-Exupéry.

- Słyszałem kiedyś taką historię. Hrabia de Saint-Germain żył w osiemnastym wieku i uważał, że jest nieśmiertelny.

Czytałem coś na temat tej osoby w Encyklopedii. Hrabia de Saint--Germain, znachor markizy de Pompadour, uważał się za inkarnację Krzysztofa Kolumba oraz Franciszka Bacona i kazał się nazywać Mistrzem Alchemikiem.

- To jest legenda. W każdym razie niestarzenie się wcale nie jest czymś najlepszym dla śmiertelników.

Hory przynoszą w amforach wino o doskonałym, owocowym smaku. Skąd oni tu mają te typowe napoje z Ziemi 1?

- Gdybym ja wróciła do świata śmiertelników - mówi Sarah Bernhardt - starałabym się to maksymalnie wykorzystać. Kochałabym się ze wszystkimi facetami, którzy by mi się spodobali, jadłabym bez opamiętania, bawiłabym się bez ustanku. Szukałabym maksimum różnych doznań. Oddawałabym się tym wszystkim doświadczeniom, których moja wstydlivość i ostrożność nie pozwoliły mi zaznać podczas życia na Ziemi.

- A gdybym ja znalazł się wśród ludzi na Ziemi 18 i pamiętał choć trochę, że znajduję się w grze prowadzonej przez bogów-uczniów... to przede wszystkim bałbym się tego, że będziecie źle grali - stwierdza Georges Méliès, starając się rozładować atmosferę.

- Nie miałbyś do nas zaufania?

- Nie. Teraz, kiedy już wiem, że świat zależy od tak beztroskich ludzi, jak my, sędzę, że miałbym powody do niepokoju.

- Mogłoby być jeszcze gorzej - mówi Jean de La Fontaine. - My przynajmniej jesteśmy bogami dorosłymi oraz inteligentnymi, ale wyobraź sobie, że losy świata zostaną powierzone nieodpowiedzialnym bogom--dzieciom.

- Jak się spojrzy, w jaki sposób traktują mrowiska lub słoje z kijankami, to człowiekowi skóra cierpnie - zauważa Simone Signoret.

Przekazujemy sobie półmisek z lazanią z owocami morza, obficie posypaną serem i polaną sosem beszamelowym.

- Chcę wam coś zaproponować - mówię. - Jeżeli któryś z nas odnajdzie Proudtona, będzie go chronił.

- Jak chcesz znaleźć jednego człowieka wśród całej ludzkości? To jak szukanie igły w stogu siana.

Przypomina mi się zdanie Edmonda Wellsa: „Aby znaleźć igłę w stogu siana, należy podpalić siano, a następnie przyłożyć do popiołów magnes”.

Sarah Bernhardt podaje parmezan i pieprz.

- Dlaczego chcesz go oszczędzić? Zabił naszą przyjaciółkę Marilyn Monroe - przypomina Raoul.

- Do końca twierdził, że jest niewinny. Ja też mam jedną wątpliwość - przyznaję. - Ten proces wydawał mi się zbyt szybki. Odniosłem wra-

235

żenie, że sądzono go bardziej za anarchistyczną przeszłość na Ziemi 1 niż za zbrodnie w Aedenie, na których popełnienie nie było zresztą specjalnie dowodów.

- Strzelałeś do niego.

- Strzelałem do zamaskowanego człowieka, który uciekał.

- Tylko on jest ranny.

- Wiem, ale mam wrażenie, że to wcale nie jest takie proste, jak się wydaje.

Georges Melies upiera się przy swoim:

- Są takie chwile, kiedy nie można zaprzeczyć oczywistym faktom. Jedyny ranny bogobójca, jedyny ranny uczeń...

Złożona z centaurów orkiestra intonuje fragment muzyki poważnej w stylu Vivaldiego. Bogowie-mistrzowie wstają, umożliwiając Apollino-wi dołączenie do orkiestry.

Efeb o wyglądzie playboya w todzie, nie spiesząc się, poprawia fryzurę i ubiór. Następnie zajmuje miejsce przed pozostałymi muzykami i wyjmując z togi złotą lirę. Gładzi ją palcami, wydobywając melodyjne dźwięki. Jednak wydaje się niezadowolony i daje znak jednemu z centaurów, aby przyniósł mu elektryczny wzmacniacz. Podłącza go do gniazdka i jego miniharfa rozbrzmiewa melodyjnymi nutami. Łączy kilka akordów, po czym gra wirtuozowską solówkę.

„Ten świat można znieść tylko dlatego, że ma artystyczny wymiar” - myślę.

Mijają godziny. Przyglądam się Macie Hari. Zachodzące w oddali słońce nadaje niebu ciemnoczerwoną barwę.

Jej wdzięczny profil odcina się na tle światła. Dobrze się czuję, słuchając Apollina, trzymając dłoń Maty Hari w mojej dłoni, wdychając zapachy oliwkowego drzewa, tymianku i bazylii, zmieszane z zapachami włoskich potraw.

Wtedy pojawia się Afrodyta.

Ma na sobie półprzezroczystą togę z ciemnoczerwonego jedwabiu. Wpięty we włosy diadem przedstawia ją siedzącą na rydwanie ciągnionym przez synogarlice.

Orkiestra przestaje grać.

Afrodyta zaczyna śpiewać sama, a capella.

- Nadal jesteś zakochany w Afrodycie?
- Nie - odpowiadam.

Mata przygląda mi się z większą uwagą.

Nie mam powodu kłamać. Gramy z napiętą uwagą.

- To jednak bogini miłości - mówię.
- To zabójczyni.
- „Gorsza niż diabeł” - szepczę sam do siebie.

Mata Hari czuje się zraniona.

- A ja czym dla ciebie jestem? Kochanką, przyjaciółką, przyjaciółką--kochanką?

Dobry Boże, jestem w potrzasku. Sytuacja przypomina mi dowcip Freddy'ego Meyera, który bardzo lubił żarty na temat Biblii. Adam nudzi się sam w Raju, więc prosi Pana Boga, aby mu zrobił kobietę. Pan Bóg zga-

236

dza się. Ale po uprawianiu miłości Adam jest całkiem wykończony. Szuka więc pretekstu. „Dlaczego ona ma długie włosy?” - pyta. - „Ponieważ tak jest ładniej, bardziej dekoracyjnie” - odpowiada Pan Bóg. - „A dlaczego ma dwa wzniesienia na wysokości klatki piersiowej?” - „Abyś mógł się ich chwycić, kiedy się obejmujecie, i żebyś mógł przytulić do nich głowę”. Jednakże Adam wcale nie wydaje się przekonany. „A dlaczego ona jest głupia?” - „A dlatego, żeby mogła ciebie znieść” - odpowiada Stwórca.

Wracam do mojej Ewy. Muszę szybko znaleźć jakąś odpowiedź.

- Ty jesteś ze mną tu i teraz - oznajmiam. -1 dla mnie jesteś najważniejszą kobietą.

Próbuję ją pocałować, ale się odsuwa.

- Jestem dla ciebie tylko obiektem seksualnym. Nadal myślisz o innej. Może nawet myślisz o niej wtedy, gdy się kochamy.

Nagle wstaje i wychodzi. Idę za nią. Wchodzi do mojej willi i zaczyna zbierać swoje rzeczy, porzucane wszędzie po trochu.

- Co mam powiedzieć, żeby udowodnić, że nie czuję już nic do Afrodyty?

- Zabij ją w swojej pamięci - odpowiada. - Chwilami mam wrażenie, że jesteś ze mną tylko po to, żeby się na niej zemścić.

Muszę bardzo uważać. Przypominam sobie wszystkie kłótnie z moimi partnerkami w czasach, kiedy byłem Michaelem Pinsonem. Nie miałem wielu kochanek, może z dziesięć, ale zawsze przychodziła ta chwila, kiedy z jakiegoś zupełnie irracjonalnego powodu wszystko przybierało zły obrót i zaczynałem się tłumaczyć, dlaczego pasta do zębów jest źle zakręcona... lub z rzekomych kochanek... Generalnie pozwalałem wygadać się drugiej stronie i czekałem, kiedy potok słów sam się zatrzyma. Nie było sensu używać żadnych argumentów. Tak jak w przypadku Proudhona, proces był dawno zakończony, a oskarżony skazany, zanim jeszcze przysięgli zaczęli swoje obrady.

- Widzę, że kiedy ona pojawia się w twoim otoczeniu, cały się zmieniasz.

Pozwolić przejść burzy.

- Na mnie ona nie robi żadnego wrażenia. Jeżeli chodzi o jej piersi czy też pośladki, to też mogę założyć taką seksowną bieliznę...

Tylko nie odpowiadać.

- Zobacz, jestem od niej piękniejsza. Te jej blond włosy, niebieskie oczy... Jest nijaka. Wystające kości policzkowe, kwadratowy podbródek, i do tego malutkie piersi i pośladki.

- Mam gdzieś wygląd.

- Och, ja was znam. Wy, mężczyźni, macie rozum w rozporoku. A cóż takiego ma w sobie, czego ja nie mam?

- Nic. Nic nie ma.

- A więc to jej nieprzystępność robi na tobie takie wrażenie, tak?

Przestaje mówić i zaczyna płakać. To już też przerabiałem, sam nie

wiem, ile razy, taką scenę płaczu. Podchodzę, aby ją uspokoić, ale odpycha mnie gwałtownie.

Wbiega do mojej sypialni i zamyka drzwi na zasuwkę. Jej szloch dobiega przez zamknięte drzwi.

237

Zapomniałem, że w związkach pojawiają się tego rodzaju perypetie. Za każdym razem o tym zapominam.

- Jesteś potworem! - rzuca przez drzwi.

Ponieważ nie mogę wejść do własnej sypialni, siadam zrezygnowany na kanapie i włączam telewizor, czekając, aż się uspokoi.

77. ENCYKLOPEDIA: WIZUALIZACJA

W psychoterapii oraz hipnozie jako jedną z technik rozwiązywania problemów stosuje się wizualizację. Prosi się pacjenta o zamknięcie oczu i wyobrażenie sobie najtrudniejszej chwili w jego życiu. Musi

0 niej opowiedzieć i opisać ze wszystkimi szczegółami, aby ją ponownie przeżyć, oczywiście odczuwając to wszystko, co w niej było takie straszne.

W tym stadium najważniejsze jest, żeby pacjent mówił prawdę i nie posiłkował się kłamstwami, które wymyślił, aby upiększyć lub łatwiej znieść swoją przeszłość.

Kiedy już pacjent opowie swój dramat z dzieciństwa, terapeuta każe wysłać z pomocą dziecku, którym był, dorosłego, którym jest teraz. Czyli na przykład w przypadku kazirodztwa mamy dorosłą kobietę, która dzięki swojej wyobraźni przenosi się w przeszłość, aby pomóc zranionej małej dziewczynce, którą była. Pacjentka opisuje scenę

1 to, co mówi dziecku. To, co robi, aby je pocieszyć lub się zemścić. Magiczny dorosły, jak dobry duszek z bajki, posiada wszelkie możliwości, może zmusić ojca, żeby przeprosił dziecko, może go zabić, może dać magiczną moc dziewczynce, dzięki której ona sama dokona zemsty. Dorosły ma przede wszystkim przekazać dziecku energię nadziei tam, gdzie jest tylko rozpacz.

I to jest właśnie siła wyobraźni: pozwala pokonać przestrzeń, czas, aby na nowo zapisać mniej traumatyczną przeszłość. Efekt może okazać się szybki i spektakularny, w zależności od indywidualnych zdolności pacjenta do ponownego przeżywania wydarzeń i pomagania samemu sobie.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

78. ŚMIERTELNICY: 22 LATA

Zwalam się na kanapę i biorę do ręki pilota. Moi śmiertelnicy mają już 22 lata.

Na pierwszym programie: Eun Bi, która skończyła studia z grafiki komputerowej, pracuje w firmie produkującej kreskówki, gdzie męczy się, rysując same scenerie, bez żadnych osób. Rano jedzie dwie godziny

238

podmiejskim pociągiem, aby dotrzeć do swojej pracowni. Reżyser jest geniuszem z zaburzeniami charakteru. Do swoich pracowników zwraca się tylko krzyżąc.

Eun Bi nadal pisze swoją książkę na temat pozaziemskich delfinów. Poprawia bez końca fabułę, ale nie udaje jej się zbudować odpowiedniej struktury napięcia. Więc zaczyna na nowo. Mijają cztery lata, odkąd pisze tę samą książkę. Rysuje, żeby zarobić na życie, pisze dla rozrywki.

Jej relacje z rodzicami są coraz bardziej burzliwe i coraz bardziej oddala się od ojca. Za to jej związek z Korean Fox bardzo się rozwinął. On nadal nie zgadza się pokazać jej swojej twarzy, ale dzwoni do Eun Bi codziennie. Na swój sposób kochają się. Dwa umysły połączone ekranami komputerów. W tym samym czasie K.F. stworzył w piątym świecie ich awatary i młodzi ludzie bawią się, oglądając, jak ich odbicia żyją w wirtualnym świecie. O ile Eun Bi oraz młody człowiek nigdy się nie spotkali, o tyle, ku ich wielkiemu zdziwieniu, ich awatary są już małżeństwem i wkrótce spodziewają się dziecka. Eun Bi ewidentnie stwierdziła w duchu, że ich awatary ośmieliły się zrobić to, na co oni jeszcze nie mają odwagi. Jednocześnie dziewczyna szanuje tajemnicę K.F. Proponowała mu już, aby zobaczyli się przez kamerę internetową, ale odrzucił propozycję, co ją skłania do wyobrażania sobie powodów jego odmowy. Może jest kaleką, może jest zniekształcony albo po prostu bardzo brzydki. W tej samej chwili zadaje sobie pytanie: A jeśli to dziewczyna? W końcu w internecie, gdzie podaje się tylko pseudonim, można sobie pozwolić na wszystko. Zdarzało się, że brodate grubasy podawały się za szwedzkie modelki, więc dlaczego nie może być na odwrót. W końcu Eun Bi daje sobie spokój, uznając, że tak dobrze się rozumieją, że wygląd K.F. nie ma żadnego znaczenia. K.F. utworzył stowarzyszenie zajmujące się obroną piątego świata i znalazł wreszcie jakąś firmę elektroniczną, która zgodziła się sponsorować jego projekt. Teraz piąty świat jest małą firmą, której on jest jednym z założycieli. Ich pierwszymi klientami były dzieci, które chciały pozostawić wirtualny ślad swoich umierających rodziców. Potem doszło kilku graczy, kilku eksperymentatorów, a nawet kilka firm przeprowadzających sondáže, które chciały przetestować swoje produkty w wirtualnej grze, zanim umieściły je na rynku. K.F. oznajmia Eun Bi, że ma wobec piątego świata wielkie ambicje: „Odtąd, nim się popełni jakieś głupstwo, będzie je można przetestować w świecie prawie takim jak nasz”. Swoim klientom mówi w różny sposób: „Piąty świat oferuje wam nieśmiertelność. Wy umrzecie, ale wasz awatar przeżyje. Będzie myślał, działał i mówił prawie tak, jak zrobilibyście to wy sami”. Eun Bi i K.F. marzą o stworzeniu sztucznego świata, w którym oni ustalaliby zasady. Lubią zastanawiać się nad grą komputerową on-line. „Pewnego dnia uda mi się może nawet sprawić, że zapomnę o istnieniu swojego sobowtóra w realnym świecie”. A Eun Bi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zakochuje się w K.F. Zna tylko jego twórcze myśli oraz jego zdolność do wymyślania ogromnego świata. „Dlaczego to robisz? - pyta pewnego dnia. - Z czystej megalomanii? - Głównie dla rozrywki - odpowiada K.F. - W końcu co może być bardziej rozrywkowego od tworzenia nowego świata?”

239

O ile jej życie wirtualne jest coraz prostsze, o tyle życie realne w firmie produkującej kreskówki coraz bardziej się komplikuje. Pewnego dnia reżyser atakuje ją całkiem bez powodu: „Odwalila pani byle jak tę scenografię”. Słyszając obelgę, siedzi jak skamieniała. Wokół niej ludzie chichoczą. Zalewa się łzami i wychodzi w chwili, kiedy salę ogarnia ogólny napad śmiechu.

Po powrocie do domu, zapłakana, łączy się z K.F. i, nie mając odwagi opowiedzieć mu o tym poniżeniu, opowiada wszystko swojemu awatarowi. Wtedy K.F. postanawia stworzyć w piątym świecie laboratorium, gdzie wirtualni uczeni wymyśliliby program, który zawirusowałby komputery w jej firmie. „Zrzuńnij twojego grubiańskiego szefa i nigdy nie będą mogli

się do nich dobrać, bo to będzie internetowe dzieło" - mówi. Eun Bi jest zmieszana. W ten sposób piąty świat mógłby zadziałać na pierwszy... To otwiera przed nią duże perspektywy. Postanawia posłużyć się swoim gniewem, miłością i zachwytem, aby napisać entą wersję swojej powieści Delfiny.

Drugi program. Afryka. Kouassi Kouassi jako przyszły wódz narodu Baulów zostaje wysłany przez ojca do Francji, aby tam studiować prawo Białych. Pierwsza część podróży nawet go zaskakuje. Wyjeżdża z wioski peugeotem 504 combi, stepową taksówką, w której jedzie dziesięcioro innych pasażerów. Ponieważ podłoga jest dziurawa, pojazd wypełnia chmura pyłu, podczas gdy na zewnątrz powietrze jest przejrzyste. Na tablicy rozdzielczej napis: ZAUFAM KIEROWCY, WBRĘW POZOROM WIE, DOKĄD JEDZIE. I rzeczywiście, kierowca zatrzymuje się przed chatką i, podczas gdy pasażerowie pocą się pod blaszonym dachem pojazdu, on pije z kolegami piwo. Czekają długo. Kurczaki, które były w podziurawionej walizce, forsują zamek i rozchodzą się po całym pojeździe, uderzając skrzydłami i gdacząc. Potem samochód rusza dalej. Kouassi Kouassi zauważa w pobliżu stolicy budynki, które mają tylko pierwsze piętro. Dziwi się temu, a wówczas jeden z pasażerów wyjaśnia, że inwestorzy zaczęli prace, a następnie uciekli z pieniędzmi przyszłych właścicieli. Oszustwa są rzeczą tak powszechną, że ludzie mieszkają na placach budowy, rozkładając brezent w miejscu, gdzie powinien być sufit.

Wsiadając do samolotu, Kouassi Kouassi odczuwa pewne obawy. Zadaje sobie pytanie, jak taka kupa żelastwa może wzbić się w niebo jak ptak. W końcu uznaje, że to zjawisko magiczne, a wiara pasażerów sprawi, że maszyna utrzyma się w powietrzu. Czarownik dał mu amulet, aby go chronił w świecie Białych. Kouassi Kouassi schował go do skórzanego etui i przez całą podróż trzyma w spoconej dłoni. Widok Ziemi z wysokości nieba początkowo go przeraża, potem zachwyca. A więc tak wygląda jego planeta, górskie grzbiety, wybrzeża, morze, które zdaje mu się nieskończone. Nigdy tak sobie tego nie wyobrażał. Lądowanie przyjmuje z ulgą. Formalności celne wydają mu się dziwnym rytuałem, ale jeden z pasażerów pomaga mu znaleźć właściwe dokumenty, które musi okazać. Taksówka, którą jedzie do Paryża, jest zupełnie inna od tej z Abidżanu. Nie tylko jest sam jeden w samochodzie, ale podczas całego przejazdu kierowca milczy, tylko od

240

czasu do czasu zamieniając kilka słów przez telefon komórkowy, który trzyma nieustannie przy uchu.

Kouassi Kouassi przyjeżdża w końcu do Paryża, ale mimo że widział już francuską stolicę w telewizji, jedna niespodzianka goni drugą. Najpierw zapach. Wszystko pachnie benzyną, wszędzie czuć dym z fabrycznych kominów. Potrzeba dużo czasu, aby jego zmysł powonienia wychwycił jakiś przyjemny zapach. Zapachy drzew, zapachy pieczonego mięsa. Druga rzecz, która go dziwi, to brak ziemi. Cała gleba pokryta jest albo betonem, albo smołą. Kouassi Kouassi nie może oprzeć się wrażeniu, że Biali pokryli przyrodę opakowaniem, aby nie było można jej zobaczyć, czy też dotknąć.

Dołącza do grupy imigrantów z Wybrzeża Kości Słoniowej, żyjących od jakiegoś czasu w Paryżu, którzy zaczynają mu wyjaśniać lokalne zwyczaje. Zawsze należy mieć przy sobie pieniądze. Nie można jeść wiszących na drzewach owoców. Wszystko jest czyjąś własnością i jeśli się czegoś chce, trzeba to kupić. W trakcie rozmowy ze sprzedawcą w sklepie spożywczym dowiaduje się, że ananasy z Wybrzeża Kości Słoniowej przyjeżdżają do Paryża jeszcze zielone, potem dojrzewają w Rungis, a następnie wysyłane są na paryski rynek, zaś stamtąd na rynek... Wybrzeża Kości Słoniowej.

Jego paryscy ziomkowie mają w dzielnicy przy Dworcu Wschodnim swoje restauracje, swoje nocne lokale i miejsca, w których się spotykają. Wielu znajomych proponuje, że znajdą mu kobietę, a nawet wiele kobiet, ale Kouassi Kouassi nie chce pozostać w środowisku przypominającym miniaturę jego rodzinnej wioski. Mówi, że chce poznać resztę miasta. Proponują mu zwiedzanie z przewodnikiem.

W ten sposób wjeżdża na Wieżę Eiffla - coś, co przypomina słup wysokiego napięcia i najwyraźniej robi na wszystkich wrażenie. Odwiedza Luwr, w którym nikt się nie odzywa, a obrazy namalowane są przyćmionymi barwami.

Idąc wieczorem ulicami Paryża, widzi, jak młody człowiek podbiega do dziewczyny i wrywa jej torebkę. Biegnie za nim, łapie go i odzyskuje torebkę. „Dlaczego to robisz? - pyta miody mężczyzna. - Przecież ona ma kasy jak lodu i ta torebka wcale jej nie jest potrzebna”. Ten argument zaskakuje. Oddaje torbę ofierze i rozmawia z nią. „Dlaczego pan to zrobił?” - dziewczyna zadaje mu takie samo pytanie. „Dziwne, ale najwyraźniej kradzież torebki jest tu rzeczą normalną” - stwierdza Kouassi Kouassi.

Rozmawia z dziewczyną. Proponuje jej wspólną kolację w restauracji, ale dziewczyna odmawia. Dziwne miejsce, gdzie kradzież uważa się za coś normalnego, a zaproszenie do restauracji za coś nienormalnego. Jednak na odchodnym dziewczyna prosi go o numer telefonu komórkowego, a ponieważ Kouassi Kouassi twierdzi, że nie ma komórki, waha się przez chwilę, po czym proponuje mu, żeby spotkali się za tydzień w tym samym miejscu.

Trzeci program. Theotime po raz kolejny jest wychowawcą na koloniach. W ten sposób zarabia na życie. W grupie młodzieży jest niejaki Jacques Padova, którego niczym niezmacony spokój robi na Theotimie duże wrażenie.

241

- Skąd masz w sobie tyle spokoju? - pyta Theotime.
- To dzięki jodze.
- Joga, tak, wiem.
- To taki specjalny rodzaj, właściwie joga pierwotna, nazywa się ją jogą królewską lub radża jogą. Mówi się, że kiedyś nauczył jej człowiek--ryba.
- Naucz mnie tego - prosi wtedy Theotime.

I młody człowiek uczy go czegoś, co absolutnie nie ma nic wspólnego z jego dotychczasowym wyobrażeniem o jodze. Rysuje na papierze czarne kółeczko trzycentymetrowej średnicy. Przykleja je do ściany i każde mu patrzeć na nie możliwie jak najdłużej bez mrugania powiekami.

- Musisz to ćwiczyć codziennie.

Początkowo zadanie jest trudne, potem Theotime przyzwyczajają się. Trzeciego dnia wszystko, co znajduje się wokół kółka, znika, pozostaje tylko koło podobne do rozchodzącego się promieniście płomienia.

Potem Jacques Padova uczy Theotime'a oddychać.

- Trzeba to robić w trzech fazach. Pierwsza faza to wdech brzuchem, dopiero potem powietrze dostaje się do płuc. Faza druga to zatrzymanie oddechu. Trzecia to wydech: najpierw wypuszczasz powietrze z płuc, potem wciągasz brzuch. Wszystkie trzy fazy muszą trwać taką samą ilość czasu.

Jacques Padova uczy go także wsłuchiwać się w bicie swojego serca (to niewielkie wewnętrzne drganie, coraz wyraźniejsze) oraz panować nad nim swoją własną wolą. Theotime wyobraża sobie swoje serce i widzi, jak bije ono szybciej lub wolniej.

Równocześnie ma kłopoty z innymi wychowawcami. Naśmiewają się z niego, nazywają „ucznem młodego guru”, mówią, że wstąpił do sekty. Pewnego wieczoru instruktor džudo, dobrze zbudowany mężczyzna wyższy od niego o głowę, pyta go, czy joga jest lepsza niż džudo. Theotime nie wie, jak ma zareagować. Stara się zachować spokój i nie zwracać uwagi na tę jawną prowokację. Jednak tamten podnosi go i jednym ruchem ramienia powala na ziemię. Theotime wstaje, gotów pokazać mu to, czego nauczył się w boksie, ale nauczyciel džudo wykręca mu rękę.

Ból jest straszny. Na twarzy Theotime'a pojawia się grymas.

- Widzisz, twoja joga na nic ci się nie przydała. Lepiej ucz się džudo, żebyś potrafił się bronić.

Zraniony w miłości własnej Theotime opowiada to wszystko Jacques'owi.

- I co twoja joga każe zrobić w takiej sytuacji? - pyta.

- Nic. Nie ulegaj przemocy, nie ustępuj wobec prowokacji.

- Dlaczego oni mnie atakują? - pyta Theotime.

- Bo nie masz w sobie jeszcze pokoju.

- No tak, a zatem to grube bydlę jeszcze niejedną raz da mi po twarzy...

- Przemoc pojawia się wtedy, gdy przyjmujesz rolę ofiary. A on tego właśnie pragnie. Nie myśl o tym.

- A jeśli nie przestanie?

242

Nazajutrz rano idą razem do lasu, gdzie Jacques Padova uczy go, jak sprawić, żeby w jego głowie była pustka.

- Należy przyjąć odpowiednią postawę, ze skrzyżowanymi nogami. Najlepszy jest tu kwiat lotosu.

Ale Theotime nie jest wystarczająco elastyczny. Jacques proponuje mu, aby usiadł wygodnie po turecku i zamknął oczy. Potem radzi mu cichym głosem:

- Za każdym razem, kiedy pojawia się jakaś myśl, patrzysz na nią i pozwalasz jej przepłynąć, jak gnanej wiatrem chmurze. Kiedy wszystkie twoje myśli będą już daleko, zostanie tylko pustka, nic więcej, i wtedy prawdziwie napełni cię energia. Ponieważ zatrzymasz tę wyczerpującą machinę myślenia o byle czym i byle jak. Ponieważ przez ułamek sekundy będziesz miał dostęp do swojej prawdziwej natury. Tej, która niczego się nie boi i która wszystko wie.

Zaafierowany Theotime wielokrotnie próbuje uzyskać pustkę, ale mu się to nie udaje.

- Pokaż mi - mówi.

Jacques Padova siada w pozycji kwiatu lotosu i pozostaje nieruchomo. Na jego powiece siada komar, zagłębia żądło w delikatnej skórze, ale jogin nawet go nie przegania.

Po półgodzinie Jacques Padova otwiera oczy.

- Należy to robić codziennie, wyzwalać swój umysł i tworzyć w nim pustkę. Im więcej ćwiczysz, tym staje się to łatwiejsze. Oddychanie oczyszcza płuca, koncentracja oczyszcza oczy, medytacja oczyszcza mózg. Kiedy wszystko jest już spokojne, twoja dusza może błyszczeć. Któregoś dnia nauczę cię, jak opuścić własne ciało, aby bez ograniczeń podróżować w czasie i przestrzeni.

Przez chwilę Theotime zastanawia się, czy ten facet nie jest kosmitą, mesjaszem, czy może szaleńcem.

- Cierpisz z powodu twoich własnych pragnień - mówi Jacques. -Cały czas chcesz mnóstwa rzeczy. A kiedy już je masz, nawet nie potrafisz ich docenić. Masz, czego chcesz, chcesz tego, co masz. Spróbuj po prostu docenić to, że jesteś, że żyjesz.

- To nie takie łatwe - odpowiada Theotime.

- Gdyby moją naukę streścić w jednym zdaniu, brzmiałoby ono: „Nie ma pragnień, nie ma cierpienia”.

- I ty niczego nie pragniesz?

- Pragnąłem komuś to przekazać... i proszę, udało się - odpowiada.

Kiedy się rozstają, Theotime wie, że spotkanie z Jacques'em na długo pozostanie w jego pamięci.

Po powrocie z Krety Theotime szuka klubu, w którym mógłby kontynuować naukę swojego przyjaciela. Znajduje zajęcia radża jogi. Ale okazuje się szybko, że joga przypomina gimnastykę dla niepracujących kobiet, które na koniec seansu nie mówią o niczym innym, tylko o przepisach kuchni biotycznej na bazie tofu oraz kiełków zbóż. Rozczarowanie.

Nadal przygląda się kółku na ścianie. Nadal próbuje kontrolować oddech i bicie swojego serca. Codziennie rano stara się przez godzinę tworzyć pustkę w swoim mózgu.

243

Potem, ponieważ nie ma go kto zachęcić, praktykuje te ćwiczenia coraz rzadziej, wreszcie przestaje w ogóle.

Wyłączam telewizor.

Dobry Boże! To jest myśl! Ten śmiertelnik właśnie nasunął mi rozwiązanie. Spokój, joga, „żadnych pragnień, żadnego cierpienia”. Ten młody, szesnastoletni chłopak nie tylko nauczył dwudziestodwuletniego śmiertelnika, nauczył również boga, który ma 2000 lat.

Wkładam tunikę i sandały.

Drzwi od sypialni otwierają się. Mata Hari staje przede mną.

- Kochaj się ze mną, teraz, natychmiast! - mówi.
- Sądziłem, że się gniewasz - odpowiadam zdziwiony.

Skacze na mnie, wpija swoje usta w moje i brutalnym gestem zdziera ze mnie togę. Potem sama się rozbiera i pociera swoją klatką piersiową o moją.

Chyba nigdy nie zrozumie kobiet.

Godzinę później bierze pilota, włącza telewizor i trafia właśnie na trzeci program, gdzie widzi Theotime'a w pozycji lotosu, próbującego oddać się medytacjom.

Nagle wraca moja myśl. Wstaję i zbieram się do wyjścia.

- Dokąd idziesz? Dzisiaj mamy wolne. Chyba jeszcze nie chcesz JEJ zobaczyć.
- Nie, to nie to.

Jakby wiedziona intuicją, staje pomiędzy mną i drzwiami.

- Chcesz oszukiwać? Chcesz grać w czasie przerwy? Chcesz iść do Atlasa. To zabronione. Przypomnij sobie, Edmond Wells właśnie za to został wyeliminowany.
- Nie udało mi się z moją Atlantydą, ponieważ Afrodyta mnie złapała, ale nie jest przecież powiedziane, że znowu będę miał takiego pecha.

- Przestań.
- Tylko oszukując, możemy naprawdę być panami sytuacji.
- Dobrze. W takim razie idę z tobą - oświadczam.
- To za duże ryzyko. We dwoje pozwolimy się złapać. Jak sama powiedziałaś, już straciłem Edmonda... i nigdy nie podejmę ryzyka utraty ciebie.

Patrzy na mnie, jakby chciała przeświecić mnie na wylot.

- Nie chcę realizować scenariusza książki. Najpewniejszym sposobem przewidzenia przyszłości jest... stworzenie jej samemu.

Zdanie rozbrzmiewa między nami.

- Idę z tobą - powtarza jeszcze bardziej zdecydowanym głosem. - Teraz jesteśmy razem, więc i działamy razem. Dzielę z tobą życie, dzielę z tobą niebezpieczeństwo. A więc także podzielę z tobą tę przyszłość, którą chcesz stworzyć.

244

79. ENCYKLOPEDIA: MODLISZKA

Wśród doświadczeń, które udowadniają, że obserwator zmienia to, co obserwuje, aż w końcu całkiem fałszuje informację, można wymienić przypadek modliszki. Zawsze uważano, że po stosunku płciowym modliszka pożera swojego partnera seksualnego. Ten seksualny kanibalizm stanowił doskonałą pożywkę dla umysłów uczonych, a zaraz po nich dla całej naukowej mitologii, potem psychoanalizy. A jednak okazuje się, że nastąpiła tu pomyłka w interpretacji. Ponieważ jeżeli modliszka zjada swojego partnera, znaczy to, że nie znajduje się w swoich naturalnych warunkach. Po stosunku modliszka jest bardzo głodna i pożera wszystko, co w jej otoczeniu jest jadalne. W niewielkiej szklanej klatce obserwuje się samca, który nie ma dokąd uciec. Zmęczona stosunkiem płciowym samica musi odbudować ilość protein, więc zjada wszystko, co znajdzie. Mniejszy od niej samiec, który nie jest w stanie uciec z więzienia utworzonego przez szklane ściany akwarium, okazuje się jedyną dostępną zwierzyzną. Modliszka zjada go bez żadnego zastanowienia. W naturalnych warunkach, po skończonym stosunku samiec wymyka się, a samica żywi się jakimkolwiek innym znajdującym się w pobliżu owadem. Jeśli chodzi o samca, to uratowany dzięki ucieczce, stara się odpocząć jak najdalej od swojej eks-kochanki. Głód po stosunku płciowym u samicy i potrzeba snu u samca są cechami występującymi u wielu gatunków zwierząt.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

80. „WYKSZTAŁCONY”

Mata Hari i ja przemykamy przez południową dzielnicę.

W zasięgu wzorku nie ma centaurów.

Docieramy do pałacu Atlasa. Przez niedomknięte drzwi wejściowe potajemnie dostajemy się do środka.

Atlas i jego postawna towarzyszka śpią w sypialni jak zabici. Chrapią przy tym głośno jak dwa ogry.

Mata Hari i ja przemykamy w stronę piwnicy. Drzwi są zamknięte, ale wystarczy nacisnąć na klamkę, żeby je otworzyć. Schodzimy po wąskich schodach. Błyskając swoim ankh, oświetlam schody aż do samej piwnicy.

Te wszystkie ustawione w jednym rzędzie światy sprawiają, że czuję, jakbym przyglądał się całej galaktyce naraz. Mata Hari jest pod wielkim wrażeniem miejsca, które widzi po raz pierwszy. Już lepiej rozumie, dlaczego tak bardzo zależało mi na tym, żeby tu powrócić.

Idziemy dalej, oświetlając kolejne plandeki, aby odczytać numery planet. Mata zauważa, że jeśli nawet nie są ustawione w kolejności, to

245

jednak wszystkie liczby są wyższe niż 18. Znajduje nawet planety oznaczone liczbą trzycyfrową. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że dostawili kolejne.

Tak jak poprzednim razem, ciekawość jest na tyle silna, że podnoszę kilka plandek. Widzę światy, które już odwiedziłem. Światy wodne. Światy pustynne. Światy gazowe. Ale także światy zamieszkane przez ludność przypominającą tę z okresu prehistorycznego na Ziemi 1 lub bardziej rozwiniętą. Znajduję świat ze szklanymi kopułami, które jak przezroczyste kurczaki chronią ludność przed promieniowaniem i skażeniem środowiska. Światy robotów. Światy klonów. Światy zamieszkane wyłącznie przez kobiety. Światy zamieszkane wyłącznie przez mężczyzn.

- Nadzwyczajne - mruczy Mata Hari, która właśnie ujrzała świat, gdzie istoty przypominające inteligentne dinozaury zbudowały miasta, jeżdżą samochodami i latają samolotami, a wszystko to dostosowane jest do ich wzrostu.

Pokazuję jej świat, którego mieszkańcy nie są kręgowcami. Nie mogą stać, pełzają po ziemi, zostawiając za sobą ślady śliny. Co im nie przeszkadza w noszeniu na plecach wieżyczek karabinów maszynowych, z którymi udają się na wojnę.

- Świat inteligentnych ślimaków.

Podnosimy plandeki przykrywające światy, których numery przekraczają sto.

Znowu wpadamy w podziw dla tych krajów w stylu bonsai. My, którzy rządzą naszą ludzkością, nie możemy nie zastanawiać się za każdym razem, jakie intencje kierowały tymi bogami-ogrodnikami, którzy stworzyli takie egzotyczne światy.

- Popatrz na tego, jaki milusi - mówi Mata Hari.

Znajduję świat myślących roślin, w którym kwiaty zbudowały swoje domy, mają wojsko i latające maszyny. Wygląda to tak, jakby życie społeczne pociągało za sobą konieczność tworzenia terytorium, a utworzenie terytorium - wojnę.

Odkrywamy również światy pacyfistyczne. Światy nieruchome. Mata Hari pokazuje mi niebieski świat zamieszkały wyłącznie przez duchy, który jednak nie jest ani Rajem, ani Imperium Aniołów.

Nagle słyszę jakiś trzask i czuję przeszywający łydkę ból. Z trudem tłumię krzyk. Mata Hari oświetla podłogę za pomocą ankh. Moja stopa tkwi pomiędzy dwoma wielkimi mechanicznymi szczękami. Są z metalu i mają duże zęby.

Pułapka na myszy.

Rana jest bardzo bolesna. Bycie istotą cielesną to nie tylko korzyści. Już rozumiem, dlaczego tak łatwo było się dostać do piwnicy Atlasa. Tak jakby wiedział, że zwierzyzna wraca w końcu w to samo miejsce. Ciągniemy za szczęki pułapki, ale sprężyna mocno trzyma.

- Trzeba znaleźć coś, czym da się to podważyć - szepcze Mata.

Szuka, ale znajduje tylko gładkie kule światów.

Wpadam na pomysł, żebyśmy użyli naszych ankh jako palników. Zabieramy się do pracy i po kilku minutach pocierania w najciemniejszym

246

miejscu sprężyny udaje nam się rozluźnić uścisk. Masuję krwawiącą kostkę i ruszam dalej, kulejąc...

- Dasz radę?

- Można wytrzymać - mówię, przetykając ślinę.

Rozdzieram połą togi i robię coś w rodzaju opaski uciskowej, dzięki której mniej czuję obolałą kostkę.

Musimy się spieszyć.

Szukam Ziemi 18, ale nie mogę jej znaleźć. Za to odkrywam nową pułapkę na uczniów. Im dalej przesuwamy się w głąb piwnicy, tym jest ich więcej.

Unosimy wszystkie plandeki i tracimy dużo czasu. W końcu Mata Hari znajduje Ziemię 18 tam, gdzie jest najwięcej pułapek. Odsuwamy je i dopiero wtedy podnosimy okrywający kulę materiał, a następnie pochylamy się nad naszą planetą. Tak jak nam powiedziano, podczas dnia przerwy niewiele się tu zmieniło. Na Ziemi 18 czas biegnie wolniej.

Stwierdzam, że Imperium ludzi-orłów umocniło się, ale stojący na jego czele kolejni cesarze zostają wymordowani przez członków własnych rodzin, chcących zasiąść na tronie, będącym tak wielkim obiektem pożądania. Ludzie-wilki Maty Hari nadal wysyłają drakkary na podbój

zamieszkujących południe ludów, atakując również straż przednią ludu orłów. Wprowadzili system wypadowych oddziałów, które zaskakują ludzi-orłów, przyzwyczajonych do wielkich bitew rozgrywanych na nizinach. Ludzie-iguany Marii Curie żyją w spokojnej symbiozie z moimi ludźmi, ale tam nie ma co liczyć na wielką ewolucję historii. Ludzie-iguany wydają mi się zbyt statyczni z tą swoją astrologiczną religią. Ponieważ uważają, że dzięki obserwacji gwiazd znają przyszłość, nie starają się w nią ingerować. Są zrezygnowani, jakby poruszali się po torach przeznaczenia, którego w żaden sposób nie można zmienić.

Na terytorium ludzi-delfinów, które należało kiedyś do ich przodków, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wybuchają nieustanne bunty, coraz krwawiej tłumione przez ludzi-orły. Żołnierze mojego przyjaciela Raoula nie lubią półśrodków. Przy wjeździe do miast leżą całe stosy udreńczonych ciał, rzuconych na pastwę kruków i much. Położono je tam dla przykładu.

Na czele królestwa delfinów ludzie-orły postawili marionetkowego króla, który nawet nie jest delfinem, lecz wywodzi się z jednego z podbitych sąsiednich ludów. Ten ostatni zachowuje się jak despota, nakładając kolejne podatki na budowę swoich pałaców, żyjąc w luksusie i rozwiązłości. Moi ludzie-delfiny organizują kolejne rewolty, które czasami kończą się chwilowym zwycięstwem, jednak częściej masakrą. Lecz i tak nie rezygnują i po każdym buncie dziesiątkują ich jeszcze większe represje. Jeśli tak dalej potrwa, mój lud zniknie z ziemi swoich przodków. Najwyższy czas, żebym zainstalował mój „gadżet”.

Wybieram nowo narodzonego delfina. Pochodzi ze zwyczajnej rodziny, więc nikt nie zwróci na niego uwagi. Początkowo chciałem wziąć księcia, w którego żyłach płynie królewska krew, albo syna jakiegoś generała, ale potem uznałem, że sprawą zajmie się syn prostego właściciela sklepu z artykułami spożywczymi.

247

Postanawiam nazwać go „Wykształcony”. Ponieważ zamierzam przekazać mu to wszystko, co moim zdaniem człowiek powinien wiedzieć. Zapewnię mu pełne wykształcenie.

Ustawiam ankh i przystępuję do dzieła. Najpierw szukam z tyłu urzędnika do regulacji czasu, ponieważ widziałem jak Kronos, mimo pozorów wielkiego czarownika, obracał pokręteł. Znajduję odpowiedni przycisk i po chwili widzę, jak czas przyspiesza. Mogę więc zadziałać na daną osobę i od razu zobaczyć efekty moich działań na przestrzeni dziesięcioleci. Skłaniam rodziców mojego Wykształconego, aby już w młodości wysłali go w podróż. Udaje się do kraju ludzi-termitów i studiuje tam ich filozofię, taką, jakiej nauczyły ich mniejszościowe wspólnoty moich ludzi, zamieszkujące ich terytorium. To pierwsza warstwa edukacji. Zauważam zresztą przy okazji ze zdziwieniem, że niewielkie wspólnoty delfinów, nieprześladowane przez ludzi-termitów, doskonale zintegrowały się z tym społeczeństwem, a właściwie całkiem się zasymilowały, a nawet nawróciły na ich wiarę. Nie mogę w tym momencie nie zadać sobie pytania: „Czy potrzeba, żeby moi ludzie mieli problemy tylko dlatego, że będą pamiętać o swojej odrębności?”.

Odpędzam tę przewrotną myśl i dalej wykuwam moją duszyczkę, ucząc ją wartości wyznawanych przez kapłanów ludzi-termitów: wyrzeczenia się, uwolnienia, współczucia,

empatii, kosmicznej świadomości. Wszystkie te określenia znalazły się kiedyś w nauczaniu delfinów, ale ono, pod presją najeźdźców i wpływem ruchów oporu, zostało trochę zapomniane. To jest druga warstwa edukacji.

Dzięki spotkaniu ze starym mędrcom mój Wykształcony uczy się kontrolować swój oddech.

Dzięki spotkaniu z wróżbitką mój Wykształcony uczy się kontrolować swój sen.

Dzięki spotkaniu z żołnierzem mój Wykształcony uczy się kontrolować swój gniew.

I podróżuje.

Dzięki spotkaniu z karawaną odkrywców mój Wykształcony zainteresował się matematyką.

Na szczęście mój Wykształcony ma wrodzone predyspozycje. Jest w nim głód wiedzy. Im więcej wie, tym więcej chciałby wiedzieć i tym bardziej jest na wiedzę otwarty.

Kiedy ma 27 lat, sprawiam, że spotyka miłą kobietę, która zakochuje się w nim do szaleństwa.

Kiedy ma 29 lat, kobieta odchodzi, ponieważ jego miłość jest zbyt silna. Wykształcony zostaje sam i stara się zrozumieć to, co się stało. Wtedy spotyka twardą kobietę, rodzaj Afrodyty, która sprawia, że zakochuje się w niej do szaleństwa. Jest gotów dla niej umrzeć. Ale dzięki mojej interwencji kobieta opuszcza go, zanim się całkiem pograży. I pomyśleć, że przez takie jedno doświadczenie można wszystko stracić...

To jest trzecia warstwa edukacji, może najdelikatniejsza - edukacja przez kobiety.

Teraz już mój Wykształcony wie, co znaczy dostać i dawać miłość, zatem może się uczyć kochać samego siebie, a następnie kochać całą ludz-

248

kość, zgodnie z zasadą czterech miłości opisaną w Encyklopedii Wiedzy Relatywnej i Absolutnej.

Kiedy sprowadzam go z powrotem pomiędzy ludzi-delfiny, kontaktuję go z istniejącą w tajemnicy sektą delfińczyków, aby otrzymał w ten sposób czwartą warstwę edukacji.

Delfińczycy, których jest zaledwie kilkuset, żyją w zawieszonym na skałach mieście, na środku pustyni. Z dala od świata, z dala od żołnierzów orłów. Dlatego udało im się zachować pierwotną ezoterykę, wiedzę o archaicznej kulturze delfinów, ale także tych wszystkich kulturach, które ją wzbogaciły: kulturze ludzi-wielorybów, kulturze ludzi-mrówek.

Wykształcony uczy się odczytywać sny, a zatem zdobywa wiedzę, która niejednokrotnie pomogła ludziom-delfinom w tym, aby ich obecność była tolerowana na dworach tyranów. Przez trzy lata szkoli się w sztuce snu na jawie, snu zbiorowego, w komentowaniu snów i ich analizowaniu.

Potem dzięki nauce u lekarza z ludu wielorybów uczy się leczyć ludzi. Nauczyciel pokazuje mu, w jaki sposób leczyć za pomocą roślin oraz jak leczyć, przywracając równowagę południków energetycznych, które przebiegają pod ludzką skórą. Uczy go o ludzkiej energii, aurze oraz zdolności wydzielania ciepła za pomocą płuc.

Wreszcie w wieku 35 lat mój Wykształcony przechodzi tam antyczną inicjację ludzi-delfinów. Inicjację poprzez wodę. Polega ona na zanurzeniu się w głębokiej sadzawce i dotknięciu jej dna.

- Co o tym sądzisz, Mato Hari?

Podpowiada mi pewną poprawkę, a ja zaraz wprowadzam ją w życie.

Mój Wykształcony musi nadal płynąć na bezdechu i z otwartymi oczami, aż do dna sadzawki. Tam, na głębokości ośmiu metrów, ma znaleźć podwodny tunel, następnie przepłynąć około dwudziestu metrów jego wąskim gardłem. Na końcu tunelu widzi jasność (chodzi o przypomnienie doświadczenia śmierci), następnie wypływa w innej, położonej równolegle sadzawce. Czeka tu już na niego delfin, który pomaga mu szybciej się wydostać.

„Bohater” wypływa na powierzchnię, bierze oddech i wtedy może zacząć dialog z delfinem.

Wymyślona przez Matę Hari inicjacja delfińska polega na rozwinięciu umiejętności telepatii, która pozwoli na porozumiewanie się z waleniami.

Początkowo tylko w niewielkim zakresie.

Tym razem wykorzystuję jako medium delfina, który rozmawia z moim protegowanym.

- Miło cię widzieć, Wykształcony, mam dla ciebie misję do spełnienia.

- Z kim rozmawiam?

- Z delfinem, w którym mieszka duch Wielkiego Delfina.

- W takim razie obawiam się, że mogę nie stanąć na wysokości zadania - mówi Wykształcony.

- Skoro cię wybrałem, kazałem ci podróżować, wykształciłem cię, to stało się tak właśnie dlatego, że jesteś zdolny do wypełnienia tej misji.

249

W tym momencie przychodzi mi do głowy pewna myśl:

-Jesteś „tym, na którego czekamy”.

Już od tak dawna słyszę to zdanie w odniesieniu do siebie, więc teraz z kolei ja się nim posłużę.

- Co mam zrobić? - pyta śmiertelnik.

- Przywrócić siłę A, siłę Asocjacji, siłę Afektu w świecie, w którym jest obecna tylko siła D, siła Dominacji, siła Destrukcji. W tym celu będziesz musiał przywrócić delfińskie wartości, które zawsze chroniły A, oraz zwalczyć siłę N, siłę Neutralności, która tylko naśladuje, i ci, którzy się nią posługują, nie mają żadnej własnej cechy, potrafią tylko słuchać słów ostatniej osoby.

Mata Hari zachęca mnie, abym kontynuował tę rozmowę.

- Jak mogę przywrócić siłę A?

Dobre pytanie. Konsultuję się z Matą Hari.

- Nie ma innego sposobu, trzeba zorganizować bunt - mówi Mata.
- Ale wtedy da się zabić, jak ci wszyscy, którzy zrobili to przed nim na ziemi delfinów.
- Trzeba napisać księgę proroctw - sugeruje Mata.
- Za wcześnie. Nostradamus pojawił się dopiero koło tysiąc sześćset-nego roku.
- Tak, ale święty Jan działał dużo wcześniej, a jego Apokalipsa wpłynęła na umysły.
- Jakoś tego nie czuję.

Mój Wykształcony stoi naprzeciw delfina i czeka, nie rozumiejąc, dlaczego do niego nie mówi.

- Musi tylko wymyślić elektryczność - mówię, nie znajdując innych argumentów.
- Przypomnij sobie nasze hasło.
- „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”?

Nie wiem, co chce przez to powiedzieć. Miłość? To nieco abstrakcyjne pojęcie. Humor? Od czasu, kiedy zaczęto ich prześladować, moi ludzie-delfiny nieźle rozwinęli tę sztukę, aby móc relatywizować. Nie, chyba jako bóg doszedłem już do kresu moich pomysłów dotyczących misji Wykształconego. Ale czuję, że tam, na Ziemi 18, on się niecierpliwi, mimo że delfin dał mu do zrozumienia, że w zamian powinien zrobić teraz kilka piruetów w wielkiej sadzawce.

- Wiesz - mówię - wydaje mi się, że powinien zorganizować przewrót wojskowy, to chyba byłoby najlepsze, bo tym razem, przy moim wsparciu, wygra bitwy. Porazę piorunem legiony ludzi-orłów.

- To zadziała tylko na jakiś czas, natomiast twój Wykształcony sam nie pokona Imperium orłów.

Boli mnie noga i wiem, że nie mam już dużo czasu. Atlas może przyjść w każdej chwili. Byłoby naprawdę szkoda zostawić mój prototyp wybawiciela w tak strasznym świecie.

Wtedy sobie przypominam, że już zorganizowałem jego misję. Poprzez edukację i wsparcie delfińczyków. Muszę mieć do niego zaufanie, sam znajdzie swój sposób działania.

Delfin wraca do Wykształconego i mówi:

250

- Szukaj, a znajdziesz.

Dobra, nie jest to wielkie boskie dzieło, ale liczę na niego w kwestii improwizacji.

Delfin zanurza się z powrotem w wodzie, a Wykształcony uczepia się jego płetwy, żeby wrócić do pierwszej sadzawki, gdzie czekają na niego pozostali delfińczycy. Wykształcony pyta, jak udało im się sprowadzić taką dużą rybę, skoro wioska leży tak daleko od morza, a wtedy delfińscy kapłani opowiadają mu o swoim potajemnym życiu. Posiadają jeszcze księgi opowiadające o życiu na Wyspie Spokoju, mają też maszyny zbudowane zgodnie z nauką ich przodków. Wreszcie otrzymuje piątą warstwę swojego wykształcenia. Po nauce kultury wielorybów, zdobywaniu wiedzy delfinów, nadchodzi czas na ostatnią lekcję. O starożytnej cywilizacji mrówek.

W tym celu w towarzystwie człowieka, który mówi o sobie, że wywodzi się w linii prostej z cywilizacji mrówek, Wykształcony schodzi po schodach do wielkiej sali, w której znajduje się dwumetrowa piramida: mrowisko. Przez dwa miesiące obserwuje mrówki, przerywając kontemplację tylko na krótkie chwile snu oraz aby się pożywić.

Obserwacja owadów pozwala mu zauważyć istnienie nowej formy życia w grupie, opartego na wymianie oraz solidarności. Mrówki mają dwa żołądki, jeden normalny, który zajmuje się trawieniem, i drugi, specjalne wole, w którym przechowywana jest przeżuta żywność, wykorzystywana potem do nakarmienia innych. Ten narząd szlachetności oraz więzi stanowi tajemnicę ich związku. Każdy stara się o pomyślność wszystkich. Los każdego dotyczy wszystkich.

Wykształcony wyciąga z tego wniosek, jak stworzyć społeczeństwo, w którym wszyscy mieliby zapewnione życiowe potrzeby, każdy otrzymywałby szansę i mógł się oddawać swoim osobistym pasjom w interesie wszystkich. Widzi bowiem, że u mrówek nie ma biednych, nie ma wykluczonych, nawet nie ma hierarchii. Królowa tylko składa jajeczka. Stwierdza, że społeczeństwo mrówek nie jest nawet ogarnięte obsesją pracy. Dzieli się na trzy grupy.

Pierwsza grupa: Nieużyteczni. To są gęby do nakarmienia, tolerowane przez pozostałych bez czynienia im wyrzutów. Śpią, odpoczywają, spacerują, patrzą, jak inni pracują.

Druga grupa: Niezręczni. Ci działają, ale nieskutecznie. Kopiają tunele, które się zawalają, przynoszą gałązki, które blokują wyjścia.

Trzecia grupa: Aktywni. Jedna trzecia populacji, która naprawia błędy drugiej grupy i realnie buduje społeczeństwo.

Wykształcony patrzy, rozumie, przetrawia, zastanawia się. Chce rozprzestrzenić swoją wiedzę i odkrycia.

Potem, w ramach kolejnych inicjacji, dzięki pomocy kilku kapłanów mój Wykształcony zaczyna komunikować się ze światem zewnętrznym.

Opuszcza położoną na skale wioskę, udaje się do stolicy ludzi-delfi-nów i na placu targowym wygłasza swoje pierwsze przemówienie.

- Nie przybyłem po to, aby wymyślać rzeczy nowe. Zwłaszcza nie przybyłem po to, aby wymyślać nową religię, jestem człowiekiem-delfi-nem i pozostanę człowiekiem-delfinem przywiązanym do tradycji przod-

251

ków. Przybyłem, aby przypomnieć nasze prawa i zasady tym, którzy zapomnieli o nich z powodu licznych inwazji wojskowych oraz ustępstw wobec naszych protektorów Kiedyś, zanim nasz kraj został napadnięty przez ludzi-szczury, skarabeusze, ludzi-lwy czy orły, byliśmy bogaci w wiedzę, która poszła w zapomnienie. To wiedza naszych matek. I matek naszych matek. To wiedza naszych ojców oraz ojców naszych ojców. To wiedza Pasterza. Przybyłem, aby ją przypomnieć.

Wykształcony proponuje szybką inicjację, która polega na zanurzeniu głowy w wodzie, co symbolizuje chwilę połączenia z delfinem. Następnie delfińczycy oraz nowi adepci żłobią na murach obrazki, najbardziej zdolni - delfina, a ci, którzy mają problem z przedstawieniem pyszczka waleni - ryby.

Oficerowie armii orłów zaczynają się niepokoić. Dotychczas potrafili doskonale radzić sobie z buntami. Jednak ten, całkiem inny, bo odbywający się bez przemocy, jest dla nich zaskoczeniem. Bo co można zarzucić Wykształconemu? Przecież on nawet nie ma miecza.

Delfińska filozofia Wykształconego rozprzestrzenia się jak pożar lasu. Jego wystąpienia uczą się na pamięć, powtarzają, komentują. Nagle ludzie zaczynają wykazywać wzmożone zainteresowanie prawdziwymi wartościami wyznawanymi przez przodków ludu delfinów, których nie zmieniała okupacja orłów. Nawet mianowanych przez orłów kapłanów niepokoi ta konkurencja.

Wykształcony mówi:

- Jeżeli zdrapiemy powierzchnię ludzkiej skóry, znajdziemy warstwę strachu. Ten strach powoduje, że człowiek może uderzać z obawy, aby sam nie został uderzony, może napadać z obawy, aby sam nie został napadnięty. I ten strach jest przyczyną panującej na świecie przemocy. Ale jeżeli człowiekowi uda się uspokoić ten strach, może zagłębić się i znaleźć głębszą warstwę, warstwę czystej miłości.

Mata Hari ma rację, wystarczy obdarzyć go zaufaniem, sam poradzi sobie z misją i znajdzie swoje sposoby.

Jego słowo, przekazywane przez grupę adeptów, rozchodzi się kolejnymi falami. I oto moja „bomba miłości z opóźnionym zapłonem” została rzucona.

Proponuję Macie Hari, abyśmy wracali.

- Jak rana?
- Całkiem o niej zapomniałem - kłamię.

Obejmujemy się.

Zakładamy z powrotem plandekę. Potem cichutko wychodzimy, zadając sobie trud bezgłośnego zamknięcia drzwi.

- A co byś powiedział, gdybym poddała się teraz twojej sile „A”? -mówi filuternie moja towarzyszka.

I ściska mnie mocno w swoich umięśnionych ramionach. Czuję się radosny. Kostka przestała boleć. Wierzę, że metalowe szczęki raczej przecięły skórę niż mięsień.

Jutro drugi dzień odpoczynku.

Wracamy i wtulam się w Matę Hari z poczuciem, że spełniłem mój boski obowiązek.

252

81. ENCYKLOPEDIA: GRA W ELEUSIS

Gra w Eleusis jest bardzo starą i dziwną grą, której celem jest znalezienie... reguły. Przed rozpoczęciem partii jeden z graczy wymyśla regułę i zapisuje ją na papierze. Zostaje nazwany Bogiem. Rozdaje się dwie talie po 52 karty. Jeden z graczy rozpoczyna grę, kładąc kartę i mówiąc: „Świat zaczyna istnieć”. Potem każdy po kolei kładzie swoją kartę. Gracz ochrzczony „Bogiem” mówi za każdym razem: „Ta karta jest dobra” albo „Ta karta nie jest dobra”. Złe karty odkłada się na bok. Dobre karty układa się w stos przed oczami graczy, którzy starają się znaleźć logikę tej selekcji.

Kiedy ktoś uzna, że znalazł regułę gry, oświadcza, że jest „Prorokiem”, przestaje dobierać karty i teraz on, zamiast „Boga”, mówi pozostałym: „Ta karta jest dobra” lub: „Ta karta jest zła”. Bóg pilnuje Proroka, a jeśli Prorok się pomyli, zostaje usunięty i nie ma prawa kontynuować gry. Kiedy Prorok dziesięć razy odpowie prawidłowo, może wyjawić regułę, która zostaje porównana z zapisaną na kartce. Jeśli okazuje się właściwą, ogłasza się, że Prorok znalazł ustaloną przez Boga regułę, wygrał i jest bogiem w kolejnej partii. Jeżeli nikt nie znajdzie reguły, a wszyscy Prorocy się pomylą, Bóg wygrywa.

Wtedy ogół graczy określa, czy reguła „nadawała się do odnalezienia”. Najciekawsze jest to, że najprostsze reguły okazują się często najtrudniejsze do odnalezienia. Na przykład reguła: „Kładzie się na przemian kartę, której wartość jest większa od liczby 7 i kartę mniejszą od 7” jest trudna do odgadnięcia, ponieważ gracze zwracają uwagę zwłaszcza na figury oraz kładzenie na przemian kart czerwonych i czarnych. Reguła: „Tylko karty czerwone, oprócz

dziesiątej dwudziestej, trzydziestej..." jest niemożliwa do odgadnięcia. Łatwą regułą może być na przykład: „Wszystkie karty są ważne”. Jaka jest najlepsza strategia graczy? W końcu każdemu powinno zależeć, żeby jak najszybciej ogłosić się Prorokiem, nawet jeżeli nie jest pewien, czy odkrył ustaloną przez Boga regułę.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej (zapożyczenie z tomu III)

82. ŚRODA: DRUGI DZIEŃ WAKACJI

Budzę się i zrywam na równe nogi.

- Która godzina? - pytam. Mata Hari spogląda przez okno.
- Zważywszy na położenie słońca, musi być około dziesiątej. Co robimy?

253

Postanawiamy zostać w łóżku i kochać się. Próbuję znaleźć nowe sposoby przylegania naszych ciał, żeby za wcześnie nie wpaść w rutynę, jednak nasze ciała same znajdują do siebie drogę.

Około jedenastej postanawiamy iść na śniadanie. Posiłek podano tym razem nie w Megaronie, lecz na głównym placu, gdzie rozstawiono stoły nakryte białymi obrusami, na nich owoce, mleko, miód, płatki, amfory z herbatą lub kawą. A nawet małe ciasteczka wiedeńskie.

Pozostali teonauci też dopiero przychodzą, wyraźnie zmordowani.

- I jak tam było wczoraj wieczorem? - pytam bardziej przez grzeczność niż z prawdziwej ciekawości.
- Nie mogliśmy przejść. Gorgona uzbroiła się w długi kij, którym nas biła. Mając zasłonięte oczy, nie mogliśmy się skutecznie bronić - żałuje Gustave Eiffel.
- Freddy wam pomógł?
- Oczywiście. Prowadził nas, ale nie mógł walczyć z Gorgoną. Jednak nasz przyjaciel jest teraz tylko delikatną młodą dziewczyną.
- Może należałoby zastanowić się nad jakimś systemem luster -mówi dalej Georges Méliès... - W ten sposób w mitologii Perseusz pokonał Gorgonę. Postaram się zbudować na dzisiejszy wieczór tarczę-lustro, podobną do tej, której użyłem do unieszkodliwienia Wielkiej Chimery.
- Gdzie jest Raoul? - pytam
- Wczoraj wieczorem dużo walczył i pewnie jest wycieńczony. Bez wątplenia śpi - odpowiada Jean de La Fontaine, który jako ostatni teo-nauta pojawił się na śniadaniu.

Edith Piaf woła śpiewnym głosem:

- Dalej, wszyscy na plażę! Jutro koniec wakacji!

Jakiś satyr zbliża się ukradkiem i zagląda do mojej filiżanki, jakby tam czegoś szukał. Tylko nic nie mówić, jeśli nie chcę przeżyć kolejnego seansu echolalii.

- Uwaga, satyr, zaraz będzie wszystko powtarzał - mówi Jean de La Fontaine.
- Uwaga, satyr, zaraz będzie wszystko powtarzał - podejmuje oczywiście człowiek, którego ciało w połowie jest ciałem koziorożca.

Szybko dołączają do niego dwaj inni współpracownicy. Nie wiem, czemu ma służyć ta banda głupców w królestwie bogów.

- Uwaga, satyr, zaraz będzie wszystko powtarzał - śpiewają.
- Och, do licha, powinienem był milczeć - woła nieostrożny.
- Och, do licha, powinienem był milczeć - powtarza chórem około dziesięciu satyrów.
- Chyba nie będą powtarzać wszystkiego, co mówię!
- Chyba nie będą powtarzać wszystkiego, co mówię! - podejmuje tyrolskim śpiewem dwudziestu satyrów, aż nadto zadowolonych, że znaleźli ofiarę.

Daję znak Macie Hari, że już czas dołączyć do naszych przyjaciół na plaży. Uważam, aby tylko poruszać bezgłośnie wargami, tak żeby żaden dźwięk nie mógł zostać powtórzony przez satyrów.

Trzymając się za ręce, docieramy do zachodniej plaży.

254

Podchodzi Saint-Exupéry i nachyla się nad moim uchem:

- Jesteś gotów na dzisiejszy wieczór?

O czym on mówi? Ach tak, sterowiec z rowerem.

Kiwam potakująco głową.

Saint-Exupéry znika, a ja wyciągam się na ręczniku. Pamiętam, że kiedy byłem śmiertelnikiem, nie znośm tracić czasu, opalając się na plaży. To wydawało mi się takie bezwartościowe. Nawet myślałem sobie: „Praca mnie męczy, ale jak nic nie robię, jeszcze bardziej jestem zmęczony”.

Mata Hari przewraca się na brzuch i zdejmuję górną część kostiumu, żeby na opaleniznie nie pozostały ślady ramiączek.

Wpatruję się w horyzont. Jakiś owad lata przed moją twarzą. Wyciągam palec, żeby go odgonić i rozpoznaję moją Smarkaczkę.

- Dzień dobry, Smarkaczko.

Cherubinka jest tak wzburzona, aż drżą zakończenia jej długich skrzydeł z metalicznymi refleksami.

- Lubię cię, Smarkaczko, nie zapomniałem o tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś.

Teraz denerwuje się podwójnie. Przyglądam jej się z bliska i nagle przebiega mi przez głowę pewna myśl.

- Nasze dusze się znają, prawda?

Próbuje mi coś przekazać gestem. Staram się zrozumieć.

- Z Ziemi 1. Jesteś duszą kogoś, kogo znałem, kiedy byłem śmiertelnikiem?

Kiwa głową z ulgą.

- Kobieta?

Potakuje.

A zatem ta kobieta-motyl nie jest byle kim.

- Jednak nie byłaś... Rose? Moją żoną?

Przyglądam się dokładniej, ale nie ma jej rysów. Wiem, że podczas przemiany zachodzą pewne zmiany w wyglądzie, jednak zawsze coś tam pozostaje. Czasami tylko usta lub spojrzenie. Rose była dla mnie najbliższą osobą i łączyło nas wiele wspólnych planów. Szukałem jej aż na kontynencie umarłych. Naprawdę ją kochałem, nie tylko namiętną miłością, ale miłością rozsądną - pozwoliła mi ona mieć z nią urocze dzieci, którym dałem jak najlepsze wychowanie.

Smarmaczka porusza główką na znak zaprzeczenia.

- Byłabyś Amandine?

Amandine była uroczą pielęgniarzką, która towarzyszyła naszym pierwszym tanatonautycznym doświadczeniom. Pamiętam ładną blondynkę o kokieteryjnym spojrzeniu, która rozweselała moje noce, kiedy byłem pionierem w podboju kontynentu umarłych. Przez długi czas nie chciała się ze mną kochać, gdyż uprawiała miłość tylko z tanatonauta-mi, ale kiedy i ja stałem się tanatonautą, wynagrodziła mi to, lecz ja już wtedy wiedziałem, że mnie nie interesuje.

Smarmaczka znowu daje przeczący znak. Sposób, w jaki uderza skrzydełkami, mówi mi, jak ważne jest dla niej, żebym sobie przypomniał.

- Kochaliśmy się? - pytam.

255

Jej ruch głową zdaje się mówić, że tak, ale wygląda jakoś dziwnie, jakbyśmy kochali się tylko połowicznie.

- Steffania Chichelli?

Tym razem robi wściekłą minę i odlatuje.

- Ej! Smarkaczka, zaczekaj! Zaczekaj, przypomnę sobie.

Kobieta-motyl jest już daleko. Czy to możliwe, że jest zapomnianą

kochanką? Och, mam dość obraźstwa, idę się wykąpać. Moje rany na łydce trochę szczypią, ale słona woda pomaga w gojeniu.

Pływam daleko od brzegu, żeby spotkać delfina, ale go nie spotykam. Mata Hari proponuje, abyśmy kochali się w wodzie. W Encyklopedii Edmonda Wellsa wyczytałem, że to mężczyzna wymyślił kiedyś pojęcie „wstydu”, aby kobiety nie wyrażały chęci przeżycia orgazmu. Być może jest tak, że wszystkie kobiety uwielbiają ciągle się kochać, a tylko wychowano je w ten sposób, żeby o to nie prosiły.

Kochać się w wodzie tak, żeby nie dotykać stopami kamienistego dna, to niełatwy manewr. Lecz ta trudność bawi moją partnerkę i w końcu mnie także. Ostatecznie sprawia mi to dużą przyjemność; może mam w sobie jeszcze coś z delfina, co tylko wystarczy obudzić.

Wracamy się wysuszyć.

- Gdzie jest Raoul?

Mam złe przeczucie.

Mata Hari uspokaja mnie.

- Zapewne z Sarah Bernhardt - mówi. - Zdaje się, że wczoraj wieczorem widziałam ich razem. Musi teraz spać, skoro wczoraj w nocy walczyli z Meduzą; znając Raoula, musiał być na pierwszej linii - mówi moja towarzyszka.

O trzynastej jemy na plaży tosty ze świeżą sałatą i niewielkimi parówkami.

Raoula ciągle nie ma.

Przychodzi Dionizos i ogłasza program dnia: o osiemnastej wielki spektakl, a o dwudziestej uroczysta kolacja.

Po południu znowu idziemy popływać. Jednak nie mogę przestać spoglądać na plażę, oczekując przyjścia Raoula.

Grupa bogów-uczniów gra w Eleusis i słyszę, jak kwestionują ważność reguły rządzącej światem, wymyślonej przez aktualnego boga: Woltera.

- To za trudne, nie można było jej odgadnąć - stwierdza jeden z graczy.

Prorok potwierdza, że to był zły bóg. Wolter stawia się hardo, uważając, że to gracze byli źli. Rousseau, który dotąd milczał, nie może się powstrzymać, by nie pogrążyć swojego rywala:

- Jak się nie umie wymyślać boskich reguł, które nadają się do odgadnięcia, trzeba się zadowolić pisaniem powieści, tam przynajmniej bohaterowie się nie skarżą.
- Moja reguła działała doskonale - mówi Wolter - to wy nie potrafiliście jej odnaleźć.
- Przegrałeś, Wolter.

Zrażony filozof woli odejść z gry.

256

- No dobrze, kto ma pomysł na regułę rządzącą światem?
- Chętnie spróbuję - mówi Rousseau.

O osiemnastej Raoula ciągle nie ma.

Spotykamy się w amfiteatrze i, pomimo moich niespokojnych myśli, decyduję się pozostać spokojnie na spektaklu. Bogowie odegrają sztukę opartą na wątku legendy o Bellerofoncie.

Przy okazji okazuje się, że główną rolę gra sam Bellerofont - bóg pomocniczy, o którym nigdy nie słyszałem i nawet nie znałem jego legendy.

Wyjątkowo wypożyczony na tę okoliczność przez Atenę Pegaz również gra swoją własną postać z mitologii.

Rozpoczyna się spektakl.

Bellerofont (którego imię oznacza „posiadający żądła”) jest wnukiem Syzyfa. Będąc jeszcze dzieckiem (młodego Bellerofonta gra jeden z satyrów, któremu z wyraźną trudnością przychodzi tylko jednokrotne powtarzanie tyrad z własnej roli), zabija przypadkiem swojego towarzysza (gra go inny satyr), a następnie brata. Zostaje za to wygnany przez króla Projtosa (gra go Dionizos), aby się oczyścił z tej podwójnej zbrodni. Lecz małżonka króla, Anteja (gra ją Demeter), zakochuje się w nim od pierwszego wejrzenia. Próbuje go pocałować, ale chłopak odrzuca jej zaloty, więc, urażona, oskarża go o gwałt. Gniew męża. Jednak Projtos nie chce zabić chłopaka we własnym domu, dlatego wysyła go do ojca Antei, króla Jobatesa, przekazując list, w którym nakazuje zabić przekazującą wiadomość osobę. Tyle pierwszy akt. Drugi akt: zamiast zabić Bellerofonta, Jobates postanawia nakazać mu zabicie Wielkiej Chimery. Co jest dla niego synonimem pewnej śmierci. Jednak Bellerofont zwraca się o pomoc do jednego z bogów, który radzi mu, aby schwytał skrzydlatego konia należącego do Muz, Pegaza, zrodzonego z krwi Gorgony.

- Wszystko się zgadza - szepczę do Maty Hari.
- Ciii! - syczy kilku siedzących w pobliżu uczniów, którym spodobała się ta legenda.

Bellerofont zakłada na szyi Pegaza złotą uzdę, którą podarowała mu Atena. Dosiada magicznego rumaka i wzbija się w przestworza. W tym momencie na scenie pojawiają się trzy centaury przykryte skórzaną płachtą, tak aby sprawiały wrażenie jednej istoty. Mają założone maski: lwa, barana i smoka, odgrywając postać jedyne zwierzęcia o trzech głowach: Wielkiej Chimery.

Bellerofont dosiada prawdziwego Pegaza i, ku wielkiej ucieście widzów, krąży po amfiteatrze wokół potwora. Następnie kieruje w jego stronę strzały bez ostrza, które uderzają w skórzaną płachtę, potem zsiada z konia i udaje, że zagłębia włócznię w ciele smoka. Trzy centaury kładą się na boku, a publiczność bije brawa.

Wtedy wraca na scenę postać Jobatesa, który udaje przygnębienie. Trzeci akt. Jobates wymyśla nowe próby, które złamałyby Bellerofonta. Każe mu pokonać samotnie lud Solymów, następnie Amazonki (grane przez Pory Roku), później piratów.

- To przypomina trochę historię Herkulesa - mówię szepcem. - Ostatecznie greckie legendy ściągają jedna z drugiej.

257

- Ciii - powtarzają nasi sąsiedzi, tym razem bardziej agresywnie.

Na scenie Bellerofont zwycięża Amazonki, strzelając do nich ze swojego latającego rumaka. Oklaski są mniej entuzjastyczne niż w przypadku śmierci Wielkiej Chimery.

Wtedy ojciec Antei wzywa Posejdon (którego gra Posejdon we własnej osobie) i prosi go, aby na nizinę, na której przebywa Bellerofont, sprowadził powódź.

Trąby wodne przedstawione są w postaci pomalowanych w fale drewnianych desek, trzymany przez centaury. Sztuczne fale pojawiają się w tym momencie, kiedy Bellerofont zabiera się do powrotu.

Zeby go zatrzymać, grane przez Hory kobiety podnoszą spódnice, proponując swoje ciała bohaterowi. Lecz on, wyraźnie onieśmielony, dosiada Pegaza i ucieka, zanim fale osiągną go i zatopią.

Wtedy zwątpienie ogarnia Jobatesa i zastanawia się, „czy ten Bellerofont nie jest czasami półbogiem”. Zdezorientowany król postanawia zapytać Bellerofonta o jego wersję wydarzeń związanych z gwałtem na Antei, a zrozumiałwszy, że go okłamała, pokazuje mu wiadomość od Projtosa, nakazującą pozbycie się go.

Jako zadośćuczynienie za tę niesprawiedliwość król Jobates proponuje mu małżeństwo ze swoją córką Folonoe - którą gra Hora, szybko ucharakteryzowana na tę okoliczność - oraz tron Licji. Lecz odurzony swoim sukcesem Bellerofont wszem i wobec głosi swój ateizm: „Ja, zwykły śmiertelnik, jestem silniejszy od bogów” - twierdzi.

Kiedy grani przez Syzyfa i Prometeusza kapłani żądają, aby odwołał bluźnierstwo, chwytając maczugę i burzy ją kolumny w świątyni Posejdona. „Bogowie nie istnieją - mówi - a jeśli jest inaczej, to niech mnie powstrzymają”.

Po czym zuchwały Bellerofont dosiada Pegaza i leci aż na szczyt Olimpu. Następnie wprasza się na zgromadzenie bogów.

Zirytowany Zeus - gra go Hermes, przebrany w maskę z długą wełnianą brodą - wysyła wtedy baka (gra go jedna z cherubinek), aby ugryzł Pegaza w ogon. Bellerofont spada z konia i ląduje na kolczastym krzewie, stając się ślepy i chromy. Aktor gra z pewną przesadą, aby zostać dobrze zrozumianym.

Zeus tłumaczy wówczas zebranym, że chce, aby ten śmiałek pozostał przy życiu, a wszyscy, widząc go, będą wiedzieć, co dzieje się z tymi, którzy uważają się za równych bogom.

Umiarkowane oklaski uczniów, ponieważ wszyscy zrozumieliśmy, że ten spektakl jest dla nas ostrzeżeniem. Ostrzeżeniem, które można streścić w jednym zdaniu: „Pozostańcie na swoim miejscu, nie starajcie się wznosić szybciej niż tyle, ile przewidzieli wasi bogowie-mistrzowie”.

Gdy przedstawienie dobiega końca, chór charyt intonuje lekkie śpiewy.

Znowu dźwięk się urywa i po chwili nic już nie słyszę.

Wracam do mojej ciszy. W otoczeniu ukochanej i publiczności nadal czuję się samotny. Znowu to uporczywe pytanie, które powracało przez całe moje życie: „Ale co ja tu właściwie robię?”.

258

Mata Hari, która czuje wszystko, bierze mnie za rękę i ściska mocno, jakby chciała przypomnieć mi o swojej obecności. „Coś jest nie tak. Niepokój jest zasadny” - słyszę cichy wewnętrzny głos. Moja myślowa maszyna została wprawiona w ruch.

Nagle moja dłoń miazdzy dłoń partnerki.

- Co znowu? - niepokoje się Mata Hari.

Widownia pustoszeje. Wszyscy idą wziąć udział w wielkim festynie na głównym placu.

- Co jest nie tak, Michael?

- Usiądź i zaczekaj na mnie. Idę do toalety - mówię, żeby nie poszła ze mną.

Czmycham, nie udzielając żadnych innych wyjaśnień.

Obym się mylił.

83. ENCYKLOPEDIA: PUŁAPKA NA MAŁPY

W Birmie autochtoni wymyślili bardzo prostą pułapkę do chwytania małp. To przezroczysty słój, przywiązany łańcuchem do pnia drzewa. Do słoja wkładają coś słodkiego, wielkości pomarańczy, o twardej konsystencji. Małpa, widząc słodycze, wkłada rękę do słoja, aby to wyjąć, lecz ręka ze słodyczami nie mieści się już w szyjce słojka. A zatem małpa może wyjąć rękę tylko wtedy, jeśli puści słodycze. Ponieważ nie chce zostawić tego, co uważa za swoje, pozwala się złapać i zabić.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

84. MESJAŃSKI LOT

Idę do Atlasa.

Drzwi wejściowe są nadal przymknięte. Wchodzę do pałacu. Kieruję się w stronę piwnicy, też z wółprzymkniętymi drzwiami, zbiegam po schodach, pokonując po cztery stopnie naraz i... omijam kilka pułapek na uczniów.

Kieruję się prosto do Ziemi 18.

Plandeka jest położona inaczej. Ktoś tu był.

Odsuwam plandekę i wyjmuję ankh, żeby go użyć jako lupy.

Jest za późno. Wiem o tym. Czuję to. Mogę już tylko stwierdzić szkody, a są one znaczne...

Mój „Wykształcony” został zatrzymany przez policję orłów jako rebeliant nawołujący lud delfinów do separatyzmu. Karę wymierzono na publicznym placu, wbijając go na pal, a jego ciało pozostawiono dla

259

przykładu, umieszczając przy nim napis: OTO, CO DZIEJE SIĘ Z KAŻDYM, KTO SPRZECIWIA SIĘ PRAWU ORŁÓW.

Skazaniec ma oczy wzniesione ku niebu. Musiał bardzo cierpieć, żołnierze orłów lubią torturować dla przyjemności. To także stanowi część ich kultury.

Musiał mnie wzywać w ostatniej chwili, a mnie tu nie było.

Ale nie to jest najgorsze. Raoul przejął moją ideologię. Jeden z jego ludzi-orłów ogłosił się jedynym spadkobiercą myśli mojego Wykształconego.

Zresztą ten, który nawet kazał się nazwać „Spadkobiercą”, jest tak naprawdę byłym szefem tajnych służb okupacyjnych ludzi-orłów, osobą bystrą i skłoną do manipulacji, która potrafi organizować siatki i wyzwolić w sobie charyzmę.

Nigdy nie spotkał ani nawet z daleka nie widział Wykształconego, ale mówi w jego imieniu tak, jakby tylko on jeden zrozumiał jego słowa.

Dyskretnie pozbył się innych prawych pretendentów do sukcesji po Wykształconym. Systematycznie niszczy wszystkie teksty napisane przez jego uczniów, opowiadające o życiu i prawdziwych słowach Wykształconego.

Spadkobierca potrafi mówić. Zapamiętał kilka zdań mojego Wykształconego i, wyjmując je z kontekstu oraz cytując według własnego uznania, mówi to, co sam chce powiedzieć. W ten sposób przekonuje, że mój wysłaniec przybył po to, aby stworzyć nową religię.

A przecież wydawało mi się całkiem jasne. Mój Wykształcony mówił to i powtarzał wielokrotnie: „Nie przybyłem po to, aby stworzyć nową religię, ale po to, by przypomnieć pierwotne wartości delfinów tym, którzy o nich zapomnieli”.

Oby świadkowie przypomnieli sobie te prawdziwe słowa...

Lecz Spadkobierca działa z wycuciem, odsunął wszystkich dawnych przyjaciół oraz całą rodzinę Wykształconego. Przekonał też innych, całkiem obcych w tym otoczeniu, żeby zjednoczyli się w grupę, która utworzy sieć. Odsunięto wszystkich delfińczyków z pierwszego okresu. Zdyskredytowano ich, a nawet ogłoszono zdrajcami prawdziwej myśli Wykształconego. „Gdybyście rzeczywiście byli jego przyjaciółmi, uratowalibyście go” - rzuca Spadkobierca do jednego z nich. Oklaski były tak głośne, że nie usłyszano odpowiedzi delfińczyka. Jeżeli przyjaciele Wykształconego bronili się zbyt otwarcie, byli chwytni przez zamaskowanych ludzi, którzy okładali ich pięściami, aby przeszła im ochota do publicznego wyrażania swoich myśli.

Stopniowo prawdziwą grupę przyjaciół ochrzczono „grupą zdrajców prawdziwej myśli Wykształconego”. Są podejrzewani o to, że spowodowali jego śmierć. Nikt już nie pamięta, że Spadkobierca kierował tą samą tajną policją, która prześladowała delfińczyków oraz wymierzyła karę Wykształconemu. Oczywiście na razie policja orłów jest dosyć wyrozumiała wobec tego, co zostało nazwane nową religią, i miejscowe władze nawet nie przeszkadzają Spadkobiercy w jego działaniach.

260

Tak więc dochodzę do wniosku, że prawda niczemu nie służy, to ostatni kontroluje propagandę, która zapisuje na nowo Historię według własnego uznania i w jak najlepiej rozumianym własnym interesie.

Spadkobierca nadaje swojej religii miano Religii uniwersalnej, ponieważ twierdzi, że ta nowa wiara będzie wkrótce rządzić wszystkimi ludźmi. Raoul dobrze zrozumiał siłę mojej idei, ale używa jej zupełnie wbrew moim intencjom. Ideę tolerancji przekształcił w ideę prozelityzmu.

Od tej chwili kapłani Religii uniwersalnej nie chcą używać symbolu ryby (zbyt związanego z kulturą delfinów), a wolą używać symbolu kary Wykształconego, którym jest pal.

Człowiek przebity na wylot, jak kurczak. Ten symbol noszą jako biżuterię adepci nowej religii. Powoli wszędzie zamazywane są ryby i zastępowane rysunkami białego na pal człowieka.

Podczas gdy Spadkobierca rozprzestrzenia swoją nową religię przy dużym wsparciu ze strony propagandy oraz reklamy, ogromna armia ludzi-orłów wyrusza, by napaść na delfińczyków w ich pustynnym mieście.

Raoul...

Wysłałam piorun, aby zatrzymał tę armię, lecz wszystko na próżno. Są zbyt liczni, zbyt zdecydowani, zbyt nieczuli na koszmary, którymi zaludniam ich noce. Czuję się bogiem bezsilnym wobec tego nieuniknionego dramatu.

W mojej delfińskiej twierdzy, wysoko, na środku pustyni, w tym ostatnim prawdziwym bastionie ukrytej nauki i wiedzy ludzi-delfinów, wszyscy organizują siły do przetrzymania oblężenia.

Na szczęście delfiniści dysponują wewnętrznym źródłem wody, które pozwoliło im stworzyć na wysokości kilkuset metrów uprawne pole oraz hodowlę zwierząt.

Moi ludzie wytrzymują długo, walczą odważnie i wojowniczo, nawet organizują wyjścia z miasta, aby podpalać namioty oblegających miasto żołnierzy. Ale ludzie-orły z daleka strzelają z katapulty. Aby osłabić morale mieszkańców, ciskają nawet z katapulty członków ich rodzin, którzy roztrzaskują się o mury.

Jak Raoul mógł do tego dopuścić?

Mój Wykształcony naprawdę go zaniepokoił.

Albo urzekł.

Za pomocą pioruna niszcę kilka katapult, ale nie mogę unicestwić wszystkich. Delfińczycy, widząc, że zbliża się ich koniec, wolą popełnić samobójstwo niż stać się niewolnikami ludzi-orłów lub galernikami na ich statkach.

Ludzie-orły, wściekli z powodu ofiary nieprzyjaciół, niszcą twierdzę, tak jak kiedyś zniszczyli port ludzi-delfinów.

Palą biblioteki, depczą maszyny, plądrują laboratoria. Znalezionego w sadzawce delfina patroszą i zjadają.

Opowieść o końcu życia mojego Wykształconego, zinterpretowana na nowo przez Spadkobiercę, wzrusza oczywiście wszystkich, którzy jej słuchają. Nowa Religia uniwersalna rozprzestrzenia się najpierw

261

w społecznościach ludzi-delfinów, gdzie powoduje schizmy, a następnie bardzo szybko wszędzie indziej. Z inicjacji wodą zachowano tylko minimum: trzy krople na czoło.

Szczytem cynizmu było ustanowienie święta rzekomo wymyślonego przez Wykształconego, które polega na jedzeniu ryby w śróde, w dniu, w którym została splądrowana twierdza delfińska i pożarty delfin.

Pierwsi nawróceni, oczywiście ludzie-delfiny, są prześladowani przez ludzi-orły, potem powoli tolerowani, aż do finałowego akordu: religia Spadkobiercy znajduje swoje miejsce w stolicy ludzi-orłów i zostaje uznana nową oficjalną religią Imperium ludzi-orłów.

Jak sobie pomyślę, że mój Wykształcony urodził się po to, aby wyzwolić kraj ludzi-delfinów spod okupacji orłów!

Teraz w jego imieniu oraz w imię głoszonych przez niego wartości lansuje się kampanię oczerniania ludzi-delfinów i dawnych wartości minionej religii, która zamordowała (teraz już mówi się to oficjalnie) Wykształconego!

„Jeżeli kochacie myśl Wykształconego, należy zaprzeczyć się wartości delfinów” - oświadcza Spadkobierca podczas publicznego wystąpienia, którego treść zapisują liczni skrybowie.

Moi nienawróceni ludzie-delfiny przeżywają nową erę prześladowań ze strony ludu orłów, ale także ludzi-delfinów wyznających Religię uniwersalną, którzy z nadgorliwością pokazują, że potrafią wyprzeć się swoich braci. Te n-te już prześladowania są bardzo skuteczne.

Tak więc teraz, w imię mojego własnego przesłania miłości, zabija się moich ludzi! Jak łatwo jest uznać kłamstwo za prawdę, ofiary za katów, a katów za ofiary... Być może Prometeusz ma rację. Śmiertelnicy są jak owce Panurga. Wystarczy im powiedzieć byle co, a oni słuchają, a potem wszyscy idą za... Naśmiewają się z prawdy. Im większe jest kłamstwo, tym łatwiej uchodzi.

Nagle słyszę nad sobą grzmiący głos:

- Chyba za bardzo panu nie przeszkadzam?

85. ENCYKLOPEDIA: MASADA

Forteca Masada została zbudowana przez Jonathana Hasmonej-skiego. Ten położony na szczycie zamek, wznoszący się na skalistym wzgórzu pośrodku pustyni, został następnie umocniony przez ojca Heroda I - Antipatera, który był niehebrajskim królem pochodzenia idumejskiego, posadzonym na tronie Judei przez Rzymian w celu zapewnienia dobrej zbiórki podatków.

W Jerozolimie wybucha bunt i Hebrajczykom, zelotom oraz sykariuszom udało się uciec wydrążonymi pod murami miasta podziemnymi przejściami. Zabierają ze sobą kobiety i dzieci.

Przybywają do Masady, gdzie pokonują nocą rzymską straż. Do tej grupy rebeliantów dołączają następnie esseńczycy, którzy odrzucali narzucony przez Rzymian oficjalny judaizm. To właśnie ze wspólnie-

ty esseńczyków wywodzi się Jan Chrzciciel, który ochrzcił Jezusa, a następnie ścięto mu głowę na żądanie tancerki Salome. Zgromadzeni w fortecy Masada esseńczycy, zeloci i sykariusze organizują się we wspólnotę, w której wszyscy są wolni i równi sobie. Kiedy w 70 roku, po kolejnych buntach Hebrajczyków upada Jerozolima, Rzymianie postanawiają skończyć z Masadą, uważaną za gniazdo buntowników. 15. Legion, dowodzony przez rzymskiego generała Silwę, zostaje wysłany w celu podbicia tych ostatnich wolnych ludzi. Oblężenie Masady trwa trzy lata, podczas których esseńczycy stawiają oddziałom rzymskim zacięty opór. Ostatecznie mieszkańcy twierdzy wolą popełnić samobójstwo niż oddać się w ręce Rzymian. Przed fatalnym końcem wspólnoty kilku esseńczykom udaje się jednak uciec tajemnym przejściem. Zabierają ze sobą zwoje rękopisów, opisujących ich dzieje oraz wiedzę. Manuskrypty zostają ukryte w jednej z grot w osadzie Qumran, niedaleko Morza Martwego. Dwa tysiące lat później teksty te, sławne rękopisy znad Morza Martwego, zostały odnalezione przez młodego pasterza szukającego zagubionej owieczki. Teksty mówią o „wojnie toczonej od pomroki dziejów między synami światła i synami ciemności”, mówią także o życiu jednego z nich, Hebrajczyka zwanego Jeszua (Jezus) Cohen, który w wieku 33 lat został ukrzyżowany przez Rzymian jako głosiciel essenizmu.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

86. KOSZMAR W SŁOIKU

Ogromna postać Atlasa widnieje w świetle przedostającym się przez drzwi piwnicy.

- Mogę wszystko wytłumaczyć - bełkoczę.

Atlas zapala wielką pochodnię, która wydziela zapach spalonej żywicy.

- Tu nie ma co tłumaczyć - mówi spokojnie.

- Co się dzieje, kochanie? - dobiega z oddali kobiecy głos.

- Nic, Pleple, wszystko w porządku, znalazłem naszego wieczornego gościa.

- Kto to?

- Michael Pinson.

- Bóg ludzi-delfinów?

- We własnej osobie.

- Wyślesz go do laboratorium?

- Mam już nawet pomysł, jaki rodzaj chimery by mnie interesował. Czy w swoim śmiertelnym życiu nie pracował pan w firmie zajmującej się przewodnikami? Nie był pan facetem, który pomaga kolegom przenosić fortepian?

Tylko bez paniki.

- Nie, przykro mi, ale już na Ziemi 1 wołałem niczego nie nosić ze względu na wrażliwe kręgi w odcinku lędźwiowym kręgosłupa.

- No to zobaczymy. Ponieważ od tej chwili, drogi ludzki uczniu, będzie pan moim pomocnikiem. Nie wiem, czy jest pan „tym, na którego czekamy”, jak to się tutaj mówi po cichu, ale wiem, że jest pan najprawdopodobniej „tym, na którego ja czekam”. Pleple, zaprowadź pana do laboratorium i poproś Hermafrodytę, aby pomajstrował przy tym młodym człowieku, tak żeby był zdolny do dźwigania najcięższego jarzma. Trzeba mu sfabrykować duże bicepsy i może powiększyć wzrost oraz szerokość barów. Myślę, że wzrost dwa i pół metra będzie w porządku.

Pani Atlas pojawia się u góry schodów. Schodzi na dół i staje naprzeciw mnie. Przyglądam się jej w świetle trzymanej przez męża pochodni. Ma łydki jak uda, uda jak klatkę piersiową, klatkę piersiową w kształcie gruszki.

- Panie Pinson, czy nigdy nie widział pan olbrzyma? Z wysokości dwu i pół metra widzi się dalej, spodoba się to panu, jestem tego pewna.

Cofam się.

W tym momencie, polegając tylko na odruchu przeżycia, będąc na całkiem straconej pozycji, wykonuję manewr rozpaczy. Kopię w podporę podtrzymującą półkę, a ona ustępuje. Natychmiast cały system drewnianych desek zaczyna się pochylać.

Atlas rozumie, że jeśli nie zareaguje od razu, z półek spadną wszystkie kule, a światy rozbiją się jeden po drugim...

Rzuca się na ratunek. Korzystam z tego i uciekam w przeciwną stronę, po czym staję oko w oko z Pleple, która otwiera szeroko ramiona. Za mną rozlega się krzyk:

- Pomóż mi, szybko, bo wszystkie światy spadną!

Waha się przez chwilę, po czym rezygnuje ze schwytania mnie i pomaga swojemu towarzyszowi. Droga jest wolna. Nie mam chwili do stracenia. Szybko wbiegam po piwnicznych schodach.

Jednak po wydostaniu się na parter stwierdzam, że wszystkie wyjścia są zamknięte. Pospiesznie szukam krzesła, dzięki któremu mógłbym dosięgnąć klamki okna, ale już chwytam mnie szeroka dłoń i zanim zdołałem zrozumieć, co się ze mną dzieje, zostałem włożony do szklanego słoika, tak jak kiedyś mój mistrz Edmond Wells.

Staram się oddychać w tym hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu i natychmiast rozumiem, w czym jest problem. Nie ma powietrza. Uderzam w szybę. Hałas jest tak silny, że mnie ogłusza.

„Pamiętaj, żeby zrobić w wieczku otwór, bo inaczej się udusi!” Wypowiedziane na zewnątrz zdanie dobiega do mnie bardzo przytłumione.

Pani Atlasowa bierze więc do ręki śrubokręt i przedziurawia metalowe wieczko. Szybko chwytam strumień powietrza.

Następnie olbrzymie ręce niosą mój słoik przez Olimpię. Uderzam w szklaną ściankę i w jednej chwili rozumiem to, co kiedyś robiłem żabom, motyloom, ślimakom, kijankom lub jaszczurkom, które także zamykałem w słojach, tworząc swój mały zwierzynek. Atlas zanosi mnie aż do budynku, gdzie ścigałem kiedyś bogobójcę. Puka i Hermafrodyta otwiera drzwi.

264

- Powiedziano mi, że będę miał prawo do pomocnika, jeśli go sobie znajdę - przypomina Atlas. - Oto on.

Hermafrodyta z rozbawieniem przygląda mi się przez grube szkło. Daje prztyczka w szklaną ściankę, który rozbrzmiewa w ogłuszający sposób. Następnie Atlas otwiera przykrywkę i syn bogini miłości wrzuca do środka mokrą szmatkę. Eter.

Kiedy się budzę, leżę związany na stole operacyjnym. Wokół mnie pełno klatek z monstrualnymi hybrydami, w jednej trzeciej ludźmi, w jednej trzeciej zwierzętami, w jednej trzeciej bogami. Więżniowie wyciągają do mnie ręce przez kraty.

Uśmiechnięty Hermafrodyta spogląda na mnie, obracając lampką wypełnioną napojem, który pachnie pitnym miodem. Drugą ręką kręci swoje długie włosy, sięgające mu aż do piersi.

- Trzeba przyznać, drogi Michaelu, że nie miałeś szczęścia... - mówi dwupłciowy bóg.

- Podobnie jak na Ziemi I - próbuję żartować. - Nigdy nie wygrałem w totolotka. Nigdy nie wygrałem na wyścigach. Nigdy nie wygrałem w kasynie.

Hermafrodyta idzie po mały wózek pełen narzędzi chirurgicznych. Staram się uwolnić ze skórzanych więzów.

- Dobra, ponieważ lubisz humor, opowiem ci pewną historię. Kiedyś, w trakcie operacji jednego boga-ucznia, kiedy zbliżyłem do niego nóż chirurgiczny, facet mówi mi z udaną obojętnością: „Nie zapomniał pan o czymś?”. Zdjęty wątpliwościami, zastanawiam się, przeliczam strzykawki, skalpele, ale wszystko wydaje mi się bez zarzutu, więc mówię: „Nie wydaje mi się”. I wie pan, co mi wtedy odpowiada ten facet? „Znieczulenie”.

Hermafrodyta wybucha śmiechem.

- Dobre, co? Zapomniałem go znieczulić. Tak to jest, jak się pracuje samemu. Człowiek tak się koncentruje na drobiazgach, że zapomina o najważniejszym.

Mówię sobie, że ten typ jest zupełnie szalony.

Bierze kilka kolorowych fiolek, które zapewne zawierają środki znieczulające. Potem układa przed sobą noże chirurgiczne, skalpele, nici,

igły-

- Mam dobrą i złą wiadomość. Zła: ta operacja nie zawsze się udaje. Prawdę mówiąc, udaje się jeden raz na dziesięć.

- A jaka jest dobra wiadomość?

- Nie udało mi się podczas ostatnich dziewięciu operacji.

Wygląda na bardzo zadowolonego ze swojego dowcipu.

- To mnie uspokoiło - próbuję odpowiedzieć spokojnie.

- Podoba mi się pana beztroska - mówi Hermafrodyta. - Tylu ludzi przychodzi tu całkiem spanikowanych.

- Mam tylko jedno życzenie: czy może pan przekazać Macie Hari, że moja ostatnia myśl była myślą o miłości i że dotyczyła jej?

- Urocze. A zatem zapomniał pan o mojej matce.

- I powie pan Raoulowi, że moja ostatnia gniewna myśl była przeznaczona dla niego.

265

- Doskonale. Co jeszcze?

- Proszę powiedzieć Macie Hari, że powierzam jej mój lud delfinów i żeby starała się jak najdłużej utrzymać go przy życiu.

- ...A przynajmniej to, co z niego zostało - ironizuje.

- I powie pan Afrodycie, że dziękuję jej za to, że pozwoliła mi marzyć.

- A jednak. Wiedziałem, że mama wróci na tapetę. Wyrządził jej pan wiele zła, wie pan o tym?

Nie przestaje mieszać swojej trucizny.

- Zrobił pan najgorszą rzecz, jaką może zrobić mężczyzna histerycz-ce. Zainteresował się pan inną kobietą i dał jej pan do zrozumienia, że nie jest już przez nią opętany. Tak, jakby ją pan wymazał.

- Przykro mi.

- Nie. Brawo. Na to właśnie czekała. To jej ułuda: mężczyzna, który jej nie kocha. Może nie jest pan „tym, na którego czekamy”, ale prawdopodobnie jest pan „tym, na którego ona czekała”. Przez trzy tysiące lat nie spotkała mężczyzny, który byłby obojętny na jej wdzięki. I proszę, zjawia się pan Pinson, który chodzi przed jej nosem z inną uczennicą. Wpadła we wściekłość i potłukła wszystko w domu.

Wybuchła śmiechem. Naprawdę nie sądziłem, że teoria o trójkątnym pragnieniu jest tak adekwatna.

- Cały problem w tym - dodaje - że... jak już panu mówiłem, kocham mamę. Dlatego postanowiłem, że... podczas tej operacji nie zastosuję znieczulenia... Mama będzie zadowolona, że ją pomściłem.

Czy dobrze usłyszałem?

- Chwileczkę, czy możemy porozmawiać?

- Oczywiście.

- Ee... jaką właściwie operację zamierza pan wykonać?

- Wyjąć pański szkielet, który jest trochę za mały, aby udźwignąć światy, i zastąpić go silniejszym. Przeszczepię panu także mięśnie oraz zamocuję nowe kręgi lędźwiowe, silne, jakby były z żelaza. Wtedy będzie pan mógł nosić światy. Zazwyczaj kula-świat waży około sześciuset kilogramów. Muszę przewidzieć nieco więcej.

Nie daj się pogrążyć strachowi. Myśl dalej.

- Patrzy pan na moją klatkę piersiową - mówi Hermafrodyta. - Podobam się panu?

Jeszcze większy koszmar.

- Przeciwstawia się kobiety mężczyznom, ale istnieją ludzie będący łącznikiem pomiędzy jednymi i drugimi. Tak jak wielkie prawo wszechświata. Pamięta pan: DNA: Dominacja, Neutralność, Asocjacja. Jest trzecia droga, także dotyczy to płci. Kiedy byłem mały, nie pytano mnie, czy chcę być uczniem, czy uczennicą. Aż do szesnastego roku życia byłem dziewczyną, potem chłopcem. Za dużo testosteronu. Nie jestem upośledzony Mam w sobie nadmiar. Więc... dlaczego nikt mnie nie kocha?

Chwyta skalpel, przykładą go do języka i liże ostrze, jakby to były słodycze.

- Ja... ja pana kocham - wyduszam z siebie. 266

Odkłada skalpel.

- Naprawdę tak pan myśli, czy tylko się pan umizguje?

Walczę ze skórzanymi więzami.

Zbliża swoją twarz do mojej.

- Proszę na mnie spojrzeć, czy sądzi pan, że jestem podobny do mamy? Kocha pan Afrodytę, dlaczego więc nie przetestować Hermafrodyty?

- Myślę, że nie kocham mężczyzn... - bełkoczę.

- Wszyscy mężczyźni kochają mężczyzn! - denerwuje się półbóg. - Są ci, którzy przyjmują swój ukryty homoseksualizm, i pozostali, którzy się go wypierają, to wszystko!

Jego twarz znajduje się teraz zaledwie kilka centymetrów od mojej i czuję jego oddech. Przesuwa swoim długim językiem po wargach, jakby się oblizywał.

- Drogi boże ludzi-delfinów, chcę ci zaproponować interes...

Ale nie ma czasu skończyć zdania: ogromny słój wypełniony jaszczurkami o ludzkich głowach spada mu na czaszkę.

Mata Hari rozwiązuje pęta i uwalnia mnie.

- Na pięć minut nie można cię zostawić samego, żebyś nie zrobił jakiegoś głupstwa - wzdycha.

- Mata... och, dziękuję, Mata, znowu ratujesz mi życie!

Hermafrodyta, na czworakach, zdaje się odzyskiwać przytomność.

Robię dywersję i otwieram wszystkie klatki, uwalniając kobiety-kan-gury, mężczyznietoperze, pająki z ludzkimi nogami, gadające owady oraz króliki z ludzkimi rękoma.

Najpierw wybucha straszny harmider, potem wszystkie stwory rzucają się na leżącego nadal na ziemi boga półmężczyznę, półkobietę. Gryzą go, drapią, biją.

- Wracajmy szybko do domu - szepcze Mata Hari, będąc pod wrażeniem tej fali cierpienia, która przeradza się w przemoc.

Uwalniam się szybko i pędzę.

Nie ma chwili do stracenia.

87. ENCYKLOPEDIA: CYWILIZACJA HARAPPA

U źródła cywilizacji subkontynentu indyjskiego od 2900 do 1500 roku przed Chrystusem istniała mniej znana cywilizacja, nazywana królestwem Harappa, rozwijająca się przede wszystkim w dwu miastach: stolicy - Harappie oraz drugim mieście podobnej wielkości - Mohen-dżo Daro.

Obydwa miasta zamieszkiwało razem około 80 000 osób, co jak na tamte czasy było znaczną liczbą. Charakteryzowała je nowoczesna urbanistyka, z ulicami przecinającymi się pod kątem prostym. To tam odnaleziono pierwsze w historii ludzkości sieci akweduktów oraz pozostałości kanalizacji. Wydaje się również, że Harappańczycy jako pierwsi zaczęli uprawiać bawełnę.

267

Przypuszczalnie początki tych dwu miast związane są z przybyciem tu Sumerów, uciekających przez zachodnią granicę przed indoeuropejskimi inwazjami.

Wyginiecie tej cywilizacji przez długi czas pozostawało tajemnicą. W 2000 roku odnaleziono dół kryjący w sobie tysiące ciał oraz przedmiotów pochodzących z epoki harappańskiej.

Archeologom stopniowo udało się odtworzyć historię tego ludu. Harappańczycy wznosili mury, które pozwalały im stawić opór kolejnym falom indoeuropejskich inwazji. Kiedy uznali wreszcie, że mają zapewnione poczucie bezpieczeństwa, mogli rozwijać oryginalną kulturę oraz wyszukaną muzykę, sztukę, język. Ich bogate pismo tworzyło 270 piktogramów, które do dnia dzisiejszego nie zostały odczytane. Był to lud nastawiony pokojowo. Jego bogactwo pochodziło z handlu bawełną, ale także z wyrobu miedzianych naczyń, waz z alabastru, szlachetnych kamieni, zwłaszcza lapis lazuli, używanego przez wiele ludów podczas rytuałów religijnych. Droga handlu lapis lazuli, kamienia, który można znaleźć tylko w tym regionie, ciągnęła się aż do Egiptu, gdzie kamień ten odnajdowano w trumnach faraonów.

Tymczasem Indoeuropejczycy, którym nie udało się militarny podbój cywilizacji Harappa, zamieszkiwali okolice i w końcu stało się tak, że to Harappańczycy zatrudniali ich jako siłę roboczą do budowy swoich domów, dróg, akweduktów. Powstała dzięki temu klasa indoeuropejskich robotników zamieszkujących miasto i, biorąc pod uwagę wzywające do niewolnictwa obyczaje epoki, raczej dobrze traktowanych. Tymczasem Indoeuropejczykom rodziło się więcej dzieci niż ludności harappańskiej i wkrótce zaczęły powstawać bandy młodych ludzi siejące terror w okolicach miasta. Systematycznie atakowały karawany kupieckie, co ostatecznie doprowadziło miasto do ruiny. Kiedy żyjący w murach miasta Indoeuropejczycy uznali, że sytuacja dojrzała do tego, wywołali wojnę domową, która zakończyła się zatrzymaniem wszystkich Harappańczyków. Zgromadzono ich przed zbiorowym grobem, gdzie zostali uduszeni. Harappa i Mohendzo Daro zostały złupione. Indoeuropejczycy nie potrafili zarządzać miastami, więc pozwolili, aby chyliły się ku upadkowi, aż wreszcie sami je opuścili, pozostawiając po sobie tylko dwie osady-widma oraz zbiorowe groby pełne ciał tych, którzy kiedyś byli ich pracodawcami.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

88. KREW ORLÓW

Biegnę ulicami Olimpii. Potrącam mijanych ludzi. Adrenalina zwiększa siłę moich mięśni.

Mata Hari biegnie za mną, słyszę jej zdyszany oddech.

268

W miarę, jak zbliżam się w kierunku świateł i zgiełku, moja wściekłość rośnie. Wkrótce ponad dachami pojawia się centralne drzewo, jabłoń.

Ten, którego szukam, siedzi przy stole z Sarah Bernhardt. Widząc mnie, rzuca grzeczne „dobry wieczór”. Wtedy, wiedziony uczuciem obrony miłości... uderzam z całej siły pięścią w twarz mojego przyjaciela Raoula.

Powoduje to straszny ból palców u ręki. Jednocześnie czuję, jak coś strzela, a następnie trzeszczy jak suche drewno. To chyba jego nos.

Raoul Razorback nie ma czasu, żeby zareagować, przewraca się do tyłu, ale już siedzę na nim. Wystarcza mu refleksu, aby zakryć dłońmi twarz. Okładam go pięściami. Jakie to przyjemne uczucie budzić w kimś strach.

W oczach Raoula widzę najpierw niezrozumienie, ale to nie trwa długo. Wie, dlaczego tu jestem.

Moja pięść ocieka krwią. Krew orłów. Ponownie uderzam w czerwoną masę, która jest jego twarzą.

Przewracamy krzesła. Moja agresja jest tak nieoczekiwana, że nikt nie śmie interweniować.

Raoul upada, wstaje, zatrzymuje się i staje przede mną, gotowy do walki. Rzucam się na niego, toczymy się pod stołami.

Raoul jest lepiej zbudowany, udaje mu się mnie zablokować i stajemy twarzą w twarz.

- Łajdak!

Na jego twarzy pojawia się zły uśmiech. Pluje krwią. Popycha mnie do tyłu tak silnie, że niemal upadam, jednak przytrzymuję się stołu.

- Zamordowałeś mojego Wykształconego!

- Tylko przywróciłem równowagę.

Rzucam się na niego. Robi unik, podstawia mi nogę i przewracam się na ziemię. Widzę, że zaraz skoczy na mnie z góry, lecz już jestem z powrotem na nogach, z zaciśniętymi pięściami.

- Przestańcie się bić! Co cię wzięło, Michael! - woła Edith Piaf.

Przypomniawszy sobie lekcje boksu Theotime'a, robię zwód w lewą

stronę i uderzam prawym hakiem w podbródek. Teraz biję na przemian: raz prawym, raz lewym hakiem. Podwójny prosty w nos, który przypomina teraz rozgnieciony arbuż.

Zawsze mnie bierze, kiedy coś złego przydarza się moim przyjaciołom. A Wykształcony był moim przyjacielem na śmierć i życie. Myślę o tym, co wycierpiał na palu. Ponownie widzę, jak zwolennicy Spadkobiercy niosą jego nabite na pal zwłoki... jak kurczaka. I biję, biję.

Lecz Raoul opanowuje sytuację i unika moich pięści. Kopię go silnie w prawą piszczel. Tego się nie spodziewał. Wyrównuję, waląc w lewą piszczel. Podskakuje, zaciska zęby, wyciera zakrwawiony nos i patrzy na mnie złym okiem.

Adrenalina powiększa moją wściekłość. Przestałem znosić, teraz rozdaję ciosy. Mszczę się nie tylko za mojego Wykształconego, ale także za Theotime'a, za całe moje życie i tych wszystkich, którzy zapomnieli rozdawać ciosy.

Interwenują uczniowie, chcąc nas rozdzielić. Związują mnie, ktoś chwyta Raoula. Lecz o ile mnie trzymają mocno, to Raoulowi udaje się oswobodzić i z całych sił uderza mnie w podbródek.

Moje zęby kruszą się o podniebienie, następnie o gardło. Czuję krew. Jestem zamroczony.

Nowy przypływ adrenaliny. Efekt jak po mocnej porannej kawie. Uderzam głową w brzuch Raoula.

Zewsząd nadbiegają uczniowie, aby interweniować.

Wtedy wyjmuję swój ankh i grożę wszystkim, wymachując nim na prawo i lewo.

- Odejdźcie, odejdźcie albo będę strzelał.
- Uwaga, jest uzbrojony! - krzyczy Edith Piaf.

Tłum rozstępuje się.

Całkiem niewzruszeni bogowie-mistrzowie przyglądają nam się, nie ingerując w sytuację.

Korzystając z tego, że odłożyłem broń, Raoul dobywa swój ankh. Po chwili, cofając się, celujemy sobie w policzki. Wokół nas tworzy się duże koło. Krew leci mi z ust i ten słony smak mojej własnej krwi działa na mnie dopingująco.

Osiągając odpowiednią odległość, stajemy nieruchomo. Nasze ręce pozostają wyciągnięte, palce dotykają spustu.

- Można powiedzieć, że znaleźliśmy się w kiepskim westernie, co, Michael?

Kiedy mówi, słychać dziwny dźwięk, spowodowany zapewne złamanym nosem.

- W pewnej chwili uczeń staje naprzeciw mistrza, żeby się przekonać, czy mu dorównał.
- Nie jestem twoim uczniem, Raoul. Miałem tylko jednego mistrza, Edmonda Wellsa.
- Wszystko mi zawdzięczasz. Przypomnij sobie nasze pierwsze spotkanie na cmentarzu Pere-Lachaise. Powiedziałeś mi, że robiono ci wyrzuty, ponieważ nie płakałeś na pogrzebie babci. A ja wtedy odpowiedziałem, że śmierć to tylko przekroczenie nowej granicy.
- Wielokrotnie burzyłeś moje życie. A ja, niestety, o tym zapomniałem.
- To normalne. Tak bardzo chciałeś mieć „najlepszego przyjaciela”.
- Zawsze mnie zdradzałeś. Nawet w tym życiu zabijałeś moich ludzi, twoje galery paliły moje żaglowce.
- To jest gra, Michael. To twój problem, że mylisz grę z życiem. Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca. Ja jestem marzycielem. Przyznaję, że po raz pierwszy widzę cię naprawdę rozgniewanego. Dzięki mnie. To dobra rzecz, prawda? Oto kolejna lekcja, której ci brakowało: lekcja gniewu. Podziękuj mi.

Zaciskam zęby.

- Wbiłeś na pal mojego Wykształconego!

- Tak. I co z tego? Zbiłem ci pionka podczas gry w szachy. To są tylko pionki, wspominałem ci o tym.

Wyciera nos i spluwa krwią.

270

- Nigdy nie wybaczę ci tego, co zrobiłeś mojemu Wykształconemu. Nigdy.

Patrzy na mnie długo, jakby chciał odgadnąć moje zamiary.

- Jak chcesz.

Proponuje, żebyśmy strzelili na trzy. Niech wygra szybszy.

Wygląda, jakby ustawiał ankh z boku, tak jak rewolwer. Waham się przez chwilę, po czym robię tak samo.

- Mamy prawo do jednego strzału, a więc ustawmy go na maksymalną moc. W ten sposób sprawa zostanie załatwiona raz na zawsze - proponuje Raoul.

Zgrywa bohatera. Zawsze musi zgrywać bohatera. Jak jego ojciec. Zawsze podejmuje jedno ryzyko za dużo, bo to sprawia, że jest panem sytuacji.

-Jeden...

Wokół panuje zupełna cisza. Dokładnie ustawiam ankh na maksymalną moc destrukcji. On robi to samo.

- Dwa...

Pot ścieka mi po szyi, w ustach czuję krew. Bołą mnie wszystkie zęby. Ręka mi drży.

Patrzemy na siebie długo i przed oczami przebiegają mi chwile, kiedy byliśmy przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi. Chwile, kiedy przychodził mi z pomocą, kiedy śmialiśmy się, kiedy walczyliśmy razem. I na koniec chwila, w której poradził mi, abym zalecał się do Maty Hari po to, by przyciągnąć uwagę Afrodyty.

- Trzy!

Strzelam na chybił trafił. I chybiam, czując w tej samej chwili, jak gorący płomień pali moje ucho.

Ustawiliśmy nasze ankh na taką moc, że teraz są wyładowane. Naciskamy na spusty, ale nie dzieje się nic, słychać tylko pusty szcęk.

W tłumie słychać szmery.

Wtedy rozczarowany powstałym zamieszaniem Ares rzuca pomiędzy nas swój ankh. Podskakuję i chwytam uzbrój oną rękę mojego przeciwnika. Przesuwam na bok skierowaną w moją stronę broń. Raoul próbuje ją wyprostować, ja go odpycham. Odsuwa mnie do tyłu i ponownie kieruje broń w moją stronę. Strzela. Piorun ociera się lekko o mnie.

Słyszę za sobą jakiś krzyk. Ktoś znalazł się na torze pocisku.

Odwracam się. To Saint-Exupéry. Dostał błyskawicą w sam środek klatki piersiowej. W miejscu uderzenia ciało i kości są rozerwane. Osuwa się. Przez otwór w jego ciele widzę ziemię.

Rzucam się bez zastanowienia w stronę lotnika-poety.

Pociąga mnie za toczę i szepcze mi do ucha:

- Sterowiec jest gotowy... Należy do ciebie.
- Wyleczymy cię - mówię bez przekonania.

Nawet nie zwraca uwagi na moje słowa.

- Zrób to dla Montgolfiera i Adera... A kiedy już tam będziesz, pomyśl o nich i pomyśl o mnie.

Już pojawiają się centaury, żeby zabrać ciało.

Odejmowanie: $73 - 1 = 72$.

271

Raoul idzie w moją stronę. Celuje mi w twarz. Ale tym razem uczniowie stają pomiędzy nami. Jedni po to, aby mnie chronić, inni chcą chronić Raoula. Dwie odrębne grupy, odpowiadające sile D i sile A.

Obelgi przekształcają się w groźby.

Ci, którzy reprezentują siłę N, trzymają się na uboczu. Nagle grupa D rzuca się na nas. To uderzenie czołowe, trochę przypomina sytuację, kiedy ścierały się nasze dwie armie śmiertelników. Tyle, że tym razem bogowie stają przeciw bogom.

Dostaję ciosy od Bruna, boga sokołów. A Raoul dostaje ciosy od Rabelais'go, boga świń.

Mata Hari też rzuca się w wir walki, chcąc mi pomóc, lecz Sarah Bernhardt skacze jej na plecy i ciągnie za włosy. Mata Hari uwalnia się i przyjmuje pozycję obronną. Moja narzeczona uprawia nieznaną sztukę walki, która przypomina boks francuski. Pokonawszy z łatwością aktorkę, sprawia kłopot wielu bogom-ucniom należącym do wrogiego obozu.

Ponieważ togi mamy podarte, walczymy w samych tunikach. Teraz też nie interweniują ani bogowie-mistrzowie, ani bogowie pomocniczy.

Pomiędzy dwoma kolejnymi ciosami zauważam Atenę. Siedzi nieruchomo. Wydaje się, że nasza bójka wcale nie przeszkadza tej, która zabroniła wszelkiej przemocy. Siedzi spokojnie obok Dionizosa i wspólnie komentują przebieg bijatyki. Być może bogowie-mistrzowie traktują walkę jak wielkie wyzwolenie z zahamowań, będące przedłużeniem imprez dzisiejszego dnia.

I to, że widzimy taką ich postawę, sprawia, że każdy z bogów-uczniów ma wrażenie, że wolno mu dać upust swojej naturalnej agresywności. Walka staje coraz bardziej zacięta.

W końcu odnajduję pośród tłumu Raoula. Znowu rzucamy się na siebie, walcząc z wściekłością wręcz. W pewnej chwili wykręca mi ręce, opiera kolana na moich łokciach i podnosi złączone pięści, chcąc zmiażdżyć mi twarz, kiedy nagle dzieje się coś, co sprawia, że otwiera usta ze zdumienia. I zwała się na ziemię.

Patrzę, kto przyszedł mi z pomocą. Jean de La Fontaine.

- Dziękuję - mówię.

- Racja tego, kto uderza z zaskoczenia, jest jeszcze większa niż tego, kto jest silniejszy - oznajmia, parafrazując swoją bajkę o wilku i owcy.

W przypiływie świadomości sprawdzam stan przeciwnika. Raoul oddycha. Jest tylko ogłuszony.

Wszędzie widzę uczniów. Tarzają się po ziemi, gryzą się, biją, wydając przy tym wściekle okrzyki.

Mata Hari zadaje przeciwnikowi ostateczny cios, uderzając kantem dłoni w szyję, kiedy nagle zostaje zaatakowana przez Bruna. Bóg sokołów okazuje się solidarny z bogiem orłów.

- Michael Pinson! Aresztujcie go! On oszukał! Był w mojej piwnicy!

Atlas. Całkiem o nim zapomniałem.

Chowam się w tłumie, lecz mnie zauważa. Rzuca się w moją stronę.

- Złapcie go! - ryczy tytan.

Centaury, które dotąd nie reagowały, kierują się w moją stronę. I znowu uciekam.

272

Niełatwo im biec pośród bijatyki. Kilku bogów-uczniów celowo tarasuje im drogę.

Kilkakrotnie udaje mi się umknąć centaurom, które są bardzo blisko. Kluczę, biegnę zygzakiem, czołgam się, ukrywam. Wzrasta we mnie kolejna fala wściekłości, zwielokrotniając moje siły i refleks. Czuję się tak, jakbym włączył trzeci bieg.

Atlas i centaury pędzą za mną.

Mata Hari, widząc, co się dzieje, ustawia z grupą bogów-uczniów żywy mur, przed którym centaury muszą zwolnić. To wystarczy, abym zyskał na czasie.

Wbiegam w uliczki południowej dzielnicy, którą zaczynam już dobrze znać. Labirynt jeszcze bardziej opóźnia pościg. Docieram do ulicy Nadziei. Na szczęście ani nie znaleźli, ani nie zablokowali wyjścia. Przesuwam skrzynię i już jestem poza murami.

Biegnę, by schować się w lesie, następnie postanawiam ukryć się w krzewie niebieskich paproci.

Widzę grupę centaurów wysłanych za mną w pościg. Z Atlasem na czele. Mijają mnie i znikają za horyzontem.

Wtedy postanawiam skorzystać z ostatniej rady Saint-Exupery'ego. Wznieść się w powietrze.

89. ENCYKLOPEDIA: LEMINGI

Naukowcy długo zadawali sobie pytanie, dlaczego lemingi popełniają zbiorowe samobójstwo. Tajemnicą przyrody pozostaje ów przedziwny widok, kiedy cała grupa tych niewielkich zwierząt rzuca się po kolei z urwistego brzegu. Początkowo biolodzy sądzili, że może chodzić o sposób na samoregulację demograficzną. Uważano, że lemingi popełniają zbiorowe samobójstwo wtedy, gdy uważają, że jest ich za dużo.

Wśród wielu hipotez pojawiła się również nowa teoria. Odwołuje się ona do faktu, że lemingi, kiedy ich populacja była zbyt liczna, miały zwyczaj migrować. Jednakże oddzielenie się kontynentów spowodowało powstanie urwiska w miejscu, gdzie kiedyś dwie strefy były ze sobą połączone. Mimo upływu wieków, lemingi nie zmieniły swojej mapy migracji i chciały nadal podążać swoją drogą wiodącą za urwiskiem, bez względu na to, ile je to będzie kosztować.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

273

90. STEKOWIEC

Udaje mi się dotrzeć do kryjówki Montgolfiera.

Latająca maszyna jest gotowa, muszę tylko podpalić pod kotłem i wydostać ją na zewnątrz.

W tej samej chwili spostrzegam, że ktoś przede mną stoi.

Bogobójca.

Groźna postać znowu ma założoną maskę z greckiej tragedii. Ma problemy z ramieniem.

A więc Proudhon nie był bogobójcą.

Robię sobie wyrzuty, że nie wyraziłem swoich wątpliwości, że nic dla niego nie zrobiłem. Przecież trafiłem go w lewą rękę, nie w prawą.

Bogobójca wyjmuję ankh. Czuję się dziwnie spokojny.

- Zabijesz mnie, prawda?

Pokazuje, abym podniósł ręce, zbliża się i obmacuje mnie, cały czas celując w policzek.

- Jeśli szukasz Encyklopedii, to nie noszę jej cały czas przy sobie. Jest w bezpiecznym miejscu.

Zza maski słyszę oddech, wydaje mi się, że to oddech mężczyzny.

Naciska na moje ramię, chcąc mnie w ten sposób zmusić, abym uklęknął. Potem czuję lufę ankh na swoim karku. A więc mnie zgładzi.

W tym momencie pojawia się inna postać w brudnej todze. Jest bardzo podobna do bogobójcy, tyle że zamiast smutnej maski ma założoną maskę wesołą.

Nowy przybysz uderza bogobójcę w twarz. Ten odwraca się w jego stronę.

Stoją naprzeciw siebie, z ankh w dłoniach, jak chwilę wcześniej ja i Raoul.

Czy to możliwe, że jest ich dwóch? Nie, przecież to nielogiczne. Bogobójca to człowiek w smutnej masce. Kim jest drugi, nie wiem.

Patrzę na siebie wyzywająco przez kilka sekund, po czym człowiek w smutnej masce chowa swój ankh i odchodzi, jakby zrezygnowany...

Właściciel maski komediowej daje mi ręką przyjacielski znak, po czym też się oddala, w całkiem przeciwną stronę.

Nigdy się nie dowiem, co tu się wydarzyło. Jest bogobójca, ale jest także antybogobójca...

Już mnie nic nie dziwi.

Muszę działać szybko. Możliwe, że centaury i Atlas organizują już oblawę, jak to kiedyś zrobiono, aby znaleźć Proudhona. Ale dla mnie nie będzie procesu.

Przeżyć drogę krzyżową moich delfinów razem z nimi! Żyć wiecznie, nie mogąc wyjawić swojej wiedzy i ze świadomością, że nie będę mógł dopomóc im z góry!

Nie ma innego wyjścia, muszę wystartować tym przeklętym balonem z pedałami.

Postępuję tak, jak mi pokazywał Saint-Exupéry. Rozpalam ogień. Kieruję dym w stronę torby, która posłuży za czaszę balonu. Membra-

na zaczyna napęlniać się powietrzem. Sprawdzam mechanizm roweru, który posłuży za napęd.

Lecz oto pojawia się nowa postać.

Rozpoznaję ją najpierw po zapachu.

- Dobry wieczór, Michael.

Kiedy widziałem ją po raz ostatni, rzuciła mi pełne wyrzutu spojrzenie, ponieważ byłem z Matą Hari. Czy mnie wyda?

Membrana napęlnia się bardzo powoli.

- Chyba nie chcesz tym lecieć?

Afrodyta uśmiecha się.

- Nie mam wyboru, muszę.

- W każdym razie nie możesz nic zrobić, dopóki nie rozwiążesz zagadki: „Co jest lepsze niż Bóg i gorsze niż diabeł?”

- Nigdy nie odgadnę.

- Jesteś tego pewien?

Staram się myśleć o Macie Hari.

- Jeżeli znajdziesz rozwiązanie zagadki, pójdę z tobą do łóżka. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jakie to nadzwyczajne przeżycie. -I dodaje lekceważącym tonem: - Żadna kobieta, ani śmiertelniczka, ani bogini, nigdy nie będzie w stanie dać ci takich przeżyć.

Powiedziawszy to, chwytą mnie wpół, przyciska do swoich piersi i całuje łapczywie. Mam wrażenie, że trwa to bardzo długo. Zamykam oczy, aby poczuć to jak najmocniej.

- Jesteś dla mnie ważny - mówi Afrodyta, rozluźniając uścisk. - Coś jest między nami, jakiś szczególny związek dusz, zupełnie niepodobny do żadnego innego. Nawet gdybyśmy chcieli się go zaprzecić, nie możemy.

Teraz głaszcze mnie po brzuchu.

- Myślę, że nawet nie zdajesz sobie sprawy, co to znaczy kochać się ze mną.

-Ja...

- Czy wiesz o tym, ilu mężczyzn, dziesiątki, setki tysięcy oddałyby duszę, żeby móc przeżyć połowę tej sekundy?

Ponownie przyciska mnie do siebie i dotyka w okolicach serca.

- Mam tam w środku sprzymierzeńca.

Zamykam oczy, zaciskam zęby. Nie pozwolę się oszukać.

- Tylko ja jedna potrafię cię zrozumieć - mówi. - Czuję zranione dziecko, którym byłeś. Oboje byliśmy zranionymi dziećmi.

Ogromne wzruszenie ogarnia moje ciało, czuję, że sięga aż do karku.

Z kieszeni togi wyjmuję lusterko.

- Popatrz na siebie, Michael. Jesteś „piękny”. Nasze dusze się rozumieją. To jedyna rzeczywista miłość - mówi. - Żadna kobieta nie będzie mogła zrozumieć cię tak, jak ja cię rozumiem. Żadna kobieta nie widzi cię takim, jakim ja cię widzę. Nawet sam nigdy takim siebie nie widziałeś. Twoja dusza jest taka silna, lecz twoje myśli takie ograniczone. Jesteś jak ci wszyscy śmiertelnicy, którymi kierujemy i którzy nawet nie domyślają się, że potencjalnie też są bogami.

275

Podczas kiedy Afrodyta mówi, zmieniają się jej wibracje. Mam wrażenie, że widzę jej aurę. To różowa i wilgotna istota mieniąca się złotym blaskiem.

Membrana balonu nadal się nadmuchuje, ale przestaję się nią interesować. Wiem, że Afrodyta mnie zgubi, czuję to, a jednak nie potrafię zareagować. Jak ćma przyciągana przez płomień świecy. Jak królik oślepiiony światłami samochodu, który go za chwilę rozjedzie. Jak mysz zafascynowana wężem. Jak narkoman przed swoją strzykawką.

- My dwoje. Ty i ja możemy zmienić wszechświat. Wystarczy, żebyś raz mi zaufała. Boisz się mnie, ponieważ wierzysz we wszystko, co ci o mnie powiedziano. Nawet Hermafrodyta, mój własny syn, opowiadał ci o mnie straszne historie. Nie wszystkie są kłamstwem, a nawet prawie wszystkie są prawdziwe. Lecz posłuchaj swojej duszy i tego, co ci mówi o mnie. Wiem, że wyrządziłam ci krzywdę, ale czy możesz zrozumieć, że to było dla twojego dobra?

Nie drgnie mi nawet powieka.

- To tak, jakby postawić przed koniem przeszkody. Im płot jest wyższy, tym wyżej może skoczyć. Czy ten, kto stawiał przeszkody, robił to złośliwie? Jednak koń ryzykuje, że jeżeli nie przeskoczy, może sobie złamać nogę.

Moje usta pozostają zamknięte.

- Teraz, dzięki mnie, dzięki próbom, którym zostałeś poddany, znasz lepiej samego siebie. Jesteś silniejszy. Jeżeli stawiałeś czoła Raoulowi, to także dzięki mnie. Jeżeli potrafiłeś sfabrykować Wykształconego, to też dzięki mnie. Czy wiedziałeś o tym?

Membrana balonu zajmuje już cały sufit ukrytej pracowni.

- Muszę iść - mówię.

Uśmiecha się smutno.

- Chcesz tym lecieć? - pyta drwiąco.

Wtedy wyjmuje ankh i ustawia go tak, jakby chciała sprawdzić zespół kół maszyny i... oddaje pierwszy strzał w membranę, która zapada się. Drugi strzał trafia w rower. W jednej sekundzie cała machina, cierpliwie opracowana przez Montgolfiera, Adera i Saint-Exupery'ego, zostaje zredukowana do dymiącego stosu.

Zniszczyła mój jedyny sposób ucieczki! Jestem tak przygnębiony, że nie stać mnie na najmniejszą reakcję.

- To dla twojego dobra - mówi Afrodyta. - Dostyc już uciekania, teraz musisz stawić czoła przeznaczeniu.

Powiedziawszy te słowa, chowa ankh, obejmuje mnie i obdarza długim pocałunkiem.

- Podziękuj mi.

Waham się, czy jej nie zabić.

Czy uczeń mógłby zabić nauczyciela? Czy można zabić boginię miłości?

Po chwili wahania też ją całuję.

Jestem idiotą.

Potem, jakby zdjęty litością w obliczu własnej głupoty, próbuję zrozumieć, co się ze mną dzieje. Czy przeżywam taki sam schyłek, jak zafa-

276

scynowana własnym upadkiem ludzkość? Niezdolna do powstrzymania go, w końcu go akceptuje, a nawet kocha.

Afrodyta jest dla mnie czuła. Prawdopodobnie widziała już wielu przegranych mężczyzn, takich jak ja. Jednocześnie nie mogę powstrzymać się, aby nie odczuwać dla tego „potwora” czegoś w rodzaju wdzięczności.

Mówię sobie, że przeznaczenie rozdaje na prawo i lewo truciznę. Jeśli przeżyło się zasnę historię miłosną i uda się z tego wyjść, wtedy przychodzi inna historia miłosna, jeszcze bardziej zasnę, a potem kolejna i kolejna. Osobowość potrzebuje bolesnych doświadczeń, żeby się rozwijać.

Zbity z tropu, przyglądam się sterowcowi, z którego pozostał tylko wrak.

Afrodyta gładzi mnie po brodzie, a ja mam ochotę ugryźć ją do krwi.

- Pamiętaj, że jeśli rozwiążesz zagadkę, będziemy się kochać przez całą noc, tak jak tego nigdy nie robiłeś. Oddam ci się cała, jak nie oddałam się jeszcze żadnemu mężczyźnie ani żadnemu bogu.

Z oddali dobiega głos Atlasa:

- Tam jeszcze nie szukaliśmy.

Afrodyta cofa się i rzuca na odchodne:

- Do zobaczenia, kochanie.

Przesyła mi całusa, po czym wychodzi. Stoję w miejscu jak wrośnięty. Budzą mnie krzyki pogoni.

Zamykam oczy i czuję to światełko, moją małą iskierkę tam, koło serca, która jest moją prawdziwą naturą ukrytą w moim wnętrzu i która toruje sobie drogę, by móc walczyć z ogarniającymi mnie ciemnościami. Iskierka oświetla moje serce, a serce zaczyna mieszać świetlistą krew, potem czerwoną, potem pomarańczową, potem żółtą, potem białą, potem srebrną.

Mam wrażenie, że budzę się ze słodkiego snu, ale powrót do rzeczywistości jest trudny. Wychodzę i widzę dziesiątki pochodni w rękach kierujących się w moją stronę centaurów.

Srebrna krew dociera do końców mojego ciała, do palców u rąk i u stóp. Wyzłobiła dziurę w górnej części mojej czaszki, na poziomie siódmej czakry korony i czuję, jakby z mojej głowy wystrzelił laser, który podłączył mnie do nieba.

Nie jestem byle kim. Może jestem tym, na którego wszyscy czekają. Nie powinienem użalać się nad swoim losem, muszę pokonać czary Afrodyty, przypomnieć sobie słowa Maty Hari: „Jesteś prawdopodobnie kimś więcej niż sądzisz”.

Kimś więcej. Jestem Michael Pinson, pionier tanatonautyki, anioł, któremu udało się uratować ludzką duszę, bóg-uczeń, odpowiedzialny za lud delfinów. Jestem bogiem! Małym bogiem, ale jednak bogiem. Nie opuszczę teraz rąk jak pierwszy lepszy zakochany śmiertelnik. Nie teraz.

- Dobra, widzę go! - krzyczy Atlas. - Jest tutaj! Mamy go.

Pochodnie zbliżają się w moją stronę.

277

Rzucam się w przeciwnym kierunku. Ciągłe uciekać. Ciągłe umykać. Powtarzam sobie, biegnąc: „Pamiętaj, że jesteś bogiem”.

Tym, co mnie niepokoi, jest ludzka część mojej natury, srebrna krew musi usunąć wszystkie śmieci moich obaw i pragnień. Nigdy nie zdołam uratować żadnego ludu, jeżeli nie potrafię uratować samego siebie. Nie zdołam nigdy wprowadzić na Ziemię 18 uncji miłości, jeżeli nie

potrafię pokochać samego siebie. Aby skończyć z fascynacją Afrodytą, muszę zastąpić ją przez fascynację samym sobą. Muszę kochać siebie. Muszę mieć do siebie zaufanie.

Biegnę coraz szybciej, coraz mocniej. Lecz rozumiem, że aby kochać siebie, muszę zniechęcić tę, która czyni mi zło. Może już czas, żeby po lekcji gniewu nastąpiła lekcja nienawiści? Ekstremalny paradoks: nie mogę pokochać siebie, jeśli nie będę JEJ nienawidził.

- Afrodyto, nienawidzę cię, Afrodyto, nie będziesz mnie miała nigdy więcej - powtarzam, żeby się zdopingować. - Afrodyto, widzę cię taką, jaką jesteś, jesteś maszyną do niszczenia mężczyzn, jesteś tylko tandetną femme fatale. Jestem od ciebie silniejszy. Jestem wolny. Jestem MICHAEL PINSON. Jestem niespodziewanym bogiem, który zmieni reguły gry. Dobry Boże! Nie jestem byle kim. Mój Wykształcony był nadzwyczajny i być może stworzę jeszcze innych, dziesiątki innych, ponieważ mam taki talent. Talent, o którym ty, Afrodyto, nie masz najmniejszego pojęcia.

Serce mi wali. Biegnę tak szybko, że wkrótce nie słyszę za sobą pościgu.

Dokąd iść?

„W oku cyklonu jest się najbardziej bezpiecznym”.

Wrócić do Olimpii.

Noc mnie ochrania. Przemykam między drzewami.

Przechodzę przez otwartą jeszcze bramę miasta. Wiedziony intuicją, kieruję swoje kroki do amfiteatru.

Natrafiam na skubiącego trawę Pegaza, jeszcze w scenicznym stroju.

Myślę o historii Bellerofonta.

Pegaz, to jest właśnie rozwiązanie.

Nie mam nic do stracenia.

Kilka centaurów odkrywa moją obecność i pędzi w tę stronę... Postanawiam dosiąść skrzydlatego konia. Kiedyś trochę uprawiałem jeździectwo, ale konie, na których jeździłem, nie miały trzymetrowej rozpiętości skrzydeł.

Pegaz czuje mnie na swoim grzbiecie, jednak nie rusza się i nadal skubie trawę. Uderzam piętami w jego boki, aż się potyka.

- Jest tam! Jest tam! - krzyczy jeden z centaurów. - Łapcie go!

Przechodzące nieopodal satyry powtarzają jak echo:

- Jest tam! Jest tam! Jest tam!

Zbliża się cały oddział.

Pociągam za cugle, rzucając śmieszne „wio, no wio”!

Nic się nie dzieje. Czuję się, jakbym żył w jakimś przekornym świecie. Walczę, ale wiem, że nawet jak mi się uda przejść próbę, natychmiast pojawi się kolejna, jeszcze trudniejsza do przejścia.

278

Otoczają mnie centaury. Mam ochotę się poddać. Wtedy pojawia się Smarkaczka. Siada na uchu mojego rumaka, i ta, która zawsze wydawała mi się niema, sprawia wrażenie, jakby coś do niego mówiła. Jej długi motyli tułów zwija się i rozwija.

Pegaz rży, zaczyna biec klusem, potem galopuje. Wszyscy biegną za nami. Latający koń rozpościera swoje skrzydła. Potem nagle startuje!

Mam tylko tyle czasu, by chwycić jego grzywę. Czuję przy łydkach boki zwierzęcia. Kiedy oddycha, jego zębra poszerzają się. Na szczęście strzemiona są mniej więcej jak dla mnie, więc szybko wkładam w nie nogi.

Wznosimy się.

Pegaz reaguje na moje komendy z pewnym opóźnieniem. Początkowo nie bardzo potrafię nim kierować i jedziemy w stronę placu, na którym znajdują się wszyscy, którzy mnie ścigali.

Przelatuję tuż nad ich głowami i widzę skierowane w moją stronę pięści. Pochylają się. Kopyta mojego rumaka ocierają się o stoły, przewracając amfory. Centaury rozbiegają się na boki, popychają uczniów i próbują złapać mojego konia za ogon. Jednemu z nich prawie udaje się go ucześcić, ale Pegaz odrzuca go jednym uderzeniem kopyta.

Atlas wydobył ankh, lecz nie ma odwagi strzelić. Pozostali bogowie także stoją z wycelowanymi we mnie ankh. Rozumiem, że boją się, aby nie trafić w Pegaza.

Po raz drugi koszę stoły, okrążam centralnie położone drzewo i wreszcie odkrywam, co trzeba zrobić, aby mój rumak nabrał wysokości. Teraz jestem już poza zasięgiem strzałów.

Przez chwilę zastanawiam się nad tym, co się stało. Jestem spalony w Aedenie. Nigdy więcej nie mogę tu powrócić.

Skrzydła Pegaza tną powietrze jak skrzydła wielkiego ptaka. Cóż za uczucie.

Widzę Hermesa, który usiłuje do mnie dołączyć, uderzając skrzydełkami u stóp, ale nie jest tak szybki jak Pegaz.

- Wracaj, Pinson, wracaj, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz! - krzyczy bóg podróży.

Ma rację, nie wiem, co robię, ale czuję, że po raz pierwszy dokonuję jakiegoś naprawdę heroicznego czynu, i to całkiem sam. Znalazłem się poza scenariuszem napisanym przez autora mojej historii. Sam kieruję swoim życiem. Jestem w nieznanej strefie, w której tylko ja sam decyduję o tym, co się wydarzy w następnej sekundzie.

Lecę nadal, odurzony tym, co się ze mną dzieje.

Po Hermesie na moje spotkanie wyruszyła kolejna latająca maszyna. Afrodyta! Nie! Tylko nie ona.

Siedzi na swoim różowym rydwanie, ciągnionym przez setki synogarlic. Trzyma wodze w rękach. Z przodu, na specjalnie dla niego przeznaczonym miejscu, siedzi Kupidyn. W jednej ręce trzyma łuk, w drugiej strzałę. Synogarlice uderzają jednocześnie setkami skrzydeł. Rydwan jest szybszy od skrzydełek Hermesa, ale wolniejszy od Pegaza.

Bogini miłości jest coraz bliżej.

279

Chcę ją ominąć, skręcając w prawo, ale skręca w tym samym czasie, co ja. W efekcie wykonuje manewr i zajmuje miejsce obok mojego wierzchowca.

- Wracaj, Michael, nie możesz tego zrobić! Atena każe ci za to drogo zapłacić.

Strach. Jej środkiem działania jest strach. Mówi do mnie, jakbym był śmiertelnikiem.

Wznoszę się dalej.

Afrodyta trzyma swój zaprzężony w synogarlice rydwan blisko mojego konia. Wznosimy się razem.

- Nigdy nie pozwolą ci wejść na górę!

- Zobaczymy!

- Wracaj, potrzebuję cię! - woła.

- Aleja nie potrzebuję już ciebie.

Marszczy brwi.

- A więc dobrze. Jeśli już tam jedziesz, to jedź, o ile cię nie złapią.

Popuszczam wodze i mój skrzydlaty koń przyspiesza. Odwracam się

do Afrodyty i krzyczę:

- Żegnaj, Afrodyto! Kochałem cię!

I przesyłam jej w powietrzu buziaka.

Wydaje się zaskoczona, jej Kupidyn z własnej inicjatywy wysyła w moją stronę strzałę, ale pochylam się i strzała chybia. Z daleka słyszę głos bogini:

- Uważaj!

- Na co?

- Tam, u góry. Na cyklopów, oni strzegą...

Nie słyszę nic więcej, jestem już daleko. Sam w przestworzach nad Olimpią.

Pegaz przecina powietrze regularnym ruchem swoich długich skrzydeł olbrzymiego albatrosa.

Lecę.

Wreszcie nikt z zewnątrz nie ma na mnie wpływu, ani Raoul, ani Edmond, ani Afrodyta.

Pociągam wodze, aby nakierować mojego rumaka w stronę góry. Rzeczywiście, tam wysoko, w ciemności wieczoru, pojawia się jakieś światło. Jak wezwanie. Kiedy tak patrzę z góry, wydaje mi się, że ten blask nie jest ani okrągły, ani w kształcie gwiazdy, ale ma kształt liczby osiem.

91. ENCYKLOPEDIA: 8 HERCÓW

Nasz mózg ma cztery rytmy aktywności, które można zmierzyć za pomocą encefalogramu. Każdy rytm odpowiada jednemu rodzajowi fal. Fale beta: o częstotliwości od 14 do 26 herców. Odpowiadają stanowi pobudzenia. Podczas rytmu beta nasz mózg funkcjonuje pełną parą. Im bardziej jesteśmy podekscytowani, zdenerwowani, zaniepokojeni, im intensywniej myślimy, tym bardziej wzrasta liczba cykli na sekundę.

280

Fale alfa: o częstotliwości od 8 do 14 herców. Odpowiadają stanowi większego odpoczynku, ale świadomego. Gdy tylko zamykamy oczy, kiedy siadamy wygodnie, kiedy leżymy na łóżku, nasz mózg zwalnia i wchodzi w cykl alfa.

Fale teta: o częstotliwości od 4 do 8 herców. Odpowiadają stanowi lekkiego snu. To czas lekkiej sjęsty, ale także hipnotycznego snu. Fale delta: o częstotliwości poniżej 4 herców. Odpowiada to stanowi głębokiego snu. W tej fazie mózg zapewnia tylko podstawowe funkcje życiowe. Jesteśmy wtedy blisko fizycznej śmierci i, paradoksalnie, właśnie w tym stanie docieramy do najgłębszych warstw naszej podświadomości. Jest to długość fal charakterystyczna dla snu paradoksalnego, podczas którego pojawiają się najbardziej niezrozumiałe sny, a nasz organizm najbardziej się regeneruje.

Warto odnotować, że kiedy nasz mózg osiąga częstotliwość 8 herców, czyli wchodzi w cykl alfa, obie półkule funkcjonują harmonijnie, podczas gdy w rytmie beta jedna półkula ma nad drugą przewagę. Albo lewa półkula, analityczna, potrafiąca rozwiązać logiczne problemy, albo prawa, intuicyjna, umożliwiająca stworzenie lub znalezienie pomysłu.

Kiedy nasz mózg znajduje się w stanie wzmożonej aktywności, czyli podczas rytmu beta, działa podobnie jak grzejnik, co jakiś czas automatycznie włączając stan odpoczynku. Uważa się, że co dziesięć sekund nasz cykl mózgowy przechodzi na kilka mikrosekund w rytm alfa.

Jeżeli w świadomy sposób uzyskamy cykl alfa, nasza psychika działa w sposób ograniczony i mniej interferuje z naszymi odczuciami. Tym samym jesteśmy bardziej zdolni do słuchania

naszej intuicji. Przy częstotliwości 8 herców jesteśmy w stanie doskonałej równowagi, pobudzeni, a jednocześnie spokojni.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

92. WZLOT

Lecę.

Pode mną miasto Olimpia oddala się i znika.

Czuję się silny. Moja siła wynika z gniewu i uczucia, że wziąłem los w swoje ręce. Wreszcie odnoszę wrażenie, że mam nad czymś kontrolę. Gniew to dobra rzecz. Mogłem się gniewać już dawno. To tak, jakbym skoczył z rozpędzonego pociągu. Mam wrażenie, że zbiłem szybę w wagonie, aby skoczyć na nasyp kolejowy.

Nie mam już nic do stracenia. Zraziłem do siebie wszystkich: bo-gów-mistrzów, bogów-uczniów, chimery, nie mówiąc już o moim ludzie delfinów, który, gdyby tylko o tym wiedział, miałby mi za złe, że go opuściłem. Jak mówił jeden ze śmiertelnych przyjaciół z Ziemi 1: „Każ-

281

dy człowiek, który się czegokolwiek podejmuje, ma od razu trzy rodzaje wrogów: tych, którzy chcieliby zrealizować ten sam projekt zamiast niego, tych, którzy chcieliby zrealizować projekt przeciwny, a przede wszystkim całą masę tych, którzy nic nie robią. A ci ostatni są często najbardziej zjadliwymi krytykami”.

Lecę.

Myślę, że nic nie jest zapisane, że nie ma scenariusza umieszczonego w wielkiej księdze. Nie jestem bohaterem powieści. Jestem redaktorem mojego własnego życia. Piszę je tu i teraz. Już na Ziemi 1 nie wierzyłem w horoskopy.

Nie wierzyłem w linie na dłoni.

Nie wierzyłem w medium.

Nie wierzyłem w I Ching.

Nie wierzyłem w tarota. Ani we wróżenie z fusów.

I nawet jeśli to działało, nie byłyby to wyłącznie sposobem na pozostanie w scenariuszu?

Teraz jestem poza scenariuszem. Jestem pewien, że mój lot z Pegazem w stronę szczytu NIGDZIE NIE BYŁ ZAPISANY. Nikt nie może przeczytać, jaka będzie moja następna przygoda. W każdej sekundzie piszę historię mojego życia i nikt nie może wiedzieć, co jest na

następnej stronie. Jeśli będzie trzeba, umrę i historia się zakończy. Bycie wolnym jesi niebezpieczne, ale upajające. Jestem więcej niż bogiem, jestem wolną istotą.

Musiałem dotknąć dna, aby znaleźć energię potrzebną do tego, abym się odnalazł. Teraz jestem sam i wszechmocny. Silniejszy niż Pan Bóg, gorszy niż diabeł. A kto mnie zje, umrze.

W dole widzę wyspę o nieco trójkątnym kształcie, ze strefami, których nie znam. Przypomina głowę. Dwie niskie góry obok Olimpiii tworzą oczy. Kwadratowe miasto nos. Plaża jest brodą. Wysoka góra tworzy czoło. Dostrzegam niewyraźnie za tym wysokim czołem dwa wzniesienia terenu, podobne do dwóch dużych kosmyków.

Morze lśni złotawobrazowymi refleksami. „Edmondzie Wellsie, ty jesteś w wodzie, ja w powietrzu”.

Zapada wieczór. Słońce ma różowy blask. Wznoszę się.

Rozumiem powoli, jak niesłychana jest moc mojego uskrzydłonego konia. Za każdym uderzeniem jego długich białych skrzydeł posuwamy się wiele metrów do przodu.

Wznoszę się nad sztywną, pomarańczową ścianą. Zmierzam w kierunku szczytu, nadal otulonego swoim mgielnym płaszczem.

Jestem nad liśćmi drzew.

Przelatuję nad niebieską rzeką, lecę nad czarnym lasem, przekraczam czerwoną nizinę, wznoszę się jeszcze wyżej i docieram do ściany, która wiedzie do pomarańczowej skały.

Niebo staje się coraz ciemniejsze. Czy to już noc? Nie, to ciemne chmury. Nagle przecina je błyskawica. Czuję, że mój rumak boi się burzy. Czepiam się jego grzywy. Piorun wytwarza efemeryczny wzór marmuru, któremu towarzyszy ciężki śpiew, rozlegający się w mojej klatce piersiowej. Na moją rękę spada kropla.

282

Pada rzęsisty deszcz.

Jestem przemoczony i jest mi zimno. Ściskam nogami boki Pegaza.

- Dalej, Pegaz, podwieź mnie bliżej Olimpu, to jedyne, o co cię proszę.

Znajdujemy się nad pomarańczową strefą.

Pegaz sam decyduje się wylądować, tak jakby był ptakiem. Na próżno uderzam go po bokach piętami. Zwierzę nie chce się ruszyć, dopóki nie zsiądę. Stawiam stopy na ziemi. Wtedy Pegaz ponownie startuje i leci w kierunku Olimpiii.

Znowu jestem na pomarańczowym terytorium, a ziemia jest tu błyszcząca. W kraterach, małych wulkanach i żółtych rozpadlinach widać płynącą lawę. Rozumiem już, że te wulkany podtrzymują stały płaszcz chmur.

Idę przez strefę rzeźb, trochę dalej niż znajduje się pałac Meduzy. Wszystkie zdają się patrzeć na mnie z potępieniem. Rozpoznaję Camille Claudel i czuję, jak po moim ciele przebiega dreszcz przerażenia. To nie jest odpowiedni moment, żebym się przemienił w kamień.

Pokonuję las rzeźb, biegnąc w strugach deszczu. Wreszcie nieruchomy tłum pozostaje za mną.

Gorgona mnie nie zauważyła, widać ona też wolała pozostać w swoim suchym pałacu. Ta ulewa mnie chroni.

Docieram do stóp skalistej ściany, niemal pionowej, na którą wspinam się, pomagając sobie rękoma i nogami. Teraz nie mam zamiaru się wycofać. W każdym razie nie mam wyboru. Mokra skała wyślizguje mi się z rąk, moja przemoczona toga zdaje się ważyć tony, ale znajduję kolejne punkty oparcia i przesuвам się do przodu. Kilka razy osuwam się, wspinam się coraz wyżej i docieram na szeroką równinę pokrytą sosnowym lasem. Jestem wyczerpany, a deszcz pada ze zdwojoną siłą. Potem przechodzi w grad. Nie mogę iść dalej.

Znajduję pusty w środku świerk, którego otwór skierowany jest w stronę góry. Wciskam się pomiędzy korzenie. Chroniony przez to piękne drzewo, ścinam kilka paproci i robię z nich ochronną ściankę, którą zatykam wejście.

Przez paprocie obserwuję górę ciągle otoczoną koroną mgieł.

Drzę z zimna. Nie wiem, jak to wszystko mogłoby się ułożyć. Ale wiem jedno: nie chcę zrobić nawet kroku w tył.

93. ENCYKLOPEDIA: ZAKLINACZ KONI

Istnieje mało znany zawód: zaklinacz koni. Zaklinacze koni zatrudniani są przez stadniny, aby spróbować uspokajać konie, zwłaszcza konie wyścigowe z zaburzeniami psychicznymi. Tym, co często hamuje dobry rozwój konia, jest fakt pozbawienia go własnej ciekawości świata.

Najbardziej przeszkadzają mu klapki przy uprzęży, te małe skórzane kwadraciki, które zakłada mu się na oczy, aby nie patrzył na boki. Im

283

bardziej inteligentne jest zwierzę, tym gorzej znosi to, że nie pozwala mu się na odkrywanie świata we własny sposób.

Szepcząc mu do ucha, zaklinacz tworzy inny rodzaj relacji niż zwykła eksploatacja zwierzęcia. Jest tak, jakby koń postrzegał ten nowy świat komunikowania się z człowiekiem i od tej chwili umiał mu wybaczyć, że nie pozwala mu całkowicie odkrywać świata własnymi oczami.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

94. CHATA

Hałas gradu stopniowo ustaje. Pojawia się drugie słońce.

Przypominam sobie zdanie Edmonda Wellsa: „Nawet nieszczęście wreszcie męczy się dręczeniem tej samej osoby”. Postanawiam ruszyć w drogę.

Mimo wilgoci ziemia pozostaje twarda.

Idę lasem, który się przerzedza. Paprocie o liściach pokrytych kroplami wody pachną próchnicą, a kulki gradu skrzypią pod podeszwami.

Teren lekko się wznosi. Słońce przybiera czerwonawą barwę, aż zatapia purpurą matowe chmury na szczycie Olimpu.

Idę dalej i zaczynam odczuwać głód.

Myślę o Macie Hari. To ona uratowała mnie z rąk Gorgony. To ona dała mi chęć wzięcia losu we własne ręce. Była czymś więcej niż tylko wybawicielką, pomocą, była katalizatorem mojego wyzwolenia.

Afrodyta naprawdę uczyniła mi tyle zła, ile to było możliwe, aż do zniszczenia latającej maszyny. Jednak to dzięki temu, że zniszczyła balon, znalazłem odwagę, aby lecieć na Pegazie. Czasami ze zła pochodzi dobro.

Nie należy myśleć o tym kobiecym potworze.

Zdanie „To, co cię nie zabije, wzmocni cię” jest totalną głupotą. Pamiętam, że kiedy byłem lekarzem, pracowałem na Ziemi 1 w służbach ratowniczych wzywanych do poważnych wypadków na drogach. Bywało tak, że wypadki nie zabijały ludzi, ale też nie sprawiały, że stawali się silniejsi. Ilu z tych, którzy z tego wychodzili, pozostawało kalekami do końca życia? Są takie życiowe doświadczenia, z których człowiek nie potrafi się podźwignąć. Muszę napisać o tym w Encyklopedii.

Idę zdecydowanym krokiem.

Zbocze wznosi się i wokół pojawiają się skaliste ściany.

Wiem, że mój Wykształcony nie jest Chrystusem. Wziąłem z niego tylko kilka elementów. Zresztą mój umarł na palu, a nie na krzyżu. Spadkobierca Raoula nie jest świętym Pawłem. Raoul skopiował tylko inne elementy.

Port wielorybów to nie Kartagina.

Mój młody, odważny generał to nie Hannibal.

284

Reformatorski król to nie Echnaton.

Wyspa Spokoju to nie Atlantyda.

„To nie są wyłącznie reprodukcje" - powtarzam sobie. Albo też... - „Sądzimy, że dokonujemy wyboru, a tylko jedziemy wcześniej wytyczonym torem" - tłumaczył Georges Melies. Na pewno to tylko zbieg okoliczności i brak naszej wyobraźni. Cywilizacje, wszystkie cywilizacje na wszystkich planetach we wszechświecie mają logiczną prędkość postępu... my też znajdujemy się w tej prędkości. Trzy kroki w przód, dwa kroki w tył.

Szybciej iść nie można.

Jeśli pewnego dnia znowu zagram i odnajdę mój lud, spróbuję, żeby przeskoczył pewien etap historii... zwłaszcza jeśli chodzi o poziom rozwoju techniki. Chciałbym, aby na etapie odpowiadającym rokowi 1000 na Ziemi 1 wynalazł elektryczność, proch oraz silnik spalinowy z zapłonem iskrowym. Wyobrażam sobie średniowieczne samochody obłożone tarczami i włócznie na przedzie.

Światło w górze wysłała krótki błysk.

Pełen zapału idę coraz bardziej stromym zboczem. Nagle w oddali dostrzegam dym, który nie pochodzi z wulkanu. Spoza drzew wystaje komin. Dom? Przyspieszam kroku.

To kryta strzechą chata, położona tuż przy pionowej skale. Przypomina domki z bajek. Dach jest z grubej słomy. Ściany białe z widocznymi belkami. Przy oknach zawieszono skrzynki z doniczkami nagietków. Na fasadzie pnie się bluszcz i bzy.

Przed domem widzę ogród warzywny, w którym rosną pomarańczowe jarzyny, zdaje się dynie. Z komina rozchodzi się bardzo przyjemny zapach smażonej cebuli.

Jestem głodny.

Popycham drewniane drzwi, które nie są zamknięte. Wchodzę do dużej izby, gdzie pachnie pięknie zupą i woskowanym drewnem. Na środku stoi stół i krzesła. Zamiast podłogi jest klepisko. Na lewo, w dużym kominku tańczą płomienie, na których skwierczy kociołek z jedzeniem.

Z prawej rozlega się kobiecy głos:

- Wejdz, Michael, czekałam na ciebie.

95. ENCYKLOPEDIA: HERA Imię Hera oznacza opiekunkę.

Jest córką Kronosa i Rei i uważa się ją za boginię - opiekunkę kobiet na różnych etapach ich życia. Jest boginią małżeństwa, boginią macierzyństwa.

Początkowo czczono ją w pniu drzewa.

Mieszkała na Krecie, na górze Thornax (która dziś nazywa się Górą Kukulek), kiedy jej brat, Zeus, uwiódł ją, zamieniając się w mokrą kukulkę. Wzruszona Hera posadziła ptaka na swoich piersiach i ogrzała

czule. W zamian została zgwałcona. Ponieważ bardzo się tego wstydziła, poślubiła Zeusa. W podarunku ślubnym od Gai otrzymali jabłoń ze złotymi jabłkami. Ich noc poślubna trwała trzysta lat, a Hera regularnie odnawiała swoje dziewictwo, kąpiąc się w źródle Canathos. Zeus i Hera dali życie Hebe (bogini młodości), Aresowi (bogu wojny), Ejlejtji (bogini porodów) i Hefajstosowi (bogu kowali). Hera mściła się za poniżającą dla niej niewierność męża, prześladowając rywalki oraz ich potomstwo. Wśród jej ofiar znalazł się Herakles, na którego nasłała dwa węże, i nimfa Io, którą Zeus zamienił w krowę, aby ochronić ją przed zemstą Hery, ale i tak oszalała po ugryzieniu bąka, wysłanego przez zazdrosną małżonkę.

Pewnego dnia rozgniewana wybrykami Zeusa Hera postanowiła poprosić swoich synów, aby ukarali niestałego w uczuciach ojca. Podczas snu związali Zeusa skórzanymi rzemieniami, aby nie mógł uwodzić śmiertelnych kobiet na Ziemi. Lecz jedna z Nereid - Tetyda wysłała sturękiego, aby go uwolnił. Zeus ukarał Herę, wieszając ją na niebie na złotym łańcuchu, z kowadłem na każdej kostce. Uwolnił ją dopiero wtedy, kiedy obiecała, że mu będzie uległa.

Hera, widząc, że nie uda jej się przywołać małżonka do porządku, postanowiła postępować tak jak on. Miała wielu kochanków, w tym Por-firiona (który został porażony przez Zeusa piorunem), Ixiona, który połączył się z chmurą, sądząc, że to Hera (z tego pozornego związku narodziły się pierwsze centaury) oraz Hermesa.

Postać Hery została przedstawiona w mitologii rzymskiej jako Juno-na.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

96. ZAJĘCIA HERY

Głos należy do ogromnej kobiety, której nie zauważyłem. Stoi odwrócona plecami i kroci pory.

Odwraca się.

Jej długie rude faliste włosy są spięte srebrną nitką. Ma obfite piersi i dołeczki na policzkach. Jej skóra jest biała jak kość słoniowa.

- Mam na imię Hera - oznajmia. - Jestem boginią-matką.

Prosi, żebym usiadł i uśmiecha się tym rodzajem uśmiechu, którym wita się wracające ze szkoły dzieci.

- Kochasz, Michael?

Nie wiem, o co jej chodzi. W mojej głowie nakładają się na siebie dwa obrazy: Maty Hari oraz Afrodyty, po czym zlewają się w jedną całość, tworząc postać femme fatale jak Afrodyta i szlachetną jak Mata Hari.

- Tak, sądzę, że tak.

Hera patrzy na mnie, mało przekonana tą odpowiedzią.

286

- Sądzić, że się kocha, to już dobrze. Ale czy kochasz naprawdę, całą swoją duszą, całym swoim sercem, całą swoją inteligencją?

Pytanie zbija mnie z tropu.

- Tak mi się wydaje.

- Kochasz ją w tej chwili?

-Tak...

- To dobrze. Musisz darzyć ją zaufaniem, musisz zaangażować się w ten związek. Stworzyć domowe ognisko.

Hera zmienia wyraz twarzy. Bierze dynię i ogromny nóż, i zaczyna kroić ją na równe kawałki.

- Widziałam was, pana i Matę Hari. Powinniście teraz domagać się większej willi, dla was dwojga. Oficjalne pary mają do tego prawo.

Podchodzi do półki, zdejmuje stertę głębokich talerzy i stawia jeden przede mną. Dodaje do tego łyżkę, widelec, kieliszek i nóż.

Jestem głodny.

- Tak po prostu zrozumieć się we dwoje to może być bardzo interesująca utopia... Ale to nie takie proste.

Podchodzi do mnie i dotyka mojej twarzy.

- Wiesz, co jest „lepsze niż Bóg? Gorsze niż diabeł”?

To już było tak dawno. Zadane przez nią pytanie jest dla mnie inspiracją do innej odpowiedzi.

- Życie w związku?

- Nie - odpowiada. - To zbyt łatwe.

Wraca do przygotowywania obiadu i zaczyna obierać marchewkę, nie zajmując się mną więcej.

- Jest pani żoną Zeusa... prawda? Jego żoną i siostrą... - mówię, niejasno przypominając sobie to, co czytałem w Encyklopedii.

Jest skoncentrowana na marchewkach.

- Kiedy byłam małą, nie lubiłam zupy jarzynowej, a teraz uważam, że to danie „uspokajające”, rodzinne...

- Dlaczego mieszka tu pani sama?

- Ta chata to moje miejsce odpoczynku. Wie pan, małżeństwo to trochę taki system kochanków, którzy przyciągają się i odpychają.

Na jej twarzy pojawia się uśmiech rozczarowania.

- Sądzę, że lubisz powiedzenia. Znany ziemski aforyzm mówi: „Małżeństwo to trzy miesiące miłości, dwa lata kłótni, trzydzieści lat wzajemnego znoszenia się”. Ja jeszcze mogłabym dodać: trzysta lat jeszcze większych kłótni i trzy tysiące lat prawdziwej rezygnacji.

- Od trzech tysięcy lat jesteście z Zeusem małżeństwem?

-W tym stadium małżeństwo jest do zniesienia, jeśli stosuje się „oddzielne łoże”, „oddzielną sypialnię”, a w naszym przypadku również „oddzielny dom”, a nawet „oddzielne terytorium”.

Wydaje się zrezygnowana.

- W każdym razie kto by wytrzymał z facetem, który uważa się za władcę wszechświata?

Hera zmienia temat.

- Teraz obiecał mi, że nie będzie już sypiał ze śmiertelnymi kobietami... Przecież to niesłychane, żeby być na takim poziomie świadomości

287

i uganiać się za dziewczynami jak... śmiertelny nastolatek z trądzikiem! Macie na Ziemi 1 takie powiedzenie „demon południa”, określicie tak pięćdziesięcioletniego mężczyznę, czyli będącego w połowie życia, który nagle ma ochotę spotykać się z dziewczynami, które mogłyby być jego córkami. A z Zeusa jest raczej „demon północy”. W wieku 3000 lat nadal chce podobać się siedemnastoletnim dziewczynom...

Hera pociera gwałtownie jedną marchewką o drugą, jakby je chciała obdrzeć ze skórki.

- Kuchnia. Zupa... Ciepło domowego ogniska, to jest to, co łączy podzielone elementy. Kiedy poczuje zapach zupy, pomyśli o mnie. Uwielbiał to. Dynia i marchewka, to naprawdę ładnie pachnie. Porozumiewam się z moim mężczyzną za pomocą zapachów... Jak owady poprzez swoje feromony...

Bierze małą torebkę wypełnioną liśćmi laurowymi oraz goździkami, wyjmuje kilka i kładzie obok.

- Sukces w małżeństwie... Sądzę, że twój przyjaciel Edmond Wells streścił to w działaniu: $1 + 1 = 3$. Suma talentów przekracza liczbę wynikającą ze zwykłego dodawania.

Patrzy na mnie życzliwie.

- Ty i ja, oboje jesteśmy już tu i teraz związani małżeństwem. I cokolwiek byśmy powiedzieli lub czegokolwiek byśmy nie powiedzieli, cokolwiek zrobimy lub nie zrobimy, wszystko spowoduje powstanie elementu, który nie będzie ani jednym, ani drugim. Interferencja.

Myje marchewki w misce z zimną wodą.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Chcę wiedzieć. Po śmiertelnikach, aniołach, bogach-uczniach, bo-gach-mistrzach, co jest nad nimi?

- Najpierw musisz zrozumieć siłę liczby 3. Są u nas trzy księżycy. Jeśli się o tym wie, to pomaga.

Wybiera z kosza cebule i zaczyna je siekać na drobne kawałki.

- Wy, mężczyźni, myślicie zawsze w systemie binarnym. Dobro kontra zło. Biały kontra czarny. Ale świat to nie liczba 2, tylko 3.

Wyciera ręce w fartuch, ociera łzę wyciśniętą przez cebulę.

- Ciągłe ta sama historia - mówi, pociągając nosem. - Wielka historia. Jedyna historia. Ta „Z tobą”, „Przeciw tobie”, „Bez ciebie”.

Otwiera szeroko oczy.

- Tę ideę znaleźć można już podczas stworzenia wszechświata. Na początku była tylko zupa składająca się z pomieszanych i nieuporządkowanych cząsteczek. Wszystkie żyły w „Bez ciebie”. A następnie niektóre dotknęły się i zniszczyły, co dało sytuację „Przeciw tobie”. A inne weszły w reakcję, grupując się i tworząc atomy. To była siła „Z tobą”. I to wszystko rozgrzało się w chwili wielkiego wybuchu.

Pochyla się nad ogniem, bierze miech i podsyca ogień tak, że rozpalone węgle z czerwonych stają się żółte.

- Z materii może powstać Życie. Najpierw roślinne. DNA.

Bierze zioła, a ja rozpoznaję po zapachu szalwię, cząber, rozmaryn i tymianek. Potem wrzuca naraz do kociołka wszystkie warzywa, dynię, posiekaną cebulę, pory, marchew.

288

- Zwierzę, DNA.

Rozbija jajko, rozprowadza żółtko na powierzchni zupy. Początkowo żółtko unosi się przez chwilę, po czym tonie jak stopiona góra lodowa.

- A następnie człowiek, DNA.

Posypuje pieprzem.

- A następnie bóg, tu, w Edenie, DNA.

Wrzuca do zupy drobne grzanki. Potem idzie po księgę, która musi mieć z metr wysokości i sześćdziesiąt centymetrów szerokości. Na okładce jest napisane: ZIEMIA 18.

- Co to jest?

-Album „rodzinny”. Żeby nie zapomnieć ukochanych twarzy z przeszłości.

Jestem głodny, ale pozwalam jej kontynuować lekcję.

Otwiera księgę i pojawiają się fotografie przedstawiające pierwszych jaskiniowców. Wydaje mi się, że rozpoznaję ludzi-żółwi Beatrice. Tej, która jako pierwsza popchnęła swoich śmiertelników do schronienia się w grocie.

- Człowiek, małżeństwo, rodzina, potem wioska, miasto, królestwo, naród, cesarstwo. Za każdym razem są to tylko skupiska trzech rodzajów energii.

Przewraca kartki i widzę ponownie ludzi-szczury wypowiadających swoje pierwsze wojny i odkrywających zasadę terroru jako sposobu więzi społecznej. Na zdjęciach walczą. Ludzie-mrówki Edmonda Wellsa utrwaleni są w ich codziennych gestach. Ludzie-osy, dumne Amazonki, ludzie-skarabeusze, ludzie-lwy: wszyscy po kolei paradują na stronach tej księgi.

Hera zostawia na chwilę wielkie dzieło i za pomocą ogromnej drewnianej łyżki miesza zawartość kociołka, która nabiera jasnopomarańcowego koloru. W całym domu rozchodzi się słodkawy zapach.

Wracam do lektury. Odnajduję mój lud na statku ostatniej szansy, uciekający przed atakiem ludzi-szczurów. Odnajduję moją Wyspę Spokoju, odnajduję moje uniwersytety u ludzi-skarabeuszy, zdjęcia przedstawiające moje przymierze z ludźmi-wielorybami. Odnajduję mojego generała, Wyzwolicieła, jak przekracza góry ze swoimi słoniami i daruje życie ludziom-orłom. I mojego Wykształconego, jak głosi swoje słowa coraz liczniejszym tłumom, a potem wbitego na pal.

- Przyglądam się twoim przygodom i przygodom twojego ludu. My, bogowie, wszyscy pasjonujemy się obserwowaniem cywilizacji uczniów. Nie będę ukrywać, że na twój temat nie jesteśmy zgodni. Kilku bogów--mistrzów jest z tobą, a wielu przeciw tobie, jednak... (uśmiecha się). W każdym razie nikt nie pozostaje wobec ciebie obojętny. A właściwie wszyscy uważają, że jesteś bardzo... (szuka odpowiedniego słowa, potem, nie znalazłszy nic innego, mówi:) zabawny.

I takie moje szczęście. Okazuje się, że jestem zabawnym bogiem.

- To nasz główny problem tutaj: rozrywka. Jak mawiał jeden z waszych filozofów dwudziestego pierwszego wieku, niejaki Woody Allen: „Nieśmiertelność się dłuży, zwłaszcza pod koniec”.

Zdejmuje opadający jej na usta rudy kosmyk.

289

- Przez pierwsze wieki przeżywa się jeszcze rozkwit naszego ziemskiego życia. Wykorzystuje czas na lektury, słuchanie muzyki, na zabawy, na miłość. A potem wszystko staje się takie konwencjonalne, powtarzające się. Po pewnym czasie ledwie przeczyta się jedną stronę książki, a już się można domyślić zakończenia. Po usłyszeniu jednego akordu można zaśpiewać cały kawałek. Zaraz po pierwszym pocałunku ma się przed oczyma scenę rozstania. Żadnych niespodzianek. Wszystko jest jedną wielką powtórką.

Słucham jej, ale nie mogę spuścić wzroku z mojego nabitego na pal Wykształconego. Zaraz obok jest zdjęcie człowieka zamazującego symbol ryby, prawdopodobnie po to, aby go zastąpić symbolem przedstawiającym nabitego na pal człowieka.

Jednym ruchem Hera zamyka księgę ZIEMI 18.

- Nigdy nie miałeś wrażenia, że przeżywasz déjà vu? Na przykład widząc historię twojej ziemi w stosunku do Ziemi 1.

Wstaje i idzie po inną księgę, też ogromną, bardzo podobną do poprzedniej, chociaż wydaje mi się, że jest bardziej pokryta patyną. Pięknymi, ozdobnymi literami napisano na niej: ZIEMIA 1. Hera przewraca pierwsze strony, następnie otwiera serię zdjęć przedstawiających domy pomalowane na pstre kolory. Kobiety ze skomplikowanymi fryzurami i odsłoniętymi piersiami. Wydaje mi się, że rozpoznaję w nich Kreteń-czyków z okresu poprzedzającego grecką inwazję.

Hera wraca do swojej zupy, zanurza wielką łyżkę, następnie smakuje. Widząc, że też mam ochotę, podaje mi pełną chochlę.

- Nie za słona? - pyta.

Smakuje nadzwyczajnie. Może dlatego, że jestem wygłodniały uważam, że zupa jest smakowitym połączeniem wywaru z jarzyn i przypraw. Pierwszy podstawowy smak, smak dyni ustępuje po chwili miejsca porom i cebuli. Prawdziwe święto dla kubków smakowych, którego zwieńczeniem jest aromat tymianku, listka laurowego, szaławii oraz pieprzu. Mój nos chwyta je łapczywie.

- Wosublimowany smak.

Podaję talerz.

- Za chwilę, musi jeszcze trochę pogotować się na wolnym ogniu.

Ponownie otwiera księgę Ziemi 1.

- U was, na Ziemi 1, była już siła D. Jej słudzy idą do przodu, zabijają, grabią, nawracają siłą. Dominują. Również siła A miała swoich obrońców. Oni dokonują odkryć, budują porty, faktorie handlowe, wytyczają szlaki karawan, szlaki kupieckie. Łączą.

-A siła N?

- To są ci, którzy nie mają zdania. Chcą mieć spokój. Obawiają się przemocy, chcieliby zdobyć wiedzę, lecz strach przed przemocą jest silniejszy. Żatem najczęściej wolą ulec wyznawcom siły D. To logiczne.

Pokazuje mi zdjęcie greckiej świątyni.

- A jednak każdy dostał swoją szansę. Ty dobrze wybrałaś swoje zwierzę-totem. Czy wiedziałaś o tym, że Pytia delficka porozumiewała się, wydając z siebie wysokie okrzyki, które naśladowały głos delfinów? Tak naprawdę początkowo w sadzawce znajdował się prawdziwy delfin.

290

Jak u moich delfińczyków.

- Tak samo oko Horusa jest przedstawieniem profilu delfina, zresztą oko ludzkie też ma taki kształt. Delfin był także symbolem pierwszych chrześcijan, dopiero potem sprowadzonym do symbolu ryby. Jednak wcześniej delfin był symbolem Hebrajczyków. Był symbolem walki z niewolnictwem, którym pozostał do epoki nowożytnej w ruchu wyzwolenia człowieka spod władzy wszelkich dyktatur.

Delfin, Delphinus, Delfos... Dobry Boże, apogeum antydelfińskie to okres A-Dolfos. Adolf Hitler. Anty-Delfin.

Hera pokazuje mi w albumie zdjęcie, na którym widać obóz koncentracyjny i wychudłe istoty patrzące w obiektyw spoza drutów kolczastych.

Hera recytuje z pamięci:

- Podczas drugiej wojny światowej jeden z protestanckich pastorów powiedział w ten sposób:

„Kiedy przyszli aresztować żydów, nie byłem żydem, więc nic nie powiedziałem.

Kiedy przyszli aresztować wolnomularzy, nie byłem wolnomularzem, więc nic nie powiedziałem.

Kiedy przyszli aresztować demokratów, nie zajmowałem się polityką, więc nic nie powiedziałem.

Teraz są na dole, przyszli aresztować mnie i teraz widzę, że jest za późno".

Zmęczonym ruchem odgarnia kolejny kosmyk mokry od potu lub wydobywającej się z garnka z zupą pary.

- Dlaczego nie widzą nadchodzących problemów?
- Ponieważ wierzą w to, co im się mówi, nie zastanawiając się.
- Nie tylko - mówi Hera. - Odpowiada im także wierzenie w to, co im się mówi, ponieważ się boją. Nie należy lekceważyć strachu. Ludziom niełatwo dokonać wyboru czy podziękować komuś, kto im pomógł, czy być posłusznym temu, kto im zagraża. Przypomnij sobie, komu w szkole łatwiej oddawałeś drugie śniadania? Tym, którzy pozwalali od siebie ściągać na klasówce, czy też tym, którzy grozili ci nożem? Każdy chce natychmiast mieć spokój.
- A zatem tylko to?
- Nie. Są też inne rzeczy, jeszcze dziwniejsze, których nawet ja sama nie potrafię wytłumaczyć. Goebbels, minister do spraw propagandy Hitlera mawiał coś takiego: „Kiedy napada się jakiś kraj, automatycznie pojawia się grupa ruchu oporu, grupa kolaborantów oraz duża rzesza tych, którzy się wahają. Aby kraj zniósł to, że jest ograbiany ze swoich wszystkich bogactw, należy przekonać rzeszę wahających się, aby kierowała się w stronę kolaborantów, a nie dołączyła czasami do tych z ruchu oporu. W tym celu stosuje się prostą technikę. Wystarczy znaleźć kozła ofiarnego i powiedzieć, że to, co się stało, jest jego winą. To zawsze działa”.

Zdejmuje kociołek z ognia i wreszcie podaje mi pełen talerz zupy. Zjadam wiele łyżek. Podaje mi chleb, gryzę go łapczywie. Jest ciepły, słony i słodki zarazem, miękki i rozpuszcza się na podniebieniu. Zjadam szybko chleb i Hera podaje mi drugi kawałek. Jem, popijając zupą.

291

- Rozkoszuj się smakiem. Chcę, żebyś był silny i mógł bronić wartości siły A. One są kruche, nieustannie atakowane, za każdym razem pod innym kątem. Należy ich bronić. Twoje działanie tutaj jest o wiele ważniejsze niż sądzisz.

Znowu ten ciężar obowiązku, coś, czego tak bardzo nienawidzę. Chyba wołałbym o wszystkim zapomnieć. I niech sobie radzą beze mnie.

- W każdym razie nie mogę zejść na dół i grać dalej...

Hera mówi dalej, jakby nie słyszała mojej uwagi:

-Możesz pokazać, że nie istnieje historyczne następstwo, które mogą wykorzystać tylko zwolennicy Dominacji.

Włącza telewizor, używając jako pilota swojego ankh. Poznają wiadomości z Ziemi 1.

Wyłączyła dźwięk, ale pojawiają się kolejne obrazy przedstawiające ludzi zbierających porozrywane ciała kobiet, dzieci, mężczyzn po samobójczym zamachu w autobusie. Wszędzie krew i fragmenty ciał.

Gdzie indziej tłum skanduje hasła, podnosząc wysoko pięści i umoczone w czerwonej farbie siekiery. Manifestujący pokazują portret kamikaze.

- Długo się zastanawiałam, dlaczego ludzie zachowują się w taki sposób. Dlaczego tworzą piękno, obrazy, filmy, muzykę, a potem robią swoim dzieciom pranie mózgu, aby być pewnym, że przekazali im wolę zabijania i walki, w której byłoby jak najwięcej zabitych. Poza tym, dlaczego narody znajdują tyle sposobów na wytłumaczenie tego zjawiska? O ile nie zarzucały ofiarom, że to one są odpowiedzialne za akty dokonane przez ich katów.

Nadal oglądam telewizję, w której pokazują właśnie obrady ONZ.

- Nie potrafię na to odpowiedzieć - mówię. - Chyba że to właśnie strach, o którym wspominała pani przed chwilą.

- Strach przed śmiercią? Nie, dusze wiedzą, że przejdą reinkarnację. A zatem nie boją się śmierci. To jest bardziej skomplikowane. Pomyśl.

- Nie wiem.

- Długo się nad tym zastanawiałam i wydaje mi się, że znalazłam początek wyjaśnienia. Boją się, że nie zdołają wypełnić swojej misji. A więc przeszkadzają innym w realizacji ich misji. W ten sposób odnoszą wrażenie, że nie są jedynymi, którym się nie udało.

Nigdy o tym nie myślałem.

- Właśnie są w trakcie psucia wszystkiego. Ludzie na Ziemi 1 żyją obecnie na przełomie dwóch epok. Istnieje ryzyko, że zamiast „trzech kroków w przód” będą robić trzy kroki w tył. Już zaczęli się zatrzymywać, niebawem zaczną się cofać. Nasze detektory świadomości są pewne, że ogólny poziom ludzkości przestał wzrastać, ustabilizował się, a w wielu punktach planety zaczyna się zmniejszać. Ludzie powracają do czasów barbarzyństwa, rządów małych przywódców, odrzucenia wartości takich jak poszanowanie ludzkiego życia, solidarność, otwarcie. W cieniu zaczynają pojawiać się mali tyrani. Mają nowy wygląd. Wykorzystują paradoksy. Są rasistami w imię antyrasizmu, uprawiają przemoc, głosząc ideę pokoju na świecie, zabijają w imię miłości do Boga. Są prości, zjednoczeni i solidarni, natomiast siły związane z ruchami wolnościowymi są złożone, podzielone

292

i kruche. Mogą wygrać. Tak więc barbarzyństwo to przyszłość ludzkości. Jak to już widziałeś na Ziemi 17. Wszystko może tak łatwo zgnieć.

Widzę obrazy Ziemi 17 w roku 2222. Świat Mad Maxa, w którym każdy walczy o przeżycie na terytoriach będących w rękach szefów band. Nie ma sprawiedliwości, nie ma policji, nie ma nauki, nie ma rolnictwa, jedyną relacją międzyludzką jest przemoc. Ludzkie bandy zachowują się jak zwierzęta niepewne tego, czy uda im się przeżyć.

- Dlaczego nie reagujecie? Skoro za pomocą waszych ankh możecie zobaczyć wszystkich ludzi, to znaczy, że możecie także na nich wpłynąć, tak jak ja na moich klientów.

- Pamiętaj dowcip twojego przyjaciela Freddy'ego? Wiesz, o tym facecie w ruchomych piaskach, który odrzuca pomoc strażaków, mówiąc: „Nie boję się, Pan Bóg mnie uratuje”?

Hera parska śmiechem. Potem już śmieje się do rozpuku, powtarzając:

- „Pan Bóg mnie uratuje”.

Uśmiecha się.

- Dlaczego nie reagujemy? Ależ drogi Michaelu Pinsonie, my ciągle interweniujemy. A Mojżesz, Jezus, lądowanie w Normandii, które powiodło się mimo silnego wiatru, a...

- A te bezsensowne zamachy?

- Udało nam się udaremnić setki z nich. Przecież widać tylko te, które doszły do skutku, a nie wszystkie inne, w których bomba wybuchła na głowach tych, którzy ją przygotowywali albo kiedy kamikaze nie mógł wejść do supermarketu, na dancing lub do przedszkola. Uwierz mi, gdybyśmy siedzieli z założonymi rękoma, byłoby jeszcze gorzej. Nigdy nie słyszałeś o elektrowni atomowej, którą Francuzi podarowali Irakowi w latach osiemdziesiątych? Osirak. Irak jest producentem ropy naftowej, więc nie potrzebował energii nuklearnej. Gdyby elektrownia Osirak nie została zniszczona, zapewniam cię, że trzecia wojna światowa na Ziemi 1 stałaby się faktem.

Nagle zdaję sobie sprawę z mojej niewdzięczności. To oczywiste, że tysiąc razy zapobiegli temu, co najgorsze. To oczywiste, że świat okryłby się hańbą. Hitler mógłby zwyciężyć.

Ponownie napełnia mój talerz.

- Niemniej nie możemy pogwałcić pierwszej reguły: tej, która dotyczy wolnej woli. Człowiek będzie cenił sukces tylko wtedy, jeśli to on zadecyduje o dokonaniu właściwego wyboru.

- Nie możecie pomóc w tym bardziej?

- A co możemy zrobić? Przyprowadzić proroka, który powie: „Od tej chwili nie igramy z Miłością. Kochajcie się nawzajem... albo dostaniecie po gębie”?

Jem mechanicznie. Moja łyżka zanurza się w kremowej, pomarańczowej zupie.

- Poza tym my, bogowie, mamy niepisaną zasadę. Jak najmniej cudów i proroków. Śmiertelnicy sami mają szukać i rozumieć. To jest klucz do ewolucji ludzkości.

Biorę pilota z rąk bogini.

- Czy mogę zobaczyć coś bardziej... „osobistego”?

Często uznaje się, że nie ma innej możliwości, jak tylko politeizm (wiara w wielu bogów) oraz monoteizm (wiara w jednego boga). Jest jednak możliwe trzecie, dużo mniej znane ujęcie teologiczne: henoteizm. Henoteizm nie zaprzecza istnieniu wielu bogów, ale proponuje ludziom przywiązanie się tylko do jednego z nich. W ujęciu henoteistycznym nie twierdzi się, że ów „jeden bóg” jest najwyższy lub lepszy niż pozostali. Istnieje tylko idea, że ten bóg wybrany został przez swoich wyznawców spośród wszystkich innych istniejących bogów. W sposób pośredni henoteizm zakłada, że każdy lud wybiera swojego boga spośród panteonu bogów, a zatem, że każdy lud może mieć innego boga i żaden z nich nie będzie dominował nad pozostałymi.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

98. ŚMIERTELNICY: 24 LATA

Eun Bi rozstała się z firmą zajmującą się produkcją filmów rysunkowych i pracuje teraz w japońskiej filii koreańskiej firmy swojego przyjaciela Korean Foxa - „Piąty Świat”. O dziwo, nadal nie spotkała się z nim i porozumiewają się tylko za pomocą komputerów.

Eun Bi ma 24 lata i ciągle jest dziewicą.

Setny raz pisze i poprawia swoją powieść o delfinach. W końcu zostawia pisanie i wraca do swojej pierwszej sztuki: rysunku. Kiedy nie jest zajęta tworzeniem scenografii do Piątego Świata, maluje w domu wielkie obrazy.

- Co to jest Piąty Świat? - pyta Hera.

- Wynalazek śmiertelników - mówię z rozbawieniem. - Pierwszy świat: świat realny. Drugi świat: świat marzeń. Trzeci świat: świat powieści. Czwarty świat: świat filmów. Piąty świat: świat wirtualny.

Hera jest zainteresowana.

- A jej powieść o delfinach?

- Nigdy jej nie skończy - mówię. - To bezowocna praca, im więcej pracuje, tym mniej z tego wychodzi. Powieści były jej głównym środkiem wyrazu w poprzednim życiu, kiedy była Jacques'em Nemrodem, zresztą jego dusza napisała sagę o życiu szczurów, ale teraz to już nie jest jej ulubiony środek wyrazu. Pisanie zastąpiło malarstwo.

Przerzucam kanał.

Theotime otworzył klub sportowy dla turystów. Zrobił w nim salę relaksu, w której pomiędzy dwiema sesjami ćwiczeń na siłowni stara się rozwinąć trochę autohipnozę. Ćwiczenie bardzo podoba się gościom. Theotime przeżywa jednocześnie swój wielki czas niepoprawnego podrywacza. Praktycznie co tydzień zmienia partnerkę. Ale jedna z nich

odkrywa jego skłonność do tańca nowoczesnego, o której nie wiedział. To coś, czego szukał w boksie, potem w jodze, a ostatecznie znalazł w tym nowym sposobie ekspresji ciała.

Z kolei Kouassi Kouassi zamieszkał z młodą paryżanką, której kiedyś pomógł. Szok kulturowy nie jest rzeczą łatwą. Rodzinie dziewczyny ciężko jest zaakceptować młodego mężczyznę, ale na razie ich związek się trzyma, a przeciwności losu umacniają go.

W piątki wieczorem Kouassi Kouassi ma zwyczaj grać na perkusji w zespole jazzowym, do którego wprowadził go przyjaciel. Jazz stanowi dla niego prawdziwe odkrycie. Kiedy kończy się jego dzień na uczelni, idzie do sklepów z płytami, aby posłuchać tej złożonej muzyki.

Hera wygląda na mało zainteresowaną.

- Chciałbym z nimi porozmawiać. - mówię.

Hera patrzy na mnie, po czym wybucha śmiechem.

- Ze śmiertelnikami z Ziemi?! I co byś im powiedział?

- Ze bóg nad nimi czuwa i im pomaga oraz że ten bóg to ja. Kurczę, nawet będąc bogiem, tak naprawdę nie wierzę w siebie. Ta myśl mnie przeraża. „Nawet będąc bogiem, nie wierzę w samego siebie”. Zaraz po niej przychodzi następna myśl: chciałbym im powiedzieć: „A wy, gdybyście byli bogami, to co byście zrobili?”. To prawda, ciekawe, co by zrobili, gdyby nagle znaleźli się z drugiej strony lustra, a wszyscy kierowaliby do nich jako do wyższego wymiaru swoje żądania, modlitwy i żale?

„Ponieważ uważacie się za takich sprytnych, co w takim razie zrobilibyście, gdybyście byli bogami?” Oto pytanie, które chciałbym zadać śmiertelnikowi, bardziej zadać pytanie niż uzyskać odpowiedź. I jednocześnie chciałbym powiedzieć: „Sądźcie, że to jest łatwe?”. Ponieważ zajmowałem się ludem, który ma już, według skali czasu, ponad 5000 lat, mogę zatem powiedzieć, że to bardzo męczące.

Prawdziwym pytaniem, które sobie zadaje bóg, jest: „Jak stworzyć lud, który nie zniknie zbyt szybko i nie popadnie w niepamięć historii?”. To jest prawdziwie boskie pytanie.

Hera cały czas spogląda na mnie rozbawionym wzrokiem.

- Na początek powiedziałbym im, żeby przestali się bać. Oni żyją w nieustannym strachu. To dlatego tak łatwo nimi manipulować.

Przypomina mi się zdanie Edmonda Wellsa: „Starają się zmniejszyć swoje nieszczęście, zamiast budować szczęście”.

- Czy sądzisz, że jeśli z nimi porozmawiasz, to posłuchają cię?

-Tak.

- Gdybyś spotkał na ulicy Eun Bi, to co byś jej powiedział? „Dzień dobry, nazywam się Michael Pinson i jestem bogiem”? Twoja śmiertelna Eun Bi nawet nie jest wierząca.

- Weźmie mnie za zwariowanego megalomana.
- Może nie... wygląda na osobę, która lubi piękne opowieści. Wysłucha cię i pomyśli: „No, no, oryginalna historia”.

To prawda, że ma tę przewagę, iż nie musi niczego oceniać... wysłucha mojej historii, nie uwierzy w nią, ale może będzie miała ochotę ją opisać.

295

W każdym razie Jacques Nemrod, jej poprzednie wcielenie, tak by postąpił, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Ta myśl mnie rozbawia. Gdyby jej powiedzieć prawdę, stwierdziłaby po prostu, że to tylko historia, pomysł na napisanie powieści...

- Możesz ich natchnąć, ale nie wolno ci wyjawić im prawdy... Zresztą, czy oni sami wierzą w to, co tworzą? Kouassi Kouassi gra na perkusji, ale czy wierzy w swoją muzykę? Eun Bi pisze i maluje na płótnie, ale czy wierzy w swoje obrazy? Theotime ćwiczy taniec nowoczesny, ale czy wierzy w swoją sztukę? Nie, oni tworzą sztukę, bo to ich „bawi”... w znaczeniu „używaj duszy”. Nie zdają sobie sprawy ze swojej stwórczej mocy. I tak jest prawdopodobnie lepiej. Czy wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby dowiedzieli się, czym naprawdę jest Ziemia 1?

- No właśnie, czym?

- Prototypem... Pierwszym doświadczeniem stanowiącym wzorzec dla tworzenia przyszłych ludzkości. Jak to się mówi w telewizji: zwiastun serialu. A mówiąc dokładniej, dziewicze miejsce, w którym można oddać się wszelkim doświadczeniom, ponieważ nic jeszcze nie zostało zdecydowane.

Oglądam telewizję. Jeżeli Hera może oglądać Ziemię 1 i jej króliczki doświadczalne, to może też obserwować Olimpię i jej wszystkich mieszkańców. Pstrykam pilotem i widzę plany miasta błogosławionych wyglądające tak, jakby ustawiono w nim setki kamer monitorujących. Mogę nawet zajrzeć do wnętrza domów. Mogę zobaczyć rzekę. Mogę zobaczyć, jak Gorgona siedzi w domu i czesze wężę swoich włosów.

- Wiedziała pani, że przyjdę, prawda?

Nie odpowiada.

Kończę zupę i odchylam talerz, żeby zebrać ostatnie krople. Wtedy Hera bierze z koszyka jajko na twardo, kroi je na pół i podaje mi na małym talerzyku z odrobiną majonezu.

- Należy ukryć i zapomnieć pierwotną zbrodnię - mówi.
- Kain i Abel?

- Nie, to wersja dla tłumów. Zresztą, trzeba się temu lepiej przyjrzeć... Zbrodnia Kaina. Nie, mówię o pierwszej zbrodni. O wiele mniej znanej. Pierwotnej zbrodni ukrytej. Matce, która zjadła swoje pierwsze dzieci. Być może Edmond Wells opowiadał ci o tym... na początku, u mrówek, samotna i wygłodniała królowa składa liche jajeczka...

Hera zamyka księgę Ziemi 1 i odstawia ją na dużą półkę. Podaje mi jeszcze jajka.

- Królowa-stwórczyni jest w potrzasku. Nie może się poruszyć... a więc, aby móc przeżyć, zjada to, co znajduje się w jej pobliżu, czyli pierwsze ułomne dzieci.

Nie śmiem rozumieć.

- I dzięki energii pochodzącej z tego aktu kanibalizmu może składać jajeczka bogatsze w proteiny. Dzieci coraz mniej ułomne.

W głosie Hery słysząc cień smutku, jakby ten dramat był koniecznością.

- A oto inna strona mitu o boginiach-matkach. Musiały pożerać swoje pierwsze dzieci, aby nie płodzić nieudanych światów. To jedna

296

z pierwszych mitologii. Nie zapominaj, że nawet na Ziemi 18 przed delfinami istniał kult mrówek. Twój przyjaciel Edmond Wells wiedział o tym. Tak jak wiedzieli szamani z jego ludu. Piramida, znaczenie przemiany, królowa umiejąca porozumiewać się telepatycznie, mumifikacja, kult Słońca, to wszystko są informacje pochodzące od mrówek, nie od delfinów... I to mrówki noszą tę straszną tajemnicę, zapisaną w ich genezie. Wszystko zaczęło się od zbrodni. Najgorszej zbrodni. Matki, która zjadła swoje własne dzieci.

Pamiętam, że Edmond Wells nawiązywał do jakiejś kosmogonii, która

0 tym wspominała. Mówił: „Marzyłem o tym, że Stwórca stworzył brud-nopis wszechświata, taką beta-wersję wszechświata, który zamierzał zbudować. Przetestował to pierwsze dzieło. W ten sposób mógł zobaczyć wszystkie niedociągnięcia swojego prototypu. Następnie zbudował Stwórcę wszechświat-brata, tym razem doskonale skończony. Wtedy Stwórca powiedział: „Teraz można wymazać brudnopsis”. Ale świadomość młodszego świata poprosiła, żeby zachować starszego brata-brud-nopsis. Wtedy Stwórca postanowił, że już się nim nie będzie zajmował.

1 nieudany starszy wszechświat zaczął podlegać udanemu młodszemu wszechświatowi. Odtąd udany wszechświat stara się naprawić nieudany. Aby go ratować, wysyła od czasu do czasu oświecone dusze, które opóźniają gnicie starszego świata. Stwórca nie zajmuje się już bezpośrednio brudnopsisem, tylko brat wszechświat trzyma go na rękach”.

Opowiedział mi tę historię Edmond Wells, kiedy jeszcze był moim mi-strzem-instruktorem w Imperium Aniołów. Nie wiedziałem, czy przeczytał gdzieś o tym, czy sam wymyślił. Nie podobała mi się ta idea. Zwłaszcza, kiedy podsumował: „My znajdujemy się w nieudanym świecie”.

Teraz, po tym, co usłyszałem od Hery, ta historia nabiera całkiem innego wymiaru. Udanego dziecko próbowało uratować swoich ułomnych starszych braci i ustrzec ich przed wolą matki, która chce wyczyścić brudnopis.

Kiedy byłem śmiertelnikiem, jedna z przyjaciółek opowiadała mi, że ma niepełnosprawnego brata. Uszkodzono mu mózg podczas porodu. Za mocno zaciśnięto na jego czaszce kleszcze. Sądzone, że umrze po kilku tygodniach, ale przeżył. Pozostał opóźniony w rozwoju. Rodzina nie mogła zdecydować się na oddanie go do zakładu, więc wszyscy żyli jego rytmem. I tak moja przyjaciółka przekształciła się w pielęgniarkę, spędzając czas na karmieniu go, przebieraniu, wychodzeniu na spacer, wykonywaniu tych wszystkich podstawowych czynności, których nie był w stanie zrobić sam.

Głos Hery przywołuje mnie do rzeczywistości:

- Pierwotny kult na Ziemi 1 to kult owada. Czczono pszczoły, ponieważ te społeczne owady żyły tam już sto milionów lat przed pojawieniem się człowieka.
- I punktem wyjściowym tej kultury jest zbrodnia matki.

Siada naprzeciw mnie.

- To dawna tajemnica. Ale są tajemnice ukryte za tajemnicami. Spójrz na twój świat. Za palem kryje się ryba. Za rybą: delfin. Za delfinem: mrówka.

297

- Za mrówką: Aeden. I za Aedenem...
- Wszechświat. Nikt nie zna prawdziwej kosmogonii wszechświata - oznajmia wreszcie Hera. - Nikt w kosmosie nie wie, dlaczego istniejemy i dlaczego świat jest właśnie taki. Nawet nie wiemy, dlaczego istnieje życie, a nie nic.

Patrzę przez zachodnie okno. I znowu widzę majestatyczną górę z jej zatopionym w chmurach szczytem. Słońce, umieszczone dokładnie z tyłu, dodaje skale blasku. Wiatr przegania chmury w moim kierunku, tak jakby tam w górze ktoś dmuchał w tę stronę.

Oddech bogów.

- Chcę nadal wspinać się na górę...

Hera robi zmartwioną minę.

- Jaka jest twoja głęboka motywacja?
- Nie wiem. Może ciekawość.
- No, no, podobasz mi się, Michaelu Pinsonie. Ale jeśli chcesz tam wejść, musisz po prostu zwyciężyć w grze Y. Wtedy twoje wniebowstąpienie odbędzie się automatycznie. Zejdź z powrotem do Olimpii. Załatwię wszystko, żebyś mógł wrócić do gry.

- Chcę dalej się wspinać. Nie pokonałem tej całej drogi po nic.
- Przypomnij sobie mit o Ikarze. Ryzykujesz, że spłoną ci skrzydła, jeśli wzniesiesz się do słońca.

Mówiąc to, bierze zapaloną świecę, chwyta moją dłoń i przyciąga do ognia. Zaciskam zęby, starając się wytrzymać jak najdłużej, lecz ból jest silniejszy, krzyczę i cofam rękę.

- Oto doświadczenie dla ciała. I co, nadal chcesz iść do góry?

Wykrzywiam twarz i dmucham na palce.

- Może to los mojej duszy. Łososie płyną w górę rzeki, w stronę miejsca, gdzie przyszły na świat, aby zrozumieć, dlaczego się narodziły...
- Ale lecą do światła, które je zabije.
- Jednak przynajmniej wiedzą.

Zakasuje rękawy do łokci.

- Nie myl odwagi z masochizmem.
- Kto nie ryzykuje, nic nie zyskuje.

Hera bierze mój pusty talerz i wkłada go do zlewu. Potem zaczyna szorować szczotką, jakby chciała zerwać coś z porcelany. Z taką samą energią jak wtedy, kiedy obierała marchew. Daje upust swojej wściekłości w pracach domowych.

- Hm... Chcesz kawy?
- Chętnie.
- Z cukrem?
- Tak, poproszę.
- Ile łyżeczek?
- Trzy.

Spogląda na mnie z czułością.

- O co chodzi? - pytam, gdyż czuję się niezręcznie.
- Lubisz słodczyce, co? Jest w tobie jeszcze tyle człowieczeństwa.

Dąsam się. Powiedziała „człowieczeństwa” w taki sposób, jakby to był „infantyizm”. Czyżby chciała powiedzieć, że jestem jeszcze dzie-

kiem, któremu jedzenie słodczy sprawia przyjemność? Jednak jej spojrzenie wydaje mi się przychylnie.

Podaje mi aromatyczną kawę. Potem podchodzi do pieca i wyjmuję brązowe ciasto w formie mającej kształt serca. Chyba ciasto czekoladowe. Bardzo podobne do tego, na które przepis znajduje się w Encyklopedii. Odkrawa gruby kawałek ciasta i kładzie na fajansowy talerzyk, który stawia przede mną.

- Masz prawo się mylić. Masz nawet prawo kochać...

Teraz wygląda dziwnie.

- ...Afrodyta.

Ona wie, że duch tamtej jest jeszcze w moim sercu.

Połykam ciasto.

- Naprawdę pyszne.

- Ach, smakuje ci? Cieszę się. To jest chociaż przyjemność, prawda?

Patrzy na mnie w ten sam matczyzny sposób, który tak mnie zaskoczył na początku naszego spotkania.

- Posiłek był dobry? Naprawdę chciałabym, abyś zachował miłe wspomnienie z naszego spotkania, po to, abyś ty także chciał mieć swoją chatę, żonę, zupę, chleb, ciasto czekoladowe, kawę. A teraz wynoś mi się stąd!

- Chcę iść do góry. Proszę mi pomóc.

Staje i zastanawia się.

- Proszę bardzo, panie ograniczony, pomogę panu. Ale moja pomoc uzależniona jest od wykonania jednej próby. Będziesz mógł kontynuować swoją wspinaczkę tylko wtedy, jeśli wygrasz ze mną w szachy. To gra dla małych chłopców. Chyba jesteś w tym dobry. Musisz wygrać, żadnej partii nieważnej ani pata.

Rozkłada dziwne szachy, gdzie zamiast czarnych i białych figur są figurki przedstawiające kobiety i mężczyzn. Kobiety są koloru różowego, mają togi jak Afrodyta. Zresztą ta, która wydaje mi się królową, jest chyba do niej nieco podobna. Po jej koronie rozumiem, że pełni rolę króla. Na prawo od niej inna kobieta ma na głowie mniejszą koronę i pełni funkcję królowej. Zamiast lauffra - laufferka. Zamiast skoczka - kobieta--skoczek. Zamiast wieży - butelka do karmienia niemowląt. Po stronie mężczyzn figury mają czarne togi. Jest normalny król. Po prawej jego stronie stoi minister, potem inne figury podobne do tych klasycznych. Może tylko tyle, że lauffry wyglądają trochę zniewieściale.

Jak zwykle wystawiam pion przed króla. Ona przesuwa naprzeciwko swoją kobietę-pionka, która... stając przed moim pionem kręci biodrami, po czym puszcza do mnie oczko.

Aż się cofam z zaskoczenia.

- Ależ one żyją!

- Podoba ci się? - pyta Hera. - To Hermafrodyta skonstruował tę grę. Jest bardzo uzdolniony w zakresie biologii, tak jak Hefajstos jest uzdolniony w zakresie technologii. Myślę, że zawsze pozostaną te dwa wybory. Droga życia i droga maszyn.

Dobry Boże, a więc te figury to hybrydy! W połowie ludzie-bonsai, w połowie szachy. Pochyliam się nad moimi figurami i widzę, jak mój

299

król z niecierpliwością drapie się po brodzie. Jego premier przelicza coś w notesie. Naprzeciw przypominająca Afrodytę król-królowa piluje sobie paznokcie. Podczas gdy jej laufferka wyjęła papierosa i zaczęła palić.

Ich ręce i nogi są z jednokolorowego tworzywa, które przypomina plastik. Tylko oczy są białe, z brązowymi lub niebieskimi tęczęwkami. Dotykam jednej z figur i czuję, że jest miękka i ciepła jak ludzkie ciało.

- Są ożywione, ale nie mają wolnej woli - wyjaśnia Hera - zatem zrobią to, co im każemy zrobić.

Gramy. Bogini okazuje się groźną przeciwniczką, ale walka pozostaje wyrównana. Każdemu z moich ataków przeciwstawia przebiegłą obronę, ale udaje mi się ją pokonać.

Pod koniec partii pozostaje tylko jej król-królowa i mój król-król. W normalnych warunkach to jest pat, jednak mam wrażenie, że partia nie jest jeszcze zakończona. W nagłym przypływie natchnienia zamykam oczy, stawiam mojego króla-króla przed jej królem-królową i koncentruję się. Myślę o tym, jak ogromna jest stawka tej gry. Pamiętając, że ze wszystkim, co żyje, można się porozumieć, mówię cicho w kierunku mojego króla:

- Śmiało, teraz.

Wtedy mój król pochyla się, chwytając swoją sąsiadkę z naprzeciwka, przyciska ją do siebie i całuje łączywie. Nieprzyjacielska figura waha się, po czym akceptuje pocałunek.

Hera wygląda na zachwyconą.

Mój król zaczyna rozbierać królową, a ta pokazuje niewielki, falujący biust, całkiem różowy.

Hera bije brawo.

- Być może jesteś silniejszy niż sądziłam - mówi.

Obie figury wykonują coraz bardziej śmiałe ruchy.

- Miłość zwycięża nad wojną! Sądysz, że będą mieli „szachowe dzieci”?

Głaszczę małe postaci palcem, który jest od nich o wiele większy.

- W każdym razie widzę, że z pomocą bogów - mówię - miłość może zwyciężyć. Musi pani dotrzymać danego słowa.

- To najgłupsza rzecz na świecie, ale dotrzymam słowa. Po tym wszystkim... pamiętaj, że nie będziesz miał prawa się skarżyć.

Przygląda mi się uważnie.

- Pamiętaj, że na swojej drodze spotkasz naprawdę wielką próbę: Sfinksa. To jest Jego żywy zamek. Nawet ja nie mogę tam wejść. Można przejść tylko wtedy, gdy się rozwiąże zagadkę. Znasz ją?

- Tak. Co jest lepsze niż Bóg, gorsze niż diabeł...

Bierze mnie pod rękę i podnosi, a następnie ciągnie za sobą w głąb izby. Obraca klamkę.

Drzwi wychodzą na skalne zagłębienie wyżłobione dokładnie w ścianie góry. Materiał jest półprzezroczysty i przypomina plastik lub szkło. Bursztyn.

Podchodzę i zauważam stopnie. W pomarańczowej skale wyżłobiono kręcone schody.

300

- Skoro taki jest wybór twojej wolnej woli... - mówi bogini.

- Jeżeli umrę, czy może pani przekazać pozostałym moje życzenie: żeby moim ludem delfinów zajęła się Mata Hari?

Zgadza się.

- Zegnaj, Michaelu Pinsonie.

99. ENCYKLOPEDIA: SFINKS

Jego imię oznacza po grecku „dusiciel”. U Egipcjan spotykamy sfinksy strzegące zakazanych progów. W tej kulturze sfinks ma ciało lwa i głowę kobiety. Zwykle twarze sfinksów są pomalowane na czerwono, a ich oczy wpatrują się w punkt, w którym słońce pojawia się na horyzoncie. Uważa się, że słuchają mowy planet i są w posiadaniu tajemnicy zagadek wszechświata. W Egipcie sądzono, że z chwilą przekroczenia strzeżonego przez sfinksa progu spadały na niego wszystkie tabu i klątwy.

W Grecji Sfinksa uważano za perwersyjnego potwora rodzaju żeńskiego. Miał skrzydła, ale zbyt małe, by mógł na nich latać. Miał też obfity biust. Legenda głosi, że Sfinks spustoszył Teby, zadając przechodniom zagadki i pożerając tych, którzy nie byli w stanie ich rozwiązać.

Jedną z zagadek brzmiała: „Co chodzi rano na czterech łapach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?”. Odpowiedź znalazł Edyp: to człowiek. Rzeczywiście, człowiek-

dziecko porusza się na czterech łapach, będąc dorosłym - na dwóch, a kiedy się zestarzeje, pomaga sobie trzecią nogą, czyli łaską.

Sfinks jest symbolem zagadki, jaką musi rozwiązać ludzkość, w zależności od poziomu swojego rozwoju.

Zadając swoje pytanie, ów potwór daje poznać intelektualne granice osoby, do której się zwraca. A jeśli człowiek nie uświadomi sobie tego, karą jest dla niego śmierć.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

100. BURSZTYN

Wchodzę po krętych schodach.

Stopnie wiją się spiralnie. Moje stopy powtarzają nieskończoną ilość razy te same ruchy. Zapach zupy towarzyszy mi, działając uspokajająco. Początkowo wszystko jest spowite w ciemnościach, ale w miarę jak się wznoszę, w górze pojawia się blask. Bursztyn daje złotawobrązowe refleksy.

Koncentruję się na zagadce.

301

„Lepsze niż Bóg.

Gorsze niż diabeł.”.

Myślałem o miłości, o Afrodycie.

Afrodyta była dla mnie silną motywacją, ale nie dość wystarczającą, abym dotarł do celu.

Myślałem o nadziei. O ludzkości. O szczęściu. Za każdym razem coś w tej propozycji nie pasowało.

„Mają to biedni.

Nie mają bogaci”.

Mogłaby to być prostota. Czyste powietrze. Czas. Choroba.

„Jeśli zjesz, umrzesz”.

Trucizna. Ogień?

Światło coraz intensywniej przenika przez bursztynową skałę. Zapach zupy ustąpił miejsca zapachowi piasku.

A może to ja? Lepszy niż Bóg i gorszy niż diabeł?

Albo moja pycha?

Albo moja ambicja.

Idę schodami w kierunku światła. Wreszcie wychodzę na pustynny płaskowyż. Żadnej roślinności, tylko wystające z ziemi przerażające żółte wierzchołki, podobne do kłów. Wschodzące coraz wyżej słońce ukazuje dwa skaliste masywy z żółtego bursztynu. Wydaje się, że zatykają jedyne przejście, którym można by kontynuować wspinaczkę na Olimp.

W centrum widzę niewielki, zaledwie kilkumetrowy wąwóz. Kieruję się w tamtą stronę.

Ktoś siedzi przy wejściu do wąwozu. To chimera z ogromnym ciałem lwa i piersią kobiety. Na twarzy przesadny makijaż: błyszcząca, czerwona pomadka na mięsistych wargach, czarny tusz na rzęsach i brwiach. Ciężkie piersi podtrzymuje czarny jedwabny stanik-bardotka.

To antynomia Hery. Z jednej strony matka, z drugiej prostytutka. Ale już jestem u stóp ściany.

Otwiera usta, z których wydobywa się wysoki, nosowy głos małej dziewczynki.

- Pozdrawiam ciebie, który niebawem umrzesz - mówi.

Pochylam się w ukłonie, aby ją także pozdrowić, tak jakby to wszys

ko działo się między ludźmi miłymi w obejściu, gotowymi uczciwie stawić sobie czoła.

- Jeżeli nie rozwiążesz mojej zagadki, wyeliminuję cię. Przykro mi, „kochanie”.

No to wszystko przynajmniej jasne.

- Jestem bogiem, nie mogę umrzeć - próbuję dyskutować.

Sfinks uśmiecha się.

- Bogowie nie umierają, ale można ich poddać recyrkulacji - mówi kobieta z ciałem lwa. - Tutaj robię recyrkulację „tym”.

Sfinks podnosi łapę i pokazuje długi, ostry pazur. Wtedy pojawia się cherubin, samiec o ciele motyla, i siada na tym cyplu. A zatem tych, którzy nie znają odpowiedzi, Sfinks zamienia w cherubiny.

Z pewnością nie jestem pierwszym, który tu dotarł. Spośród rzeszy uczniów, którzy przez kolejne tysiąclecia mieszkali na tej wyspie, dzie-

302

siatki, a może nawet setki doszły tak jak ja do domu Hery, a potem wspięły się po bursztynowych schodach, aby stanąć twarzą w twarz ze Sfinksem.

Przychodzi mi zaraz na myśl, że cherubinka, ta moja słynna Smar-kaczka, która tyle już razy mnie uratowała, też musiała kiedyś być uczennicą w szkole bogów. A więc ona też próbowała

zdobyć górę, zanim stała się kobietą-motylem. Zatem musiała być kimś nieustraszonym i odważnym. Nie doceniałem jej tylko dlatego, że jest małego wzrostu i przypomina owada. Po raz kolejny dochodzę do wniosku, że nie zwracam wystarczającej uwagi na ludzi, których spotykam na swojej drodze oraz że moje osądy bazują na uprzedzeniach wynikających z fizycznego wyglądu.

Sfinks dmucha na swój pazur i cherubinek zostaje odrzucony daleko.

- Cherubin - mówi Sfinks - to nie jest wcale takie złe, w końcu może latać. Problem w tym, że nie może mówić... A jednak przyjemnie jest móc się wysłowić, prawda?

Jakby w odpowiedzi cherubin wytyka swój szpiczasty język.

- A więc mów albo... zamilknij na zawsze. Przypominam ci treść zagadki:

„Lepsze niż Bóg.

Gorsze niż diabeł.

Mają to biedni.

Nie mają bogaci.

Jeśli zjesz, umrzesz".

Powiedziawszy to, Sfinks wzdycha jak zmęczona kochanka.

- A więc, jak brzmi odpowiedź, kochanie?

Zamykam oczy. Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że coś mnie oświeci. Ze doznam objawienia. Ale nic się nie dzieje. Dokładnie nic.

Zastanawiam się. Szukam. Nie zamierzam poddać się, kiedy jestem tak blisko celu.

Właściwie to zareagowałem tak jak śmiertelnik, sądząc, że w chwili krytycznej „ktoś” mi przyjdzie z pomocą.

Zwykły przesąd.

Abycie przesądnym... przynosi pecha.

Śmiertelnikowi może pomóc anioł, aniołowi może pomóc bóg, ale kto może pomóc bogu?

Spoglądam na wierzchołek góry, który nie wysyła już żadnego światła. Myśl, że tam nic nie ma, wydaje mi się coraz bardziej wiarygodna.

Mam ochotę wracać. Wrócę do Hery i powiem jej, że miała rację. Następnie zejdę spokojnie ze zbocza i spróbuję przeprosić za mój wybryk. I wszystko wróci do normy. Powiem Afrodycie, że widziałem Sfinksa i że nie znalazłem rozwiązania, powiem Macie Hari, że ją kocham, a mojemu ludowi delfinów powiem: „Wasz bóg wrócił”.

Nie mogę już się cofnąć.

- Pomogę ci trochę - mówi potwór.
- Jakaś podpowiedź?
- Nie, lepiej: „doświadczenie osobiste”.

303

Sfinks zmienia pozycję i krzyżuje ręce na piersiach.

- Uspokój się - mówi. - Usiądź wygodnie. Najlepiej po turecku. Wyruszymy na poszukiwanie odpowiedzi „wewnątrz siebie”. Stwórz w sobie pustkę.

Waham się, czy go posłuchać, ale mój instynkt podpowiada mi, że lepiej wziąć udział w grze. Posłusznie siadam w wygodnej pozycji. Potem zamykam oczy.

- Zapomnij, kim jesteś. Wyjdź ze swojego ciała i popatrz na siebie z zewnątrz.

Robię, co mi każe. Widzę siebie.

- Teraz puść film od końca - mówi nosowy głos Sfinksa. - Cofnij się w czasie. Co robiłeś dwadzieścia sekund temu?

Szedłem tutaj. A zatem idę teraz do tyłu.

- Dalej przewijaj film na odwrót.
- Widzę siebie idącego do tyłu po stopniach bursztynowych schodów.

Znowu siadam w chatce Hery. W chwili, kiedy wracam do niej tyłem, mówi mi „Żegnaj”. W chwili, gdy od niej wychodzę, mówi do mnie „Wejdz”.

Wcześniej siedziałem na Pegazie. Lecę do tyłu, zlatuję z góry na skrzydlatym koniu. Ląduję.

Wcześniej biłem się z Raoulem.

Film przyspiesza.

Mata Hari. Saint-Exupéry. Georges Méliès. Syzyf.

Prometeusz, Afrodyta. Atena. Freddy Meyer.

Centaur. Smarkaczka. Juliusz Verne.

Przedtem byłem naprzeciw wyspy.

Widzę, jak płynę do tyłu.

Widzę, jak zanurzam się w wodzie.

Widzę się całego pod wodą.

Potem widzę, jak szybko wypływam na powierzchnię.

Jestem w powietrzu, wychodzę z atmosfery.

Widzę, jak znowu staję się przezroczysty, zamieniam się w czysty umysł.

Ten umysł ślizga się do tyłu w kierunku różowego światła.

Widzę się wracającego do Imperium Aniołów.

Obrazy z przeszłości zmieniają się jeszcze szybciej.

Wszystko na odwrót.

Widzę siebie w Imperium Aniołów. Siedzę w otoczeniu wszystkich innych aniołów i pracuję nad moimi trzema sferami-klientami.

Cofam się do chwili przybycia do Imperium Aniołów.

Widzę siebie podczas procesu, na którym Emil Zola był moim obrońcą, kiedy to wobec trzech archaniołów wazono moją duszę.

Widzę się idącego do tyłu i przemierzającego terytorium kontynentu umarłych.

Biały świat, w którym umarli stoją w długiej kolejce, czekając na sąd.

Kolejka cofa się, a ja razem z nią.

304

Zielony świat piękna.

Żółty świat wiedzy.

Pomarańczowy świat cierpliwości.

Czerwony świat pragnień.

Czarny świat strachu.

Niebieski świat przybycia na kontynent umarłych.

Widzę siebie jako ektoplazmę lecącą w stronę światła, które mnie przyciąga.

Widzę, jak moja dusza wraca do zmarłego ciała Michaela Pinsona.

Widzę moje przerażenie w chwili, kiedy boeing 747 uderza w mój dom. Kawałki szkła zbierają się na powrót, aby utworzyć przeszklone drzwi, podczas gdy boeing wraca, znikając na niebie.

Kolejne przyspieszenie.

Widzę siebie jako śmiertelnego człowieka, tanatonautę na tanatodromie. Razem z przyjaciółmi, Raulem Razorbackiem, Stefanią Chicheli, Freddyem Meyerem oddajemy się doświadczeniu opuszczania własnego ciała.

Pewna myśl przebiega mi przez głowę: „Mogłem stać się legendą”. Albo może chociaż któregoś dnia powstanie na mój temat mit, tak jak powstał mit o Prometeuszu lub Syzyfie. Przeganiam szybko tę pełną pychy myśl i kontynuuję moją podróż w czasie pod prąd. Widzę jak młodzieję i staję się młodym Michaeliem Pinsonem.

Widzę siebie jako noworodka. Potem moja pępowina z powrotem przyrasta i jak lina ciągnie mnie w stronę brzucha mojej matki.

Potem widzę, jak brzuch mojej matki staje się coraz mniejszy, aż moja dusza wychodzi z niego i wraca na kontynent umarłych, gdzie znowu odbywa się nade mną sąd, stoję w kolejce umarłych. Świat biały, zielony, żółty, pomarańczowy, czarny, niebieski i powrót na Ziemię w ciele innego zmarłego.

Lekarz w Sankt Petersburgu, który zmarł na gruźlicę, otoczony swoimi najbliższymi.

Pod wpływem Sfinksa podróż mojej duszy w czasie do tyłu trwa nadal.

Znowu jestem noworodkiem, powrót do maczynego brzucha, wyjście duszy, powrót na kontynent umarłych, znowu powrót na Ziemię w ciele zmarłej tancerki kankana. Kurczę, byłem ładną kobietą. I oto jestem małą dziewczynką, dopiero co narodzoną.

Moje życia przyspieszają. Widzę siebie jako japońskiego samuraja, celtyckiego druida, angielskiego żołnierza, bretońskiego druida, egipską odaliskę, a jeszcze wcześniej lekarza atlanta. Za każdym razem jest to małe zamieszanie: dziecko płacze, uciszam się, moja pępowina odtwarza się i jak bandzi ciągnie mnie do kobiecego brzucha. Ruch przyspiesza jeszcze, osiągając niesłychaną prędkość.

Widzę siebie jako chłopca, myśliwego, marznącego jaskiniowca.

Widzę siebie jako australopiteka obawiającego się, że nie znajdzie pożywienia.

Widzę siebie jako przerażoną obecnością jaszczurek ryjówkę.

Widzę siebie jako jaszczurkę, która boi się większych od siebie jaszczurek.

305

Widzę siebie jako dużą rybę.

Widzę siebie jako małą rybę.

Widzę siebie jako orzęska.

Widzę siebie jako algę.

Widzę siebie jako minerał.

Widzę siebie jako gwiazdny pył.

Widzę siebie jako promień światła.

I jako światło zostaję pociągnięty do tyłu, w kierunku wielkiego wybuchu.

Widzę Kosmiczne Jajo, które zmniejsza się i nagle fiuuuu, wszystko znika. I już nie ma nic.

Nic?

Na końcu zwoju duchowości jest „nic”.

Wszechświat powstał z niczego i kończy się niczym.

...Nic?

„Nic. Na początku nie było nic”.

Dobry Boże, to przecież pierwsze słowo w piątym tomie Encyklopedii Wiedzy Relatywnej i Absolutnej. Od początku miałem je przed oczyma i go nie widziałem.

Wtedy otwieram oczy. I wypowiadam przed Sfinksem słowo:

-Nic.

Kobieta z ciałem lwa robi wielkie oczy. Jej ciało drży z zadowolenia.

- Kochanie, nie wiem, czy jesteś tym, na którego czekamy, ale w każdym razie jesteś tym, na którego ja czekałem - szepcze. - Proszę, wyjaśnij to.

Moje odkrycie oświeca mnie.

- Lepsze niż Bóg? Nic. Ponieważ nic nie jest lepsze od Boga - oznajmiam.

Kiwa potakująco głową. Ciągnę dalej:

- Gorsze niż diabeł? Nic. Ponieważ nic nie jest gorsze niż diabeł. Mają to biedni? Nic! Oni nie mają nic. Nie mają bogaci? Nic! Bogatym niczego nie brakuje. Jeśli zjesz, umrzesz? Nic. Ponieważ jeśli nic nie będziemy jeść, umrzemy.

Chwila zamieszania.

Nagle Sfinks nie wydaje mi się już potworem, lecz dobroduszną istotą, jednym z licznych akceleratorów mojego życia i mojej ewolucji.

A zatem trzeba było tylu gróźb, tyle bólu, tyle strachu, abym wreszcie zrozumiał. Po moim pierwszym wybuchu gniewu, moim pierwszym antyspołecznym czynie mam wrażenie, że dokonałem aktu odwagi oraz inteligencji. Stawiłem czoła Sfinksowi i zwyciężyłem go umiejętnością abstrakcyjnego myślenia.

Lwica o ludzkiej twarzy przesuwa się i robi mi przejście między dwoma masywami żółtej ściany.

Potem dodaje:

- Możesz ruszać dalej w swoją drogę. Ale uważaj. Pałacu Zeusa strzegą cyklopi.

Odchodzę, po czym wracam do Sfinksa.

306

- W micie jest tak, że jeśli człowiek rozwiąże zagadkę, Sfinks musi popełnić samobójstwo, czyż nie?

Potrząsa grzywą.

- Nie należy wierzyć wszystkiemu, co mówią, nawet jeśli zostało napisane. A przede wszystkim nie należy wierzyć legendom. Istnieją tylko po to, aby łatwiej było manipulować śmiertelnikami. Dalej, kochanie, ruszaj, zanim zmienię zdanie.

Patrzę na Sfinksa i nagle dochodzę do wniosku, że ta żywa twierdza jest nawet sympatyczna. Jednak zrobił wszystko, aby mi pomóc znaleźć rozwiązanie.

A więc to było to.

Nic.

101. ENCYKLOPEDIA: SIŁA PRÓŻNI

Człowiek zawsze bał się próżni. Nazywana przez Rzymian horror va-cui, była uznawana przez starożytnych uczonych za czysty strach. Jedną z pierwszych osób, które opowiadały o istnieniu próżni, był Demokryt, który w V wieku przed Chrystusem napisał, że to, co wydaje nam się materią, zbudowane jest z cząsteczek zawieszonych w próżni. Ta myśl została zanegowana przez Arystotelesa, który twierdził: „Przyroda boi się próżni” i dodawał jeszcze: „Próżnia nie istnieje”. Trzeba będzie czekać do 1643 roku, kiedy to Włoch Evange-lista Torricelli, odwołując się do myśli Galileusza, za pomocą złożonego doświadczenia potwierdza istnienie próżni. Wypełnia probówkę o długości 1,30 metra rtęcią, zatyka ujście, odwraca i wkłada do kadzi wypełnionej tym samym ciekłym metalem. Obserwuje wtedy, że na górze powstaje przestrzeń, utworzona przez obniżenie się poziomu rtęci, ale że ta przestrzeń jest pusta, ponieważ powietrze nie mogło tam się dostać. W ten sposób Torricelli jako pierwszy udowadnia istnienie stałej próżni. Powtarza doświadczenie i, widząc, że wysokość się zmienia, wnioskuje, że zmiany objętości tego obszaru zależą od ciśnienia atmosferycznego. Z tego doświadczenia narodził się „barometr”, czyli wypełniona rtęcią rurka służąca do pomiaru zmian ciśnienia w powietrzu.

W 1647 roku niemiecki fizyk Otto von Guericke konstruuje pierwszą pompę próżniową. Usuwa powietrze z dwóch metalowych, połączonych ze sobą półkul i pokazuje, że dwa ośmiokonne zaprzęgi nie są w stanie ich rozdzielić. Udowadnia w ten sposób, że próżnia jest siłą, która może połączyć dwa bloki materii.

Dla hinduistów próżnia jest bardzo ważnym pojęciem filozoficznym. Celem myśli mędrca jest dotarcie do najwyższej pustki. I jeśli nawet uważa się, że to piasty utrzymują

odpowiednią oś koła, to jednak dopiero istniejąca pomiędzy tymi piastami próżnia pozwala kołu się kręcić. Nowożytni fizycy doszli do wniosku, że 70% ogólnej energii wszechświata znajduje się w próżni, a tylko 30% w materii.

307

Einsteina także interesowała możliwość poznania próżni. Mówi on o istnieniu w kosmosie ciemnej masy, nieposiadającej energii ani światła. Uznaje, że jest to niezrozumiała dla fizyków jednostka, która stanie się kolejnym wyzwaniem dla myśli ludzkiej. Nieco później dwaj fizycy, Planck oraz Heisenberg, zbadają próżnię. W 1948 roku Holender Hendrik Casimir ma przeczucie, że z próżni emanuje siła: siła Casimira.

Ta siła ma taką moc, że w 1996 roku NASA rozpoczyna realizację projektu „statku kosmicznego napędzanego siłą Casimira”, uważanego za pierwszy pojazd kosmiczny zdolny wyjść poza Układ Słoneczny... W 2000 roku Hubble odkryje istnienie w kosmosie niewidzialnej masy, „ciemnej masy”, która mogłaby być materią zawierającą najwięcej energii we wszechświecie.

Dzisiaj energię próżni uważa się za jedną z podstawowych dziedzin badań z zakresu astrofizyki. Jedna z teorii mówi nawet, że próżnia tworzy materię i że to właśnie z tego „niczego” pochodził wielki wybuch.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

102. SPOTKANIE

Czuję się „opróżniony”.

Zagadka Sfinksa pozostawiła we mnie wrażenie, że dotknąłem dna wszechświata i odkryłem w nim dziurę, która prowadzi w niebyt.

Idę dalej wyłobionym w żółtawej skale wąwozem. Ściany po obu stronach wąskiej ścieżki są tak wysokie, że przesłaniają słońce. Mam wrażenie, że te dwie skalne ściany mogą w każdej chwili ożyć i mnie zmiążdżyć. Nagle zatrzymuję się i zwracam całe pożywienie, którym tak szczerze obdarowała mnie Hera. Mój umysł się opróżnia i moje ciało także.

Dlaczego się nie wycofać? W końcu udowodniłem, że potrafię w 99% przebyć drogę, dojść tam, dokąd nikt jeszcze nie doszedł. Moja rezygnacja byłaby jednak wielkim prztyczkiem w nos danym przeznaczeniu. Zrobiłem to. Rozwiązałem zagadkę! Teraz nie muszę już kontynuować. I to właśnie znaczy chodzić z podniesioną głową. Odejść wtedy, kiedy pokazało się, że można wygrać.

Mam prawdziwy atak „pocotomizmu”.

Pocotomizm jest chorobą, która dotknęła mnie już w przeszłości i która polega na zadawaniu sobie w odniesieniu do wszystkiego pytania: „po co to”?

Pierwszego ataku pocotomizmu dostałem w wieku 25 lat w Indiach, w Benaresie. Kiedy razem z narzeczoną płynęliśmy łodzią po Gangesie, nasz przewodnik zapytał mnie, jaki wykonuję zawód. Odpowiedziałem, że jestem lekarzem. Powiedział: A dlaczego jesteś le-

308

karzem? Aby leczyć ludzi. A po . co leczysz ludzi? Aby zarobić na życie. A po co zarabiasz na życie? Żeby móc jeść! A po co jesz? Żeby żyć! A po co żyjesz? Zadawał te pytania w przebiegły sposób, wiedział bowiem, dokąd to zaprowadzi. Zapalił skręta z marihuany, podał mi go, a potem tylko szepnął: „Ponieważ jesteś sympatyczny, dam ci jedną radę, skorzystaj z tego, że jesteś w Benaresie, świętym mieście, i popełnij tu samobójstwo. Przynajmniej w ten sposób wejdiesz w cykl reinkarnacji. We Francji jesteś niczym. Popelniając samobójstwo w Indiach, będziesz najpierw pariasem, ale później, w kolejnych wcieleniach, będziesz mógł wznieść się i stać się tak jak ja braminem”.

Ta rozmowa pozostawiła po sobie ślad.

Wstaję rano i zastanawiam się: po co to? Pracuję: po co to? A gdybym tak zrezygnował? Rezygnacja to wielka moc. Moje ataki pocotomizmu były o tyle silniejsze, że miałem dużo do stracenia. Rodzina... Po co to? Zawód... Po co to? Zdrowie... Po co to... A potem samo życie...

W efekcie regularnie dostawałem ataków pocotomizmu. Praktycznie co roku, zazwyczaj we wrześniu, w okolicach w moich urodzin, kiedy kończy się lato i nadchodzą pierwsze dni jesiennej szarugi.

Ruszam dalej wąwozem wijącym się w twardej skale.

Po co iść do przodu? Po co chceć spotkać Wielkiego Pana Boga? Jak się tak dobrze zastanowić, to wszystko pochodzi z próżni i próżnia pochodzi z wszystkiego. Może Gorgona miała rację? Może bycie rzeźbą to jakby przyjęcie na zawsze postawy jogi?

Moje nogi idą same, opuszczam wąskie przejście i docieram do górzystego terenu.

Pode mną otwiera się wąwóz.

Pochyliam się nad przepaścią. W dole widzę Sfinksa. Niżej dom Hery. A jeszcze niżej statuy Gorgony, małe pomarańczowe wulkany, a całkiem na dole, jak niewielki biały punkcik, widzę Olimpię.

Gdybym skoczył, moje spadanie byłoby długie.

Z determinacją wspinam się dalej.

Góra robi się coraz bardziej stroma. Pomagam sobie rękoma. Szukam uchwytów w skale, aby móc kontynuować wspinaczkę. Każdy kolejny krok staje się trudniejszy. Ranię palce o kamienie.

W pewnej chwili, kiedy stawiam stopę na skale, ta odłamuje się. Tracę równowagę i lecę w tył. W ostatniej chwili chwytam się haka. Pode mną przepaść. Jeśli odpadnę, zlecę co najmniej sto metrów.

Przecież nie mogę teraz przegrać...

Wiszę tak, przyczepiony do skały. Ręka męczy się, mięśnie drżą. Szamocę się, próbuję balansować ciałem, ale mój punkt zaczepienia jest bardzo ograniczony.

Puszczę.

Jeśli jakiś pisarz redaguje teraz opis moich przygód, to proszę go, żeby przestał mnie torturować. Nie chcę już iść dalej. Odnoszę wrażenie, że im dalej przesuвам się do przodu, tym bardziej jestem wystawiony na niebezpieczeństwo. No już, mam dość tej maskarady. Akcja powieści może się toczyć beze mnie.

Puszczam hak.

309

W tej samej chwili chwytam mnie czyjaś silna dłoń.

Podnoszę głowę, żeby zobaczyć, kto mnie uratował. Nie wierzę własnym oczom. To...

Ściska mnie silną dłonią i podciąga na skalną półkę.

- ...Juliusz Verne!

Ma na sobie podartą togę ze śladami przypalenia, które widziałem podczas naszego pierwszego spotkania. Jego spojrzenie jest jasne i spokojne, tylko w kącikach oczu widzę mimiczne zmarszczki od częstego śmiechu.

- Ja, ja sądziłem, że pan umarł - bełkoczę.

- To cię nie upoważnia do tego, żeby mnie nie posłuchać - mówi ponurym głosem.

- Widziałem pańskie podziurawione ciało na plaży, spadł pan z kilkudziesięciometrowego brzegu.

- Tak, dla śmiertelnika to śmiertelne doświadczenie. Ale jednak my, mimo wszystko, nie jesteśmy „prawdziwymi” śmiertelnikami. Po naszej śmierci, wiesz już o tym, zostajemy zabrani przez centaury, które zanoszą nas do Hermafrodyty, a ten w efekcie zmienia nas w chimery... ale jeśli nie zostało się zabranym do niego...

Przypominam sobie nagle, że niektóre moje rany bardzo szybko zniknęły. Moja kostka jest całkiem wyleczona.

- Mimo wszystko jesteśmy bogami. Po pewnym czasie nasze ciało się regeneruje.

- A ślady kopyt? Został pan zabrany przez centaura.

Uśmiecha się.

- To prawda. Ale są centaury i centaury.

Robi przewrotną minę.

- Za każdą chimera kryje się jakaś dusza. To są żywe istoty. Spójrz im prosto w oczy, tym wszystkim centaurom, cherubinom, gryfom. Nawet bogowie-mistrzowie... oni wszyscy byli kiedyś tacy jak my. Istoty z zasadami.

Prawdą jest, że Smarkaczka często mi pomagała. Są zatem chimery nieposłuszne.

- Centaur, który przyszedł po mnie na plażę, był tak naprawdę zamienionym w centaura Allanem Poe, uczniem z dawnego amerykańskiego rocznika. Poczł solidarność ze mną jako pisarzem. I zamiast zanieść mnie do laboratorium Hermafrodyty w południowej części miasta, ukrył mnie, aż moja rana się zagoiła. Nawet mnie leczył.

- To tutaj można leczyć?

- Oczywiście. Światlikami z niebieskiego lasu. Wprowadzają do rany światło, które przyspiesza odbudowę ciała.

Podnosi toę i pokazuje mi nietknięty brzuch.

- Światło jest sposobem na wszystko.

- Światło?

- Oczywiście, że tak. Ludzie sądzą zawsze, że należy iść w kierunku miłości, ale to nieprawda, trzeba iść w stronę światła. Miłość jest subiektywna, może się odwrócić i przekształcić w nienawiść, niezrozumienie, zazdrość, szowinizm. Ale światło to dobry punkt odniesienia...

310

- Jak pan się tu dostał?

- Kiedy już byłem zdrowy, Edgar Allan Poe ukrył mnie, a potem zdecydowaliśmy się wspinać północnym zboczem za pomocą tego całego sprzętu alpinistycznego. Ale jako centaur nie dotarł daleko. Został zlokalizowany i złapany przez gryfy. W tej strefie to one wszystko kontrolują. Ja mogłem ukryć się w górach i od tego czasu wspinam się, kiedy zapada zmrok. Żywię się jagodami i kwiatami. Moje studia na temat przetrwania w Czarodziejskiej wyspie okazały się użyteczne do rozpoznawania wszystkiego, co jadalne. Ale mój sekret to powolność. Wszyscy chcą wejść szybko. Ja wspinam się powoli, lecz pewnie.

-Ale przecież jest tylko jedno przejście, żeby dotrzeć do tego miejsca. Jak minął pan Sfinksa?

Wybuchu śmiechem.

- Chyba sobie nie myślisz, że jako jedyny rozwiązałeś zagadkę! Jeśli nawet zapewniał cię, że jesteś pierwszy, to nie należy wierzyć we wszystko, co usłyszysz. Zwłaszcza tu, w Aedenie, królestwie czarów i złudzeń.

- Pan również podał jako rozwiązanie „nic”?

- Prawdę mówiąc, rozwiązałem zagadkę, jak tylko ją usłyszałem. Dawno temu mówiliśmy sobie o niej w szkole.

To prawdziwy cios dla mojej miłości własnej.

- No dobrze, nie czas na herbatę i dyskusje, jest coś ważniejszego do zrobienia. Teraz, skoro już popełniłeś to głupstwo i doszedłeś aż tutaj, trzeba z tego skorzystać, prawda?

Klepie mnie mocno po plecach.

Gdybym się mógł spodziewać, że pewnego dnia zbliżę się do Wielkiego Pana Boga w towarzystwie samego Juliusza Verne'a!

Obydwaj wdrapujemy się na stromą górę, a dzięki hakom i linom możemy posuwać się przez ściąganie liny.

- Chciałem panu powiedzieć, że czytałem wszystkie pańskie książki - mówię.

- Dziękuję, to naprawdę wzruszające. Spotkać w tych nieco wyjątkowych okolicznościach „wiernego czytelnika”.

Czuję się trochę jak fan gwiazdy rocka obok swojego idola. Podziwiałem Raoula, podziwiałem Edmonda Wellsa, teraz podziwiam Juliusza Verne'a.

Wokół nas wyrastają z wąwozu ostre wierzchołki żółtych skał i gdyby nie spowity we mgle szczyt góry, który się z nas naigrawa, moglibyśmy stracić jakikolwiek punkt odniesienia.

- Pod koniec życia zrozumiałem, że nauka nas nie uratuje. Wtedy zwróciłem się w stronę duchowości, ale już było za późno. Teraz, jeśli stałbym się na powrót pisarzem, pisałbym tylko i wyłącznie o tym nowym wyzwaniu dla ludzkiej ciekawości.

- Ezoteryzmie?

- Bogu. Wielkim Bogu. Tym, który jest w górze i naśmiewa się z nas od pierwszego dnia, w którym pojawiło się życie.

Poruszamy się w ciszy.

311

W końcu dochodzimy do strefy tak gęstej mgły, że nic przez nią nie widać. Mój towarzysz, który jest niżej ode mnie, znika w mgielnych oparach. Całe szczęście, że jesteśmy powiązani liną.

- Jak tam na górze? - pyta.
- Dopóki jesteśmy przywiązani, w porządku.

Przesuwamy się we mgle, aż dochodzimy do strefy, w której czujemy, że zrobiło się mniej stromo. A potem całkiem płasko. Płaskowyż.

- Widzi pan coś? - pytam.
- Nic. Nawet nie widzę czubków swoich stóp.
- To może weźmiemy się za rękę?
- Nie - mówi - w przypadku niebezpieczeństwa zostalibyśmy zabrani obydwaj. Wręcz przeciwnie, lepiej, żebyśmy szli jak najdalej od siebie. Pójdę przodem.

Zawijamy linę i ruszamy ponownie w drogę.

Nie widzę już nawet swoich własnych nóg, lecz czuję, że ziemia robi się błotnista i klejąca. Powietrze nasycone jest zapachem ziół. Potem ziemia staje się coraz bardziej miękka, aż w końcu wchodzi w zimną wodę. To coś w rodzaju bagna.

Nagle czuję pociągnięcie za linę.

- Hej, w porządku?

Żadnej odpowiedzi.

Najpierw słaby cios, potem szybki. Coś ciągnie nieregularnie, coraz silniej, a po chwili już wcale. Chwytam linę i stwierdzam, że koniec został przecięty.

- Hej, Juliuszu Vernie! Juliuszu! Juliuszu!

Bez odpowiedzi.

Wołam jeszcze raz, potem poddaję się, uznając, że zniknął. Jakby na potwierdzenie moich obaw rozlega się wołanie:

- UCIEKAJ, SZYBKO!

To głos autora Podróży do wnętrza Ziemi.

Rozlega się rozdzierający krzyk, który po chwili oddala się, jakby zabrał go pterodaktyl.

- GGRRRRYYYYY!!!

Stoję bez ruchu. Zaczynam powoli grzęznąć w bagnie. Przesuwam się do przodu, brnąc coraz bardziej w błocie. Już nie wiem, gdzie jest północ, gdzie południe, gdzie wschód, a gdzie zachód. Aby nie wpaść w jakąś dziurę, przesuwam się, badając podłoże jedną stopą, potem dopiero przesuwam drugą. Ponieważ jestem na płaskowyżu, nie widzę już nawet zbocza. Zauważam wkrótce, że krążę w kółko. Znajduję fragment togi Juliusza Verne'a.

Zgubiłem się we mgle na płaskowyżu.

Zatrzymuję się.

Nagle czuję, że moich kolan dotykają pióra.

Pochylam się: spogląda na mnie biały łabędź z czerwonymi oczyma. Wcale nie wygląda na przestraszonego, nie rusza się, jakby na coś czekał. Głaszczę go, idzie do przodu. Podążam za nim. Prześlizguję się przez bagno, aż do suchego brzegu.

312

Wychodzi. Nadal idę za nim. Prowadzi mnie do strefy, gdzie mgła jest rzadsza. Kolejne zbocze, na które trzeba się wspiąć. W miarę jak wchodzę coraz wyżej, połacie mgły rozstępują się, odsłaniając szczyt góry.

103. ENCYKLOPEDIA: CYKLOPI

Ich imię oznacza: „ci, których oko jest otoczone kołem”. Według mitologii greckiej było ich trzech, a imię każdego związane było z jakąś mocą Zeusa. Steropes (błyskawica), Arges (blask), Brontes (grzmot). Pracowali u boku Hefajstosa przy wyrobie magicznej broni, po czym walczyli po stronie Zeusa w wojnie przeciw tytanom. Możliwie, że początkowo cyklopi byli jakimś cechem kowali kujących w brązie z pierwotnej Hellady. Na cześć słońca, pośredniego źródła energii w ich piecach, tatuowano im na czole koło. Trakowie także tatuowali sobie potem na czole koła, mając nadzieję, że zdobędą dzięki temu umiejętność obróbki metali.

Edmond Wells,

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

104. OKO W OKO Z CYKLOPAMI

Odkrywam rozległą równinę, w centrum której błyszczy jezioro. A na środku jeziora: wyspa.

Równina otoczona jest mgłą, ale wydaje mi się, że wyżej już nic nie ma. Wszedłem na szczyt Olimpu! UDAŁO MI SIĘ!

Nie mogę w to uwierzyć. Wyczyn wydaje mi się nawet zbyt łatwy. Szczypię się i czuję, że boli. A więc to nie sen.

Dotarłem tu. Jestem na szczycie. Biały łabędź, który służył mi za przewodnika, odlatuje.

Pałac na wyspie to monumentalna okrągła budowla, cała z marmuru. Wygląda jak wielkie ciastko z białym kremem na małym zielonym talerzyku. Kolejne piętra tworzą nakładające się na siebie okrągłe platformy. Górne piętro zwieńczone jest kwadratową wieżyczką.

To zapewne z tego pałacu rozchodził się sygnał świetlny. Sufit z chmur zakrywa niebo i gwiazdy.

Po jeziorze pływają spokojnie łabędzie.

Mój łabędź z czerwonymi oczyma pewnie jest pośród nich, ale nie potrafię go rozpoznać.

Cała ta sceneria jest jakby żywcem przeniesiona z niepokojącego romantyzmu.

313

Nie mam już do swojej dyspozycji latającego rumaka. Moje łydki nie są wyposażone w skrzydła. Nie mam wyboru. Muszę dostać się na tę wyspę wplaw.

Powierzam moją brudną i porwaną togę trzcinom i w samej tylko tunice wchodzę do wody.

Zimna jak lód.

Przesuwam się coraz głębiej, obmywając kark i brzuch. Następnie, płynąc wolno stylem klasycznym, kieruję się w stronę białego pałacu. Odsuwam nenufary, wodne rośliny, rzęsę, żaby, kijanki. Zapach jaśminu i nenufarów góruje nad zapachem bagna.

Kilka łabędzi zbliża się w moją stronę, aby sprawdzić, co to za dziwne zwierzę moczy się w ich jeziorze.

Im dalej płynę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że budowla jest o wiele wyższa niż sądziłem. Najodważniejsze łabędzie są niemal tak blisko, że mógłbym je dotknąć. Przyglądają się, następnie płyną za mną.

Zbliżam się do wyspy. Na tarasie pojawia się ogromna postać.

Cyklopa można poznać po stroju kowala i jednym oku umieszczonym na środku czoła. Jest wyższy niż bogowie-mistrzowie.

Widzi mnie. Wyjmuje swój ankh, celuje w mój policzek i strzela. Nie zastanawiając się ani przez chwilę, nurkuję, a wystrzelony przez niego grom oświetla wodę pod powierzchnią. Dostałem w udo. Ostry ból. Jednak woda złagodziła siłę strzału.

Pamiętam, że czytałem w Encyklopedii, iż cyklopy są kanibalami. Co zrobią ze mną, jeśli mnie schwytają? Upieką na ruszcie? Wtedy nie skończę nawet jako cherubin czy centaur... N-ty etap drogi upokorzeń: zamienię się w ekskrementy cyklopa.

Płynę pod wodą.

Na szczęście w moim poprzednim śmiertelnym życiu umiałem długo płynąć, wstrzymując oddech.

Wynurzam głowę. Cyklop stoi na parterze, którego taras dochodzi do wody. Zaczynam opływać wyspę, żeby go ominąć.

Docieram do strefy bambusów i trzcin. Wtedy widzę go od tyłu. Szuka mnie. Podchodzi do ogromnego dzwonu i zaczyna nim kołysać.

Pojawiają się dwa pozostałe cyklopy.

Biorę trzcinę, łamię i robię z niej rurkę do oddychania pod wodą. Muszą uwierzyć, że utonąłem.

Czekam dobre pół godziny. Udo rwie z bólu. Potem, przemoczony, wydostaję się wreszcie na powierzchnię i podpływam do piaszczystego brzegu porośniętego krzakami, przeskakuję niewielki murek i wślizguję się na taras z białego marmuru.

Kulejąc, przemykam do wnętrza pałacu.

Nie odstąpić. Nie teraz.

Wchodzę do ogromnego pałacu z białego marmuru.

Odgłos ciężkich kroków zmusza mnie do ukrycia się za kolumną.

Tym razem to nie cyklop, lecz dwaj hekatonchejrowie, pięćdziesiąt-ciogłowe i sturękie olbrzymy. Czy ciągle muszę mieć do czynienia z potworami? Wydaje mi się, że pamiętam, iż cyklopi oraz hekatonchejrowie

314

byli strażą walczącą po stronie Zeusa podczas wojny z tytanami i z tego tytułu ich imiona łączy się ze zwycięstwem króla bogów.

Czekam, żeby przeszli. Kiedy hałas ich kroków oddala się, przemykam dalej.

Pałac Zeusa jest ogromny. Jego sufit znajduje się, tak na oko, na wysokości dwudziestu metrów. Odnoszę wrażenie, że jestem myszką, która przemyka w kociej norze.

Stojące w holu wejściowym rzeźby przedstawiają dwunastu bogów olimpijskich. Wszyscy patrzą z potępieniem. Nawet statua Dionizosa. Nawet Afrodyta. Na ścianach freski w pastelowych kolorach ukazują różne epizody z wojny bogów olimpijskich przeciw tytanom. Twarze wyrażają gniew, wściekłość, determinację.

Moje kroki dźwięczą na marmurze. Zostawiam za sobą kałuże wody.

Mijam duże drzwi i wchodzę na korytarz. Potem kolejne drzwi i kolejny korytarz. Potem jeszcze jedno i znowu inny korytarz. Drzwi są olbrzymie, z masywnego drewna, zdobione połączanym brązem.

Docieram do monumentalnych schodów. Pociągając nogą, wchodzę ostrożnie. Dochodzę do pustych korytarzy, majestatycznych pustych sal, niezliczonych kolejnych korytarzy, aż wreszcie jestem w oranżerii pełnej drzew rosnących w szerokich donicach z połączanego marmuru. Przyglądam się drzewom i zauważam, że ich owoce to szklane kule metrowej średnicy. Jak się dobrze przyjrzeć, pod szklanym kloszem znajdują się planety. Takie jak Ziemia 18.

Na wysokości korzeni drzewa, naprzeciw mnie widzę tabliczkę: NIE DOTYKAĆ.

Ten zakaz przypomina mi zdanie Edmonda Wellsa na temat Biblii: „Kiedy Bóg mówi do Adama i Ewy: «Możecie dotykać wszystkich drzew, z wyjątkiem tego, które jest pośrodku, ponieważ to jest drzewo poznania Dobra i Zła», to nie mógł ich bardziej zachęcić do dotknięcia tego drzewa. To tak samo, jakby powiedzieć dziecku: «Możesz bawić się wszystkimi zabawkami z wyjątkiem tej, która jest dokładnie naprzeciw twoich oczu»”.

Zaciekawiony wyjmuję ankh i przyglądam się powierzchni jednego z tych owoców. Ku mojemu zaskoczeniu ten świat wygląda naprawdę pięknie i bardzo harmonijnie.

Pochyliam się, aby zobaczyć to cacko z bliska i nawet nie zauważam, jak moja broda muska lekko powierzchnię. Zaledwie dotykam ścianki, a kula od razu się odczepia. Wydaje mi się, że spada w zwolnionym tempie i zaraz rozbija się, ciągle w zwolnionym tempie, na tysiące kawałków.

Najpierw nic nie słyszę, potem, kiedy wraca dźwięk, prawdziwa szklana detonacja rozbrzmiewa bez końca w ogromnej oranżerii.

W przeciwieństwie do kul w domu Atlasa, które zawierały tylko powietrze, tutaj, ku mojemu największemu przerażeniu, ze szklanej, przezroczystej osłonki wychodzi twarda kula!

Czyżby to była prawdziwa planeta?

Toczy się po sali, wydając przy tym dźwięk przypominający kule do kręgli. Tocząc się, miażdży swoje góry oraz zapewne także miasta i lu-

315

dzi. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, co się z nimi dzieje. Nietrzymane siłą grawitacji oceany pozostawiają za kulą-światem kałużę, jak ślimak swój śluz. Ulatująca atmosfera przekształca się w niebieski dym, który powoli rozchodzi się wokół kuli.

Kiedy wreszcie planeta zatrzymuje się przed znajdującą się w głębi ścianą, podchodzę, żeby zobaczyć, jak wygląda jej powierzchnia. Widzę ruiny. Ludzie zmiażdżeni jak mrówki, przygnieceni w swoich samochodach, na ścianach, w domach.

Jak dziecko, które zrobiło głupstwo, upewniam się, czy nikt mnie nie widział. Odsuwam planetę i jej resztki za drzewo w donicy.

Drzwi naprzeciw zachęcają do natychmiastowej ucieczki. Mijam kolejne drzwi, aż wreszcie mój wzrok zatrzymuje się na dużej kwadratowej sali, w środku której znajdują się wąskie kręcone schody.

Wspinam się długo.

Powinienem być na szczycie pałacu. Popycham długie skrzydło białych drzwi i wchodzę do kwadratowej sali co najmniej trzydziestometrowej wysokości. Pośrodku wznosi się piętnastometrowy tron. Widzę tylko tył oparcia. Stoi przodem do okna zamkniętego okiennicami i częściowo zasłoniętego długą purpurową tkaniną.

Nagle umieszczony na ruchomej osi tron zaczyna się obracać. W miarę, jak się przesuwa, ujawnia się czyjaś obecność.

Nie śmiem podnieść głowy. Serce mi wali, jakby chciało przedziurawić klatkę piersiową.

Widzę JEGO ogromne palce u stóp.

JEGO stopy w złotych sandałach.

JEGO kolana. JEGO tułów owinięty wieloma warstwami tkaniny ze złotą nitką.

I nad tym wreszcie JEGO ogromną twarz.

ON na mnie patrzy.

105. ENCYKLOPEDIA: ZEUS Jego imię oznacza „światliste niebo”.

Trzeci syn Kronosa i Rei, urodzony w Arkadii, na górze Licji. Ponieważ jego ojciec pożerał swoje dzieci z obawy, żeby nie pozbawiły go tronu, matka użyła podstępu, aby go uratować. Zamiast dziecka podała ojcu zawinięty w pieluszki kamień.

Rea ukryła następnie syna na Krecie. Młody Zeus wychowywany był przez nimfy, karmiony mlekiem kozy Amaltei, którym dzielił się z bogiem kozłów Panem.

Kiedy dorósł, zdetronizował swojego ojca Kronosa i zmusił go, aby zwymiotował połkniętych braci i siostry Zeusa, jak i kamień, który uratował mu życie. Na pamiątkę umieszczono go w świątyni w Delfach. Następnie wspomagany przez braci i siostry Zeus stworzył olimpijskie wojsko i pokonał tytanów, których przywódcą przez dziesięć

316

lat był olbrzym Atlas. Warto zauważyć, że ten okres odpowiada dziesięciu latom trzęsień ziemi, które dotknęły Grecję. Zeus wygrał wojnę i od tej chwili stał się królem świata. Kiedy matka zabroniła mu się ożenić, wpadł w straszny gniew i zagroził, że ją zgwałci.

Jedynym ratunkiem dla Rei okazała się jej umiejętność zamieniania się w węża. Ale... Zeus także zamienił się w węża i tym samym zgwałcił własną matkę.

Potem rozpoczął karierę wielkiego uwodziciela oraz gwałciciela. Warto podkreślić, że każdy „mitologiczny podbój” Zeusa odpowiada jakiejś greckiej inwazji na sąsiednie terytoria.

Jego pierwszym podbojem była Metis, słynna dziewczyna, która przygotowała napój, dzięki któremu Kronos zwymiotował swoje dzieci. Dokonawszy swojego czynu, Zeus, obawiając się, że Metis urodzi mu syna ojcobójcę, połknął go, co stało się przyczyną silnej migreny. Aby mu ulżyć, Prometeusz wywiercił w jego czaszce otwór, z którego wyskoczyła jego córka Atena, w pełnej zbroi i w hełmie na głowie. Korzystając ze swojej zdolności przybierania różnych postaci, uwiódł Europę, zamieniając się w byka, Danae - zamieniając się w złoty deszcz, Ledę - zamieniając się w łabędzia, swoją własną siostrę Herę - zamieniając się w ptaka. Zeus przybrał postać Apollina, aby uwieść Kallisto, pożyczył sobie cechy Amfitriona,

aby przespać się z jego żoną, która uchodziła za bardzo wierną małżonkę. Lista jego kochanek może przyprawić o zawrót głowy. Tymczasem zadowalał się nie tylko kobietami. Zakochał się „od pierwszego wejrzenia” w synu króla Troi, Ganimesesie, którego uważano za najpiękniejszego młodzieńca na Ziemi. Aby go schwycić, Zeus przybrał postać orła.

Znane są tylko dwa niepowodzenia miłosne Zeusa: matka Achilleusa oraz Asteria, jedna z Plejad.

Ponieważ ta ostatnia odmówiła związku z Zeusem, zamienił ją w przepiórkę. Wtedy Asteria rzuciła się do morza i przemieniła w wyspę Delos.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

106. PRYNCYPAŁ

A więc wreszcie stoję naprzeciw króla Olimpu.

Najbardziej zaskakuje mnie to, że jest... dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażałem.

To dziwne, ale otrzymanie tego, czego się najbardziej pragnęło, może okazać się mało znaczące. Zdaje się, że to Oscar Wilde powiedział takie zdanie: „W życiu są dwie tragedie. Pierwsza, to nie otrzymać tego, czego się pragnie. Druga, to otrzymać to, czego się pragnie. Ale gorsza

317

z tych dwóch jest druga sytuacja, ponieważ kiedy już otrzymaliśmy to, co było naszym pragnieniem, często jesteśmy rozczarowani”.

Przygląda mi się.

Ten siedzący na złotym tronie dziesięciometrowy olbrzym ma białą kręconą brodę, na której dostrzegam zdaje się kwiaty lili. Jego również białe włosy tworzą lwią grzywę, opadając ciężko na ramiona. Wysokie i lekko wypukłe czoło uwydatnia złota przepaska wysadzana niebieskimi diamentami. Zeus ma grube brwi. W głębokich oczodołach błyszczą czerwone oczy. Jego skóra jest biała. Ręce ogromne, umięśnione, z widocznymi żyłami.

W prawej ręce trzyma berło, z którego od czasu do czasu lecą iskry, jakby przeszedł przez nie prąd. W lewej ręce trzyma kulę, na której siedzi orzeł. Długa toga ze złotej nici tworzy rodzaj skomplikowanej draperii, opadając z jego ramion i układając się wokół kolan. Opasujące kostki i łydki złote rzemyki sandałów są także inkrustowane niewielkimi niebieskimi diamentami.

Sięgam mu zaledwie do łydek.

Nadal przygląda mi się, marszcząc brwi. Przypomina człowieka obserwującego małego chomika, który przyszedł żądać ziarna. Mówi: -WYJŚĆ.

Jego głos brzmi groźnie. Czuję szacunek i strach.

Potykam się i upadam..

- WYNOŚ MI SIĘ STĄD!

ON na mnie spojrział, ON się do mnie odezwał.

Porusza ręką, a ruch jego togi sprawia, że zrywa się wiatr.

To nie osłupienie ani też oczarowanie powodują, że nie mogę się podnieść, ale świadomość, że mam przed sobą najwyższą osobę w hierarchii dusz.

I ten absolutny władca osobiście zwrócił się do mnie. Jego głos łagodnieje:

- Nie rozumiesz, mały, co do ciebie mówię? Powiedziałem, żebyś sobie poszedł. Nie masz tu nic do roboty, dalej, wracaj do gry ze swoimi kolegami.

Rozszyfrowuję jego słowa. Z jednej strony czuję radość, że to ON zwraca się do mnie, z drugiej strony mam trudność ze zrozumieniem sensu jego słów.

Przeszkadzam mu. Z pewnością ma ważniejsze sprawy. I znowu wraca to pytanie, które tyle razy pojawiało się w moim życiu: „Co ja tu właściwie robię?”. I zaraz potem dźwięczą w mojej głowie inne zdania, które pojawiały się podczas przeżywania kolejnych przygód: „Być może jesteś tym, na którego czekamy” oraz „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy”. Czy to działa także w przypadku spotkania z Zeusem?

Nie po to zadałem sobie tyle trudu, by tu dotrzeć, żeby teraz się poddać. Ponieważ jestem „niczym”, nie mam „nic” do stracenia.

Moje nogi drżą, ale stopy pozostają w miejscu.

W jego spojrzeniu dostrzegam prawdziwe zdenerwowanie.

- WYJŚĆ! Nie rozumiesz? Chcę być sam.

318

Ani drgnę. W każdym razie nadal jestem do tego fizycznie niezdolny.

Afrodyta mówiła, że chce rozwiązać zagadkę Sfinksa po to, aby zobaczyć Zeusa. Hera, jego własna żona, powiedziała, że już od dawna nie ma od niego żadnych wieści. Czyli logicznie rzecz ujmując, nie chce, żeby mu ktokolwiek przeszkadzał.

Co by na moim miejscu zrobił Edmond Wells? Tego nie wiem, ale wiem, czego by nie zrobił. Z pewnością nie ukloniłby się na pożegnanie i nie powiedział: „Przepraszam, że przeszkodziłem, wychodząc, zamknę za sobą drzwi”.

Zeus patrzy na mnie miazdzącym wzrokiem. Jest ogromny. Pochyla się w moją stronę, tak jak ja kiedyś pochylałem się nad mrówką, która chciała wspiąć się na mój palec. I tak jak ona

jestem przerażony wielkością tego palca, wielkością boga. Mógłby zgnieść mnie palcami. Chcę się odezwać, ale nie mogę.

Marszczy brwi. Jego głos staje się niemal grzmiący.

- NIE CHCĘ NIKOGO WIDZIEĆ!

I dodaje trochę ciszej:

-Phi... Bogowie-mistrzowie, bogowie-uczniowie. Wszyscy przejmują się tylko sobą. Zachowują się jak śmiertelnicy, gorzej nawet, jak dzieciaki. Ego, ego. Chciałeś mnie zobaczyć, to zobaczyłeś. A teraz wynoś się.

Teraz to już naprawdę muszę coś odpowiedzieć albo szybko zmykać.

Mierzy mnie wzrokiem.

- W końcu ja też kiedyś chciałem zobaczyć mojego ojca Kronosa. Boga czasu... W tamtych czasach wydawał mi się prawdziwym olbrzymem, a teraz, widziałeś go, niewysoki człowieczek. To głupie, jak czasem widzimy ludzi.

Przestaje mówić i pochyla się w moją stronę.

- To Hera cię tu przysłała, co? Ciągłe mnie podejrzewa o nie wiadomo co. A już od dnia, kiedy przespałem się z Ganimesesem, jest całkiem nie do zniesienia. Już źle znosiła to, że zdradzałem ją z młodszymi dziewczynami, ale kiedy zobaczyła mnie z chłopcem, to chyba był cios zadany jej kobiecości.

Głaszcze swoją brodę.

- A co ona sobie wyobrażała? Ze się ograniczę do śmiertelnych kobiet? Sam biorę za wszystko odpowiedzialność. Ot, co. Jestem królem bogów i jestem „biseksem”. Mówiąc między nami, uważam, że szukanie nowych doznań jest dla artysty czymś naturalnym.

Wybucha gromkim śmiechem, zadowolony ze swojego odkrywczego sformułowania.

- No dobra, porozmawialiśmy trochę. Rozmawiałeś z królem bogów. Będziesz mógł zaspanować przed kolegami ze szkoły. Widziałeś wielkiego Zeusa. Teraz wynoś mi się stąd.

Za długo czekałem i zbyt dużo wycierpiałem, żeby teraz poddać się i wyjść.

- Nie chcesz sobie pójść, a więc zamienię cię w popiół.

Podnosi swój grom i przygotowuje się do strzału.

319

Zamykam oczy i czekam. Ale nic się nie dzieje.

- Chyba, że to Afrodyta cię przysłała. Ach, ta to jest dopiero! Z kim ona nie spała? Hefajstos, Hermes, Posejdon, Ares, Dionizos... Tylko... tylko ja jeden jej nie miałem... tak

więc to jej osobista ambicja. Kochać się ze mną, swoim zastępczym ojcem. Co za jędza! Podejrzewam, że spłodziła z Hermesem Hermafrodytę tylko po to, aby pochwalić mój biseksualizm. A teraz przysyła mi „uczniów”. I to nie było jakiego ucznia, tylko spryciarza, któremu udało się rozwiązać zagadkę mojego Sfinksa.

Siada wygodnie na tronie.

Powtarzam sobie w duchu: „Jestem niczym, więc nie mam nic do stracenia”.

I słyszę grzmiący głos:

- Sądysz, że ponieważ jesteś niczym, to nie masz nic do stracenia?

Czyta w moich myślach!

- Tak, oczywiście, ty moje „małe nic”, czytam w twoich myślach. W końcu jestem Zeusem.

Tylko się nie przejmować.

- Uważasz, że mówię zbyt „normalnie” jak na wielkiego Pana Boga? A pomyśl sobie o chomikach twojego Theotime'a. Co one widzą? Olbrzymów, którzy je karmią, przynoszą, którzy je zabijają. Uważają, że zajmujące się nimi dziecko to właśnie Wielki Pan Bóg. A jednak gdyby któryś z tych chomików mógł z nim porozmawiać, nie byłoby żadnego powodu, aby ten dzieciak odpowiadał mu górnolotnie. Zwróciłby się do niego w dziecięcy, naiwny, „normalny” sposób. Ja też jestem normalny, ale ty...

Co ja znowu zrobiłem?

- Raczej powinieneś zapytać, czego nie zrobiłeś. W porządku, dotarłeś tutaj, ale... co zrobiłeś ze swoimi talentami?

Przypomina mi się, jak Edmond Wells zacytował zdanie Jezusa: „W dniu Sądu Ostatecznego zostanie ci zadane tylko jedno pytanie: «Co uczyniłeś ze swoimi talentami?»”.

Przełykam ślinę.

- Od tego, kto otrzymał dużo talentów, dużo się będzie wymagać. Ty masz dużo talentów, wiesz o tym, Michaelu Pinsonie?

Mam wrażenie, że jego wzrok przeczesuje mój umysł. Muszę o niczym nie myśleć.

Ale jak o niczym nie myśleć? Być w samej tylko terażniejszości. Każde słowo, które wychodzi z jego ust, powinno być jedyną informacją, która krąży w moim umyśle. Jestem jak pusty dzban i wypełniam się jego słowami.

- Potrafiłeś tu przyjść. To dobrze. Potrafisz znajdować rozwiązania. Ale wykorzystałeś tylko dziesięć procent swoich możliwości.

Staram się oddychać normalnie.

- Wielki talent to wielka odpowiedzialność. Gdybyś nie miał talentu, byłbyś jak każdy inny. I nikt by ci z tego powodu nie robił wyrzutów. Ale ty... zauważyłeś kilka prawd, które nigdzie nie zostały zapisane. Zrobiłeś to intuicyjnie, co? I to pozwoliło ci dotrzeć aż tutaj... Dobrze, ale to nie wystarczy.

320

Czuję bicie serca.

- Nie jesteś byle kim, Michaelu Pinsonie. Jest w tobie tajemnica, z której istnienia nie zdajesz sobie sprawy. Czy wiesz, co oznacza twoje imię?

Nie.

- Pochodzi z języka hebrajskiego. Mi-Cha-El. Mi - co. Cha - jak. El - Bóg. „Co jest takie jak bóg?” Oto pytanie, które nosisz w sobie. I dlatego właśnie tu jesteś. Żeby wiedzieć, co jest takie jak bóg.

Nie mam odwagi rozumieć.

- Otrzymałeś wiele talentów, ponieważ... jak by to powiedzieć, są ku temu powody... być może dlatego, że niektórzy sądzili od dawna, że , jesteś tym, na którego czekamy". Niekiedy. Nie ja. Ale mnie rozczarowałeś. Uważam, że tylko w niewielkim stopniu wykorzystałeś swoje możliwości.

Co złego zrobiłem?

- Złego? Nic. Ale byłeś leniwy. Zrobiłeś za mało w stosunku do swoich możliwości. Dlaczego nie uratowałeś swojego ludu, dlaczego nie kochałeś bardziej Maty Hari, dlaczego nie umiałeś wyzwolić się spod wpływu Afrodyty, dlaczego nie poinformowałeś przyjaciół o swoich wątpliwościach na temat bogobójcy?

Wie o mnie wszystko.

- Dlaczego nie przyszedłeś tu... wcześniej?

To jest najlepsze. Dlaczego nie przyszedłem na szczyt Olimpu wcześniej?

- Wyszedłeś ze mnie. Jesteś również „moim synem”, Michael. Wiesz

o tym?

Nigdy nie sądziłem, że mam takiego wysokiego ojca.

Odsuwa swoje siedzenie.

- Rozwiązałeś zagadkę. Ta zagadka dotyczy ponizenia. Żeby o niczym nie myśleć, trzeba już niczego nie rozważać. Większość ludzi nie jest w stanie przeniknąć treści tej zagadki, ponieważ kiedy słyszą „lepsze niż Bóg”, dostają natychmiast zawrotów głowy, a kiedy im się powie „gorsze niż diabeł”, to tylko jeszcze bardziej się boją.

Przygląda się swoim dłoniom.

- Zdarzyło ci się myśleć o niczym? Cały problem z niczym sprowadza się do jednego pytania: „Jak można zdefiniować nieobecność czegoś?”. Nawet jeśli mówisz: To nie jest kieliszek, musisz pomyśleć o kieliszku, aby móc wyrazić tę nieobecność...

Uśmiecha się.

- Dlatego też nawet ateści określają się przez stosunek do Boga, a zatem sami sprawiają, że on istnieje. Z tego samego powodu anarchiści określają się przez swój stosunek do monarchii lub do kapitalizmu.

I dają się złapać w pułapkę. Ach, ta siła niczego... Ty znalazłeś odpowiedź, ponieważ nie jesteś agnostykiem, uznajesz swoją niewiedzę, a zatem nie jesteś skrępowany całą tą gmatwaniną zapatrywań, wierzeń, wiary, pewności. Pewność to śmierć umysłu. Pamiętasz zdanie twojego przyjaciela: „Mędrzec szuka prawdy, głupiec już ją znalazł”.

Pochyla się lekko.

321

- Nic, pustka, cisza. To takie silne. Pamiętam innego śmiertelnika z Ziemi 1, zupełnie nieznanego, którego nazwiska nie pamiętam. Wysłał do wydawnictw swój rękopis z adnotacją: „Napisałem tę książkę, ale najważniejsze dla mnie jest to, czego w niej nie ma”.

Powtarzam w myślach to zdanie, aby je dobrze zrozumieć.

- Najprawdopodobniej chciał w ten sposób powiedzieć, że to, co najważniejsze, należy przeczytać pomiędzy wierszami. Prawdziwy skarb został ukryty w pustym miejscu, pomiędzy czcionkami druku.

Zmienia się wyraz jego twarzy.

- Książki tego pisarza nie wydano. A przecież wszystko zrozumiał. To było za trudne dla jemu współczesnych... Powiedz mi więc, Michael, czy udało ci się nie myśleć o „Niczym”?

Nie.

- Zobaczmy. O czym myślisz, kiedy nie myślisz o niczym?

Myślę: „Tak naprawdę próbuję nie myśleć o niczym”.

- Trudne, prawda? Ale kiedy się już uda, ma się uczucie świeżości. To tak, jakby otworzyć okno w pokoju, w którym jest zepsute powietrze. Te wszystkie myśli, które zapychają nasz umysł jak porzrzucone po pokoju ubrania, które przeszkadzają w swobodnym poruszaniu się. Nawet jak się je ułoży, i tak przeszkadzają. Popatrz, tu nie ma mebli, nie ma rzeźb. Tylko mój tron i ja. Nic poza tym. Jestem, podobnie jak ty, niewolnikiem nieustannego wiru obrazów, pragnień, emocji.

Wstaje i podchodzi do ukrytego pod purpurową zasłoną okna, z zamkniętymi okiennicami. Przygląda się tkaninie, zauważa jakiś pyłek i strząsa go jednym ruchem dłoni.

- Chcesz wiedzieć? Chcesz iść do przodu? A więc zanim zaczniesz wyjaśniać kolejne tajemnice, mam dla ciebie jedną próbę.

W tym momencie Zeus zaczyna się powoli kurczyć. Zamiast dziesięciu metrów, ma już pięć, potem trzy, potem dwa i pół. Teraz jest wyższy ode mnie tylko o głowę. Mając taki wzrost, wywiera na mnie zdecydowanie mniejsze wrażenie. Przypomina zwyczajnego boga-mistrza. Prosi, abym poszedł za nim po schodach, które wiodą za jego tron.

Wchodzimy do kwadratowej niebieskiej sali. Przed nami dwoje drzwi. Zeus kładzie dłoń na klamce tych z prawej strony.

- Dokładnie słuchałeś tego, co ci mówiłem? Przypomnij sobie każde moje słowo.

Zeus powiedział, że przypominam mu jego samego, kiedy chciał spotkać się na Olimpie ze swoim ojcem. Powiedział, że moje imię jest kluczem. Mi-Cha-El. „Co jest takie jak Bóg?” Powiedział, że nie wykorzystałem moich wszystkich talentów.

Otwiera drzwi i oznajmia:

- Tylko wtedy można się wznosić, kiedy się stawi czoła przeciwnościom.

Obraca klamkę.

- Czy jesteś gotów walczyć po to, aby wiedzieć?

Jego dłoń nadal naciska na klamkę.

- W miarę jak się wznosisz, trudności stają się coraz większe. Czy jesteś gotów poznać swojego najgorszego wroga?

322

Otwiera drzwi i zaprasza, abym wszedł do środka. Na środku pokoju widzę klatkę. A w niej wroga, którego widok jest dla mnie szokiem. Cofam się.

Wielki Zeus szepce mi do ucha: - Tego się nie spodziewałeś, co?

107. ENCYKLOPEDIA: MUZYKA

Gdyby starożytni słuchali muzyki Wolfganga Amadeusza Mozarta, uznaliby, że brzmi fałszywie, ponieważ ich uszy nie były przyzwyczajone do odbioru tego rodzaju dźwięków. Początkowo rzeczywiście ludzie znali tylko dźwięki wydobywające się z rogu, który był pierwszym instrumentem muzycznym. Podstawowa nuta szła w parze z oktawą górną lub dolną. Na przykład dolne i górne do były jedynym akordem uważanym za przyjemny dla ucha. Dopiero potem uznawano za harmonijny akord nuty podstawowej i jej kwartę, to znaczy nutę o cztery tony wyższą. Na przykład do w połączeniu z fa.

Potem człowiek uznał za przyjemne dla ucha połączenie nuty podstawowej z jej kwintą, czyli nutą o pięć tonów wyższą, na przykład dla do to było sol. Potem tercja, do mi.

Ten rodzaj akordów panuje do czasów średniowiecza. W tamtej epoce tryton, czyli różnica trzech tonów, był zakazany i do fa z krzyżykiem jest połączeniem traktowanym jako diabolis in musica: co oznacza w dosłownym tłumaczeniu „diabeł w muzyce”.

Począwszy od czasów Mozarta, zaczyna się w muzyce stosować siódmą nutę. Do zestrąja się z si i akord do mi sol jest początkowo akceptowalny, a potem uważa się go za harmonijny.

Dziś jesteśmy przy jedenastej lub trzynastej nucie, licząc od nuty podstawowej, zwłaszcza w muzyce jazzowej, gdzie dozwolone są najbardziej „fałszywe” dźwięki.

Muzyki można słuchać całym ciałem. Ponieważ ciało, nie będąc pod wpływem kultury ucha czy też mózgu, jest w stanie postrzegać to, co uważa za przyjemne. Ludwig van Beethoven, który był pod koniec swojego życia głuchy, komponował muzykę, trzymając w ustach linijkę, którą opierał na brzegu fortepianu. W ten sposób czuł nuty swoim ciałem.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

323

108. MÓJ NAJGORSZY WRÓG

Osoba w klatce to człowiek ubrany w brudną tunikę. Kiedy wchodzi, siedzi odwrócony tyłem, ponieważ zajęty jest czytaniem. Książka, którą trzyma w dłoniach, to nie była jaka książka.

To Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej.

Odwraca się i tym łatwiej rozpoznaję jego twarz, że... jest to moja twarz.

Dłoń, a raczej sam tylko kciuk Zeusa popycha mnie do środka klatki i słyszę za sobą chrobot kłódki.

- Kim pan jest? - pytam.

- A pan kim jest? - odpowiada ten drugi głosem, który jest podobny do mojego, ale nie całkiem taki sam.

Chyba, że zwykle słyszę mój głos od środka, a teraz mam okazję usłyszeć go od zewnątrz.

- Michael Pinson - odpowiadam.

Podnosi się.

- Nie, to niemożliwe. Bo to ja jestem Michael Pinson.

W końcu nie będę facetowi udowadniał, że jestem jedynym prawdziwym Michaeliem Pinsonem.

- No dobrze, skoro prezentację mamy już za sobą, zostawiam wam klucz, żebyście mogli wyjść.

Wtedy król Olimpu kładzie wysoko, pomiędzy dwoma prętami klatki klucz, który wygląda na to, że pasuje do kłódki.

- Zwycięzca będzie mi towarzyszył w dalszej części zwiedzania.

Wychodzi, trzaskając drzwiami.

- Nie wiem, jak pan tu się dostał - mówię - ale ja szedłem jedyną drogą i byłem sam.

- Ja również.

- Zeus kazał mi wejść - dodaję. - A pan był w klatce przede mną.

- Zeus kazał mi zaczekać i powiedział, że mi kogoś przedstawi.

- Mam tylko jedną duszę, nie można jej podzielić na dwoje.

A jednak czuję, że ten człowiek nie jest tylko zwyczajnym kameleonem, który mnie naśladowa, ani przebrany bogiem-ucniem.

To naprawdę ja. Zresztą, kiedy na niego patrzę, rozumiem, że mówi sobie to samo w tej samej chwili.

- W takim razie Zeus chce zobaczyć...

- ...jak walczymy przeciwko sobie - kończę rozpoczęte zdanie.

- To zaleta być podobnym - mówi mój odpowiednik - od razu wiadomo...

- ...co drugi myśli, już w chwili, kiedy myśli, prawda? Ale to grozi tym...

- ...że trudno nam będzie się rozdzielić.

Kiedy on się zastanawia, jest tak, jakbym słyszał jego myśli jako własne:

- Skoro Zeus wystawił nas na taką próbę, to znaczy, że w efekcie...

- ...ma zostać tylko jeden z nas.

324

To zadziwiające, ale kiedy już minęła nieufność i wiem, że ten naprzeciw to rzeczywiście ja, jestem bardzo wzruszony.

Jakby w odpowiedzi na moją myśl tamten oznajmia:

- To normalne. Nikt nie może wygrać, bo obydwaj mamy tyle samo siły, jesteśmy tak samo inteligentni i szybcy.
- Poza tym nie możemy nawzajem się zaskoczyć.
- Jedynym sposobem zaskoczenia byłoby...
- ...zaskoczyć samego siebie.

I mówiąc to, skaczę mu na szyję i próbuję go udusić. Uwalnia się stylem, który jest typowo moim, odsuwając moje ręce i kopiąc w brzuch.

Czuję, że jego strach jest tak samo silny jak mój. Tak samo jak ja nie potrafi się bić, ale rzuca się do przodu i próbuje improwizować.

- Brawo, niemal mnie pan zaskoczył.

Dokładnie to samo zdanie, które ja chciałem powiedzieć.

W tej samej chwili dobywamy naszych ankh i celujemy sobie w policzek.

- Cały problem w tym, że obydwaj wiemy, że strzelimy w tej samej chwili. Jeśli więc którykolwiek z nas strzeli, zabijemy się prawdopodobnie nawzajem.

Ma rację.

- Chyba, że obydwaj wycelujemy w jakieś części ciała, których zranienie nie grozi śmiercią - proponuję.
- Zranić się w ręce lub nogi? To przecież będzie jatka.

Nadal mierzymy do siebie.

- Musimy przyjąć, że nie ma fałszywego i prawdziwego Michaela Pinsona, ale jest dwóch prawdziwych.
- I co to zmienia?
- To znaczy, że jeśli jeden z nas umrze, to i tak drugi będzie kontynuował swoje odkrywanie wszechświata.
- Dokładnie.
- W takim razie wystarczy, żeby jeden z nas się poświęcił.
- Problem w tym - mówię - że mimo wszystko każdy z nas uważa, że tylko on zasługuje na przeżycie.
- Ponieważ mamy dwie świadomości, nawet jeśli są zupełnie takie same.

Uśmiecham się, po czym uderzam głową w jego klatkę piersiową, ale on przewidział atak i sobie z nim poradził. Wymijam go i jestem gotów zaatakować od tyłu. W zasadzie jestem w

doskonałej pozycji do takiego ataku. Schylam się, łapię go za nogę i przewracam. Potem znowu próbuję go udusić. Obydwaj tak samo wywieszamy języki. Nasze twarze są przekrwione.

- Stop - odzywamy się jednocześnie.

Obydwaj rozluźniamy uścisk.

- Zastanówmy się wspólnie - proponuję.

- Właśnie miałem to zasugerować.

- Może zaczniemy od przejścia na ty.

Uśmiecha się z rozbawieniem.

- Oczywiście. Ścierając się bezpośrednio, nic nie wskóramy.

325

- A więc jesteśmy zmuszeni się połączyć - stwierdzam. - Ale to potrafimy zrobić, nie? Już daliśmy tego przykład.

- Problem w tym, że Zeus zgodzi się na tylko jednego zwycięzcę. Nie będziemy wiecznie podwójni.

- To wcale nie jest dobre dla umysłu. Zawsze sądziłibyśmy, że ten drugi nas wykorzystuje, chociaż tak naprawdę nie jest nami.

- Usiądźmy - proponuje moje drugie ja.

- Jesteś moim lustrzanym odbiciem. O ile nie jesteś moim wcielonym odbiciem.

- Zależy, z której strony lustro stanąć - mówi. - Ty też jesteś odbiciem.

To nie będzie łatwe.

- A więc, żeby nam się udało, musimy się sprzymierzyć. Jednak, jak czytałeś o tym w Encyklopedii, istnieje dylemat więźnia.

- Oczywiście. Ten słynny dylemat, który mówi, że nikt nigdy nie może nikomu zaufać. I każdy uważa, że ten drugi w ostatniej chwili go zdradzi.

- Z tą różnicą, że ten drugi to my sami. A więc powstaje pytanie: „Czy mogę zaufać samemu sobie?”

Uśmiecha się i po raz pierwszy stwierdzam, że jest w nim coś sympatycznego. Te kilka spotkań, jakie odbyłem ze swoim odbiciem, to tylko poranne golenie przed lustrem. Ponadto czasami ta twarz o pergaminowej skórze i nerwowym spojrzeniu wydawała mi się raczej odpychająca niż przyciągająca. I to aż do tego stopnia, że zadawałem sobie pytanie, jak kobiety mogą uważać mnie za przystojnego. Pamiętam też, że to właśnie kobiety pomogły mi

odkryć, że pomimo mojej naturalnej niechęci do własnego wizerunku, mogę być uwodzicielski. To prawda, spojrzenie kobiet było bardziej wspaniałomyślnym lustrem niż mój własny wzrok.

Najpierw wzrok mojej matki, potem siostry, potem moich kochanek i Rose, mojej żony na Ziemi 1. Potem w Aedenie Afrodyty i Maty Hari.

- Co sądzisz na temat mojego wyglądu? - pytam.
- Taki sobie - odpowiada. - A ty?
- Niewiele lepiej.

Obydwaj śmiejemy się przez chwilę.

- A zatem nie jesteśmy skłonni się docenić.

Przypomina mi się to, co widziałem na kontynencie umarłych w czasach, kiedy byłem jeszcze tanatonautą. W ramach procesu śmiertelnika archanioły każą przede wszystkim, aby dusza osądzała się sama za swoje poprzednie życie. Dusze są mniej wyrozumiałe dla swojej własnej przeszłości niż sędziowie z urzędu. Wielu woli cierpieć w następnym wcieleniu, aby odkupić popełnione w poprzednim życiu grzechy. Na koniec naszego życia jesteśmy dla nas samych nieprzejednani, zwłaszcza że wiemy, co zrobiliśmy dobrze, a co źle. Jednak nie uważam, że za życia miałem szacunek dla samego siebie. Kiedy byłem aniołem, też nie. A nawet wtedy, kiedy byłem bogiem. Zawsze żyłem z myślą, że Jestem wstrętny".

I faktycznie, ten drugi przygląda mi się ze swego rodzaju pogardą, która przypomina moje uczucia wobec Raoula, nim wsadziłem moją pięść w jego twarz.

326

- I może to jest właśnie klucz do rozwiązania problemu. Pokochać się - mówię.
- Dobrze, ale w takim razie muszę ci coś wyznać: nigdy się nie lubiłem.
- Wiem. Ja tak samo.
- Nigdy nie uważałem się za przystojnego, nigdy nie uważałem się za inteligentnego. Odnoszę wrażenie, że miałem szczęście, kiedy udało mi się zdać egzaminy w szkole, a potem na uniwersytecie.
- Powiem więcej, zawsze uważałem się za oszusta, kogoś, kto okłamywał swoje otoczenie.
- I komu ty to mówisz!
- I mam ci parę rzeczy do zarzucenia.
- Śmiało, to dobry moment.

- Są takie zdarzenia z twojej przeszłości, które ani trochę mi się nie podobają. Pamiętasz taki przypadek, kiedy facet cię zwymyślał, a ty nic nie powiedziałaś?

-No i?

- Powinieneś był się bronić. Nikt nie ma prawa odnosić się do ciebie bez szacunku.

- Doskonale wiem, do jakiej sytuacji odnosi się ta aluzja. Ale przypomnij sobie, że miałem wtedy siedem lat.

- Nie szkodzi, to tchórzostwo powtarzałeś potem wielokrotnie. To mnie zawsze w tobie raziło, to niskie poczucie własnej wartości zamiast afirmacji samego siebie.

- Łatwo ci mówić! A pamiętasz, jak w wieku ośmiu lat przyłożyłeś temu otyłemu chłopcu, na którego wszyscy wołali „gruba beka pełna mleka”? Do bicia kozłów ofiarnych to miałeś odwagę.

- „Gruba beka pełna mleka”? Ależ wszyscy go bili podczas przerwy. Chciałbyś, abym ja jeden go oszczędził? Był śmieszny! I głupi... A poza tym lubił, jak się go bije. Śmiał się, kiedy dostawał lanie.

- „Gruba beka pełna mleka”. Jak myślisz, kim został?

- Nie wiem... cukiernikiem?

- Przez całe życie był nieszczęśliwy i prześladowany.

-Ale przecież nie ja sam jestem odpowiedzialny, tylko my wszyscy. Cała klasa. Trzydzieści osób. Nawet dziewczyny go biły, żeby się pośmiać.

- Więc jesteś wśród trzydziestki odpowiedzialnych za jego ból. Uczestniczyłeś w biciu.

- Bez przesady.

- Mam ci jeszcze coś do zarzucenia. Dlaczego tak późno zacząłeś uprawiać seks? Dopiero, gdy miałeś dwadzieścia lat. To jednak trochę późno.

- Na pierwszy raz chciałem jakąś ładną dziewczynę.

- Oczerniłeś wszystkie miłe dziewczyny, które miały wobec ciebie dobre zamiary.

- Chciałem, żeby ten pierwszy flirt był romantyczny.

- Gadasz! Gardziłeś wszystkimi dziewczynami, które pokazywały, że im na tobie zależy, a zakochiwałeś się tylko w dziwkach. Już wtedy fascynowały cię małe afrodytki.

327

- Lubię młode dziewczyny z charakterem.

- Masz w sobie coś z masochisty. Całujesz rękę, która cię bije, gryziesz tę, która cię głaszcze.
- To nieprawda. Za każdym razem, kiedy napotykałem problemy w związku, dawałem sobie spokój.
- Ale pozwalałeś im się rozwijać. Zamiast od początku być stanowczym.
- Niczego mi nie odpuszczisz, co?
- A w pracy nigdy nie miałeś odwagi się postawić
- Pamiętasz swoich kolegów? Zabójcy. Zjedliby siebie nawzajem, żeby się przypodobać szefom. Nie miałem ochoty na tę grę.
- Więc ty pozwalałeś wszystkim się pożerać. Widziałeś, jak codziennie zmniejsza się twoje terytorium.
- Zgoda, nigdy nie byłem wojownikiem, ani żeby się bronić, ani żeby uwodzić, ani też aby napadać na sąsiednie terytoria. I to dlatego mnie nie lubisz?
- Między innymi. Ale najgorsze jest to, że traktowałeś swoją słabość jako formę uprzejmości. Nie do mnie z tym, wybaczone. Zbyt dobrze cię znam. Byłeś tchórzem, to wszystko.
- Skążesz mnie i co dalej? Zabijesz? Dobrze wiesz, że walka nie leży w interesie żadnego z nas.

Nagle wymierza mi policzek. Natychmiast odpowiadam uderzeniem pięścią. Przystaje.

- Dlaczego to zrobiłeś? - pytam.
- To kara za twoje tchórzostwo. Dalej, uderz raz jeszcze, tak żebym się przewrócił i żebyś ty się przewrócił. Nie po to, żeby wygrać, tylko żeby spłacić długi naszego życia.

Znowu rzuca się na mnie i próbuje mnie stłuc, tak że ledwie udaje mi się uniknąć ciosu.

- Drań - mówi.
- Sam jesteś drań.

Uderza mnie pięścią między żebra, aż tracę oddech. Teraz ja celuję w łuk szczękowy, który pęka. Tarzamy się po ziemi. Uderzamy coraz silniej.

Zauważam, że wobec siebie samego jestem twardszy niż byłem wobec Raoula. Biję, żeby złamać. Ostatecznie jestem na górze, łączę obie pięści i przygotowuję się do lupnięcia go w czaszkę, ale nagle przez chwilę się waham. Tak jak Theotime podczas walki bokserskiej. Jak mój Wyzwoliciel podczas oblężenia stolicy orłów. Nie pałam do niego nienawiścią, nie nienawidzę siebie tak, żeby się zniszczyć.

Puszczamy się i stajemy twarzą w twarz.

- Widzisz, teraz się bronię i nie pozwalam się obrażać.
- Tak bardzo masz mi to za złe? - mówię, dotykając zranionej wargi-
- Nawet się nie domyślasz, jak bardzo.
- No to przynajmniej to sobie wyjaśniliśmy Wyrzuć to z siebie raz na zawsze. Nie chcę już się bić.

I po chwili dodaję:

328

- Nie musisz być doskonały. Musisz tylko być uczciwy wobec samego siebie.

Wyciągam do niego rękę. Spogląda na nią i waha się, czy ją uścisnąć. Długo patrzy mi w oczy. Mam wrażenie, że nie jest jeszcze gotów zostać moim przyjacielem. Ale mimo wszystko nadal trzymam wyciągniętą rękę jako znak mojej dobrej woli. Po chwili, która wydaje się bardzo długa, powoli zbliża swoją rękę i czuję, jak jego dłoń dotyka mojej.

- Dobrze, i co robimy? - mówi, puszczając rękę.

Przyglądam się naszemu więzieniu.

- Powinniśmy wyjść stąd razem, jesteśmy skazani na to, by się połączyć.
- Najśmieszniejsze jest to, że chyba po raz pierwszy zaufam samemu sobie - mówi.
- „Nam” - ostatecznie wolę używać określenia „nam” - w końcu przebyliśmy szmat drogi, żeby tu dotrzeć. Nikomu przed nami to się nie udało. Kiedy dosiadaliśmy Pegaza, byliśmy sami. Kiedy stawiliśmy czoła cyklopowi, byliśmy sami.

- To prawda.

- To znaczy, że wcale nie jesteśmy tacy do niczego. A Raoulowi, którego tak podziwialiśmy, nie udało się.

- Nawet Edmond Wells, nawet Juliusz Verne poniósł klęskę, a nam się udało.

- Nawet Afrodyta. Nawet Hera. Wszyscy rozłożyli ręce. A my... dotarliśmy tu! DOTARLIŚMY!

Przygląda mi się dziwnie.

- Wiesz, co najbardziej mi się w tobie podoba?

To, że znowu przechodzi na formę „ty” trochę mnie zaskakuje. Chciałem to zrobić pierwszy. Był ode mnie szybszy.

- Nie, proszę, mów.

- Twoja skromność. Zeus o tym wiedział: żeby rozwiązać zagadkę, musieliśmy być pokorni.
- A wiesz, co ja podziwiam w tobie?
- Nie czuj się zobowiązany odwdzińczyć mi się.
- Twoją umiejętność podawania w wątpliwość. Widzisz, jak szybko wyszliśmy z frontального ataku i zaczęliśmy szukać rozwiązania?
- Dobrze, a więc jesteśmy w więzieniu i wyjdziemy z niego razem, mimo że Zeus chce tylko jednego. Zgoda? - pyta.

Zdanie o przymierzu tanatonautów łopocze w mojej głowie jak flaga, która kiedyś przynosiła mi szczęście.

- „Z miłością do szpady, z humorem do tarczy” - dodaję.

Podnoszę głowę, żeby zobaczyć leżący u góry klucz. Nawet nie muszę nic mówić, wydaje mi się, że teraz mogę porozumiewać się z moim drugim ja telepatycznie.

Robię drabinkę, a on wspina się po niej tak samo niezręcznie, jak ja bym to zrobił. Na szczęście nie jest zbyt ciężki i pomimo zmęczenia udaje mi się podsadzić go do sufitu.

Maca, uczepia się górnych prętów jak małpa, potem wreszcie udaje mu się zrzucić klucz.

329

Wówczas, pomagając sobie czterema rękami, wkładamy klucz do kłódki i przekręcamy tak długo, aż zapadka puszcza.

Kłódka spada i jesteśmy wolni.

- Wyjdźmy razem, a potem zobaczymy - proponuję.

We dwóch stajemy przed Zeusem.

Król bogów przygląda nam się ze zdziwieniem.

- Prosiłem, żeby został tylko jeden - przypomina.
- Teraz albo my dwaj, albo nikt - oznajmiam.

Zeus pochyla się, wyraźnie rozbawiony moją uwagą.

- No, no, a niby jakim prawem podajesz w wątpliwość prawa, które obowiązują na Olimpie, mój drogi uczniu?
- Takim prawem, że kocham go bardziej niż ciebie - odpowiada mój odpowiednik.
- Szkoda. W takim razie zmuszacie mnie, żebym...

Król bogów chwytą grom i nim zdążę zareagować, zamienia moje drugie ja w proch. Chyba, że jest na odwrót.

- Brawo, przeszedłeś próbę, więc pozwolę ci zwiedzić resztę mojego pałacu.

Ponownie schodzimy po schodach, a Zeus otwiera drzwi, tym razem te z lewej.

- Aby wszystko zrozumieć - oznajmia - zapamiętaj sobie, że pierwszą funkcją wszechświata jest bycie miejscem spektaklu przeznaczonym dla rozrywki bogów.

109. ENCYKLOPEDIA: GLADIATOR

„Czego chce lud? Chleba i igrzysk”. To słynne zdanie pokazuje, że w czasach starożytnego Rzymu igrzyska miały ogromne znaczenie. Ludzie przybywali z całego świata po to, żeby zobaczyć gladiatorów. W dniu otwarcia Koloseum nie tylko poświęcono życie ogromnych rzeszy istot ludzkich, ale także niezliczoną ilość lwów, specjalnie przywiezionych z gór Atlas. Koloseum wyposażone było w system wind, przeznaczonych do transportu drapieżników, a także gladiatorów oraz elementów scenografii.

Spektakle były nierzadko „sponsorowane” przez polityków, którzy chcieli w ten sposób zwiększyć swoją popularność. Wcześniej rano gladiatorzy jedli śniadanie w obszernej sali, do której mogli wejść widzowie, mogli nawet dotknąć ich bicepsów. To zachęcało ich do robienia zakładów. Gladiatorzy byli bardziej otyli niż umięśnieni, ponieważ tłuszcz pozwalał im na zniesienie większej ilości ran. Wspecjalizowani w tej sztuce reżyserzy ustawiali pojedynki, przeciwstawiając małych i szybkich dużym i powolnym albo też gromadząc kilku przeciwników przeciwko jednemu, szczególnie uzdolnionemu. Historycy szacują, że przeżyło 5% gladiatorów. Od tej chwili byli traktowani jak gwiazdy, stawali się bogaci i otrzymywali wolność. Między

330

południem a czternastą, aby rozerwać tłum, organizowano tak zwane Meridioni, czyli publiczne egzekucje. Tu też reżyserzy starali się zabijać skazańców w jak najbardziej straszny i spektakularny sposób. Podczas tej „przerwy” obwoźni handlarze sprzedawali na trybunach jedzenie.

Po czym spektakl gladiatorów zaczynał się na nowo. Wieczorem, kiedy ostatnie walki zakończyły się śmiercią, publiczność mogła wejść na arenę i zamoczyć chleb we krwi pokonanych, obfitującej w męską energię i w związku z tym uważanej za afrodyzjak. Sukces rzymskiego cyrku był tak wielki, że pozostałe włoskie miasta prześcigały się w budowie swoich. Mniej bogate miasta, które nie miały wystarczających środków, aby sprowadzić z Atlasu lwy, zadowalały się alpejskimi niedźwiedziami albo, w przypadku najmniej zasobnych, bykami.

Problem z uśmiercaniem przez niedźwiedzie i byki był taki, że trwało to o wiele dłużej; jako że te zwierzęta nie są dla człowieka drapieżnikami, zadowalały się tylko ranieniem go lub wypruwaniem wnętrza, ale bez zabijania.

Co ciekawe, pierwsi chrześcijanie nie potępili nigdy igrzysk, nigdy też nie wyrazili swojego współczucia dla losu gladiatorów. Kilka tekstów krytykujących te działania oskarża je wyłącznie jako „niepotrzebną rozrywkę”.

Za to teatr został wyraźnie potępiony jako działalność bluźniercza. Zaś aktorzy, uważani za osoby nierządne, czy były to kobiety, czy też mężczyźni, nie mogli otrzymać ostatniego namaszczenia ani zostać pochowani na chrześcijańskich cmentarzach.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

110. PAŁAC KRÓLEWSKI

Zeus zaprasza, abym wszedł za nim do komnaty, której środek zajmuje złoty kieliszek do jajek, na którym umieszczono kulę o średnicy jednego metra.

Radzi, żebym się jej przyjrzał.

Wyjmuję ankh i podchodzę do szklanej ścianki.

- Oto spektakl, który nieczęsto przyjdzie panu w przyszłości oglądać, gdziekolwiek by to było.

Można by powiedzieć, że w środku nie ma żadnej planety, tylko coś, co przypomina mi „czarne powietrze”. Dotykam. Jest zimne jak lód.

- Ładne, prawda?

- Co to takiego?

- Prawdziwe „Nic” - oznajmia. - Żadnego światła, żadnego ciepła, żadnej materii, żadnej energii. To arcyzadanie i cenne. Wszędzie coś istnieje. Trochę gazu. Trochę światła. Trochę hałasu. Marzenie. Idea.

331

Myśl. A tu nic, absolutna cisza. Totalna ciemność. Miejsce, które zostało oszczędzone przed ludzką głupotą i zarozumiałością bogów, miejsce, w którym nawet nie waha się wyobraźnia. Miejsce, w którym nawet ja nie mogę działać. Czysta scena, na której może rozpocząć się jakikolwiek spektakl. Czy wyobraża pan sobie możliwość tej Próżni? Od czystości do punktu kulminacyjnego.

Zeus głaszcze kulę jak ogromny rubin.

- I to jest właśnie paradoks. Kiedy ma się wszystko, chce się... niczego.

Stoję bez ruchu.

- Powiesz mi: Po co posiadać taką kulę „Niczego?”. A ja ci odpowiem: żeby powołać do życia nowy wszechświat.

Zaczynam rozumieć.

- Gdyż wszechświat może narodzić się tylko z niczego.

Przyglądam się czarnej kuli.

Przypomina mi się zdanie z Encyklopedii- „Jeżeli Bóg jest wszechmocny... to czy mógłby stworzyć miejsce, w którym nic nie ma i w którym jego nie ma?"

Oto problematyka. Nie określamy siebie tylko przez to, czym jesteśmy, ale również przez to, czym nie jesteśmy. Bóg jest wszystkim, a zatem określa się przez wszystkie miejsca, w których jest niczym...

Wstrząsa mną dreszcz.

- Boisz się mnie? To dobrze, Michael, strach przed Bogiem jest istotny.

Chcę się odezwać, ale nadal nie potrafię.

Jego czerwona źrenica przygląda mi się z jeszcze większym natężeniem.

- Najpierw chciałbym wiedzieć, co ty wiesz albo też sądzisz, że wiesz, na temat porządku we wszechświecie, Michaelu Pinsonie. Czy znasz indiańską symbolikę cyfr?

Przetykam kilkakrotnie ślinę, potem wreszcie udaje mi się wyrecytować tę lekcję, której już dawno temu nauczyłem się na pamięć:

- 0: kosmiczne jajo, 1: materia mineralna, 2: żywe rośliny, 3: poruszające się zwierzęta, 4: człowiek rozumny, 5: człowiek duchowy, który się wznosi, 6: anioł, który kocha.

-1 dalej...

- No więc, ja bym powiedział tak:

Bóg-uczeń 7,1 Chimera 7,3

Bóg-mistrz pomocniczy 7,5 Bóg-mistrz 7,7 A potem ty... 8

Kiwa potakująco brodą.

- 8. Jak nieskończoność.

Zeus poklepuje kulę.

- Na początku nie było nic. Potem pojawiła się myśl.

Otwiera boczne drzwi znajdujące się z lewej strony i prowadzi mnie do długiego korytarza z marmuru w biało-czarną szachownicę.

- Ta myśl przekształciła się w pragnienie. To pragnienie przekształciło się w wyobrażenie. To wyobrażenie przekształciło się w słowo. To słowo w czyn. Ten czyn w materię.

Naciska klamkę. Za drzwiami znajduje się muzeum. Pokazuje mi rzeźbę ameby z żywicy, powiększonej i przezroczystej.

- Pamiętam, jak wymyśliłem życie. Subtelna mieszanina aminokwasów w skomplikowanych dawkach. Pamiętam, jak...

Na jego ustach pojawia się lekki uśmiech. Pokazuje mi potem inne rzeźby. Ryby, jaszczurki, lemury, naczelnie.

- Pamiętam, jak narodziła się myśl o seksualności wyrażonej poprzez dwie istoty tego samego gatunku, ale trochę różniące się między sobą i uzupełniające się. Teraz to wydaje się oczywiste, ale wtedy to było prawdziwe odkrycie. Samiec i samica. A to wszystko po to, żeby w przypadkowy sposób pomieszać chromosomy. Chciałem, aby moje stworzenie zaskakiwało mnie, a zatem wymyśliłem, że pozwolę im na samodzielne mieszanie swoich genów. Żeby zobaczyć...

Mury pokryte są wielkimi plakatami, na których widoczne są drzewa przedstawiające w schematyczny sposób ewolucję gatunków.

- Pierwszych samców w ogóle nie pociągały samice. Musiałem więc wymyślić motywację w postaci przyjemności. I dodać ośrodek nerwowy, a także receptory, rozmieszczone wszędzie po trochu. Tak, by coś czuli w chwili, kiedy mieszają się gamety.

Oddaje się marzeniom.

-Ach, ta seksualność! To wcale nie było takie oczywiste. Szukałem po omacku... Nawet testowałem na takich systemach jak stonogi. Numery z umocowanymi haczykami. I wreszcie pewnego dnia wymyśliłem system oparty na penisie zwiększającym swoją objętość poprzez nadmuchiwanie ciał jamistych. Skóra musiała być bardzo elastyczna, a jednocześnie wytrzymała na ucisk. A potem trzeba było pomyśleć o sztautowaniu. Ach, to było prawdziwe wyzwanie dla inżyniera, chemika i architekta. Należało z dokładnością do jednego milimetra przeanalizować strefy smarowania i tarcia. Jądra musiały zostać umieszczone na zewnątrz, aby zapewnić chłód plemnikom... Gdybym mógł to zrobić po raz drugi, postąpiłbym inaczej. To jednak trochę skomplikowane.

Odwraca się w moją stronę.

- W pewnej chwili chciałem darować sobie całe dopasowywanie i zbudować taki system, jaki występuje u niektórych owadów: samiec wbija w podłoże igłę, w której czubku znajduje się torebeczka z jego spermą. Następnie samiczka siada na górze i sprawia, że do jej brzucha wnika torebka, która tam pęka. To dobrze działa u płazów i ryb. Jednak to nie było skuteczne, ponieważ igła mogła zostać zjedzona przez obojętnie jakie zwierzę.

Otwiera drzwi znajdujące się w głębi muzeum. Sala przypomina biologiczne laboratorium. Na znajdujących się wzdłuż ścian półkach stoją wypełnione formaliną słoiki, w których zanurzone są ciała zwierząt i ludzkie narządy.

Pokazuje mi statuetkę jakiegoś obdartego ze skóry człowieka, któremu widać wszystkie mięśnie.

333

- Pomyślałeś o laboratorium Hermafrodyty. Wiem o tym. Ten operetkowy półbóg uważa się za mnie, naśladuje mnie, jak tylko jakaś informacja przeniknie z pałacu królewskiego. To tutaj, w tym pomieszczeniu, wpadłem na pomysł stworzenia drugorzędnych stref ero-gennych. Rozwinąłem je głównie na użytek kobiet. Co do mężczyzny, to wolałem skoncentrować wszystko w newralgicznym punkcie, czyli w penisie. Bo inaczej byłiby „zbyt wrażliwi na laskotki”. A to niedobre w czasie wojny. Potem trzeba było wszystko wyczelować. Postanowiłem, że kobiecy orgazm będzie bardzo intensywny, po to, aby od razu po stosunku nie chciała wstawać, bo to zmuszałoby plemniki do uprawiania alpinizmu.

Głaszczesz jakieś popiersie, którego twarz jest dość podobna do jego twarzy.

- W przypadku człowieka wszystko trzeba było wyczelować. Popatrz, choćby taki obszar, na którym znajduje się oko. Rzęsy, aby chroniły od kurzu. Brwi, aby chroniły oczy podczas deszczu przed spływającą po czole wodą. Zagłębienie oczodołów, aby cień, jaki daje łuk brwiowy, chronił przed słońcem. Żrenica, która kurczy się w zależności od natężenia światła. No i nieustanne smarowanie oraz oczyszczanie rogówki za pomocą łez.

Bierze rzeźbioną dłoń.

- Ach! Ludzka dłoń. Arcydzieło, które stanowi zwieńczenie całości. Wahałem się, jaka liczba palców będzie najlepsza. Najpierw myślałem o siedmiu, ale źle się zamykała przy zaciskaniu pięści. Paznokcie, no to jest prawdziwe wykończenie „made in Olimpia”, twarda strefa przeznaczona do drapania, która w dodatku odnawia się bez przerwy. A stopy? Taka mała powierzchnia zetknięcia z podłożem, a w nieustannym stanie poszukiwania równowagi, która pozwoliłaby utrzymać pewną postawę, nawet podczas biegu. Nie każdy o tym wie, ale podeszwa stóp wypełniona jest receptorami, które bez świadomości człowieka korygują pozycję ciała tak, aby środek ciężkości znajdował się zawsze w odpowiednim miejscu.

Dręczy mnie jedno pytanie: Skoro to on sam wszystko wymyślił, w takim razie jak to się stało, że on też ma ludzką postać?

- A zatem nie zrozumiałeś? Kiedy już skończyłem człowieka, uznałem, że jest tak udany, iż zdecydowałem się być do niego podobnym.

- Ale na początku do czego byłeś podobny?

- Do niczego.

Uśmiecha się, wyraźnie zadowolony ze swojego odkrycia. Rzeczywiście, jego zagadka ciągle przewija się w naszej rozmowie.

- Tak, tak. Bóg skopiował swoje własne dzieło. Jak stylist, który tworzy jakiś model, a potem sam ma ochotę go nosić. W Biblii powiedziano: „Bóg stworzył człowieka na swój obraz”. A jest dokładnie na odwrót, to „Bóg stworzył ponownie siebie na podobieństwo człowieka”. Przyjąłem jego fizjonomię. Dodałem ręce, twarz oraz płeć, z której dokończeniem miałem takie kłopoty.

Staram się pojąć tę ideę, która zdaje się pociągać za sobą wiele skutków.

334

- Potem obserwowałem, jak on sam tworzy, i kopiowałem „twórczość mojego stworzenia”. Skopiowałem jego strój: togę. To nie ja ją wymyśliłem, a jak widzisz, noszę ją z przyjemnością. Jego domy: inspiracją dla tego pałacu była architektura pałaców greckich i rzymskich. Jeśli chodzi o uczucia: ciekawość, melancholia, zazdrość, niezaspokojone ambicje, perwersja, niewinność, rozgoryczenie, pycha i wiele innych - one wszystkie także powstały dzięki człowiekowi, który użył do tego otrzymanych ode mnie narzędzi.

idziemy dalej i pojawiają się obrazy, rzeźby przedstawiające religijną tematykę z różnych epok.

- To moje stworzenie wymyśliło mitologię. I, nawet o tym nie wiedząc, natchnęło, zainspirowało mnie do dalszego przebierania. Ludzie wymyślili Ozyrysa, a więc stałem się Ozyrysem. Wymyślili Gilgame-sza, więc byłem Gilgameszem. Wymyślili Baala i byłem Baalem. Wymyślili Zeusa, więc stałem się Zeusem. I to jest dopiero dobry dowcip. Człowiek, przekazawszy bogom swój wygląd, wymyśla ich dzięki swojej wyobraźni. A więc tak właściwie człowiek... stworzył Boga na swoje podobieństwo.

Jest wyraźnie zadowolony z tego zdania. Znowu ten przytłumiony śmiech, jakby to, o czym opowiada, zaskakiwało go i bawiło jednocześnie.

- A więc... to wszystko, co zostało powiedziane o tobie w mitologii?

- Próbowałem to przeżyć tak, jakby było prawdziwe. Na szczęście jestem polimorficzny. Mogę przybrać każdy kształt, wcielić się w każdą postać, przeżyć każdy mit. Uważali, że jestem władcą piorunów? A więc stałem się władcą piorunów. Uważali, że jestem zmienny? Więc stałem się zmienny. Uważali, że jestem otoczony areopagiem bogów? Stworzyłem więc innych bogów. Uważali, że jestem synem Kronosa? A więc dałem Kronosowi życie.

-A Olimp?

- Sfabrykowałem go już kiedyś na waszej Ziemi 1. Potem, w roku, który w ich kalendarzu oznaczono jako 666, opuściłem Ziemię 1, aby zamieszkać tutaj, w tym uroczym zakątku kosmosu.

- Skąd to wygnanie?
- Ponieważ byłem zdegradowany ludzkością. Oni są naprawdę głupi... 666 to liczba bestii, a bestia to właśnie oni... co za drwina.

Przyglądam mu się zaintrygowany.

- Wyjeżdżając, zabrałem ze sobą widokówki z mojej pierwszej boskiej wioski. I odtworzyłem tu, w Aedenie, miejsce na wzór Olimpu z Ziemi 1. W zasadzie go ulepszyłem. Nawet bardzo. Góra jest wyższa. Pałac większy. Zwierzęta śmieszniejsze. Bogowie bardziej karykaturalni. Krótko mówiąc, spektakl daje dużo więcej radości. Ponieważ, jak ci już wspomniałem, to wszystko służy wyłącznie... rozrywce.

Myślę o Afrodycie. A więc ona byłaby tylko elementem wymyślonej przez Zeusa dekoracji.

- A... czy pozostali bogowie wiedzą, że zostali poczęci zgodnie z treścią ludzkiej mitologii?
- Nie. Oczywiście czują, że z ich istnieniem związana jest jakaś tajemnica. I wiedzą także, że ja jeden znam ostatnią tajemnicę. Najpraw-

335

dziwszą prawdę. A więc próbują przyjść tutaj, żeby mi zadać pytania... tak samo jak ty. To stało się ich obsesją. Chcą wiedzieć, kim naprawdę są i dlaczego żyją tak długo.

- To dlatego Sfinks barykadujący przejście?

Kiwa głową.

- Zwykle nikomu nie udaje się rozwiązać zagadki. Wszyscy zablokowani są przez własne ego. Ono nadmuchuje ich jak pęcherze i przeszkadza w wejściu przez wąską bramę. Nie sądziłem, że komukolwiek uda się wyminąć Sfinksa. Zwykle jest tak, że już sam wyraz „bóg” stanowiący określenie uczniów wystarczy, aby stali się zrozumieli.

Zaprasza mnie do dalszej części zwiedzania.

- Jednak tobie się udało, ponieważ masz chorobę psychiczną. Cierpisz na szczególnie rodzaj nerwicy.

Czekam, co powie dalej.

- Nie doceniasz się. Do tego stopnia, że przestaje to być rozsądne. Gdyby to było na Ziemi 1, musiałbyś pójść do psychiatry. Taki masz zły obraz samego siebie. Zawsze uważałeś się za „mniej niż nic”.

To typowo francuskie wyrażenie nabiera tu szczególnego znaczenia.

- A kiedy jesteś mniej niż niczym i uda ci się trochę wznieść, wówczas... stajesz się niczym.

Ta formułka rozbawia go.

- Tak oto udało ci się przechytryć Sfinksa oraz mnie. Nadmiar pokory. Brawo. Jednocześnie okazuje się, że odpowiadam na twoje pytania, a do dwunastu bogów olimpijskich nie kieruję nawet jednego słowa. Natomiast wolałbym, abyś uregulował problem twojego wizerunku.

- Stąd doświadczenie z klatką?

Puszcza do mnie oko.

- Jesteś pewien, że to „dobry Michael” przeżył?

- „Dobry” to ten, w którym mieszka moja dusza.

- Dobry to ten, którego jesteś w stanie pokochać. Czy kochasz siebie bardziej dlatego, że dotarłeś na szczyt Olimpu i rozmawiałeś osobiście z Zeusem?

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie pojąłem tego, co mi się przydarzyło.

- I to jest właśnie problem ludzi rodzaju „mniej niż nic”. Kiedy daje im się nagrodę, uważają się tak bardzo niegodni jej przyjęcia, że jej nie doceniają.

Staje naprzeciw mnie. Jego twarz trochę łagodnieje.

- Czy tak mnie sobie wyobrażałeś? Tak wyobrażałeś sobie Zeusa z mitologii? Przyznaj, że kiedy tu przyszedłeś, zrobiłem na tobie duże wrażenie. Czego się spodziewałeś?

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zaczyna się zmniejszać i zmienia się w Pigmeja albinosa z długimi białymi kędzierzawymi włosami i czerwonymi oczyma.

- A może raczej wyobrażałeś mnie sobie w ten sposób?

Tym razem przemienia się w byka o czerwonych oczach.

- Albo tak? W takiej postaci objawiłem się paru śmiertelniczkom z Ziemi 1.

336

Staje się białym ptakiem. Łabędziem.

A więc to on był tym łabędziem, który wskazał mi drogę, kiedy zgubiłem się we mgle.

Fruwa w komnacie nade mną.

Przecieram oczy.

- Czy może w ten sposób?

I już jest białym królikiem.

To on wyciągnął mnie z dziury i pokazał drogę pod wodospadem.

- Teraz mniej się mnie boisz? Jak się zrobi małe przedstawienie, to traci się wiarygodność. A zatem wy musicie zachowywać się w konwencjonalny sposób. Oni wszyscy żądają wizerunku wielkiego ojca, z brodą, autorytarnego i tajemniczego. Tylko to działa. Phi...

Królik przygląda mi się uważnie, opuszcza jedno ze swoich długich uszu, mruży oczy, po czym oznajmia:

- Nie wydajesz się zbulwersowany tym, co ci mówię.

Jego oczy zmieniają kolor i stają się niebieskie. Potem zaczynają rosnać, aż stają się większe od głowy, potem jedno oko kurczy się, ale drugie nadal rośnie. Wkrótce mam przed sobą jedno oko, trzymetrowej długości, które unosi się na niebie. Jego powierzchnia jest gładka i lśniąca. Źrenica rozszerza się i staje czymś w rodzaju przepaści, przebijającej przez przezroczystą rogówkę. Cofam się. Oko nadal rośnie. Cofam się, drżę, padam na kolana. Kiedy podnoszę głowę, oko jest dokładnie nade mną.

A więc ogromne oko na niebie to był on.

Powieka opada jak zasłona. Oko zstępuje i kurczy się. Zeus stopniowo przyjmuje na powrót swoją postać olimpijskiego boga dwumetrowego wzrostu. Jego oczy znowu stają się czerwone.

- Siedzisz mnie od początku? - bełkoczę, cały czas w szoku.

Zamiast odpowiedzieć, ciągnie mnie na korytarz prowadzący do

drzwi, za którymi znajdują się schody, które wychodzą na plac oflankowany 24 drzwiami. Otwiera jedno z nich. Wewnątrz teatralne dekoracje przypominają pałac muzy Talii. Ściany pokryto czerwonym aksamitem, toaletkę oświetlono, jakby miała posłużyć aktorom do zrobienia makijażu, a maleńka scena przypomina scenę parkowego teatru lalek.

Zeus bierze do ręki drewnianą marionetkę o ludzkim kształcie i porusza nią za pomocą sznurków.

- Tak się dzieje, kiedy rodzi się człowiek.

Posługując się sznurkami, podnosi marionetkę i stawia ją na scenie. Potem porusza sznurkami. Marionetka stoi i wydaje się zadziwiająco żywa. Porusza głową, jakby chciała wyrazić swoje zaskoczenie.

- Kiedy umiera człowiek, dzieje się tak.

Zeus puszcza sznurki i marionetka przewraca się. Potem ją podnosi.

- Tymczasem toto się porusza. Nie wie, że jest nad nim coś, co pociąga za sznurki. Albo je puszcza. Dla nas, bogów, najważniejsze jest to, żeby nie było widać sznurków. Wszystkie marionetki uważają, że nie ma żadnych sznurków. Powinny czuć się wolne. Bo inaczej doświadczenie zostaje zakłócone.

- A my, bogowie-uczniowie, też mamy swoje sznurki?

Zeus uśmiecha się zagadkowo i odkłada marionetkę.

- Opisałeś swoją utopię?
- Myślę nad tym.
- To ważne. Zacząć wyobrażać sobie lepszą przyszłość, to dać jej możliwość zaistnienia pewnego dnia. Chcę ci zadać jedno pytanie. Czy kochasz swoich ludzi, czy też obserwowanie ich jest dla ciebie tylko rozrywką, tak jak obserwowanie złotych rybek, trzymanie w mieszkaniu chomików, kota czy psa?
- Muszę przyznać, że zapalałem do nich swego rodzaju uczuciem...
- Czy cierpisz na chorobę przeniesienia?

Rozumiejąc, że chodzi o typowo boski rodzaj nerwicy, polegający na utożsamianiu się ze swoim ludem, odpowiadam najuczciwiej jak potrafię.

- Nie sądzę, żebym miał chorobę przeniesienia.

Król bogów nie wydaje się przekonany. Musi wiedzieć, że wszyscy bogowie w którymś momencie utożsamiają się w końcu z ludami, które są pod ich opieką.

- No to zobaczmy.

Zeus chwytą mnie za rękę i wyprowadza z sali teatru. Wracamy na okrągły plac otoczony identycznymi drzwiami.

Waha się przez chwilę, po czym otwiera te, które znajdują się za nami.

- Stawiłeś czoła samemu sobie, więc w kolejnej próbie każę ci stawić czoła... twojemu ludowi.

111. ENCYKLOPEDIA: HISTORIA KOTÓW

Najstarsze szczątki kota domowego odnaleziono w jednym z grobowców w Jerychu, pochodzącym z okresu neolitu, czyli około 9000 lat przed Chrystusem. Prawdziwe udomowienie przez Egipcjan dzikiego kota afrykańskiego (*felix lybica*) miało miejsce około 2000 lat przed Chrystusem. Egipcjanie uważali koty za wcielenie Bastet, bogini płodności, powrotu do zdrowia, rozkoszy miłości, tańca i solidarności. Po śmierci kota jego ciało mumifikowano, a następnie grzebano na specjalnym kocim cmentarzu. Dla starożytnych Egipcjan zabicie kota było zbrodnią, za którą groziła najwyższa kara.

Potem, dzięki fenickim i hebrajskim statkom kupieckim koty, które wykorzystywano ze względu na ich zdolności polowania na szczury, rozpowszechniły się w całym świecie. 1000 lat przed Chrystusem pojawiły się w Chinach, gdzie uważano je za talizmany. Do Europy

docierają 900 lat przed Chrystusem, do Indii 200 lat przed Chrystusem. Koreański cesarz Ichijo podaruje jednego z nich swojemu japońskiemu odpowiednikowi, otwierając dla kotów ten ostatni kraj. Jednak wszystkie koty wywodzą się od tych samych egipskich przodków. Ponieważ liczba udomowionych kotów w każdym kraju była

338

ograniczona, nieuniknione pokrewieństwo pociągało za sobą mutacje genetyczne. Ludzie zaczynają dokonywać selekcji cech, które ich interesują: kształtu oraz koloru sierści albo oczu, tworząc w ten sposób lokalne gatunki: kot perski w Persji, angora w Turcji, syjamski w Tajlandii.

W epoce średniowiecza kościół katolicki powiązał koty z czarnoksiężstwem, co przyczyniło się do ich systematycznego zabijania, aż stały się ginącym gatunkiem. To psa zaczęto wówczas uważać za zwierzę wierne i posłuszne, zaś kota a contrario za zwierzę niezależne i zepsute.

Podczas epidemii dżumy, która wyniszczyła Europę w 1384 roku, wspólnoty żydowskie były stosunkowo dużo bardziej oszczędzone przez chorobę niż pozostała część ludności. Od razu po epidemii nastąpiły w gettach masakry oraz pogromy na wielką skalę. Wiadomo dzisiaj, że jeśli żydowskie dzielnice mniej dotknęła dżuma, stało się tak dlatego, że ich mieszkańcy posiadali koty, które przeganiały szczury.

W 1665 roku wielka epidemia dżumy w Londynie wystąpiła po akcji wybicia kotów.

Oficjalna diabolizacja kotów zakończyła się około 1790 roku, i z tą chwilą zniknęły z Europy wielkie epidemie dżumy.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

112. PRZECIW MOJEMU LUDOWI

Drzwi otwierają się na oranżerię, w której rosną drzewa z wiszącymi na gałęziach planetami. Rozumiem, że jest to replika piwnicy At-lasa, tak jak przed chwilą sala teatru była repliką mieszkania muzy teatru, a muzeum reprodukcją laboratorium Hermafrodyty. Lecz raczej jego przeciwieństwem. Wszystkie istoty z dołu skopiowały to, co teraz widzę.

Zeus kieruje się w miejsce, gdzie ukryłem potłuczoną kulę.

- Zniszczyłeś świat, prawda?
- To był wypadek - tłumaczę.

Marszczy brwi.

- Nic się nie stało. W końcu jest ich tyle. Jedyny problem w tym, że świat, który zniszczyłeś, był trochę szczególny, ponieważ właśnie zastosowałem w nim nową sadzonkę... Zresztą, nie należy przywiązywać się do światów, prawda?

Klaszcze w dłonie i natychmiast pojawia się cyklop. Jest zdziwiony moim widokiem. Ale ponieważ Zeus mnie nie wygania, więc i on nie próbuje mnie schwytać.

Ruchem brody Zeus wskazuje resztki szkła. Cyklop klęka i zaczyna łkać. Zbiera resztki planety, przyciskając je do serca.

339

- To był świat, który mu dałem w prezencie i którym opiekował się w szczególnie sposób. Jak widzisz, choroba przeniesienia jest ciut zaskakująca.

Oślupiały cyklop przygląda się potłuczonej planecie, gładząc skorupy.

- Chociaż nie jest bogiem ani nawet bogiem-ucznim, przyzwyczał się do opieki nad tym światem. Doglądał go jak rosnącego kwiatu. Trzeba przyznać, że ten świat był naprawdę szczególny.

- Co w nim było szczególnego?

Zeus drapie się po brodzie.

- Próbowałem w nim doświadczenia „niesymetrii”. Spójrz na swoje ciało. Jest podzielone pionową linią, od czaszki do stóp, i z jednej oraz drugiej strony znajdują się niemal identyczne połowy. Masz jedno oko z prawej i jedno z lewej, podobnie z rękoma, dziurkami od nosa, uszami, stopami, nogami. Na planecie, którą zniszczyłeś, były elementy organiczne centrowane lub posiadające tylko jedną stronę. Oczywiście cyklop automatycznie zainteresował się takim doświadczeniem. No, ale dość sentymentalizmu.

- Nie rozumiem, dlaczego są tu prawdziwe światy - mówię, próbując zmienić temat.

- ...podczas gdy u Atlasa oraz na zajęciach pracujecie tylko na ich odbiciu, to chciałeś powiedzieć? A więc, to jest coś specjalnego. To się nazywa „wizja zmaterializowana”. Wszystko to, co tu się dzieje, ma również fizycznie miejsce w kuli-planecie. To taka sama metoda, która przed chwilą pozwoliła ci stanąć twarzą w twarz z samym sobą. Na tę chwilę lepiej żebyś nie rozumiał szczegółowo wszystkich moich tajemnic. Wszystko, co powinieneś wiedzieć, to...

Odczepia owoc-kulę i mi podaje.

- To jest prawdziwa Ziemia 18.1 jeśli ją upuścisz, nic nie pozostanie z tej planety.

Nawet nie śmiem jej dotknąć.

- Weź ją - nakazuje głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Biorę do rąk kulę metrowej średnicy

- Zagramy trochę obydwaj.

Prosi, abym poszedł za nim do czarnego biura, w którym na wszystkich ścianach znajdują się dziesiątki kinowych ekranów. Na środku stoi niski stolik, na którym ustawiono kieliszek do jajek. Każe mi postawić na nim kulę. Wykonuję to z niezwykłą delikatnością.

- Nigdy nie bawiłeś się w rozpoczęcie partii szachów białymi figurami a w środku gry w zmianę pól?

Nie mam odwagi domyślać się, do czego zmierza.

- Powiedzmy, że dotychczas grałeś białymi, tak zwanymi miłymi, oczywiście z twojego punktu widzenia. A teraz zagrasz czarnymi, złymi, i przeciwstawisz się swoim poprzednim, miłym figurom.

- A jeśli odmówię?

- Nie masz wyboru. Nie jesteś śmiertelnikiem. Tylko śmiertelnicy mają wolną wolę, a bogowie mogą wpływać na ich postępowanie. W twoim przypadku będzie dokładnie na odwrót. Nie masz wolnej woli, a twoi śmiertelnicy będą mieli wpływ na ciebie.

340

Wybuchą swoim gromkim śmiechem, potem przestaje się śmiać i patrzy na mnie badawczo.

- To jest próba wznoszenia się twojej duszy, nie możesz poddać się w tej fazie inicjacji. Nie masz wyboru - powtarza.

Wyciąga do mnie rękę i czuję silny ból głowy przebijający mi czaszkę. Ból jest tak wielki, że jestem gotów zrobić wszystko, byle tylko ustał.

- Ta próba jest lekka w porównaniu z tą, którą już przeszedłeś. Będziesz cierpieć tylko wtedy, jeśli stałeś się ofiarą „choroby przeniesienia”. Po stawieniu czoła sobie samemu, czas na stawienie czoła twojemu ludowi.

Kiwam głową na znak zgody i migrena ustaje.

- Jakie są zasady?

- Grasz czarnymi, czyli w przypadku Ziemi 18 są to ludzie-orły twojego przyjaciela Raoula, a ja gram białymi, to znaczy ludźmi-delfinami. Twoimi delfinami.

Próbuję lawirować:

- Grasz dużo lepiej ode mnie, więc mój lud nie ma się czego obawiać.

- Tak sądzisz? A więc grajmy.

Podnosi palec i wszystkie ekrany włączają się jednocześnie.

- Sprawdźmy, na czym zakończyła się partia... Aha, po długim oblężeniu twoja twierdza została zdobyta. Dobrze, teraz mój ruch w imieniu ludu delfinów. Możesz patrzeć na ekrany. Tu nie musimy używać ankh, aby wszystko dobrze widzieć.

Rzeczywiście, na sześciu ekranach pojawia się pod różnym kątem terytorium delfinów. Stolica. Ulice. Targi. Pałac królewski, gdzie na tronie zasiada marionetkowy król narzucony przez ludzi-orły. Kilka budynków koszar.

- Gotowy? Jako że jestem Zeusem, pozwalam ci rozpocząć; wystarczy, że umieścisz dłoń nad planetą i pomyślisz o ruchu, a zostanie wykonany. Uwaga, nie oszukujemy. Żadnych cudów. Żadnego mesjasza. Zgoda?

Jestem posłuszny. Ponieważ moi ludzie-orły okupują terytorium delfinów, sądzę, że najlepiej będzie, jeśli zbudują obiekty użyteczności publicznej, aby zostali zaakceptowani przez ludność. Rzeczywiście, orły w tej dziedzinie osiągają dobre wyniki. Dlatego każę zbudować akwedukty, teatry, drogi, systemy nawadniające. Domyślam się, że lepsze rolnictwo przyniesie wszystkim korzyść.

Na wszystkich ekranach w przyspieszonym tempie pojawiają się drogi, mosty, nawadniane regiony rolnicze i ogólnie rzecz ujmując trochę nowoczesności. Kraj szybko się bogaci, ludzie-delfiny zyskują większy komfort życia, a ludzie-orły zyskują większe podatki. Wielu ludzi-delfinów wchodzi w układy z ludźmi-orłami, aby nauczyć się od nich techniki budowy mostów oraz nawierzchni dróg. Ruchy rebelianckie są coraz mniej popularne.

-Ach, ach! - mówi Zeus. - Ciągłe ten „grzeczny” styl. Teraz moja kolej.

Król bogów wyciąga swoją dłoń nad kulą i na wszystkich ośmiu otaczających mnie ekranach zmienia się scenografia. Ludzie dyskutują,

341

gromadzą się, rozmawiają. Po chwili widzę ich z bronią w ręku, atakujących wojskowe konwoje ludzi-orłów. Nie bez sukcesu. Mordują ludzi uważanych za kolaborujących z władzą w pałacu. Potem formują armię ludzi-delfinów i ruszają na stolicę.

Kładę dłoń nad grą i wysyłam zastępy policji, usiłujące ich powstrzymać, ale mają przeciw sobie rozhukany tłum, skandujący wrogie hasła. Słowa „wolność”, „sprawiedliwość”, „nie”, „ucisk”, „tyrania” brzmią tak, jakby w tym momencie uwierzyli, że wszystkie poniżenia i masakry stały się już przeszłością. Znam moich ludzi-delfiny. Długo zaciskali zęby, będąc pod moim wpływem znieśli wiele bez słowa skargi, wybaczyli, ale presja jest zbyt silna. Teraz, kiedy ich „bóg” podżega i wyzwala z ucisku, efekt jest oczywiście natychmiastowy.

Wysyłam kolejnych policjantów, potem daję spokój i wycofuję wojsko. Jednak płynie w nich krew mojego generała Wyzwolicielea. Są dobrymi strategami. Pojawia się dowódca, który zaczyna urządzać moim legionom kolejne ataki, ucieczki, zasadzki.

Moje oddziały orłów są nieustannie nękane. Zaczynam zliczać w moich szeregach coraz więcej zabitych.

- I co - mówi Zeus - śpiesz?

Trzeba ich zatrzymać. Trudno, urządzę przywódcom szybki proces i każę ich zamknąć. Lecz tłum „moich” ludzi-delfinów manifestuje za wolnością.

Zatrzymuję się i patrzę na Zeusa.

- Dlaczego wystawiasz mnie na takie próby?

- Bo mnie to bawi, a ciebie nie?

- Nie. I nie chcę dalej grać.

Krzyżuję ręce na znak, że jestem naprawdę zdeterminowany. Król bogów przygląda mi się z zainteresowaniem.

- Zawsze to samo, potrzebna jakaś motywacja, co?

Zastanawia się.

- Dobra. Marchewka... Jeśli dobrze zagrasz, jeżeli naprawdę obronisz obóz orłów... no dobra, obiecuję, że będziesz mógł potem zejść z powrotem do Olimpii i podjąć grę na nowo, jakby nie zaszło nic z Atlasem, Pegazem i Ateną. Wymażę ten mały incydent z ich pamięci.

Stawiam wszystko na jedną kartę.

- Hera mi to już proponowała. To nie wystarczy.

Moja śmiałość zaskakuje go.

-Więc dorzucę jeszcze jeden prezent. Jeżeli naprawdę dobrze zagrasz orłami przeciw moim delfinom... obiecuję, że nawet jeżeli przegrasz lub jeśli pozwolisz się z takiego czy innego powodu zabić w Aedenie, wtrącę się do gry na Ziemi 18 i uczynię tak, żeby zawsze było co najmniej 10 tysięcy twoich ludzi, żywych i czynnych, noszących w sobie twoją kulturę i twoje delfinie wartości.

- 10 tysięcy to za mało. Chcę miliona ludzi wyznających moje wartości.

- 50 tysięcy.

- 500 tysięcy.

- Negocjacje z królem Olimpu? Bardzo dobrze, podoba mi się to. A więc proponuję coś, co wydaje mi się uczciwe. 144 tysiące. Tysiąc

342

razy więcej niż wyjściowa liczba w grze Y. To wystarczy, aby odtworzyć miasto. A może nawet i państwo na jakimś niewielkim terytorium. Na przykład na wyspie.

Słowo „wyspa” przypomina mi natychmiast Wyspę Spokoju. Moje sanktuarium położone z dala od szaleństw i brutalności konkurencyjnych cywilizacji.

- Zgadzą się - mówię.

Kładę więc dłoń nad grą, zamykam oczy i organizuję spektakularne prześladowania ludzi-delfinów, mówiąc sobie w duchu: „Przykro mi, ale to dla waszego późniejszego dobra”. Zgodnie z tradycją orłów, nabijam przywódców publicznie na wielkie pale postawione na głównym placu miasta.

Zeus cieszy się.

- Ach! Wreszcie jakaś reakcja. Trochę sportu.

Zeus kładzie dłoń nad grą i w tym momencie wszyscy rebelianci z ludu delfinów uciekają ukryć się w góry oraz organizują się w niewielkie i niezależne od siebie oddziały. Delfińscy uczeni, wykorzystując całą swoją wiedzę z zakresu chemii, tworzą nowe rodzaje broni, specjalne podpórki, które umożliwiają silniejsze naciągnięcie sznura, a tym samym zamianę łuku w kuszę. Dzięki temu mogą strzelać z dużej odległości, sami będąc poza zasięgiem strzał orłów.

Natychmiast wzywam ze „swojej” stolicy nowe, elitarne oddziały. Są to wyszkoleni w wojennej sztuce najlepsi gladiatorzy. Wypuszczam ich w górach, gdzie nie zadowalają się tylko pogonią za buntownikami, ale podpalają pola i wieszają chłopów podejrzanych o wspieranie buntowników. Ponieważ bunt przybiera na sile, wydaje mi się, że najlepiej rozprawić się z nim przemocą. Szybkie represje pomogą uniknąć niekończących się prześladowań.

Na każdy z moich ruchów Zeus odpowiada w sposób inteligentny i wyrafinowany, wykorzystując jak można najlepiej swoiste cechy mojego ludu delfinów. I okazuje się, że ludzie-delfiny, jeśli posiadają motywację, są pełni możliwości. Delfińscy chemicy wprowadzają potajemnie technikę, której nauczyli się podczas podróży na Daleki Wschód. Torby wypełnione saletrą, węglem oraz siarką, które wysadzają przy użyciu lontu.

Odpowiadam ciosem na cios.

Każdy ruch moich oddziałów zdaje się bawić Zeusa. W którymś momencie udaje mu się stworzyć armię buntowników, która zdobywa moją stolicę. Wieść szybko się rozchodzi, a zatem wszystkie wspólnoty ludzi-delfinów rozsiane po całym Imperium orłów buntują się także, uważając, że wreszcie nadszedł dzień ich wyzwolenia. Powoli rozprzestrzenia się rewolucyjna myśl delfinów. Zaczynają wyzwalać niewolników w moich dużych miastach orłów.

Delfiny (kurczę, powiedziałem „delfiny” i „moje” orły) głoszą idee wyzwolenia ludów i powrotu do cywilizacji przodków. Zwycięża postawa przeciwna niewolnictwu, słudzy opuszczają swoich panów. Niektórzy mszczą się. Czuję, że moje Imperium orłów się rozpada.

Gram, nawet nie zastanawiając się zbytnio. Po dokonaniu analizy sytuacji organizuję wszędzie represje. Zamieszkiwane przez delfi-

343

nią mniejszość dzielnice zostają splądrowane, policyjne oddziały sieją w nich terror. Ale te zuchy są naprawdę nieustępliwe. Chwilami tak bardzo mam dość ich nieposłuszeństwa, że wysyłam moich żołnierzy, aby wyrznęli wszystkich ludzi-delfiny bez wyjątku: kobiety, dzieci, starców żyjących w tych odizolowanych dzielnicach.

Po okresie czystej rzezi zaczynam stosować kary więzienia. Wartościowych ludzi-delfiny wysyłam na galery, do kopalni metali albo do kopalni soli, gdzie szybko umierają z wyczerpania. Najlepiej zbudowani biorą udział w walkach gladiatorów. Skoro chcą się bić, to nie ma sprawy, będą się bić. Kobiety sprzedawane są w niewolę, dzieci zabierane od rodziców i wychowywane na sposób orłów, a potem wcielane do mojego wojska, aby walczyły przeciw swoim własnym rodzinom. Często stają się najbardziej zagorzałymi i przebiegłymi z moich walczących z delfinami żołnierzy.

Zeus gra w podobny sposób, na brutalność odpowiadając strategią, nauką, porozumiewaniem się. Bunt rozszerza się na kolejne obszary Imperium orłów. Jestem zaskoczony, że taką przyjemność sprawia mi uśmierzanie buntu. Egzekucje stają się coraz liczniejsze. Każę wybudować kolejne więzienia oraz areny. Deportuję całe populacje na obszary pustynne, gdzie umierają z głodu i wycieńczenia, wykonując wielkie prace dla Imperium. Ponieważ w imię postępu nigdy nie zrezygnowałem z budowy akweduktów oraz dróg. Nawet na terytorium delfinów. Na czele ich państwa stawiam bardzo stanowczego generała orła i jeszcze bardziej podnoszę podatki. Wznoszę nawet, to już największa zniewaga, pomnik mojego cesarza w sercu ich największej świątyni.

Na otaczających nas ekranach jedna scena przemocy goni drugą. Nagle zauważam, że drzę i toczę pianę z ust.

- Stop! - krzyczy Zeus.

Dotyka projektora i wszystkie ekrany gasną.

- Stop, bo nie będę mógł dotrzymać mojej obietnicy dotyczącej 144 tysięcy - żartuje.

Jestem rozdrażniony. Biorę ankh i ustawiam zoom na mój lud delfinów. Czy to możliwe, że to ja sam spowodowałem te wszystkie zniszczenia? A jednocześnie myślę: „Dlaczego nie poddali się od razu? Przecież dobrze wiedzieli, że nie mają żadnej szansy. Dlaczego opierali się tak długo?”. I natychmiast sam sobie udzielam odpowiedzi: „Ponieważ to ja nauczyłem ich walczyć aż do śmierci za wolność i wartości delfinów”. A dziś walczyłem przeciw temu.

Oddycham głęboko. W Imperium orłów znowu panuje spokój. Wszyscy buntownicy z ludu delfinów zostali uspokojeni. Nic nie pozostało z ich górskich kryjówek. Ich ostatniego przywódcę wbito na pal w centrum stolicy.

- Ilu... Ilu „moich” ludzi zabiłem?

- Wystarczająco dużo, żebym mógł stwierdzić, że nie cierpisz na „chorobę przeniesienia” - oznajmia Zeus.

-Ilu?

- A co to zmieni, jeśli ci powiem, że tysiące czy też miliony? W każdym razie obiecałem ci, że oszczędzę wystarczającą liczbę. A poza tym

344

zawsze masz swoje małe wspólnoty u ludzi-iguan oraz ludzi-wilków. Nie martw się, nie straciłeś wszystkiego w tym „ćwiczonku”.

Wyjmuje spod stołu butelkę miodu pitnego i nalewa mi do złotego kufla.

- Zasłużyłeś na coś na wzmocnienie.

Przyglądam się władcy Olimpu. Przypomina mi się to, co czytałem o nim w Encyklopedii. Gwałciciel, zabójca, kłamca. Oto jak opisany został Zeus w mitologii. Dlaczego obdarzyłem go takim szacunkiem? Najprawdopodobniej ze względu na jego tytuł, „Władca Olimpu”. Zawsze robiły na mnie wrażenie naszywki, tytuły, trony.

- Dlaczego zmusiłeś mnie, abym dokonał tych potworności?

- Żebyś poznał samego siebie. Uważasz się za świetnego gościa, uprzejmego boga, a sam widziałeś, że wcale nie trzeba mocno zdrapać warstwy dobrych zasad, aby znaleźć barbarzyńskiego boga.

- To sytuacja zmusiła mnie do tego.

Ponownie włącza ekrany.

- Włożyłeś w to jednak trochę serca; chyba teraz nie powiesz, że to wszystko dlatego, aby ich uratować...

- Jesteś perwersyjny - dukam.

- Prawdopodobnie masz rację. Ale przynajmniej się do tego przyznaję. Powiedziałem ci już, że robię to, aby się nie nudzić. A bez odrobiny szaleństwa łatwo popaść w rutynę.

- Zmuszanie boga, aby zabijał swój własny lud, to nie jest rozrywka, to sadyzm.

- To dawanie przykładu. Teraz, gdy już lepiej poznałeś to oblicze samego siebie, zagrasz lepiej. Nadejdzie taki dzień, że mi podziękujesz. A twój lud, gdyby tylko wiedział, także by mi podziękował. Trochę zaszczepiłem go przeciw brutalności świata. Co teraz gorszego może mu się przydarzyć?

- Poza tym, jeśli pewnego dnia mój lud dowie się, co im zrobił ich własny bóg, nigdy mi tego nie wybaczy, prawda?

- Mylisz się. Nauczyłeś ich siły przebaczenia. Nawet, jak mi się zdaje, mają na tę okazję specjalne święto. Skopiowałeś je z Ziemi 1. I teraz posłuży ono bezpośrednio tobie. Twój lud delfinów posiada umiejętność przebaczenia swojemu bogu nie tylko tego, że ich opuścił, ale nawet tego, że stanął po stronie ich największego wroga. A zatem czy ty umiałbyś „mi” wybaczyć?

Przełykam ślinę. Czuję, że coś we mnie zostało bezpowrotnie zniszczone. A jednocześnie czuję, że to było konieczne. Straciłem niewinność. Nie jestem już dzieckiem, zbrukałem się jak wszyscy pozostali, pokazałem moje najniższe instynkty. Do jakiego zniszczenia doprowadzi mnie Zeus w dalszej części mojej inicjacji?

Kiwam powoli głową.

- Doskonale. W takim razie, o ile nadal cię to bawi, kontynuujmy naszą wizytę po pałacu władcy Olimpu. Jest jeszcze tyle cudownych rzeczy, które chcę ci pokazać.

345

113. ENCYKLOPEDIA: ANALIZA TRANSAKCYJNA

W 1960 roku psychoanalityk Erie Bern tworzy koncepcję analizy transakcyjnej. W swojej książce *Co mówisz*, powiedziawszy dzień dobry określa instynktowne przyjęcie przez poszczególne jednostki ról, które można podzielić na trzy kategorie: Rodzice. Dorośli. Dzieci. A zatem na pozycję nadrzędną, równą, podrzędną. Kiedy jedna osoba zwraca się do drugiej, przyjmuje pozycję „dziecka”, „dorosłego” lub „rodzica”.

Wchodząc w relację dziecko/rodzic, trafiamy w środek systemu, który zostaje rozbity na podrole: rodzic żywiciel (matka) lub rodzic kształcący (ojciec). Nieposłuszne dziecko, dziecko posłuszne lub dziecko wolne w kategoriach dziecięcych. To są na przykład artyści, którzy znajdują upodobanie w tym, że nie są w stanie sprostać wymogom codziennego życia.

Ci, którzy pełnią role rodziców, oraz ci, którzy pełnią role dzieci, rozpoczną psychologiczną grę, której celem jest albo wzmocnienie dominacji, albo też rezygnacja z niej. W tej grze również istnieje podział na trzy role: prześladowcy, ofiary i wybawiciela. Większość występujących pomiędzy ludźmi konfliktów sprowadza się do problemów związanych z objęciem odpowiednich ról oraz gier społecznych. Takie sformułowania jak: „musisz” lub „powinieneś wiedzieć, że”, albo „powinieneś być” umiejscawiają osobę, która je wypowiada, na dominującej pozycji, a zatem staje się ona rodzicem. Jednocześnie sformułowania typu: „przepraszam”, „żałuję” stawiają osobę, która je wypowiada, na pozycji dziecka. Nawet zwyczajne użycie zdrobnień takich jak „maleńki” lub „kochanie” pomniejsza pozycję drugiej osoby lub sprowadzają do pozycji dziecka. Jedynym zdrowym sposobem ustanowienia wzajemnych relacji pomiędzy ludźmi, który nie pociąga za sobą walki psychologicznej, jest rozmowa na poziomie dorosły - dorosły, nazywając drugą osobę jej imieniem, nie obwiniając o nic ani też jej nie kładząc, nie grając ani nieodpowiedzialnego dziecka, ani udzielającego mu lekcji dorosłego. Jednak taka postawa wcale nie jest naturalna, ponieważ często nasi rodzice nie dali nam takiego przykładu.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V (według Freddy'ego Meyera)

114. ZWIEDZANIE MUZEÓW

Zeus prowadzi mnie kręconymi schodami. Schodzimy na dół. Nowe drzwi. Nowy korytarz. Musimy być pod ziemią, ponieważ nie ma tu okien, nie ma dziennego światła. Duże drzwi, długi korytarz, niekończące się schody, most nad leżącym w dole dziedzińcem.

346

Zupełnie straciłem orientację. Nie byłbym w stanie odnaleźć drogi do pierwszej sali. Czuję się tak, jakbym się znalazł na obrazie Eische-ra pełnym idących w odwrotną stronę schodów i w miejscu łamiącym wszelkie zasady perspektywy oraz rzeczywistości.

Król bogów wydaje się coraz lepiej bawić moją obecnością. Chciałbym wyjść stąd jak najprędzej i naprawić moje zbrodnie popełnione na Ziemi 18, lecz Zeus obejmuje moje ramię, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Muszę przyznać, że jestem pełen podziwu dla tego, co robią twoi śmiertelnicy. Jak ci już o tym opowiadałem, stworzyłem ludzi, lecz nie wiem, w jaki sposób wykorzystają talenty, którymi ich obdarzyłem. Mogą mnie więc zaskoczyć. Mogą wymyślać takie sztuczki, które by mi nawet nie przyszły do głowy. Są tak uroczo nieprzewidywalni.

Prowadzi mnie w stronę komnaty, nad wejściem do której znajduje się napis: MUZEUM MUZYKI.

- To moje prywatne muzeum. Tu gromadzę najpiękniejsze dzieła, jakie stworzyła ludzkość. Dzieła wyprodukowane przez moje „stworzenia” z udziałem wolnej woli, którą im podarowałem.

Naciska przełącznik i zapalają się kryształowe żyrandole.

- Ta pierwsza sala poświęcona jest muzyce. Moim „muzeum” zajmują się muzy.

W ramach stoją rzędem fotografie kompozytorów. Zeus dotyka ich lekko palcem i zaraz rozlega się muzyka, wypełniając całą przestrzeń.

Pierwsza dotknięta twarz należy do jaskiniowca. Rozlega się prosta i rytmiczna wibracja na bazie strun.

- To pierwszy człowiek, który wpadł na pomysł wykorzystania łuku służącego mu do polowań i wojen jako instrumentu muzycznego... to prawdziwie symboliczne.

Dalej pojawiają się twarze kobiet i mężczyzn noszących antyczne fryzury. Zupełnie nieznani.

- No tak, znani są tylko ci, których obrazy namalowano, którzy zostali sfotografowani lub zachowały się ich biografie, ale przecież było wielu innych. Nieznajomi, którzy w

samotności komponowali nadzwyczajne symfonie. I tylko my, bogowie, skorzystaliśmy z ich piękna.

Pokazuje portret Vivaldiego i natychmiast słyszymy Wiosnę z Czterech pór roku.

- Biedny Vivaldi. To jest dopiero przypadek. Jedno z jego „zmediatyzowanych” dzieł przysłoniło pozostałe. Wiem, że w sklepach na Ziemi 1 znaleźć można tylko jego Cztery pory roku. A przecież Requiem jest nadzwyczajne. Koncert na flet piccolo C-dur: prawdziwe чудо. Na Ziemi 1 mają na to specjalne wyrażenie. „Drzewo zasłania las”. Fragment przesłania całe dzieło.

Podchodzi do innej fotografii.

- Mozart. Mozart jest inkarnacją duszy Vivaldiego. Wrócił i mógł poznać lepiej pozostałe oblicza swojego talentu.

Zeus puszcza mi dzieła Vivaldiego, potem Mozarta i mówi mi o tym, co je łączy.

Kieruje się w stronę Beethovena.

347

- Mozart, Bach, Beethoven, najbardziej mediatyzowani. Byli naprawdę dobrzy, ale w swoich poprzednich i kolejnych inkarnacjach również byli utalentowani, tyle, że pod innymi, mniej znanymi nazwiskami.

Podchodzi do anonimowej twarzy. Naszych uszu dobiega spokojna muzyka.

-Adagio for Strings Samuela Barbera. Inny zadziwiający przypadek. Tworzy tylko jedno wspaniałe dzieło, a wszystkie pozostałe są całkiem banalne. Tylko jeden raz doznał łaski.

Wsluchuję się i rozpoznaję ścieżkę dźwiękową z filmów Człowiek słoń i Pluton. W końcu kino przyniosło mu sławę, której nie zdobył jako zwykły kompozytor.

Tysiące twarzy ciągną się na całej długości korytarza.

Zeus już prowadzi mnie gdzie indziej.

- Lubię sztukę Ziemi 1. Rozpocząłem gromadzenie tej kolekcji w czasach, gdy umieściliśmy na Ziemi 1 Olimp.

MUZEUM RZEŹBY, głosi napis na frontonie.

Dzieła kretańskie, etruskie, babilońskie, greckie, bizantyjskie, kar-tagińskie. Zatrzymuję się przed kretańskim freskiem przedstawiającym delfiny oraz kobiety z obfitymi piersiami.

- Ach tak, delfiny... Wybrałeś potężny totem. Czy wiesz, że delfiny mają... stały dostęp do swojej podświadomości?

- Nie wiedziałem o tym.

- Delfin jest prototypem jeszcze bardziej ambitnego projektu wodnej inteligencji.

Stoję, przyglądając się przedstawiającemu delfiny obrazowi i stwierdzam, że na grzbietach niektórych siedzą ludzie, tak jak ja dosiadałem delfinów na mojej wyspie.

- Delfiny posiadają, proporcjonalnie do masy ich ciała, o wiele większy mózg niż człowiek. Zastanawiałem się, czy to nie one powinny rządzić planetą, ale ich niezdolność do zamieszkiwania na lądzie sprawiała zbyt dużo problemów.

Jego wzrok błądzi gdzieś, a ja sobie myślę, że chyba jednak w swoim ogrodzie ze szklanymi kulami ma taką całkiem wodną planetę, na której delfiny zbudowały miasta i rozwinęły swoje własne technologie.

Kolejne rzeźby są bardziej nowoczesne. Rozpoznaję Nike z Samotraki, Wenus z Milo, Mojżesza Michała Anioła.

- Ach, ci ludzie... Ich talent, ich twórczość ma dużą siłę wyrazu... Tak samo jak ich dążenie do samozniszczenia. Zastanawiałem się, czy jedno i drugie nie jest nierozzerwalnie ze sobą powiązane. Humor następuje po rozpaczach. To piękno byłoby więc być może związane z ich dążeniem do śmierci. Jak w przypadku kwiatów, które rosną na nawozie...

- Jak ci się udało zgromadzić te wszystkie arcydzieła?

- Stosuję technikę, która wykonuje dokładne reprodukcje dzieł ziemskich. Oryginały znajdują się w Luwrze, w British Muséum, w Modern Muséum w Nowym Jorku. ...iw Aedenie.

Przechadzam się pośród rzeźb. Te autorstwa Camille Claudel pozostały nietknięte mimo ich zniszczenia przez artystkę podczas jednego

348

z ataków wściekłości. Zeus mówi, że to również jedna z zalet tego muzeum: zachowuje nawet zniszczone dzieła.

Nowe drzwi, nowe muzeum, tym razem zatytułowane ponuro BIBLIOTEKA. Na ciągnących się jak okiem sięgnąć półkach stłoczono dzieła pochodzące ze wszystkich epok. Księgi z pergaminu, ze skóry, z papirusu, jeszcze inne, które mają karty z jedwabiu.

Pokazuje oryginalne i zupełnie nieznane rękopisy Szekspira, Dosto-jewskiego.

- Zawsze mnie smuci, kiedy widzę, jak trudno na Ziemi 1 uznaje się za życia prawdziwe talenty. Rzadko odkrywano prawdziwych innowatorów. Mówię na przykład o waszym przyjacielu Georges'u Meliesie, który zmarł zupełnie nieznanym, w nędzy, zmuszony do sprzedania sali kinowej i spalenia z rozpaczach filmów, podczas gdy to właśnie on stworzył kino fantastyczne. Ale mógłbym opowiedzieć tu także o Modiglianinie, całkiem nieznanym za życia i zrujnowanym przez właściciela galerii, który za kawałek chleba kupił od niego wszystkie obrazy.

Zeus macha ręką w geście zawodu.

- Miejsce Mozartów zawsze zajmowali Salieri, wiesz, o kim mówię,

0 tym kompozytorze żyjącym na dworze Wilhelma II, który był taki modny. Ci, którzy naprawdę tworzą coś nowego, nie zostają wychwyceni przez swoją epokę. Tylko naśladowcy zaznają sławy. Najczęściej osłabiając intensywność oryginalnej idei.

- Jednak było kilku geniuszów uznawanych za życia: na przykład Leonardo da Vinci.

- Ale ledwie mu się udało, bo w wieku dziewiętnastu lat o mało nie został skazany na śmierć za homoseksualizm.

- Sokrates?

- Wiemy o nim tylko to, co opowiedział Platon. Jednakże Platon nigdy tak naprawdę nie rozumiał swojego mistrza. Nawet czasami bronił całkiem przeciwnych poglądów.

Ta informacja zaskakuje mnie.

- Jak zwykł mawiać Jonathan Swift: „Narodziny nowego talentu zauważamy wtedy, gdy spontanicznie pojawia się wokół jego osoby spisek głupców”.

Zeus podchodzi do strefy, w której stoją książki Juliusza Verne'a.

- O ile wiem, dobrze go pan zna - zauważa.

Natychmiast w mojej głowie tłoczą się obrazy z naszego spotkania na wyspie.

- Juliusz Verne publikował swoje powieści w odcinkach w jednej z gazet. Potem dopiero zostały wydane w postaci książek, ale w tamtym czasie nikt nie uważał, że są to „prawdziwe” książki. Twierdzono, że jest to wiedza uproszczona z myślą o młodzieży. Trzeba było czekać siedemdziesiąt lat po jego śmierci, aż jakaś dziennikarka odkryła te dzieła

1 wreszcie przedstawiła go jako wielkiego powieściopisarza.

- Juliusz Verne nie żył w nędzy.

- Nie, ale żona przytłaczała go ciągłymi zarzutami o to, że nie przynosi dość pieniędzy! W pewnej chwili, idąc za jej radą, nawet przestał pisać i poświęcił się zarządzaniu giełdowymi portfelami. Jego wydawca

349

Hetzel musiał wyasygnować dla niego procent od sprzedaży, aby Juliusz Verne zdołał przekonać swoją żonę, by pozwoliła mu kontynuować rozpoczęte dzieło. Wie pan, w jaki sposób umarł?

„Skacząc z wysokiego brzegu Aedenu lub porwany na bagnach przez potwora” - myślę.

- Jego siostrzeniec, karciarz i alkoholik, często żądał od wuja pieniędzy. Pewnego dnia Juliusz Verne odmówił mu. A więc siostrzeniec wyjął rewolwer i strzelił mu w nogę. Rana została zainfekowana. Bardzo cierpiał, zanim umarł.

Zeus podchodzi do dzieł Rabelais'go.

- Jeśli chodzi o Rabelais'go, w chwili jego śmierci istniały tylko trzy jego dzieła w bardzo ograniczonym nakładzie. Na szczęście właściciel ksiązek zachował je do chwili, gdy ktoś znowu się nimi zainteresował.

- Jest tylu dobrych pisarzy, których dzieła nigdy nie zostały opublikowane. (Podaje mi gruby rękopis.) Ten na przykład był tak nowatorski, że został spalony na stosie jako podręcznik czarnoksiężstwa.

Podaje mi następny i jeszcze jeden. Wszystkie te historie źle na mnie działają.

Zeus popycha drzwi z napisem MUZEUM KINA.

Są tu prostokątne ekrany rozmiaru 16/19.

- To najnowsza część mojego osobistego muzeum. Zajmuje się nią pana przyjaciółka, Marilyn Monroe. Już kazała „zmontować” dwadzieścia pięć tysięcy filmów

Na każdym ekranie pojawia się zatrzymany kadr z jakiegoś znanego filmu. Wystarczy dotknąć ekranu i film rusza.

- Na razie zdążyłem zobaczyć tylko trzy tysiące. A i tak użyłem do tego funkcji przyspieszonego widzenia. Moje ulubione filmy to po kolei: 2001, Odyseja kosmiczna Kubricka, Łowca androidów Ridleya Scotta i Brazil Terry'ego Gilliana.

- Tylko science-fiction? - dziwię się.

- Tam najbardziej przejawia się myśl twórcza. Przecież nie będę oglądał filmu po to, żeby w nim zobaczyć to samo, co nieustannie dzieje się na Ziemi 1 lub na Ziemi 18.

Argument jest logiczny.

- Praca reżyserów i scenarzystów chyba najbardziej zbliżona jest do mojej. Kierują zespołem, by opowiedzieć aktorom jakąś historię... Wie pan, że czasami daję się złapać: przyznam, że nie udaje mi się przewidzieć zakończenia większości filmów. Wyobraźnia ludzka jest tak złożona.

Na jednym z ekranów przechadzają się ludzie w togach, a wszystko dzieje się w scenerii, która wydaje mi się znajoma.

- Zmierzch tytanów z Laurence'em Olivierem i Deborah Kerr. Oglądamy tam bogów olimpijskich, którzy siedzą na chmurze. Komiczne, co? Czasami pod wpływem nowych filmów nakręconych przez ludzi zmieniam elementy wystroju Olimpii.

Ten pomysł przywodzi mi na myśl prawdziwych gangsterów mafijnych z Chicago, którzy starają się upodobnić do postaci z Ojca chrzestnego Francisca Forda Coppoli. Kto tu kogo naśladowuje?

350

Zeus prowadzi mnie do kolejnej sali: MUZEUM HUMORU Tu, w przeszklonych gablotach, znajdują się zapisane odręcznie kartki.

- Jeszcze jedna innowacja. To z kolei stworzył dla mnie Freddy Meyer. W przeciwieństwie do filmów, dowcipy degustuję powoli. Jeden na dzień. Nigdy więcej.

Recytuje jeden z pamięci:

- „Mały cyklop mówi do swojego ojca: «Powiedz mi, tatusiu, dlaczego cyklopy mają tylko jedno oko?» Ojciec czyta nadal gazetę, udając, że nie usłyszał pytania. Jednak mały cyklop nie przestaje powtarzać: «Powiedz, tato, dlaczego cyklopy mają tylko jedno oko? Wszyscy w szkole mają dwoje oczu, a ja tylko jedno». Wtedy zrozpaczony ojciec mówi: «Ojejku, nie bądź upierdliwy! Jajko też mamy tylko jedno»".

Zeus proponuje, abyśmy przeszli teraz do sąsiedniej sali, oznaczonej jako MUZEUM KOBIECY. Są tu zdjęcia kobiet w kuszących strojach albo nawet całkiem nagich.

- Zawsze uważałem, że kobiety to absolutne dzieła sztuki. Jedne bardziej, inne mniej znane.

Zeus pokazuje mi Kleopatrze, Semiramidę, królową Cahine, królową Dydone, królową Sabę, królową Eleonorę Akwitańską, carycę Katarzynę. Pokazuje mi piękności w togach, w tunikach, w grubych, wełnianych sukienkach.

- Widzę, że jesteś czuły na wdzięki strażniczek ognia - zauważa król bogów. - Te tutaj to kapłanki bogini Izys, dziewice ze świątyni Ateny, westalki. A tu kobiety z gineceum chińskiego cesarza Tsin Shi Houang Ti. Stworzył on prawdziwy system wynajdywania piękności. Ale trzeba przyznać, że w tamtych czasach były zupełnie inne kryteria estetyczne. Należało mieć małe stopy, długie włosy, duże oczy, wystające kości policzkowe, białą skórę.

Idziemy dalej.

- Nawet na Wschodzie kryteria uległy zmianom. Na przykład fascynacja dużymi piersiami jest stosunkowo stara, a sterczącymi małymi piersiami raczej niedawna.

Pokazuje zdjęcia kobiet z różnych epok.

- Tak samo jak opalona skóra, która była kiedyś oznaką przynależności do klasy chłopów. Dopiero niedawno na Ziemi 1 opalenizna stała się symbolem przynależności do wyższych sfer. Ale najpiękniejsze śmiertelniczki pozostały nieznane. Często były dziewczycami i spędziły życie w klasztorze.

Kiedy dotyka ramki, zdjęcie ożywa, jakby te młode dziewczyny zostały sfilmowane bez swojej wiedzy w intymnej chwili.

- Jest coś, co nas łączy, Michaelu Pinsonie. Obydwaj pozwoliliśmy potraktować się z góry fryzjerkom.
- W moim przypadku to nie była fryzjerka...
- Tak, wiem, Afrodyta. Tak, ona! Wiem, że jej syn opowiedział ci jej prawdziwą historię.

Dotyka portretu bogini miłości, a ten ożywa, aby przesłać w powietrze pocałunek.

- Uważam, że jest piękna - mówię ponuro, jakby stając w jej obronie.

351

- I to jest właśnie czerwona magia. Femme fatale. Znałem ich kilka. Prawdziwy narkotyk. Nawet ja, Zeus, pozwalałem dziewczynkom zamieniać się w marionetkę.

Wybuchają śmiechem.

- I uważałem, że to jest... boskie.
- A Hera?
- Tak, Hera była femme fatale. To normalne: zanim została moją żoną, była moją siostrą. Ma mój charakter. Nie pozwoli się wodzić za nos byle mężczyźnie. Była zabójczynią. A potem została gospodynią domową. Codziennosc wszystko niszczy. Teraz gotuje i opowiada o mnie. Przedstawiła panu swoją teorię na temat tradycji delfinów i antydelfińskiego apogeum kierowanego przez A-dolfa? W tej swojej chatce myśli o wielu sprawach. Sądzę, że chce zająć moje miejsce.

Unosi brwi.

- Jeżeli sądzi, że odzyska mnie zapachem zupy z dyni... A ty? Jak tam historia z Afrodytą?
- Kocham Matę Hari - mówię.
- Tak, wiem. Ale nie mówię o niej, tylko o Afrodycie. Nadal działa na ciebie destruktywnie?
- Już o niej nie myślę.
- Kłamca.
- W każdym razie i tak nic z tego nie będzie, ona mnie nigdy nie pokocha.

- Widzę, że nie znasz się na kobietach. Im więcej stawia ci przeszkód, tym bardziej ją interesujesz. Jedyne problemy z Afrodytą, zresztą tak jak ze wszystkimi femmes fatales...
- To ten, że jest niezdolna kogokolwiek pokochać?

Czekam.

Przygląda mi się z zainteresowaniem.

- Nie tylko nie potrafi nikogo pokochać, ale nie jest zdolna do osiągnięcia fizycznej rozkoszy z mężczyzną. Tym łatwiej jest jej manipulować mężczyznami, że sama nic nie czuje.
- Jeśli będę się kochał z Afrodytą, dowie się, co to orgazm - mówię, a moje słowa brzmią jak wyzwanie.

Uśmiecha się, złośliwiec jeden.

- Nie zapominaj, że... kochasz Matę Hari.

Mijamy około dziesięciu korytarzy i schodów, aż docieramy do jaśniejszej strefy.

Pod tablicą MUZEUM INFORMATYKI kryje się sala wypełniona po brzegi komputerami, od najstarszych, przypominających wielkie szafy, do najmniejszych, przenośnych. Te ustawione na stołach maszyny przywodzą mi na myśl biologiczną ewolucję. Od dinozaurów po małpy.

- Te maszyny to pamięć. Cóż za paradoks! Człowiek traci swoją
- 1 powierza ją komputerom. To one są nowymi strażnikami wiedzy.
- Człowiek traci pamięć?
- Każdego dnia politycy wymyślają na nowo przeszłość, aby dostosować ją do potrzeb teraźniejszości. Początkowo tylko zadawali się naświetlaniem pewnych wydarzeń i pozostawianiem innych w cieniu.

352

A potem zaczęli stopniowo zmieniać nazwy miast, mieszać historię z mitologią. Zaprzeczają fakty, aż wreszcie wysadzają w powietrze stanowiska archeologiczne, aby mieć pewność, że uda się dopasować przeszłość do ich propagandy. Rewizjonizm zdobywa pozycję.

- Tak jak Rzymianie każą wierzyć, że Kartagińczycy składali ofiary z ludzi, jak Grecy kazali wierzyć, że królem Krety był potwór pożerający kobiety.

Zeus prosi, abym usiadł przed nowoczesnym komputerem i włącza

go- ,

- Śmiertelnicy z Ziemi 1 nie zdają sobie sprawy, że za życie w świecie kłamstw na temat przeszłości zapłacą kiedyś wysoką cenę.

Gładzi brodę, po czym patrzy na mnie porozumiewawczo.

- Dlatego też podoba mi się dewiza mieszkańców Quebecu: „PAMIĘTAM”. Wszyscy ludzie powinni mieć gdzieś powieszone to zdanie. Pamiętam, skąd pochodzę. Pamiętam, kim jestem. Pamiętam historię moich przodków, dzięki którym żyję. Pamiętam wszystkie okresy rozdarcia, które stworzyły tę ludzkość.

Komputer wyświetla prośbę o podanie kodu dostępu. Zeus waha się przez chwilę, jakby nie mógł sobie przypomnieć swojego hasła, po czym wystukuje kilka liter.

Czytam mu przez ramię: g-a-n-i-m-e-d-e-s.

- A więc jeśli rzeczywistość zostaje podana w wątpliwość, to co pozostaje? Świat wirtualny.

Zeus wyjaśnia mi, że każde „zakładać” modele wszystkich komputerów i programów, jak tylko się pojawiają. To będzie domena kolejnej muzy. Informatyki.

Klika na jakiś program i na ekranie pojawia się gra w szachy.

- Początkowo grałem z komputerem. Zawsze wygrywałem, a potem nagle pewnego dnia przegrałem. Ponieważ nowe programy zachowują w pamięci wszystkie wcześniej rozegrane partie.

Wzdycha.

- Bóg stworzył człowieka. Człowiek stworzył komputer. A teraz maszyny wyprzedzają mnie już w niektórych dziedzinach.

Pokazuje mi różne programy.

- Znalazłem ludzi pracujących nad szczególnym projektem informatycznym. Nazywa się to: PIĄTY ŚWIAT.

Piąty Świat... Program, nad którym pracuje Eun Bi...

- Chcą dzięki informatyce uczynić człowieka nieśmiertelnym.

Przypominam sobie pomysł Korean Foxa, przyjaciela mojej protegowanej.

- To na razie science-fiction, ale daje mi do myślenia. W wirtualnej postaci udaje im się odtworzyć wszystkie cechy konkretnej osoby.

Zeus wydaje się zafascynowany tym pomysłem.

- Kiedy ktoś umiera, jego postać żyje nadal w internecie. Widzisz, jakie są tego implikacje, Michael? Gdyby coś takiego zostało odkryte wcześniej, można by było stworzyć

nieśmiertelnego sobowtóra Einsteina, który nadal obliczałby równania, sobowtóra Leonarda da Vinci, który nadal malowałby obrazy, sobowtóra Bacha, który nadal kompo-

353

nowałby muzykę, sobowtóra Beethovena, który napisałby X i XI Symfonię. Tak samo żywą i twórczą. Żadne tam klonowanie, bo to nie działa. Wirtualne odtworzenie. PIĄTY ŚWIAT produkuje paralelną ludzkość, która sprawi, że szczególne uzdolnieni nie umrą.

- Ale przecież dusze umarłych idą do Raju.

Zeus przygląda mi się badawczo.

- O, tak, ludzie z Ziemi 1 już stali się nieśmiertelni, a nawet zostali bogami... Jedynym, co nas ratuje, jest fakt, że oni nie są tego jeszcze świadomi.

Przyspiesza ruchy palców, skręcając brodę.

- Cały problem w tym, że PIĄTY ŚWIAT jest światem utworzonym przez śmiertelników i rządzi się prawami również przez nich ustanowionymi. A zatem tym samym utworzyli nową przestrzeń, który wymyka się naszej bezpośredniej kontroli...

- O ile dobrze zrozumiałem, człowiek jest nadal pod wpływem bogów, ale sam stworzył sztuczną strefę, która wymyka się bogom.

- To tak samo, jakby małpy w zoo zbudowały w środku małe klatki, do których rzucałyby na przykład lemurom orzeszki ziemne. Albo jakby żyjące w terrarium mrówki zbudowały gniazdo pełne roztoczy, które obserwowałyby po to, żeby zrozumieć swoją mrówczą kondycję.

Rozumiem przede wszystkim to, że życie mojej małej Koreanki Eun Bi właśnie zmienia wszystkie prawa rządzące wszechświatem.

Wracamy do sali, w której po raz pierwszy spotkałem Zeusa.

- Teraz - mówi - wiesz wszystko. I, jak sam widzisz, to niczego nie zmienia...

Nagle coś przyciąga moją uwagę. Ogromny fotel skierowany jest w stronę ukrytego za zasłoną okna.

Władca Olimpu zatrzymuje się, a uśmiech na jego twarzy gaśnie.

- Chcę wiedzieć, co jest za tym oknem - mówię z pewnością w głosie, która mnie samego zadziwia.

Zeus waha się.

- Chcę wiedzieć, co jest za tą zasłoną - powtarzam.

Dochodzę do wniosku, że okna, które widziałem podczas wizyty w pałacu, podobnie jak balkony i tarasy, wychodzą wszystkie na zachód. Żadne na wschód. Wszystko w tym pałacu jest zrobione tak, aby można było obserwować Olimpię. Ale skoro jesteśmy na górze, to musi przecież być drugie zbrocze.

Reakcja Zeusa potwierdza moje przypuszczenie, że trafiłem w czuły punkt. Nagle przypominam sobie: „Wyraz «apokalipsa» nie oznacza «końca świata», oznacza «podniesienie woalu», pozbycie się zasłony iluzji, która przeszkadza w ujzeniu prawdy, ponieważ ta jest tak zadziwiająca, że nie moglibyśmy jej znieść”.

- Chcę wiedzieć, co jest za tą zasłoną!

Zeus nadal ani drgnie.

Wtedy sam podchodzę do okna, pociągam purpurową zasłonę, otwieram okno i popycham okiennice.

354

115. ENCYKLOPEDIA: PANDORA

Jej imię oznacza „ta, która ma wszystkie dary”. Kiedy Prometeusz, wbrew opinii Zeusa, zdradził ludziom tajemnicę ognia, władca Olimpu postanowił go ukarać.

Poprosił więc Hefajstosa, aby zbudował kobietę doskonałą, która będzie posiadała wszelkie dary. Hefajstos stworzył istotę, a wszyscy bogowie po kolei obdarzyli ją swoimi największymi talentami. Nadzwyczaj pięknie grała na instrumentach. Hermes dokończył dzieła, ofiarując jej szczególny dar wymowy. Wtedy Pandora pokazała się Prometeuszowi i jego bratu Epimeteuszowi. Prometeusz od razu stał się nieufny wobec tej zbyt doskonałej kobiety, że mogła być uczciwa. Jednak Epimeteusz zapalał do niej gorącą miłością i poślubił ją. W prezencie ślubnym Zeus podarował nowożeńcom puszkę. „Weźcie tę puszkę i postawcie ją w bezpiecznym miejscu. Ale ostrzegam was, że nigdy nie należy jej otwierać” - powiedział.

Zakochany w Pandorze Epimeteusz zapomniał o ostrzeżeniu Prometeusza: nigdy nie przyjmować prezentu pochodzącego z rąk bogów. Postawił ofiarowaną przez Zeusa puszkę w kącie domu. Pandora była ze swoim mężem szczęśliwa. Świat był miejscem szczęśliwym. Nikt nigdy nie chorował ani się nie starzał. Nikt nie był zły. Ale Pandora zastanawiała się, co też może się znajdować w środku tej tajemniczej puszkę.

- Rzućmy okiem do środka - podsunęła pomysł Epimeteuszowi, używając do tego swojego wdzięku.

- Nie, ponieważ Zeus nam tego zabronił - odpowiedział jej mąż. Codziennie Pandora błagała Epimeteusza, żeby otworzył puszkę, ale on zawsze odmawiał. Pewnego ranka, korzystając z nieobecności Epimeteusza, Pandora wślizgnęła się do pokoju, w którym została schowana puszkę. Za pomocą narzędzi wyrwała zamek i powoli podniosła wieczko.

Ale nim jeszcze zdążyła zająrzeć do środka, z puszką wydobyło się straszne wycie, a potem długi szloch. Cofnęła się, przerażona. Wtedy z puszką wyskoczyły wszelkie nieszczęścia: nienawiść i zazdrość, okrucieństwo i gniew, głód i bieda, ból i choroba, starość i śmierć. Pandora próbowała nałożyć wieczko z powrotem, ale było już za późno, całe zło spadło na ludzi. Tymczasem, kiedy wydawało się, że puszka jest już pusta, okazało się, że coś jeszcze zostało na samym dnie pudełka. Coś małego, przycupnięte na samym spodzie. To była Nadzieja. Tak więc, nawet jeśli ludzie doznawali tych wszystkich nieszczęść, nadzieja zawsze pozostawała w nich żywa.

Edmond Wells

Encyklopedia Wiedzy Relatywnej i Absolutnej, tom V

355

116. APOKALIPSA

To, co widzę, rodzi we mnie konsternację. „Mój Boże” - szepeć.

Wydaje się, że Zeusowi jest z tego powodu przykro.

- Chciałeś wiedzieć, no to teraz wiesz.

Stoję oszołomiony.

Zeus podchodzi i obejmuje moje ramię. Wydaje się odrobinę niższy niż przed chwilą.

- Tak mi przykro.

Mgła uniosła się trochę i widzę... górę, której wierzchołek tonie w chmurach. Sądziłem, że jestem na szczycie, a dotarłem tylko do pośredniego etapu.

- To dlatego nie chciałem, aby ktokolwiek tu przychodził - wyznaje król bogów.

A zatem nie jestem w najwyższym punkcie wyspy Aeden. A Zeus nie jest „Ostatnim Bogiem”.

Podąża za moim spojrzeniem.

- Ja też co wieczór patrzę na ten szczyt. I zadaję sobie pytanie: „Co jest tam, w górze?”.

Stoję bez ruchu, z wytrzeszczonymi oczyma. Nagle pośród masy chmur pojawia się blask, który miga trzykrotnie, jakby z nas drwił.

- Okłamałem cię. Nie zbudowałem wszechświata, nie stworzyłem zwierząt ani ludzi. Wymyśliłem to wszystko. Nawet moje laboratorium to tylko dekoracje, które mają mi pomóc uwierzyć, że jestem Wielkim Panem Bogiem. Ale... tak nie jest. Nie jestem Stwórcą. Jestem tylko Zeusem, królem bogów na Olimpie. Jestem tylko cyfrą 8. Osiem, nieskończony bóg. Lecz jest coś ponad nieskończonością. 9.

Powiedział tę liczbę z takim szacunkiem, że jego głos załamał się lekko z emocji.

Odwraca się do drugiego okna, wychodzącego na zachód.

- Panuję nad wszystkim, co znajduje się pod „moją” górą. Panuję nad pozostałymi bogami, którzy z kolei panują nad aniołami i ludźmi. Panuję nad uczniami, którzy kierują ludami w swoich światach. Ale jest coś ponad mną. Nie znam jego natury. Próbuję tylko sobie wyobrazić.

Jeszcze bardziej się kurczy.

Przypominając sobie technikę cyfr, której nauczył mnie Edmond Wells, mówię:

- 9... Krzywa miłości w spirali jak anioł. Ale podczas gdy anioł jest cyfrą 6, która wyrusza z nieba, aby zrobić pętlę na dole, o tyle Stwórca wyrusza z ziemi, aby na niebie zrobić pętlę miłości.

Kiwa głową na znak, że szedł tym samym tokiem myślenia.

- 9 to cyfra genezy.

- Sądzę, że Stwórca, cyfra 9, stworzył ludzi i bogów na swój obraz. Tak więc, chcąc zrozumieć, czym może być Dziewiątka... mnożyłem doświadczenia, kochanki, kochanków, przygody, aby rzeczywistość powiedziała mi... kim naprawdę jestem i skąd pochodzę. Wszyscy jesteśmy w tym samym punkcie.

Nadal się zmniejsza. Teraz jest mojego wzrostu.

356

- Pewnego dnia powiedziałem sobie: „A jeśli tam, na górze, nic nie ma?”. I miałem taką nadzieję. Tak bardzo miałem nadzieję. I to chyba jest najgorsze: ja, Zeus, jestem bogiem „wierzącym”.

- Czy pod postacią łabędzia nie możesz tam polecieć?

- Jest tam pole sił. Żaden ptak, żadna istota nie jest w stanie go przebyć.

W tym momencie uzmysławiam sobie, że czuję litość dla Zeusa. On, bardziej niż kto inny, musi czuć wielkość swojej niemocy. Pozostali wierzą w Zeusa. Ale on wie, że nie jest kulminacją. „Im więcej wiemy, tym łatwiej możemy kontrolować naszą niewiedzę”.

Popycha mnie do innego okna, tego, które wychodzi na Olimpię, jakby próbował odciągnąć mnie od widoku wyższej góry.

- Ustanowiłem dystans między mną a pozostałymi bogami, aby odtworzyć moją własną tajemnicę, równą Jego tajemnicy. Im mniej się pojawiałem, im więcej wymyślałem prób, które pomagały zachować moją samotność, tym większym darzyli mnie szacunkiem, czcili, modlili się do mnie. Być może On, tam w górze, cyfra 9, działał w ten sam sposób. Ustanowić

swoją tajemnicę. I jemu się udało. Od czasu, gdy tu jestem, spędzam całe godziny, obserwując ten szczyt.

Kieruje ku sobie moją twarz, abym spojrzał mu prosto w oczy.

- Wierzę w „Niego”. Wierzę w boga, który stoi nade mną.

-AgraY?

- To jest najbardziej paradoksalne. Zwycięzca może być pierwszym, któremu uda się pokonać pole sił.

- Uczeń mógłby dokonać czegoś, co jest zabronione samemu Zeusowi?

Władca Olimpu spuszcza wzrok.

- Pewnego dnia coś spadło z góry. Butelka z wiadomością w środku. Przekazał mi ją jeden z moich cyklopów. Były tam instrukcje. Pamiętam każde słowo: „Zorganizujcie grę, podczas której wybieriecie boga, który najlepiej poradzi sobie z problemami podobnymi do tych, które istnieją na Ziemi 1. Pierwsze 17 roczników to będą tylko brudnopisy, a zwycięzca z 18. rocznika będzie mógł przejść pole sił”.

A więc wszystkie inne roczniki niczemu nie służyły. Tylko ten jest ważny.

- Chwilami zazdroszczę bogom-uczniom. Zazdroszczę tobie. Dopóki nie jesteś wykluczony z gry, możesz być „tym, na którego czekamy”, możesz być „tym, który wejdzie do góry” po raz pierwszy od czasu, kiedy powstał świat.

Jeszcze się zmniejsza, teraz musi mieć kilka centymetrów mniej ode mnie.

Wraca do wschodniego okna.

- Tam pójdzie uczeń, który wygra... Nie bogowie-mistrzowie, nawet nie ja, Zeus. Tylko on, zwycięzca...

Macha ręką.

- Jeśli chcesz, możesz zostać tu ze mną.

Król bogów wyciera czoło, na którym perli się kropla potu.

- Dlaczego składasz mi taką propozycję?

357

- Ponieważ się nudzę. Wszystko mnie nudzi. Jestem starym, zmęczonym bogiem, który nigdy nie będzie wiedział nic więcej, niż wie dzisiaj. Przybierałem wszystkie kształty, działałem wśród każdej ludzkości, byłem ogromnym okiem, białym królikiem, łabędziem, ale przybierałem również postać bogów-uczniów, bogów-mistrzów. Robiłem wszystko. Miałem boginie, śmiertelniczki, kobiety, mężczyzn, bogów-uczniów, bohaterów, bohaterki. Już mnie

nie bawią. Wtedy kazałem Sfinksowi, żeby zamknął bramę przed ciasnymi umysłami. Żeby docierały do mnie tylko... czyste umysły.

Przemierza pokój wzdłuż i wszerz.

- I nikt nie przyszedł. Wtedy zacząłem żałować, że zagadka jest taka trudna. Bałem się, że już nigdy nikt tu nie przyjdzie. Że na zawsze pozostanę sam. Jednak nie chciałem rezygnować z zagadki.

Siada na ziemi.

- Nawet moje muzeum, z jego dziełami sztuki, kobietami, komputerami... to wszystko nudzi mnie na dłuższą metę... jeszcze staram się czymś zachwycić, ale czuję się zblazowany. Nieśmiertelność jest długa.

Wstaje, podchodzi do mnie.

- Wszechświat wcale nie jest taki duży. Nie ma tak wielu ludzi, z którymi można by porozmawiać. Wszyscy są tacy przewidywalni. Ale ty... nie wiem dlaczego... jesteś taki zabawny.

- Chcę wrócić na dół - oznajmiam.

Staje naprzeciw mnie.

- Gdybyś został, sprawiłoby mi to wielką przyjemność. Razem obserwowalibyśmy bogów i ludzi. Stałbyś się tak jak ja liczbą 8.

- Chcę wrócić na dół.

Patrzy w głąb mojej duszy.

- Masz wolną wolę. Uszanuję twój wybór.

Stoję nieruchomo, a przez moją głowę przetaczają się tysiące sprzecznych myśli.

- Skoro chcesz wrócić, zrobię to, co ci obiecałem. Dam ci latającego rumaka. Zjedziesz na dół i wszyscy będą cię traktować tak, jakby się nic nie stało.

W jego głosie słyszę żal.

Zeus rośnie i znowu staje się dziesięciometrowym olbrzymem, po czym zasiada na tronie.

- Tak więc podjąłeś decyzję?

- Pokonałem tylko cztery piąte drogi.

Pierwszy etap: kontynent umarłych, gdzie dotarłem, kiedy byłem tanatonautą.

Drugi etap: Imperium Aniołów, gdzie dotarłem po wyjściu z cyklu reinkarnacji.

Trzeci etap: Aeden, gdzie dotarłem, stając się bogiem-ucznikiem.

Czwarty etap: pałac Zeusa, do którego właśnie dotarłem.

Piąty etap jest przede mną: zrobić coś więcej niż Zeus, dotrzeć do najwyższego punktu Aedenu, tam, skąd wydobywa się światło, które zdaje się mnie wzywać, odkąd postawiłem swoje stopy na wyspie.

358

- Rozumiem cię - mówi. - Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Widzisz, czasami bogowie-uczniowie mają większe możliwości niż ich mistrzowie. Ja nie poznam Ostatniej Tajemnicy. Dam ci rumaka, żebyś mógł zjechać na dół i podjąć na nowo grę w Olimpii. Ostatnia rada: pamiętaj, kim naprawdę jesteś.

W tym momencie Zeus, lekko przygarbiony, zamyka okiennice i zaciąga purpurową zasłonę, zakrywając szczyt, gdzie znajduje się Istota, która go przewyższa i którą odtąd będę nazywał cyfrą 9.

Stwórca.

Na pożegnanie król bogów przybiera postać olbrzymiego oka, które kiedyś wywarło na mnie takie wrażenie i które już w ogóle na mnie nie działa.

- Zazdroszczę ci, Michaelu Pinsonie... wiesz o tym.

Już go nie słucham.

Mam przed sobą nowe marzenie.

Składam podziękowania:

Profesorowi Gerardowi Amzallagowi, Borisowi Cyrulnikowi, Reine Silbert, Françoise Chaffanel, Jérôme'owi Marchandowi, Patrice Lanoy, Dominique i Alainowi Charabouska, Stéphane'owi Krauszowi, Pascalowi Leguernowi.

Wydarzenia, które miały miejsce podczas pisania Oddechu bogów:

Powstanie scenariusza oraz przygotowania do realizacji filmu Claude'a Leloucha Nasi przyjaciele ludzie.

Powstanie scenariusza do filmu w technice Imax: Tajemnica mrowiska.

Powstanie scenariusza do serialu telewizyjnego: Dzieci Ewy.

Powstanie scenariusza do filmu animowanego Dzieci Ewy.

Słowa piosenki Louisa Bertignaca Saga gnu, album Longtemps.

Muzyka, której słuchałem podczas pisania Oddechu bogów. Oryginalna ścieżka dźwiękowa z filmu Ostatni samuraj Hansa Zim-mera.

Oryginalna ścieżka dźwiękowa z filmu Władca pierścieni, Howarda Shore'a.

Oryginalna ścieżka dźwiękowa z filmu Wydma, Toto. Oryginalna ścieżka dźwiękowa z filmu Podwodny świat, Jamesa Homera.

Mike Oldfield - album Incantations. Moondog - Bird's Lament. Peter Gabriel - album Up.

Strony internetowe:

www.bernardwerber.com

www.albin-michel.fr

Spis treści

Przedmowa

.....7

1. Oko na
niebie.....

.....11

2. Encyklopedia:

otrzymać.....13

I. Dzieło w kolorze

czerwonym.....14

3. Dziewięć świętyń

.....14

4. Encyklopedia: muzy

.....15

5. Dziewięć

pałaców.....1

6

6. Encyklopedia: samadhi

.....19

7. Śmiertelnicy. 14

lat.....19

8. Encyklopedia:

wizja.....25

9. Sen o

drzewie.....

.....26

10.	Mitologia.	
	Syzyf.....	2
	8	
11.	Znaczenie	
	miast.....	29
12.	Encyklopedia: pismo	
	41
13.	Czas	
	miast.....	
	41
14.	Encyklopedia: królowa Semiramida.....	45
15.	Delfiny.....	
	46
16.	Encyklopedia: Echnaton	
	54
17.	Lwy.....	
	55
18.	Encyklopedia:	
	Milet.....	59
19.	Bilans Syzyfa	
	60
20.	Encyklopedia: Sumer i jedenasta planeta.....	69
21.	Dobry	
	blues.....	
	70
22.	Encyklopedia: prorocstwo	
	Daniela.....	78
23.	Śmiertelnicy. 16	
	lat.....	79
24.	Encyklopedia: odpowiedź Gai	
	81

25.	Zawroty i ciężka głowa.....	82
26.	Mitologia: Herakles	84
27.	Herakles. Niedziela. Znaczenie bohaterów.....	85
28.	Encyklopedia: selekcja	90
29.	Czas imperiów	90
30.	Encyklopedia: historia świń.....	94
31.	Imperium termitów.....	94
32.	Encyklopedia: cztery umowy Tolteków.....	96
33.	Imperium orłów.....	97
34.	Encyklopedia: Archimedes.....	103
35.	Bilans Heraklesa	104
36.	Encyklopedia: David Bohm.....	UI
37.	Gra w karty.....	112
38.	Hannibal Barca.....	122
39.	Spotkanie w blasku księżyców.....	124
40.	Encyklopedia: kompleks pana Perrichona.....	127

41.	Saint- ex.....	128
42.	Encyklopedia: Zodiak	133
43.	Nowa wieczorna wyprawa	134
II. Dzieło w kolorze pomarańczowym.....		141
44.	Na pomarańczowej ziemi	141
45.	Mitologia: Meduza.....	143
46.	Zamknąć oczy	144
47.	Encyklopedia: twarde i miękkie	147
48.	Tylko pocałunek	148
49.	Encyklopedia: miłorząb.....	151
50.	Trzy dusze (18 lat)	152
51.	Encyklopedia: Delfy	156
52.	Sen o delfinach	157
53.	Mitologia: Prometeusz	161
54.	Prometeusz albo sztuka buntu.....	162
55.	Encyklopedia: Spartakus	175
56.	Czas hegemonii. Orły	175

57.	Encyklopedia: Indoeuropejczycy	178
58.	Trzecie rozproszenie delfinów	179
59.	Encyklopedia: ludy hebrajsko-fenickie	182
60.	Hegemonia tygrysów	183
61.	Encyklopedia: cztery sposoby kochania	186
62.	Bilans Prometeusza	187
63.	Encyklopedia: tygrys szablozębny	192
64.	Kolacja	193
65.	Encyklopedia: Lilith	197
66.	Cenna chwila	198
67.	Encyklopedia: historia jaszczurki	206
68.	Na plaży	207
69.	Encyklopedia: sen delfina	212
70.	Sjesta	213
71.	Encyklopedia: Dziesięć Przykazań	218
72.	Na plaży	218

73.	Encyklopedia: Thomas Hobbes	221
74.	Oskarżenie	222
75.	Encyklopedia: ruch anarchistyczny	231
76.	Najstraszliwszy wyrok	232
77.	Encyklopedia: wizualizacja	238
78.	Śmiertelnicy: 22 lata	238
79.	Encyklopedia: modliszka	245
80.	„Wykształcony”	245
81.	Encyklopedia: gra w Eleusis	253
82.	Środa: drugi dzień wakacji	253
83.	Encyklopedia: pułapka na małpy	259
84.	Mesjański lot	259
85.	Encyklopedia: Masada	262
86.	Koszmar w słoiku	263
87.	Encyklopedia: cywilizacja Harappa	267
88.	Krew orłów	268
89.	Encyklopedia: lemingi	273

90.	Sterowiec.....	274
91.	Encyklopedia: 8 herców.....	280
92.	Wzlot.....	281
93.	Encyklopedia: zaklinacz koni.....	283
94.	Chata.....	284
95.	Encyklopedia: Hera.....	285
96.	Zajęcia Hery.....	286
97.	Encyklopedia: henoteizm.....	294
98.	Śmiertelnicy: 24 lata.....	294
99.	Encyklopedia: Sfinks.....	301
100.	Bursztyn.....	301
101.	Encyklopedia: siła próżni.....	307
102.	Spotkanie.....	308
103.	Encyklopedia: cyklopi.....	313
104.	Oko w oko z cyklopami.....	313

105. Encyklopedia: Zeus.....	316
106. Pryncypał.....	317
107. Encyklopedia: muzyka	323
108. Mój najgorszy wróg	324
109. Encyklopedia: gladiator	330
110. Pałac królewski.....	331
111. Encyklopedia: historia kotów	338
112. Przeciw mojemu ludowi	339
113. Encyklopedia: analiza transakcyjna.....	346
114. Zwiedzanie muzeów	347
115. Encyklopedia: Pandora	355
116. Apokalipsa	356

Wcześniejsze losy uczniów niezwykłej szkoły znajdą Państwo w pierwszym tomie trylogii Bernarda Werbera:

WEZimiA SAGA, PEtKA P«2»GOO, WESPOOZIEWAHYCH ZHROT0W AKCJI ORAZ
HUIfiWij

■ u i Bernard

W E R B E R

Szkoła boyów

Główny bohater i narrator zostaje sprowadzony na wyspę Aeden, gdzie znajduje się zadziwiająca instytucja: Szkoła Bogów, w której rolę nauczycieli pełni dwunastu bogów z greckiej mitologii. Spotyka tam nieżyjące już od lat osobistości świata kultury i nauki, które po przeszkoleniu staną się bogami i będą kierować losem powierzonego sobie ludu. Muszą jednak wcześniej wykonać trudne zadania, są poddawani różnym testom i próbom, które zdecydują o tym, czy pozostaną w grze.

Jednak życie w Aedenie nie jest rajem. Jeden z uczniów zabija swoich towarzyszy, inny traci głowę dla najbardziej uwodzicielskiej nauczycielki - Afrodyty, a wszyscy zadają sobie pytanie co to za światło widać tam, w górze. Światło, które zdaje się ich pilnować...

MIŁOŚNIKOM PROZY FRANCUSKIEJ POLECAMY PONADTO:

DAVID

Uamus

rycerze Królestwa

3ZT* >

David Camus Rycerze królestwa

Osadzona w realiach średniowiecza sensacyjna powieść, której autorem jest wnuk Alberta Camus'a.

Książka Rycerze królestwa - wydana jako pierwszy tom trylogii - przyniosła autorowi prestiżową francuską nagrodę za najlepszą powieść przygodową.

Zachowując dbałość o szczegóły i autentyczność kontekstów historycznych, autor snuje pasjonującą opowieść o poszukiwaniu Świętego Krzyża, na którym został ukrzyżowany Chrystus. Relikwia ta, zagubiona podczas decydującej bitwy między muzułmanami a krzyżowcami, staje się pożądanym celem dla kilku konkurujących ze sobą grup.

Powieść, nawiązująca klimatem do Imienia róży Umberto Eco, łączy w sobie wątki historyczne, przygodowe i mistyczne.

Serge Joncour idol

£if,< 1

Serge Joncour Idol

Idol - szósta książka w dorobku Serge'a Joncour'a - to opowieść bezrobotnego mężczyzny, dziwaka i samotnika, który nagle stwierdza, że gdziekolwiek się pojawi, wzbudza niezwykle zainteresowanie. Poirytowany tą sytuacją usiłuje dowiedzieć się, co się za tym kryje. Po pewnym czasie uświadamia sobie, że w oczach sąsiadów, przechodniów, urzędników bankowych, kelnerów uchodzi za gwiazdę telewizyjną. Redaktorzy programu mają wobec

niego bogate plany, a sam George zaczyna rozkoszować się sławą. Nieustannie jednak zadaje sobie pytanie: dlaczego ja?

Faiza Guene Pokochać jutro

Brawurowy debiut młodej francuskiej pisarki, córki algierskich imigrantów, która dorastała na przedmieściach Paryża. Książka Kiffe Kiffe Demain ukazała się w sierpniu 2004 roku i natychmiast stała się hitem. We Francji sprzedano dotąd 70 000 egz.; prawa do jej wydania zakupiło kilka krajów, w tym Niemcy, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone.

Bohaterką powieści i zarazem jej narrator-ką jest 15-letnia muzułmanka mieszkająca we Francji, która barwnie i dowcipnie opowiada o swym smutnym życiu. Autorce udało się zarejestrować proces przemiany Dorii z zakompleksionej dziewczyny bez perspektyw w młodą kobietę o wyraźnej osobowości, pełną nadziei na lepszą przyszłość.

Didier van Cauwdaert

Ewangelia Jimmy'ego

Didier van Cauwaleart Ewangelia Jimmy'ego

Trzecia wydana w Polsce powieść bestsel-lerowego pisarza francuskiego, w której autor zręcznie połączył wątki polityczne, religijne i psychologiczne, nadając im sensacyjną oprawę.

Tytułowy Jimmy to skromny czyściciel basenów, który dowiaduje się, że jest klonem Chrystusa. Początkowo sceptyczny wobec tej informacji, z czasem zaczyna wierzyć, że potrafi wykorzystać swoją niezwykłą moc, by czynić dobro. Od tej pory staje się narzędziem w rękach różnych wpływowych sił - Białego Domu, FBI, CIA, władz Kościoła. Uruchamia to serię sensacyjnych wydarzeń, którym towarzyszy nasuwające się pytanie - czy to wszystko nie jest wielką mistyfikacją...?